

JAKUB URBAŃCZYK

KRAJ, NA KTÓRY
BÓG SIĘ ROZGNIEWAŁ



JAKUB URBAŃCZYK

KRAJ, NA KTÓRY
BÓG SIĘ ROZGNIEWAŁ

—

WANDALASUNTA

www.jakuburbanczyk.pl

Copyright © 2021 Jakub Urbańczyk

All rights reserved

Wydanie I (cyfrowe)

ISBN 978-83-963758-0-3 (ebook)

www.jakuburbanczyk.pl

WANDALASUNTA

"Ostatnie lato Wandalów"

"Kraj, na który Bóg się rozgniewał"

...

Kartagina, rok 530. Niecałe sto lat wcześniej rzymska prowincja padła pod mieczami barbarzyńców z północny i dziś afrykańskie królestwo Wandalów pławi się w zbytku. Jednak w rzeczywistości państwo chwije się targane wewnętrznymi konfliktami i nikt nie wie, jak blisko ma do przepaści. Tymczasem, w prowincjonalnej Hipponie życie biegnie swoim własnym rytmem lokalnych intryg i drobnych romansów. Ale już niedługo, bo wkrótce pradawne moce i brutalna polityka upomną się o swoje.

Żadna historia nigdy się nie kończy... ani nigdy się nie rozpoczyna. Bohaterowie skądś przyszli (ci, którym się udało) i dokądś zmierzają (ci, którzy przeżyli). I ani oni, ani świat dokoła nich, nie są tacy sami na początku i na końcu drogi.

"Kraj, na który Bóg się rozgniewał" to drugi tom powstającej trylogii "Wandalasunta", która opowiada burzliwe dzieje ludu Wandalów – od kraju nad Wisłą po Afrykę Północną... i z powrotem. Ale to także samodzielna opowieść o ludzkich namiętnościach, mrocznych mocach i bezlitosnych trybach historii.

spis treści

tytułem wstępu - 6 -

miłości i sztuka kochania - 15 -

metamorfozy - 256 -

żale - 502 -

posłowie - 749 -

indeks postaci - 768 -

królowie wandalów - 781 -

mapy - 788 -

krótki dodatek o "Historii sekretnej" - 793 -

przypisy - 800 -

tytułem wstępu

Rok 530 n.e., Kartagina, Afryka Północna. Dawna stolica punickiego mocarstwa, zniszczonego przez Rzymian, zostaje w 439 r. podbita przez Wandalów i Alanów. Wkrótce sama wysyła armię, która łupi Rzym. Już współcześni dostrzegali w tym przewrotność dziejów. Teraz jednak, niecałe sto lat później, afrykańskie królestwo Wandalów chwieje się w posadach targane wewnętrznymi konfliktami i szarpane podjazdowymi wojnami. Stary król Hilderyk, wnuk wielkiego Gezeryka i cesarza Walentyniana III, próbuje otworzyć nowy rozdział w historii państwa, ale sprawy zaczynają

wymykać mu się spod kontroli. Tymczasem, w prowincjonalnej Hipponie (tej samej, w której żył i umarł sto lat wcześniej Święty Augustyn) życie biegnie swoim własnym rytmem małej, lokalnej polityki, amatorskich intryg i drobnych romansów. Ale już niedługo.

Skąd germańscy Wandalowie w Afryce Północnej? Prawdopodobnie głównie z terenów dzisiejszej centralnej i południowej Polski między Wisłą, a Odrą. Na początku V w. n.e. pojawiające się dotąd na marginesie dziejów plemiona Wandalów opuściły północne peryferia znanego świata, by wspólnie ze sprzymierzeńcami szukać niepewnego szczęścia na terenach Cesarstwa Rzymskiego.

Wyobraźmy sobie, że dzisiaj w Polsce, z powodu zagrożenia ze wschodu, prawie wszyscy pakujemy co się da do samochodów, zostawiamy swoje domy i ruszamy w drogę bez powrotu. Zabieramy ze sobą,

dla towarzystwa i bezpieczeństwa, większość Czechów oraz Węgrów, z którymi przez Niemcy i Francję (sporo paląc i rabując po drodze) docieramy do słonecznej Hiszpanii. A stamtąd, po dwudziestoletnim, pełnym krwawych walk postoju, przeprawiamy się przez Cieśninę Gibraltarską i jedziemy dalej przez Maroko i Algierię, aby w końcu, po pacyfikacji miejscowej ludności, założyć nowe państwo w Tunezji. Dziś brzmi to jak fantastyka (i niezły pomysł na książkę), ale ponad 1,5 tysiąca lat temu taka była rzeczywistość. Tyle, że wtedy przemieszczano się drogami gruntowymi na wozach zaprzężonych w woły, brakowało też parkingów, stacji benzynowych i supermarketów. Dopiero takie spojrzenie pokazuje prawdziwą skalę tamtego przedsięwzięcia.

Doprowadził tam Wandalów – do żywej Afryki i do szczytu potęgi – król Gezeryk (Genzeryk, Gejzeryk), jeden z największych władców epoki (co, przynajmniej, oznaczało wówczas również krwawego, zdrazieckiego

politycznego bandytę). Rozbijając rzymskie armie i wyprawy odwetowe, Wandalowie zagarnęli najcenniejsze ziemie cesarstwa, "spichlerz Rzymu", by łupić je dalej pirackimi rajdami – sięgającymi od atlantyckich wybrzeży Hiszpanii, poprzez Italię, po Grecję i Wyspy Egejskie. Ukoronowaniem tej niezwyklej, bo odbytej w ciągu jednego pokolenia (!), epopei było zajęcie i splądrowanie w 455 r. samego Rzymu (stąd dzisiejszy "wandalizm", choć był to zwyczajny w tamtych czasach rabunek, nie bezmyślne niszczenie). A imię Wandalów wypowiedano w Wiecznym Mieście oraz w Konstantynopolu ze strachem.

Stare dzieje. Niecałe sto lat później barbarzyńscy najeźdźcy z północy przeobrazili się już w dużej mierze w zamożnych, władających łaciną posiadaczy ziemskich. Wciąż jednak dalekich od udanej integracji ze swoimi libijskimi (romańsko-punickimi) poddanymi, od których

różniły ich także, a może przede wszystkim, kwestie religijne (ariańska odmiana chrześcijaństwa). Początkowy impet militarny, budzący postrach w całym basenie Morza Śródziemnego, osłabł, a polityka wewnętrzna państwa znalazła się w ślepym zaułku. Wandalowie płacili również wysoką cenę na scenie polityki "międzynarodowej" za swój spektakularny sukces – wandalska Kartagina stała się solą w oku każdej władzy w cesarstwie.

Ostatnie dni królestwa Wandalów obfitowały w dramatyczne wydarzenia, które szczęśliwym trafem doczekały się swojego kronikarza w postaci bizantyńskiego oficera i historyka, Prokopiusza z Cezarei¹. Jego dzieła o wojnach (i nie tylko) zajmują poczesne miejsce na półkach badaczy tego okresu. Prokopiusz, jak sądzą niektórzy, czerpał swoje informacje o dziejach Wandalów bezpośrednio od samych zainteresowanych. Z pewnością mieli później wiele czasu na dyskusje w wojennych obozach sławnego

generała Belizariusza. A może Prokopiusz trafił pośród nich na godnego siebie rozmówcę? Zobaczmy...

*Wandalowie, odkąd zawładnęli Libią, [...] spędzali
czas w teatrach i na hipodromach, i na innych
przyjemnościach, a ponad wszystko na polowaniach.
[...] Wydawali wiele przyjęć i wszelkie sposoby
uprawiania miłości były u nich w wielkiej modzie.*

Prokopiusz z Cezarei, "Historia wojen"
przekład własny z tłum. ang.

*Tłum jej kochanków czekał w holu
Słyszałem ich jak drapią w drzwi
Próbowałem mówić jej o Marksie i Engelsie,
aniołach i o Bogu
I po co - nie odpowiem ci
Lecz dobrze było jej we wstążkach
[...] Kwiaty na kolczastym drucie*

Sisters of Mercy, "Ribbons"
przekład własny

KRAJ, NA KTÓRY BÓG SIĘ ROZGNIEWAŁ

*Z wiecznej puszczy Silingii, z gęstej kniei nad Oderą i Vistłą.
Przez mroczne, spragnione krwi lasy Germanii. Przez
urodzajną, ale nieprzyjazną Galię. Przez niespokojną, spaloną
słońcem Hiszpanię. Do zielonych oliwkami, wyzłoconych
zbożem dolin Libii, Afryki i Numidii². A potem znów dalej,
przez morze. Nieśliśmy przez świat pochodnię Twojej
prawdziwej wiary. Ufając, że dasz nam zwycięstwo. Złoto
Iberii, złoto Grecji, złoto Rzymu. Złoto i wieczną sławę.
Wznieśliśmy Wieżę Babel na piaskach pustyni, myśląc,
że stawiamy ją na Twojej skale w ziemi obiecanej. A dziś
nie został z tego kamień na kamieniu.*

*Gdzie mamy płynąć, królu, z naszym wojskiem? –
spytał kiedyś ponoć kapitan okrętu. Ku krajowi, na który
Bóg się rozgniewał – odpowiedział Gezeryk. A dziś
rozgniewałeś się, Boże, na nasz kraj.*

miłości i sztuka kochania

wczesna wiosna 530 roku



Bam-bam... bam-bam... bam-bam... brzmiał stuk bębenków powolny niby bicie serca, a rozmyte cienie drgały w rytm na kamiennych ścianach wypełnionej słodkim zapachem piwnicy. Dwie wciśnięte w szczeliny pochodnie oświeślały wąskie pomieszczenie, okopcając wysoko sklepiony sufit. Opuszczona, wykuta w skale cysterna, do której prowadziły niknące w mroku schodki. Tym razem jednak ktoś był w środku. Dwie

zakapturzone postacie w długich, jasnych szatach stanęły z tyłu z przewieszonymi przez ramiona małymi bębenkami, w które uderzały lekko w powolnym, ospałym rytmie. Bam-bam... bam-bam... bam-bam... Trzecia, drobniejsza, zatrzymała się na środku cysterny, nucąc półgłosem długą litanie niezrozumiałych słów. Głos z całą pewnością należał do kobiety, raczej młodej niż starej, lecz wypowiedane wyrazy, zamiast wznosić się, opadały na kamienną posadzkę, jak gdyby miały setki, a może i tysiące lat. A dalej, w mroku, stał chyba ktoś jeszcze. Pod ścianą, w głębi pomieszczenia, tkwiła nieruchomo potężna, rogata sylwetka.

Kobieta umilkła i postąpiła w cień. Uklękła przed roslým, połyskującym złoto starcem z długą, miedzianą brodą i wielkimi, zakręconymi w spiralę baraniami rogami. Stał nieruchomo, wyciągając ręce przed siebie, jakby błogosławił ułożone poniżej, na wygasłym palenisku, grube wiązki chrustu i trudno było powiedzieć, czy tkwi tak nieruchomo pod pokrywą złotej

farby, czy to jedynie spiżowy posąg. Klęcząca trzykrotnie dotknęła czołem posadzki, a spod jej kaptura wysunęły się długie, zaskakująco jasne włosy. Wstała, schyliła się w mrok i wyjęła ukryty w ciemnej niszy duży, wiklinowy kosz. Bam-bam... bam-bam... Rytm bębenków nieznacznie przyspieszył, a grający sięgnęli po zawieszone na szyjach piszczałki. Dmuchnęli lekko, delikatnie, wydobywając głębokie tony na progu słyszalności. Kobieta postawiła kosz obok paleniska, odsunęła okrywającą go serwetę i, przyklękawszy, wsunęła dłonie do środka. Dźwięk piszczałek zmienił się w cichą, zawodzącą melodię. Kobieta wyjęła z kosza małe zawiniątko i uniosła ku posagowi ciasno owinięte białym płótnem niemowlę. Ostrożnie położyła śpiące, a może już martwe dziecko na chruście pod błogosławiącym spojrzeniem spiżowego starca i delikatnie pogłaskała je po główce. Cofnęła się i uklękła przed rogatym posagiem. Zaczęła cicho śpiewać lekko ochrypłym głosem w jakimś niezrozumiałym języku, a słowa, choć w innej melodii, spłotyły się z dźwiękiem

bębenków i piszczałek w jedną, wspólną muzykę, w której co jakiś czas powtarzało się gardłowe Baal Hammon, Baal Hammon, Baal Hammon... Bam-bam-bam-bam... Muzycy przyspieszyli transowy rytm.

Nagle kobieta urwała śpiew. Podniosła się i podwinęła rękawy. Zdjęła ze ściany jedną z pochodni, uniosła ją wysoko do góry i pochyliła w stronę jarzącego się ognistym odblaskiem starca. Wyciągnęła przed siebie drugą rękę i przytknęła do niej pochodnię. Powoli, od dłoni ku ramieniu i z powrotem, zaczęła przesuwac rękę przez ogień. Nie skrzywiła się nawet, a płomień zdawał się nie pozostawiać śladów na jej skórze. Jeszcze raz uniosła pochodnię w górę i rzuciła ją na palenisko, które momentalnie buchnęło jasnym ogniem.

Niemowlę drgnęło, otworzyło oczy i wykrzywiło się w płaczu, ale wibrujący dźwięk piszczałek i huk bębenków zagłuszyły wszystkie dźwięki. Dziecko drgało przez chwilę pośród

strzelających płomieni, aż zastygło czerwone, czerniejące w skurczu, który wydawał się upiornie wesołym uśmiechem. Cysterne wypełnił tłusty, śmierdzący dym. Płomień zaczął powoli przygasać i wtedy posąg drgnął. Rogaty starzec uniósł ręce wyżej, w stronę kobiety i muzyków i postąpił krok naprzód. Melodia opadła ponownie w ciche, powolne tony.

– Bądź pochwalony, Panie Obu Rogów! – pochyliła głowę kobieta.

– Fenano... – głęboki głos, choć dźwięczał spiżem, był po ludzku chrapliwy.

– Jestem i służę.

– Ty ostatnia mi służysz.

– Do końca moich dni, panie.

– Do końca naszych dni, Fenano.

– Co jeszcze możemy zrobić, panie?

– Elohim i jego żydowski bękart mają wrogów.

– Pokonał Jupitera, pokonał Słońce, które miało być niezwyciężone... – bezradnie pokręciła głową.

– Oni walczyli z jego wiarą. Ja będę częścią jego wiary.

– Jak, panie?

Ale posąg nie odpowiedział, zastygły ponownie w bezruchu.

– Rogaty Pan jest coraz słabszy – westchnęła ze smutkiem i rozkaszała się od cuchnącego dymu. – Możecie już iść – krztusząc się, machnęła ręką w stronę muzyków.

Przerwali grę, skłonili się posągowi i, kaszląc, zniknęli na kamiennych schodkach. Kobieta przyklęka nad paleniskiem. Poglaskała zwęglone szczątki po szerniałej, szczerzącej bezzębne dziąsła główce i delikatnie przeniosła je z powrotem do kosza³.



Popołudniowe słońce uśpiło pałac na wzgórzu, uśpiło ceglano-białe miasto poniżej, uśpiło morski port, ulice, kościoły⁴. Nawet przekupnie na straganach zwinęły towary i zniknęły w cieniu bram. Praczki rozłożyły pranie nad przepływającą pod wzgórzem rzeczką, by wyschło na słońcu i schowały się pod drzewami. Tylko mewy krążyły wytrwale wokół małej latarni morskiej na przybrzeżnym pagórku, skrzeczały nad wyludnionym teraz nadbrzeżem, nad pękatymi kupieckimi żaglowcami, nad smukłymi patrolowymi liburnami, nad paroma nowoczesnymi dromonami⁵ floty królewskiej. Daleko, na wodach zatoki, kołysały się sennie łodzie rybaków. Gdzieś zza drzew, od szerokiego ujścia rzeki Ubus, niosły się śmiechy dzieci korzystających z przerwy w pracy. Hippo Regius – Hippona – przez chwilę, dawno temu, stolica królestwa, dziś tylko siedziba komesa i biskupa, duży lecz prowincjonalny port. Miasto kupców, księży, złodziei

i prostytutek. Jak większość afrykańskich miast. Owszem, miało też łaźnie, teatr, niewielki cyrk i paru średniej klasy poetów, ale więcej ludzi widywało się na wyścigach pod miastem, niż na dobrej tragedii. Cóż, prawdziwe życie toczyło się teraz w Kartaginie. Oczywiście, jeśli komuś nie przeszkadzał zgiełk, ostentacyjne bogactwo i dworskie intrygi. Hippona mogła być pod tym względem miejscem wytchnienia. No, przynajmniej do pewnego stopnia.

Beketar ocknął się z zadumy i odszedł od okna. Kamienne ściany pałacu dawały trochę chłodu nawet w tym zaniedbanym skrzydle, gdzie mieściła się kancelaria poczty królewskiej. Właściwie, był to tylko odrapany pokój na tyłach budynku przylegający do równie odrapanej sypialni i zastawiony stołami pełnymi przeróżnych papierów. Ale poczta królewska lepiej działała na zapleczu, a królewscy agenci⁶ nie potrzebowali się afiszować. Zza sceny widać więcej niż z widowni, jak czasem powtarzał sobie Beketar, gdy

podczas rzadkich, zimowych deszczy woda lała mu się z sufitu na dokumenty wagi państwowej, niedokończone raporty, schowane pod nimi nieco podejrzane pisma i traktaty oraz wałającą się wszędzie zwykłą, choć czasem wierszowaną, pornografię. Jednak przynajmniej panował tu zwykle względny spokój. Tylko czasem na górze, z poddasza, chałasowały gołębie pocztowe i obsrywały kancelaryjne parapety. W sumie, nie było źle.

Beketar był przystojnym, wysokim mężczyzną w średnim wieku. Jasna broda, niebieskie oczy i opalenizna upodobiały go trochę do Maura⁷, jednak, zamiast tutejszego luźnego stroju lub rzymskiej tuniki, miał na sobie spodnie i wzorzystą koszulę z dobrego materiału. Strój barbarzyńców z północy w rzymskich murach punickiego miasta w mauryjskiej Afryce. Tak, tak... – pokiwał w zamyśleniu głową. Z rzymskiej mody przyjęły się wśród Wandalów głównie krótsze fryzury, gładkie policzki i wille pod miastem. A! I jeszcze zrabowane w Rzymie posągi. Uniósł przed siebie dłoń

i przez chwilę obserwował jak słońce liże pierścienie na jego palcach. Ten ze złota, z kamieniem – wystarczająco ostentacyjny, by nie uchodzić w pałacu za łachmytę i tylko temu służący – nosił na drugiej ręce. Tu, również złoty, błyszczał zaś prosty sygnet z galopującym gdzieś jeźdźcem – magiczny pierścień otwierający każde drzwi, symbol poczty królewskiej. Jeździec pędził przed siebie, ściskając coś w ręce, a jego koń galopował, nie dotykając ziemi. Pewnie uciekali przed złocistym wężem. Stary, wytarty owinał się wkoło drugiego palca, grzejąc w słońcu swoje blade łuski. Lecz, zamiast ścigać zdobycz, on postanowił pożreć własny ogon.

Beketar westchnął, opuścił dłoń i omiótł wzrokiem zawalone papierami stoły. Przy jednym z nich w skupieniu pracował ubrany w przybrudzoną tuszem tunikę drobny, łysiejący mężczyzna o sympatycznej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy. Beketar niedbale przerzucił parę pergaminów spośród sterty zwojów, map i dokumentów.

– Zrób sobie przerwę, Jonatesie – powiedział. – Przyślę po ciebie po południu.

– Myślisz, że dzisiaj przyjdzie? – spytał mężczyzna, nie odrywając wzroku od pergaminu. – W ten sposób nigdy tego nie przetłumaczę.

– Dziękuję za cenną uwagę – rzucił z sarkazmem Beketar. – A teraz już idź.

– Tak, mój panie – Jonates odłożył pióro. – Czy dostanę jakiś dodatek na kulturę, by nie wracać za wcześnie?

– Masz – Beketar rzucił mu monetę. – Tylko nie ukulturalnij się za bardzo. Jutro musimy wysłać raport do Kartaginy.

– Jak sobie życzysz, mój panie – skłonił się Jonates. – Miłej pogawędki. Chyba, że znów wystawi cię do wiatru.

– Kiedyś przeholujesz i wyślę cię do pracy w polu albo sprzedam – pogroził mu palcem Beketar.

– Wszystko w rękach Najwyższego – uśmiechnął się Jonates, wychodząc.

Beketar sięgnął po stojący w kącie dzban, napełnił kubek rozcieńczonym winem i zasiadł w drewnianym fotelu. Przymknął oczy. Zdążył chwilę się zdrzemnąć, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wstał bez pośpiechu, przeciągnął się i poszedł otworzyć. Uchylił drzwi, wyglądając na zewnątrz, ale ktoś z drugiej strony pchnął mocniej, otwierając je na oścież. Przepuścił wysoką kobietę w bogatej sukni wandalskiego kroju ze zdecydowanie niewandalskim głębokim dekoltem ozdobionym, między innymi, złotym naszyjnikiem. Miała przystojną twarz o ostrych rysach okoloną misternie zaplecionymi, czarnymi jak u Libijki włosami. Była mniej więcej w jego wieku, co dla większości kobiet pod ostrym afrykańskim słońcem oznaczało kolejne zmarszczki i wnuki na kolanach, czasem jednak słońce przegrywało z urodą. Coś w jej oczach mówiło jednak, że nazywanie jej ładną jest równie sensowne, co określanie polującej lwicy miłym kociakiem. Nalała sobie wina, jakby była u siebie, i usiadła na rogu stołu, zakładając nogę na nogę. Bardzo długą, bardzo

nieskromnie odsłoniętą nogę. Beketar zamknął drzwi na klucz. Po pokoju rozniósł się słodki zapach perfum.

– Witaj, Brunfrido – odezwał się gardłowym głosem, nie odrywając oczu od jej nóg.

– Dzień dobry, wasza dostojność⁸. Jak minęła podróż ze stolicy? – patrzyła na niego z uśmiechem spod przymkniętych powiek.

– Nie dość szybko – podszedł i położył dłoń na jej kolanie. – Wczoraj wieczorem czekałem na ciebie godzinę – dodał z wyrzutem.

– Tak krótko? Byłam zajęta – uśmiechnęła się zalotnie.

– Przedwczoraj też – mruknął, przesuwając rękę wyżej pod jej sukienkę.

– Mhmm... – zamruczała. – Coś mi wypadło. Pewnie masz dużo pracy.

– Praca poczeka – szepnął jej do ucha.

– Stęskniłam się za tobą – szepnęła i ugryzła go w ucho.

Nie odpowiedział, zajęty jednocześnie całowaniem jej szyi, pieszczaniem między udami i rozpinaniem swojego pasa.

– Znowu słyszałam plotki o tej twojej Ostrogotce.

Brunfrida siedziała na stole, machając nogami, ubrana tylko w złoty naszyjnik. Dookoła po podłodze wały się zrzucone z blatu pergaminy.

– Wszyscy słyszeli to już ze sto razy – wzruszył ramionami. – Parę lat temu huczała o tym cała Kartagina.

– Niemniej, to przykre.

– Czy ja wiem? Życie – znów wzruszył ramionami Beketar.

Również nagi, starał się pozbierać porozrzucane dokumenty.

– Uciekła z jakimś bogatym Maurem i większością

moich pieniędzy. I tak słabo nam się układało.

– Albo plotka urosła, albo wyjątkowo łagodnie ją osądzasz. Bardzo ją kochałeś? – spytała tonem, jakim pyta się o pogodę.

– Nie za bardzo – odparł spokojnie, odkładając papiery na stół.

– Kłamca! – uszczypnęła go. – Co się z nią stało?

– Podobno zmarła dwa lata temu. Niektórzy twierdzą, że wcześniej przeszła na katolicyzm i została mniszką. Nie wiem, czy by mnie to zdziwiło.

– Nie widziałeś jej potem? – zainteresowała się.

– Nie. Po co? – rozprostował jakiś pomięty dokument.

– Sama nie wiem. Ale mnie mógłbyś kiedyś odwiedzić, jak już z tobą skończę – uśmiechnęła się wesoło.

– Nie, to ja skończę z tobą – z uśmiechem pogłaskał ją po udzie.

– Dobrze. Ale na razie chodź tu do mnie, mój alański

rozpustniku – przyciągnęła go do siebie.

– Postaraj się tym razem nie zrzucić pergaminów, niewyżyta Wandalko.

– Pfff... Pergaminy! Na co komu one? Chociaż te z rysunkami nawet mi się podobały. Zróbmy to teraz tak jak na tej ostatniej rycinie.

– Do usług szlachetnej pani – przyklęknął przed stołem z brodą między jej udami.

– Widziałem wczoraj na mieście twoją córkę – Beketar podniósł rzucone na fotel spodnie.

– Rodelindę? – Brunfrida wciągnęła suknię przez głowę. – I co u mnie? – spytała spod fałd materiału.

– Nawet nie odpowiedziała na moje pozdrowienie, ale wyglądała dobrze – usiadł na krześle i zaczął wciągać spodnie.

– Tak, to w jej stylu – wysunęła głowę. – Gardzi mną, gardzi wujem, gardzi całym dworem. Głupia gówniara.

– Mogłabyś w końcu spróbować się z nią dogadać.

– Nie wtrącaj się, Beki. To ta libijska wiedźma, moja teściowa, tak namieszała jej w głowie. Mam nadzieję, że smaży się teraz w piekle – wykrzywiła nieładnie usta.

– To nie twoja sprawa. Muszę już iść – pogłaskała go po policzku.

– Do Oktawiana czy do Alamunda? – spytał z krzywym uśmiechem.

– Zazdrosny?

– Trochę. Ale przecież i tak zrobisz, co będziesz chciała – westchnął.

– Oczywiście. Idę, bo muszę zająć się synem – wyjaśniła, poprawiając sukienkę.

– Frido, on jest już dorosły. Koledzy się z niego śmieją – Beketar wstał, dopinając pas.

– Przestaną się śmiać, gdy zostanie komesem⁹ – odparła

poważnie. – Widziałeś gdzieś moją spinkę?

– Leży na mapie Sycylii. Wysoko mierzysz.

– Przeszkadza ci to?

– Twoja sprawa – pokręcił głową. – Twój syn to sympatyczny chłopak.

– Tak, ma to po ojcu. Może kiedyś z tego wyrośnie.

– Po którym ojcu? – uśmiechnął się.

– Nie pozwalaj sobie, Bekaterze – zmrużyła oczy. – To, że pozwalam ci się posuwać nie znaczy, że możesz być bezczelny.

– Sama wiesz, co niektórzy gadają – wzruszył ramionami. – Że to syn księcia¹⁰ Gibamunda.

– Sama rozpuściłam te plotki. Niestety, jest synem mojego nedorobionego męża – skrzywiła się. – Ale niech gadają. Kiedyś przyda mu się bycie "synem" księcia.

– Wiesz? – uśmiechnął się kpiąco. – Czasami prawie cię podziwiam.

– Mądry chłopiec – podniosła spod stołu i rzuciła mu jego koszulę.

– Usiądź jeszcze na moment – poprosił. – Coś ci przeczytam. Spodoba ci się.

Zawahała się.

– No, dobrze. Byle krótko – usiadła w fotelu.

Beketar przez chwilę szukał czegoś między papierami. W końcu rozwinął zwój. Odnalazł właściwy fragment.

– Posłuchaj tego! – nabrał powietrza. – *Piękne! pominąc o starości / wyzyskujcie każdą chwilę. / Czeką was, gdy zapragniecie / szczęścia i upojen tyle... // Płyną lata, niby fale... / Woda nie wraca do źródła. / Kobiety co dziś są piękne, / jutro będą - stare pudła. // Dziś odtrącają kochanków / nieprzejednanie i hardo. / Kiedyś - same opuszczone / obdarzone będą wzgardą. // Wspomną wówczas jak się nocą / do ich domów dobijano. / Jak na progu znajdowały / kwiaty wonnych róż co rano. // Dziewice! dopóki pora, / życie*

szczęściem i rozkoszą. / Kochankom się nie odmawia / tego, o co grzecznie proszą. // Czyż pochodnia traci światłość, / gdy się nią inną zapali?/ Czyż kto lęka się wyczerpać / wodę z Oceanów fali? // Czyż może danie miłości / wyczerpać czułą kochankę? / Czyż wyczerpuje Ocean, / gdy wziąć z niego wody szklankę? // Nie doradzam wam rozpusty, / lecz podkreślam z całą siłą, / iż szafowanie miłością / nikogo nie zubożyło¹¹ – zakończył. – Co o tym myślisz? – uśmiechnął się. – Co ty? Śpisz, Frido?! – uniósł brwi.

Brunfrida drzemała w fotelu z otwartymi ustami. Beketar westchnął i odłożył zwój. Podeszedł do fotela i nachylił się do jej ucha.

– To może to? – szepnął. – *Kobieta – jak kamienica / i od tyłu i od frontu / jeżeli już jest zniszczona, / dopomina się remontu...*¹²

– Co, co? – drgnęła. – Mówiłeś coś, Beki? Przepraszam, musiałam się zdrzemnąć – przeciągnęła się. – Strasznie jestem zmęczona. Cholera, naprawdę muszę już iść – westchnęła, wstając.

- Kiedy znów się zobaczymy? – spytał z kwaśną miną.
- Jutro?
- Trzy dni temu też tak mówiłaś – skrzywił się.
- Dobrze, niech będzie za trzy dni, panie naczelniku – uśmiechnęła się.
- Czyli za tydzień – pokręcił głową, zamykając za nią drzwi.
- Brat prosił, żebyś pilnie do niego zajrzał! – rzuciła jeszcze z korytarza.



Kancelaria komesa była przestronną, jasną salą z dużymi oknami wychodzącymi na główny dziedziniec. Przy stołach pracowało kilku ubranych w rzymskie tuniki sekretarzy czytających, bądź zapisujących jakieś dokumenty. Beketar dał znak by nie przerywali pracy i ruszył prosto do drzwi, pod którymi stało dwóch

uzbrojonych strażników. Na widok naczelnika jeden z nich uchylił drzwi i zajrzał do środka. Po chwili otworzył je szerzej, robiąc przejście.

– Komes czeka, Beketarze.

– Dzięki – uśmiechnął się naczelnik. – W jakim jest dzisiaj humorze? – szepnął, przystając.

– W niezłym – odparł szeptem gwardzista. – Jeśli nie przypomina mu się o Maurach, podatkach, remoncie floty i wielmożnym Alamundzie, to w niezłym.

Beketar z uśmiechem pokiwał głową. Wszedł do bogato lecz nieco bez gustu urządzonej sali z dużymi oknami i łbami zwierząt na ścianach. Wisiała tam nawet czaszka słonia z lśniącymi kłami. Przy masywnym, rzeźbionym stole siedział, wodząc palcem po rozwiniętym zwoju, dostatnio ubrany siwowłosy mężczyzna.

– Ach, Beketar! Brunfrida cię znalazła? – wstał od stołu by się przywitać. – Witaj, mój drogi. Wina?

Komes Farager dobiegał już pewnie pięćdziesiątki, trzymał się jednak prosto. Miał zmęczoną twarz o ostrych rysach, nieco tylko zeszpeconą bliznami po ospie, i od razu widać było uderzające podobieństwo do Brunfridy. Nosił się tradycyjnie po wandalsku, ale w najlepszych materiałach z ostentacyjnymi złotymi spinkami.

– Dzień dobry, Faragerze. Z twojej piwnicy nigdy nie odmawiam.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli przy stole. Komes przywołał służę i po chwili pojawiło się wino.

– Jak tam śledztwo w sprawie zaginionych dzieci? – zagał Farager.

– Na razie nic nowego – zasepił się Beketar. – Mam wrażenie, że niektórzy z rodziców coś wiedzą, ale boją się mówić.

– Póki sprawa dotyczy miejscowej biedoty, powiedziałbym, że nie ma pośpiechu. Ale zdaje się,

że nasz drogi biskup jest innego zdania. Chce zacząć własne dochodzenie.

– To nie jest sprawa Kościoła – skrzywił się Beketar.

– Jego ekscelencja twierdzi inaczej. Mówi, że to sprawka sił nieczystych – czarownice, strzygi i te sprawy. I prawdę mówiąc, trochę trudno mi z tym dyskutować przy twoim braku postępów i lepszych tropów.

– Pewnie, najłatwiej rzucić wszystko na czarownice – obruszył się naczelnik.

– A te znaki rogatej głowy, które znajdujemy? Czy to nie ty mówiłeś kiedyś, że najlepsze są najprostsze wyjaśnienia?

– Nie, to Arystoteles – burknął Beketar.

– Nie przypominam sobie – zmarszczył czoło Farager. – Znam go?

– Tak – westchnął naczelnik. – To ten Grek, który sprzedaje nam jedwab.

– Aha, no tak... – komes nie zauważył kpiny. – W każdym razie, myślę, że powinienes pogonić swoich ludzi do roboty, nim nasz przyjaciel biskup cię uprzedzi. Trochę głupio by to wyglądało.

– Tak, tak zrobię – zmarszczył brwi Beketar. – A jak tam twoja lektura, Faragerze? – zmienił temat.

– *De-bel-lo-Ga-l-li-co* – przesylabizował komes. – Ech, zachciało mi się na stare lata nauki – pokręcił głową. – Ale sam wiesz, żona od lat suszyła mi głowę, że w dobrym towarzystwie wypada umieć czytać. No to czytam.

– Dobrze, to ciekawe – uśmiechnął się naczelnik.

– Gówno tam dobrze. Jestem komesem i od czytania to ja mam sekretarza. Niestety, nie jesteśmy już tymi Wandalami z dawnych czasów, Beketarze – westchnął. – Ten woli doglądać plantacji, tamten pisać wiersze, inny jest kamieniarzem i potrafi walczyć tylko dłutem. Niektórych, mimo królewskich nakazów, nie stać już nawet na włócznię. A ja uczę się czytać jak jakiś

Rzymianin. Świat staje na głowie.

– Chyba trochę przesadzasz, Faragerze. Mój syn mógłby teraz robić karierę na dworze, a on woli być kapitanem okrętu. Nie zgnuśniliśmy aż tak bardzo.

– Mówisz tak, Beketarze, bo sam nigdy nie zwoływałeś wojska. Skoro jest tak dobrze, to czemu nie możemy poradzić sobie z Maurami? Kiedyś trzymaliśmy ich krótko, a dziś tracimy miasto po mieście. Może powinniśmy pomyśleć o odbudowaniu murów, które kiedyś zburzyliśmy¹³.

– Odważny pomysł, ale wiesz, co powiedzą ci mądrale ze stolicy – pokręcił głową Beketar. – Prawdziwi Wandalowie nie kryją się za murami – wyrecytował podniesionym tonem.

– A, właśnie! Co tam słyszać w Kartaginie?

– Cóż... Nic nowego, stare niesnaski. Król pozbył się z dworu Gotów, ale wielu wciąż nie w smak jego polityka. Gadają – Beketar ściszył głos – że Hilderyk¹⁴

nie jest prawdziwym Wandalem i arianinem. Że bardziej sobie ceni pokrewieństwo z rodziną cesarską, niż dziedzictwo Wandalów. A ksiązę Gelimer otwarcie mówi, że jak zostanie seniorem rodu i królem¹⁵, przywróci tradycyjne wartości. Pewnie takie, jak rzucanie katolików lwom na pożarcie¹⁶ – skrzywił się. – Mam wrażenie, że Hilderyk przestaje nad tym panować.

– Gelimer to głupiec – prychnął komes. – Dzielny wojownik, trzeba przyznać, ale nie nadaje się do polityki. Żle z nami będzie, gdy zostanie królem.

– Też tak myślę – Beketar dał znak, że mówią za głośno.
– W Cesarstwie lepiej mieć przyjaciela, niż wroga. A katolicy? Skoro przez sto lat nie udało się ich stąd wyplenić, to teraz się uda? Nie można w nieskończoność walczyć we własnym kraju, to nas osłabia.

– Tylko powiedz mi, Beketarze – komes również ściszył głos – czemu Hilderyk znów nie chce sam objąć dowództwa nad armią? Już nawet tutaj niektórzy rozpowiadają, że król jest tchórzem i starym niedołęgą –

zmarszczył brwi.

– Cóż... Hilderyk ma już swoje lata.

– Gadanie! Jego dziad, Gezeryk, miał ósmy krzyżyk na karku, a jeszcze gromił Rzymian. A dzisiaj król tylko wysyła zastępców i przegrywamy wojnę we własnym kraju – odparł z przekąsem Farager. – Kampania w Byzacenie już ruszyła¹⁷? Posłałem im prawie pół tysiąca ludzi z moim synem. Oni tam, w Kartaginie myślą chyba, że u nas nie ma zbuntowanych Maurów! Nie podoba mi się to wszystko – westchnął komes.

– Ruszyła, ruszyła – pokiwał głową Beketar. – Cóż, pytałeś co słychać w stolicy. A tutaj? Coś nowego?

– Pytasz o walki? Rozbiliśmy parę mauryjskich band i wyparliśmy ich z powrotem w góry. Ale wrócą. Potrzebujemy więcej wojska.

– Może jak się skończy kampania na południu...

– Jak pustynia zamarznie – pokręcił głową komes. – Ale, ale! Zapomniałbym! W przyszłym tygodniu

urządzam małą ucztę w rzymskim stylu. Będą biskupi, tysięcznicy¹⁸, dekurioni i jeszcze parę osób. Oczywiście jesteś zaproszony.

– Dziękuję, na pewno przyjdę. Którzy biskupi? – zainteresował się Beketar.

– Masz na myśli, czy zaproszę też katolików? Jego ekscelencja robi się zielony, gdy nazywam jego katolickiego odpowiednika biskupem. Ale chyba tak. Gelimer nie jest jeszcze królem. Mam też do ciebie małą prośbę, Beketarze.

– Tak?

– Ta sprawa z wyrokiem banicji. Nie mam kogo tam teraz posłać. Może mógłbyś się tym zająć? W sumie to również twoja działka.

– To kawał drogi. – westchnął Beketar. – Mogę, skoro prosisz. Ale podobno wrócił już Alamund? Może on?

– Wrócił – również westchnął komes. – Ale znasz go. Prędzej się ciężko pochoruje, niż zajmie się jakąś

niepopularną robotą.

– Nie miał patrolować gór?

– Miał.

– I...?

– Powiedział, że jest już spokojnie i że zostawił dobrego zastępcę.

– Nasz tysięcznik nie potrafi przeżyć paru tygodni z dala od dworu – pokręcił głową Beketar. – Nie możesz załatwić, by wysłali go gdzieś daleko, na przykład na Baleary?

– Nie przy jego koneksjach w Kartaginie. Przecież wiesz, że przyjaźni się z kuzynem króla.

– Na układy nie ma rady – westchnął Beketar. – Zajmę się tą sprawą banicji. Twoje zdrowie, Faragerze.

Gdy tylko zamknęły się drzwi za Beketarem, wrócił służący.

– Prosić panią Brunfridę? – spytał komesa.

– Tak, tak – machnął ręką Farager i wrócił do lektury. – Wen... cyn... Wencyn – zaczął wodzić palcem po zwoju.

– Ge... to... ryks... Wencyget... Wencynryks... Cholera!

– odsunął się ze złością na krześle i poszedł dolać sobie wina.

Po chwili do sali weszła Brunfrida.

– Był? – spytała bez wstępów, siadając przy stole.

– Był – potwierdził komes. – Zrobiłem tak jak radziłaś. Postraszyłem biskupem, wyróżniłem zaproszeniem na ucztę i poprosiłem, by pojechał w teren do czarnej roboty. Co ja bym bez ciebie zrobił, siostro? – uśmiechnął się.

– Kozy byś paś – mrugnęła do niego z uśmiechem. – Alamund będzie wdzięczny, że ma z głowy tę robotę, a Beketarowi dobrze zrobi trochę ruchu na świeżym powietrzu.

– Dobrze byłoby jakoś się ich pozbyć – spochmurniał

Farager. – Nie mogę już patrzeć na tego bufona Alamunda! A Beketar albo nic nie robi, jak z tymi zaginionymi dziećmi, albo wtyka nos tam gdzie nie trzeba. Wymyśl coś.

– Nie, Fari – roześmiała się Brunfrida. – Pomyśl! Alamund ma dojścia na dworze, które mogą nam się przydać. Jakoś go ścierpisz. A Beketara bardziej interesują stare papirusy, niż nasze sprawy i nie chcemy wymieniać go na kogoś bardziej wścibskiego.

– Tak, tak – skrzywił się Farager. – Jak zawsze masz rację. To co? Skoro wszystko załatwione, wybrałbym się na lwy. O! Mogę wziąć ze sobą Alamunda. Dla tych relacji – ucieszył się z własnego pomysłu. – A jak będę miał szczęście, to rozszarpie go jakiś lew – roześmiał się.

– Fari! – pogroziła mu palcem. – Mieliśmy zająć się sprawą pieniędzy na remont okrętów.

– Zrób to sama, Frido – podszedł i pocałował ją w policzek. – Ja też potrzebuję trochę ruchu na świeżym powietrzu.



– Aktulf syn Holeberta? – spytał Beketar, zsiadając z siodła.

Jego dwaj towarzysze pozostali na koniach, objeżdżając z dwóch stron stojącego kilkanaście kroków dalej, przed domem, mężczyznę. Obaj ogoleni na łyso, ze złamanymi nosami i długimi brodami, jeden czarną, drugi jasną; obaj o aparycji zbójów. Nie wyciągnęli mieczy, ale sprawiali wrażenie ludzi potrafiących w razie czego poradzić sobie równie dobrze wielką pięścią.

Mała chata z nieociosanych kamieni, przed którą się zatrzymali, miała zapadnięty dach. Stała na końcu zielonej doliny, tam gdzie żyzna ziemia stawała się kamienista i sucha. Widoczne w dali białe i dostatnie gospodarstwa pełne były przedpołudniowego ruchu, lecz tu tylko wiatr ospale trącał marne, przesuszone zborze i dwie osowiałe kury za koślawym płotem. W zbitych z paru krzywych desek drzwiach

chałupy stała smutna kobieta o zmęczonej twarzy. Zza jej pełnej łąt sukienki wyglądały przestraszone twarze czwórki dzieci. Ponury, brodaty mężczyzna w przewiązanej powrozem koszuli i podartych spodniach zatrzymał się pośrodku zaniedbanego podwórza.

– Aktulf syn Holeberta? – powtórzył Beketar.

– To ja – burknął mężczyzna, lustrując ich spode łba i zacisnął dłoń na zatkniętym za sznur długim nożu.

Pozbawieni przez los swych patronów wyzwolenicy, pechowe ofiary królewskich represji, nieślubne lub po prostu nazbyt liczne dzieci na dzielonej nie wiadomo po raz który ojcowiznie, ziemia sprzedana za ziarno w czasie wielkiej klęski głodu przed pół wieku – wiele dróg wieść mogło do ubóstwa w ziemi obiecanej.

– Umiesz czytać? – Beketar wyjął z sakwy niewielki pergamin.

– Nie.

– Tu jest napisane, że z rozkazu Jego wysokości Hilderyka, króla Wandalów i Alanów, za uporczywe uchylanie się od grzywny królewskiej za kradzież kozy z sąsiedniego okręgu, Aktulf Holobertlaf zostaje skazany na banicję.

Kobieta w drzwiach wybuchła płaczem.

– Nie możecie tego zrobić! – gospodarz ścisnął nóż, aż mu zbieleły kostki. – Mam dzieci!

– Przykro mi – Beketar rozłożył ręce. – Właściciel kozy na pewno też miał dzieci.

– Potrzebowaliśmy mleka! Zapłaciłem całe odszkodowanie temu człowiekowi!

– Wiem. Ale nie zapłaciłeś grzywny królowi. Od roku.

– Czy wy serca nie macie?! – krzyknęła kobieta. – My już nic nie mamy! Mamy się oddać w niewolę?!

– Po moim trupie! – warknął mężczyzna, wyciągając nóż.

– Rozumiem – spokojnie pokiwał głową Beketar. – Czy

twoja żona ma jakąś rodzinę?

– Rodzinę? – mężczyzna popatrzyła na niego zdezorientowany. – Ma, w sąsiedniej wsi – burknął.

– Dobrze. Pomożemy jej tam pojechać z dziećmi i ze wszystkim, co zechce zabrać. Macie czas do zachodu słońca.

Mężczyzna przez chwilę mierzył go wzrokiem. Popatrzył po obu konnych, przyglądających się niby obojętnie, ale trzymających ręce blisko mieczy.

– Pomóż im przygotować się do drogi – Beketar kiwnął głową w stronę zawodzącej kobiety i dzieci.

Gospodarz przygarbił się, opuścił nóż i ciężkim krokiem zawrócił do domu. Beketar rozluźnił się i cicho wypuścił powietrze.

– Bilbert, Frodulf – z koni – dał znak swoim ludziom, by zsiedli.

Jakiś czas później kobieta z dzieckiem przy piersi siedziała na koniu Beketara, a dwójka zasmarkanych maluchów za jej plecami. Dwoje starszych trzymało się jej sukienki. Patrzyli za oddalającym się w kierunku gór mężczyzną. Na znak naczelnika jeden z jego ludzi wyjął krzesiwo i hubkę. Po chwili dach chałupy zajął się ogniem. Kobieta i dzieci ponownie wybuchli płaczem.

– Dura lex, gówno lex. Za mało mi płacą – mruknął do siebie Bektar i splunął na ziemię.



Wracali w milczeniu, bez pośpiechu szerokim, kamienistym traktem idącym wzdłuż płynącego w stronę Hippony Ubusu. Co jakiś czas mijali ospałe woły ciągnące pełne worków wozy, raz pozdrowili patrol pilnujący sunącej na południe do Thagasty karawany. Skończyły się już wiosenne roztopy i cienkie czapy śniegu zniknęły z górskich szczytów, a rzeka znów

toczyła się zwykłym, ospałym nurtem. Dookoła rozciągał się zwyczajny krajobraz tutejszych wielkich posiadłości – szerokie wstęgi pól, ciągnące się w nieskończoność oliwne gaje, winnice. Gdzieś tam widać było pracujących ospale w popołudniowym słońcu niewolników i kolonów¹⁹. Od czasu do czasu z boku drogi pojawiały się i znikały ubogie osady złożone z kilku glinianych chałup, z których wyglądały półnagie, umorusane i zasmarkane dzieci. Zbliżali się już do przełomu rzeki w pasie wzniesień oddzielającym interior od nadmorskiej równiny, gdy gdzieś daleko na południu ukazał się bijący w niebo słup dymu. Beketar zatrzymał konia.

– Co, do diabła? – osłonił oczy od słońca.

– Jakiś, kurwa, pożar – zauważył przytomnie czarnobrody.

– Może trzeba to sprawdzić? – zaproponował właściciel brody jasnej.

– Tak – odparł po chwili namysłu Beketar. – Tylko

ostrożnie. Maurowie raczej tu się nie zapuszczają, ale czort wie.

Ruszyli na przełaj przez pola, trzymając broń w pogotowiu. Czarne kłęby dymu zaczęły już słabnąć, gdy gdzieś z tyłu rozległ się tętent koni. Szybko skręcili w stronę najbliższego gaju, by ukryć się między drzewami. Wkrótce na drodze między polami pojawiła się spora grupa konnych galopująca w tumanach kurzu w kierunku dymu.

– To nasi – orzekł Beketar, gdy około pół setki zbrojnych zbliżyło się już do ich kryjówki.

Jadący wojownicy mieli na głowach hełmy, a przez plecy przerzucone okrągłe tarcze, niektórzy trzymali też włócznie. Na przedzie galopował rosły mężczyzna w krótkiej kolczudze, z rozwianą kitą na hełmie.

– To chyba Theuderyk. Jedziemy – zarządził Beketar.

Wyjechali spomiędzy drzew. Oddział natychmiast

skręcił w ich stronę i stanął karnie parę metrów przed nimi.

– To ty, Beketarze? – zdziwił się dowódca. – Co tu robicie?

Jakby na przekór zwalistej sylwetce i wojenemu rynsztunkowi, miał miłą, okrągłą twarz i już na pierwszy rzut oka sprawiał przyjazne wrażenie. Jak lekko spocony miś wiśnięty w żelazną kurtkę.

– Witaj, Theuderyku – przywitał go Beketar. – Mieliśmy coś do załatwienia w okolicy. Zobaczyliśmy dym... – wskazał ręką.

– Tak. To banda Włóczęgów²⁰ napadła na willę Godagisa – wyjaśnił zasapany dowódca. – Udało mu się zamknąć w środku i posłać po pomoc, ale nie wiem, czy zdążymy na czas. Jedziecie z nami?

– Godagisa? – zawahał się Beketar. – W zasadzie, powinniśmy pilnie wrócić do Hippony...

Bilbert i Frodulf popatrzyli na niego zdziwieni.

– To niedaleko stąd, a to podobno spora banda – zmartwił się Theuderyk. – Przyda nam się każdy miecz, Beketarze – spojrzał pytająco na naczelnika. – Tam są kobiety i dzieci – dodał.

Beketar zagryzł wargi.

– Dobrze – odparł w końcu po chwili wahania. – Jedźmy, nie ma co zwlekać.

Ruszyli galopem. Po drodze minęli parę pustych chat. Po kwadransie ujrzeli w oddali większe zabudowania. Dym unosił się jeszcze znad kilku dogasających szop. Stojąca kawałek dalej willa wydawała się jednak nietknięta, ale otaczała ją duża gromada ludzi, wielu też kręciło się bezładnie po okolicy. Na widok jeźdźców część z nich rzuciła się do ucieczki, jednak większość zaczęła zbijać się w większy oddział pod murami budynku. Willa była piętrowa, obronna – przypominała małą, luksusową warownię. Dolny poziom pozbawiony był większych okien, a do środka prowadziła z tej strony tylko jedna, zamknięta teraz,

solidna brama. W rogach wznosiły się małe wieżyczki, pomiędzy którymi, na piętrze, zbudowano kryte dachówką kolumnowe krużganki. Widać było na nich sporą grupę uzbrojonych obrońców, wiwatujących teraz na widok odsieczy.

Napastników, którzy ustawili się za jednym z niskich murków, mogło być ponad dwustu. Na znak Theuderyka konni zwolnili i rozwinęli szyk. Zdjęli z pleców tarcze, nachylili włócznie lub sięgnęli po miecze. Beketar, ściskając miecz, przyjrzał się z oddali przeciwnikom. Ubogo ubrani, niektórzy w łachmanach, większość boso, uzbrojeni byli tylko w krótkie, drewniane pałki. Widać było między nimi sporo kobiet. Stali teraz nieruchomo, w milczeniu, niektórzy uklękli. Zdawało się jednak, że nie patrzą wcale na Wandalów, a Wandalowie nie patrzyli wcale na nich, bowiem pośrodku, niby fragment całkiem innego lądu, rozciągał się niewielki ogród pełen różnokolorowych kwiatów. Białych, czerwonych, żółtych i niebieskich

w równo przyciętych klombach między oczkami wody i krętą, żwirową alejką donikąd. Obok powoli dogasały stare szopy, obok leżały jakieś pokrwawione ciała i obok trwało dziwne, niedołączne oblężenie, a ogród stał pusty, chroniony swoim własnym czarem i pewnie obchodzony tylko z dala przez Włóczęgów, nieśmiących wejść do miejsca tak urzekająco obcego – ich własnemu krajowi i ich życiu spalonemu słońcem.

Theuderyk przyłożył gwizdek do ust i dmuchnął, a czar prysł. Na ten znak Wandalowie ruszyli z okrzykiem do szarży. Jak burza niesiona grzmiotem dwustu kopyt, wprost – nie wiadomo – na tych brudnych, rozmodlonych ludzi, czy na te nieświadome, ciche, wielobarwne klomby. Beketar uderzył konia ostrogami i, pewnie trzymając się w siodle, przylgnął do grzbietu. W mgnieniu oka przeskoczyli pierwsze kilkadziesiąt metrów i wpadli w ten świat łagodnego szumu, plusku i powolnych szczęków nożyc, a czas, zdało się Beketarowi, poddał się i niespodzianie zwolnił.

Konie płynęły w tanecznym galopie, wiatr w uszach przycichł, brunatne grudy ziemi i wszystko-barwne płatki zmieszane w powietrzu, zamiast opaść, zastygały w jakieś nieskończenie mądre wzory. Naczelnik obejrzał się – za nimi został tylko pas zoranej kopytami ziemi. Jak barbarzyńca w ogrodzie, tyle że to był przecież już od wieku jego własny ogród.

Zmusił się, żeby spojrzeć w przód. Czekał na jakiś ruch, na jakiś manewr Włóczęgów, ci jednak stali nieruchomo, jakby gotowi przyjąć szarżę wprost na własne piersi. Niektórzy rozdarli koszule. Gdy dzieliło ich już tylko kilkadziesiąt metrów, stojący w samym środku bandy człowiek z czymś, co mogło być cierniową koroną, na głowie, uniósł pałkę.

– Chwalcie Boga! – zawołał, a czas powrócił w swoje stare, niedościgłe tory.

Wrócił huk galopady, rwana podkowami ziemia na powrót strzeliła w górę, a poszarpane płatki kwiatów zawirowały tylko bezładnie, by opaść w brud i pył.

– Chwalcie Boga! – odkrzyknęli gromko bosi ludzie i, ku zaskoczeniu szarżujących, skoczyli przez mur i ruszyli prosto pod pędzące konie.

To była zwykła rzeź. Beketar ciął na odlew jakiegoś obdartusa, który z okrzykiem "Chwalmy Boga" zamachnął się na niego pałką, potem następnego, przesadził koniem murek i położył jeszcze jednego. Chciał ominąć biegnącą na niego półnągą kobietę, ale ta zdążyła uderzyć go boleśnie w nogę, nim za moment ktoś przebił ją na wylot włócznią. Szarża przeszła przez bandę jak nóż przez miękkie masło. Z tyłu zostawiła tylko przeoraną ziemię, zdeptane kwiaty i dziesiątki sponiewieranych ciał. Obrońcy willi wzniesli radosny okrzyk. Wojownicy zawrócili, lecz Beketar zatrzymał konia. Patrzył jak Wandalowie próbują otaczać i chwycić resztki Włóczęgów, ci jednak rzucali się na nich bez opamiętania, jakby w szale. Jakiś młody chłopak starał się cofnąć konia przed atakującą go dziewczyną. Zwierzę próbowało iść bokiem, dziewczyna machała

pałką jak cepem i, napierając na jeźdźcę, krzyczała coś w miejscowym języku. Pod brudem i splątanymi włosami widać było ładną twarz, teraz jednak wykrzywioną w jakimś uniesieniu. Chłopak na koniu niezdarnie opędzał się od niej włócznią. W pewnym momencie napastniczka odrzuciła pałkę, skoczyła naprzód i sama nadziała się na ostrze. Przerażony jeździec wypuścił broń, patrząc szeroko otwartymi oczami jak dziewczyna pada na ziemię.

– Boże, co to było?! – zatrzymał się obok Beketara Theuderyk. – Co to za szaleńcy? – otarł pot z czoła.

– Włóczędzy, donatyści²¹ – z dezaprobatą pokręcił głową Beketar. – Mówią o sobie "Żołnierze Chrystusa". Słyszałem o takich rzeczach, ale pierwszy raz widzę coś takiego. Myślałem, że od dawna nie ma ich już w tych okolicach.

– Takie rzeczy w moim okręgu! – jęknął Theuderyk. – Farager da mi do wiwatu, jak nic.

– Da ci nagrodę gdy Godagis przyśle do Hippony

podziękowanie za szybką akcję ratunkową – pocieszył go Beketar.

– Akurat! Znasz go przecież. Chodź, zobaczymy co tam z Godagisem i jego rodziną.

Prawie dwie setki ciał zaścielały zrytą kopytami ziemię. Pośród Wandalów nie widać było rannych, choć ten i ów oberwał kijem, a jeden potłukł się, spadając z konia. Nie przyłączyli się jednak do radosnych okrzyków obrońców posiadłości, którzy właśnie otwierali bramę. Jeźdźcy patrzyli na swoje krwawe dzieło, jakby zawstydzeni tą dziwną potyczką.

Przed bramę willi wyszedł wysoki mężczyzna w hełmie i kolczudze, z mieczem w dłoni, otoczony przez kilkunastu zbrojnych. Theuderyk i Beketar schowali broń i zsiadli z koni.

– Dobrze widzieć cię całego, Godagisie – przywitał go Theuderyk, zdejmując hełm.

– Witajcie – mężczyzna schował miecz i uścisnął im

dłonie.

Godagis był w średnim wieku, miał przystojną twarz o surowym wyrazie, jakby ściągniętą w grymasie stałego niesmaku, który znikał tylko na chwile krótkiego uśmiechu.

– Beketar... – uniósł brew. – Co za niespodzianka.

– Akurat byliśmy w pobliżu – wyjaśnił ogólnikowo naczelnik.

– Dziękuję za pomoc – uśmiechnął się nieznacznie, lecz szczerze Gogagis. – Ta hołota nie weszłaby do środka, ale w końcu mogliby nas podpalić.

– Wszyscy cali? – Theuderyk spojrzał na wyglądające z bramy kobiety i dzieci.

– Nie wiem – na powrót sposepniał Godagis. – Złapali Godegila, mojego syna. Zaprzęgli go do wozu, wsadzili na pakę naszych niewolników, którzy się do nich przyłączyli i kazali mu ciągnąć, okładając go batem. Nie miał już siły, potykał się, ale oni kazali mu zaciągnąć

wóz aż tam, za tamten sad – wskazał ręką pobliskie drzewa. – Potem wrócili sami.

– Rumo, weź dziesięciu ludzi i jedźcie to sprawdzić – polecił jednemu z jeźdźców Theuderyk.

– Złapali też dwóch nadzorców – Godagis wskazał gdzieś za willę. – Przywiązali ich tam do słupów i zaćwiczili na śmierć.

– Na pewno nie żyją? – spytał Beketar.

– Dziobią ich kruki – pokręcił głową Godagis.

– Skąd oni tu się wzięli?

– Nie wiem. Od dawna nie mieliśmy z nimi problemów. Ostatnią taką bandę widziałem, gdy byłem bardzo młody. Ci zeszli gdzieś z gór. Zbiegli niewolnicy, kolonowie, heretycy. Chwała Bogu, że zdążyliście. Zapraszam do środka, mamy jeszcze dość zapasów na skromny poczęstunek.

– Dziękuję Godagisie, ale musimy jeszcze wyłapać tych, którzy uciekli – pokręcił głową Theuderyk. – Potem

chętnie zajedziemy tu na krótki odpoczynek. Ale wy, Beketarze, możecie oczywiście zostać; macie swoje sprawy. I dzięki za pomoc.

– Zapraszam, Beketarze – z ledwo zauważalnym wahaniem skinął głową Godagis. – Czym chata bogata.

Naczelnik spojrział w niebo; słońce zaczynało powoli chylić się ku zachodowi.

– Dziękuję, chętnie skorzystamy – odparł bez specjalnego entuzjazmu. – Dzisiaj i tak już nie zdążymy dojechać do Hippony.

Na drodze ukazali się wysłani przez Theuderyka jeźdźcy. Godagis nie ruszył się z miejsca, ale widać było jak stężał w oczekiwaniu. Pierwszy z wojowników przytrzymał przed sobą chwiejącego się w siodle młodzieńca. Reszta pędziła przodem kilkunastu obdartych ludzi. Gdy dojechali, Godagis nie wytrzymał i razem z paroma swoimi ludźmi skoczył do syna. Godegil był jeszcze młodym chłopakiem; cały pokaleczony, posiniaczony, w podartym ubraniu, ale żył.

Spróbował uśmiechnąć się pod opuchlizną, ale tylko syknął z bólu. Zdjęli go z konia i ludzie Godagisa ostrożnie odprowadzili go do willi. Właściciel posiadłości spojrzął na przyprowadzonych zbiegów – kilkanaścioro mężczyzn i kobiet.

– Moi niewolnicy i robotnicy – warknął. – Przyłączyli się do tej bandy.

Jeden z mężczyzn rzucił się na ziemię przed Godagisem.

– Litości, panie! – jęknął. – Zmusili nas! Kazali!

Pozostali za jego przykładem upadli na ziemię i zaczęli głośno zawodzić. Godagis podszedł do leżącego mężczyzny. Końcem buta uniósł jego głowę do góry.

– A ja ciebie wyzwoliłem, Akso, wydzierżawiłem ci pole... – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– Zmusili nas! Grozili śmiercią!

– Zamknij się! – Godagis kopnięciem przewrócił go na plecy. – Mój syn żyje, będę więc łaskawy.

Przynajmniej dla waszych rodzin. Zamknąć ich – zwrócił się do swoich ludzi. – Niewolników oćwiczyć do krwi i powiesić tak, żebym widział ich z okna. Robotników skuć i popędzić bez wody do Hippony. Tych, którzy przeżyją, komes z pewnością osądzi sprawiedliwie.

Rozległ się krzyk i płacz. Leżący mężczyzna próbował złapać Godagisa za nogi, ale został odciągnięty. Zbrojni z willi z pomocą jeźdźców zaczęli zapędzać wyrywających się i krzyczących ludzi do jednej z ocalałych szop. Theuderyk skrzywił się i wskoczył na konia.

– Musimy jechać, by nie uciekli gdy się ściemni. Do zobaczenia – dał swoim ludziom znak do odjazdu.

Gdy jeźdźcy zaczęli szykować się do drogi, Beketar z towarzyszami ruszyli za gospodarzem do willi.

– Żona lubiła te kwiaty – Godagis spojrzał obojętnie na zdeптany, stratowany ogród. – A ogrodnika muszę teraz powiesić. Trudno.

– A co z tymi? – spytał naczelnik, wskazując na leżące ciała.

– Niewolnicy wykopią im dół – wzruszył ramionami Godagis.

– Jeśli mogę coś doradzić, pochowajcie ich w jakimś ukrytym miejscu daleko stąd. Z tego co słyszałem, ci Włóczędzy uważają swoich poległych za świętych męczenników i przychodzą modlić się u ich grobów.

– Masz rację, tak zrobimy – kiwnął głową Godagis.

Widać było, że opuściło go już napięcie i wydawał się teraz starszy i bardzo zmęczony.

– Dlaczego Bóg dopuszcza do takich rzeczy? – westchnął.

– Nie wiem, Godagisie. Nie wiem – też westchnął Beketar.

Posągi, mozaiki, fontanny – wewnątrz willi urządzono według najlepszych rzymskich wzorów, tylko

prawdopodobnie z większym przepychem niż ten, na który pozwalali sobie poprzedni właściciele posiadłości wysiedleni stąd prawie przed stu laty. Bogactwo było w oczy, robiąc wrażenie nawet na Beketarze, przyzwyczajonym, bądź co bądź, do pałacowego przepychu w Hipponie i Kartaginie. Główny dziedziniec zdobiły pomalowane jaskrawymi farbami posągi jakichś Rzymian. Tryskająca pośrodku kwietnego klombu fontanna błyszczała od złota. Wszędzie uwijała się służba i domownicy zajęci sprzątaniem po oblężeniu, choć prawdę mówiąc, nie było widać żadnych zniszczeń, poza zdeptanymi przez samych obrońców klombami. Godagis poprowadził ich szerokim korytarzem na drugi, wewnętrzny dziedziniec – otoczone podcieniami atrium. Dookoła małego basenu rosły ozdobne krzewy, a po bokach ustawiono popiersia podpisane imionami greckich filozofów. Gospodarz posadził ich na miękkich sofach, kazał podać jedzenie, wino i przeprosił na chwilę, żeby zobaczyć się z synem.

– Fiuu... – pozwolił sobie na cichy gwizd podziwu Bilbert. – Nieźle sobie mieszkają!

– Któryś z pradziadów Godagisa był blisko króla Gezeryka – pokiwał głową Beketar. – Takim trafiały się najlepsze kąski.

– Już nie narzekaj – roześmiał się Frodulf. – Twoją posiadłością też bym nie pogardził.

– Skromny dom nad morzem i trochę winnic – wzruszył ramionami Beketar. – I tak nie mam czasu tam bywać.

Dalszą rozmowę przerwała im elegancko, choć skromnie ubrana dziewczyna w towarzystwie starszej kobiety, zapewne służącej. Razem z nimi pojawiło się też parę dzieci, ale pochowały się gdzieś z tyłu, wystawiając tylko ciekawie głowy zza kolumn.

– Witaj, wasza dostojność i wy, panowie – uśmiechnęła się smutno dziewczyna. – Jestem Ermintruda Sigewulfdota. Wujek prosił, żebym

dotrzymała wam towarzystwa, nim wróci – usiadła na wolnej sofie, a służąca przysiadła na stołku z tyłu.

Dziewczyna mogła mieć góra szesnaście lat, miał długie, jasne włosy, mały nosek i wielkie, czarne oczy jeszcze zaczerwienione od płaczu. Beketar z towarzyszami na wyścigi zerwali się z miejsc.

– Witaj, pani – skłonił się dwornie Beketar. – Twoje towarzystwo to dla nas zaszczyt i przyjemność. Zapamiętałem siostrzenicę szlachetnego Godagisa z jego wizyty w Hipponie jako małą, chudą dziewczynkę, ale to musiało być już chyba bardzo dawno temu.

– Tak, byłam z wujkiem w Hipponie parę lat temu – Ermintruda trochę chyba się zaczerwieniła.

Któryś z ludzi Beketara chrząknął cicho za jego plecami.

– Przepraszam, pani – Beketar odwrócił się do swoich towarzyszy. – Zapomniałem o dobrych manierach. To są Bilbo i Frodo, to jest, chciałem powiedzieć, Bilbert

i Frodulf z poczty królewskiej.

Dwóch osiłków skłoniło się z gracją, o którą trudno byłoby ich podejrzewać.

– Tajna służba Jego Królewskiej Mości! – ożywiła się dziewczyna. – Dużo o tym słyszałam.

– To znaczy, że nie taka znowu tajna – uśmiechnął się Beketar, siadając.

– Nie wiem – zmieszała się. – Ale wujek tak mówi. Mówił, że tropicie złych ludzi, nieuczciwych urzędników...

– Tak, to prawda – przyznał z uśmiechem Beketar. – Cieszę się, że w domu Godagisa mamy tak dobrą opinię bo, delikatnie mówiąc, nie wszędzie cieszymy się sympatią.

– Uratowaliście nas przed tymi bandytami! To było straszne. Uratowaliście nam życie! Tu zawsze możecie liczyć na naszą sympatię – zapewniła gorliwie, wpatrując się w Beketara wielkimi oczami.

– To był nasz obowiązek, pani – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Z tyłu Frodulf zakrztusił się winogronem, starając się nie parsknąć śmiechem. Bilbert, ze z trudem wstrzymywanym uśmiechem, wpatrywał się w jakiś, nagle interesujący, punkt na suficie.

– To piękna willa – zmienił temat Beketar. – Jak ci się tu mieszka, pani?

– Bardzo dobrze, odkąd wujek zaopiekował się mną po śmierci rodziców. To chrześcijański dom i wujek nie pozwala nam się lenić, ani nudzić. Dużo pracujemy i dużo się modlimy. Ja zajmuję się głównie opieką nad jego młodszymi dziećmi, trochę je też uczę. Ale niedługo mały Ritigern skończy dziesięć lat i przejdzie pod opiekę nauczyciela. Wujek powiedział, że wyśle mnie wtedy na dwór komesa, żebym poznała dobre towarzystwo i...
– zająknęła się. – Tak, poznała dobre towarzystwo – zaczerwieniła się.

Beketar nie zdążył odpowiedzieć, bo pojawił się

Godagis. Wciąż w kolczudze, zdążył zdjąć tylko hełm, odsłaniając krótkie, jasne włosy z początkami łysiny. Wydawał się jednak odprężony i nawet się uśmiechał.

– Dziękuję, Trudo – zwrócił się do siostrzenicy. – Możesz już iść do dzieci.

Dziewczyna skłoniła się lekko Beketarowi i jego ludziom i posłusznie zniknęła za drzwiami.

– Co z twoim synem? – zapytał Beketar.

– Mocno potłuczony i przestraszony, ale nic mu nie będzie.

– Nadal chcesz powiesić tych niewolników? Może naprawdę ich zmusili?

– Nie zmienię decyzji – znów spoważniał Godagis. – Jednak każę sprowadzić im wcześniej księdza, żeby mogli się wyspowiadać. Ale dość o tym. Na pewno chcielibyście się odświeżyć. Mamy tu małą łaźnię – jest do waszej dyspozycji. Służba zaprowadzi was do waszych pokojów. Zajęli się już też waszymi końmi.

Widzimy się na kolacji, poznacie wtedy moją rodzinę i domowników. Ty, Beketarze, oczywiście niektórych już znasz z dawnych czasów – popatrzył mu w oczy.

– Tak, z dawnych czasów – potwierdził trochę niepewnie naczelnik.

– To nasz obowiązek, uratować cię od złych bandytów, pani – zaśmiał się Bilbert, gdy siedzieli we trzech w małym basenie, znad którego unosiły się kłęby pary.

– Tak, my, tajna służba, zabijamy złych ludzi, smoki i dziewice – zawtórował mu Frodulf.

– No nie! Zabijamy, kurwa, dziewice? – zaniepokoił się Bilbert.

– No, właściwie to nie – przyznał Frodulf. – Nie wolno zabijać kurwa-dziewic. To by było straszne marnotrawstwo. Dopiero potem.

Zarechotali obaj.

– Cicho, błazny – przerwał im ze śmiechem Beketar. – Przecież to jeszcze prawie dziecko.

– Czyżby? Taki pan dzielny i mądry, Wasza Wielmożność! – Bilbert zatrzepotał powiekami.

– A tak! Nie znacie się, matolki – Beketar wstał nagi, ociekający wodą, uniósł rękę i nabrał

tchu. – *W sztuce kochania uczeńsze / bywają dojrzałsze damy – zaczął recytować. – Jak wiadomo, przez ćwiczenia / talent udoskonalamy. / ... / Żadne malowidło nie zna / tak bezmiernej lubieżności, / jaka w sercach, jaka w ciałach / tych namiętnych istot gości. / ... / Ale najpierwszej młodości / obce są owe zalety. / Mają je jedynie tylko / nieco dojrzałsze kobiety. / Niechaj inni młode wino / zapijają – do stu katów. / Ja pić pragnę przednie trunki / z czasu dawnych konsulatów*²².

– No, proszę – koneser! – pokiwał z udawanym uznaniem Frodulf. – Nie to, co my, prości wojownicy.

– Tak. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie widziałem panów agentów, żeby tak gięli się w ukłonach,

że mało się nie poprzewracali. A potem zapomnieli języka w gębie.

Roześmiali się wszyscy trzej.

Pokoje, w których zostali zakwaterowani, były niewielkie, ale równie luksusowo wyposażone, co reszta willi. Beketar zdążył ledwie położyć się w ubraniu na łóżku, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołał z pewnym ociąganiem, wstając.

Do środka weszła kobieta w prostej sukni z drogich materiałów, z ciemnymi włosami upiętymi tradycyjnie dyskretnymi, złotymi szpilami. Średniego wzrostu, nieco już przy kości, mogła mieć czterdzieści-parę lat, a delikatne zmarszczki znaczyły jej poważną twarz, która w innych okolicznościach mogła być miła, teraz jednak miała zacięty wyraz. Zamknęła za sobą drzwi.

– Witaj, Emnildo – spróbował uśmiechnąć się Beketar.

– Po co tu przyjechałeś? – popatrzyła na niego nieprzyjaźnie, zatrzymując się pośrodku pokoju.

– Zgarnęli nas po drodze – rozłożył ręce. – Nie miałem wyboru, nie mogłem odmówić.

– Nie powinienes tu przyjeżdżać – rzuciła oskarżycielsko.

– Emnildo... – westchnął. – Kartagina była ponad dziesięć lat temu...

– Zabroniłam ci zbliżać się do mnie. Za rok, za dziesięć lat i za pięćdziesiąt! – syknęła.

– A ja do dziś nie rozumiem – zmarszczył brwi. – Dlaczego tak się ze mną bawiłaś? Żona arystokraty, matka dwójki dzieci i mało znaczący urzędnik królewski siedzący po uszy w gównie. Naprawdę zależało mi na tobie. A ty nagle zatrzęsnęłaś mi drzwi przed nosem.

– Teraz jestem matką czworga dzieci i chcę, żebyś trzymał się stąd z daleka! – spojrzała na niego z wrogością. – Żebyś trzymał się ode mnie z daleka!

– Godagis wie? – westchnął Beketar.
– Zabiłby cię, gdyby wiedział – skrzywiła się.
– Nie chciałem tu przyjeżdżać – spuścił głowę. –
Odjedziemy o świcie.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i wyszła bez
słowa.

Na kolację służba zaprowadził ich do głównej sali
budynku. Przy suto, ale zaskakująco prosto zastawionym
stole siedziało kilkanaście osób – rodzina i domownicy.
Gospodarz przedstawił gości i pozostałych stołowników.
Żona Godagisa, Emnilda, uśmiechała się miło, jakby
nic się nie wydarzyło, tylko jej oczy zwięzały się
nieprzyjemnie, gdy jej wzrok padał w przelocie
na Beketara. Dwaj młodszy synowie gospodarzy
podzielili się urodą rodziców – wyższy miał jasne włosy
i rysy ojca, niższy wdał się bardziej w matkę. Obok nich
wierciła się niecierpliwie kilkuletnia córka komesa, mała

pyzata dziewczynka z jasnymi lokami. Brakowało tylko najstarszego Godegila, który jeszcze nie czuł się na siłach, by usiąść przy stole. Oprócz najbliższej rodziny gospodarza, do kolacji zasiedli jego krewni, wśród nich Ermintruda, najważniejsi zarządcy i dzierżawcy. Zmówili modlitwę i rozpoczęli posiłek. Komentowano ostatnie wydarzenia, taktownie przemilczając kwestię egzekucji niewolników, omawiano wyrządzone szkody, prognozowano dobre lub złe zbiory. Beketar starał się niezobowiązująco brać udział w dyskusji i co jakiś czas zerkał na Ermintrudę, która siedziała ze spuszczoneymi oczami.

– Skąd tacy się biorą? – zwrócił się do Beketara któryś z bogatych dzierżawców. – Te bandy fanatyków?

– Głównie z ciężkiej pracy w polu, głodu i batów na grzbiet – wyrwało się Beketarowi. – Ale oczywiście to też zwykli heretycy – dodał szybko, gdy zapadła niezręczna cisza. – Nawet większość donatystów nie przyznaje się do tych Włóczęgów.

– Bóg rozdziela swoją łaskę jak chce i od niego pochodzi wszelka władza – odezwał się poważnym tonem Godagis. – Kto podnosi rękę na swojego pana, podnosi ją na boski porządek.

– A jeśli pan będzie zły i okrutny, wujku? – spytała nieśmiało Ermintruda.

– Wtedy odpowie za to w Dniu Sądu, a cierpiący w pokorze otrzymają nagrodę w życiu wiecznym – odparł surowo Godagis.

– Na szczęście teraz już rzadko ich się spotyka. Myślę, że nie musicie więcej ich się obawiać – uśmiechnął się pojednawczo Beketar. – Wspaniała pieczeń. Gratuluje kucharza.

Dalszy ciąg kolacji upłynął na rozmowach o uprawach, hodowli i pogodzie. A pod koniec posiłku, już po zmroku, dało się słyszeć jakieś zamieszanie na zewnątrz i po chwili służący oznajmił powrót Theuderyka i jego ludzi. Jak się okazało, zabili jeszcze paru bandytów, a kilkunastu złapanych Theuderyk

postanowił zawieźć do Hippony. Wojowników było zbyt wielu, więc tych ważniejszych zakwaterowano w pokojach służby, a reszta musiała zadowolić się prowizorycznymi posłaniami na dziedzińcu lub w ocalałych szopach. Gdy wszystko zostało ustalone i wydano polecenia służbie, Theuderyk, Beketar i Godagis usiedli w atrium z dzbanem świętego wina z winnicy gospodarza.

– Co myślisz o sytuacji w kraju, Theuderyku? – zagadnął gospodarz.

– Sam nie wiem... – zrobił zamyśloną minę spytany.

– Jesteś tysięcznikiem, tak jak mój kuzyn, Alamund. Na pewno masz jakiś pogląd na te sprawy.

– Kiedyś nie działały się takie rzeczy – odparł ostrożnie Theuderyk.

– Oczywiście, że się działały – zaprotestował Beketar. – Jeszcze bardziej!

– Bardziej... – prychnął Godagis. – Bardziej to kiedyś

trzymaliśmy katolików i Maurów tam, gdzie ich miejsce.
A dzisiaj król na jedno nie ma chęci, a na drugie odwagi!

– Khem... – chrząknął znacząco Bektar, bawiąc się odruchowo pierścieniem królewskiej poczty.

– A co takiego zrobił Hilderyk? – nachylił się ku niemu Godagis. – Przyznaję, pozbył się Gotów i królowej wdowy²³. Ale zamiast tego, uzależnił nas od cesarstwa. I pozwolił wrócić tu tym katolickim heretykom! To przez nich dzieją się teraz takie rzeczy. Przecież połowa z nich to w dodatku ukryci donatyści!

– Być może – stwierdził bez przekonania naczelnik. – Ale Hilderyk pozwolił im tylko obsadzić trochę biskupstw i oddał im parę kościołów. A przecież oni i tak zawsze tu byli. I im więcej ich cisnęliśmy, tym większą sympatię zdobywali donatyści. Może po stu latach pora w końcu przyznać, że ich nie pokonamy i znaleźć jakąś formułę współpracy?

– Współpracy?! – uniósł się Godagis. – Przecież to heretycy! Bałwochwalcy! Gorsci od tych pogańskich

Maurów, bo wypaczają prawdziwą wiarę! Jak moglibyśmy z nimi współpracować?!

– Co najmniej tak jak do tej pory. Rozejrzyj się, Godagisie. Jak myślisz, kto wykonał te rzeźby, tę zastawę, te dzbany? Komu sprzedajesz swoje zborze, wino, oliwę? Wystarczy wyjść za próg tej willi, czy pałacu w Hipponie, by znaleźć się w kraju katolików.

– Tak, Beketarze – skrzywił się Godagis. – Katolików, którzy marzą o powrocie cesarstwa i tylko czekają, by wbić nam nóż w plecy. Źle wróżę temu królestwu, jeśli tego nie zrozumiecie.

– Panowie, panowie! – spróbował przerwać spór Theuderyk. – Po co te kłótnie? Teraz królem jest Hilderyk i robi to, co uważa za najlepsze dla swojego kraju. Po nim tron przejmie pewnie Gelimer i będzie robił po swojemu. Wypijmy więc za zdrowie króla to wspaniałe wino i idźmy spać.

Opróżnili kubki, choć bez specjalnych toastów i rozeszli się do swoich pokojów.

Beketar obudził się w środku nocy, czując, że coś jest nie tak. Dookoła panowała doskonała cisza, nawet cykady poszły już spać. Ale przez okno wlewał się do pokoju ciepły blask jak z odległego, wielkiego ogniska. Wyjrzał na zewnątrz. Gwiazdy płonęły jasno na rozświetlonym niebie. Powietrze zdawało się gęste i pachniało dziwnie, metalicznie. Spróbował odszukać źródło światła. Niebo przecinała wielka kometa, ciągnąca za sobą długi warkocz ognia. Beketar ubrał się szybko i wyszedł na dziedziniec. Cała willa zdawała się być pogrążona w ciężkim śnie. Kometa rośła w oczach, jakby leciała prosto w jego kierunku. W pewnym momencie spostrzegł stojącą na krużganku młodą Ermintrudę, również wpatrzoną w niebo. Chciał ją zawołać, ale głos uwiązł mu w gardle. Mógł tylko patrzeć jak kometa zbliża się coraz większa, z narastającym hukiem. Sekundy zmieniły się w godziny, spadająca gwiazda rozjarzyła się bardziej niż słońce, coraz bliżej i bliżej.

Gdy wydawało się, że ognista kula zaraz uderzy prosto w nich, Beketar odruchowo odwrócił się i przypadł do ziemi. Nic strasznego jednak nie nastąpiło. Dmuchnął gorący powiew, huk ustał, blask nieco przygasł i zaległa cisza. Naczelnik ostrożnie uniósł głowę. Kątem oka zobaczył klęczącą Ermintrudę. Przed nimi unosiła się w powietrzu jaśniejąca, skrzydlata postać z ognistym mieczem w dłoni.

– Kim jesteś? – zdołał wykrztusić Beketar.

– Ja jestem Szemal, posłaniec – odpowiedział przybysz głosem jak huk ognia.

Miał długie, czarne włosy, piękną twarz nieokreślonej płci i wielkie łabędzie skrzydła. Ubrany był w białą, powłóczystą szatę.

– Jesteś aniołem? – Beketar podniósł się na kolana.

– Jestem Szemal, Gniew i Zguba – zahuczała istota.

– Czego chcesz od nas?

– Królestwa – zagrzemiał głos.

Błysnęło i gorący podmuch powalił Beketara z powrotem na ziemię. Otworzył oczy. Było ciemno i cicho, tylko gdzieś z innej części willi dobiegał płacz dziecka. Beketar leżał na podłodze obok swojego łóżka. Usiadł na wpół przytomny i syknął. Sięgnął zdezorientowany do pierścieni na dłoni. Ten z połykającym się wężem wydawał się ciepły, a gdy go ściągnął, zobaczył na palcu małą pręgę przypominającą oparzenie. Przyjrzał się uważnie ozdobie, ale wyglądała tak samo jak zawsze i jeśli nawet przed chwilą czuć było od niej ciepło, to teraz znów była tylko krążkiem zimnego metalu. Zastanowił się moment i przełożył go na inny palec. Podniósł się i wyjrzał przez okno. Niebo na wschodzie zaczynało błednąć.

O świcie Beketar ze swoimi ludźmi wsiedli na konie, żegnani przez gospodarza. Jeźdźcy Theuderyka też zaczęli powoli wstawać. Godagis wydawał się nieswój, ale pożegnał się z nimi uprzejmie, jeszcze raz

dziękując za ratunek. Wszyscy trzej agenci rozglądali się za Ermintrudą, jednak widocznie jeszcze spała.

– To kiedy znów odwiedzimy dom Godagisa? – uśmiechnął się Frodulf.

– Za wysokie progi – pokręcił głową Beketar. – Zresztą, chyba nie dogadalibyśmy się z gospodarzem.

– Wiecie? Miałem w nocy dziwny sen – Bilbert podrapał się po łysej czaszce. – Widziałem anioła z mieczem.

– Ty też? – zdziwił się Frodulf. – W moim śnie mówił chyba coś o końcu świata. Nie pamiętam dokładnie.

– Ja też nie pamiętam. Ale to było coś podobnego.

Beketar nie odezwał się ani słowem, tylko zamyślił się głęboko.

Reszta drogi do miasta minęła im już bez żadnych przygód. Gdy po powrocie opowiedział sen swojemu słudze, Jonatesowi, ten pokręcił głową.

– Szemał, anioł śmierci. Nie jestem pewien co to mogło oznaczać, ale raczej nic dobrego. I mówisz, że te dwa matolki śniły coś podobnego? Hmm... – zamyślił się. – To mógł być rodzaj przestrogi – stwierdził w końcu. – Ostrzeżenia, ale przed czym? Nie jestem pewien, co mogło oznaczać "królestwo". Za mało szczegółów.

– Tyle to i ja wiem – wzruszył ramionami Beketar. – A niczego więcej nie pamiętam.

– Myślę, że na wszelki wypadek powinieneś mieć się na baczności, Beketarze. Nie wolno lekceważyć takich znaków.



– Wyjędźmy gdzieś stąd na trochę, Frido – Beketar podał jej leżącą na podłodze suknię. – Będziemy pić wino i kochać się bez końca z dala od tego wszystkiego.

– Dobrze, Beki – mruknęła, rozglądając się dookoła. – Gdzie moje spinki?

– Naprawdę? – ucieszył się. – Pojedziesz ze mną?

– Jasne, kotku. O, tu są! – schyliła się pod stół.

– Nie mów do mnie "kotku" – skrzywił się.

Przez chwilę obserwował jak Brunfrida zakłada suknię.

– Kiedy?

– Co kiedy? – nie zrozumiała.

– Kiedy stąd wyjedziemy?

– Niedługo, Beki, niedługo – uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Mogę wyszykować moją willę nad morzem – rozmarzył się. – Dawno już tam nie byłem. To tylko parę dni drogi.

– Może być – kiwnęła głową, dopinając spinki. – Wiesz, mógłbyś kupić sobie jakąś ładną niewolnicę – zaczęła poprawiać fryzurę. – Może czarną?

– Po co mi czarna niewolnica? – zdziwił się zbity

z tropu.

– Nie kręć cię czarne? – popatrzyła na niego spod oka.
– To jakąś inną. Z dużymi cyckami, małym tyłkiem i nogami jak gazela.

– Po co, Frido? – zmarszczył brwi.

– Na tych twoich rycinach są takie rzeczy – wyszczerzyła zęby. – Nie mów, że by ci się nie spodobało.

Spojrzał na nią zaskoczony. Po chwili roześmiał się serdecznie.

– Ha-ha-ha! Pewnie, że tak. Uwielbiam cię, Frido.

– Wiem. Muszę już lecieć – pocałowała go. – Spytaj moją szwagierkę o tę wysoką Egipcjankę, którą niedawno kupiła. Może zechce ci ją odsprzedać – mrugnęła okiem od drzwi.

*

Okryta białym materiałem lektyka zatrzymała się przed jedną z wielu zaniedbanych kamienic w sąsiadującej z portem dzielnicy. Nie były to podmiejskie rudery biedoty, jednak budynkom daleko było do stanu świetności. Ściśnięte w wąskich uliczkach jedno lub dwupiętrowe domy nosiły ślady niezbędnych napraw – i tylko tych niezbędnych. Tanie czynszówki dla uboższych mieszkańców – z czystymi podwórkami i odpadającym tynkiem. Po ulicy kręciło się trochę ludzi, biegały dzieci, gdzieś tam stały stragany, widać było też warsztaty i parę sklepów. Ruch o tej porze nie był duży, bo większość mieszkańców zajęta była pracą, jednak lektyka była w tej części miasta na tyle niecodziennym zjawiskiem, że zaraz skupiła na sobie zainteresowanie całej ulicy. Niewolnicy ostrożnie postawili lektykę przed wejściem do warsztatu, nad którym wisiał krzywy szyld z namalowanymi nożycami. Drzwi i okna były otwarte na oścież, wpuszczając trochę światła do ciemnego pomieszczenia, w którym przy stołach siedziały pochylone nad kawałkami materiału

kobiety. Pod ścianami dało się dojrzeć drewniane manekiny obwieszone ubraniami na różnym etapie szycia. Jednak na widok lektyki szwaczki zastygły z uniesionymi igłami. Niektóre, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, zerknęły ukradkiem na siedzącą za pełnym papierów stołem młodą, jasnowłosą kobietę pochłoniętą kreśleniem jakiegoś wzoru. Zasłony lektyki uchyliły się i ze środka wysiadła Brunfrida. Rozejrzała się z niesmakiem dokoła i, ignorując spojrzenia ciekawskich, pewnym krokiem weszła do środka. Kobieta przy stole dopiero teraz uniosła głowę i zamarła w bezruchu. Jasnowłosa, szczuplejsza od Brunfridy, mimo prostego stroju i braku makijażu była do niej wyraźnie podobna.

– Witaj córko – Brunfrida rozejrzała się bez zainteresowania po warsztacie.

– Wyjdźcie! – ostrym tonem poleciła szwaczkom kobieta przy stole.

– Nie cieszysz się na mój widok, Rodelindo? –

parsknęła Brunfrida.

– Czego chcesz?! – warknęła jej córka, wstając.

Nie tak wysoka, nie tak kobieca jak matka, mogła się jednak podobać, choć w przeciwieństwie do Brunfridy wyraźnie nie dbała przesadnie o wygląd. Szwaczki pospiesznie opuściły warsztat, stając jednak na tyle blisko, by nie uronić ani słowa.

– Ojciec ci na to pozwala? – Brunfrida zatoczyła ręką dokoła.

– Jesteś ciekawa, to sama go spytaj. Czego chcesz?!

– Przyniosłam ci trochę pieniędzy – Brunfrida położyła na stole pękaty mieszek, w którym zabrzęczały monety.

– Idź stąd! – Rodelinda spojrzała na sakiewkę z niesmakiem. – Nie chcę twojego złota!

– Dlaczego ty tak mnie nienawidzisz, Rodelindo? – z dezaprobatą pokręciła głową Brunfrida.

– Nienawidzę? – prychnęła Rodelinda. – Na nienawiść trzeba sobie zasłużyć. Tobą tylko gardzę – skrzywiła się.

– Tak, tak, wiem – lekceważąco machnęła ręką Brunfrida. – To przez ojca?

– Nie, to przez ciebie – zacisnęła wargi Rodelinda.

– I to przeze mnie żyjesz tutaj, w tym brudzie i jesteś...?

– Brunfrida bez zainteresowania przerzuciła parę leżących na stole kartek. – Kim ty w ogóle jesteś, dziewczyno?

– Wystarczy mi, że nie jestem tobą! – Rodelinda gwałtownym ruchem zgarnęła papiery ze stołu.

– Czyżby? – roześmiała się Brunfrida. – Jesteś mną bardziej, niż ci się wydaje – stwierdziła protekcyjnym tonem. – Krnąbrna, bezczelna, gotowa usiąść gołym tyłkiem na gnieździe os, by być górą... również nad tymi, których kochasz. Popełniasz wszystkie błędy swojej matki, córuś.

Rodelinda popatrzyła na nią pogardliwie.

– Zapomniałaś dodać: bezwstydna, niewyżyta pałacowa szmata, której...

Brunfrida krótkim ruchem strzeliła ją w twarz.

– Której złoto grzecznie teraz weźmiesz, żeby nie musieć dawać dupy pijanym marynarzom – warknęła.

– Skąd wiesz, może daję?! – syknęła Rodelinda, przyciskając dłoń do policzka. – Nic ci do mojej dupy! Nic o mnie nie wiesz! – ze złością zrzuciła mieszek na podłogę.

Brunfrida przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu.

– Wiem o tobie wszystko, córuś – odezwała się w końcu chłodnym tonem. – Możesz się mnie wypierać, ale to nic ci nie da. A to... – rzuciła okiem na leżącą sakiewkę. – Nie chcesz, to rozdaj biednym – odwróciła się do wyjścia, a szwaczki i grupka ciekawskich od razu cofnęli się parę kroków od drzwi i okien, robiąc jej przejście. – Do zobaczenia, córko.

Rodelinda tylko splunęła za wychodzącą matką.



Beketar przeciągnął się z błogim uśmiechem na twarzy. Bez pośpiechu pozbierał porozrzucane ubranie. Dopinał pas, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– To ty, Jonatesie? Możesz wejść.

Sługa uchylił drzwi i wsadził głowę do środka, rozglądając się po pokoju.

– Jest ze mną jasnie oświecony Oktawian – oznajmił teatralnym szeptem.

– Prokurator²⁴? – zdziwił się Beketar. – Jedną chwilę – przykrył parę pergaminów leżącymi obok zwojami i dokumentami. – Zapraszam.

Jonates otworzył szerzej drzwi, wpuszczając do środka chudego człowieka w eleganckiej todze. Oktawian miał ciemne, kręcone włosy i miłą twarz, na której chyba jednak, częściej niż uśmiech, gościła melancholia. Wygłodzony cherubin, jak mawiał Beketar,

gdy podczas uczty nachodziło go na przyjazne docinki.

– Witaj, mój drogi – uśmiechnął się do gościa. – Co się stało, że w końcu zechciałeś mnie odwiedzić? Brakuje ci pomysłów do nowego poematu? Czy jakieś kłopoty na froncie podatkowym?

– Król będzie zadowolony z podatków. A ja przychodzę do ciebie służbowo, Beketarze – nie podjął żartobliwego tonu prokurator.

– Królowie nigdy nie są zadowoleni z podatków – odparł filozoficznie Beketar. – Ludzie w końcu zaczną się burzyć.

– Ludzie zawsze burzą się na podatki – wzruszył ramionami prokurator. – Mam do ciebie sprawę, jako do naczelnika królewskich agentów. Zaginęło kolejne dziecko.

– Psiakrew! Usiądź, proszę – Beketar również spoważniał i podsunął mu krzesło. – Jonatesie, przynieś nam wino.

– Tym razem sprawa jest poważna – Oktawian nie czekał na wino. – Nie chodzi o jakiś plebs. Zniknęło dziecko mojego sługi. Dziewczynka, cztery miesiące. Z mojego własnego domu! Rozumiesz? Ktoś wlaźł nocą do mojego domu i wyniósł z niego niemowlę! – nie krył wzburzenia prokurator.

– Szlag! – zaklął naczelnik. – Rogi były?

– Rogi? – uniósł brwi Oktawian. – Masz na myśli te znaki? Lepiej. W kołysce leżała czaszka jakiegoś barana!

– Psiakrew! – uderzył w stół Beketar. – Biskup Lindulf znowu zacznie gadać o demonach i czarownicach. Komes wie? – spojrzał z niepokojem na prokuratora.

– Jeszcze nie – pokręcił głową Oktawian. – Przyszedłem najpierw do ciebie.

– Dobrze – odetchnął Beketar. – Jak będziesz rozmawiał z Faragerem, powiedz, że już zająłem się tą sprawą. Zrobimy wszystko, by odnaleźć to dziecko – zapewnił.

– Nie wątpię – bez przekonania pokiwał głową

Oktawian – Tylko, wybacz, wszyscy wiemy, że do tej pory żadnego nie znaleźliście. Ale tym razem to nie jakiś brudny bachor z rudery na przedmieściu. Tu chodzi o moich domowników! – znów uniósł się prokurator. – Wezwałem straż miejską, ale ta sprawa to coś innego niż szukanie kontrabandy i tropienie złodziei. Poza tym... – zawahał się. – Myślę, że powinieneś porozmawiać z ojcem dziecka.

– Wie coś? – zainteresował się naczelnik. – Będzie chciał mówić? Nie znaleźliśmy żadnego dziecka, bo nigdy nikt niczego nie widział, niczego nie słyszał. Jakby ktoś zapłacił rodzicom za milczenie, albo... raczej jakby się bali. Ale jeśli twój sługa cokolwiek wie... Chodźmy, nie ma co zwlekać! – podniósł się. – Jonatesie, zawołaj Bilberta z Frodulfem!

– Rodzina Zorosa pracuje dla nas od pokoleń – wyjaśnił Oktawian, również wstając od stołu. – Na pewno pomoże. Poza tym, przecież to jego dziecko.

– Właśnie dlatego zastanawiam się, co musi się za tym

kryć, by tak zastraszyć rodziców – zasępił się naczelnik.

Oktawian popatrzyła na niego ponuro, ale nie odpowiedział.

Prokurator mieszkał w jednej z miejskich willi skupionych nad morzem na południe od portu, dookoła latarnianego wzgórza. Wysokie, bezokienne mury bogatych posiadłości piętrzyły się bielonymi ścianami z obu stron, sprawiając, że puste ulice przypominały tu wyschnięte koryta rzek. Zamiast zwykłego miejskiego ruchu i gwaru, z rzadka tylko przeszedł jakiś służący albo niewolnicy z lektyką, z której ktoś zerknął przez uchyloną zasłonę; czasem pokazał się patrol straży. Przed bramą domu zebrało się już niewielkie zbiegowisko. Wejścia pilnowali postawni służący z pałkami i dwóch znudzonych strażników miejskich w starych, rzymskich hełmach. Na widok gospodarza i agentów od razu zrobili przejście, otwierając furtę w bramie. Za bramą, w środku zamożnie lecz bez

ostentacji urządzonego holu, panowała grobowa cisza, a co ważniejsze, przyjemny chłód. Na ławie pod ścianą siedział kolejny strażnik; krępy, jasnowłosy mężczyzna wyglądający na Maura czyścił sobie czubkiem noża paznokcie. Z hełmu setnika, który odłożył obok, zwisały smętne resztki czegoś, co dawno temu mogło być pióropuszem. Jakby w zgodzie ze stanem straży miejskiej, której było przecież może ledwie ćwierć setki. Widząc kto przyszedł, wstał bez pośpiechu, wygładził tunikę, poprawił miecz przy pasie.

– O! Wielmożni agenci – wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. – Bierzecie się w końcu do roboty, gdy zginęło dziecko z bogatego domu.

– Szukamy wszystkich dzieci – obrzucił go chłodnym spojrzeniem Beketar.

– Tak, tak. A ile było ich wcześniej? Tuzin? Więcej? I ile znaleźliście? Tylko, że wyniesiono je z ruder na przedmieściach, nie z takiego pałacu jak tutaj.

– Szukaliśmy ich tak samo jak będziemy szukać tego –

spochmurniał naczelnik.

– I tak samo gównu znajdziecie – splunął setnik.

– Zamknij się, Fasirmusie – spiorunował go wzrokiem Oktawian. – Albo od jutra będziesz patrolował port.

Strażnik wzruszył ramionami i usiadł z powrotem na ławie. Łypnął z niechęcią na agentów i wrócił do czyszczenia paznokci. Prokurator westchnął tylko.

– Kazałem zamknąć odźwiernego w komórcę – wyjaśnił Bektarowi. – Pewnie będziesz chciał go przesłuchać. Ale najpierw zobacz tego barana i pogadaj z Zorosem.

Bektar dał znak swoim ludziom by zostali i ruszył za Oktawianem w głąb domu. Willa prokuratota była typową rzymską rezydencją miejską, jakie budowano od setek lat w całym starym imperium. Zwarty, odcięty wysokimi murami od zgiełku i smrodu miasta budynek tworzył własny mikrokosmos eleganckich sal i korytarzy, posągów i fontann, które

nie straciły niczego ze swej świetności, mimo że Rzymowi wydarto te tereny przeszło sto lat temu. A dzięki bryzie od morza i krzykom mew, można było momentami odnieść wrażenie, że za murem, zamiast szeregu podobnych budynków, czeka widok rozległych plaż, pól i winnic. Tylko ponura cisza i przemykająca chyłkiem ze spuszczonymi głowami służba psuły sielski nastrój zadowolonego z siebie prowincjonalno-rzymskiego dostatku. Zwolnili w podcieniu niewielkiego atrium z sadzawką pośrodku. Woda z fontanny z cichym pluskiem wpadała do zbiornika, w którym złote rybki krążyły leniwie między wodnymi liliami. Ciepłymi wieczorami Oktawian urządzał tu czasem swoje wieczory poetyckie. Teraz jednak przeszli przez atrium w milczeniu do nieco skromniejszej części budynku przeznaczonej dla niewolników i służby, która jakby pochowała się po kątach by nie wchodzić gospodarzowi w drogę.

Oktawian otworzył jedne z drzwi i wpuścił

Beketara do niewielkiego, pogrążonego w półmroku pokoju. Stół, dwa krzesła, parę prostych sprzętów i łóżko, a przy nim podwieszona u belki pusta kołyska.

– To tutaj – oznajmił prokurator. – Na razie przeniosłem Zorosa z żoną do innego skrzydła. Ktokolwiek to zrobił, musiał przejść nocą przez cały dom pełny służby. Albo wynieść dziecko na zewnątrz i wrócić. Rodzice spali obok – wyjaśnił, wskazując na łóżko. – Niczego nie słyszeli.

– Dziwne – podrapał się w brodę naczelnik. – Podejrzewasz któregoś z domowników?

– Nie, ale to przecież nic nie znaczy – westchnął gospodarz. – Wiesz coś o tym? – schylił się i podniósł z podłogi białą czaszkę z wielkimi rogami.

Łeb należał do jakiegoś dużego zwierzęcia, kość była lekko potrzaskana.

– Trochę mnie poniosło, gdy zobaczyłem to w kołysce – wyjaśnił Oktawian. – Rąbnąłem nią o ścianę.

– To baran – Beketar wziął od niego czaszkę. – Ciekawe. Wcześniej to były tylko znaki rogatej głowy na ścianach.

Przyjrzał się trzymanemu czerepowi, ale nie było w nim niczego szczególnego. Odłożył rogaty łeb na łóżko i rozejrzał się po pokoju. Jedyne drzwi wychodziły na korytarz, a żeby do nich dotrzeć z zewnątrz, trzeba było przejść przez cały dom. Pod sufitem znajdowały się małe okna pozwalające dostać się po dachu komuś zręcznemu i mającemu linę, ale zdecydowanie nie zmieściłby się tam spory łeb barana.

– Powiedziałbym, że albo zrobił to ktoś z domowników, albo jakiś akrobata. Daj później moim ludziom drabinę, to poszukają śladów na dachu. A teraz chciałbym porozmawiać z rodzicami.

Zoros okazał się starszym, siwiejącym mężczyzną o krępej posturze i ogorzałej cerze starych Libijczyków.

– Wybacz, wasza dostojność – skłonił głowę przed Beketarem. – Żona słabuje, przyjdzie za chwilę.

– Współczuję – pokiwał głową naczelnik. – Obiecałem Oktawianowi, że zrobimy wszystko, by znaleźć twoją córkę.

– Nie sędzę, bym kiedyś jeszcze ją zobaczył – popatrzył na niego poważnie służący. – Nie na tym świecie – westchnął.

Beketar przyjrzał mu się z uwagą. Zoros wydawał się bardzo zmęczony, jednak nie widać było po nim oznak rozpacz. Raczej jakiś dziwny, podszyty rezygnacją spokój.

– Ty coś wiesz, prawda? – zwrócił się do służącego naczelnik. – Wiesz, kto mógł to zrobić i dlaczego?

– Powiedz mu wszystko, Zorosie – polecił ponuro Oktawian.

Starszy mężczyzna zamyślił się na chwilę.

– Jestem Libijczykiem z dziada-pradziada jak mój pan –

skłonił głowę gospodarzowi – i wiem o wielu rzeczach, o których w dzisiejszych czasach bezpieczniej byłoby nie wiedzieć – oznajmił z namysłem.

Podszedł do leżącej na łóżku baraniej czaszki, podniósł ją i położył na stole. Beketar z Oktawianem przyglądali się temu bez słowa.

– Baal Karnaim, Pan Obu Rogów... Coś to mówi waszej dostojności? – Zoros zwrócił się do naczelnika.

Beketar zawahał się przez moment.

– Coś tam słyszałem – odparł ostrożnie, zerkając na Oktawiana. – Baal, demon starej Kartaginy.

– Tak – pokiwał głową Zoros. – Kiedyś nazywano go też Dobrym Bogiem. Podobno dawno temu miał nawet swoją świątynię w Jerozolimie.

– Poczekajcie... – Oktawian wyrżał na korytarz i przymknął drzwi.

– Nie wiem zbyt wiele, wasz dostojność – podjął sługa.
– To tylko stare opowieści z dawnych czasów. Bajki dla

dzieci.

– Nieważne, mów – ponaglił go niecierpliwie Beketar. – Baal, Pan Obu Rogów...

– Baal Karnaim – kiwnął głową Zoros. – Podobno nazywano go też czasem Melkartem, a czasem Amonem. A może to był całkiem inny Baal? Bogowie są jak delta Nilu. Odnogi, dopływy, nowe koryta i starorzecza. W młodości trochę pływałem na statkach, byłem w Egipcie – wyjaśnił. – Płynie się wieloma różnymi nurtami, które mają swoje nazwy, a jednak to wciąż ta sama, wielka rzeka. Podobnie było ze starymi bogami.

– Demonami – poprawił Beketar. – Nie znam się na bogach, ani na demonach, ale chyba rozumiem – powiedział z namysłem. – Tylko, co to ma wspólnego z zaginięciem twojej córki, Zorosie? Co tu się stało? Kto zabrał twoje dziecko? Bo raczej nie demon.

– Nie wiem – rozłożył ręce służący. – Mówiłem, to tylko stare bajania. Ale czasem opowiadały o starych bogach pożerających dzieci. A niektórzy mówią... – zawahał się.

– Mówią, że stara wiara wciąż żyje – dokończył niepewnie pod pytającym wzrokiem Beketar.

– Jesteś pewien, Zorosie? – zmarszczył brwi naczelnik.
– Tu chodzi o twoje dziecko.

– Nie wiem, niczego nie jestem pewien, wasza dostojność – westchnął mężczyzna. – Ale możecie poszukać niejakej Fenany. Podobno znów jest w mieście. Ona może wiedzieć.

– Fenana? Kto to? Nie słyszałem o takiej – uniósł brwi Beketar.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda kobieta w prostej sukni. Błada, z podkrążonymi, zaczerwienionymi oczami, mogła nie mieć jeszcze dwudziestu lat. Nie patrząc na nikogo, usiadła na łóżku i wpatrzona w ścianę zaczęła bujać pustą kołyską.

– Moja żona... – wyjaśnił Zoros i popatrzył znacząco na naczelnika, przykładając palec do ust.

– Przykro mi z powodu waszej straty. Zrobię wszystko... – zaczął to samo któryś już raz tego dnia Beketar.

Przerwał, bo kobieta nawet nie odwróciła głowy. Przycisnęła tylko oburącz kołyskę do piersi, jakby to było dziecko i zaczęła kiwać się w przód i w tył z pustym łódeczkiem na rękach.

– Potrzebna nam twoja pomoc – spróbował wyjaśnić łagodnym tonem. – Chcę zadać ci kilka pytań.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Muszę wiedzieć, co tu się stało – oświadczył powoli i wyraźnie Beketar. – Rozumiesz?

Nie doczekawszy się reakcji spojrzał pytająco na Zorosa i Oktawiana.

– Od rana wpada w taki stupor – wyjaśnił markotnie służący. – Wasza dostojność może spróbować trochę później, może popołudniu? – zaproponował.

– Tak zrobię – zgodził się naczelnik. – I tak musimy

dokończyć naszą rozmowę, a potem chcę przepytać wszystkich domowników.

– To może... – nie dokończył Oktawian. – Poczekaj – uniósł dłoń, bo od strony wejścia do willi dało się słyszeć jakieś zamieszanie.

Otworzył szerzej drzwi. Od bramy słychać było podniesione głosy. Po chwili przybiegł zdyszany jeden ze służących.

– Panie – wysapał do gospodarza – przybył biskup Lindulf z ludźmi i domaga się, żeby go wpuścić. Dwaj... panowie, którzy twierdzą, że są ze służby królewskiej, robią mu trudności.

– Cholera! – zaklął prokurator. – Tylko jego mi tu jeszcze potrzeba! Idź, powiedz jego wielbności, że zaraz przyjdę – odesłał sługę. – I co ty na to, Beketarze? – spojrzał niespokojnie na naczelnika.

– Lindulf nie da się spławić – skrzywił się ten. – Ani słowa o czym tu mówiłeś – polecił Zorosowi. – Nie

chcecie, by biskup wmieszał was w konszachty z pogańskimi demonami.

– W ogóle nie będą gadać – orzekł Oktawian. – Zoros szybko zabierze stąd żonę i wyjdzie tylnymi drzwiami – zarządził. – Schowacie się w naszym magazynie w porcie. A ja coś wymyślę dla Lindulfa.

– Zaraz! – wstrzymał ich Beketar. – A ta Fenana? Kto to i jak ją znaleźć?

– Nie wiem – służący spojrzał niespokojnie na żonę, ale ta nadal zdawała się niczego nie słyszeć. – Tak w starych opowieściach nazywała się ostatnia kapłanka Kartaginy. Słyszałem tylko, że od jakiegoś czasu ktoś w mieście się za nią podaje. Więcej nie wiem.

– Starczy – ponaglił ich gospodarz. – Porozmawiacie jutro. Chodźmy już, Beketarze, nim biskup straci cierpliwość.

– Beketarze... – podjął gospodarz, gdy wolnym

krokiem, by zyskać na czasie, zmierzali w stronę bramy.

– To, o czym mówił Zoros... To tylko stare bajki. Opowiadał mi je, kiedy byłem mały.

– Nie wierzysz w grasujące po mieście demony? – uśmiechnął się niewesoło naczelnik.

– Nie o to chodzi – odparł poważnie prokurator. – Nie w tym rzecz, czy w nie wierzę, tylko, czy mogę w nie wierzyć. Otóż, jako dobry Arianin, nie mogę. I tobie też nie radzę. Widzisz... – wyjaśnił, spostrzegłszy brak zrozumienia na twarzy naczelnika. – Moja rodzina żyje tu od zamierzchłych czasów. Moi przodkowie przybyli tu przed wiekami z dalekiego Tyru, gdy Kartagina był tylko faktorią handlową. Moi pradziadowie walczyli z Rzymem pod Kannami i pod Zumą. Dziś sami jesteśmy Rzymianami²⁵, a Kartaginą rządzą Wandalowie. Wyginęlibyśmy wieki temu, gdybyśmy nie unikali... niewłaściwych tematów.

– Cenna sztuka – prychnął sarkastycznie Beketar.

– Żebyś wiedział – westchnął Oktawian. – Żebyś

wiedział. Kiedyś nie będzie tu Wandalów, nie będzie Rzymian, ale wciąż będzie tutaj mój ród.

– I kim będziecie wtedy, Oktawianie? Maurami? – roześmiał się z przekąsem naczelnik.

– Dlaczego by nie? – wzruszył ramionami prokurator. – Wszystko się zmienia, przemija; przemijają królestwa i ludy, przemijają, jak widać, nawet bogowie. A my trwamy. Dlatego nie będzie żadnej starej wiary w moim mieście – podkreślił z naciskiem.

– *Tempus fugit* – odparł filozoficznie Beketar.

– *Fugit irreparabile tempus* – pokiwał głową Oktawian. – Ale, jak widać, niektóre rzeczy wciąż uparcie żyją w naszej pamięci. I w snach.

– I w snach, jaśnie oświecony poeto – zgodził się naczelnik.

– Tylko czasami to złe sny – dodał smętnie prokurator.

Gdy weszli do holu, zobaczyli bogato odzianego, niestarego Wandala z patriarchalną brodą i wystającym spod niej złotym krzyżem, za którym stało paru księży lub pomocników z bojowymi minami. Przed nimi, z rękami założonymi na piersiach, jak dwie łyse góry, blokowali przejście Frodulf z Bilbertem. Strażnik przypatrywał się temu z ławy ze znudzoną miną.

– Oktawian! Nareszcie! I Beketar! – wykrzyknął na ich widok czerwony na twarzy biskup. – Twoje osiłki nie chcą mnie wpuścić do środka!

– Lindulfie... – uśmiechnął się niechętnie naczelnik. – Wybacz, moi ludzie mają pilnować, by nikt nie przeszkadzał w królewskim śledztwie.

– Od dzisiaj to również moje śledztwo – oznajmił ze złością biskup.

Lindulf, mimo nobliwego na pierwszy rzut oka wyglądu, sprawiał bardziej wrażenie wojownika, niż duchowego pasterza. Ruchy miał pewne, zdecydowane, a u pasa wisiał mu wysadzany rubinami sztylet.

– Czyżby? – uniósł brew Beketar.

– To jest oficjalna zgoda komesa – Lindulf wyciągnął zza pazuchy kawałek pergaminu.

Beketar wziął od niego dokument, przestudiował, obejrzał pieczęć.

– Wpuście ich – mruknął do Frodulfa i Bilberta, oddając pergamin.

Obaj odsunęli się posłusznie, patrząc spode łba na biskupa i jego ludzi.

– Witaj, Lindulfie. Cieszę się, że zajmiesz się tą sprawą – przybrał wyraz szczerzej radości Oktawian.

– Tak. Szczęść Boże temu domowi – nieco ochłonął biskup. – Dostanę trochę wina? Na początek chciałbym zobaczyć gdzie to się stało – oznajmił, nie czekając na odpowiedź. – Znalazłeś tam coś, Beketarze? – spojrzał na naczelnika.

– Nie wyczułem siarki, jeśli o to ci chodzi – wzruszył ramionami Beketar.

– Błyskotliwy jak zawsze – skrzywił się biskup. – Podobno w piekle jest specjalna ściana, na której wieszają takich za języki. Prowadź, Oktawianie – bardziej polecił niż poprosił, dając swoim ludziom znak by zostali. – I tylko bez awantur – łypnął na siedzących z niewinnymi minami Bilberta i Frodulfa.

Ruszyli korytarzem w stronę opustoszałej sypialni.

– To jak sobie wyobrażasz naszą współpracę, Lindulfie?
– mruknął Beketar.

– Ty szukasz śladów ziemskich i ziemskich porywaczy, jeśli tacy istnieją, a ja duchowych – biskup z zainteresowaniem rozejrzał się po budynku. – Oczywiście może się okazać, że to będą ci sami.

Beketar wrócił do siebie dopiero późnym wieczorem. Nie udało mu się już porozmawiać z Zorosem, a przeprowadzone wspólnie z Lindulfem przesłuchania

domowników niewiele wniosły. Biskup drażył głównie temat rogatej głowy, ale gdy zaproponował standardowe w podobnych przypadkach tortury, Oktawian zaprotestował, a naczelnik dla zasady pomysłu nie poparł. Również Frodulf z Bilbertem nie znaleźli na dachu nic ciekawego.

– Nasz drogi biskup twierdzi, że to diabeł porywa dzieci – skrzywił się Beketar, relacjonując Jonatesowi śledztwo.

– Lindulf zna się na diabłach jak osioł na filozofii i robi mądrą minę, choć tak naprawdę żuje trawę – prychnął sługa.

– Tak, ale służący Oktawiana też sugerował coś podobnego – podrapał się po brodzie Beketar. – Odwiedzimy go jutro. Muszę dokończyć naszą rozmowę. Zoros wspomniał o niejkiej Fenanie, być może pogańskiej kapłance, która ma z tym coś wspólnego, ale Lindulf nam przerwał. I coś jeszcze przyszło mi do głowy. Upewnij się, czy wszystkie rodziny

zaginionych dzieci miały punickie korzenie.
Podejrzewam, że tak.

– Fenana, Fenana... – zastanowił się Jonates. – Nic mi się nie kojarzy.

– Mnie też, ale nie szkodzi. W końcu mamy jakiś trop – Beketar wyraźnie poweselał. – Najpierw odwiedzimy Zorosa, a potem wyznaczymy za tę Fenanę nagrodę i rozpuścimy informację po mieście.

– A nie wydaje ci się – podrapał się po łysinie sługa – że to jakieś takie... zbyt ostentacyjne? Dziecko z bogatego domu, kiedy w koło tylu biedaków. I jeszcze ta głowa. Jakby ktoś bardzo, jeszcze bardziej, chciał zwrócić na siebie uwagę.

– Fakt – zgodził się naczelnik. – No to zwrócił. A my go wreszcie znajdziemy.

Jednak, gdy na drugi dzień rano stanęli przed bramą magazynu Oktawiana, długo musieli dobijać się do środka. W końcu zaspany stróż uchylił furtę.

– Zoros? Wrócił do domu jego oświeconości – ziewnął.

– Zoros? – zdziwił się Oktawian, gdy wrócili do willi. – Miał siedzieć w magazynie.

Stary służący zniknął razem z żoną i nikt nie potrafił powiedzieć gdzie. Ktoś widział ich wychodzących z miasta, ktoś jak wchodzili na odpływający statek. Jak kamień w wodę. Wściekły Beketar z Jonatesem wracali w milczeniu białymi ulicami dzielnicy willowej.

– I znowu jesteśmy z niczym – warknął Beketar, gdy bielone mury ustąpiły miejsca odrapanym budynkom bliżej forum. – To się nie trzyma kupy. Przecież chcieliśmy odszukać tego dzieciaka.

– Może wiedział, że to beznadziejna sprawa? – podrapał się po głowie Jonates. – Musiał się też czegoś

bardzo wystraszyć. Ciekawe... Węszącego Lindulfa, czy tej Fenany?

Beketar pokręcił głową zniechęcony. Przez dłuższą chwilę szli przez miasto zajęci własnymi myślami. Na ulicach pojawiło się więcej ludzi.

– Powinniśmy odwiedzić Zgromadzenie – zasępił się Beketar. – I musimy znaleźć tę cholerną Fenanę, nim Lindulf przekona wszystkich, że to robota diabła.

– Może jedno i drugie – mruknął Jonates, gdy wyszli na zatłoczony plac. – A za te nocne zgromadzenia biskup też kiedyś dobierze nam się do dupy.



Od zachodu słońca minęła już jakaś godzina i gwiazdy rozlały się nad górami szeroką wstęgą drogi mlecznej. Księżyc w pełni pozwalał widzieć przynajmniej najbliższe metry ścieżki wijącej się łagodnie w górę wśród czarnych krzaków, ale Beketar i tak ostrożnie

prowadził konia za uzdę po kamienistym szlaku. Za nim podobnie podążał Jonates ze swoim wierzchowcem, co jakiś czas złorzecząc cicho pod nosem. W końcu zarośla po obu stronach skończyły się i wyszli na otwartą przestrzeń na szczycie niewielkiego wzgórza. Kilkadziesiąt metrów przed nimi majaczyły w chłodnej poświacie nieregularne kształty jakiejś budowli, jakby kolumny i ściany. Gdzieś u podstawy tej czarnej konstrukcji świecił nieśmiało i blado niewielki płomyk, którego z pewnością nie dało się dostrzec z większej odległości. Beketar sięgnął do sakwy przy siodle i wyjął z niej dwa kawałki szarego płótna. Jeden z nich rzucił Jonatesowi, drugi rozłożył w coś na kształt małego worka i włożył na głowę. Worek miał wycięte otwory na oczy i usta, cała głowa pozostawała jednak ukryta. Na wysokości czoła kaptur Beketara miał namalowanego prostymi liniami konia i jedną z greckich liter. Jonates zakrył twarz podobnym kapturem, na którym namalowano dużą rybę obok jakiejś innej litery. Tak zamaskowani ruszyli w kierunku światła.

Budowla okazała się z bliska dużą ruiną czegoś, co mogło być niegdyś samotną świątynią. Obrośnięte bluszczem kamienne kolumny, niektóre na wpół zwalone, nie podtrzymywały już dachu, ale przynajmniej od strony, z której przyszli ostała się większość wystającej sponad krzaków ściany. Światółko okazało się postawionym na kamieniu kagankiem rzucającym blade, chwiejne cienie na zwalone kamienie. Zatrzymali się przed nim i obrócili parę razy tak, żeby można było się im przyjrzeć z każdej strony. Po chwili z ciemności wyszły trzy postacie w podobnych, skrywających twarz kapturach. W rękach trzymały długie noże.

– Niech będzie pochwalony Największy – odezwał się pierwszy z nich z namalowanym na kapturze słońcem.

– Największy Oświecony – odpowiedział Beketar.

– Niech będzie pochwalony Największy – powtórzył drugi w kapturze z księżycem w nowiu.

– Największy Nauczyciel – odparł Beketar.

– Niech będzie pochwalony Największy – ponowił trzeci noszący symbol gwiazdy.

– Największy Artysta – odrzekł Beketar.

– Hermes po Trzykroć Największy – skłonił się ten ze słońcem, chowając nóż. – Witajcie, bracia. Bracie Koniu, bracie Rybo, zostawcie tu swoje wierzchowce i chodźcie za mną.

– Rybo! – prychnął pod nosem Jonates. – Przecież widać, że to wieloryb.

Poszli za bratem Słońce ciemną ścieżką między kamieniami. Po kilkunastu metrach przewodnik odchylił kępę krzaków, wskazując im duży wyłom w ścianie. Podziękowali mu i weszli do środka. Spore pomieszczenie zadaszało tylko rozgwieżdżone niebo, ale wysokie ściany z kamiennych bloków odgradzały je od niepowołanych oczu. W środku, w blasku rozstawionych na kamiennej podłodze kaganków, stało już w małych grupkach około dwudziestu zamaskowanych osób.

– Niech będzie pochwalony Najwyższy – odezwał się na powitanie Beketar.

– Po Trzykroć Najwyższy – odpowiedzieli zgromadzeni.

Beketar rozejrzał się po zakapturzonych postaciach. Większość z nich nosiła się po rzymsku, ale było też parę wandalskich strojów, a nawet jeden wyglądający na Maura. Nie wszyscy byli ubrani bogato, ale oczywiście mogła to być też tylko kwestia przebrania. Beketar odszukał wzrokiem kaptur z rysunkiem strzały. Skinieniem głowy pozwolił odejść Jonatesowi i ruszył w tamtą stronę. Wyglądający również na Wandala brat Strzała przeprosił swoich rozmówców i serdecznie przywitał się z Beketarem.

– Witaj, bracie Koniu. Dawno cię nie było.

– Witaj, bracie Strzało. Mnie też brakowało naszych spotkań. Możemy chwilę porozmawiać na osobności?

– Po ceremonii, jeśli pozwolisz. Dzisiaj ja jestem

prowadzącym.

– Oczywiście, bracie Strzało. Poczekam.

Do zebranych dołączyło jeszcze kilka osób, gdy pojawili się trzej strażnicy i dali znak, że już pora. Brat Strzała wstąpił na ustawiony pod ścianą kamienny blok i uniesioną dłonią uciszył zgromadzenie.

– Witajcie, bracia! Niech boska Sofia, córka Prawdziwego Boga, spłynie swoją łaską na nasze zgromadzenie.

– Niech spłynie na nas wiedza – odpowiedzieli chórem zebrani.

– Niech Boska Sofia, Matka Aniołów, spłynie swoją łaską na nasze zgromadzenie.

– Niech spłynie na nas objawienie – odpowiedzieli.

– Niech Boska Sofia, zniewolona lecz nieuległa, spłynie swoją łaską na nasze zgromadzenie – powtórzył po raz trzeci brat Strzała.

– Niech spłynie na nas oświecenie – odpowiedział chór

głosów.

Prowadzący zrobił krótką pauzę.

– Wiedza, objawienie i oświecenie! – podjął. – Będziemy szukać ich w korzeniach skały.

Jeden z uczestników wyszedł przed zgromadzonych, wyjął zza pazuchy świecę i odpalił ją od najbliższej pochodni, po czym ustawił ją na posadzce i wrócił do grupy.

– Będziemy szukać ich wysoko w przestworzach – oznajmił brat Strzała.

Kolejny z zebranych postawił swoją świecę w pewnej odległości od pierwszej.

– Będziemy szukać ich w oddechu smoków.

Pojawiła się następna świeca.

– Będziemy szukać ich na dnie oceanu.

Czwarta świeca stanęła na posadzce.

– Będziemy szukać ich w sobie.

Brat Strzała zszedł z podwyższenia. Przyklęknął, wyciągnął kawałek węgla i zaczął kreślić nim linie między świecami. Na posadzce pojawił się równoramienny krzyż. Brat Strzała otoczył go dotykającym ramion kręgiem i pochylił głowę, a za nim zrobili to pozostali. Świece zaskwierczały i rozjarzyły się na chwilę jasnym światłem, rzucając wewnątrz kręgu wiszący w powietrzu cień, mglistą sugestię kobiecej postaci. Trwał tam przez parę sekund, po czym świece ponownie przygasły. Brat Strzała wstał, otrzepując tunikę, a zebrani podnieśli głowy i zaczęli siadać tu i tam na kamiennych blokach, resztkach kolumn, kamieniach. Brat Strzała rozejrzał się po zgromadzonych i zatrzymał wzrok na Jonatesie, który skinął głową i wyszedł na środek.

– Jest dziś z nami brat Ryba, który obiecał nam... Tak? – Strzała nachylił się do Jonatesa. – Przepraszam, Wieloryb. Jest dziś z nami brat Wieloryb, który obiecał nam przedstawić pierwszy fragment swojego tłumaczenia

na łacinę Sefer Jecira, Księgi Stworzenia.

Jonates poprawił kaptur, wyciągnął gruby zwój, wszedł na podwyższenie i odchrząknął.

– Witam was, bracia. Co było na początku? – zrobił teatralną pauzę. – Chcę wam przedstawić traktat, który stoi w sprzeczności z naszym pojmowaniem istoty i początku bytu. Wierzę jednak, że w tym gronie zarzucicie mnie co najwyżej pytaniami, nie kamieniami – spróbował zażartować.

Zebrani pokiwali głowami z wyraźnym zainteresowaniem. Beketar dał głową znak bratu Strzale, który zostawił Jonatesa i podszedł do dziury w murze.

– Wyjdźmy na zewnątrz, bracie Koniu. Nie będziemy przeszkadzać. W czym mogę ci pomóc? – spytał, gdy znaleźli się w mroku po drugiej strony ściany.

– Miałeś kiedyś wykłady o pogańskich wierzeniach Maurów i dawnych Kartagińczyków – zaczął Beketar.

– Tak – kiwnął głową brat Strzała. – O starych kultach

i synkretyzmie religijnym. Fascynujący temat, prawda? Niestety, świat dawnych mitów powoli odchodzi w zapomnienie. Gdy nawrócimy Maurów, nie pozostanie po nim żaden ślad – skonstatował ze smutkiem.

– Cóż... – zastanowił się Beketar. – Wszystko przemija, przyjacielu. A potem znów przemija. I jeszcze raz. Nazywamy to postępem – uśmiechnął się pod kapturem. – Mój pradziad, nim przyjął chrzest, czcił wbity w ziemię nagi miecz i kosmiczną kobyłę, a ja dziś już niczego więcej o tym nie wiem. Ale czy to źle?

– Nie. Tylko szkoda mi tych wszystkich opowieści – pokiwał głową brat Strzała. – O tym, jak bóg-rybak wyłowił ład z bezkresnego oceanu, o tym, jak pierwszy bawół zapłodnił ziemię wszelkim stworzeniem i tylu innych.

– Stworzymy nowe, bracie Strzało – pocieszył go Beketar. – Zawsze tworzymy nowe opowieści. A i niektóre ze starych przetrwają. Bogów Rzymu unieśmiertelniły nie nektary, nie złote jabłka, tylko

strofy Owidiusza.

– Heh... Czy to nie ironia, bracie Koniu? – westchnął Strzała. – Życie bogów zależy od natchnienia poetów.

– A ich śmierć od olśnienia filozofów – zaśmiał się Beketar.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Brat Strzała drgnął gdy przecięła je spadająca gwiazda.

– Chyba jednak nie o tym chciałeś rozmawiać, bracie Koniu?

– Interesuje mnie Baal, stary demon Kartaginy – ściszył głos Beketar.

– Baal to nie imię, to tytuł; jak patrycjusz – pokręcił głową Strzała. – Oznacza możnego pana i określano nim różne z dawnych syryjskich bóstw. Niektóre z nich przypłynęły kiedyś z osadnikami do Kartaginy. Ale które? Haddu? Ammon? Melkart? A może później El Gabal? Który z nich cię interesuje, przyjacielu?

– W Hipponie giną małe dzieci, niemowlęta. Na miejscu znajdowano często symbol rogatej głowy. Ktoś zasugerował mi niedawno, że to może mieć coś wspólnego z Baalem, którego nazwał chyba Panem Obu Rogów.

Brat Strzała nie odpowiedział od razu.
Podrapał się przez kaptur po brodzie.

– Stare kultury wciąż tłą się pod powierzchnią – odparł w końcu. – Katolicy, arianie, donatyści, hermetycy²⁶, gnostycy²⁷ – wszyscy pływamy po tym mętłym oceanie, toczymy na nim swoje bitwy i nie zwracamy uwagi na to, co ukryło się w głębinach.

– Zdaje się, że coś jednak postanowiło wystawić paszczę nad wodę – zauważył Bektar. – Giną dzieci. Muszę wiedzieć, z czym walczymy, czego szukać. Dlatego pytam cię o tego Baala. Takiego z rogatą głową.

– Baal Hammon, albo Baal Karnaim – Pan Obu Rogów – pokiwał głową Strzała.

Zamyślił się na chwilę, a Beketar nie przerywał.

– Nie wiem, czy Kartagińczycy składali ofiary z dzieci, ale na pewno działo się tak w Syrii. – podjął w końcu Strzała. – Palono je na ołtarzach.

– Palono?! – skrzywił się pod kapturem Beketar.

– Prorok Eliasza groził za to kamieniowaniem – wyjaśnił spokojnie Strzała. – A prorocy nie zajmują się byle czym. Może po prostu ktoś próbuje wykorzystać starą biblijną opowieść do swoich celów?

– Tylko po co miałby to robić? – pokręcił głową Beketar.

– Nie mam pojęcia, ale... – zawiesił głos Strzał. – Mówiłeś, że bogowie Rzymu przetrwają w poezji. Może ktoś chce by przetrwał też Pan Obu Rogów? Tylko nie ma talentu literackiego, za to umie mordować dzieci? Nie, to głupie... – machnął ręką. – Nie mam pojęcia, bracie Koni. Chyba nie rozjaśniłem ci twojego problemu.

– Nie wiem, bracie Strzało – podrapał się po głowie

Beketar – ale dziękuję. Przy okazji... Słyszałeś może o niejkiej Fenanie? – spytał bez większej nadziei.

– Słyszałem – odpowiedział niespodziewanie Strzała. – To, zdaje się, też raczej tytuł niż imię, ale nie mam pewności. W dzisiejszych czasach wszystko się miesza. Biała Kapłanka, albo Białowłosa Pani, różnie to tłumaczą. Słyszałem, że w dawnych czasach kapłanki Astarte, albo Ashtoret, tej starej nierządnicy, nosiły jasne peruki. Podobno jej również składano w ofierze dzieci, a ona sama również przywdziewała dwa rogi. Niezły, za przeproszeniem, burdel z tymi starymi bogami, prawda²⁸? – chyba uśmiechnął się pod kapturem. – Ale przyznam się, że moja wiedza w tym temacie jest dosyć powierzchowna i nie potrafię wiele więcej o tym powiedzieć – rozłożył ręce.

– Cóż... Mimo wszystko, bardzo ci dziękuję – schylił głowę Beketar. – Podziwiam twoją wiedzę. Wiem, że to wbrew regułom, bracie Strzało, ale powiedz mi, jeśli możesz, czym się zajmujesz na co dzień?

– Jestem księdzem, bracie Koniu.

– Naprawdę? – zdziwił się Beketar.

– Naprawdę. Ariańskim księdzem, potomkiem pogan z północy. Ludzi, którzy czcili ziemię i pioruny – chyba znów się uśmiechnął.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Rogaci bogowie, rogate boginie, pijaństwo, orgie i ofiary z dzieci... – pokręcił głową Jonates, gdy o świcie wracali powoli, kiwając się sennie w siodłach, do Hippony. – Prorocy mieli rację, tępiąc to ponure towarzystwo.

– Taa... – mruknął Beketar. – Ale pijaństwo i orgie mogli nam zostawić. A na razie wciąż gównie wiemy.

– A białowłosa? – zwrócił uwagę Jonates. – Zawsze to jakiś trop.

– Gównu, nie trop – skrzywił się Beketar. – Połowa naszych kobiet ma jasne włosy i prawie tyle samo Mauryjek. Połowa dziwek na mieście nosi jasne peruki. Przypomnij mi rano, żeby ogłosić nagrodę za informacje o tej Fenanie. A to gównu, nie trop – powtórzył.

*

– A to co? – Beketar ze zdziwieniem podniósł ze stołu coś przypominającego kupkę siana.

Było wczesne popołudnie, a zwykle przyjemny wiatr od morza tym razem niósł przez okna pałacu tylko spieczony zapach soli i wodorostów.

– To? – uśmiechnęła się Brunfrid. – Daj – zabrała mu dziwny przedmiot. – Niedawno kupiłam. Odwróć się.

Beketar uniósł brwi, ale obrócił się w stronę okna.

– I jak? – spytała, nim zdążył dobrze oprzeć się o parapet.

Spojrzał w jej stronę i zastygł z głupią miną.

– Niezła, prawda? – przechyliła głowę Brunfrida.

Miała na sobie długą, nieco potarganą, lecz wciąż elegancko upiętą blond perukę.

– Pomyślałam, że ci się spodoba – uśmiechnęła się promiennie.

– No... dosyć... ciekawa... – wyjąkał skonfudowany.

– Jak elegancka kurwa – roześmiała się. – Lubisz blondynki? Przyjdę w niej do ciebie następnym razem – zapowiedziała, zdejmując perukę z głowy.

– Wolę cię normalnie – zachmurzył się.

– Gadanie! Choć tu – objęła go. – Kiedy ostatnio spałeś z blondynką? – trąciła go nosem. – Albo nie, lepiej nie mów – odepchnęła go ze śmiechem od siebie.

– Frido... – westchnął, ale przyciągnął ją z powrotem do siebie.

– Nie teraz, Beki – zdjęła jego rękę ze swojego dekoltu.

– Służba jest w drugim pokoju. Postaram się wpaść do ciebie jutro – popchnęła go delikatnie w stronę drzwi.

– Jasne. Jutro – mruknął z przekąsem.

– Czekaj na mnie, alański ogierze – przesłała mu całusa.

– Hilda! – uśmiech spętał z twarzy Brunfridy gdy tylko zamknęły się drzwi za Beketarem.

Przeszła na środek pokoju i wzięła się pod boki.

– Hilda! – krzyknęła raz jeszcze.

Po chwili do środka wbiegła spłoszona dziewczyna.

– Podejdź! – warknęła Brunfrida. – Co to jest?! – podstawiała jej pod nos perukę i zamierzyła się na dziewczynę drugą ręką.

Ta skuliła się odruchowo, ale Brunfrida rzuciła jej tylko w twarz płataninę jasnych włosów.

- Przez ciebie robię z siebie idiotkę. Miałaś to schować!
- syknęła.



Słońce zaczynało zbliżać się do grzbietu gór, zapowiadając upragniony chłodny wieczór, gdy na boczny dziedziniec pałacu tragarze wnieśli skromną lektykę, jaką można wynająć na mieście. Wysiadła z niej niewysoka, szczupła kobieta w rzymskiej sukni. Zapłaciła tragarzom i ciekawie rozejrzała się dookoła. Pałac pamiętał jeszcze czasy cesarza Hadriana i tak też wyglądało to skrzydło budynku. Obrośnięte bluszczem kolumny kruszyły się w wielu miejscach, a między spękanym brukiem rosła trawa. Zaraz zjawił się któryś ze służących i po krótkiej wymianie zdań oddalił się w głąb pałacu. Po chwili na dziedziniec wyszedł Beketar.

– Kuzynaka Walasinda! – ucieszył się.

– Kuzyn Beketar – pocałowała go w policzek.

Kuzynka Walasinda, choć ubrana jak rzymska gospodyni, bez dwóch zdań była Wandalką. Ze swoimi jasnymi lokami i niebieskimi oczami mogła uchodzić za siostrę bliźniaczkę Beketara. No, może piegowaty, zadarty nosek trochę psuł podobieństwo, za to zdecydowanie poprawiał efekt końcowy.

– A gdzie szanowny małżonek Klaudiusz?

– Zostawiłam go na wsi. Dobrze mu robi, jak przez parę dni sam zajmie się dziećmi i gospodarstwem.

– Tylko przez parę dni? Kiedy w końcu przyjedziesz na dłużej?

– Muszę tylko załatwić parę spraw. Szybko by ci się sprzykrzyło. Płoszyłabym ci twoje przyjaciółki – mrugnęła okiem.

– A, niech tam. Dla ciebie, Sindo, sam je przepłoszę – zaśmiał się. – A gdzie masz służbę? Tylko nie mów, że zatrzymałaś się w zajeździe, kiedy mamy tu tyle wolnych pokoi.

– Wolnych od nocnych natrętów? – mrugnęła okiem. –
Dziękuję, ale to całkiem przyzwoity zajazd.

– No, trudno – westchnął z udawanym smutkiem. –
Chodź, pokażę ci starą punicką mapę, którą kupiłem
od jednego kupca. Prawie całe zachodnie wybrzeże
Afryki! I Wyspy Szczęśliwe, wyobraź sobie.

– Wyspy Szczęśliwe... – uśmiechnęła się. – A tobie
do szczęścia wystarczy kawałek pomalowanego papieru.
Jak dziecko.

– Skoro ty nie chcesz mnie uszczęśliwić,
zadowolam się papierem – odpowiedział uśmiechem.

– Już to widzę – szturchnęła go w bok.

– Wiesz, mam też inne pergaminy...

– Pewnie znowu jakieś świństwa?

– To też – roześmiał się. – Ale Owidiusz powinien ci się
spodobać.

– Mam nadzieję, że to ten twój przystojny niewolnik –
mrugnęła. – Żartuję. Możesz mi to zapakować na drogę.

Odeślę ci jak przeczytam. A jak tam twoja praca?

– Chodź, sama zobaczysz – wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę mniejszego dziedzińca.

Gdy wchodzili w podcienie, spostrzegł stojącą w oknie Brunfridę. Pomachał jej, ale tylko odwróciła się, udając, że go nie widzi.

– Jonatesie, pamiętasz moją kuzynkę Walasindę? – spytał Beketar, kiedy znaleźli się w kancelarii.

– Oczywiście – skłonił się sługa, odkładając pióro. – Pamiętam wszystkie piękne kuzynki mojego pana.

– Dzień dobry, Jonatesie – uśmiechnęła się Walasinda. – Musisz mi kiedyś opowiedzieć o tych wszystkich "kuzynkach".

– Oczywiście – skłonił się ponowie. – Obawiam się jednak, że pan Beketar przypomni sobie zaraz o jakiejś niecierpiącej zwłoki pracy, która pochłonie mnie bez reszty do końca pobytu jaśnie pani.

Walasinda roześmiała się głośno. Beketar tylko westchnął.

– Mam wyjść, panie? – spytał Jonates.

– Nie trzeba, pracuj dalej. Na razie nie będziesz mi potrzebny.

Sługa skinął głową, wziął ze stołu kawałek wosku, ugniół go w rękach, zatkał nim uszy i wrócił do pracy. Beketar sięgnął po dzban.

– Trochę wina? – zaproponował kuzynce.

– Pół kubka, z wodą.

– No, co ty? – skrzywił się.

– Pamiętasz, co mawiała babka? Że w winie rozpuszcza się cnota – uśmiechnęła się.

– Mnie mówiła tylko, żebym nie pił wina gdy będę szukał żony – roześmiał się. – A ponieważ już nie szukam, to myślę, że: *Wino czyni serce tkliwym / Miłość duszę opromienia... / Miłość z winem - oto płomień rozpalony wśród płomienia*²⁹ – wyrecytował z udanym uniesieniem. –

Proszę. Dla ciebie cały dzban – wyszczerzył zęby. –
Częstuj się, a ja rozłożę mapę. Na tamtym stole jest parę
rycin, które mogą cię zainteresować.

Zostawił jej dzban i kubek i zaczął wyciągać jakieś
zwoje. Walasinda nalała sobie trochę wina i podeszła
do stołu, który wskazał. Bez większego zainteresowania
zaczęła przerzucać leżące na blacie kartki z rysunkami
ludzkich postaci.

– O rany! To tak można? – podniosła jedną z rycin
do oczu. – A to? – wzięła następną. – Co oni jej robią? Faj!
– rzuciła papier na stół. – O, coś nowego? – podniosła
leżący z boku zwój i rozwinęła go w połowie. – *Amore
petitur, amore quaeritur, amore pulsatur, amore revelatur,
amore...*³⁰ – zaczęła czytać całkiem płynnie.

– Oddaj, to nie dla ciebie – Beketar wyjął jej zwój z ręki.

– Aurelius Augustinus – zdążyła przeczytać. – Ładne.
Nie boisz się tego trzymać? Tak na wierzchu.

– Powiedzmy, że trzeba znać swojego wroga –

uśmiechnął się. – Poza tym, nikt niepowołany nie odważy się tu grzebać. Chodź, zobacz! – wskazał na rozwinięte na podłodze zwoje.

Podeszli bliżej. Kilka ułożonych jedna obok drugiej wstęg papirusu tworzyło wspólnie dużą mapę świata. Po nakreślonych czarnym atramentem lądach widać było niebieskie rzeki przecinające zielone równiny pod brunatnymi zygzakami gór. Morza falowały błękitnym tuszem, niosąc statki, delfiny i bliżej nieokreślone stworzenia z dużą ilością macek. Całość uzupełniały liczne malowane wstążki z nazwami krain i miast.

– Popatrz, tu są Indie, do których dotarł kiedyś Aleksander Wielki...

– Kto?

– Grecki wódz z dawnych wieków. Podbił całą Persję i doszedł aż tutaj – wskazał na mapę.

– O, tam też mają słonie? – przyjrzała się rysunkowi.

– Tak. A tutaj, zobacz, tu właśnie będą Wyspy Szczęśliwe – wskazał pustą część mapy.

– A gdzie jest moje Tenelium?

– Tutaj, popatrz. Trochę na prawo i w dół od Hippony. A Kartagina tam, jeszcze dalej.

Przyklękli nad mapą.

– Wiesz? – odezwał się Beketar, przyglądając się bardziej jej dekolтови, niż swoim rysunkom. – Mam teorię, że Klaudiusz Ptolemeusz źle wyliczył długość stopnia geograficznego. A to by znaczyło...

– To dla mnie za mądre, Beki – przerwała z uśmiechem.

– Ale to jest ładne – wskazała na mapę. – Ten twój Ptolemeusz na pewno nie miał takiej kolorowej. *Hic sunt philosophes*³¹ – przeczytała ze śmiechem. – Ale tu chyba jest błąd.

– A, faktycznie. Niedopatrzenie – Beketar wziął pióro. – To, co? Jutro jedziemy na polowanie?

– Z przyjemnością. Ale powiedz mi najpierw, czy ta

gospoda w pobliżu forum, "Pod kołem Fortuny", nadal działa?

–Sindo! – uniósł głowę znad mapy.

– Tylko się pytam – uśmiechnęła się niewinnie. – U nas nie ma lokali, w których uczciwa kobieta mogłaby pograć w kości.

– Nigdzie nie ma takich lokali! Miałaś z tym skończyć – pokręcił głową.

– Tylko kilka partyjek, obiecuję.

– Dobrze – westchnął. – Ale pójde tam z tobą.

– Zagrasz? – uśmiechnęła się.

– Będę pilnował, żebyś nie przegrała ostatniej sukienki i grzecznie poszła spać, bo jutro wstajemy o świcie.

✱

Gospoda "Pod kołem Fortuny" była rzadkim przypadkiem lokalu, któremu udało się utrzymać gdzieś

w połowie drogi między eleganckim zajazdem, a zwykłą mordownią. Mieściła się w niskiej kamienicy na tyłach forum, niedaleko pałacu. Nad drzwiami wisiało stare koło od wozu, które kiedyś mogło być pomalowane na złoto, ale teraz bujało się poczerniałe nad dwoma roslymi ochroniarzami. Beketar skinął im głową i, jak zauważyła Walasinda, nie został poproszony o pozostawienie broni przy wejściu. W środku stały proste ale czyste stoły i ławy, wino było przyzwoite, a ceny w sam raz, by odstraszyć hołotę. Marynarze i męty pili w portowych tawernach, a bogacze ucztowali we własnych rezydencjach. Tu przychodzili urzędnicy, drobni kupcy, oficerowie i nieco elegantsze prostytutki. Zwykle większość gości stanowili Rzymianie, ale tego wieczoru bawiła się też grupka wandalskich wojowników. Nie było tłoku.

– Napijemy się? – Beketar wskazał głową wolny stół.

– Na gorze. Popatrzymy trochę dla rozgrzewki.

– Jak tam sobie kuzynka uważa.

Naczelnik skinął głową jednej z krzątających się między stołami służących, gestem zamówił dwa wina i wskazał na górę. Wziął Walasindę pod ramię i weszli wąskimi schodami na piętro. Przy kilku ustawionych pod niskim stropem stołach siedzieli otoczeni widzami gracze. Stukot kości po blatach mieszał się z okrzykami zachęty, jękami zawodu i brzękiem monet. Podeszli do jednego ze stołów. Paru Rzymian, w tym jedna kobieta widocznej profesji, obstawiało stawki po kilka miedziaków. Obserwowali przez chwilę grę.

– Słabi są – szepnęła mu do ucha Walasinda. – Chodźmy do innego.

Przeszli do drugiego stołu, gdy znalazła ich służąca z dwoma kubkami wina. Beketar poprosił o zapisanie na jego rachunek i podał wino kuzynce.

– Twoje zdrowie!

Wypili po łyku. Beketar przyjrzał się graczom. Przy stole, oprócz paru Rzymian, wśród których jednego kojarzył niejasno z pałacowej służby, siedziało też dwóch

Wandalów ze straży komesa. Pozdrowili się skinieniem głowy. Tu stawki były nieco większe, a gracze bardziej skupieni. Po kilku partiach strażnicy, ubożsi o garść monet, podziękowali za grę i zniknęli na schodach. Walasinda ochoczo zajęła ich miejsce.

– Grasz? – spytała Beketara.

– Nie kuś – pokręcił głową. – Skończyłem z tym.

– Gratuluję. Sam wiesz, co tracisz – uśmiechnęła się.

– Przerzuciłem się na kobiety. Wprawdzie to nie to samo, ale myślałem, że będą mniejsze koszty – wyszczerzył zęby.

– Naiwniak – zaśmiała się. – Trzeba było spytać.

– Miłej gry. Usiądę tam, pod ścianą.

Beketar przeniósł dzbanek do pobliskiego stołu i rozsiadł się na ławie. Powoli sącząc wino, obserwował bez większego zainteresowania jak kości toczą się ze stukiem po blacie, jak gracze cieszą się lub wściekają, jak monety zmieniają właścicieli. Po niewiadomo której

już z kolejek Walasinda z kwaśną miną oddała jednemu z mężczyzn kupkę monet. Uniosła dłoń i przez chwilę siłowała się z pierścionkiem, po czym podała go temu, który właśnie wygrał. Beketar uniósł głowę. Gracz – jeden z pałacowych służących – podniósł pierścionek do oczu, obejrzał z jednej, z drugiej strony, przetarł o rękaw, w końcu schował go za pazuchę i przesunął w kierunku Walasindy parę monet. Uśmiechnęła się i wzięła sobie jeszcze dwie. Mężczyzna skrzywił się, ale kiwnął głową i gra ruszyła od początku. Beketar westchnął tylko, wychylił resztkę wina i zamówił następne.

– Dużo przegrałaś? – spytał, gdy godzinę później odciągnął ją od stołu.

– Sporo – westchnęła. – Ale odegrałabym się, gdybyś mi pozwolił.

– I co byś jeszcze postawiła? Bizuterię? – otaksował ją wzrokiem. – Nie miałaś czasem pierścionka?

– Tania podróbka. Chodźmy stąd, zanim się na niej

poznają.

– Napiszę do Klaudiusza, żeby kupował ci biżuterię z drewna – pokręcił z rezygnacją głową. – Odprowadzę cię. Żeby nie kusiło cię wrócić.

– Dobrze. Ale pamiętaj, że mój służący ma ciężką pałkę i polecenie, by walić bez pytania każdego, kto spróbuje pójść za mną na górę – uśmiechnęła się.

– Dzięki za ostrzeżenie. Na drugi raz zabiorę hełm – roześmiał się.



– No, dobrze, Beki – Walasinda przetarła zaspane oczy.
– Na co chcesz polować? Myślałam, że pod miastem nie ma już dzikich zwierząt.

Ranek był chłodny, słońce dopiero wyrzało zza horyzontu. Stali przed pałacową stajnią, w której uwijała się już służba. Konie parskały zadowolone z zapowiadającej się przejażdżki. Walasinda włożyła

na tę okazję wygodny męski strój, co Beketar skomentował pełnym aprobaty pomrukiem, za który dostał kuksańca w ramię. Oboje mieli też przy siodłach łuki.

– Będziemy polować na cokolwiek – uśmiechnął się. – Może coś spotkamy. A jeśli nie, to pojedziemy do mojej willi nad morzem – uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Dziękuję, raczej nie – pokręciła głową. – Pojedźmy w góry.

– Jak tam sobie kuzynka uważa – wzruszył ramionami.
– W takim razie, na koń!

Zjechali ze wzgórza, szybko przebyli puste jeszcze wąskie uliczki miasta, minęli resztki zburzonych dawno temu murów miejskich i ubogie, gliniane chaty na przedmieściach. Przed nimi, aż do pobliskich gór, rozciągały się poprzecinane kanałami pola pszenicy, winnice, sady oliwne.

– No, Iwa to raczej tu nie spotkamy – ziewnęła

Walasinda.

– Nie chcesz jechać? – zaniepokoił się Beketar.

– Daj spokój, Beki. Gdybym nie chciała, to bym po prostu nie pojechała.

Jechali jakiś czas w milczeniu, mijając idących do pracy robotników rolnych.

– Posłuchaj, Sindo... – Beketar zawahał się na moment.

– Muszę z tobą porozmawiać o twoim Klaudiuszu.

– Teraz? – zdziwiła się.

– Tak. Wiesz, w pałacu ściany mają uszy.

– To dlatego zaprosiłeś mnie na przejażdżkę? – spytała z niezadowoleniem.

– Rozczarowana? – spróbował zażartować Beketar.

– Owszem – burknęła urażona.

– Nie obrażaj się. Przecież wiadomo, że chodziło mi przede wszystkim o twoje uroczne towarzystwo. Teraz mogę bezkarnie uprowadzić cię w góry, wykorzystać

w jakimś romantycznym zagajniku, a potem zwalić wszystko na Maurów – mrugnął okiem.

– Obiecanki-cacanki – skrzywiła się, ale rozchmurzyła się nieco. – No, dobrze. Co tam z Klaudiuszem?

– Naczelnik poczty w waszym okręgu to mój znajomy. Nie wchodząc w szczegóły, twój mąż jest podejrzewany o sprzyjanie donatystom – spojrzał na nią uważnie.

– No i romantyczny nastrój szlag trafił – zmarszczyła brwi. – Co dokładnie oznacza "podejrzewany"?

– Pewnie ktoś wymienił go w jakimś donosie. To jeszcze nie zbrodnia, ale już całkiem blisko. Lepiej żeby w najbliższym czasie uważał co mówi i co robi. I ty też.

– Myślisz, że ja też "sprzyjam donatystom"? – spytała spokojnie.

– Myślę, że w razie czego nikt nie będzie dociekał. Szczególnie, że podejrzewają go o wspieranie band Włóczęgów.

– To nie żadni włóczędzy! – zaperzyła się. – To boży żołnierze! To pobożni... Ach... – zreflektowała się.

– No tak – westchnął. – Powinienem się domyślić. Właściwie teraz powinienem cię aresztować i odstawić biskupowi.

– Ale tego nie zrobisz – wzruszyła ramionami.

– Sindo... Ci twoi boży żołnierze to zwykli szaleńcy i bandyci.

– Może dla takich jak ty – szlachetnych Wandalów, zamożnych Rzymian. Ale popatrz na tych ludzi na polu – wskazała ręką. – Harują tu od świtu do nocy, żebyście mogli opływać w dostatki. Nie tak powinno wyglądać królestwo boże.

– A jak? Rozumiem, że wiesz, jak naprawić świat. Może zechcesz oświecić nas, błądzących?

– Nie kpij! – uniosła się. – Wszystko zostało już napisane. Ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi!

– Rozumiem. Wystarczy przełożyć bat w inne ręce... –

pokręcił głową.

– Nie będzie żadnych batów! Przed Bogiem wszyscy są równi! Spójrz na tych chłopów. Gdyby byli wolni, mieli własny kawałek ziemi, trochę pieniędzy...

– Tak – prychnął. – Zaraz kupiliby sobie paru niewolników do pracy w polu.

– Kiedyś nie byłeś taki – westchnęła. – Zrobiłeś się cyniczny.

– Cyniczny? – uśmiechnął się. – Ja tylko lepiej poznałem ludzi. I przestałem być naiwny.

– To ta ostrogocka dziwka tak ci zrobiła – skrzywiła się Walasinda.

– Nieprawda – zaprotestował bez przekonania. – I nie mów tak o niej.

– Wiesz, że mam rację. To była szalona, niebezpieczna suka!

– Przestań – poprosił znużonym głosem. – Ona nie żyje i niech jej ziemia lekką będzie.

– Ona nie żyje, ale ty tak – wycelowała w niego palcem.
– Czy ty naprawdę nigdy się nie zastanawiałeś, czy stoisz po właściwej stronie?

– Owszem. Ostatnio w środę. I wiesz co? Znowu nigdzie nie było tej właściwej.

– Żartujesz sobie ze mnie! Ale Bóg zawsze jest właściwą stroną!

– Widzisz, kuzynko... – pokiwał głową. – Ty chcesz zbawiać ludzi na ziemi i uważasz, że znasz sposób. Wybacz, ale takich jak ty powinno się, dla bezpieczeństwa ogółu, zamknąć w lochu i zamurować wejście. Nie zmienisz ludzi. Nie tacy jak ty próbowali.

– Jasne – burknęła. – Bardzo wygodna wymówka, by siedzieć z założonymi rękami.

– Tak myślisz? – uniósł brwi. – Ja myślę, że możemy starać się, by ludzie nie przeszkadzali sobie nawzajem w zbawieniu. Tylko tyle i aż tyle.

– Nie widziałeś naprawdę wolnych ludzi! –

zaperzyła się. – Braci i sióstr, równych i wolnych w życiu i w modlitwie...

– Chyba widziałem – przerwał jej. – I wiesz, co? – pokręcił z dezaprobatą głową. – Zdaje się, że jednak odwiozę cię do tego biskupa.

– Żeby mógł mnie po chrześcijańsku pomęczyć na arenie w cyrku? – prychnęła.

– Tak, to będzie zabawniejsze od tych bzdur, które wygadujesz – zasępił się. – Nie wiem, co ci się tam poprzestawiało w głowie, ale jeśli nie będziesz ostrożna, naprawdę skończysz w lochu biskupa. Pamiętaj, że masz dzieci.

– Zaopiekujesz się nimi w razie czego – uśmiechnęła się niewesoło.

– Daj spokój, własnego syna nie potrafiłem wychować. Nie nadaję się do tego. Po prostu odpuśćcie sobie na razie z Klaudiuszem te wygłupy – popatrzył na nią poważnie. – Zresztą, założę się, że to ty go w

to wciągnęłaś.

– Znasz mnie – zrobiła łobuzerską minę.

– Jak łysą kobyłę – uśmiechnął się pod wąsem. – Obiecuj mi, że przynajmniej na jakiś czas dacie sobie z tym spokój.

– Dobrze, już dobrze, wasza dostojność. Obiecuję. Przecież nie mogę pozwolić, żebyś oglądał mnie nagą na arenie – wyszczerzyła zęby.

– Nie kuś! – roześmiał się. – Zresztą, to już nie te czasy, biskup by nie pozwolił. Ale gratuluję wyobraźni.

– Głupek! – pokazała mu język. – Wracamy, czy chcesz coś jeszcze upolować?

– Oczywiście. Przecież po to tu jesteśmy.

Wjechali między łagodnie wznoszące się skaliste zbocza gór porośnięte rzadkim, iglastym lasem, które dalej wypiętrzały się jednak wysoko. Zatrzymali się nad wysychającym potokiem.

– Może tu coś wypatrzymy.

Beketar wyjął nogi ze strzemion, podciągnął się do góry i, nie puszczając wodzy, stanął na siodle. Osłonił ręką oczy i zaczął się rozglądać.

– Tam – rzucił i popędził konia, nie siadając.

– Nie popisuj się – przewróciła oczami Walasinda.

– Dlaczego? To mój najlepszy numer – zaśmiał się. – O, cholera!

Zachwiał się nagle, rozpaczliwie spróbował złapać równowagę i spadł z siodła. Walasinda pisnęła. Beketar zniknął za koniem, ale spodziewane uderzenie w ziemię nie nastąpiło.

– Hej! – wychylił głowę spod szyi konia. – Przestraszyłem cię, co? – zaniósł się śmiechem na widok zaskoczonej kuzynki.

– Idiota! – ze złością najechała koniem na jego wierzchowca.

Zwierzę zachwiał się i odskoczyło, Beketar krzyknął i zleciał na ziemię wzbijając kurz.

– Au! Psia mać! Odbiło ci?!

Spróbował wstać, ale przewrócił się.

– No, kurwa, pięknie! Chyba zwichnąłem sobie nogę.

– Jeśli znów udajesz, to sama ci ją zwichnę – Walasinda zeskoczyła z siodła i stanęła nad Beketarem.

– Lepiej pomóż mi wstać – wyciągnął rękę.

Pokręciła głową, ale przykucnęła i zarzuciła sobie jego ramię na szyję.

– Miło. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? – zaśmiał się z nosem w jej włosach.

– Mam cię tu zostawić? – pogroziła mu bez złości, pomagając mu wstać.

– Najpierw musiałbym cię puścić, kuzyneczko – stanął na jednej nodze, opierając się na jej ramieniu.

Nie odsunęła się, popatrzyła mu w oczy. Uśmiechnął się.

– Ciii... – położył jej palec na wargach. – Nie ruszaj się –

szepnął, puszczając jej szyję.

Ostrożnie, lekko utykając, podszedł do konia. Zdezorientowana patrzyła jak wyciąga łuk, nakłada strzałę i naciąga cięciwę. Mierzył przez chwilę nad jej ramieniem, po czym brzęknęła cięciwa, usłyszała świst strzały i z tyłu rozległ się rozpaczliwy bek. Odwróciła się gwałtownie. Wyżej, w górze strumienia, jakieś zwierze wielkości antylopy chwiało się na nogach, próbując jeszcze uciekać. Druga strzała też trafiła w cel. Zwierzę targnęło łbem z wielkimi zakręconymi rogami i runęło na kamienie.

– Piękny strzał! – ucieszył się Beketar.

– Co to jest? Jakiś kozioł? – skrzywiła się.

– Muflon, Sindo. Muflon. Pełno ich w tych górach. Niezbyt duży, ale to nawet lepiej – wyciągnął nóż i zaczął kuśtykać w stronę zwierzęcia. – Wrzucimy go na jednego konia, a pojedziemy na drugim. Wolisz z przodu, czy z tyłu?

– Z tyłu, czy z przodu, to może sobie jechać ten twój muflon – odparła z pochmurną miną. – Ja jadę sama.

– Jak tam sobie kuzynka uważa – nie zwrócił na to uwagi. – Jak będziesz chciała, każę wygotować czaszkę. Powieszysz sobie na ścianie.

– Obejdzie się. Chcę już wracać – burknęła.

– Dobrze, daj mi chwilę. Tylko go wypatroszę.

Beketar sprawnie rozpruł brzuch muflona i wyrzucił wnętrzności na kamienie. Umył ręce w strumieniu i, lekko utykając, podprowadził bliżej swojego konia. Zwierzę zarżało nerwowo na woń krwi. Beketar położył mu dłoń na chrapach i zaczął szeptać coś do ucha. Rozejrzał się za Walasindą, ale ta odjechała już kawałek dalej. Chwilę trwało, zanim udało mu się przerzucić martwego muflona przez koński grzbiet. Przywiązał go kawałkiem rzemienia i wskoczył na siodło.

– Hej! Poczekaj na mnie! – zawołał za kuzynką.

Droga powrotna minęła szybko. Beketar prowadził ich jakimiś skrótami, opowiadając o muflonach, Maurach, dworskiej polityce, skacząc z tematu na temat, by uniknąć krępującej ciszy. Walasinda odpowiadała półsłówkami. Nie zatrzymali się na sjęstę i wczesnym popołudniem, w największy upał, wjechali do miasta.

– Jestem zmęczona. Wracam prosto do zajazdu.

– Oczywiście. Może zaproszę cię na wieczór na wino?

– Nie, Beki – pokręciła głową. – Muszę wracać jutro rano. Wiesz, żeby Klaudiusz nie zrobił nic głupiego.

– Jasne.

Podjechał do niej i, nie zsiadając, nachylił się i pocałował w policzek.

– Uważaj na siebie, Sindo. I pisz często. Wieczorem przyślę Jonatesa po konia, to przy okazji przyniesie ci tego Owidiusza.

– Dobrze. Ty też na siebie uważaj, Beki –

uśmiechnęła się. – I zrób coś z tym rogatym ścierwem, bo
ściągnęło już chyba wszystkie muchy w mieście –
mrugnęła.

Począł, aż zniknęła za rogiem i zawrócił
w stronę pałacu.

– *Gdy mogąc być szturmem wziętą, / piękna twoja wyjdzie
cała, / to ci w setnym pokoleniu / będzie jeszcze pamiętała.*³²
Niczego cię nie nauczyły lektury, Beketarze – zaśmiał się
cicho.

*

– Idę, Jonatesie – rzucił od drzwi przebrany
w elegancką koszulę Beketar. – Mogę wrócić późno, więc
nie czekaj na mnie.

– Zostawię przy łóżku dzbanek z zimną wodą na rano –
sługa podniósł głowę znad leżącego na pulpicie zwoju. –
Na wypadek, gdybyś wrócił pijany jak świnia.

– Nie planuję – uśmiechnął się Beketar, wychodząc.

– Czyżby? – mruknął pod nosem Jonates, wracając do lektury.

Lekko jeszcze utykając, Beketar szedł niespiesznie pałacowym korytarzem. Zaczął zapadać zmrok i służba ruszyła zapalać świece w srebrnych lichtarzach. Za oknami odezwały się pierwsze cykady. Beketar zatrzymał się przed ozdobnie okutymi drzwiami i zapukał.

– Proszę! – odezwał się kobiecy głos.

Wszedł. W środku, przy stole, siedziała Brunfrida, trzymając palec na rozłożonej mapie. Obok, z otwartym zwojem, stał jeden z sekretarzy komesa. Brunfrida podziękowała mu skinieniem głowy.

– Dobry wieczór, Frido – przywitał się Beketar.

Brunfrida poczekała, aż sekretarz wyjdzie.

– Tak, Beketarze? – spytała oschle.

– Jeszcze pracujesz?

– Nie, bo właśnie mi przerwałeś – spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

– Coś się stało, Frido? – spytał zaskoczony. – Chciałem cię tylko zaprosić na wino.

– Dobrze wiesz, co – warknęła.

– Cholera, nie mów do mnie, jak moja świętej pamięci żona – zmarszczył brwi. – Nie wiem.

– Jak jesteś ze mną, to masz być tylko ze mną!

– Chodzi ci o Walasindę? – domyślił się. – To tylko kuzynka, nic między nami nie ma – roześmiał się.

– Bardzo elegancka kuzynka... choć trochę prowincjonalna – skrzywiła się. – Ale widziałam, jak na nią patrzysz! – rzuciła oskarżycielsko.

– Hej, to kuzynka! – powtórzył wesoło. – Nie sypia się z kuzynkami. Poza tym, ma męża.

– Znam cię! Kuzynka, mężatka – akurat by ci to przeszkadzało!

– No, fakt – uśmiechnął się szelmowsko. – Ale naprawdę, nie sypiam z nią. Naprawdę. Nie to, żebym nie chciał, ale wiesz, to trochę skomplikowane. Wychowaliśmy się razem i...

– Daruj sobie! Z Swinthildą pewnie też nie sypiasz?! – nachmurzyła się jeszcze bardziej.

– Jasne, że nie. Co ci znów strzeliło do głowy? – uniósł brwi. – Przecież to kochanka Alamunda.

– No to co? Pewnie puszcza się na boku, wygląda na taką – burknęła.

– Ty tak poważnie, Frido? – zaniepokoił się. – Jestem tylko z tobą, zapewniam cię...

– Nie rób ze mnie idiotki! – przerwała ze złością. – Już ja wiem, ile masz kobiet!

– Jakich kobiet? Na Boga, Frido, o czym ty mówisz? – westchnął.

– Nie rozmawiam z tobą! Rób sobie zabawę z innych, nie ze mnie!

– Cholera! – zaklął z irytowany. – Wymyśliłaś sobie jakieś bzdury! Jak mam cię przekonać?

– Nijak. Nawet nie próbuj!

– Przysięgam, że..

– Po prostu, zejź mi z oczu! – przerwała ze złością.

– Jak chcesz – zacisnął wargi. – Jak sobie chcesz. Jeszcze sama do mnie przyjdiesz.

– Niedoczekanie twoje!

Wyszedł trzaskając drzwiami. Gdy wrócił do siebie, Jonates uniósł głowę z siennika pod drzwiami.

– Coś szybko wróciłeś.

– Myślałem, że po tamtym małżeństwie już nic mnie nie zaskoczy, ale ja chyba po prostu mam szczęście do wariatek – warknął, zdejmując koszulę. – Jutro rano zaniesiesz Swinthildzie zaproszenie do teatru. Tylko tak, żeby Alamund się nie dowiedział – rzucił koszulę na krzesło.

Jonates ziewnął i bez słowa odwrócił się na drugi bok. Po chwili już chrapał, więc Beketar sam nalał sobie wina.

Po wyjściu Beketara, Brunfrida nie zawołała już sekretarza. Otworzyła boczne drzwi i przeszła do sypialni. Coś zakotłowało się na łożu z baldachimem i wyskoczył z niego wielki, czarny pies. Podbiegł do Brunfridy i z wywieszonym językiem zaczął łasić się do jej nóg.

– Dobry Tunar, dobry – podrapała go pod brodą. – Choć ty też wariujesz na widok każdej suki z cieczką – wyszarpała go pieszczotliwie za ucho. – Żadnemu z was nie można ufać.

Z krzesła w kącie podniosła się służąca, ale Brunfrida bez słowa odprawiła ją za drzwi. Zmieniła jednak zdanie.

– Przyślij do mnie doktora Hortencjusza, jeśli już jest! –

zawołała za nią.

Zdjęła naszyjnik, bransolet, kolczyki i spinki, odłożyła wszystko na stolik z lustrem i sięgnęła po czekający na drugim stole dzban. Nalała pełny puchar wina i odsłoniła okno. Powiało chłodem. Bezchmurne afrykańskie niebo przypominało piaskownicę pełną gwiazd. Przysiadła na łóżku tak, żeby widzieć okno. Pies wskoczył na posłanie i zwinął się obok niej. Brunfrida zdążyła wypić niespiesznie cały puchar, gdy do komnaty zajrzała służąca.

– Pani, przyszedł doktor.

– Niech wejdzie. Pilnuj przed drzwiami, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Służąca zniknęła i po chwili do pokoju wszedł mały, chudy staruszek z niezadowoloną miną, która chyba na stałe przylgnęła mu do twarzy. Hortencjusz był też

już trochę przygłuchy, jednak nadal całkiem zasłużenie cieszył się sławą najlepszego medyka w prowincji.

– Witaj, doktorze. Masz wszystko, o co prosiłam? – upewniła się Brunfrida.

– Tak, tak – odparł zrzędlwym tonem. – Pokój ci, pani. Mam wszystko.

Zdjął z ramienia dużą torbę i postawił ją na stole.

– Skończyła mi się mikstura – Brunfrida wyjęła zza lustra małą buteleczkę.

– Za szybko – pokręcił głową staruszek. – Za szybko. To ci zaszkodzi, pani, jeśli nie będziesz uważać. Mówilem – kropla dziennie.

– Dobrze się po nich czuję – skrzywiła się Brunfrida. – A póki ja płacę, ja decyduję ile będę brała.

– Chcesz igrąć z czasem, twoja sprawa – wzruszył ramionami Hortencjusz. – Ale pamiętaj, że on też kiedyś wystawi rachunek.

– Tak, tak – machnęła ręką Brunfrida. – Kiedyś. Kiedyś,

to wszyscy będziemy martwi. Nie liczę na długą, spokojną starość. A teraz potrzebuję wyglądać jak należy.

– Należy? – nie dosłyszał doktor. – Tyle, co zwykle. Maści i balsamy też?

– Też. Nie będziesz musiał przychodzić w przyszłym miesiącu.

Hortencjusz zaczął wykładać na stół małe, gliniane słoiczki.

– Tylko nie chcę żadnych pretensji, jeśli przy używaniu ich w tym tempie dostaniesz parchów, wyłysiejesz i stracisz wzrok – pozzrędził trochę pod nosem.

Brunfrida odpięła od paska małą sakiewkę i położyła obok. Brzęknęły monety. Doktor, nie sprawdzając zawartości, schował sakiewkę do torby.

– Niech ci Bóg wynagrodzi – rzucił bez specjalnej wdzięczności w głosie.

– Z pewnością – mruknęła cicho Brunfrida. – A na razie wystarczy, jeśli ludzie padną z wrażenia, a ktoś pousycha

z tęsknoty.

Hortencjusz zostawił na stole małą buteleczkę i trzy słoiczki, resztę zaś ułożył z powrotem w torbie. Brunfrida cierpliwie czekała, aż skończy i odprowadziła go do drzwi.

– Służąca odprowadzi cię do domu – machnęła ręką na dziewczynę. – Poniesie ci torbę. A ja przyślę po ciebie, jak będziesz potrzebny.

*

Miejski teatr, zburzony przed stu laty na rozkaz króla Gezeryka jako siedlisko grzechu i zgorszenia, odbudowano, podobnie jak cyrk, wkrótce po jego śmierci. W pewnym sensie wciąż znajdował się pod dyskretnym nadzorem komesa, ponieważ, leżąc u samego podnóża wzgórza, tuż obok forum, pozwalał śledzić scenę z pałacowych okien, o ile oczywiście ktoś miał dobry wzrok. Półkolista widownia powoli

zapełniała się ludźmi. Niezgrabnie namalowane afisze zapowiadały "Oślę komedię" Plauta – sztukę o wyjątkowo niewyszukanym humorze, ale może właśnie dlatego cieszącą się od wieków niesłabnącą popularnością. Beketar rozejrzał się dyskretnie. Zauważył stojącą pod afiszem niewysoką, rudowłosą kobietę w eleganckiej wandalskiej sukni. Zajęta była rozmową ze służącą, więc naczelnik, niby przypadkiem, ruszył w tamtą stronę, udając zamyślonego.

– O, Swinthilda! – krzyknął jakby zaskoczony, gdy prawie wpadł na kobiety.

– Beketar! – Swinthilda również wyglądała na zdziwioną. – Co ty tu robisz? Też przyszedłeś na Plauta?

Musiła być trochę młodsza od Beketara, nosiła się raczej skromnie ale ze smakiem.

– Tak, miałem ochotę na coś lżejszego. A ty nie z Alamundem? – uśmiechnął się.

– Niestety – westchnęła kobieta. – Alamund nie przepada za sztuką, jeśli nie jest akurat sztuką złotą.

– Czy w takim razie mogę dotrzymać ci towarzystwa?

– Oczywiście – uśmiechnęła się. – Eligio – zwróciła się do służącej – skoro jego dostojność jest tak uprzejmy, możesz iść. Pan naczelnik odprowadzi mnie do pałacu.

Gdy służąca zniknęła za rogiem, Swinthilda uśmiechnęła się do Beketara.

– Dziękuję za zaproszenie. Już dawno nie byliśmy razem w teatrze. Myślałam, że jeszcze się na mnie gniewasz.

– Oczywiście, że się gniewam. Ale nie miałem z kim pójść, więc na koniec pomyślałem o tobie – mrugnął okiem Beketar, biorąc ją pod ramię.

W wejściu prawie zderzyli się ze skromnie ubraną Wandalką. Beketar odruchowo przeprosił i zaraz zaklął pod nosem, gdy poznał córkę Brunfridy. Ta jednak

obrzuciła ich tylko niechętnym spojrzeniem i zniknęła między ludźmi.

– Czy to była Rodelinda? – zainteresowała się Swinthilda.

– Nie wiem. Chodź, tam są dobre miejsca – pociągnął ją w stronę sceny.

Usiedli w pierwszym rzędzie. Przedstawienie nie było nadzwyczajne, aktorzy przeciętni, ale widownia co chwila wybuchała śmiechem, dławiąc się przyniesionym jedzeniem i krztusząc tanim winem. Swinthilda bawiła się dobrze, a Beketar też parę razy się roześmiał. Kupił im po kubku nieco lepszego wina od krążącego między rzędami przekupnia i w sumie było nieźle, bo na gorszych lub ambitniejszych sztukach siedzenie w pierwszych rzędach groziło oberwaniem w głowę kawałkiem jedzenia rzuconym przez niezadowoloną publiczność w stronę sceny. Przedstawienie skończyło się przed zmrokiem i gdy

wyszli, Beketar zaproponował by jeszcze nie wracali do pałacu. Stanęło na dzbanie wina "Pod kołem Fortuny".

– Jak za dawnych czasów, co? – uśmiechnęła się znad swojego kubka Swinthilda.

– Aha – pokiwał głową siedzący naprzeciwko Beketar.

W zajeździe nie było tłoku, więc udało im się zająć niezwracające uwagi miejsce w rogu sali.

– Słyszałam, że odwiedziła cię Walasinda. Co u niej? – spytała niby od niechcienia.

– Miała akurat coś do załatwienia w mieście. Chyba dobrze. U Klaudiusza też – dodał, obserwując ją spod oka. – Gospodarzą sobie w zagrodzie, dzieci rosną – spokojne, wiejskie życie.

– To dobrze – pokiwała głową. – Wiesz? Czasem tęsknię za takim życiem.

– Jak każdy – uśmiechnął się Beketar. – Już próbowałam, ja też. To nie dla nas. Zresztą, nie byłoby ci dobrze z Klaudiuszem.

– Masz rację – westchnęła. – Karmienie kur, dojenie, babranie się gnoju, to nie dla mnie.

– Zdaje się, że miałaś od tego niewolników – roześmiała się.

– No tak – przyznała. – Ale trzeba było ich pilnować – uśmiechnęła się.

– To, co? Jeszcze jeden dzbanek?

– Tak, jeszcze jeden. Jak za dawnych czasów.

Beketar zamówił kolejną porcję wina i korzystając z okazji, wyszedł za potrzebą. Na tyłach budynku była w tym celu umieszczona w ziemi pod ścianą długa, kamienna kratka nad rurą prowadzącą gdzieś do kanału. Luksusowe rozwiązanie zamiast wiadra, ale i tak śmierdziało wkoło jak w foluszu. Gdy wrócił, usiadł na ławie obok Swinthildy – nie za blisko, ale i nie za daleko. Odsunęła się trochę, ale nie za bardzo.

– Zawsze chciałem cię zapytać, Hildo... – zrobił pauzę
Beketar – ...czemu właściwie wybrałaś Alamunda?

– Czemu nie Klaudiusza? Alamund jest przystojny i bogaty, czego nie dało się powiedzieć o Klaudiuszu – wzruszyła ramionami. – A poza tym, Klaudiusz jest Rzymianinem. Nie po to nasi dziadowie ich pobili, żebym teraz zostawała prostą Rzymianką.

– Wiesz, Klaudiusz jest też miły, dowcipny...

– Tak, tak – przerwała mu z irytacją. – Dobry i opiekuńczy. Znam to na pamięć. Czego ty ode mnie chcesz, Beki? Żebym żałowała? Nie żałuję! Wolę być kochanką Alamunda, który jeszcze wysoko zajdzie, niż ubogą rzymską gospodynią. Skoro Walasindzie jest z nim dobrze, to cieszę się za nich oboje. I dajmy już temu spokój.

– Dobrze, przepraszam – Beketar uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu. – Nie powinienem pytać.

– Nie gniewam się – wzruszyła ramionami. – Po prostu nie chcę o tym gadać.

Przez chwilę pili w milczeniu. Potem jednak reszta wieczoru upłynęła im na plotkach i miłej, niezobowiązującej rozmowie. Co parę łyków Beketar trochę się przysuwał, Swinthilda dyskretnie się odsuwała i gdy zobaczyli dno dzbana, siedziała już na samym skraju ławy.

– No, chyba pora na nas – podniósł się chwiejnie, gdy groziło, że Swinthilda za chwilę spadnie na podłogę.

– Tak, już późno – uśmiechnęła się.

Beketar rzucił obsłudze parę monet i wyszli na chłodne, nocne powietrze. Swinthilda wzięła go pod ramię i chwiejnym krokiem ruszyli w stronę pałacu.

– Chcę ci coś powiedzieć, Beki – zatrzymała się u podnóża pałacowego wzgórza.

– Tak? – odpowiedział uśmiechem.

– Jeszcze nikt o tym nie wie, poza Alamundem... Jestem w ciąży.

– Eeee... – spojrzał na nią zaskoczony, szukając słów. –

To świetnie! – wykrztusił w końcu. – Gratuluję!

– Dziękuję – ponownie wzięła go pod ramię. – Nie mów jeszcze nikomu. Alamund chce sam to ogłosić.

– Czy, no... To znaczy, kiedy...

– Na jesieni.

– Pobierzecie się? – spojrzał na nią.

Westchnęła.

– To nie takie proste, Beki – potrząsnęła głową. – Ale Alamund obiecał, że uzna syna.

– Skąd wiesz, że to syn?

– Wiem – uśmiechnęła się. – Wybraliśmy już imię. Ariaryk.

– Ładnie – bąknął. – Cieszę się.

– Ariaryk – powtórzyła cicho z uśmiechem.

Resztę drogi przeszli w milczeniu.

– Dziękuję, Beki – pocałowała go w policzek, gdy strażę wpuścili ich na dziedziniec. – To był naprawdę miły

wieczór. W przyszłym miesiącu mają wystawić jakiś kawałek Terencjusza. Moglibyśmy pójść.

– Tak, dzięki – uśmiechnął się smętnie. – Do zobaczenia.

Gdy wrócił do siebie, Jonates nawet nie podniósł głowy z posłania.

– *Odtąd, wierny swej tradycji / uświęconej z bogów łaski, / teatr zastawia na cnotę / pułapki i samotrzaski*³³ – wymamrotał pod nosem Beketar. – Gówno prawda.

A potem po prostu zwałił się jak stał na łóżko i zasnął.

*

– Hadamirze, może przedstawisz mi swoich kolegów?
– uśmiechnęła się Brunfrida.

– Oczywiście, przepraszam, matko – spieszył się chłopak.

Hadamir miał na oko koło szesnastu lat. Wysoki, szczupły, z jasną czupryną, zapowiadał się na przystojnego, a co więcej, zamożnego mężczyznę. Teraz jednak przygarbił się trochę, patrząc niepewnie na matkę i na kolegów. Ci jednak – trzech młodych, bogato ubranych Wandalów – nie zwrócili uwagi na jego zmieszanie, wpatrywali się bowiem w Brunfridę jak w obrazek.

– To Adolf, Baudulf i Cynewulf – mruknął Hadamir, a wymienieni skłonili się grzecznie, zatrzymując przy okazji wzrok na dekolcie Brunfridy. – Miał przyjść jeszcze Wulfstan, ale jak zwykle ojciec kazał mu...

– Cieszę się, że Hadamir ma tak dobre towarzystwo młodych wojowników – przerwała mu matka. – Co powiecie, panowie, na odrobinę dobrego wina?

– Matko, mieliśmy ćwiczyć walkę... – westchnął Hadamir.

– No, tak... Walkę... Mieczami... – zmieszali się jego koledzy. – Ale strasznie dziś gorąco... I tak mieliśmy

potem iść na wino...

– Czyli załatwione – uśmiechnęła się promieniście Brunfrida. – Chodźcie, moi drodzy. Takiego wina nie dostaniecie na mieście.

Dzban wina skończył się szybko. Brunfrida z zainteresowaniem wypytywała o walkę mieczem i jazdę konną, z podziwem słuchała młodzieńczych przechwałek, co jakiś czas sięgała po wino, pochylając się przy okazji nad stołem w stronę rozmówców, lub pozwalała nieco podwinąć się sukni gdy zakładała nogę na nogę. Adulf, Baudulf i Cynewulf prześcigali się w stroszeniu piórek, starając się nie przegapić ani fragmentu piersi, ani centymetra łydki. Tylko Hadamir milczał z posępną miną.

– Naprawdę mówimy już iść, matko – przerwał w końcu.

– Szkoda, tak miło nam się rozmawia – popatrzyła przeciągle na najprzystojniejszego z całej trójki Baudulfa.

– A ja mam jeszcze drugi dzban.

– Musimy iść! Obiecałem ojcu, że będę codziennie ćwiczył – zacisnął wargi Hadamir.

– Ćwiczenia nie uciekną – uśmiechnął się do Brunfridy Baudulf.

– Idziemy! – warknął Hadamir. – Albo powiem twojemu ojcu, że zamiast ćwiczyć, chlejesz wino!

– Dobrze, dobrze... – z ociąganiem zaczęli zbierać się do wyjścia.

Brunfrida pożegnała ich wylewnie w drzwiach. Gdy wyszli, uśmiech zniknął z jej twarzy. Z ponurą miną usiadła przy stole i rozpieczętowała kolejny dzban wina. Gdy wypila dwa lub trzy kubki, zawołała służącą i kazała jej wyjść na spacer z psem. Podrapała Tunara za uchem na pożegnanie, zamknęła drzwi i trochę już niepewnym krokiem przeszła do sypialni. Tam rzuciła na krzesło zdjętą suknię i opadła na łóżko. Zamknęła oczy. Jedną ręką zaczęła gładzić się po szyi, po piersiach, po brzuchu. Drugą wsunęła między zaciśnięte uda. Zaczęła poruszać się rytmicznie, z początku powoli,

szybko nabierając tempa, prawie rzucając ciałem po łóżku. Jęcząc, mocno ścisnęła wolną ręką piersi, aż wbiła w nie paznokcie, niemal do krwi. Wygięła się spazmatycznie w łuk, raz, drugi, trzeci; raz drugi, trzeci krzyknęła cicho i opadła na zmierzwioną pościel. Leżała tak przez chwilę, dysząc, po czym owinęła się w prześcieradło, skuliła i zagryzła wargi aż do krwi. Usnęła, nim służąca wróciła ze spaceru, a pies po powrocie zwinął się do snu u jej nóg.



Dawna sala audiencyjna pałacu w Hipponie wyróżniała się nawet na tle reszty reprezentacyjnej części budynku. Gładkie ściany, zdobione tu i tam kolorowymi freskami, ustawione w niszach rzymskie rzeźby, purpurowe zasłony – dopiero tu czuło się prawdziwe bogactwo królestwa. Po przeprowadzce królewskiego dworu do Kartaginy, sala pełniła rolę miejsca biesiad i sądów. Odkąd król Gezeryk krwawo rozpedził ludowe

wiece, władza sądowa przeszła w ręce jego współpracowników, a komes Farager uwielbiał osobiście prowadzić wszystkie procesy i wydawać surowe wyroki. Tylko od czasu do czasu, bo komes nie pochwałał tradycyjnego pijaństwa, wnoszono do sali stoły, krzesła i rzymskie sofę, a na podwyższeniu, zamiast sędziego Faragera, stawali muzycy, śpiewacy, tancerze. Żona komesa pilnowała, by niezależnie od ilości wypitego wina, ucztę w pałacu miały również swoją część artystyczną. Komesowa była elegancką, powściągliwą w ruchach kobietą, nieco młodszą od swojego męża, z którym spoczywali teraz na sofach, powodując niezamierzony dysonans barbarzyńskimi strojami w otoczeniu, w jakim mógłby ucztować rzymski cesarz. Tu jednak od dawna nikt już nie zwracał uwagi na takie rzeczy, może poza paroma dręczonymi nostalgią romańskimi arystokratami. Po drugiej stronie żony Faragera usiadła jej szwagierka, Brunfrida. Zaproszenie na "ucztę w rzymskim stylu" oznaczało, między innymi, udział kobiet i brak sadzania gości w porządku godności,

co z kolei nie zawsze podobało się niektórym z bardziej tradycyjnych Wandalów. Komesowi jednak nikt rozsądny nie odmawiał.

Gdy Beketar wszedł do sali, odźwierny zaanonsował go po łacinie jako "Jego dostojność, przełożonego Poczty Królewskiej w Hipponie", a komes z żoną przywitani przyjaznym skinieniem głową. Brunfrida udawała, że go nie widzi. Muzycy grali jakiś spokojny rzymski utwór, którego nie rozpoznawał. Część gości zajęła już miejsca, Beketar wybrał więc wolną sofę obok katolickiego biskupa Hippony, któremu parę lat temu król pozwolił wrócić do miasta, zatrzymując jednak bazylikę w rękach arian. Biskup – Beketar zapomniał jego imienia – nie wydawał się speszony tak licznym towarzystwem heretyków i pozdrowił sąsiada uprzejmym skinieniem głowy. Ubrany w elegancką rzymską tunikę, wydawał się dosyć młody jak na piastowaną godność – jego ciemną brodę dopiero zaczęła przypruszać siwizna – ale kościół katolicki

w Afryce po latach prześladowań nadal cierpiał na braki kadrowe, tym bardziej, że podobnie jak ariański, liczbą biskupstw mógł śmiało konkurować z resztą świata. Co wioska, to biskup³⁴ – śmiał się czasem Farager, gdy jego ekscelecji Lindulfa nie było w pobliżu. Beketar rozejrzał się za ariańskim biskupem, ten jednak został posadzony w bezpiecznej odległości pozwalającej uniknąć dysput religijnych.

Było już kilku arystokratów, dowódca floty, paru bogatych Rzymian z władz miasta – Farager starał się nie pomijać nikogo, kto mógł być użyteczny w utrzymaniu ładu i porządku w okolicy. Beketar, sprawiając wrażenie, że lustruje gości, przebiegł wzrokiem w kierunku Brunfridy akurat w chwili gdy zerknęła w jego stronę, bezbłędnie udając, że tylko przypadkiem rzuciła okiem gdzieś w tamtym kierunku. Uśmiechnął się do siebie.

– Jego dostojność, tysięcznik Alamund Hirlinglaf – zaanonsował odźwierny.

Do sali wszedł potężny, rudowłosy mężczyzna. Na oko około czterdziestki, wysoki, szeroki w barach i z bujną, płomienistą brodą. Jak dawny, pogański bóg, musiało przemknąć niejednemu przez myśl przy pierwszym spotkaniu. Chociaż wykwinna, haftowana koszula i złoty łańcuch z krzyżem nieco psuły to wrażenie. Gość uśmiechnął się szeroko i pewnym krokiem podszedł przywitać się z komesem Faragerem. Wymienił pozdrowienia z większością pozostałych biesiadników i zajął wolną sofę z drugiej strony naczelnika.

– Jak się masz, Beketarze? – przywitał się przyjaźnie.

– Witaj, Alamundzie. Nie miałeś być jeszcze z wojskiem w górach?

– Błyskawiczne uderzenia, to moja dewiza – zaśmiał się tysięcznik. – Zepchnęliśmy Maurów na drugą stronę masywu i szybko tu nie wrócą.

– Dziwne – uniósł brwi Beketar. – Nie słyszałem o żadnych poważnych walkach.

– Ważne, że jest spokój – błysnął zębami Alamund. –
A co tam słyszać w Kartaginie?

– Cisza i spokój – skłamał Beketar. – Ale chyba orientujesz się w sytuacji na dworze lepiej niż ja.

– Tak, cisza i spokój – zaśmiał się Alamund.

Doszło jeszcze kilku gości i na znak Faragera służba zaczęła nalewać wino do pucharów. Komes wstał, muzyka ucichła.

– Drodzy przyjaciele! – rozpoczął. – Cieszę się, że mogę was tu dzisiaj gościć. Za chwilę oddamy się, za pozwoleniem dostojnych biskupów, przyziemnym rozrywkom, ale najpierw chciałbym skorzystać z okazji i poruszyć parę poważnych spraw.

– Jak zawsze. Nie ma zabawy bez opieprzu – mruknął cicho Alamund.

– Przede wszystkim – kontynuował Farager – chcę wam podziękować za ogromne zaangażowanie. Wojownikom w walkę – skinął głową Wandalom –

cywilom za zapewnienie środków do walki – skinał Rzymianom. – Dzięki temu udało nam się odeprzeć wrogich Maurów kolejne kilkadziesiąt kilometrów dalej i utrzymać wpływy z podatków na dotychczasowym poziomie. Jeszcze raz przyjmijcie moje podziękowania. Wielkie brawa dla was wszystkich.

Rozległy się nieco zbyt entuzjastyczne i krótkie oklaski.

– Poczekaj – szepnął Alamund widząc wzrok Bektara.

– Tak, brawo – pokiwał głową Farager. – Nie chciałbym jednak, by te sukcesy przysłoniły nam prawdziwy stan rzeczy. A prawda jest taka, że nie wygrywamy tej wojny. A nie wygrywając, przegrywamy ją. Handel lądowy w pobliżu gór zamiera, bo kupcy i podróżni boją się Maurów. Bogaci Wandalowie i Rzymianie muszą utrzymywać w swych posiadłościach prywatne oddziały, bo po kraju nadal włączą się bandy rabujących heretyków. Wpływy do skarbca królewskiego wprawdzie nie spadły, ale król oczekuje od nas więcej. Ja

oczekuję od was więcej, bo wiem, że stać was na więcej! – uniósł głos.

– Ciekawe na kogo dziś padnie? – Alamund prawie nie poruszył wargami, starając się, podobnie jak reszta zgromadzonych, nie ściągnąć na siebie uwagi komesa.

– Theuderyku! – Farager stanął przed leżącym na sofie tysięcznikiem – Ilu ludzi masz dziś pod bronią w swoim okręgu?

– No, około setki – spytany przyjął bardziej pionową pozycję.

– Około? To znaczy dziewięćdziesięciu, czy stu dziesięciu? A może stu dwudziestu?

– Tak bardziej stu – zmieszał się Theuderyk. – Może dziewięćdziesięciu pięciu, bo kilku mogło się rozchorować.

– No, to leży – szepnął Alamund.

– Rozchorować? – Farager nabrał powietrza w płuca. – Ludzie nie mogą spokojnie podróżować po kraju,

nie obawiając się rozboju, a u ciebie kilku wojowników mogło się rozchorować?! – uniósł głos. – Rozumiem. Zdarza się – dodał spokojniej. – Ale dlaczego, do cholery, masz około stu ludzi, a nie, powiedzmy, około dwustu, co?! – huknął.

– Przecież musiałem wysłać połowę do Kartaginy, do armii... – zaczął Theuderyk, siedzący już, o ile to możliwe, na baczność.

Alamund teatralnym gestem zakrył twarz, ale tak, żeby komes tego nie dostrzegł.

– I to, twoim zdaniem, jest wystarczające wytłumaczenie?! – rozsierdził się Farager. – Jesteś tysięcznikiem, tak?! A to oznacza, że masz pod sobą tysiąc ludzi, tak?! I z tego tysiąca nie jesteś w stanie zebrać kolejnej setki zbrojnych?!

– Zbiorę – odparł przez zaciśnięte gardło tysięcznik. – Do końca miesiąca będą dokładnie dwie setki pod bronią.

– Dwie i pół. Za dwa tygodnie. Brunfrido, przypomnij mi, proszę, żebym to skontrolował.

Farager omiótł wzrokiem zgromadzonych, którzy w większości unikali jego spojrzenia. Przez chwilę zatrzymał się na Alamundzie, ale zdecydował się na przedstawicieli władz miasta. Beketar przestał słuchać kolejnej połajanki.

– Pomyśleć, że kiedyś to był naprawdę przyzwoity człowiek i niezły dowódca – westchnął cicho Alamund, wskazując oczami komesa.

– A nie jest? – uniósł brwi Beketar.

Tysięcznik popatrzył na niego z politowaniem

– Nie było cię tu wówczas, Beketarze. Kiedyś to był swój chłop. Ludzie go cenili, poszliby za nim w ogień. Dziś połowa z nich z przyjemnością wbiłaby mu nóż w plecy, a reszta przyglądałaby się temu obojętnie.

– A ty, Alamundzie? – spytał z przekąsem Beketar.

– Mnie wtedy nie będzie w pobliżu – odparł

z uśmiechem tysięcznik.

– No, tak – mruknął Beketar. – I co, twoim zdaniem, stało się z Faragerem?

– Przepoczwarzył się w komesa – wzruszył ramionami Alamund. – Polityka to teatr, Beketarze, ale on przyrósł do swojej maski.

– Myślisz? – naczelnik spojrzał na Faragera łajającego bladego Rzymianina z kurii miejskiej.

– Kim jesteś gdy stąd wychodzisz, idziesz pić wino, jedziesz na polowanie? Nie jesteś wtedy naczelnikiem, jesteś Beketarem, prawda? Ja wychodzę z pałacu i jestem Alamundem. Myślę, że on nawet sra jako komes.

Beketar nie odpowiedział, zamyślił się. Ocknął się z zadumy, gdy wszyscy zaczęli wstawać z pucharami w dłoni.

– Zdrowie jego wysokości Hildimera, króla Wandalów i Alanów! – wzniósł toast Farager.

– Zdrowie! – odpowiedział chór głosów i wszyscy

wychylili swoje puchary.

– A teraz jedźmy i bawmy się! – zarządził komes.

Na salę weszli służący z tacami zastawionymi potrawami, jakimi nie wzgardziłby żaden rzymski patrycjusz. Wykwintnie przybrane ptactwo i dziczyzna podlewane najlepszym winem wyraźnie poprawiły humory. Tym bardziej, że z tyłu, za plecami Faragera i starszych Wandalów, kręciło się kilku niewolników dyskretnie podających tradycyjnego pieczonego świniaka i sprowadzone z północy gęste piwo. Nie minął kwadrans, gdy goście rozluźnili się i zajęli rozmową. Brunfrida i Beketar skutecznie unikali swojego towarzystwa, trzymając się w miarę możliwości przeciwnych stron sali i jednocześnie bardzo uważając, by drugie nie zauważyło, że bacznie śledzi jego ruchy. Brunfrida brylowała w coraz to nowej grupce mężczyzn, Beketar zabawiał żonę komesa i inne damy fragmentami cudzej poezji i opowieściami o Bizancjum, którego nigdy nie widział. W końcu przeprosił rozmówców i lekko

chwiejnym krokiem wyszedł z sali. Przeszedł krótki korytarz, w którym minął się z wracającym, kompletnie pijanym Theuderykiem, zwinnie uniknął jego przyjacielskich objęć i wyszedł na dziedziniec. Odetchnął rześkim nocnym powietrzem, rozejrzał się i wybrał jeden z podtrzymujących podcienie filarów, pod którym nie było jeszcze kałuży moczu. Przez chwilę kontemplował pęknięcia tynku na słupie, gdy zza kolumny wyszła jakaś postać. Beketar drgnął niespokojnie.

– Cholera! – zaklął gdy spostrzegł, że zmoczył sobie buty.

Pospiesznie zapiął pas.

– Wybacz, wasza dostojność. Nie chciałem cię przestraszyć – uśmiechnął się przepraszająco biskup katolików, poprawiając tunikę

– Nie szkodzi. Zamyśliłem się – mruknął Beketar. – Wasza ekscelencja wraca na salę? – dodał uprzejmie.

– Tak – obaj ruszyli z powrotem. – Wasza dostojność jest przełożonym poczty królewskiej, jeśli dobrze pamiętam?

– Tylko naczelnikiem w Hipponie – wyjaśnił Beketar.

– Ciekawe zajęcie. Nas też macie na oku? – zainteresował się biskup.

– Katolickich hierarchów? – zastanowił się Beketar. – Tylko, jeśli spiskujecie przeciw władzy królewskiej – uśmiechnął się.

– Czyli zawsze, prawda, wasza dostojność? – odparł z uprzejmym uśmiechem biskup.

– Daleki jestem od takich uproszczeń, ekscelencjo – pokręcił głową Beketar.

– Miło mi to słyszeć, ale wielu z was myśli inaczej.

– Dziwisz im się, ekscelencjo? Nasz biskup Lindulf słucha naszego patriarchy Kartaginy, który z kolei słucha króla, a kogo słucha wasza ekscelencja?

– Biskupa Kartaginy – uśmiechnął się biskup. – Jeśli

akurat król pozwala na obsadzenie tego urzędu.

– A wasz biskup słucha papieża, który siedzi na garnuszku Ostrogotów, czy raczej Patriarchy Konstantynopola, który nie zrobi niczego bez zgody cesarza?

– I soboru powszechnego – zauważył biskup.

– Który nie zrobi niczego bez zgody cesarza – powtórzył Beketar.

– Gdyby to tylko o to chodziło, wasza dostojność – pokręcił głową Biskup.

Wrócili na salę. Z nielicznymi wyjątkami, towarzystwo podzieliło się na oddzielne grupki Rzymian i Wandalów, kobiet i mężczyzn, ale wydawało się to nikomu nie przeszkadzać. Kilku wandalskich możnych wyciągnęło kości, Oktawian deklamował swój nowy wiersz, niesłuchany przez ziomków zajętych piciem na wyścigi pucharów wina. Alamund przytulał w kącie Swinthildę bardziej, niż pozwalała przyzwoitość,

a Theuderyk leżał przegięty przez parapet i chyba rzygał. Zajęty rozmową z komesem biskup Lindulf na widok Beketara wchodzącego razem z katolickim hierarchą zmarszczył brwi, ale zaraz powrócił do dyskusji. Beketar rozejrzał się za Brunfridą, jednak nigdzie jej nie dostrzegł. Biskup chciał się pożegnać, ale naczelnik zatrzymał go jeszcze.

– Są też donatyści, wasza ekscelencjo. Ich rzeczywiście chciałbym mieć na oku.

Biskup zawahał się.

– Sugerujesz, wasza dostojność, że możemy mieć wspólny interes?

– Sugeruję ekscelencjo, że istnieje czysto teoretyczna możliwość, iż nasi duchowi zwierzchnicy dojdą kiedyś do jakiegoś porozumienia – ściszył głos Beketar. – W przypadku donatystów takiej możliwości nie ma. Oni nie uznają żadnego porozumienia.

– To prawda – z powagą pokiwał głową biskup. – Wy

błądzicie w sprawach zawiłych, choć fundamentalnych. A donatyści zwyczajnie grzeszą pychą. Chcą być kościołem świętych i dla świętych, podczas gdy powinniśmy być kościołem dla grzeszników, jak nauczał już kilkadziesiąt lat temu mój światły poprzednik.

– *Amore petitur, amore quaeritur...* – zacytował cicho Beketar.

– No, proszę – spojrzał na niego z uznaniem biskup. – Myślałem, że Augustyn jest u was zakazany.

– Jest – uśmiechnął się Beketar.

– Hmm... – biskup podrapał się w brodę. – Jeśli mamy kontynuować rozmowę o... teologii, pozwolę sobie zaproponować by wasza wielmożność zwracał się do mnie po imieniu. Tak będzie prościej. Nazywam się Martynian – spojrzał pytająco na rozmówcę.

– Oczywiście. Proszę mi mówić Beketar – kiwnął głową naczelnik.

Przysiedli na jednej z wolnych sof.

– Co proponujesz, Beketarze? – spytał biskup, uśmiechając się w stronę sali jakby rozmawiali o pogodzie.

– Wymianę informacji – odparł naczelnik, kiwając na służbę by doniosła winą. – Kto sympatyzuje lub może sympatyzować z donatystami, gdzie mogą mieć swoje kryjówki. Ale najbardziej interesują mnie ich bojówki – ci Włóczędzy, którzy zagrażają tak samo nam, jak i wam. W zamian zrobimy z nimi porządek, na czym wszyscy skorzystamy.

Biskup zamyślił się. Jeden ze służących przyniósł im winą i stanął z boku gotowy dolać w razie potrzeby.

– Dobrze – Martynian uniósł kielich w toaście. – Wiem, powinienem teraz krygować się, targować i tak dalej. Uznajmy, że już to zrobiłem i wypijmy za owocną współpracę.

– Twoje zdrowie, Martynianie.

– I twoje, Beketarze.

Wychylili wspólnie toast.

– Dam ci znać, Beketarze, gdy zbiorę informacje – Martynian nachylił się do naczelnika. – Ale chcę cię też o coś zapytać. Podobno prowadzicie razem z biskupem Lindulfem dochodzenie w sprawie tych zaginionych dzieci?

– Zamordowanych – skrzywił się Beketar. – Nie liczylbym na to, że odnajdziemy je żywe. Wiesz coś na ten temat?

– Plotki z ubogich dzielnic – biskup spojrzał badawczo na Beketara. – Mówi się, że to ktoś z pałacu. Że składają je w ofierze Szatanowi.

– O! – unióś brwi naczelnik. – Tego jeszcze nie słyszałem.

– Wszyscy wiedzą o rogatych znakach – stwierdził biskup. – I o braku postępów w łapaniu sprawcy. Ludzie dodają dwa do dwóch.

– I wychodzi im pięć, Martynianie – potrząsnął głową

Beketar. – Nie lubią nas i to wszystko.

– Dasz głowę, że nic więcej w tym nie ma?

– Nie – przyznał niechętnie Beketar. – Dobrze, sprawdzę ten trop – rozejrzał się odruchowo za Brunfridą.

Siedziała na sofie po drugiej stronie sali razem ze wstawionym już Oktawianem, który szeptał jej coś do ucha, jednocześnie dyskretnie obejmując ją w pasie. Roześmiała się i przyjacielsko szturchnęła go w bok, nie odsuwając się jednak ani o centymetr. Beketar skrzywił wargi.

– Sprawdzę na pewno, Martynianie – powtórzył ze skrywanym rozdrażnieniem. – A teraz wybac, nie powinniśmy zbyt długo rozmawiać tak publicznie.

– Oczywiście – zgodził się biskup. – Odezwę się, gdy czegoś się dowiem. Do zobaczenia, Beketarze.

Resztę wieczoru naczelnik spędził w towarzystwie dzbanka wina i Oktawiana, którego wiersze, choć nieco

już niewyraźne, były całkiem niezłe. Beketar usiadł ostentacyjnie odwrócony plecami do tej części sali, w której bawiła się Brunfrida, a rano obudził się we własnym łóżku ze strasznym bólem głowy, nie pamiętając, co było potem.



– Witajcie. A gdzie Farager? – ziewnął Beketar, wchodząc do sali na spotkanie, o którym poinformował go rano Jonates w przerwie między donoszeniem wody i zmienianiem zimnych okładów na głowę.

Nie było jeszcze południa i większość zebranych przy stole wyglądała marnie, za wyjątkiem biskupa Lindulfa, który chyba niewiele pił i Brunfridy, po której nie było widać oznak zmęczenia. Oktawian siedział blady, Theuderyk zielony, a Alamund drzemał z głową na piersi. Uniósł ją jednak gdy Beketar usiadł obok.

– Farager chwilę się spóźni – wyjaśnił Lindulf. –

Przyjmuje jeszcze delegację rzemieślników.

– Aha – ziewnął Beketar, rozglądając się za czymś do picia. – Coś mnie ominęło?

– Tak. Sprzątanie bałaganu, którym sam powinienes się zająć – włączyła się oschłym tonem Brunfrida.

– Słucham? – spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak skończymy, pójdziesz ze swoimi ludźmi na miasto. Trzeba wziąć się w końcu porządnie za śledztwo w sprawie ginących dzieci, a nie zabawiać się po nocy.

Oktawian spojrzał na naczelnika nie wiedzieć – porozumiewawczo, czy z ostrzeżeniem.

– Słuuucham? – powtórzył przeciągle Beketar, marszcząc brwi.

– Pójdziesz na miasto i weźmiesz się za swoje obowiązki – wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący.

Prychnął.

– Wiesz, co? Raczej nie. Wyobraź sobie, że mam na dziś inne plany.

– Twoim planem powinno być dbanie o bezpieczeństwo nasze i mieszkańców – rzuciła ze złością.

– Wybacz, moja droga, ale to nie ty wyznaczasz mi plany – odciął się i zacisnął wargi.

Biskup Lindulf chrząknął z zakłopotaniem, Theuderyk patrzył skonsternowany i tylko Alamund uśmiechał się pod wąsem. Brunfrida jednak jakby nie zwracała na nich uwagi.

– Tak myślisz? Wydaje mi się, że twoim obowiązkiem jest wspieranie nas. Co zrobiłeś od czasu porwania u Oktawiana – prokurator spuścił tylko głowę – żeby wyjaśnić tę sprawę, oprócz wycieczek pod miasto i wizyt w teatrze? – spytała oskarżycielsko.

– Jeśli interesują cię moje służbowe działania, możesz skontaktować się z prepozytem królestwa³⁵ w Kartaginie

– odparł chłodno Beketar, wstając od stołu by nalać sobie wina z wodą, które dostrzegł na stoliku pod oknem. – Jemu składam raporty, nie tobie... ani Faragerowi.

– Masz zająć się śledztwem! – warknęła.

– Chyba w twojej wyobraźni – wydał wargi. – Zdaje się, że dziś też trochę za dużo wypijaś, Brunfrido, że pozwalasz sobie na taki ton w rozmowie ze mną – odwrócił się plecami, by napełnić kubek.

– Brunfrido, Beketarze... – szepnął Theuderyk, przyciskając dłoń do czoła.

– Mam o tym porozmawiać z bratem? – zignorowała go Brunfrida.

– Rozmawiaj sobie ile dusza zapagnie – wzruszył ramionami Beketar, nie odwracając się.

– Albo napisać do Kartaginy, że nie wykonujesz swoich obowiązków? – syknęła.

Beketar obrócił się powoli, ściskając kubek z winem.

– Nie umiesz pisać – prychnął pogardliwie. – I nie próbuj mi grozić, kobieto! – warknął z irytacją.

– Myślisz, że to groźby? – wykrzywiła się nieładnie. – Jeśli dzisiaj nie pojedziesz...

– Tak, tak... Popracuj jeszcze nad tym jadowitym tonem – przerwał jej ze złością. – Może działa na twoją służbę, bo na mnie nie. A teraz wybaczone. To wino chyba skwaśniało – odstawił kubek aż płyn polał się na blat i przeszedł na drugi koniec sali, gdzie przysiadł na parapecie.

Biskup popatrzył za nim po czym nachylił się do Brunfridy, tłumacząc jej coś cicho. Ona jednak potrząsnęła tylko głową i odwróciła się w drugą stronę, do Oktawiana, który milczał z obolałą miną. Lindulf westchnął tylko. Alamund podniósł się, napełnił winem swój kubek i podszedł do naczelnika.

– Co tam, Beketarze? – spytał z uśmiechem. – Prawdziwa lwica, nie ma co – zaśmiał się, uważając jednak, by go nie dosłyszała.

– Żadna filozofia machać pazurami – skrzywił się naczelnik. – Kiedyś ktoś przetrąci jej łapy. Albo urznie język.

– Nie, póki jest tu jej brat – pokręcił głową Alamamund.
– Farager zginąłby bez niej.

– Farager nie będzie tu wiecznie – wzruszył ramionami Beketar.

– Owszem, nie będzie – przytaknął Alamund i zapatrzył się w okno.

Ciężka cisza przywitała komesa Faragera z żoną, który jednak nie zwrócił na to uwagi, albo uznał za normalne po wczorajszej libacji. Przysunął małżonce krzesło, a sam usiadł obok. Popatrzył po zgromadzonych. Alamund i Beketar, choć ten drugi z lekkim ociąganiem, wrócili na miejsca. Komes spojrzał na siostrę, która ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami.

– Cieszę się, że wczoraj wszyscy dobrze się bawili –

rozpoczął poważnym tonem Farager. – Spotkaliśmy się, aby porozmawiać o rosnącym niezadowoleniu z powodu ginących dzieci – popatrzył po Beketarze i Lindulfie.

– Świetnie, że o tym wspominasz, Faragerze – uśmiechnęła się niewinnie Brunfrida. – Pozwoliłam sobie pod twoją nieobecność zrobić małe podsumowanie tego, co do tej pory zdziałali agenci królewscy i...

– Nie teraz, siostro – przerwał jej komes. – Plany uległy zmianie.

– Ale dzieci...! – zaprotestowała Brunfrida, marszcząc brwi.

– Skoro tak cię to angażuje, zajmiesz się wyjaśnieniem tej sprawy razem z Beketarem – odparł Farager. – A teraz mamy niestety pilniejszą sprawę.

Wszyscy unieśli głowy zaciekawieni. Beketar przewrócił oczami, ale tak żeby komes tego nie spostrzegł. Brunfrida zacisnęła wargi i tylko skinęła głową z kamienną twarzą.

– Maurowie, których Alamund jakoby wyparł w góry, znów splądrowali przygraniczne wioski – zatrzymał wzrok na tysięczniku.

– Niemożliwe... – sapnął zaskoczony Alamund.

– Właśnie przybył goniec z prośbą o pomoc – odparł chłodno komes.

Przez chwilę panowała krępująca cisza.

– Potrzebuję teraz Alamunda, Theuderyka i Brunfridy – podjął w końcu Farager. – Reszta jest wolna.

Wszyscy, poza wymienionymi, podnieśli się z miejsc.

– Lindulfie, Beketarze... – zatrzymał ich komes. – Przygotujcie mi, proszę, na jutro raporty na temat stanu śledztwa. Razem lub osobno. Beketarze, Brunfrida ci pomoże. Dziękuję.

Biskup z naczelnikiem popatrzyli po sobie bez entuzjazmu, ale żaden nie zaprotestował.



Beketar zatrzasnął za sobą drzwi do kancelarii i kopnął najbliższy stółek.

– O-ho! – uśmiechnął się rozparty w fotelu naczelnika Bilbert. – Nie ma to, jak narada na kacu.

– Spieprzaj! – machnął na niego głową Beketar. – Muszę usiąść. Nie masz nic do roboty? Gdzie Frodo?

– Czekam na nowe instrukcje – wyszczerzył zęby Bilbert, wstając.

– Wychlał Ci pół dzbanka wina – uniósł głowę znad pulpitu Jonates.

– Gorąco jest – wzruszył ramionami Bilbert. – A Frodo znalazł sobie jakąś kobietę na przedmieściach i jeszcze nie wrócił.

Beketar minął go tylko i ciężko zwałił się na fotel.

– Jak wróci – podjął po chwili – Jonates wyda wam trochę srebra. Nie za dużo – zaznaczył. – Zorganizujecie

na mieście paru ludzi, którzy co noc dyskretnie obstawiają pałac. Mają obserwować kto wchodzi i wychodzi. Przez bramy, przez furtki, przez okna. Nawet mysz nie może się prześlizgnąć niezauważona.

– A potem co, szefie? – zainteresował się Bilbert. – Wpierdol i do lochu?

– Nie, nie – machnął ręką Beketar. – Tylko obserwują. Szczególnie mają wypatrywać kobiet z jasnymi włosami. I tylko bez głupich uwag – uprzedził. – Jeśli na taką trafią, mogą ją śledzić, byle dyskretnie. Ale przede wszystkim meldują wam, a wy mnie. Jasne?

– Jasne – mrugnął okiem Bilbert. – A potem wkraczamy my, wpierdol i do lochu.

– Mniej więcej. Spieprzaj już.



Było już późne popołudnie, wieczór prawie, gdy Beketar zapukał do drzwi Brunfridy. Pod pachą ścisnął jakieś

zwoje. Chciał już odejść, gdy szczęknęła zasuwka i ze środka wyrzała zaspana Brunfida.

- A, to ty? – popatrzyła na niego obojętnym wzrokiem.
- Wejść – uchyliła mu drzwi.

Beketar usiadł przy stole i odłożył dokumenty na blat.

- Wina? – zaproponowała oschłym tonem.
- Tak, poproszę.

Postawiła przed nim pełny kubek, drugi nalała sobie.

– W czym ci mogę pomóc, Beketarze? – bez większego zainteresowania rzuciła okiem na papiery i usiadła po drugiej stronie, przyglądając mu się wzrokiem bez wyrazu.

– Musiałem tu przyjść, Brunfrido – zaczął, akcentując słowo "musiałem" – w sprawie śledztwa.

– Oczywiście – prychnęła. – Inaczej końmi by cię tu nie przywlekli.

Beketar uniósł brwi.

– Przyszedłem w sprawie śledztwa – powtórzył ostrożniej. – Twój brat prosił, żebyśmy razem przygotowali raport.

– Raport na temat twojej niekompetencji? – wzruszyła ramionami.

– Proszę cię, Frido... Nie utrudniaj... – mruknął.

– Bo co? Bo znowu będziesz m u s i a ł tu przyjść? – spytała z przekąsem.

– Będę przychodził do ciebie aż do skutku – westchnął, kręcąc głową.

Przez chwilę bawiła się kubkiem.

– Dobrze, że przyszedłeś – uniosła wzrok. – Stęskniłam się za tobą – oświadczyła poważnie.

– Ja za tobą też – przyznał z ulgą. – Ale przesadziłaś dziś – dodał z przyganą.

– Co z tego? – uśmiechnęła się niewinnie. – Lepiej

powiedz, co myślisz o tym wszystkim, Beki?

– Nie wiem, ale nie podoba mi się to – pokręcił głową. – Po co ktoś miałby porywać tak małe dzieci? Chyba tylko do jakichś diabelskich czarów. Ale czemu zwyczajnie ich nie kupił? Na przedmieściach bez trudu znalazłby takich, co oddadzą za parę monet kolejne niechciane niemowlę. A tu jeszcze znika dziecko ze strzeżonego domu prokuratora. Nic z tego nie rozumiem. I do tego te rogate znaki.

– Może komuś zależy na wywołaniu niepokojów w mieście? Ludzie już mówią o Diable z Hippony.

– Mało już mamy niepokojów? Katolicy, donatyści, włóczędzy, Maurowie... – podrapał się w brodę. – To musi być coś innego. Ten sługa Oktawiana, któremu porwano dziecko – coś wiedział. Powiedział żeby szukał niejakej Fenany. To rzadkie imię. Kto to jest i jak ją znaleźć? – popatrzył na nią uważnie.

– Nie wiem, Beki – potrząsnęła głową. – A nie przyszło ci do głowy, że ten człowiek mógł dać ci fałszywy trop?

Słyszałam, że zniknął. Mógł gdzieś po prostu ukryć swoje dziecko.

– Tylko po co? – zmarszczył czoło. – Dlaczego miałby to robić?

– To Libijczyk, Rzymianin. Kto wie, czy nie ukryty katolik, albo donatysta? Czy to nie wystarczający powód? Mógł chcieć nam zaszkodzić.

– Nie, Oktawian zna go od zawsze i za niego ręczy. A ja ręczę za Oktawiana. Zresztą – skrzywił się – znasz go chyba lepiej ode mnie.

– Dawno i nieprawda – posłała mu z uśmiechem całusa.
– A temu słudze, czy on arianin, czy katolik, ktoś mógł przecież zapłacić za zrobienie zamieszania. Złoto to też silna religia.

– Nie sądzę. Ale lubię, jak jesteś cyniczna, Frido – uśmiechnął się.

– Wiem – odpowiedziała uśmiechem. – Cyniczna i wredna – poprawiła dekolt tak, by nie zakrywał za

dużo.

– Ale kiedyś znów przesadzisz i wtedy naprawdę cię zostawię – pokiwał głową.

– To też wiem. Ale to dopiero kiedyś – odrobinę wypięła pierś.

– Jesteśmy sami? – spytał, patrząc jej w dekolt.

– Niestety, Beki; służba za drzwiami.

– Przyjdiesz dziś do mnie po wieczornej naradzie?

– Przepraszam, Beki, ale dziś nie dam rady – westchnęła. – Farager poprosił mnie o załatwienie paru ważnych spraw.

– Jasne – pokiwał głową. – A jutro?

– Jutro ma przyjść do mnie doktor Hortencjusz. Nie wiem ile to zajmie. Ale jeśli krótko, to przyjdę.

– Chorujesz? – zaniepokoił się.

– Nie. Tunar ostatnio wszystko zwraca. Nie wiem, co mu dolega.

– Aha, pies – skrzywił się Beketar.

Podniósł się od stołu, zbierając papiery.

– Nie gniewaj się – podeszła do niego. – Mam tyle na głowie. Jeszcze teraz znowu ci Maurowie – objęła go od tyłu, kładąc mu głowę na ramieniu.

– Ta... I jeszcze teraz znowu ten Beketar – mruknął, biorąc dokumenty pod pachę.

– Nie mów tak. Naprawdę za tobą tęskniłam – ugryzła go w szyję.

Rzucił papiery na stół, odwrócił się i przycisnął ją do siebie i pocałował, łapiąc drugą ręką za dekolt i odsłaniając jej piersi.

– Beki... – zamruczała. – Służba...

Odsunęła go delikatnie, poprawiając suknię.

– Idź już. Przyjdę jak będę mogła.

*

Rankiem następnego dnia, idąc w zamyśleniu korytarzem, Beketar prawie zderzył się z Brunfridą.

– Właśnie szłam do ciebie – zaczęła lekko wzburzona.

Beketar rozejrzał się po pustym korytarzu i wciągnął ją do najbliższej wnęki. Nim zdążyła się odezwać, przycisnął ją do ściany, jedną rękę wsadził pod sukienkę, a drugą złapał za pierś. Przycisnął usta do jej warg, do jej szyi, do piersi. Nie broniła mu, ale po chwili odsunęła go trochę.

– Nie teraz, Beki. Eberulf przyjechał.

– Eberulf? Twój mąż? – zdziwił się, uwalniając ją. – Po co?

– Nie wiem. Pewnie znów będzie próbował zabrać mnie do domu – skrzywiła się.

– Farager nie pozwoli – wzruszył ramionami.

– Wiem, ale on chce się z tobą widzieć.

– Farager? Miałem do niego wpaść z raportem.

– Nie Farager, tylko Eberulf. Mój mąż chce się z tobą widzieć. Czeka u mnie.

– Po co? – zmarszczył brwi. – Spiesz mi się i nie mam ochoty z nim gadać.

– Proszę cię, Beki – szepnęła. – Inaczej się go nie pozbędę.

– Dobrze, ale tylko chwilę – westchnął.

– Dziękuję – pocałowała go.

Eberulf siedział przy stole. Był szczupłym, jasnowłosym mężczyzną o miłej twarzy. Ubrany był raczej skromnie, ale nie biednie.

– Witaj, Beketarze. Wybacz, że nie wstanę – wskazał na oparte o stół drewniane kule.

– Oczywiście – Beketar podszedł do siedzącego.

Uścisnęli sobie ręce. Eberulf spojrzał mu głęboko w oczy i gestem zaprosił do stołu. Czuć było od niego

winem. Nalał im z dzbana do kubków, a drugi, zalakowany dzban przesunął w stronę Beketara.

– To dla ciebie. Najlepsze wino z mojej winnicy.

– Dziękuję, Eberulfie – Beketar spojrzał na pieczęć.

– Nie jest zatrute – zaśmiał się ponuro Eberulf.

Beketar spojrzał na niego, unosząc brwi.

– Zastanawiasz się, Beketarze, czemu chciałem się z tobą spotkać – podjął Eberulf, patrząc mu prosto w oczy.

– Wiele osób chce się ze mną spotykać, Eberulfie – Beketar nie odwrócił wzroku. – Większość chce szepnąć parę słów, które w ich przekonaniu powinny dotrzeć do króla, inni przynoszą podarunki, sądząc, że mogą im pomóc.

– A możesz?

– Wrzucam ich za drzwi – odparł poważnie Beketar. – Wspominam ci o tym, żeby uniknąć nieprzyjemnych sytuacji.

– To dobrze – pokiwał głową Eberulf – bo ja płacę dopiero po załatwieniu sprawy.

– Czyli jednak? – skrzywił się Beketar.

– Tak. Ale to nie taka sprawa, o jakiej myślisz. Chodzi mi o moją żonę, Brunfridę – Eberulf wciąż nie odrywał od niego wzroku.

– Hmm... – Beketar powoli upił łyk wina. – A co z nią?

– Wiesz co. Chcę, żebyś ją zostawił. Proszę cię o to – westchnął Eberulf.

– Chyba nie rozumiem... – pokręcił głową Beketar, zachowując kamienną twarz.

– Chcę, żeby do mnie wróciła.

– Ale co ja mam z tym wspólnego, Eberulfie?

– Nie musisz przede mną udawać. Możecie zwodzić mojego szwagra i cały jego dwór – wskazał gdzieś za ścianę Eberulf – ale nie mnie.

– Obawiam się, Eberulfie...

– Tak, tak – przewał mu. – Znam to jej powiedzenie. Złapią cię z kochanką, mów, że nie twoja. Problem w tym, Beketarze, że ona naprawdę nie jest twoja. Jest moja! – nachylił się ku niemu. – Zapłaciłem za nią³⁶ i poślubiłem przed Bogiem. Nie możesz mi jej odbierać!

Beketar wstał i milcząc podszedł do okna.

– Nikt jej tu nie trzyma – odezwał się po chwili. – Gdyby chciała, sama wróciłaby do ciebie.

– Proszę cię! – Eberulf patrzył na niego błagalnie.

– Czemu sam nie każesz jej wrócić? – wzruszył ramionami Beketar. – To twoja żona.

– Farager chce mieć siostrę na dworze – spuścił wzrok Eberulf. – Ale, jeśli zechce wrócić, przekona go.

Beketar podszedł do stołu.

– W takim razie, chyba powinieneś porozmawiać z nią, nie ze mną, Eberulfie – pokręcił głową.

– Myślisz, że nie próbowałem? Przekonaj ją! – złapał go za koszulę Eberulf. – Dam ci wszystko, o co poprosisz!

– Obrażasz mnie, Eberulfie – westchnął Beketar. – Ale nie gniewam się. Ty ją nadal kochasz, prawda?

Eberulf smutno pokiwał głową.

– Po tym wszystkim?

– Po tym wszystkim... – westchnął Eberulf.

– Heh – pokiwał głową Beketar.

Wrócił do okna.

– *Miłość nasza potężnieje, / kiedy nas kochanka zrani. / Ja sam tym goręcej kocham, / im jest sroższa moja pani.*³⁷ – westchnął. – Przykro mi, Eberulfie. Rozumiem cię lepiej, niż sądzisz, ale nie mogę ci pomóc.

– Nie możesz, czy nie chcesz? – popatrzył na niego ze smutkiem Eberulf. – Uwierz mi, nie warto się z nią wiązać. Popatrz na mnie.

– Myślę, Eberulfie... – zawahał się Beketar. – Muszę już iść. Dziękuję za wino, naprawdę wyśmienite.

Podszedł do drzwi, zostawiając zapieczętowany

dzban na stole. Eberulf, opierając się o stół, podniósł się ciężko z krzesła i chwycił kule. Przekuśtykał na środek pokoju. Jedną nogawkę miał zawiniętą powyżej kolana. Przez chwilę patrzył trudnym do odczytania wzrokiem za Beketarem.

– Nie warto... – powtórzył.



Tego wieczoru "Pod kołem Fortuny" był spory tłok. Beketar siedział jednak sam przy małym stole w rogu sali. Na stole stał mały dzbanek, z którego co jakiś czas dolewał sobie wina. Ludzie wchodzili i wychodzili, przy stołach toczyły się rozmowy, na piętrze toczyły się kości, a on z ponurą miną przyglądał się temu wszystkiemu znad swojego kubka. Raz i drugi skinął któreś z urzędujących w lokalu dziewczyn, ale kręcił głową na porozumiewawcze uśmiechy. W końcu opróżnił dzbanek, podniósł się,

położył parę monet na stole i chwiejnym krokiem ruszył przez miasto. Minął dostojne kolumnady budynków przy forum i skręcił, sam pewnie nie wiedząc po co, w kierunku nadmorskich willi. Ulica chybotąła mu się lekko pod nogami, ściany przechylały nieostrożnie w prawo i w lewo, kolumny próbowały umykać zasadam geometrii i arytmetyki, lecz chłodne, nocne powietrze powoli przywracało równowagę świata. Mijał właśnie ostatnie niskie kamienice – domy rzemieślników i drobnych kupców – i skręcał w stronę latarni morskiej, gdy nagle coś ciemnego wpadło w niego z impetem zza rogu. Zatoczył się, odruchowo chwytając się przeszkody, która krzyknęła cicho w przestrachu. Szarpnął siłą bezwładu złapany materiał i stanął chwiejnie, gapiąc się to na utrzymaną w garści połę cudzego płaszcza, to na jego właściciela. Właścicielkę. Spod zdartego w zderzeniu kaptura rozsypały się pukle jasnych włosów, a nieco rozmazana w mroku i oparach wina twarz do złudzenia przypominała córkę Brunfridy.

– Eeeee... – chciał zebrać jakieś słowa Beketar, lecz w tej samej chwili rozległo się ciche kwilenie małego dziecka.

Spróbował zogniskować wzrok na trzymanym przez dziewczynę na rękach zawiniątku.

– Eeeee... – powtórzył. – Rodelinda?

Dziewczyna prychnęła gniewnie i wyszarpnęła mu płaszcz. Zachwiał się i w tej samej chwili poczuł mocne kopnięcie w brzuch. Zgiął się w pół, znów próbując czegoś się złapać, ale dłoń chwyciła tylko powietrze i Beketar wolnym, niemal teatralnym ruchem przetoczył się po bruku, lądując na wznak. Uniósł głowę, ale po dziewczynie, kimkolwiek była, nie było już śladu, jakby się rozplynęła w powietrzu. Podniósł się ciężko, otrzepał i rozejrzał zamglonym wzrokiem dokoła. Ulica była ciemna, cicha i pusta. Beketar oparł się o najbliższą ścianę, zwymiotował i zawrócił w stronę pałacu.

Po drodze wsadził głowę do jednej z miejskich sadzawek, co otrzeźwiło go na tyle, że wchodząc

na wzgórze, odzyskał pewny krok. W pałacu, zamiast do siebie, skręcił do pokojów Brunfridy.

– Co ty tu robisz o tej porze? – szepnęła, rozglądając się po korytarzu, gdy zapukał do drzwi.

Była jeszcze ubrana w suknię, ale widać było, że już szykowała się do snu.

– Musimy porozmawiać, Frido – spróbował minąć ją w drzwiach.

– Teraz? Jeszcze ktoś cię zobaczy! – nie pozwoliła mu wejść do środka.

– Tak, teraz – nie ustąpił. – Jeśli mnie nie wpuścisz, będę tu stał i gadał do drzwi. Wtedy na pewno ktoś mnie zobaczy.

– Jesteś pijany, śmierdzisz winem na milę – skrzywiła się, ale odsunęła się, pozwalając mu wejść.

Śpiący na jej łóżku pies na chwilę podniósł łeb, po czym na powrót zamknął oczy.

– Tak, jestem pijany – oparł się o ścianę. – I dlatego

musimy porozmawiać teraz.

– O czym? – cicho zamknęła drzwi.

– O tobie. O nas.

– Jestem już zmęczona, Beki – westchnęła.

– O, to mam szczęście – uśmiechnął się sarkastycznie. – Twój syn cię dziś wieczór nie potrzebuje, przyjaciółki są widocznie zajęte, a pies nie ma sraczki. Dziś jesteś tylko zmęczona.

– O co ci chodzi, Beki? – spochmurniała.

– O to, że cię nie ma! Nie ma cię kiedy czytam znajomym nową książkę, nie ma cię kiedy jest dobra sztuka w teatrze, nie ma cię kiedy jadę nad morze lub na polowanie.... I nie ma cię kiedy cię potrzebuję! Ty żyjesz tylko w pałacu, od śniadania do kolacji. Poza tym, zwyczajnie nie istniejesz! – nabrał tchu. – Nie czepiam się Hadamira, ani Rodelindy, gdybyś się nią zajmowała, twoje dzieci mają pierwszeństwo. Ale nie będę na dziesiątym miejscu twojej listy, za fryzjerem i psem!

– Skończyłeś? To chodź tu do mnie. Może i nie istnieję, ale za to mam na ciebie ochotę, Beki – mruknęła. – Zrób mi dobrze.

– Nie. Innym razem. Teraz będziemy rozmawiać – skrzywił się.

– Nie chcę gadać. Chcę się kochać – przyciągnęła go do siebie.

– Kiedyś będziesz musiała ze mną porozmawiać!

– Niczego nie będę musiała, kotku – ugryzła go w ucho.

– Nie mów do mnie kotku! – szarpnął się. – Wiesz, że tego nie znoszę!

– A to? To znosisz? – położyła sobie jedną jego rękę na piersi, a drugą na tyłku. – Ogierze! – dodała z lekką kpina.

Nie odpowiedział. Ze złością ścisnął ją za pośladek i przycisnął do siebie. Drugą ręką zerwał spinki z jej sukni i ściągnął ją na ramiona odsłaniając falujący biust. Jęknęła. Gwałtownie odsunął ją od siebie, odwrócił

i popchnął na ścianę. Oparła się o nią rękami, ale roztrącił je, przyciskając jej piersi do zimnych kamieni. Wykręcił jej ręce do tyłu i zaczął gryźć ją po szyi, po ramionach, kąsać po nagich plecach. Jęczała, nie próbując się oswobodzić.

– Wejdz we mnie – wysapała z twarzą przy ścianie.

Puścił ją, rozpiął pas i opuścił spodnie. Podciągnął jej suknię do góry, odsłaniając pośladki i wsadził jej rękę między uda. Rozsunęła nogi. Zaatakował ją od tyłu, mocno, brutalnie.

– Uwielbiam cię, Beki – przeciągnęła się, poprawiając suknię, gdy już było po wszystkim.

– Bardziej, niż swojego psa? – mruknął, dopinając pas.

– Prawie tak samo – uśmiechnęła się.

Usiedli przy stole. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu.

– Nie będzie cię przy mnie, kiedy naprawdę będę cię

potrzebował – skonstatował z pijackim smutkiem Beketar.

– Być może – wzruszyła ramionami. – Ale jestem tu teraz. A tej, która będzie wtedy, teraz tutaj nie ma.

– Ha! – uśmiechnął się mimo woli, zaraz jednak spoważniał. – Mężowi też tak mówiłaś?

– Nie moja wina – znów wzruszyła ramionami. – Chłop może nie mieć nogi, ale nie może być kaleką.

– Słyszałem, że stracił nogę, bijąc się o ciebie – spojrzał na nią z wyrzutem.

– Głupi był, to się bił. Nikt go nie prosił. Było mi wtedy dobrze z Alamundem. A w ogóle, to o co ci chodzi? – nasrożyła się. – Chcesz żebym do niego wróciła?

– Po prostu żał mi człowieka.

– Mnie też go żał. Ale nie jestem siostrą miłosierdzia. A jego, gdyby chciał, stać i na dziwki i na niewolnice.

– Chyba już pójdę – skrzywił się, wstając.

– Poczekaj – zatrzymała go. – Zrobisz coś dla mnie, Beki?

– A o co chodzi? – westchnął, przystając.

– Chcę wysłać syna na dwór królewski.

– Naprawdę? – uniósł brwi. – Myślałem, że już nigdy nie odstawisz go od piersi.

– To moje ostatnie dziecko – patrzyła gdzieś za okno. – Dwoje jego rodzeństwa nie dożyło siedmiu lat³⁸. Córka mną gardzi i nie chce mnie znać. Nieraz myślałam, że i jego stracę. Ale Hadamir dorasta i teraz muszę zadbać o jego przyszłość.

– Rozumiem... – pokiwał głową. – Moja córka miała pięć lat, kiedy zabrała ją zaraza. Może Hadamir powinien nauczyć się czytać i pisać, zamiast tylko machać mieczem?

– Żeby tracił wzrok nad jakimiś bazgrołami? Pozwól, że sama ocenię, co jest odpowiednie dla mojego syna.

– Nie moja sprawa – wzruszył ramionami. – I co z tym

królewskim dworem?

– Masz wpływowych znajomych w Kartaginie. Mógłbyś napisać do nich parę słów, polecić im Hadamira.

– Twój brat nie może tego zrobić? Farager mógłby zarekomendować siostrzeńca komu trzeba.

– Co dwie rekomendacje, to nie jedna.

– Dobrze – zgodził się po chwili namysłu. – Sekretarzem raczej nie będzie, ale mógłby się zahaczyć jako dworzanin któregoś z komesów.

– Nie zrozumiałeś mnie, Beki. Chcę żeby zahaczył się, jak to ująłeś, gdzieś w otoczeniu króla. Najlepiej na jakimś stanowisku odpowiednim dla młodego, dobrze urodzonego Wandala.

– Frido – uniósł brwi – jak to sobie niby wyobrażasz? Że napiszę do prepozyta królestwa, żeby zrobił jakiegoś miłego młodzieńca z prowincji królewskim urzędnikiem?

– Tak – pokiwała głową. – Właśnie tak to działa.

– Nie, Frido – spochmurniał Beketar. – U mnie to tak nie działa. Nie napiszę takiego polecenia.

– Proszę cię, Beki. Bardzo – dodała z naciskiem.

– Nie – pokręcił głową. – Mogę napisać do któregoś ze znajomych żeby zaopiekował się Hadamirem w Kartaginie, ale nie mogę polecić go na żaden urząd.

– To twoje ostatnie słowo? – zrobiła nieprzyjazną minę.

– Wiesz, że tak – odparł rozdrażnionym tonem. – I może zainteresowałabyś się tak samo swoją córką, jeśli jeszcze pamiętasz, że taką masz.

– Nie twój interes! – warknęła. – Nie wpieprzaj się w moje sprawy!

– Za chwilę to może być mój interes – odparował ze złością. – Masz w ogóle pojęcie, co ta dziewczyna robi, czym się zajmuje?

– Czym?!

– Spróbuj z nią kiedyś porozmawiać, to może się dowiesz – odparł zjadliwie. – Zanim skończy w worku

na dnie rzeki. Bo jak dla mnie, na miłą śmierdzi to jakimiś ciemnymi sprawami, a może i czymś gorszym.

– Kurwa! – zaklęła krótko Brunfrida. – To wszystko przez tę libijską wiedźmę, jej babkę! Teść, zamiast dobrej Wandalki, wziął sobie za żonę miejscową czarownicę, a ja nie odciąłam jej w porę od moich dzieci.

– Pewnie – prychnął. – Za bardzo byłaś zajęta swoimi kolejnymi kochankami.

– Pieprz się! – syknęła. – Gadaj, co wiesz?! – spojrzała na niego groźnie.

– Nic z tego – potrząsnął głową. – Teraz to tajemnica służby królewskiej.

– Nie jestem teraz w nastroju do głupich żartów – zwęziła oczy w wąskie szparki.

– Ja nie żartuję – odparł ponuro. – I tak za dużo już ci powiedziałem.

– Jeśli coś się jej przez ciebie stanie... – wyglądała, jakby chciała go podrapać paznokciami. – Zniszczę cię.

Zniszczę i będę patrzeć, jak zdychasz w jakimś rynsztoku.

Beketar zacisnął wargi i tylko wzruszył ramionami.

– W takim razie, możesz już sobie iść – ledwo hamując wściekłość, wskazała mu drzwi.

– Taki właśnie miałem zamiar – warknął, odwracając się do wyjścia.

– Tak, idź do tych swoich przyjaciółek! Na pewno któraś cię przytuli do cycka! – rzuciła za nim, wykrzywiając się nieładnie.

Zatrzymał się w pół drogi do drzwi.

– Nie miałbym żadnych przyjaciółek, gdybym miał ciebie – oznajmił chłodno. – Zostaniesz kiedyś sama, wiesz? Stara i sama. Może jeszcze na chwilę kogoś otumanisz albo zostaniesz posuwadłem dla napalonej młodzieży, ale wkrótce im też zbrzydniesz i skończysz sama z tym swoim kundlem.

– O mnie się nie martw – syknęła. – Jak będzie trzeba, kupię sobie niewolnika z fiutem jak buhaj!

– Twoja dupa, twoja sprawa. Pies cię lizał!

– Idź do diabła!

– Zgodnie z życzeniem! Ha-ha! – roześmiał się gorzko.

Wyszedł nie trzaskając drzwiami. Brunfrida została na środku pokoju z zaciśniętymi pięściami, dysząc ciężko. Po dłuższej chwili odetchnęła, wyciągnęła dłonie przed siebie i powoli, jakby z trudem, wyprostowała palce. Zdecydowanym krokiem podeszła do stojącego pod oknem stolika zastawionego różnymi naczyniami, chwyciła największy dzbanek i z całej siły cisnęła nim o ścianę. Skorupy z trzaskiem rozprysły się po całym pokoju, woda bryznęła dokoła, rozlewając się po posadzce. Leżący na łóżku pies z zaciekawieniem uniósł łeb.

– Służba! – krzyknęła ze złością. – Służba!

Po chwili do pokoju wbiegła przestraszona

służąca – młoda, spłoszona dziewczyna wyraźnie właśnie wyrwana ze snu.

– Co tak długo?! – warknęła Brunfrida. – Sprzątnij to! – wskazała szczątki dzbana.

– Tak, proszę pani – dziewczyna spuściła wzrok. – Pójdę po miotłę i szmatę, proszę pani.

– Tylko szybko! – popędziła ją ze złością Brunfrida.

Służąca wybiegła z pokoju. Brunfrida przez moment stała w bezruchu, jakby liczyła w myślach, po czym sięgnęła do stolika. Drugi dzbanek rozbił się z trzaskiem obok pierwszego, znacząc ścianę ciekącą plamą wina. Pies ze znudzoną miną opuścił łeb i zamknął oczy. Po dłuższej chwili do pokoju wbiegła służąca z miotłą i szmatą. Zobaczywszy nowy bałagan spojrzała pytająco na Brunfridę.

– Wynos się! – ta warknęła tylko. – Posprzątasz jutro!

Dziewczyna uciekła, zamykając za sobą drzwi.
Brunfrida zdmuchnęła świecę i nie zdejmując sukni,
rzuciła się na łóżko obok śpiącego psa.



– Poznał cię? – niewysoka kobieta o smutnych,
semickich rysach pogłaskała po główce śpiące w kołysce
niemowlę.

Miała na sobie prostą, lecz schludną sukienkę bez
rękawów, odkrywającą ramiona pokryte siatką drobnych
tataży.

– Chyba tak – mruknęła Rodelinda. – Chociaż był
pijany jak bela, dlatego udało mi się uciec.

– Może połączyć cię ze sprawą zaginionych dzieci. Nie
potrzebujemy tego – odparła kobieta przy kołysce. –
Trzeba będzie go usunąć – zdecydowała.

Wydawała się młoda, mówiła jednak powoli,
z namysłem jak ktoś dużo starszy.

– To zły pomysł – pokręciła głową Rodelinda. – Jeśli mnie poznał, inni agenci też już o tym wiedzą. Nie pozbędziemy się wszystkich. Przyczaję się na jakiś czas, zajmę sklepem. Za parę tygodni przestaną się mną interesować.

– Dzieci cię potrzebują – zauważyła poważnie kobieta z tatuażami.

Zostawiła kołyskę i usiadła na łóżku. Rozmawiały w niewielkim, ale ładnie utrzymanym mieszkaniu bez izb. Sprzęty były porządne, a ściany bielone i ozdobione kolorowymi wzorami. Z pewnością nie była to willa, ale też nie najtańsza czynszówka z poupychanymi na piętrach biednymi pokoikami.

– Nic na to nie poradzimy – wzruszyła ramionami Rodelinda. – Nie wolno nam wszystkiego narazić – przysiadła obok kobiety. – Nie teraz.

– Można go przekonać? Zastraszyć? Przekupić?

– Naczelnika? Nie wiem. Sypia z moją matką –

skrzywiła się Rodelinda. – Wolałabym nie próbować.

– Dobrze, w razie czego ja to zrobię – zgodziła się kobieta z tatuażami. – Przecież nie pozwolę, żeby mi cię zabrał – uśmiechnęła się niespodziewanie, kładąc dłoń na rękę Rodelindy.

– Oczywiście, że nie – rozchmurzyła się nieco dziewczyna. – Przyznaj się. To ty mnie potrzebujesz, nie te dzieci.

– Oczywiście – pocałowała ją w usta.



Ostatnie rudery na przedmieściach zostały z tyłu. Beketar popędził konia. Gaje oliwne, cytrusowe, pola i sady zafalowały w rytm końskich kopyt. Małą groblą minął kolejny kanał i skręcił w wąską ścieżkę biegnącą skrajem wody i falujących łąków świeżego zboża. Pracujący w polu robotnicy unosili głowy ciekawi samotnie galopującego jeźdźca. Beketar też uniósł głowę

znad końskiej grzywy, łapiąc w nozdrza świeże, pełne wiosennych zapachów powietrze. Góry zbliżały się powoli, rosły łagodnymi, kamienistymi zboczami ku bezchmurnemu niebu. Do południa zostało jeszcze parę godzin i słońce wciąż grzało przyjemnie, nim wszędzie wysoko i uderzy palącym żarem. Beketar zwolnił i pozwolił koniowi iść stępą pośród soczystej zieleni. Jechali tak dłuższy czas, gdy w pewnej chwili zwierzę wstrząsnęło łbem i parsknęło niespokojnie. Beketar ściągnął wodze i rozejrzał się dokoła. Było dziwnie cicho, nawet cykady umilkły w jakimś oczekiwaniu. Poprawił wiszący przy boku miecz i trącił konia, który niechętnie ruszył wolnym krokiem. Świat wkoło jakby zamarł, wsłuchując się w odgłos kopyt i skrzypienie uprzęży. Beketar ostrożnie wjechał ścieżką w mały cytrusowy zagajnik. W powietrzu dało się wyczuć jakiś metaliczny zapach osiadający na końskiej sierści, na skórze, na języku. W pewnym momencie kilkanaście metrów z przodu, między drzewami, ukazała się długa, brunatna smuga przecinająca gaj. Koń zrobił jeszcze parę kroków

i gwałtownie stanął w miejscu. Beketar zeskoczył z siodła, uwiązał wodze do drzewa i z ręką na mieczu ruszył powoli dalej. Coś jakby wielka bruzda ciągnęło się gdzieś daleko w obie strony pasem uschłej zieleni. Jak gdyby ktoś przeciągnął nad ziemią gigantyczną soczewkę, pod którą promienie słońca wysały całą wilgoć, pozostawiając parometrowej szerokości pas brunatnych szczątków. Rośliny nie były spalone; raczej suche jak pustynny piasek. Beketar ostrożnie dotknął najbliższego krzewu, który od razu rozpadł się w proch. Powoli, krok po kroku, przystając co chwila, wyszedł na ten pylisty szlak. Spojrzał w lewo, lecz tam spieczona wstęga ciągnęła się bez końca od strony południowego pasma gór. Odwrócił się w prawo i zamarł. W odległości paru kilometrów ścieżka kończyła się, a może raczej zaczynała dużym, gorejącym punktem, który zdawał się sunąć powoli naprzód szlakiem zniszczenia. Beketar wrócił biegiem do konia, odciągnął go dalej od wysuszonej smugi i wskoczył na siodło. Zwierzę ruszyło z kopyta przez zagajnik, a potem przez pola

równolegle do nieodległego brunatnego tropu. Koń, coraz bardziej nerwowy, instynktownie odbijał w prawo, byle dalej od niepokojącej go smugi, jeździec zaś co jakiś czas kierował go z powrotem w lewo i tak, lekkimi zakosami, dosyć szybko zaczęli doganiać tajemniczy blask. Beketar wyteżył wzrok. Wydawało się, że jakaś jasna łuna otacza potężną postać zmierzającą przed siebie, pozostawiając z tyłu wyschnięty ugór. Nagle świetlisty wędrowiec stanął i obrócił się w stronę galopującego konia. Zwierzę zaryło kopytami, niemal wysadzając jeźdźcę z siodła i zarżało rozpaczliwie. Beketar wisiał przez moment uczepony końskiej grzywy, po czym zsunął się na ziemię. Zwierzę szarpnęło się, wyrywając mu wodze z ręki rzuciło się do ucieczki. Beketar zagwizdał na palcach. Koń zwolnił, odbiegł jeszcze trochę i zatrzymał się jakieś sto metrów dalej. Ale Beketar nie patrzył już na to, zamarł tylko z uniesioną dłonią. Wężowy pierścień na jego palcu rozgrzał się, nabrał dziwnego blasku, wyostrzył dawno wytarte kształty, zdawało się niemal, jakby miał się za

chwilę poruszyć i zacząć pełznąć w kółko i w kółko z własnym ogonem w pysku. Beketar odwrócił się powoli, jakby spodziewając się już tego co ujrzy, w kierunku jasnego wędrowca. Zmrużył oczy. Potężna, łabędzio-biała postać z ognistym mieczem w dłoni unosiła się kilkanaście centymetrów nad wysaną z życia ziemią, falując długimi skrzydłami. Popatrzyła na niego spod opadających na twarz smoliście czarnych włosów.

– Ja jestem Szemał, posłaniec – oznajmił wędrowiec głosem jak ognisty podmuch.

Oślepiiony Beketar przyglądał mu się z nabożnym lękiem.

– Gdzie zmierzasz, panie? – wykrztusił.

– Jestem Szemał, Gniew i Zguba – odparł anioł.

– Dokąd idziesz, panie? – powtórzył Beketar.

– Do Królestwa – odpowiedź wybuchła ognistym podmuchiem, obalając Bektara na ziemię.

Otworzył oczy. Leżał we własnym łóżku mokry od potu, z suchością w ustach i znanym już pieczeniem skóry pod węzowym pierścieniem. Przez okno wpadały pierwsze promienie słońca. Sięgnął po dzbanek z wodą, wypił połowę, a resztę wylał sobie na głowę. Zawołał Jonatesa i posłał go po Frodulfa i Bilberta. Gdy się pojawili, kazał im opłacić ludzi, którzy dzień i noc będą mieli na oku Rodelinę, po czym wrócił do łóżka i przespał w nim cały dzień.



– Mam raport ze śledztwa, o który prosileś, Faragerze – Bektar położył zwój przed komesem siedzącym z ponurą miną po drugiej stronie stołu.

– A, tak... Raport... – Farager wziął dokument do ręki jakby myślał o czymś innym i odłożył go na bok, na kupę innych papierów. – Dziękuję, Bektarze. Później poproszę któregoś z sekretarzy żeby mi go przeczytał.

– Staralem się używać prostych słów – uśmiechnął się Beketar.

– Dziękuję – powtórzył z powagą komes. – Teraz... Na razie nie mogę się nim zająć.

– Maurowie? – uniósł brwi Beketar.

– Maurowie? – powtórzył Farager. – Nie, Beketarze. Eberulf – zasępił się.

– Eberulf? Mąż Brunfridy...? – nie zrozumiał Beketar.

– Tak – odparł markotnie komes. – Szwagier... Eberulf się powiesił.

– Eberulf? Powiesił? – Beketar otworzył usta z zaskoczenia.

– Tak – pokiwał głową Farager. – Służba znalazła go w stajni. Podła śmierć. Brunfrida pojechała już na wieś do ich posiadłości. Podła śmierć – powtórzył, kręcąc głową.

Beketar odchylił się na krzesle.

– Rozmawiałem z nim jeszcze parę dni temu... – mruknął ponuro.

– Nie wiem, dlaczego – westchnął komes. – Kiedyś był wesołym kompanem i niezłym wojownikiem. Pamiętam, układał takie zabawne, sprośne piosenki – uśmiechnął się smutno. – A potem ta głupia historia z Alamundem – westchnął.

– Słyszałem, że poszło o Brunfridę...

– Eberulf był zazdrosny – pokręcił głową Farager. – Ubzdurało mu się, że moja siostra sypia z Alamundem i wyzwał go na pojedynek. Prawie go zabił, Alamund pół roku lizał się z ran. Ale to u Eberulfa wdała się gangrena. Trzeba było ciąć nogę. Zaszył się potem na wsi, zaczął pić... A teraz to. Przykra sprawa.

– Brunfrida... Jak to przyjęła? – spojrzał na komesa.

– Znasz siostrę, to twarda sztuka i już od dawna się między nimi nie układało. Ale chyba trochę nią to wstrząsnęło. Wiem, powinienem z nią pojechać, ale

w prowincji jest zbyt niespokojnie, sam rozumiesz...

– Tak, rozumiem – pokiwał z niewesołą miną Beketar.

– Coś jeszcze, Beketarze? Przepraszam cię, ale muszę zająć się tą całą cholerną robotą, którą zajmowała się siostra.

– Nie, chyba nie – naczelnik podniósł się z krzesła. – Eberulf... – powtórzył bardziej do siebie, kręcąc głową.

– I dogadajcie się, proszę, z Lindulfem w sprawie tego śledztwa – zatrzymał go jeszcze u drzwi Farager.

Beketar kiwnął głową i wyszedł bez słowa. Po powrocie do swojego pokoju oparł się o zamknięte drzwi.

– *Szczęśliwy, kto w walkach miłosnych wyczerpuje siły! / Bogowie, niech to będą mej śmierci przyczyny!*³⁹ – wyrecytował pod nosem. – Ha! Ale może jednak nie w ten sposób...

metamorfozy

wciąż wiosna 530 roku



Czerwony sierp księżyca znad dalekiej pustyni rzucił trochę chłodnego blasku na ruiny murów obronnych. Część kamiennych bloków zabrano dawno temu do budowy domów, niektóre stały jeszcze resztką grubych ścian – do tych poprzyklejały się po obu stronach koślawe szopy biedoty – pozostałe walały się wśród ciernistych chaszczy. W jednym miejscu do ocalałego fragmentu pokruszonych umocnień

dobudowano od strony przedmieścia niewielki murowany kościółek, od strony miasta pozostało zaś zarośnięte krzakami wysypisko pełne gnijących odpadków, po których tu i tam myszkowały szczury. Zaszleściły krzaki i na tle muru pojawiły się trzy ciemniejsze plamy w kształcie zakapturzonych postaci. Jedna z nich dźwigała chyba jakiś ciężki pakunek, coś jakby duży kosz, dwie mogły mieć na plecach jakieś worki. Przeszły jeszcze parę kroków, nim zatrzymały się obok zarośniętej hałdy śmieci. Ostrożnie odłożyły bagaże i, płosząc szczury, zaczęły odgarniać odpadki. Pracowały tak w ciszy dłuższą chwilę, aż spod śmieci wyjrzał jaśniejszy fragment kamiennej płyty. Jedna z postaci zapała się o mur i pchnęła płytę, stękając z wysiłku. Rozległ się – głośny w nocnej ciszy – odgłos przesuwanego kamienia i pomiędzy brunatną masą odpadków ukazał się czarny otwór wielkości skulonego człowieka. Jedno po drugim cała trójka przecisnęła się, podając sobie pakunki, do środka i po chwili otwór przysłonił od wewnątrz gruby koc.

Trzasnęło krzesiwo, posypały się iskry – raz, drugi, trzeci – i płonąca pochodnia oświeciła wykuty w skale wąski korytarz opadający stromymi stopniami w ciemność. Troje zakapturzonych ludzi w długich, jasnych szatach podniosło się, biorąc bagaże. Niższe z nich, o kobiecej posturze, chwyciło w obie ręce zakryty kosz i pewnym krokiem ruszyło w dół, a pozostała dwójka podążyła z tyłu. Przeszli pięć, może siedem metrów kamiennymi schodami i znaleźli się w starej, wykutej w skale cysternie. Skryta pod kapturem kobieta odłożyła kosz na posadzkę i dała reszcie znak, by zostali na schodach. Coś było nie tak.

W powietrzu unosił się ciężki zapach padliny i siarki. Kobieta wzięła od jednego z towarzyszy pochodnię i ostrożnie ruszyła w głąb cysterny. Wciąż śmierdziało. Pod najdalszą ścianą błysnął złoty odblask. Postąpiła dalej, wznosząc pochodnię i oświetlając stojący w mroku spiżowy posąg. W tym samym momencie nad głową i kręconymi rogami rzeźbionego starca zaroilo się

od tłustych, błyszczących much. Kobieta odruchowo cofnęła się o krok. Blask pochodni drgał na spizowej postaci i na pancerzykach klębiących się z głośnym brzęczeniem owadów. Posąg zmienił się w jakiś trudno uchwytny sposób. Jakby przesunęły się pewne proporcje, zaburzyły czyste linie muskularnego ciała. Zdawało się, że rogaty starzec przygarbił się, przytył, a jego twarz wykrzywił nieładny grymas. Posąg poruszył się, uniosł głowę i spojrzał na kobietę złotymi oczami, które nabrały wyłupiastego kształtu.

– Panie... – przyklękła zaskoczona, schylając głowę, a jasne włosy wysypały się spod kaptura.

– Witaj, Fenano – odezwał się chropowatym głosem starzec.

– Odzyskałeś moc... – uniosła wzrok.

– Dzięki tobie, Fenano – uśmiechnęła się z zadowoleniem rogata istota.

– Co ci się stało, panie? – wskazała na niego, na muchy.

– My też się zmieniamy, Fenano – uniósł do oczy złotą dłoń z zaczątkami szponów. – Wasza wiara nas zmienia.

– Wierzę w ciebie, panie, takiego, jakim zawsze byłeś – zapewniła.

– Nigdy nie było żadnego "zawsze", Fenano – uśmiechnął się pobłaźliwie. – I nigdy nie będzie.

Patrzyła na niego skonsternowana – na wynaturzające się w blasku pochodni kształty, na kłębiące się muchy – wdychając unoszący się odór.

– Nadal mi służysz, Fenano?

– Nadal, panie – kobieta pochyliła głowę. – Tylko... – zawahała się – Dlaczego tutaj, panie? – uniosła wzrok. – Dlaczego w Hipponie wśród tych Wandalów, wśród tylu kościołów...? Dlaczego nie pójdziemy gdzie indziej, gdzie nikt nie będzie nas tropił?

– Ponieważ chcemy, by nas tropiono, Fenano – roześmiał się chrapliwie. – Ponieważ w tym mieście wiara jest szczególnie głęboka. Ponieważ to moja ziemia

aż do korzeni gór. A także dlatego, że choć ten lud znikąd już zapomniał, choć nie chciał pamiętać, kiedyś, daleko stąd, ktoś przeklął ich i wydał na żer. Oto dlaczego.

– Rozumiem, panie.

– Nadal mi służysz, Fenano? – powtórzył pytanie.

– Całą sobą.

– Więc złoż mi ofiarę.



Zbliżał się wieczór i wielobarwny tłum znów zaroił się niby chmara brzęczących much między straganami na głównej ulicy Hippony. Rzymianie, Maurowie, Wandalowie, ludzie wszelkiego pochodzenia – czasami nieznanego nawet sobie – i wszelkiej kondycji dźwigali towary, targowali się, sprzedawali, kupowali, kradli

i żebrali, krążąc w pradawnym tańcu ku czci jakichś zapomnianych bóstw chaosu. Przy jednym ze straganów Rodelinda dzieliła kijem po rękach młodego obdartusa, który próbował zwinąć pod ubranie kawałek kolorowego materiału i wróciła do zachwalania klientce jednej z wiszących sukni. Sama miała na sobie prosto skrojony strój w żałobnym kolorze, na rękach zaś zabliźniające się ślady ran, jakie czasem jeszcze potrafiły zadawać sobie nieliczne, wciąż przywiązane do pogrzebowej tradycji Wandalki.

W pewnym momencie, od strony gdzie dawniej wznosiła się główna brama, dało się słyszeć ponad hałasem ulicy odległy dźwięk rogu. Zafalował przez chwilę w powietrzu i przepadł bez echa w zgiełku zajętego swoimi sprawami tłumu. Parę minut później, gdzieś od strony przedmieścia, uliczne rojowisko zaczęło rozstępować się jednak niechętnie pod naporem uzbrojonych we włócznie jeźdźców, za którymi postępowała większa kawalkada. Pracująca z Rodelindą

dziewczyna, wyglądająca na jedną ze szwaczek, z ciekawością wyciągnęła w tamtym kierunku głowę znad straganu.

– To chyba komes wraca.

– Pojechał, to i wraca – wzruszyła ramionami Rodelinda. – A ty wracaj do roboty. Nie ma na co patrzeć.

Ale coraz więcej ludzi odwracało głowy w stronę zbliżającego się pochodu. Przodem i bokami parla konno straż komesa, rozpychając tłoczących się przechodniów. Gwardziści poruszali się na lekko, bez ciężkiego rynsztunku, tylko z mieczami przy boku i z włóczniami, którymi co chwila okładali tych, którzy zbyt opieszale schodzili z drogi. Zaraz za nimi, środkiem pochodu, jechał komes Farager z liczną grupą lokalnych możnych i pałacowych dostojników. Tu konie były piękne, stroje jedwabne, pierścienie liczne, a złote łańcuchy ciężkie. Mężczyźni przy mieczach, z kołczanami u siodeł, kobiety oczywiście bez broni, choć parę z nich również miało

łuki, dając wyraz postępującej swobodzie obyczajów. Z tyłu jechały wozy – na pierwsze rzucono martwe gazy, dziki i muflony, na samej górze umieszczając sporego lwa, na dalsze zapakowała się służba i sprzęty. Pochód zamykało znów kilkunastu strażników. Kawalkada szła powoli, jakby Farager chciał dać wszystkim napatrzeć się do syta.

– Tam, obok komesa, to twoja matka? – dziewczyna wskazała na kobietę w czarnym welonie na głowie.

– Tak – mruknęła niechętnie Rodelinda.

– Czemu ma zasłoniętą twarz?

– Śmiała przyjechać na pogrzeb ojca! – skrzywiła się Rodelinda. – Podrapałam sukę tak, że długo nie pokaże się bez zasłony! – zaśmiała się z ponurą satysfakcją w głosie.

Dziewczyna popatrzyła na nią dziwnie.

– Nie boisz się? Teraz jesteś chyba pod opieką wuja⁴⁰?

– Brata. I ta dziwka, moja matka, też – sprostowała

z zadowoleniem Rodelinda. – Hadamir to jeszcze szczeniak, ale według prawa jest już dorosły. I myślę, że po tym, co spotkało ojca, sam przetnie pępowinę, którą oplątała go matka. Nie da jej mnie skrzywdzić.

– Który to?

– Nie ma go. Musi teraz objąć majątek ojca. Dobra, starczy tego gapienia się – Rodelinda pogroziła kijem umorusanemu dzieciakowi, który, korzystając z zamieszania, próbował podkraść się do sąsiedniego straganu z owocami. – Niektórzy w tym mieście muszą uczciwie pracować na swój chleb.



Zmęczeni, ale roześmiani myśliwi i kibice rozsiedli się na pospiesznie zniesionych sofach w głównej sali pałacu. Na zewnątrz robiło się już ciemno, ale Farager postanowił nie wypuszczać nikogo bez pożegnalnego wina i poczęstunku, zresztą duża część gości i tak miała

zatrzymać się na noc w pałacu, więc teraz służba biegała w te i z powrotem z tacami i dzbanami między pochłoniętymi myśliwskimi przechwałkami gośćmi. Komes z żoną krążyli między nimi, zamieniając z każdym parę słów, a czasem przystając na dłużej. Brunfrida siedziała w rogu sali razem z paroma starszymi kobietami, jak przystało wdowie, jednak wydawała się bardziej zajęta obserwowaniem gości niż rozmową. Albo paznokcie Rodelindy nie były dość ostre, albo maści doktora Hortencjusza były tak dobre, dość że na jej twarzy nie było widać ran. Na chwilę zatrzymała wzrok na stojącym w jednej z grup Beketarze, nim któraś z kobiet na powrót wciągnęła ją do rozmowy.

Beketar stanął pod oknem razem z Alamundem i jego kuzynem Godagisem z synami. Najstarszy zniknął gdzieś z grupą młodych wojowników kręcących się w pobliżu panien na wydaniu, ale dwóch młodszych trzymało się ojca, trochę jeszcze zagubionych w zgiełku pałacowego życia. Godagis zabrał ze sobą na wielkie

polowanie synów, lecz ku rozczarowaniu Beketara zostawił w domu kobiety, w tym swoją podopieczną Ermintrudę.

– A ty upolowałaś dziś coś, Ritigernie? – Alamund zmierzwił czarną czuprynę nieco spłoszonego chłopca, na oko dziesięciolatka.

– Nie, wujku – odparł nieśmiało spytany.

– Ja prawie upolowałem gazelę! – pochwalił się starszy, może trzynastoletni blondyn. – Tylko ktoś mi ją spłoszył kiedy strzeliłem.

Godagis z Alamundem roześmiali się głośno, Beketar też się uśmiechnął.

– Idźcie, zjedzcie coś – popchnął ich delikatnie Godagis
– bo matka znów będzie marudzić, że was głodzę.

Chłopcy biegiem zniknęli między biesiadnikami.

– Moi chrześniacy – uśmiechnął się Alamund.

– Dobrych masz synów, Godagisie – pochwalił uprzejmie Beketar. – Dzielnie sobie radzili.

– Za dwa-trzy lata wyśle ich do Kartaginy – uśmiechnął się zadowoleniem Godagis. – Ermengona do drużyny królewskiej – dobrze sobie radzi z bronią – A Ritigerna dam na księdza przy patriarsze, bo ma smykałkę do nauki.

– Muszę zostawić was na chwilę – uśmiechnął się przepraszająco Beketar, ponieważ za ich plecami zauważył przyglądającego mu się znacząco znad stołu z jedzeniem katolickiego biskupa Martyniana.

– Zajrzyj do mnie jutro po zmroku, Beketarze – szepnął biskup, gdy naczelnik niby od niechcenia podszedł i sięgnął po leżący obok kawałek zimnej pieczeni. – Mam trochę informacji o donatystach i może jakiś trop w sprawie dzieci.

– Będę – skinął głową Beketar, odwracając się, by zawołać służącego z winem.

Stojący w pobliżu sługa od razu podał mu kielich, drugi napełnił biskupowi. Beketar zerknął za nim, jakby skojarzył skądś jego twarz, ten jednak zniknął już

w drzwiach do kuchni. Naczelnik upił trochę wina i ruszył między biesiadników. Witał się właśnie z grupką bogatych Rzymian, gdy usłyszał za sobą jakiś charkot i głośne stukanie. Stojący w pobliżu goście zaczęli odwracać głowy, szukając źródła dziwnych dźwięków. To biskup Martynian oparł się o stół i trzymając się ręką za szyję, próbował złapać oddech, a drugą ręką, wciąż ściskając kielich, walił o blat. Stojący najbliżej odruchowo odsunęli się ze zdziwionymi minami. Martynian posiniał, parę kobiet pisnęło przestraszonych, lecz zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Alamund, rozsuwając ludzi, przecisnął się do biskupa i zaczął uderzać go w plecy. Kiedy to nie pomogło, wziął go pod ramiona, podniósł do góry jakby ten nic nie ważył, próbując pomóc dławiącemu się mężczyźnie. Biskup wypuścił puchar, który z brzękiem potoczył się po posadzce. Wszystkie oczy skierowały się na nich. Tysięcznik spróbował parę razy ścisnąć coraz bardziej sinego Martyniana, ten jednak nagle zaczął się rzucać tak, że wymknął mu się z rąk i upadł na podłogę. Cała sala

zamarła, patrząc jak biskup w drgawkach wiję się po posadzce. Beketar ruszył powoli, jakby jeszcze niepewny co robić, w jego stronę. Po chwili Martynian znieruchomiał, a w sali zaczął się rwytest. Beketar skoczył do Alamunda i pociągnął go za rękaw.

– Do kuchni! – zakomenderował.

Alamund nie dyskutował, razem pobiegli do drzwi.

– Zebrać służbę! Nikt nie ma prawa wyjść z pałacu! – rzucił Beketar mijanym w biegu strażnikom.

W drzwiach potracili człowieka z tacą, który zawirował i wpadł nosem w jakąś wyszukaną potrawę jak na kiepskiej komedii w miejskim teatrze. Rozpychając zdeorientowanych służących, zbiegli schodami i wpadli do kuchni. Nie dotarł tam jeszcze zgiełk z góry i kucharze uwijali się między stołami i piecami, mieszając, siekając, doprawiając i klnąc na czym świat stoi.

– Pilnuj drzwi! – Beketar zostawił Alamunda przy wejściu. – Gdzie wino?! – chwycił za koszulę najbliższego człowieka.

– Wino? – zdziwił się kucharz. – Przecież to kuchnia. Piwnica z winami...

– Cholera! – przerwał mu Beketar. – Do piwnicy!

– Czekaj! – złapał go Alamund. – Przecież my też to piliśmy. To musiał być ktoś ze służby, kto go obsługiwał.

– Racja. Wracamy na górę!

Gdy wbiegli po schodach, służba tłoczyła się już niespokojnie na zapleczu pod czujnym okiem strażników. Zza drzwi do głównej sali wciąż dochodziły krzyki.

– Kto podawał biskupowi?! – Beketar powiódł wzrokiem po zebranych. – Katolickiemu – dodał.

– Chyba Septymiusz – rzuciła nieśmiało któraś z kobiet.

– Który to?!

Służący zaczęli rozglądać się po sobie.

– Był tu jeszcze przed chwilą.

– Chyba gdzieś wyszedł.

– Szlag! – zaklął Beketar.

Od strony bramy rozległ się stukot kopyt po bruku. Beketar bez słowa skoczył biegiem w stronę wyjścia.

– Pomóżcie mu! – Alamund posłał za nim dwóch strażników.

Gdy dopadli zdyszani do stajni, drzwi były otwarte. Zapadł już zmrok i w nocnej ciszy wciąż było słyszeć tętent na drodze do miasta. Wpadli do środka. Strażnicy rzucili się siodłać konie, jednak Beketar doskoczył do swojego wierzchowca, wskoczył na jego grzbiet i ruszył na oklep z kopyta. Wypadł z bram pałacu w samą porę, by ujrzeć z góry ciemny kształt galopujący już przez przedmieścia. Popędził konia. Zjechał w galopie ze wzgórza prosto w ciemne, wąskie uliczki

miasta. Skręcił w idącą nieco na około, ale szerszą ulicę. W niektórych oknach zaczęły pokazywać się zaspane głowy, goniły go jakieś przekleństwa obudzonych mieszkańców, ale wszystko zagłuszał grzmot kopyt na kamiennych płytach i szum wiatru. Wypadł z miast i koń przeszedł w cwał. Ściganego nie było widać, ale w tym kierunku przez kilka kilometrów prowadziła tylko jedna droga, nim rozbiegała się traktami do Thevesty, Kartaginy i wąskim nadmorskim szlakiem. Ciemne pola, mroczne gaje, cienie samotnych drzew migwały Beketarowi w załzawionych od wiatru oczach. Po około kwadransie, kiedy koń zaczął już słabnąć, dotarli do rozdroża. Beketar zeskoczył z siodła, próbując znaleźć w mroku świeże, głębokie ślady kopyt. Nie znalazł żadnych, wskoczył więc z powrotem na konia i ruszył na chybił trafił jedną z dróg.

Wrócił do miasta nad ranem. Ani na drodze, którą najpierw pojechał, ani na drugiej, nikt niczego

nie widział, niczego nie słyszał. Trzeciej nie miał już siły sprawdzać. Jak kamień w wodę. Niedaleko przed miastem spotkał Bilberta i Frodulfa, którzy wspólnie ze strażą komesa próbowali tropić truciciela z pomocą psów myśliwskich. Pochwalił, udzielił paru wskazówek i ledwo żywy, na wykończonym koniu, powłókł się stępa do pałacu, gdzie czekał już prawdziwy sztab kryzysowy. Do jednej z bocznych sal wniesiono dodatkowe stoły i krzesła, przyniesiono wino, jedzenie. Przed drzwiami stanęła straż. W środku zastał Brunfridę z tysięcznikami – Alamundem i Theuderykiem. Był też Oktawian z władz miasta i oczywiście Lindulf, ariański biskup Hippony. Wszyscy mieli podkrążone oczy i niewesołe miny. Brunfrida zignorowała jego wejście, a Beketar odwzajemnił jej tym samym.

– Czekamy jeszcze na Faragera – wyjaśnił Theuderyk.

– Uciekł? – upewnił się Alamund.

– Uciekł – pokiwał głową Beketar, nalewając sobie wina. – Musiał zjechać gdzieś z głównej drogi. Spotkałem

Bilberta i Frodulfa – może psy go wytropią. A tutaj?

– Zdążyliśmy przesłuchać paru służących – westchnął Lindulf – na razie bez skutku. Nie możemy zamknąć całej służby, ale na razie nie wolno im opuszczać pałacu. Wczorajsi goście dostali dodatkową straż, która przy okazji ma na nich oko.

– Gości z miasta dyskretnie pilnują moi ludzie – dodał Oktawian.

Beketar usiadł ciężko na krześle.

– Nie podoba mi się to – pokręcił głową.

– No, ba! – zaśmiał się niewesoło Alamund.

– Czegoś nie rozumiem – włączyła się zmęczonym głosem Brunfrida. – Gdyby otruto – wybaczone ciębie, Lindulfie albo Faragera... Ale katolicki biskup to dziwny cel. Po co? Komu mogło na tym zależeć?

– Może komuś z naszych, kto nie pogodził się z powrotem katolików? – podrzucił Theuderyk.

Biskup Lindulf zgromił go wzrokiem.

– Ten truciciel, Septymiusz, nie był chyba arianinem – mruknął.

– Sprawdzę w papierach – westchnął Beketar.

– Pozostają nam donatyści – oświadczył Lindulf.

– To możliwe – przyznał Beketar. – Widzicie... Martynian zbierał dla mnie pewne informacje.

– To już nawet duchownych wciągasz na swoją listę płac? – prychnęła pogardliwie Brunfrida.

Beketar uniósł brwi, ale nie zareagował na zaczepkę.

– Martynian miał mi przekazać dane aktywnych donatystów. Ale szukał też informacji na temat zaginionych dzieci.

– Dlaczego nic o tym nie wiedziałem? – oburzył się Lindulf.

– On też nie wiedział o twoim udziale w śledztwie – mruknął Beketar.

– Co proszę?! – poczerwieniał biskup. – Nie sądzisz chyba...?!

Ale dalszą wymianę przerwało wejście Faragera. Komes popatrzył tylko zmęczonym wzrokiem na Lindulfa zastygłego z uniesioną w gniewie dłonią i usiadł obok siostry. Biskup rzucił Beketarowi gniewne spojrzenie i również usiadł.

– No dobrze... – Farager zwrócił się do naczelnika. – Coś nowego?

– Niestety – pokręcił głową Beketar.

– Właśnie się dowiedzieliśmy – uniósł się Lindulf – że pan naczelnik, bez uzgodnienia z kimkolwiek, wchodził w konszachty z katolikami!

– Nie muszę ci się tłumaczyć, Lindulfie, ze sposobów w jakie prowadzę dochodzenia! – warknął Beketar.

– A powinienes, bo ostatnio twoje dochodzenia dotyczą chyba tylko demonów i heretyków! Szkoda, że na razie bez skutku – odgryzł się biskup.

– Przestańcie – poprosił poważnym głosem Farager. – Teraz liczy się tylko wyjaśnienie tego morderstwa. Ktoś w moim pałacu otruił mojego gościa! – uderzył ze złością w stół. – Tu chodzi o honor mój i nas wszystkich! – powiódł wzrokiem po zebranych.

– Martynian podejrzewał, że za porwaniami dzieci może stać ktoś z pałacu – mruknął niechętnie Beketar. – To też może być jakiś trop.

– No i weź tu, kurwa, bądź dla nich dobry – wyrwało się biskupowi. – Zaraz zaczynają jątrzyć. Przepraszam – zmiarkował się.

– To niedorzeczne! – obruszyła się Brunfrida. – Pewnie zjadamy te dzieci na obiad. Albo pijemy ich krew dla urody.

– A pijecie? – wtrącił złośliwie zirytowany Beketar.

– Cisza! – nie dał dojść do głosu dalszym sporom Farager. – To niedorzeczne – potwierdził. – Ale macie zbadać wszystkie tropy, nawet te głupie – popatrzył

po Lindulfie i Beketarze. – A jakieś inne pomysły? – zwrócił się do pozostałych.

– Czy służba powiedziała coś więcej? – zmienił kierunek rozmowy Alamund.

– Nie – potrząsnął głową komes. – Oczywiście użyjemy jeszcze boleśniejszych metod, ale możliwe, że ten Septymistrz działał sam.

– Mało prawdopodobne – włączyła się Brunfrida. – Może nie miał współników tu, w pałacu, ale musiał mieć ich w mieście. Takie trucizny nie leżą przecież na ulicy. Co nam możesz powiedzieć na jego temat, Beketarze? – uśmiechnęła się niby przyjaźnie.

– Sprawdziliśmy go, jak każdego, zanim zaczął tu służbę – wzruszył ramionami. – Muszę poszukać w papierach.

– Widać źle go sprawdziliście... – zaczęła ostro.

– Brunfrido – przerwał jej komes – to nie pora na kłótnie. Mamy teraz ważniejsze problemy. Oprócz

wyjaśnienia tej sprawy, musimy za wszelką cenę uniknąć zamieszek podczas pogrzebu.

– Wpuścili tu truciela – nie ustąpiła. – Mógł zamordować każdego z nas!

– Brunfrido! – Farager przybrał surowy ton. – Powiedziałem, nie teraz, siostro!

Wzruszyła ramionami, ale zamknęła usta.

– Mówiliśmy chyba o pogrzebie i zamieszkach – odezwał się milczący dotąd Oktawian. – Straż miejska nad tym nie zapanuje. Mamy za mało ludzi.

– Może nie będzie zamieszek? – wtrącił Theuderyk. – W końcu, to pogrzeb.

Farager westchnął, ale nie skomentował.

– Sprowadzimy więcej wojska, Oktawianie – obiecał prokuratorowi. – Ciało na razie jest w piwnicy – machnął ręką w stronę podłogi. – Pozwoliłem czuwać przy nim katolickim księżom, żeby nie zaogniać sytuacji. Dobrze – popatrzył po zebranych. – Jakie macie pomysły

na rozwiązanie tej sytuacji? Lindulfie?

Biskup podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Przez chwilę obserwował miasto.

– Nie powinniśmy wpuszczać tu tych heretyków z powrotem – odwrócił się zgromadzonych. – Ale mleko już się rozlało; każdemu należy się godny pogrzeb. Nie patrzcie tak na mnie – uśmiechnął się krzywo. – Nigdy nie byłem za rzucaniem ich lwom.

– To może użyczyłbyś bazyliki na nabożeństwo pogrzebowe? – zaproponował Theuderyk. – Dzięki temu pokażemy, że ten atak był tak samo przeciw nim, jak i nam, że to nie my go otruliśmy.

– Nie prosź mnie o takie rzeczy – pokręcił głową Lindulf.
– Lwy to jedno, a wpuszczanie tych bluźnierców do kościoła to zupełnie co innego. Niech uprawiają swoje herezje w tej szopie, którą oddał im król.

– Zbiorą się tłumy – zaproponował Oktawian. – Nie zmieszczą się tam.

– Tak, to na pewno – pokiwał głową komes. – Alamundzie? – zwrócił się do tysięcznika.

Alamund podrapał się w brodę.

– Lindulf ma rację. Nie możemy wpuścić ich do bazyliki. Ale Oktawian też ma rację, zbiorą się tłumy, może dojść do zamieszek. Szczególnie, jeśli postawimy tam wojsko.

– Musimy postawić wojsko! – zaprotestowała Brunfrida.

– Oczywiście – przyznał Alamund. – Ale pod dobrym pretekstem, nie jako groźbę. Moim zdaniem, Theuderyk ma dobry pomysł. Musimy przynajmniej stworzyć pozory solidarności z żałobnikami. A gdyby sam komes, oczywiście ze swoją drużyną, wziął udział w takiej uroczystości? Może nawet zapewniając sporą straż honorową zmarłemu?

– Mam brać udział w katolickim nabożeństwie? – skrzywił się Farager.

– Myślę, że jest szansa, by wielebny Lindulf udzielił ci rozgrzeszenia – uśmiechnął się Alamund.

Biskup westchnął i pokiwał głową.

– Ale czy oni na to pójda? – zaniepokoił się Beketar. – Przecież wcale nie muszą nas tam chcieć.

– Co za czasy! – pokręcił głową Lindulf. – Nawet za króla Trasamunda nikt by się nie przejmował takimi rzeczami. Postawiłoby się wojsko, pozwoliło najwyżej na skromną uroczystość, opornych zamknęło i po kłopotcie.

– Pytałeś się, Beketarze, czy będą chcieli? – podjął Alamund. – Dowiedzmy się kto tam teraz liczy na sakrę biskupią po nieboszczyku. Zobaczymy kogo warto poprzeć, a on z pewnością będzie nam wdzięczny.

Beketar spojrzał pytająco na Faragera.

– Hmm... – zamyślił się komes. – Theuderyku? – spojrzał na drugiego tysięcznika.

– Zgadzam się z Alamundem – przytaknął Theuderyk.

– To najlepsze rozwiązanie.

– Oktawianie?

– Tak – zgodził się prokurator. – Mogę się tym zająć; mam paru znajomych, wysoko postawionych katolików. Ale nie możemy zapominać o wytropieniu tych, którzy stali za tym zamachem.

– Dobrze, muszę to przemyśleć – Farager rozejrzył się po zgromadzonych. – Alamundzie i Theuderyku, ściągniecie tu po półtorej setki zbrojnych. Mają się stawić najpóźniej za trzy dni. A ty, Beketarze, rozejrzyj się, proszę, ze swoimi ludźmi po mieście. I sprawdź co wiemy o tym trucieliu. A teraz wszyscy mają iść spać. Spotkamy się wieczorem – zakończył, wstając od stołu.

Zebrani, niektórzy nie urywając już ziewania, poszli za jego przykładem. Beketar ruszył prosto do swoich komnat, gdzie zastał Jonatesa pochylonego nad urzędowymi zwojami.

– Mam tu informacje o tym Septymiuszu – uniósł głowę

na widok naczelnika. – Był na służbie w pałacu od ponad dwóch lat. Wcześniej pracował w jednym z kantorów handlowych. Trzeba będzie sprawdzić właściciela. Septymiusz przyjechał niewiele wcześniej z okolic Tenelium. Rzymianin, katolik, regularnie chodził do kościoła. Nie pił za dużo, czasem korzystał z prostytutek, ale raczej typ samotnika. Tyle mamy.

– Trzeba będzie przesłuchać dziewczyny z portu i przepytąć jego znajomych z pałacu – ziewnął Beketar. – Ale teraz idę spać – ruszył w stronę sypialni.

– Myślisz, że działał sam? – zastanowił się Jonates.

– Nie – pokręcił głową Beketar, przystając. – Nie jest prosto przyrządzić taką truciznę, która zabija na miejscu. Każdy przy odrobinie wysiłku przyrządzi miksturę, po której ofiara będzie rzygać jak kot albo umierać w męczarniach. O ile wypije cały dzban. Ale coś takiego musiał przygotować ktoś dysponujący dużą wiedzą i odpowiednim sprzętem. Nie wiem, czy znajdziemy kogoś takiego w Hipponie.

– Skoro to takie trudne, to musi kosztować znacznie więcej, niż dostaje służba u Faragera – podrapał się po łysinie Jonates.

– Zawsze idź tropem pieniędzy – przytaknął Beketar. – Lub zawiedzionej miłości. To pierwsze, czego nauczyłem się w tej robocie. Ale, ponieważ jednego i drugiego mamy w tym mieście aż nadto, my pójdziemy tropem trucizny.

– Jak na was patrzę, to wszystko to są trucizny – pokręcił głową Jonates.

– Pewnie tak – uśmiechnął się mimo woli Beketar. – A teraz już naprawdę idę spać, bo zasnę na podłodze.

Przeszedł do sypialni i rzucił się na łóżko tak jak stał.



Spotkali się wieczorem w tym samym składzie co rano. Farager oznajmił, że zgadza się na plan Alamunda

i weźmie udział w pogrzebie razem ze swoją drużyną i strażą. Beketar zrelacjonował informacje o ściganym Septymiuszu i zadeklarował udział w przesłuchaniach służby. Ustalono, że lepiej będzie wysłać już wszystkich gości do domu – ponieważ snuli się tylko po pałacu znudzeni, przestraszeni lub pijani – i więcej pomysłów na razie nie było. Powoli zbierali się już do rozejścia, gdy sługa oznajmił powrót pościgu. Szybko zeszli na stary dziedziniec, gdzie czekali już Bilbert i Frodulf z ludźmi Faragera. Na ziemi, na brudnym kocu leżało zakrwawione ciało.

– Mamy go! – pochwalił się Frodulf. – Nocą zjechał z traktu, dlatego go nie znalazłeś. Przepłynął rzekę, ale koń mu okulał, więc łatwo go dogoniliśmy.

– Żyje? – Farager spojrzał na pokrwawionego sługę.

– Bronił się – wyjaśnił Bilbert. – Jeszcze żyje, ale nie wiem czy z tego wyjdzie.

– Przenieście go do lochu i sprowadźcie medyka – rozkazał komes.

Beketar przyjrzał się leżącemu i zmarszczył brwi. Zamachowiec był cały we krwi, obwiązany brudnymi bandażami.

– Faragerze – zaproponował. – Może lepiej umieścić go w mojej kancelarii? Nie wiadomo, z kim w pałacu mógł współpracować. W lochu nie będzie bezpieczny. Postawię na straży swoich ludzi.

Komes zastanowił się chwilę. Spojrzał na pozostałych. Oktawian i Theuderyk kiwnęli głowami, Lindulf bez większego przekonania też, Alamund zrobił minę z gatunku "wszystko jedno", Brunfrida tylko wzruszyła ramionami.

– Dobrze – zdecydował Farager. – Przenieście go do Beketara. Niech przed drzwiami, na wszelki wypadek, stoi też cały czas dwóch ludzi z mojej straży.

Ranny został ułożony na jednym ze stołów w kancelarii. Wszyscy, oprócz Beketara i jego agentów, zostali

na zewnątrz. Sprowadzony z miasta doktor Hortencjusz zaczął od ostrożnego zdjęcia brudnych bandażi i złożeń na autorów tych opatrunków. Obok stanął młody niewolnik z narzędziami i miską parującej wody.

– I jak, doktorze? Będzie żył? – spytał Beketar.

Mały staruszek popatrzył na niego ze swoją wiecznie niezadowoloną miną.

– Jak przeżyje, to żyć będzie – odburknął, nie odrywając się od pracy. – A jeśli umrze, to nie wiadomo, czy od tych rzeźnickich ran, czy partackich bandażi.

– Spróbowałby założyć je po ciemku zaraz po walce – prychnął cicho Frodulf.

Beketar jeszcze raz przyjrzał się leżącemu. Z pochmurną miną wrócił do swojego sługi.

– Mam złe przeczucia, Jonatesie. Skądś znam tego człowieka, tylko nie pamiętam, skąd.

– Pewnie stąd, z pałacu – wzruszył ramionami sługa. –

Pracował tu przecież dwa lata.

– To też, ale nie tylko. Wiem, że gdzieś jeszcze go niedawno widziałem, tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie. A wydaje mi się, że to może być ważne.

– Przepraszam, wasza dostojność – przerwał im lekarz.
– Czy mogę prosić?

Beketar podszedł do stołu z rannym.

– Rany oczyściłem i opatrzyłem najlepiej jak umiałem – staruszek wskazał świeże bandażę. – Gdyby chodziło tylko o to, dałbym trzy do jednego, że przeżyje. Ale widzę też objawy jakiegoś zatrucia. Czy ci wasi siepacze mieli zatrutą broń?

– Doktorze...! – obruszył się Beketar. – Nie używamy takich metod!

– Kto tam was wie, kto wie? – lekarz nie wyglądał na przekonanego. – Różnie o was, agentach, gadają.

– To na pewno nie była żadna zatruta broń! – odparł z irytacją Beketar. – Proszę nie opowiadać głupot!

– W takim razie, pewnie musiał coś połknąć – wzruszył ramionami Hortencjusz. – Proszę spojrzeć jaki jest siny. I ledwo oddycha. Nie wiem, czy w tym stanie wyjdzie z tego.

– Czy to mogła być ta sama trucizna, która zabiła biskupa?

– Nie widziałem ciała – staruszek podrapał się po brodzie. – Ale sądząc po objawach, to mogło być to samo, choć w dużo mniejszej dawce. W każdym razie, ja zrobiłem co mogłem. Teraz potrzebuje spokoju, opieki i modlitwy.

Niewolnik doktora zaczął zbierać narzędzia.

– Beketarze – szepnął, nachylając się, Bilbert. – On faktycznie chyba połknął coś kiedy go dopadliśmy.

– Truciznę?

– Nie wiem. Raczej jakiś mały przedmiot.

– Dzięki. Jonates będzie musiał trochę pobabrać się w gównie – westchnął Beketar.

– I tak nic innego tu nie robię – skrzywił się stojący obok sługa.

– Bilbert, Frodulf – dobra robota – zignorował go naczelnik. – Idźcie teraz spać. Bilbert, zmienisz tu Jonatesa za cztery godziny. Potem zmieni cię Frodulf. Jonatesie, zostań tu i pilnuj rannego, póki nie wrócę – polecił. – Muszę porozmawiać z paroma osobami w mieście.

*

Rozmowy z poprzednim pracodawcą zamachowca, ani z portowymi dziwkami nie wniosły nic nowego. Bektar wrócił do pałacu późno w nocy zmęczony i zły. Mruknął coś tylko do strażników przy drzwiach, skinął głową siedzącemu przy rannym Bilbertowi i poszedł spać. Rano, oprócz śniadania, Jonates bez słowa położył na stole małe, płócienne

zawiniątko. Beketar spojrział pytająco na sługę i rozwinął materiał. Na kawałku chustki leżał niewielki pierścień.

– Umyłem wodą z octem – zakomunikował Jonates. – Nie powinien już śmierdzieć.

– Aha – mruknął Beketar i przyjrzał się ozdobie tak żeby jej nie dotykać.

To była tania, posrebrzana robota, jaką można dostać na każdym targu, z dużym, zielonym szkiełkiem kiepsko udającym szmaragd. Beketar pochylił się nad nim, marszcząc brwi.

– Spójrz na to – Jonates wziął pierścień w palce.

Przesunął coś, co wyglądało na słabo wykonany ornament, a okazało się małym haczykiem. Szkiełko odskoczyło na dobrze zamaskowanym zawiasku. Beketar wziął pierścień od Jonatesa i przysunął do oczu. Zarówno pierścień jak i szkiełko były wewnątrz wydrążone.

– Niezłe, co? – uśmiechnął się Jonates. – Nikt

nie zwróciłby uwagi na taki kawałek złomu.

– Połknął to?

– Pewnie chciał się zabić resztką trucizny. Inaczej mógł po prostu rzucić go gdzieś w trawę.

– Tak, to możliwe – pokiwał głową Beketar. – Nie tak prosto zrobić coś takiego. Musiał to zrobić jakiś niezły złotnik. Albo był wtajemniczony w plan, albo dostał dość pieniędzy by nie zadawać pytań.

– Przesłuchasz rzemieślników?

– Na razie nie. Nie spodziewam się żadnych rewelacji. To przecież nawet nie musiał być nikt z Hippony.

– Może Bilbert i Frodulf by z nimi pogadali?

– Wiesz jaki podniósłby się krzyk w mieście? To nie jacyś tam prości złoczyńcy, którym można w ramach perswazji wsadzić gwóźdź w nogę lub obciąć palec. Musiałbym włączyć w to komesa Faragera. Im ciszej wokół tego dochodzenia, tym lepiej. Poza tym, ten tutaj kiedyś się w końcu ocknie, wtedy się dowiemy.

– To co robimy?

– Na razie ani słowa nikomu o tym pierścieniu – Beketar zawinął go z powrotem w chustkę i schował do sakiewki. – Coś zaczyna mi się układać w głowie, tylko jeszcze nie jestem pewien co. Za dwa dni będzie pełnia. Powinniśmy znowu odwiedzić Zgromadzenie. Chciałbym pogadać z paroma braćmi.



Zakapturzeni i na wpół ślepi bracia Koń i Wieloryb przedzierali się, złorzecząc od czasu do czasu, przez ciemną, bo pochmurną noc, kamienistą ścieżką i kłującymi krzakami. Czasem tylko jak woda przez dziurę przesączało się z góry trochę bladego światła, nim jakiś podniebny bednarz nie dobił kolejnej pierzastej klepki i znów powracała sucha ciemność. Pod ruinami starej świątyni na szczycie wzgórza czekali na nich, jak ostatnim razem, Słońce, Księżyc i Gwiazda i jak

poprzednio padły te same tajemnicze hasła i hermetyczne odzewy. Gdy zebrani w środku oddali już w krótkim rytuale cześć boskiej Sofii i jeden z braci rozpoczął wykład na temat Apokalipsy Świętego Pawła, Bektar pozostawił Jonatesa, by ten streścił mu później przebieg spotkania, sam zaś poprosił brata Strzałę o krótką rozmowę.

– Znów odciągam cię od ciekawych tematów, bracie Strzało – przeprosił Beketar, gdy znaleźli się w mroku po drugiej strony ściany.

– Musimy sobie pomagać, bracie Koniu – Strzała uśmiechną się chyba pod kapturem. – Myślę, że zdążę na dyskusję. Moim zdaniem Apokalipsa Świętego Pawła to tylko apokryf.

– Pamiętasz jak ostatnio rozmawialiśmy o Baalu?

– Tak, i o porwaniach dzieci. Jakieś postępy w tej sprawie?

– Nie bardzo – westchnął Beketar. – Trochę się nad tym

zastanawiałem. Ostatnio próbowałeś mi sugerować, jeśli dobrze zrozumiałem, że to ten dawny bóg, teraz w roli demona, czy coś takiego. Nie wiem czy to możliwe i nie znam się na tym, ale jakoś nie widzę demonów biegających po ulicach Hippony. Zresztą, nie trzeba nadprzyrodzonych złych mocy, by nocą wynieść z domu niemowlę. Prawdę mówiąc, na przedmieściach wystarczy parę monet z wizerunkiem bardzo chrześcijańskiego króla. Może więc całe te gadki o bogach i demonach to tylko sprytne mydlenie oczu? – zastanowił się.

– Cóż... Na to akurat ci nie odpowiem, bracie Koniu – pokręcił głową brat Strzała. – Ale w sprawie dawnych bóstw, jak wiesz, trochę się orientuję – podrapał się przez kaptur po brodzie. – "Tysiące twarzy, setki miraży", jak napisano w pseudo-proroctwie Prozerpiny. To ludzie rządzą bogami, cokolwiek wydawałoby się maluczkim. Pismo Święte już dawno wtłoczyło Baala Haddu w rolę demona. Może więc, prawem kręgów na wodzie,

dotknęło to i Pana Obu Rogów? Dawni bogowie obrastają naszą wiarą jak, nie przymierzając, świnie słoniną. Święci, aniołowie, demony... Z każdym nawróconym krajem, z każdym obalonym posągiem, wyciętym gajem, egzorcyzmowanym źródłem zastępy świętych i nie-świętych pęcznieją od zdegradowanych bóstw.

– Nie możesz ich pokonać – przyłącz się do nich? – uśmiechnął się pod kapturem Beketar.

– Czasami... – przyznał bez przekonania Strzała. – Nie sędzę jednak, by mieli duży wybór. Kiedyś bogowie zarządzili nami, dziś, dzięki Chrystusowi, to nasza wiara rządzi nimi.

– Ciekawe poglądy, jak na księdza – zaśmiał się Beketar.

– Dlatego tu jestem – również roześmiał się Strzała. – Łatwiej zagonić ludzi do kościoła, niż sprawić by zapomnieli.

– Dlatego tak sobie myślę, bracie Strzało – spoważniał Beketar – że możemy sobie dywagować o starych bałwanach i nowych demonach, ale na początku i końcu złych mocy zawsze jest człowiek.

– Też tak myślę – zgodził się Strzała.

– Więc poradź mi, jak go znaleźć.

Brat Strzała zamyślił się chwilę.

– Nie szukasz opętanego – tych zwykle łatwo poznać po obłędzie. Myślę, że szukasz kapłana tej zapomnianej religii lub wykształconego mordercy, który sprytnie myli tropy.

– W sumie na jedno wychodzi – mruknął Beketar.

– Cóż... Przykro mi, że nie potrafię ci bardziej pomóc, bracie Koniu – pokiwał głową Strzała.

– Pomagasz mi, bracie; dziękuję. Tylko ja jeszcze nie wiem jak z tego skorzystać – westchnął Beketar. – Chodźmy. Zdążysz jeszcze na wykład, a ja, zanim się rozjedziemy, muszę też porozmawiać z Górą.

Wrócili gdy prowadzący czytał jeszcze fragmenty apokryfu. Beketar skinął głową Jonatesowi, po czym odszukał wśród zebranych ubranego na rzymską modłę słuchacza z wymalowaną na kapturze górą. Zamienili szeptem parę słów i wyszli na zewnątrz na kolejną rozmowę.

– Jak tam twoje postępy z destylacją, bracie Koniu? – zakapturzony brat Góra okazał się, sądząc po głosie, siostrą Górą.

– Schemat, który mi dałaś, działał bez zarzutu z płynami – Beketar odgarnął przeszkadzające im krzaki.

– Musiałem go jednak rozmontować, bo mój pomocnik przeczytał Zosimosa i wyspecjalizował się w uzyskiwaniu Spiritus vini, ducha wina – uśmiechnął się pod kapturem. – Zresztą, teraz chcę się zająć esencją metali.

– Możesz spróbować z rtęcią – zaproponowała. – Ale moim zdaniem szlachetne metale już są esencją. Nie da się wytrącić bardziej złotego złota niż to robią

złotnicy.

– Zanim znów zagłębimy się w tę dyskusję, siostró Góro, mam inną sprawę – ściszył głos Beketar. – Chodzi o toksyny. A dokładniej, chciałbym ustalić jaką substancja powoduje nagłą duszność, drgawki i śmierć w ciągu kilku minut?

– Ciekawa kwestia – przyjrzała mu się uważnie zza kaptura siostra Góra. – Nie będę pytała, czy ma to coś wspólnego z tym głośnym otruciem katolickiego biskupa w Hipponie.

– Cóż... Chodzi mi tylko o objawy. Arsenum wykluczyłem. Według tego, co pisał Dioskurydes, działa inaczej i chyba trochę wolniej. Podobnie cicuta.

– O, to zwykle zależy od dawki. O jakiej ilości mówimy?

– Mniej więcej tyle, ile da się umieścić zamiast kamienia w średniej wielkości pierścieniu.

– Hmm... Niewiele. To musiało być coś bardzo silnego.

Coś jak ricinum, ale objawy też się nie zgadzają. To mogło być aconitum⁴¹, ale nie znam wielu osób, które potrafiłyby otrzymać tak potężne stężenie, by zabić na miejscu.

– Tym lepiej, to uprości sprawę. Oczywiście nie oczekuję od ciebie, siostró Góro, żadnych nazwisk. Ale pomogłaby mi informacja gdzie można znaleźć takie osoby.

– Jedna mieszka w Konstantynopolu, a druga w Aleksandrii – chyba uśmiechnęła się pod kapturem. – Ale domyślałam się, że nie o to ci chodzi. Jedna z takich osób mieszka też w okolicach Tenelium. I tak się składa, że... Powiedzmy, że... całkiem niedawno radziła się mnie w sprawie podobnych substancji.

– Tenelium?! – Beketar uderzył się dłonią w czoło – Jasna cholera! – zaklął. – Przepraszam – dodał ciszej. – Dziękuję ci, siostró Góro. Bardzo mi pomogłaś.

– Cieszę się. Rozumiem, że nie będziesz... wykazywał niepotrzebnego zainteresowania tą osobą, o której

mówiłam? – popatrzyła mu w oczy zza kaptura.

– Nie pochwalam produkcji trucizn, ale... nie będę sprawiał jej kłopotów.

– Dziękuję. Chyba powinniśmy wrócić do reszty. Szkoda byłoby przegapić tak ciekawy temat.

– Przykro mi, siostró, ale muszę pilnie wracać. Mam nadzieję, że zobaczymy się następnym razem.

– Powiesz mi, co się dzieje? – spytał Jonates, gdy zjeżdżali ze wzgórza. – Jeśli nie zwolnimy, konie połamią po ciemku nogi na tych kamieniach.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, Jonatesie – mruknął Beketar. – I módl się żeby nasz zamachowiec nie ocknął się zanim wrócimy.

– Znam hebrajski, aramejski, łacinę i grekę – prychnął Jonates – ale za głupi jestem na tę waszą politykę.



Do Hippony dojechali o świcie. Rzucili wodze stajennym i niemal wbiegli po schodach na piętro pałacu, gdzie była kancelaria pocztowa. Oparci o ścianę przed drzwiami zaspani strażnicy kiwnęli im tylko głowami. W środku Frodulf drzemał na krześle obok rannego zamachowca, ale podniósł głowę od razu gdy weszli.

– Tak wcześnie? – ziewnął. – Mielście wrócić popołudniu.

– Co z nim? – nie odpowiedział Beketar, nachylając się nad rannym.

– Nie wiem, chyba trochę lepiej. Już tak nie charczy i coś tam mamrotał przez sen. Koło południa ma zajrzeć doktor, to powie co dalej.

– Mówił przez sen? – zaniepokoił się Beketar.

– Coś tam mruczał, ale nic nie zrozumiałem – rozłożył ręce Frodulf. – Mogę już iść?

– Tak, idź, wyśpij się. Ty też – Beketar kiwnął głową w stronę Jonatesa. – Teraz ja z nim trochę posiedzę.

Frodulf ziewnął potężnie, zabrał z krzesła płaszcz i wyszedł. Jonates przez chwilę patrzył na Beketara, jakby podejrzewał jakiś podstęp, ale gdy ten nie zareagował, wzruszył ramionami i poszedł do drugiego pokoju. Beketar jeszcze raz nachylił się nad rannym. Przyglądał mu się z coraz bardziej pochmurną miną, w końcu usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak dłuższą chwilę, w końcu podniósł się sztywno, jakby mechanicznym ruchem. Stanął nad rannym, wyjął mu poduszkę spod głowy, a potem mocno przycisnął mu ją do twarzy. Leżący drgnął parę razy, aż w końcu zastygł bez ruchu. Beketar jeszcze przez chwilę dociskał poduszkę, po czym włożył ją z powrotem pod głowę zamachowca i nachylił się nad nim, sprawdzając czy jest oddech i puls na szyi. Nie było.

– Tamtego wieczora miałeś za dużo szczęścia w grze w kości – mruknął cicho.

Wyjął z sakiewki odzyskany przez Jonatesa pierścień truciciela i przez chwilę ważył go w dłoni. W końcu położył go na posadzce i rozgniół butem tak, że zielone szkło strzeliło pod obcasem. Podniósł zniszczony pierścionelek, rozmiótł podeszwą szklane okruchy, a zgniecioną bryłkę złomu wyrzucił daleko przez okno. Usiadł na swoim krześle i zapatrzył się w ścianę. Parę godzin później zastał go tak obudzony Jonates.

– Jonatesie – zwrócił się do niego bardzo spokojnie Beketar – idź po doktora. Nasz więzień, zdaje się, zmarł.

– Zmarł? – sługa przyjrzał się ciału, ziewając. – Przecież chyba mu się poprawiało?

– Tak to bywa z truciznami – wzruszył ramionami Beketar. – Idź już. A, jeszcze jedno! – zatrzymał sługę przy drzwiach. – Jak już zawołasz doktora, idź na ulicę złotników i kup mały, srebrny pierścionelek ze szmaragdem.

– Taki, jak...? – zawiesił głos Jonates.

– Nie, żadnego złomu – pokręcił głową Beketar. – Coś ładnego.

– A potem...? – sługa przyjrzał mu się uważnie.

– Potem wyślij go najbliższym kurierem do Tenelium, do Walasindy w domu Klaudiusza Aurelianus.

– Dołączyć jakąś wiadomość dla kuzynki?

– Nie. Ale kup też dzban dobrego wina i poślij go Klaudiuszowi, żeby nie był zazdrosny. Idź już.

Jonates wyszedł bez słowa, a Beketar powrócił do kontemplowania ściany.



Doktor Hortencjusz jeszcze badał zwłoki zamachowca, gdy do kancelarii wszedł komes Farager z siostrą.

– Podobno twój więzień nie żyje, Beketarze?! – zaczął od progu.

– Zmarł nad ranem – potwierdził ponuro Beketar,

omijając wzrokiem Brunfridę, która najwyraźniej zdążyła już zrzucić żalobę i teraz z niby obojętną miną lustrowała pomieszczenie.

– Doktor mówił, że mu się poprawia i powinien z tego wyjść – zmarszczył brwi Farager. – Doktorze?

– Medycyna jest jak granie na wyścigach rydwanów, wasza dostojność – staruszek odwrócił głowę znad ciała.

– Czasem przed samą metą pęknie oś.

– Nie wiem, nie znam się na wyścigach. To dobre dla pospólstwa – burknął Farager. – Po co go jeszcze badasz, doktorze? Chyba nie ma szans na to, żeby ożył?

– Każdy przypadek daje szansę poszerzenia naszej wiedzy o człowieku. Również taki zakończony zgonem.

– Wydaje mi się, że ten przypadek poszerzy głównie naszą wiedzę o niekompetencji agentów królewskich w doprowadzaniu ważnych przestępców przed sąd – skrzywiła wargi Brunfrida.

– Schwytali go razem ze strażą Faragera – spiorunował

ją wzrokiem Beketar. – Chyba nie oczekujecie, że będą łapać uzbrojonych przestępców gołymi rękami? – dodał z irytacją.

– Przede wszystkim, otruto w moim domu mojego gościa i oczekuję, że wskażesz mi, kto za tym stał – komes był wyraźnie zły. – Kiedy mogę spodziewać się jakichś wyników?

– Parafrazując naszego drogiego doktora, wyniki będą jak będą wyniki – wzruszył ramionami Beketar, robiąc urażoną minę. – To nie polowanie na zające, nie wystarczy puścić nagonki.

– Zdajesz sobie sprawę, że to dotrze do króla? A ja będę musiał się z tego tłumaczyć. I ty też.

– Dołożę wszelkich starań, Faragerze, ale wyniku obiecać nie mogę – odparł chłodno Beketar. – Długo jeszcze panu zejdzie, doktorze?

– Hmm... – podrapał się po głowie Hortencjusz. – A może mógłbym go zabrać do siebie? To ciekawy

przypadek, ale nie chciałbym kroić go tutaj.

– Kroić? – zaniepokoił się Beketar. – Myślę, że powinniśmy go pochować. Faragerze?

– Róbcie z nim, co chcecie. Teraz możecie go nawet... Cokolwiek – komes ruszył do drzwi, a Brunfrida za nim, obdarzywszy w przelocie Beketara nieprzyjaznym spojrzeniem. – Potrzebuję jego współników! – powtórzył Farager na odchodnym.

– Dziękuję już panu, doktorze – zwrócił się do Hortencjusza Beketar. – Niech w piekle kroją tego nieszczęśnika, a my tutaj go pochowamy.



Beketar obrócił w palcach, po raz nie wiadomo już który, monetę z wizerunkiem króla Hilderyka. Siedział sam nad kolejnym kubkiem wina w gospodzie "Pod kołem fortuny". Było jeszcze wcześniej i luźno; tylko paru

tutejszych kupców opijało jakąś udaną transakcję. Beketar skinął na usługującą dziś na dole dziewczynę.

– Daj cały dzbanek czegoś lepszego – rzucił jej monetę.

Służąca przyjrzała mu się niepewnie.

– To o wiele za dużo – orzekła.

– Powiedz szefowi, żeby dołączył do wina swoją najlepszą dziewczynę. Leć – machnęła ręką Beketar.

Służąca wzruszyła ramionami i zniknęła na zapleczu. Nie było jej dłuższą chwilę, wróciła jednak z niedużym dzbankiem. Postawiła go przed naczelnikiem razem z dodatkowym kubkiem.

– Szef powiedział, że na dziewczynę trzeba będzie poczekać.

Beketar podziękował i nalał sobie pół kubka. Było mocne i naprawdę niezłe. Sączył wino powoli, obserwując nielicznych wchodzących i wychodzących gości. Wreszcie wziął dzbanek, oba kubki i skierował się ku schodom. Gdy wszedł na górę większość stołów

do gry była pusta, tylko przy dwóch siedziało nad kośćcami paru Rzymian i Maurów. Beketar odstawił wino na stół pod ścianą i podszedł przyjrzeć się grze. Kości grzechotały w kubku i toczyły się ze stukotem po blacie, monety przesuwwały się między graczami. Gdy jedna z osób wstała od stołu, sięgnął do sakiewki i zajął jej miejsce. Przez chwilę przerzucał kości w dłoni jakby bawiąc się dawno nieużywaną zabawką.

– Lećcie – wrzucił je do kubka i zagrzechał.

Minęło może pół godziny, a Beketar miał już przed sobą kupkę monet, gdy ktoś nachylił się do jego ucha.

– Masz zwinne palce, czy tylko szczęśliwą rękę, wojownika?

Odwrócił się zaskoczony. Młoda kobieta z twarzą o smutnych, semickich rysach miała ostry makijaż, a na sobie suknię na pierwszy rzut oka skromną i elegancką, na drugi wciąż elegancką i niestosowną

jednocześnie. Nosiła też popularną wśród niektórych dam i wielu prostytutek blond perukę. Przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

– Powiedziano, że czeka tu na mnie dobre wino – uśmiechnęła się.

– Owszem, ujdzie – mruknął Beketar, zbierając wygraną. – Tam stoi – dodał, podnosząc się od stołu.

– Zły dzień? – popatrzyła na niego z uwagą.

– Złe życie – odparł ponuro.

– Wygrałeś – zauważyła.

– Świetnie, będzie mnie stać na dziwki – westchnął, siadając przy winie.

– Czyli idziemy do mnie – uśmiechnęła się, siadając obok.

– W sumie... czemu nie? – wzruszył ramionami. – Pijesz? – nalał wino do kubków.

– Za co dziś pijemy?

– Żeby nie chcieli nas w piekle – wypił, nie czekając na kobietę.

– Raczej, żeby mieli tam dla nas honorowe miejsce – wychyliła swój toast.

– Jak się nazywasz? – zainteresował się.

– Możesz mi mówić Augusta.

– Jak cesarzowa?

– Dokładnie – uśmiechnęła się.

Leżeli na sporym i całkiem wygodnym łóżku w małym, jednoizbowym pokoju. Pościel była czysta, wnętrze proste, lecz schludne – zdecydowanie za schludne jak na pokój na godziny i trochę zbyt puste jak na dom. Przez uchylone okiennice sączyło się chłodne światło księżyca. Augusta na ramionach i na plecach, na brzuchu i na małych, ładnych piersiach namalowane miała gęsto drobne tatuaże – dziwne znaki, niezrozumiałe napisy i ornamenty, wijące się jak rzędy mrówek w drżącym

świetle kaganków.

– To po punicku? – pogłodził ją po łopatce.

– Znasz punicki? – zaniepokoiła się.

– Nie. Ale rozpoznaję litery. Co to znaczy?

– To tylko różne błogosławieństwa – rozluźniła się. –
Taka stara punicka tradycja.

– Nigdy takich nie widziałem – przyjrzał się
ornamentom.

– Bo to królewska tradycja – odparła z uśmiechem,
odwracając się. – Jestem ostatnią punicką księżniczką.
Nie wiedziałeś? – mrugnęła okiem.

– Co z zbieg okoliczności! Ja jestem ostatnim księciem
Alanów – roześmiał się z własnego żartu.

– Na szczęście jestem też dziwką – rozchyliła uda.

– Czasem myślę, że ja też – westchnął, lecz przestał
interesować się wzorami na jej skórze, a zajął samą skórą.

– Być może, ale to ty dzisiaj płacisz – przyciągnęła go

do siebie.

– Mhhh... – przeciągnęła się, gdy już było po wszystkim. – Miło było.

– Tylko tyle? – uśmiechnął się, leżąc na plecach. – Myślałem, że zapłaciłem również za zachwyty nad moją męskością.

– Zdziwiłbyś się, jak rzadko klienci traktują mnie jak kobietę – odparła z melancholią w głosie. – Potraktuj to, jako gratisowy komplement.

Przez chwilę leżeli obok siebie, nic nie mówiąc. Augusta obróciła się na bok, opierając się na łokciu i sięgnęła po leżące na krześle pierścienie.

– Nie bój się, nie ukradnę – uprzedziła zaniepokojony wzrok Bektara. – Ten jest ciekawy. Skąd to? – wzięła do ręki węzową obrączkę.

– Stara rodzinna pamiątka – przeciągnął się. – Podobno

jeszcze ze Starego Kraju gdzieś na północy.

– Dziwne – przyjrzała się bliżej pierścieniowi. – Ma w sobie coś znajomego.

– Możliwe, to stary symbol – ziewnął. – Dawni Grecy nazywali go Uroboros. Pewnie widziałaś go gdzieś na jakichś starych budowlach.

– Skąd wziął się na północy? – spojrzała na niego jednym okiem przez środek pierścienia.

– Nie wiem. Podobno to dzieło bogów – uśmiechnął się.

– Podoba mi się – podrapała go po piersi. – Podarujesz mi go?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Mówiłem to pamiątka. Ale może kiedyś dam ci ten złoty.

– Dobrze – niechętnie odłożyła metalowego węża na stół. – Odpowiesz mi na jedno osobiste pytanie? – położyła mu głowę na ramieniu.

– Bardzo osobiste? – spytał wesoło.

– Bardzo – odparła również weselszym tonem. – Skąd takie dziwne imię – Beketar?

– A, o to chodzi? – roześmiał się. – To żadna tajemnica. Mój ojciec był półkrwi Alanem po swoim ojcu, a moim dziadku. A może i mniej, bo jego babka ze strony ojca... Zresztą, nieważne – machnął ręką. – Nic niezwykłego, a ojciec miał na imię po prostu Elfred. Ale umyślił sobie, że będzie ostatnim prawdziwym Alanem w królestwie, które w końcu jest królestwem Wandalów i Alanów; że będzie kultywował stare tradycje, choć już nawet dziadek nie mówił za dobrze po Alańsku. I tak dostałem imię po jakimś alańskim herosie, Beketarze – uśmiechnął się. – Augusta to twoje prawdziwe imię? – spytał.

– Dzisiaj tak – położyła mu palec wskazujący na nosie.
– Powiedz mi lepiej, co się wczoraj stało? o co grałeś, przez co piłeś? – zmieniła temat.

– Nie chcę o tym gadać – spochmurniał.

– Jakaś zółza zaszła ci za skórę – pokiwała głową

domyślnie.

– To też – przyznał.

– Co jest między tobą, a tamtą kobietą? – podrapała go po ramieniu.

– Czemu pytasz? – spojrzał na nią Beketar.

– Bo chcesz mi o tym opowiedzieć. Wiem, po co który klient naprawdę przychodzi – postukała go palcem w pierś.

– Tak myślisz? Może – zastanowił się przez moment. – Cóż... *"Rzadko zgodzą się z sobą władza i kochanie"*⁴² – zacytował. – Widzisz... ona jest nieszczęśliwie zakochana we mnie. A ja... Ja jestem nieszczęśliwie zakochany w niej – uśmiechnął się melancholijnie. – I nie, to wcale nie jest bez sensu.

– Nie twierdzę, że jest – odparła poważnie. – Nadal ją kochasz?

– Już o tym nie myślę – wzruszył ramionami. – Poza tym, wcale jej nie kocham. To była tylko taka przenośnia.

- Jak uważasz – uśmiechnęła się.
- Czemu tak cię to interesuje?
- Lubię znać swoich klientów.
- Myślałem... – zawahał się.
- Że dziwki tego nie lubią? – popatrzyła na niego kpiąco.
- Nie tak chciałem to ująć – skrzywił się.
- Powiedzmy, że mnie zaciekawileś, jesteś miły i dobrze płacisz – odparła ugodowym tonem. – Jeśli to wystarczający powód, ty mówisz, ja słucham. Prawie jak u księdza – mrugnęła okiem.

Beketar westchnął głęboko.

- Tak naprawdę... – zasepił się. – Tak naprawdę, mam już tego, kurwa, wszystkiego dosyć – mruknął, patrząc w sufit.
- Biedaczysko – prychnęła. – Musisz mieszkać w pałacu, choć mógłbyś leżeć do góry brzuchem, jak

nie przymierzając teraz, w jakiejś ładnej posiadłości, którą jak zakładam masz, jako dobrze postawiony Wandal.

– Alan – odburknął. – A moja willa nie wystarczy nawet na połowę moich długów.

– Długów? – zainteresowała się. – Nie wyglądasz na utracjusza. Kości?

– Po śmierci córki i żony na zarazę trochę piłem i grałem – wyjaśnił obojętnym głosem, wciąż gapiąc się w sufit. – Później zapożyczyłem się też, by kupić synowi udziały w statku. Po części dlatego, że zawsze marzył o morzu, po części po to, by nie musieć na niego patrzeć; za bardzo przypominał mi swoją matkę i siostrę. A potem... potem związałem się z piękną jak sen Ostrogotką. Niedługo później uciekła z innym, a przy okazji ukradła mi tyle, ile zdołała udźwignąć. Tylko dzięki znajomościom na królewskim dworze i temu stanowisku nie gniję teraz w lochu lub niewoli za długi – zamknął oczy. – Księgi też kosztują – dodał.

– Przykre. Ale żyjesz i to lepiej niż dziewięciu na dziesięciu ludzi w tym mieście – zauważyła.

– Co z tego? – wzruszył ramionami. – Już mi się nie chce, już mam dosyć.

– Masz jakichś przyjaciół? – zainteresowała się.

– Wykruszyli się po drodze – westchnął, otwierając oczy. – Historia moich przyjaźni to historia zawodów na ludziach.

– Nikogo? – spytała z niedowierzaniem.

– Była Frida... Brunfrida – poprawił się – ale właściwie to tak, jakby jej nie było... Tak, to chyba był powód. Mam też kuzynkę w Tenelium. Bardzo się lubiliśmy, ale właśnie niedawno dołączyła do listy bolesnych zawodów. Reszta to tylko lepsi lub gorsi znajomi. No i jeszcze Jonates – uśmiechnął się mimowolnie. – Mój niewolnik, ale i przyjaciel.

– Nie wyzwoliłeś przyjaciela? – uniosła brwi.

– Nie chciał. Mówi, że nie po to urodził się Żydem,

żeby na stare lata zostawać Wandalem. Ale kiedyś poproszę męża kuzynki, który jest Rzymianinem, by przejął Jonatsa i wyzwolił go według waszego prawa.

– Tej kuzynki, która niedawno cię zawiodła? – uśmiechnęła się.

Podniósł się i usiadł naprzeciwko Augusty.

– Bawi cię to? – spytał poważnie, wyciągając przed siebie obie dłonie. – Wczoraj z jej powodu musiałem tymi rękami zabić bezbronnego człowieka.

– Naprawdę? – uniosła brwi. – Nie wyglądasz mi na zabójcę.

– Udusiłem nieprzytomnego w moim własnym pokoju – opuścił głowę.

– Zakładam, że miałeś ważny powód... – odparła ostrożnie.

– Oczywiście – mruknął. – Gdyby zaczął gadać, a zaczął by, zginęłaby i kuzynka, i jej mąż, może też ich dzieci. Ale to nie zmienia faktu i... Naprawdę mam już tego

dosyć.

– Wszyscy tak mówicie – westchnęła. – Tak, jakby innym nie było ciężko.

– Każdy niesie swój własny krzyż – odparł sentencjonalnie. – A mnie interesuje tylko ten na moim grzbiecie. I jeszcze te zaginione dzieci... – przypomniał sobie. – Będę miał kłopoty, jeśli szybko niczego z tym nie zrobię.

– Odwróć się – pociągnęła go lekko za ramię. – I wyciągnij się.

Obrócił się posłusznie na brzuch i pozwolił jej usiąść sobie na plecach.

– Z tymi dziećmi... Chodzi ci tylko o twoje kłopoty? – spytała niby od niechcienia, zaczynając masaż.

– No, w tym przypadku, nie tylko – przyznał. – Wiesz, że prawdopodobnie składają je w ofierze jakiemuś rogowemu demonowi? Palą je, oby nie żywcem, w czasie swoich pogańskich ceremonii. Ktokolwiek to robi, jest

potworem – skrzywił się z głową na poduszcze.

– Potworem? – uśmiechnęła się niewesoło. – Być może. Ale moi puniccy przodkowie wierzyli inaczej. Dziecko ofiarowane przez ogień staje się częścią dobrego Pana Obu Rogów – obrońcy i opiekuna.

– Dobrego? – prychnął. – O jakiej istocie skazującej dzieci na śmierć w ogniu można tak powiedzieć?

– A o takiej, która skazuje własne dziecko na śmierć na krzyżu można? – wzruszyła ramionami. – Że nie wspomnę o tym, co jeszcze robią bliźnim jej wyznawcy.

– To tajemnica zbawienia, odkupienia – zaprotestował.

– A to inna tajemnica. Starożytne misterium, o którym nie masz zielonego pojęcia – potrząsnęła głową.

– Zakończę je raz na zawsze – mruknął. – Zaraz...! – spróbował obrócić się do niej, jakby nagle się ocknął. – A skąd ty to wszystko wiesz?!

– Jestem ostatnią punicką księżniczką, zapomniałeś? –

nachyliła się ku niemu, nie pozwalając mu zmienić pozycji.

Beketar poczuł mocne ukłucie w bok. To Augusta trzymała w dłoni wyjęty niewiadomo skąd mały sztylet. Spróbował poruszyć rękami, ale przyciskała je mocno kolanami do łóżka.

– Pozdrowienia od Rodelindy – szepnęła mu do ucha. – Nie bój się, nie zabiję cię, jeśli nie zrobisz niczego głupiego. Bardzo wzruszyła mnie twoja historia – dodała ironicznie. – A teraz posłuchaj. Odwołasz ludzi, którzy śledzą Rodelindę i przestaniesz węszyć za Fenaną, wycofasz nagrodę. Dobry Pan nadal będzie brał pod opiekę swoje dzieci, ale to już niedługo przestanie być problem tego miasta, a więc i twój. Zrozumiałeś? – lekko docisnęła sztylet.

– Kurwa... – zaklął cicho.

– O, tak – uśmiechnęła się niewesoło. – A jeśli jutro przyjdzie ci do głowy by jednak dalej naprzykrzać się Rodelindzie, pamiętaj, że wtedy komes dostanie bardzo

wiarygodne informacje o tym, jak to pod jego bokiem romansowałaś sobie z jego siostrą. I że to przez to jego szwagier się powiesił. Tak wiarygodne, że nie będzie mógł ich zignorować. A teraz nie ruszaj się, bo jeszcze cię skaleczę.

Sięgnęła pod siennik i wyjęła kawałek grubego sznura.

– Niektórzy klienci to lubią, może też ci się spodoba – szepnęła mu do ucha.

Szybko przywiązała jeden koniec do łóżka, środek okręciła mu parę razy bardzo ciasno wokół szyi i drugi koniec znów zawiązała do łóżka. Sznur był napięty i każde poruszenie głową groziło zaciśnięciem pętli. Następnie tak samo sprawnie skrępowala mu prawą rękę i zeszła mu z pleców.

– Wystarczy – orzekła. – Uwolnisz się w parę minut jak wyjdę, ale teraz nie próbuj się ruszać bo zadżgam jak prosię.

Beketar sapnął tylko ze złością. Augusta ubrała się szybko, wrzuciła do dużej torby trochę leżących tu i tam rzeczy i podeszła do drzwi.

– A! – przypomniała sobie. – I pozwolisz, że zabiorę sobie na pamiątkę ten stary pierścionek – sięgnęła po zjadającego własny ogon węża. – Jakoś mi się spodobał.

Beketar zmełł w ustach jakieś wyjątkowo wulgarne przekleństwo.

– A teraz znikam – poklepała go pieszczotliwie po głowie. – Wpadnij jeszcze kiedyś, gdy będziesz miał pieniądze. Było naprawdę miło.

Już prawie świtało, gdy wściekły i wciąż nie do końca trzeźwy Beketar wyszedł, trzaskając drzwiami, z wywróconego do góry nogami pokoju Augusty, w którym oczywiście niczego ciekawego nie znalazł. Zszedł na parter i zaczął dobijać się do właściciela

kamienicy. Gdy ten – gruby, zaspany Libijczyk – tylko uchylił drzwi, naczelnik szarpnięciem za koszulę wyciągnął go na korytarz, podstawiając pod nos pierścień służby królewskiej. Przyciśnięty – dosłownie, do ściany – gospodarz potwierdził, że owszem, pokój wynajmuje niejaka Augusta, która pojawia się tu dosyć często, czasem z jakimiś ludźmi, ale na stałe tu nie mieszka i płaci dosyć, by on nie dociekał dlaczego. Beketar obiecał zapłacić więcej, gdyby się jeszcze pojawiła. Rzucił gospodarzowi monetę i wyszedł, klnąc na czym świat stoi. Po drodze do domu zdążył jeszcze obudzić waleniem do drzwi gospodarza "Pod kołem fortuny" i połowę okolicy przy okazji. Ale ten, zaspany i przestraszony, twierdził, że nie wie niczego o żadnej Auguście, ani Fenanie, a dziewczyna, po którą posłał wieczorem nie przyszła, bo miała klienta na całą noc i w ogóle, to on bardzo jego wielmożność przeprasza, jeśli spotkały go jakieś nieprzyjemności i przyśle do pałacu dzban najlepszego wina i... Beketar nie drażył dalej. Wrócił do siebie wciąż trochę pijany i bardziej niż

trochę zły, zrzucił Jonatesa z posłania i kazał mu iść po Bilberta i Frodulfa. Przyszli po kwadransie, ziewając i klnąc pod nosem.

– Zwijamy obserwację Rodelindy – zarządził krótko Beketar.

– Ale co? Teraz? – ziewnął Bilbert.

– Natychmiast! – warknął naczelnik. – I tak gównie z tego było.

– Mówiłem, że czasem zamienia się z którąś ze swoich szwaczek – mruknął Frodulf. – Trudno śledzić wszystkie na raz. A co z ludźmi biskupa?

– Z jakimi ludźmi biskupa? – nie zrozumiał Beketar.

– No tymi, którzy też ją śledzą – wyjaśnił Frodulf. – Mówiliśmy ci przecież, ale chyba byłeś wtedy bardzo zajęty tą swoją mapą.

– Kurwa! – zaklął Beketar. – Nie wiem. Na razie odwołujemy naszych. I rozgłoscie, że nagroda za informacje o tej Fenanie jest już nieaktualna.

– Stało się coś? – podrapał się po łysinie Bilbert.

– Tak – skrzywił się naczelnik. – Wiem już, jak rozwiążemy tę sprawę.

Popatrzyli na niego zaciekawieni.

– Na razie zrobimy tak, jak powiedziałem – zaczął tłumaczyć Beketar. – Ludzie Lindulfa pewnie też się zwina. Założę się, że mieli na nią oko tylko dlatego, że my to robiliśmy. Niech Rodelinda poczuje się swobodnie. A za jakiś czas, jak skończy się zamieszanie z pogrzebem katolickiego biskupa, dyskretnie i po cichu zgarniemy ją do lochu i przepytamy. Tylko teraz ani pary z gęby! – przestrzegł. – Wiecie, co by się działo, gdyby Brunfrida się dowiedziała.

*

– Jest sprawa, szefie! – wkroczył do kancelarii bez pukania Bilbert.

– Cicho! – skarcił go Jonates, zwijając trzymany zwój. –

Śpi jeszcze.

– Nie śpię – stęknął Beketar i z wysiłkiem usiadł na posłaniu. – Co jest?

– Chodzi o tych ludzi, których posyłamy nocą pod pałac – wyjaśnił dragal.

– Tak? Mają coś? – ożywił się Beketar. – Już prawie o nich zapomniałem.

– Kasa pocztowa nie zapomniała – mruknął Jonates.

– Do tej pory nie było nic ciekawego – wyjaśnił Bilbert, przysuwając sobie krzesło. – A to jakaś łajza z miasta zakradła się do kochanki w kuchni, a to któryś sługa wymknął się na kurwy. Normalka. Musieliśmy nawet z Frodem parę razy sami się tam przejść, bo ludzie zaczynali nam spać na warcie. I wiecie co? – popatrzył z satysfakcją po Beketarze i Joantesie. – Tej nocy trafiliśmy na coś większego.

– No, gadaj już – machnął ręką naczelnik.

– Zaraz po zmianie pierwszej warty, boczną furtką

od rzeki wyszły trzy osoby w kapturach – ściszył głos Bilbert. – Zapłacili strażnikom i zeszli w stronę brzegu. Tam czekała na nich lektyka. Kobieta wsiadła do środka i odeszli w stronę wzgórz.

– Kobieta? – przerwał Beketar. – Była noc i podobno mieli kaptury.

– Szefie... – obruszył się Bilbert. – Jeszcze mam dobry wzrok. Poza tym, ci przy lektyce mieli pochodnię. I gdyby nie to, że widziałem jasne włosy, głowę bym dał, że to była pani Brunfrida.

– Szlag! – zaklął Beketar. – Jesteś pewien?

– Nie, ale nikt inny mi nie pasuje – rozłożył ręce agent.

– A to by nawet pasowało – wtrącił niewinnie Jonates. – Pewnie wybrała się do kochanka.

– Jeszcze słowo, a od jutra będziesz pracował w chlewie! – warknął Beketar. – Dokąd poszli? – spojrzał z napięciem na Bilberta.

– Za miasto – wyjaśnił osiłek. – Spory kawałek, aż

na wzgórze. Są tam takie stare kopalnie, czy jaskinie...

– Tak, wiem – przerwał zniecierpliwiony naczelnik. –
I co?

– Lektyka zatrzymała się obok paru innych, a oni weszli do środka. Przed wejściem stało na straży dwóch oprychów, więc musieliśmy czekać. Wyszli po jakichś dwóch godzinach i wrócili do pałacu.

– Jakaś orgia, jak nic – mruknął pod nosem Jonates.

– Wypierdalaj! Już! – Beketar rzucił w stronę służi kubkiem, który z trzaskiem uderzył w ścianę i rozprysł się na kawałki. – Bo zatłukę!

Jonates umknął bez słowa do drugiego pokoju.

– Spokojnie, szefie – uniósł obie dłonie Bilbert. – Nie znam się na orgiach, ale to chyba lepiej się robi w jakiejś willi niż w jaskini. To było coś innego.

– Taa... – mruknął z tłumioną złością Beketar. –
Widziałeś tam coś przypominającego małe dzieci? –
spytał. – Jakieś niemowlęta?

– Myślisz, szefie, że to to? – podrapał się po łysinie Bilbert. – Nie widziałem żadnych dzieci.

– Nie wiem, ale musimy to sprawdzić.

– Frodo podejrzewa, że chodzi o nielegalne walki. Ma znaleźć jakiegoś informatora.

– Musimy to sprawdzić – powtórzył z uporem Beketar.

– Ludzie mają zdwoić czujność. Gdy tylko ta kobieta będzie jeszcze raz wymykać się po nocy, biegniecie po mnie. I ściągniecie mnie z łóżka, choćbym spał jak kamień.



Zgodnie z oczekiwaniem, pogrzeb biskupa zgromadził tłumy. Do miasta zjechały setki ludzi, zajmując place, ulice i przedmieścia. Przyjechało też paru katolickich biskupów z pobliskich miast i opat z Thabraki. Na wszelki wypadek przed zajętą przez arian bazyliką stanęły straże, a termin uroczystości, zamiast

na niedzielę, wyznaczono na piątek popołudniu. Między ludźmi przeciskali się handlarze i złodzieje, rozpychały się wzmocnione patrole miejskiego garnizonu, kręcili się opłaceni przez Beketara, Faragera lub biskupa Lindulfa donosiciele. Pod miasto ściągnięto duży oddział wojska, lokując jednak obóz w pewnym oddaleniu, za wzgórzami, żeby nie zadrażniać dodatkowo sytuacji.

– Niech to się wreszcie skończy, nim wybuchną zamieszki – mruczał komes Farager, drapiąc się po łysinie.

– Niech to się wreszcie skończy, bo tu aż śmierdzi herezją – krzywił się biskup Lindulf, wznosząc oczy ku niebu.

– Niech to się wreszcie skończy, bo muszę się w końcu wyspać – sarkał Beketar, bezskutecznie wypatrując w tłumie kuzynki Walasindy lub jej męża, Klaudiusza, zadowolony jednak, że ma dość roboty, by nie musieć myśleć.

– Niech to się wreszcie skończy, bo nie nadążymy z wywozem gówna – stękał prokurator Oktawian, w wolnych chwilach poeta, przeglądając rachunki i sprawozdania.

Tylko przekupnie i przestępcy byli w swoim żywiole. W końcu jednak nadszedł piątek. Ustalono, że nabożeństwo poprowadzi najstarszy z obecnych, katolicki biskup Konstantyny, a do małego kościółka na przedmieściach wejdą tylko pozostali katolicyści dostojnicy, paru bogatych Rzymian i komes Farager ze swoją strażą przyboczną. Reszta miejscowego garnizonu ustawiła się po obu stronach wejścia pilnowana przez Theuderyka, by nikt przypadkiem nie wykonał najmniejszego prowokującego gestu. A gęstniejący tłum mruczał jak budzący się zwierz, niezdecydowany jeszcze czy leć leniwie na słońcu, czy wyszczerzyć kły.

– Ten w kapturze, tam, na lewo od ogrodzenia? – spytał Beketar, wpatrując się w tłum.

– Nie – pokręcił głową Frodulf. – Znam go. To Undecymiusz Vallis, kieszonkowiec.

Obaj z Bilbertem ubrani byli w przybrudzone tuniki z płaszczami w jakich chodziła miejska biedota i różne męty.

– A tamten, tam, po lewej? Ten, który tak się rozgląda?
– wskazał Bilbert.

– Tak, sprawdź go – pokiwał głową Beketar. – Tylko dyskretnie.

– Szefie... – popatrzył na niego z wyrzutem Bilbert i zaczął ostrożnie schodzić po pokruszonych schodach.

Stali w czwórkę, ze znudzonym Jonatesem, na piętrze walącej się wieży, resztki zburzonych przed stuleciem umocnień miasta. Poniżej, w kurzu i piekącym popołudniowym słońcu stało, klęczało, siedziało lub kręciło się na oko ponad półtora tysiąca ludzi, nie licząc dzieci. Niektórzy koczowali tu już od paru dni, sporo osób przyszło z samego rana, gapie

z wyludnionego tego dnia miasta trochę później. Tu i tam tworzyły się grupki modlących się, czasem pod przewodem księży, i te były pod szczególną obserwacją Beketara. Od rozpoczęcia mszy minęło dopiero niecałe pół godziny. W ruinach wieży było trochę cienia, czasem dmuchnął lekki powiew, ale wielu ze stojących przed kościołem wyraźnie doskwierały już upał i pragnienie. Tylko nad zamożniejszymi, przy samym kościele, służba trzymała lekkie baldachimy i chłodziła ich wachlarzami.

– Dobrze – mruknął do siebie Beketar, przysiadając na kawałku muru. – Nie będą mieli siły na głupoty.

Nagle gdzieś daleko w tłumie mignęła mu znajoma postać kuzynki Walasindy lub kogoś bardzo podobnego. Poderwał się na równe nogi.

– Zostańcie tu, muszę coś sprawdzić! – ruszył biegiem w dół schodów.

– Może lepiej ja?! – zawołał za nim Frodulf.

– Czekaście! – odkrzyknął z dołu Beketar.

– Nie warto się z nim spierać – skwitował Jonates. – Ja trochę poobserwuję. Czego konkretnie szukamy?

– Podejrzanych typów, ukrytych donatystów, prowokatorów...

– Pfff... Widzę tu z tysiąc podejrzanych typów – prychnął Jonates.

Beketar zeskoczył na ziemię znad ostatnich, brakujących stopni i zderzył się w drzwiach z Bilbertem.

– Czysty – zameldował zaskoczony agent.

– Potem! – Beketar ruszył w tłum.

Przepchnął parę osób, ale ludzie zaczęli protestować, więc zwolnił nieco. Starał się nie biec i omijać ludzi, ale i tak ściągał na siebie uwagę. Praktycznie wszyscy zgromadzeni rekrutowali się spośród miejscowej ludności, czasem tylko zdarzył się gdzieś mauryjski strój, a częściej bliżej nieokreślonego pochodzenia łachy. Idący w pośpiechu i rozglądający się

dokoła zamożny Wandal z bronią, chcąc nie chcąc, przykuwał wzrok. Po kilku minutach Beketar dotarł do miejsca, gdzie, jak mu się zdawało, widział Walasindę.

– Widziałeś tu przed chwilą kobietę z jasnymi włosami?
– zaczepił siedzącego obok chłopaka, ale ten tylko pokręcił głową.

– A wy? – zwrócił się do siedzącej obok rodziny.

Nie widzieli, podobnie parę innych osób.

– Ja taką widziałem, panie – wyrósł przed nim jakiś obdarty chłopiec z wyciągniętą ręką.

Beketar rzucił mu miedziaka.

– Tam, panie – chłopak złapał monetę i ruszył w stronę środka zgromadzenia.

Beketar, nie namyślając się długo, podążył za nim. Po chwili chłopak wskazał mu stojącą dalej kobietę i zniknął w tłumie. Rzeczywiście, miała wystające spod chusty długie, jasne włosy, ale to nie była Walasinda.

Kobieta była od niej wyższa i ubrana po wandalsku.
Mimo to, Beketar podszedł bliżej.

– Rodelinda? – zdziwił się, widząc córkę Brunfridy.

– Tak? – spojrzała na niego obojętnie.

– Co ty tu robisz, dziewczyno?

– Nie twój interes. Ktoś ci to chyba niedawno wyjaśnił,
prawda? – odwróciła się z powrotem w stronę kościoła.

– Nie o to chodzi – zaczął się Beketar. – Tu może być
niebezpiecznie. Nie powinnaś tu przychodzić.

Odwróciła się do niego najeżona.

– A co?! Nadal mnie śledzisz? To, że posuwasz tę
dziwkę, moją matkę, nie znaczy, że możesz
zachowywać się, jakbyś był moim ojcem! – warknęła. –
Zjeżdżaj!

Beketar zamilkł zaskoczony.

– Posłuchaj... – zaczął w końcu, kładąc jej rękę
na ramieniu.

– Na pomoc! Ten człowiek mnie napastuje! – krzyknęła, odpychając go od siebie.

Beketar rozejrzał się zdezorientowany. Dookoła zrobiło się nagle trochę luźniej. Niedaleko z ziemi podniosło się paru zarośniętych mężczyzn w brudnych płaszczach.

– Ej, ty, Wandal! Zostaw ją!

Ludzie odsunęli się jeszcze bardziej. Beketar położył dłoń na rękojeści miecza. Kątem oka zauważył, że Bilbert i Frodulf wybiegli z wieży i zaczynają przedzierać się przez tłum.

– Spokojnie – uniósł dłoń w stronę mężczyzn. – To tylko nieporozumienie. Służba królewska. Ta kobieta jest pod moją opieką.

– Gówno prawda! – splunęła Rodelinda. – Dobierał się do mnie!

– A my jesteśmy służba boża. Ciekawe, kto ma lepszą służbę – król, czy Bóg, co, bracia? – zaśmiał się

nieprzyjemnie pierwszy z mężczyzn, wyciągając spod płaszcza okutą pałkę.

Pozostali poszli jego śladem. Pięciu – szybko policzył Beketar i wyciągnął miecz. Ludzie zaczęli rozbiegać się z krzykiem, inni stanęli w bezpiecznej odległości w roli widzów. Beketar zaczął powoli cofać się w stronę wieży, nie spuszczając napastników z oka. Bilbert z Frodulfem byli jeszcze daleko, ale Theuderyk również musiał coś zauważyć, bo wśród wojska pod kościołem też zaczął się jakiś ruch. Tłum zaczął falować niespokojnie.

– Ostrzegam was, to się źle skończy! – krzyknął Beketar, chwytając miecz w obie ręce i stając jak na ćwiczeniach w wykroku, z ostrzem uniesionym przy lewym boku.

– Poznaj się z moim Izraelitą, bracie! – przywódca napastników z paskudnym uśmiechem wywinął pałką młynka nad głową.

Jego towarzysze też nie bawili się w wyszukaną walkę. Po prostu unieśli kije i ruszyli z trzech stron na Beketara. Prosta szermierka ciemnych bram i brudnych zaułków – uderz byle jak, byle mocno i tak, by ten drugi już nie wstał. Bektar nie czekał. Skoczył w stronę dwóch najbliższych, aż ci przystanęli zaskoczeni. Pierwszy wziął szeroki zamach, lecz nie zdążył uderzyć. Bektar ciął szybko, z góry, samym końcem miecza, czoło, nos, szczękę. Nie przerywając ruchu, skręcił się w bok, tnąc w brzuch drugiego przeciwnika, ale ten zdążył odruchowo zasłonić się pałą. Miecz stuknął o drewno moment wcześniej, nim pierwsze ciało upadło w piach. Kobiety i dzieci zaczęły pisać, ludzie rzucili się w panice na wszystkie strony zbitą, rozwrzeszczaną ciżbą. Bektar nie miał jednak czasu tego zauważyć, bo już doskoczyło do niego dwóch następnych. Pierwszy cios z łatwością sparował tuż nad głową i szybką kontrą wbił miecz w czaszkę napastnika. Drugim dostał potężne uderzenie w nerki, które rzuciło go na ziemię. Zwinął się, łapiąc powietrze, oczy zasły

mu łzami. Zobaczył przed sobą czyjeś buty. Przeturlał się odruchowo, usłyszał tylko uderzenie kija o ziemię. Przyklęknął krztusząc się z bólu i machnął na oślep mieczem w koło raz i drugi. Jak przez mgłę zobaczył podchodzących napastników. Pierwszy cios odbił, drugi trafił go w ramię, wytrącając miecz. Przed trzecim zasłonił się ręką. Kość chrupnęła nieprzyjemnie, ale uderzenie, które roztrzaskałoby mu głowę, trafiło z mniejszą siłą. Przed oczami zawirowały mu czarne koła. Następnym ciosów nie było. Gdzieś zza rozplływających się w czarnej mgłę ludzi wyrosły sylwetki Bilberta i Frodulfa. Kolejny napastnik dziwnie powolnym, niemal tanecznym ruchem zatoczył się wokół własnej osi i upadł na ziemię, gdy Bilbert wyszarpnął z jego boku długi nóż. Saks⁴³ – Beketar spróbował zogniskować wzrok na nożu. Saks – teraz broń wandalskiej biedoty i bandytów. Saks – taki praktyczny i tak dziś pogardzany przez tych, do których uśmiechnęła się afrykańska fortuna, nawet jeśli jeszcze

ich dziadów chowano z saksem przy boku. Dziadów, czy pradziadów? Wszystko powoli odpłynęło w ciszę i mrok.



Beketar spróbował się poruszyć. Syknął z bólu i otworzył oczy. Leżał w swoim łóżku, obok na krześle pochrapywał Jonates.

– Jonatesie...

Sługa drgnął. Zachłysnął się powietrzem, chrapnął potężnie i otworzył oczy.

– Nareszcie! – skrzywił się z dezaprobatą. – Wyjaśnisz swojemu prostemu niewolnikowi co tam zaszło?

– To było jakieś nieporozumienie – westchnął Beketar.

– Jasne, że nieporozumienie – mruknął Jonates. – Kilkudziesięciu zasieczonych lub strатовanych na śmierć przez spanikowany tłum i zamieszki w całym mieście. A! I co najmniej jeden obity łeb i jedna złamana ręka.

Beketar z wysiłkiem uniósł rękę. Lewa wsadzona była w obwiązane bandażem łupki.

– Doktor Hortencjusz mówi, że powinno zrosnąć się bez komplikacji – wyjaśnił Jonates.

– A Bilbo i Frodo? – zaniepokoił się Beketar.

– Trochę poturbowani, ale cali. Śpią teraz. Okazało się, że tych bandytów było tam więcej. Na szczęście Theuderykowi ze strażą udało się do was dopchać. Kończą teraz zaprowadzać porządek w mieście, ale nieźle mu się oberwało od Faragera.

– No, ładnie – westchnął Beketar. – To już mogę pożegnać się z moim naczelnikowaniem.

– Chyba nie. Podobno to była bojówka donatystów. Farager krzyczał na Theuderyka, że może powinien poprosić króla o więcej agentów zamiast tysięczników, bo poczta wyłapuje prowokatorów lepiej od jego straży.

– I tej wersji będziemy się trzymać – odetchnął Beketar.

– Czy ta ręka powinna tak swędzieć? Hortencjusz coś

mówił?

– Nie, nie mówił – zmieszał się nieco Jonates. – Ale to chyba dobrze. Znaczy, że tamto też działa.

– Co działa? – Beketar niezgrabnie uniósł się na zdrowym łokciu.

– No... te... lekarstwa od Hortencjusza i w ogóle – wyjaśnił nerwowo sługa.

– Jakie w ogóle? – zmarszczył brwi Beketar. – Jonatesie?

– Cholera jasna! – poderwał się z krzesła sługa. – Mam gdzieś te wasze humory, podchody, kręactwa! Chcecie sobie łąć i mataczyć? Proszę bardzo! Ale ja się do tego nie nadaję! Mnie do tego nie mieszajcie!

– Chyba się zapominasz, Jonatesie – Beketar patrzył na niego bardziej zdziwiony, niż rozgniewany. – Co się stało?

– To się stało, że drzwi się tu nie zamykają! – zaczął krążyć dookoła krzesła. – Co chwila leżą tu jakieś wielmożne panie i każda traktuje Jonatesa jak idiotę!

Masz tu monetę i ani słowa twojemu panu, że tu byłam – mówią! Żeby chociaż płaciły złotem, ale gdzie tam! Wielkie mi damy!

– Jonatesie! – przerwał mu Beketar. – Kto tu był?

– Najpierw przyszła żona komesa dowiedzieć się w imieniu Faragera o zdrowie Jego Wielmożności. Bardzo się wydawała zatroskana, jak na moje oko.

– Komesowa? – zdziwił się Beketar.

– Tak, tak – skrzywił się Jonates. – Dwa srebrniki! Wielka mi pani!

– Kto jeszcze?

– Pani Swinthilda. Podobno w imieniu Alamunda. Jeden srebrnik! Pfff...

– Dobrze, dobrze – westchnął Beketar. – Ktoś jeszcze?

– Pani Brunfrida – mruknął niechętnie Jonates, przestępując z nogi na nogę. – Pięć monet. Dobra kobieta, nie pisałbym o niej ani słowa, gdybym nie wygadał się z tą ręką.

– Brunfrida? – zmarszczył brwi Beketar. – A co z moją ręką? Gadaj! I usiądź wreszcie! Działasz mi na nerwy tymi podskokami!

– Pani Brunfrida była dwa razy – Jonates przysiadł na brzegu łóżka. – Za drugim razem przyniosła jakieś maści, kazała zdjąć ci opatrunek, posmarować i powiedziała, że teraz będzie dobrze.

– Pozwoliłeś jej?!

– Miałem się spierać z panią Brunfridą? – spytał retorycznie Jonates, wzruszając ramionami.

– Mam już dosyć – Beketar opadł na poduszkę. – Muszę zrobić sobie przerwę, wyjechać, odpocząć.

– No, nie wiem – pokręcił głową sługa, siadając na powrót na krześle. – Gdy byłeś nieprzytomny, trochę się działo. Będą kłopoty.

– Kłopoty? – parsknął z niewesołą miną Beketar. – A teraz, to niby co mamy? Święto plonów?

– Najpierw przyleciał gołąb z Kartaginy z nowym

kluczem szyfrowym. A to zawsze źle wróży – wyjaśnił Jonates. – Potem przyjechał Sigo, pamiętasz go, z tajną pocztą i niewyraźną miną. Bo, widzisz... – zawiesił głos. – Księżę Hoamer poniósł klęskę w Byzacenie. Przegrał wojnę z Maurami.

– Hoamer?! "Wandalski Achilles"⁴⁴ przegrał? – z niedowierzaniem pokręcił głową Beketar. – Jak to możliwe?

– Podobno po wygranej bitwie nasi zapędzili Maurów w góry. Otoczyli ich kryjówki i w obozie zapanowało rozprężenie. Wtedy niepodzewanie uderzyli Maurowie. Straciliśmy prawie tysiąc ludzi. Tylko dzięki Hoamerowi udało się wycofać we względnym porządku, bo pewnie nie wróciłby nikt.

– Trudno w to uwierzyć – Beketar opadł na poduszkę. – Tysiąc ludzi... Byzacena jest już chyba stracona.

– Nie wiem – westchnął Jonates. – Ale wiele wdów i sierot przybyło w królestwie.

– A syn Faragera?

– Nic nie wiadomo. Dlatego komes z żoną popłynęli do Kartaginy. Chwilowo zarządza tu Theuderyk, ale oczywiście tak naprawdę jak zwykle wszystko trzyma w kupie pani Brunfrida.

Beketar przymknął oczy.

– Co było w listach? – spytał po dłuższej chwili.

– Mamy kontrolować morale, uciszać defetystów i zwalczać wywrotowy element. Oficjalnie to tylko drobna porażka, a król już planuje następną kampanię.

– Czyli jak zwykle – mruknął naczelnik.

– Tak też powiedział Farager gdy zaniósłem mu rozszyfrowane instrukcje. Będzie gówno, nie kampania – powiedział – jeśli dalej będziemy walczyć jak za Gezeryka – alleluja i do przodu. Świat się zmienia i wojna się zmienia – mówił. Chce o tym rozmawiać z królem.

– Więc życzymy mu powodzenia – westchnął Beketar.



Noc zawisła nad miastem ciężką, pochmurną ciszą, tłumiąc jak kocem żywe jeszcze za dnia wspomnienia po niedawnym wybuchu przemocy. Zniknęły już nocne patrole wojska, a jeśli ktoś przebiegał chyłkiem w mroku z kapturem na głowie, to na powrót złodziej lub bandyta, nie jacyś heretycy buntownicy.

– Miło wiedzieć, że znów możesz zarobić nożem za sakiewkę, nie za to, kto lepiej wierzy w Boga – sarknął Jonates, kiedy nie udało mu się wyperswadować Beketarowi nocnej eskapady.

Szli teraz we trzech, z Frodulfem i Bilbertem przez brudne zaułki przedmieść – pieszo, bo Beketar wołał nie wsiadać na siodło z ręką wciąż na temblaku – A zakapturzone cienie malały gwałtownie, gdy łatwy łup okazywał się z bliska sporymi, uzbrojonymi Wandalami. Chwilę zajęło, nim, okazując znaki agentów, minęli jasno oświetlony posterunek straży i wyszli na ciemny trakt

wiodący w głąb kraju.

– A co, jeśli jej tam nie będzie? – mruknął, nie wiadomo który już raz, Beketar. – Może to wcale nie o to chodzi? Lepiej było czekać, aż wyjdą z pałacu.

– I co? Gonić ich po ciemku ze złamaną ręką? – prychnął z irytacją Frodulf. – Chciałeś, szefie, mieć pewność, czy to pani Brunfrida. I czy przypadkiem nie wrzuca tam do pieca jakichś niewiniątek. A ja ci mówię, że to ona. I że nie wrzuca, przynajmniej nie tam. Więc po prostu pójdziemy tam i zobaczysz. Mój kontakt wpuści nas tylnym wejściem.

Naczelnik burknął tylko coś niezrozumiałego, ale ruszyli dalej, schodząc z drogi na ścieżkę prowadzącą w stronę pobliskich wzgórz. Nie zapalali pochodni, jedynie idący przodem Frodulf trzymał przed sobą niewielką, osłoniętą latarnię z kagankiem w środku, jakiej zwykle używali złodzieje. Patrząc uważnie pod nogi, zagłębili się między czarne pola, czarne krzaki i czarne drzewa.

Niewielką, skrytą za kępami drzew przestrzeń na zboczu skalistego wzgórza oświeślał mizernym blaskiem jedna, zatknięta między kamienie pochodnia. Kolejna musiała palić się już gdzieś w głębi wykutego w skale otworu, z którego biła słaba poświata. Obok wejścia opierało się niedbale o ścianę dwóch osiłków o wyglądzie portowych zabijaków, trochę dalej, obok paru koni i samotnej lektyki, przysiadło kilku niewolników, bądź służących; niektórzy, korzystając z okazji, po prostu spali.

– Nie pokazujcie się. To wejście dla gości – pociągnął ich dalej Frodulf.

Nie uszli daleko, gdy za paroma skalnymi załomami trafili na podobnie oczyszczony kawałek terenu. Tu światła było więcej, prawie całą przestrzeń zajmowały wozy – niektóre z klatkami do przewozu więźniów bądź zwierząt – A wszędzie kręcili się uzbrojeni Maurowie.

– Czekajcie – Frodulf zostawił ich między krzakami

i wyszedł powoli, trzymając ręce z daleka od broni, w krąg światła.

Zaraz wyrosło przed nim kilku Maurów z zatkniętymi za pasy zakrzywionymi nożami. Zamienił z nimi parę słów i po chwili pojawił się mały, ruchliwy mężczyzna w rzymskim stroju. Frodulf dał swoim znak, by wyszli.

– Nie znam was, a wy nie znacie mnie – rzucił szybko, bez powitania, Rzymianin. – Załatwicie swoje i nigdy was tu nie było, jasne? Nie robimy tu niczego, co musiałoby interesować ludzi króla. Chodźcie – odwrócił się, nie czekając na odpowiedź.

Minęli wozy – dopiero teraz dało się dostrzec, że w niektórych z klatek siedzieli skuci kajdanami ludzie – i zagłębili się za przewodnikiem w niezbyt szeroki, wykuty w skale korytarz. Kopalnia musiała być nieczynna już od bardzo dawna, bo ściany tu i tam porastał mech, w niektórych miejscach pojawiły się spore nacieki. Korytarz okazał się dobrze oświetlony i niezbyt

długi. Weszli do niewielkiej, zastawionej skrzyniami komory, w której uwijało się kilku robotników.

– Nie to, idioto! To dopiero na trzecią walkę! – krzyknął Rzymianin na jednego, podnoszącego jakiś kolczasty pancerz. – Tędy! – skierował agentów w jeden z trzech kolejnych korytarzy.

Tym razem chodnik okazał się kręty i stromy, zakończony kilkunastoma stopniami i urywał się nagle w powietrzu u sufitu jakiejś dużej komory.

– Tu zostajecie – oznajmił przewodnik. – Żadnego ognia. Światło jest ustawione tak, że was nie widać, ale i tak postarajcie się za bardzo nie wychylać. Wychodzicie od razu po ostatniej walce, jasne? Potem impreza przenosi się do prywatnych grot, gdzie nie ma takich szybów. Dobrej zabawy – i zniknął.

Beketar ostrożnie wychylił głowę za krawędź korytarza. W dużej, zaskakująco pojemnej jak na kopalnię grocie paliły się liczne pochodnie. Kamienne dno wysypano grubą warstwą piachu i trocin, a

pod jedną ze ścian ustawiono zbitą z desek niewielką widownię, w tym parę oddzielnych, dyskretnie zasłoniętych od innych widzów łóż.

– Słyszałem o tym – mruknął Beketar. – Ale nie sądziłem, że robią to nam pod samym nosem.

– Następnym razem możemy tu przyjść z wojskiem – zaproponował Bilbert.

– Taa... A ja będę skończony na mieście – pokręcił głową Frodulf.

– To nie nasza działka – wzruszył ramionami Beketar. – Niech ludzie Oktawiana się za nimi uganiają.

– Pilnowanie prawa, to nie nasza działka? – spytał niewinnym tonem Bilbert.

– Chcesz łapać drobnych złodziei, przemytników i kombinatorów, to przenieś się do straży miejskiej. Oktawian na pewno zrobi cię setnikiem. Jest nas trzech na cały okręg i nawet bez tego mamy dość do roboty. Czy dobrze myślę, że któryś z was zabrał bukłak wina? –

popatrzył po nich z nadzieją naczelnik.

Nie minęło pół godziny, gdy na widowni poniżej zaczęli pojawiać się pierwsi goście. Z góry widać ich było znakomicie – paru miejscowych kupców – niektórzy w towarzystwie kobiet – dwóch dekurionów z kurii miejskiej, kilku zamożnych Wandalów z okolicy. Niektórzy dopiero w łóżach zrzucali płaszcze i kaptury. Beketar drgnął, gdy do środka wkroczyła zakapturzona kobieta. Zaraz ktoś ze służących poprowadził ją do prywatnej części, gdzie czekał już dzbanek wina i misa owoców. Kobieta zrzuciła kaptur i burza jasnych włosów rozsypała jej się na ramiona. Jednak bez wątpienia była to Brunfrida – w swojej blond peruce. Beketar zaklął pod nosem i sięgnął po bukłak z winem.

Walki były krótkie i brutalne. Na piaszczystą arenę wprowadzano po dwóch półnagich, błyszczących naoliwionymi muskułami niewolników, mały Rzymianin

robił pełną emfazy prezentację, służba zbierała zakłady i zaczynało się starcie. Pierwsza para walczyła bez broni. Wielki, czarnoskóry Etiop stanął naprzeciw przysadzistego Maura. Okładał mniejszego pięściami, podczas gdy tamten próbował uskakiwać, kontrować i kopać w podbrzusze. Publika co jakiś czas niemrawo nagradzała co bardziej spektakularne ciosy brawami. W końcu mniejszy Maur minął dołem pięści Etiopa, wszedł w zwarcie i obalił go na piach. Oberwał jeszcze potężny cios w szczękę, po czym wbił kciuk w oko przeciwnika. Czarnoskóry zawył potężnie, gdy krwawa miazga wypłynęła mu z oczodołu, a Maur z niespodziewaną siłą przewrócił go na brzuch, szybkim ruchem skręcił kark i było po walce. Rozległy się gwizdy i brawa, szybko ściągnięto trupa z areny, doniesiono wino, rozliczono zakłady i po krótkiej przerwie zabawa – zakładając, że przynajmniej publika się tu bawiła – zaczęła się na nowo. Kolejna para uzbrojona była w noże, następna w wysadzane guzami maczugi i kolczaste pancerze, inna znowu w rzeźnicze haki. Wynik zawsze

był taki sam – z piachu ściągano skąpane w krwi ciało, czasem wnoszono w kuble kawałki członków lub wnętrzności, a rozochociona widownia dopingowała coraz goręcej, nagradzając brawami i złotymi monetami zwycięskich gladiatorów. Starć było około dziesięciu, a Beketar, bardziej niż na krwawą jatkę na dole, zwracał uwagę na Brunfridę. Przynajmniej do czasu, gdy na arenę dwa lub trzy razy wyszły tak samo półnagie i uzbrojone kobiety. Te walki okazały się może nawet brutalniejsze, szczególnie jedna, w której walcząca sierpem Egipcjanka, zamiast szybko dobić przeciwniczkę, rozpruła ją od dołu po gardło ku entuzjasmowi widzów.

– Niedobrze mi – mruknął Bibert.

Brunfrida piła mało, czasem sięgała po jakiś owoc i zdawała się być w całości pochłonięta krwawymi zmaganiem. Dopingowała zawodników, biła brawo, czasem rzuciła zwycięzcy monetę, zbyt długo – jak się wydawało Beketarowi – zatrzymując wzrok, na ich

atletycznych, błyszczących, zboczonych krwią ciałach.

– Może jednak wejdziemy tu z wojskiem – orzekł ponuro.

– Nie przy tym, kto siedzi na widowni, szefie – skwitował równie ponuro Frodulf. – Idziemy? – zaproponował niedługo potem po ostatniej walce. – Nie wygląda na to, żeby ktoś w tej rzeźni potrzebował jeszcze palić małe dzieci.

– Chwila – powstrzymał go Beketar. – Chcę jeszcze zobaczyć, co dalej.

Rzeczywiście, choć część widzów już wyszła, reszta, w tym Brunfrida, wyraźnie wciąż nie wybierała się do domu. Beketar wychylił głowę. Znów uprzątnięto piach, ale tym razem, już bez specjalnych zapowiedzi, wyprowadzono na arenę wszystkich, opatrzonych i umytych zwycięzców. Stanęli w szeregu – siedmiu mężczyzn i cztery kobiety – tuż przed samą widownią. Jedni wyprostowani, inni z opuszczonymi głowami, paru chwiejących się

z upływu krwi – z góry nie było widać ich twarzy. Po chwili niektórzy widzowie zaczęli rzucać pod ich nogi monety. Gdy tylko któraś upadła u stóp niewolnika, bądź niewolnicy, służba wyprowadzała go bocznym korytarzem, a zaraz za nim udawał się właściciel monety.

– Co wy tu jeszcze robicie?! – syknął zniecierpliwiony za ich plecami mały Rzymianin. – Mówiłem, znikacie po ostatniej walce! Wypad!

– Jeszcze chwila! – Beketar starał się dostrzec, co robi Brunfrida, jednak Rzymianin mu na to nie pozwolił.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteście! – warknął. – Albo w tej chwili stąd zjeżdżacie, albo będą szukać waszych trupów w górach!

– Spokojnie, idziemy – pociągnął Beketara Frodulf, nie dając mu dojść do głosu, ani sięgnąć zdrową ręką w kierunku noża. – Idziemy – powtórzył.

– Do głównego wejścia! – zakomenderował ostro Beketar, gdy oddalili się już kawałek od wozów i uzbrojonych Maurów.

Bilbert z Frodulfem popatrzyli po sobie, ale bez słowa podążyli za naczelnikiem. Dotarli akurat na czas by zobaczyć, ukryci w ciemności, jak znów zakapturzona Brunfrida wychodzi z kopalni i wsiada do lektyki, która w obstawie dwóch strażników ruszyła w kierunku miasta.

– Wyszła. Zadowolony? – westchnął Bilbert. – Ten trop w sprawie zaginionych dzieci możemy już chyba zamknąć.

– Idziemy się upić – mruknął Beketar.



Znów szli we trzech, nieco chwiejnym już krokiem, między brudnymi rudarami przedmieścia. Niebo na wschodzie powinno powoli już błednać, jednak wciąż

zasnute było dość nieoczekiwaną o tej porze roku grubą warstwą chmur.

– Teraz chyba w prawo – Beketar, wciąż z ręką na temblaku, zatrzymał się na skrzyżowaniu dwóch identycznych uliczek.

– W lewo – zaprotestował Frodulf.

– Prosto – pokręcił głową Bilbert.

– Chyba lepiej wiem gdzie mieszka moja pani – zaperzył się Frodulf.

– Twoja i połowy przedmieścia – zaśmiał się Bilbert.

– Tej nocy ma wolne i jest moja – szturchnął go Frodulf.

– W prawo.

Beketar wzruszył ramionami i ruszył w prawo. W wąskich uliczkach było duszno, w dodatku chmury, które przykryły niebo, przyniosły ze sobą parną wilgoć i nieokreślony niepokój, prowokujący niemowlęta do płaczu, a koty do nocnych bójek. W oddali, nad górami, niebo rozjaśniały co jakiś czas przyćmione błyski,

jakby pioruny były gdzieś powyżej, w zamglone szczyty. Kręcili się może kwadrans kolejnymi uliczkami, spierając się coraz gwałtowniej, gdy w pewnej chwili Beketar zdał sobie sprawę z narastającej ciszy. Zupełniej jakby coś wyłączało kolejne dźwięki. Dał znak by stanęli i, rozglądając się, położył zdrową dłoń na rękojeści miecza. Nagle Bilbert trącił go łokciem i bez słowa wskazał w górę. Powietrze przypominało to, o czym opowiadali – po ostatnim kubku podłego wina, na chwilę przed uśnięciem w kałuży wymiocin – starzy marynarze w portowych tawernach. Niespokojne, chybotliwe ogniki obsiadły skraje dachów, tyczki złożonych straganów i sznury na pranie jak maszty i liny okrętów ściganych burzą, często ich ostatnią. Przebiegające pustą ulicę szczury, ocierając się o siebie, strzelały iskrami i odskakiwały z gniewnym piskiem. Gdzieś od strony przedmieść zaczęła powoli rosnać czerwona luna, a powietrze nabrało metalicznego posmaku.

– Znowu? – jęknął naczelnik. – Frodo, uderz mnie.

- Jak to? – nie zrozumiał agent.
- Po prostu. Daj mi w twarz.
- Mocno? – upewnił się Frodulf.
- Tak z wyczuciem – Beketar nadstawił policzek.

Agent krótkim ruchem uderzył go otwartą dłonią aż strzeliło.

- Au! Psiakrew! – Beketar zatoczył się na ścianę.
- Mogę teraz ja? – zaoferował się Bilbert.
- Starczy! – warknął Beketar, masując policzek. –
Widzicie te ogniki?
- Jasne – mruknął niepewnie Frodulf.
- Czy to potępione dusze? – zaniepokoił się Bilbert.
- A to światło? – nie odpowiedział Beketar, wskazując nieodległą lunę.
- Ja widzę – potwierdził Frodulf. – Chyba coś się pali.
- Ja też – przytaknął Bilbert. – Tylko czemu nie biją na alarm? I o co ci tak w ogóle chodzi, szefie? –

podrapał się po wygolonej głowie.

– Czasami mam takie sny... – mruknął Beketar.

– Każdy ma – niby to pocieszył go Frodulf, kryjąc złośliwy uśmiech. – Ja to nawet lubię...

– Nie o to chodzi – przerwał mu zniecierpliwionym tonem Beketar. – Chodźmy zobaczyć, co tam się dzieje.

– A moja pani? – zaniepokoił się Frodulf.

– Od dawna śpi – klepnął go po plecach Bilbert. – I założę się, że nie sama – dodał, uchylając się przed markowanym ciosem.

– Zamknijcie się i za mną – zakomenderował nerwowym tonem Beketar.

Szli w całkowitej ciszy między nędznymi, koślawymi domami, które – zdawało się – wymarły zupełnie i nawet szczury zniknęły z zaśmieconej drogi. Również napowietrzne ogniki, one też zaczęły rzednąć coraz mniej liczne, im bardziej rósł nad dachami ognisty blask, a z nim rosła i temperatura. W końcu rzędy ruder

urwały się, przechodząc w krwawo oświetloną, falującą od gorąca mozaikę krzaków, klepisk i śmietnisk, która nie była już miastem, ale i jeszcze nie polem. Stanęli jak wryci, tylko Beketar zaklął pod nosem. W szerokim kręgu spopielalej ziemi unosiła się tuż nad gruntem ognista postać z rozłożystymi, anielskimi skrzydłami. Wpatrywała się gdzieś w stronę miasta, jakby na coś czekała. Beketar spojrzał na towarzyszy, ale ci zamarli bez ruchu z otwartymi ustami. Odruchowo uniósł do oczu dłoń, jednak nie było już na niej pierścienia z wężem, więc tylko podrapał nerwowym ruchem pusty palec. Popatrzył w stronę płomiennego anioła, ten zdawał się jednak nie zwracać na nich najmniejszej uwagi. Powietrze przed Beketarem zadrgało, a może raczej drgające od żaru powietrze w tym miejscu znieruchomiało, tworząc chłodną pustkę na kształt ludzkiej postaci. Powoli wypełniła się nikłym, mglistym zarysem kobiecej sylwetki. Anioł drgnął i obrócił się w jej stronę.

– Witaj, dziecko – głos zjawy zaszumiał jak liście na wietrze. – Dokąd dziś zmierzasz ze swym ciężkim mieczem?

Anielskie skrzydła zwinęły się na moment i rozwinęły niby śnieżnobiały pawi ogon.

– Nie występuję dziś przeciwko tobie, Mądrości – odparł szumowi liści trzask płomieni.

– Dokąd zmierzasz, dziecko? – powtórzyło widmo.

– Zawsze ku zgubie tych, którzy na nią zasłużyli – odparł ognisty głos.

– To miasto jeszcze nie.

– Jeszcze nie – powtórzyły jak echo płomienie. – Mam tu jednak do spełnienia swój obowiązek.

– Kochasz mnie, Szemału?

– Po kres wszystkiego, matko – anioł być może lekko schylił wysoko podniesioną głowę.

– Wiem, nie jesteście złymi dziećmi – w głosie widma

pojawił się smutek. – To wszystko z waszej miłości.

Zjawą odwróciła się w stronę miasta, jakby chciała objąć je wzrokiem. Trudno było dopatrzeć się w niej jakiegoś konkretnego kształtu, ale zdało się, że uśmiechnęła się przelotnie do trójki stojących ludzi. Przez chwilę wpatrywała się gdzieś w dal, po czym zwróciła się na powrót do ognistej postaci.

– Zostań więc tu, Szemalu i czekaj na swój czas. To już niedługo.

Beketar obudził się rano we własnym łóżku, w ubraniu i z bolącą głową, nie pamiętając jak się tam znalazł. Bilbert i Frodulf, którzy zjawili się późnym popołudniem, również nie pamiętali wiele z końcówki ostatniego wieczoru i zgoła nic o jakichkolwiek zjawach i aniołach. Tylko Jonates zameldował, ziewając, że też prawie nie spał, bo nocą na przedmieściach spłonęła jakaś rudera. Na szczęście udało się powstrzymać ogień przed zajęciem kolejnych chat.



Minęły ledwie dwa lub trzy tygodnie, a Hippona zdawała się już nie pamiętać o niedawnych zamieszkach. Czerwcowe słońce dawało się coraz bardziej we znaki mieszkańcom miasta. Bielone mury rozgrzewały się w południe nieznosnie, w cieniu panował zaduch, a wieczór nie dawał wytchnienia. W dodatku miasto opanowała istna plaga much. Duże i małe zdawały się wyrażać z nikąd całymi chmarami i kłębiły się nad każdą kupą śmieci, nad kloacznymi dołami, nad zostawioną nieopatrzenie żywnością, nad zwierzętami i ludźmi w końcu, doprowadzając wszystkich na skraj szaleństwa. Omijały tylko gęsto okadzone kościoły i tych szczęśliwców, których stać było na niewolnika stale machającego im nad głowę pękiem trzcin. Mimo to, choć dodatkowo Hippona, jak wszystkie miasta o tej porze

roku, śmierdziała, dusiła się i spływała potem, życie tętniło w niej jak zawsze. Żadna plaga, poza zarazą i brakiem wina, nie była w stanie zatrzymać tysięcy toczących się interesów, ubijanych targów, krążących plotek. Ani królewskich agentów.

– Pani Rodelindo! Ktoś okradł sklep! Proszę otworzyć! Ktoś włamał się do sklepu! – walenie do drzwi wyrwało Rodelindę z snu.

Usiadła na łóżku. Za uchyloną okiennicą niebo zaczynało szarzeć w zapowiedzi świtu.

– Pani Rodelindo! Musi pani tam pójść! Proszę otworzyć! – nie przestawał tłuc się człowiek za drzwiami.

– Zaraz! – zawołała zaspanym głosem. – Tylko coś na siebie zarzucę!

Szybko włożyła leżącą obok suknię, złapała w rękę płaszcz i sandały i podeszła uchylić drzwi. Za progiem stał drobny, łysiejący mężczyzna w tunice, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Dziewczyna otworzyła

szerzej, lecz w tym momencie w drzwi wepchnął się łysy, brodaty oprych z mieczem przy boku.

– Służba królewska! – rzucił cicho, wchodząc do środka i łapiąc ją za ramię. – Tylko bez krzyków, bo będę musiał cię uciszyć – zagroził spokojnym tonem.

Zanim Rodelinda zdążyła zareagować, w drzwiach pojawił się pochmurny Beketar. Lewą rękę miał już wyjętą z łupków, lecz wciąż trzymał ją na temblaku.

– Przesuń się, Frodulfie – rzucił, wciskając się za drabem. – I puść ją – dodał.

Mężczyzna, który obudził ją stukaniem – był nim oczywiście Jonates – wszedł za nimi i zamknął drzwi, rozglądając się z ciekawością. Mieszkanie nad sklepem było czyste i przestronne, wyposażone dostatnio, lecz bez ostentacyjnej zamożności. Jedyłą oznaką luksusu było to, że zamiast jednej, czy dwóch rodzin, najwyraźniej mieszkała tu tylko Rodelinda. Dziewczyna rzuciła im wściekłe spojrzenie i wycofała się w stronę okna. Rzuciła

okiem na małe podwórko poniżej, ale stał tam drugi oprych wyglądający jak jaśniejsze odbicie tego w pokoju.

- Dom jest otoczony – poinformował ją ponuro Beketar.
- Zdejmij suknię i załóż to – jedną ręką wziął od towarzysza niewielki pakunek i rzucił na łóżko.

Rodelinda podeszła do paczki, schyliła się i nagle wyciągnęła spod materaca mały sztylet.

- Załóż to... proszę – westchnął Beketar. – To dla twojego bezpieczeństwa. Frodulfie, Jonatesie – odwróćcie się.

Oprych mruknął coś pod nosem, ale posłusznie odwrócił się plecami, Jonates również. Rodelinda stała bez ruchu. Beketar wskazał jej pakunek i również odwrócił się w stronę drzwi. Podeszła do łóżka i, nie wypuszczając broni, rozwinęła go. W środku był jasny, męski strój Maurów z nakryciem głowy pozwalającym zasłonić twarz. Popatrzyła jeszcze raz na stojących tyłem Wandalów, po czym szybko zrzuciła suknię i włożyła, płacząc się trochę, powłóczyście ubranie.

– Już – oznajmiła krótko.

Odwrócili się.

– Chcesz coś zabrać? – spytał Beketar. – To co tu zostanie będziemy musieli przeszukać i część przedmiotów... może się zniszczyć.

– Nie chcę niczego – zaciśnęła wargi. – Dokąd mnie zabieracie?

– Zasłoń twarz – polecił.

– Dokąd? – nie ustąpiła.

– Zasłoń twarz – powtórzył. – Aresztujemy cię Taharze synu Mammara za podejrzenie szpiegowania na rzecz innych Maurów. Na czas śledztwa, które potrwa pewnie bardzo długo, zostaniesz umieszczony w wygodnej, pojedynczej celi służby królewskiej w podziemiach pałacu. Tam... będziesz póki co bezpieczny. Trzymaj go, Frodulfie – zwrócił się do draba – żeby nam nie uciekł po drodze. – Ty, Jonatesie, przeszukaj pokój i... zabezpiecz wszystkie podejrzane przedmioty. Bilbert

dopilnuje żeby nikt ci nie przeszkadzał. Idziemy, Taharze.



Więzienna cela była nieduża, ale czysta i stosunkowo dobrze oświetlona przez spore, zakratowane okno pod wysokim sklepieniem. Choć w ścianie tkwiły żelazne uchwyty, nie było łańcuchów, a na podłodze, obok dwóch prostych stołków i stołu, przygotowano posłanie z grubej warstwy świeżej słomy. Beketar zamknął za sobą drzwi i postawił na stole przed Rodelindą miskę z jedzeniem. Wyjął jeszcze z torby dzbanek wina, dwa kubki i usiadł naprzeciwko dziewczyny. Ta obrzuciła go nieprzyjnym spojrzeniem.

– Będą mnie szukać – warknęła.

– Kto? – Beketar nalał wino do kubków. – Twoja matka, która o niczym nie wie? Czy twoja przyjaciółka Augusta,

którą też zwinęliśmy?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nic ci nie powiem – zacisnęła wargi.

– A może Baal Karnaim – Pan Obu Rogów? – zmrużył oczy.

– Nic nie wiesz! – syknęła.

– Tyle, co wiem, wystarczy aż nadto – skrzywił się. – A reszty w końcu się dowiem. Jeśli nie od ciebie, to od Augusty, która siedzi w drugim lochu. Ciebie na razie nie ruszę przez wzgląd na twoją matkę. Ale kto upomni się o jakąś libijską dziwkę?

– Nie wiesz, w co się mieszasz! – rzuciła ze złością.

– Tak, tak – odparł spokojnie. – Za to wy świetnie wiecie, że zamieszałyście się w porywanie i mordowanie małych dzieci, pogańskie rytuały i konszachty z diabłem – popatrzył na nią z uwagą, ale tylko zaplotła ręce na piersi i zacisnęła usta.

– Naprawdę chcę ci pomóc – podjął łagodniejszym

tonem. – Twoja matka...

– W dupie ją mam – przerwała ze złością. – Zniszczy cię tak samo jak ojca. Wycisnie jak pomarańczę, a potem każe ci zjeżdżać, kiedy najbardziej będziesz jej potrzebował. Ale to nie moja sprawa. Im większą zrobicie sobie krzywdę, tym lepiej – splunęła na podłogę.

– No tak, charakterek z całą pewnością masz po mamusi – roześmiał się mimo woli. – Ale nie będziemy o tym mówić – spoważniał. – Gina dzieci i stoi za tym niejaka Fenana. A ja chcę wiedzieć, jak ją znaleźć. Albo... – popatrzył jej w oczy – która z was to Fenana?

– Gównu ci powiem, zanim nie zobaczę Augusty – warknęła.

– Nic z tego – potrząsnął głową. – Ty zostaniesz tu, ona tam. Ale mogę jej coś przekazać.

– Pfff... – wyduła tylko wargi Rodelinda.

– Z nią nie będę rozmawiał tak miło jak z tobą –

przypomniał.

– Zrób jej krzywdę, a pożałujesz – zagroziła ze złością. – I tak niczego z niej nie wyciągniesz. Nie wiesz, w co się pakujesz. A na mieście, już się przekonałeś, łatwo zarobić nożem.

Beketar westchnął.

– Młoda jeszcze jesteś – pokiwał głową – A ja, mimo wszystko, lubię twoją matkę. Dlatego też cię uprzedzę, gdyby wydawało ci się, że wystarczy postraszyć jednego prowincjonalnego naczelnika, żeby mieć z głowy całą służbę królewską i Kościół. Jeśli coś mi się stanie, jeśli na przykład, jak to ujęłaś, zarobię nożem, o wszystkim dowiedzą się nie tylko inni agenci, ale również biskup Lindulf i twoja matka. Reszty możesz się domyślić.

W miarę jak mówił, na twarzy Rodelindy malowała się coraz większa złość. Gdy skończył, szybkim ruchem chwyciła stojący na stole kubek z winem i chlusnęła mu prosto w twarz. Zaskoczony nie uchylił się w porę i wino zalało mu oczy. Schylił się

i zaczął przecierać twarz rękawem. Rodelinda skoczyła do drzwi. Szarpnęła za klamkę by wypaść na zewnątrz i z całym impetem zderzyła się z podsłuchującym po drugiej stronie Jonatesem. Upadli z głośnym tąpnięciem na podłogę. Beketar zerwał się z krzesła rozdzielić szarpiących się. Rodelinda drapał i gryzła, lecz wspólnymi siłami udało im się wpakować ją z powrotem do celi.

– Jakby wpadło na mnie stado kotów – stęknął lekko poturbowany i podrapany Jonates.

– Wrócę za parę dni. Może wtedy zrobisz się rozmowniejsza – rzucił tylko na odchodne Beketar, zamykając drzwi celi na klucz.

– Zobaczymy, czy teraz przestaną ginąć dzieci – westchnął, gdy wyszli z lochu. – Chociaż wątpię. Znajdźmy lepiej tę przekłętą Augustę! Nie zapadła się przecież, kurwa, pod ziemię – zaklął. – Mam nadzieję.

*

W stojącym na wzgórzu pałacu, podobnie jak w nadbrzeżnych willach, żyło się w tych dniach nieco znośniej dzięki świeżej bryzie od morza, która przynosiła odrobinę chłodu i przeganiała nieznosne owady.

– Książę Hoamer! – zachnął się Alamund, przechadzając się po sali. – Nigdy nie rozumiałem, co ludzie w nim widzą. Gdzie mu do księcia Gelimera? – spojrzał po zebranych, jakby oczekując odpowiedzi.

Biskup Lindulf przypatrywał mu się znad stołu, rozważając być może pytanie, naprzeciwko niego Brunfrida bawiła się kubkiem, a obok Oktawian z rady miejskiej w milczeniu czyścił paznokcie nożykiem. U szczytu stołu, tam skąd komes zwykł prowadzić narady, zastępujący go Theuderyk postawił sobie cały dzbanek wina. Beketar, już bez temblaka, przysiadł na parapecie, skąd miał widok na pół miasta aż do portu i dalej po horyzont zatoki. Wszyscy mieli zmęczone twarze, jednak Alamund zadawał się tryskać dobrym humorem.

– Wiecie czemu tak naprawdę nazywają Hoamera "Wandalskim Achillesem"? – ciągnął niezrażony ich milczeniem. – Bo udaje herosa, tylko pewną część ciała ma niesprawną. I nie chodzi o piętę, ha - ha - ha...!

– To nie jest śmieszne, Alamundzie – skrzywił się Lindulf. – Wielu naszych poległo w Byzacenie.

– Śmieszne, czy nie – spoważniał na moment tysięcznik
– Hoamer dał dupy i to przez niego zginęli nasi wojownicy.

– Spróbuj powiedzieć mu to w twarz – mruknął Beketar. – Zresztą, słyszałem co innego. Poza tym, mówisz o kuzynie króla Hilderyka.

– Hoamer może mi naskoczyć. Razem ze swoim Hilderykiem – wyszczerzył zęby Alamund.

– No wiesz?! – obruszył się biskup. – Mówisz o królu!

– Ciszej, Alamundzie... – Theuderyk niespokojnie rozejrzał się po sali.

– Czy po to prosiłeś nas o spotkanie, Alamundzie, żeby

raczyć nas kiepskimi plotkami z dworu i jeszcze słabszymi żartami? – odezwała się chłodno Brunfrida.

– Cierpliwości, moi drodzy – uśmiechnął się tysięcznik.
– Jedzcie, pijcie – wskazał na dzban i misy na stole. – Wierzcie mi, że wezwałem was tu z ważnego powodu.

– Wezwałeś? – uniósł brwi Lindulf.

– Wezwałem, poprosiłem – mniejsza o słowa – machnął ręką Alamund. – Ale skoro tak się niecierpliwicie, zdradzę wam, że odwiedzi nas mój przyjaciel z Kartaginy, księżę Gibamund.

– Gibamund? – zdziwił się Theuderyk. – Czemu nic o tym nie wiem? Przecież trzeba przygotować pokoje, stajnie, urządzić ucztę...

– W mieście nie jest jeszcze bezpiecznie – zauważył Oktawian.

– Tak bez zapowiedzi? – uniósł brwi Beketar. – Zawsze przychodziła wcześniej wiadomość przez kuriera.

– Czy Farager i Gastilinda też wracają? –

zainteresowała się Brunfrida.

– Powoli, powoli, moi drodzy – zaśmiał się Alamund. – Nie psujcie mi niespodzianki.

Podszedł do stołu i usiadł na drugim końcu, naprzeciwko Theuderyka, tak żeby widzieć również Beketara. Przez chwilę przebiegał wzrokiem między zebranymi, jakby bawiąc się ich niepewnością.

– Nasz Wandalski Achilles nie narazi już żadnego z naszych wojowników ponieważ siedzi teraz w lochu razem z licznym gronem zdrajców, którzy próbowali sprzedać nas Cesarstwu i katolikom – uśmiechnął się szeroko, patrząc na ich reakcję.

– Jak to? – zakrztusił się winem Theuderyk. – Przecież... Przecież to ksiązę Hoamer... Sam wielki Hoamer...

– Król nigdy by na to nie pozwolił – pokręciła głową Brunfrida.

Beketar spochmurniał, uważnie obserwując

Alamunda, podobnie biskup Lindulf. Oktawian przestał czyścić paznokcie i odłożył nożyk na stół.

– Król osobiście wydał ten rozkaz – rozpromienił się Alamund – ponieważ... – zrobił teatralną pauzę. – Mamy, moi drodzy, nowego króla!

Zapadła cisza, w której słychać było tylko krążące muchy i niosące się od miasta okrzyki przekupniów.

– Nasz lud i możni w Kartaginie, zatroskani stanem państwa, usunęli niedołęznego Hilderyka – wyjaśnił radośnie. – Siedzi teraz razem ze wszystkimi swoimi poplecznikami w głębokim lochu.

– Kto... Kto zajął tron? – wykrztusił Beketar.

– Lud i możni wspólnym głosem obrali królem Gelimera – wielkiego wojownika i prawdziwego potomka Gezeryka – uśmiechnął się szeroko Alamund. – Wypijmy zatem jego zdrowie – zaproponował, wstając z kubkiem w dłoni.

– Czy twój przyjaciel Gibamund, jeśli dobrze pamiętam

siostrzeniec Gelimera, odwiedzi nas z wojskiem? – spytał ponuro Beketar, zsuwając się z parapetu.

– Moi drodzy – popatrzył po siedzących Alamund – ufam wam. Nie ma tu teraz żadnego wojska, a Gibamund przyjedzie tylko ze swoją najbliższą drużyną.

– Czy mój brat także został aresztowany? – odezwała się z niepokojem Brunfrida.

– Cóż... – westchnął z żalem Alamund. – Ktoś doniósł królowi, że Farager brał udział w katolickim nabożeństwie podczas pogrzebu ich biskupa.

– Przecież to był twój pomysł, Alamundzie – uniósł brwi Beketar, podchodząc do stołu.

– Tak mówisz? Nie przypominam sobie – bez mrugnięcia okiem odparł Alamund.

– Naprawdę? – skrzywił się Beketar. – Było tam wtedy jeszcze parę osób.

– Pewnie Farager? – uśmiechnął się pobłaźliwie

tysięcznik.

– Rzeczywiście – potwierdził ponuro Beketar – A poza tym Theuderyk, Lindulf, Oktawian, Brunfrida... – wskazywał po kolei na siedzących.

– Czyżby? – pokiwał głową Alamund. – Theuderyku, pamiętasz coś takiego?

Wywołany do odpowiedzi tysięcznik przez chwilę patrzył niepewnie to na Beketara, to na Alamunda.

– Nie, chyba nie – odparł w końcu cicho.

– No, widzisz? – ucieszył się Alamund. – Coś ci się pomyliło, Beketarze.

– Lindulfie...? – zmarszczył brwi naczelnik. – Oktawianie...?

Biskup westchnął.

– Porozmawiamy o tym później, Beketarze – popatrzył na niego poważnie.

Rzymianin potrząsnął tylko smutno głową.

Beketar przeszedł nerwowo parę kroków w tę i z powrotem śledzony wzrokiem wszystkich.

– A ty? Ty też niczego nie pamiętasz? – zatrzymał się przed Brunfridą. – To twój brat.

Popatrzyła mu w oczy.

– Pamiętam, że wszyscy, również mój brat, służymy królowi. I na jego mądrość i łaskawość wszyscy się zdajemy – chłodno skinęła głową Alamundowi.

Beketar rozejrzał się bezradnie po sali.

– A ty, Beketarze? – zwrócił się do niego wesoło Alamund. – Czy ty też wciąż służysz królowi?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Umarł król, niech żyje król – skrzywił się w końcu Beketar. – Jego zdrowie! – uniósł pierwszy z brzegu kubek, chyba Brunfridy. – Zawołajcie mnie, gdybym był potrzebny – rzucił ponuro, wychodząc.

– Żyje król, niech żyje król – poprawił pod nosem Theuderyk, ale tak, żeby go Alamund nie usłyszał.



Beketar siedział właśnie z ponurą miną w swoim pokoju, przeglądając nieuważnie jakiś zwój, gdy rozległo się niezbyt głośne pukanie do drzwi. Naczelnik skinął na Jonatesa, który odłożył na stół przeglądany plik dokumentów i podszedł otworzyć. Wychylił głowę przez uchylone drzwi, po czym wpuścił do środka biskupa Lindulfa.

– Przyszedłem porozmawiać, Beketarze – biskup z ciekawością rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Lindulf? – zdziwił się naczelnik, odkładając zwój. – Witaj – podniósł się z krzesła i również szybko zlustrował pokój by upewnić się, czy gdzieś na wierzchu nie walają się jakieś nieodpowiednie papiery. – W czym mogę ci pomóc? – spytał z rezerwą.

– Chcę z tobą pogadać, Beketarze... O obecnej sytuacji politycznej – zaczął ostrożnie Lindulf.

– Znam Gelimera i jego poglądy – skrzywił się naczelnik. – Powinieneś się cieszyć, Lindulfie. Znow zaczniemy zwalczać katolików.

– Możemy pomówić w cztery oczy? – nie odpowiedział na zaczepkę biskup.

– Czemu nie? – wzruszył ramionami Beketar. – Jonatesie, zostaw nas na chwilę.

– Znam twoje sympatie Beketarze – westchnął Lindulf gdy sługa zamknął za sobą drzwi. – I domyślam się twoich zainteresowań. Księgi to niebezpieczna sprawa dla ludzi małej wiary.

– Nie jestem katolikiem – zmarszczył brwi naczelnik.

– Chodzisz do kościoła, przestrzegasz postów i nic poza tym – machnął ręką Lindulf. – Ale nie oskarżam cię o herezję. Do tego również potrzeba wiary.

– Chcesz rozmawiać o polityce, czy moim sumieniu? – spojrzał na niego z niechęcią Beketar.

– Chcę poznać twoje zdanie na temat ostatnich

wypadków.

– Już mówiłem, że powinienes być zadowolony – wzruszył ramionami naczelnik. – Gelimer to zagorzały arianin.

– A ja już kiedyś mówiłem, że nie pochwalam rzucania katolików lwom – pokręcił głową biskup. – Zresztą... Myślisz może, Beketarze, że tu chodzi o herezję? o tę ich Trójcę Świętą?

– A nie chodzi, Lindulfie? – spojrzał na niego uważnie naczelnik.

– Oczywiście, że też. Ale to drobiazg. Pretekst.

– Ty, biskup, mówisz mi, że jeden z najważniejszych dogmatów wiary, za który setki, a może tysiące ludzi w tym kraju straciło życie lub majątek, to drobiazg i pretekst? – uniósł brwi Beketar. – Pretekst do czego?

– Mało kto o tym wie, Beketarze – ściszył głos Lindulf – ale król Gezeryk, po matce, w młodości też był katolikiem.

– Naprawdę? – dziwił się naczelnik. – Nie wiedziałem.

– Jak mówiłem, mało kto wie. Jak myślisz, czemu wybrał arianizm? Myślisz, że on – wyrachowany i bezwzględny polityk – doznał nagle oświecenia? – pokręcił głową biskup. – Ukazał mu się anioł i objawił prawdę? A Gezerykowi na tyle robiło różnicę jaka jest istota Syna Bożego, że prześladował z tego powodu swoich i obcych?

– Cóż... – odparł z namysłem naczelnik. – Historia zna takie przypadki.

– Historia zna to, co ktoś postanowił w niej zapisać. Powinieneś o tym wiedzieć tak samo jak ja, Beketarze. Gezeryk z pewnością był gorliwym chrześcijaninem, ale wybrał naszą doktrynę z pełnym rozmysłem.

– Rozumiem do czego zmierzasz, Lindulfie – pokiwał głową Beketar. – Kościół Katolicki ma swoje serce w Konstantynopolu, może też w Rzymie.

– Dokładnie. Serce naszego bije w Kartaginie.

Ostrogockiego w Rawennie, wizygockiego w Toletum, swebskiego w Brakarze, czy Bóg wie gdzie, bo tam połowa to poganie. Franków i Burgundów nie liczę, bo żyją daleko od Bizancjum i zostali katolikami na złość Gotom. Katolicy to piąta kolumna⁴⁵ cesarstwa, Beketarze – uniósł palec biskup. – To kościół, który przyjmuje wykładnię jakiej akurat sprzyja cesarz. Gezeryk doskonale to wiedział.

– Ale nie wiedział, że nie wystarczy wyróżnić połowy katolików, by druga połowa nawróciła się na arianizm – mruknął Beketar.

– Ależ oczywiście, że wystarczy – prychnął Lindulf. – Jeśli mówimy o tych, którzy liczą się politycznie. Wyróżnić, wyrugować z majątków, zamknąć drogę do kariery. Dziś katolicy to przede wszystkim miejscowa biedota.

– Więc?

– Dla kościoła to takie same dusze jak każde inne – zapewnił z powagą biskup. – Chcę zaproponować

królowi spektakularną akcję apostolską wśród tych, którzy są dziś pożywką dla katolików i donatystów. Przydałyby mi się jakieś dojścia do opiniotwórczych ludzi wśród sklepikarzy, rzemieślników i tym podobnych.

– Szczytny pomysł – pokiwał głową Beketr z lekką kpina w głosie. – Wybacz, ale nasuwa mi się pytanie, czemu dopiero teraz, Lindulfie?

– Czasy się zmieniają, Beketarze – odparł z powagą biskup. – Albo my też się zmienimy, albo zmienia nas siłą.

– I dlatego już nie pamiętasz, że to Alamund wysłał Faragera na pogrzeb biskupa Martyniana? – popatrzył na niego ze słabo skrywaną pogardą naczelnik.

Biskup westchnął głęboko, nachylił się do Beketara i położył mu dłoń na ramieniu.

– Widziałem już, w Kartaginie, jedną zmianę na tronie – powiedział cicho. – Ty, zdaje się, również. Pamiętam

co się wtedy dzieje. Wówczas poleciały głowy Gotów i ich popleczników. Dziś, Beketarze, mogą polecieć nasze. Wiem nieoficjalnie, że nasz patriarcha siedzi w lochu obok Hilderyka.

– Nie wierzysz w dobre intencje Alamunda? – parsknął z niewesołym uśmiechem naczelnik.

– Alamund dba tylko o swój interes – mruknął Lindulf, prostując się. – Przemyśl co ci powiedziałem, Beketarze. Albo będziemy teraz trzymać się razem, albo sami się wytniemy, jeden drugiego, bez ich pomocy.

– Taką masz o nas opinię? – uniósł brwi naczelnik.

– Taką mam opinię o zmianach na tronie, Beketarze – pokręcił głową biskup. – Daj znać jeśli się namyślisz – ruszył do wyjścia. – I może zobacz, czy nie warto tu spalić czegoś z tych papierów – rzucił jeszcze od drzwi.

Nie minęła godzina od wyjścia biskupa, gdy Jonates wpuścił do pokoju kolejnego gościa. Theuderyk wszedł

do środka z niepewną miną i dużym, zalakowanym dzbanem pod pachą.

– Przyniosłem ci wino, Bektarze – zaczął od drzwi. – Gdzie mogę je postawić?

– Daj je Jonatesowi – mruknął naczelnik, wstają ociężale z krzesła. – Jaka to dziś okazja?

– Chcę cię przeprosić, Beketarze – spieszył się Theuderyk. – Za tę historię z Faragerem i Alamundem. Wiesz, Alamund to mój przyjaciel...

– To może powinienes zanieść to wino jemu? – odparł zjadliwie naczelnik.

– Nie mów tak, Beketarze – stropił się tysięcznik. – Wolałbym, żeby między nami też się dobrze układało.

– Czasem nie da się zadowolić wszystkich, Theuderyku – westchnął Beketar. – Ale dziękuję za wino.

Tysięcznik rozpogodził się trochę, ale zaraz nachylił się do Beketara z zatroskaną miną.

– Bywasz w Kartaginie, Beketarze, poznałeś księcia...

króla Gelimera – ściszył głos. – Co teraz będzie?

– Nie powinienes się obawiać, Theuderyku. Alamund cię lubi.

– Tak, ale to król Hilderyk zrobił mnie tysięcznikiem. Były król, znaczy się – poprawił się Theuderyk.

– Najwyżej zdejmą cię ze stanowiska – wzruszył ramionami Beketar. – Nic więcej ci nie grozi.

– Ale ja to lubię, Beketarze – zrobił smętną minę tysięcznik. – Lubię swoich ludzi i oni też mnie lubią. – Znam każdego z nich, małych i dużych, młodych i starych, kobiety i wojowników, cały tysiąc. No, niecałe osiemset – przyznał – ale nie chcę ich zostawiać.

– Może nowy król też lubi dobrych zapaśników i tęgich biesiadników? – uśmiechnął się pocieszająco Beketar.

– Mówisz poważnie, czy żartujesz sobie ze mnie? – popatrzył na niego niepewnie Theuderyk. – Naprawdę ich wtedy pokonałem – znów rozpogodził się nieco. – Byłem wtedy w straży Hilderyka, który odwiedzał

Justyniana, który nie był wtedy jeszcze cesarzem. Robili zakłady, a ja pokonałem w zapasach trzech rzymskich setników pod rząd! Pokonałbym i czwartego, gdybym nie zwichnął sobie ręki przy trzecim – uśmiechnął się.

– Tak, pamiętam tę historię, Theuderyku. Myślę, że tymi pokonanymi Rzymianami możesz chwalić się także przed nowym królem – poklepał go po ramieniu. – A teraz wybacz, ale muszę zająć się pilną pracą.

Beketar sam odprowadził gościa do drzwi i zamknął za nim.

– Czy ja wyglądam, jakbym prowadził tu spowiedź powszechną, Jonatesie? – westchnął. – Albo udzielał pociechy duchowej? Jeśli przyjdzie ktoś jeszcze, mów, że mnie nie ma.

– Nawet pani Brunfrida? – upewnił się sługa.

– Szczególnie pani Brunfrida – usiadł ciężko na fotelu Beketar. – Szczególnie ona.

– Czego oni wszyscy nagle tu szukają? – zastanowił się

Jonates.

– Boją się – mruknął Beketar. – O stanowiska, o majątki, o życie.

– Ty się nie boisz?

– Nie mam powodu – Beketar odchylił się na fotelu i przymknął oczy. – Robię swoje i trzymam się z daleka od polityki. A polityka trzyma się z daleka ode mnie. Muszę się zdrzemnąć – ziewnął. – Obudź mnie za godzinę i nikogo już nie wpuszczaj.

Ale nikt więcej nie zapukał już tego dnia do drzwi. Tylko Oktawian przysłał przez niewolnika wiadomość, że z powodu natłoku obowiązków zmuszony jest odwołać planowany nazajutrz wieczór ze swoją poezją.

*

Zgrzytnął klucz w zamku, Beketar szarpnął drzwi i z impetem wmaszerował do celi.

– Koniec tego dobrego, moja panno! Nie będziemy... –
urwał skonfudowany.

W pomieszczeniu śmierdziało siarkowym oparem,
w powietrzu unosiły się brzęczące muchy. Rodelinda
leżała na sianie blada, z przymkniętymi oczami.
Naczelnik rozejrzał się po celi.

– Chodź, Jonatesie. Wynieśmy ją na korytarz – wychylił
głowę na zewnątrz.

Schowany za ścianą sługa zrobił zdziwioną minę,
ale bez słowa wszedł do środka i od razu zmarszczył nos.

– Jeszcze tu ich brakowało – mruknął, opędzając się
od much.

Wzięli Rodelinę we dwóch pod ramiona
i podnieśli. Popatrzyła na nich półprzytomnym
wzrokiem. Wyprowadzili ją na korytarz i posadzili
na ławie.

– Oby to nie była jakaś zaraza – popatrzył na nią
z niepokojem Beketar.

– Oczywiście, że to zaraza – prychnął Jonates. – Tak samo jak jej matka.

Beketar nie skomentował. Podniósł stojący pod drzwiami obok talerza z posiłkiem dzbanek i przytknął dziewczynie do ust. Rodelinda powolnym, ospałym ruchem chwyciła naczynie i zaczęła pić, aż polało się jej po brodzie.

– Przeniesiemy cię do innej celi – oświadczył Beketar, odbierając dzbanek. – A tutaj posprzątam i okadзимy – popatrzył na Jonatesa.

– To nic nie pomoże – odezwała się słabym głosem dziewczyna. – Muszę stąd wyjść.

– Nie mogę cię wypuścić – potrząsnął głową naczelnik.
– Znowu zaginęło kolejne dziecko. To Augusta, prawda? I tak pewnie domyślał się, że jej nie mamy. Muszę ją znaleźć.

– To już nic nie da – westchnęła. – Będą ginąć dalej, nawet jeśli zamkniesz pół miasta.

– Chcę wiedzieć, kto porywa dzieci! – złapał ją za ramię i potrząsnął, nie zważając na jej stan.

– Przecież już wiesz – odparła cicho. – Rogaty Pan. To on je przygarnia i sprawia, że stają się częścią jego boskiej istoty.

– Demon z piekła wchodzi nocą do domów i pożera dzieci prosto z kołyski? – prychnął. – I co? Powinienem może poprosić biskupa, by okadzili całe miasto?

– Pewnie nie zawadzi, nawet normalnie strasznie tu śmierdzi latem – wtrącił Jonates.

Popatrzyła na Beketara zmęczonym wzrokiem.

– Bogowie rzadko działają sami w naszym świecie – wyjaśniła. – Używają nas. Używają nas jak cieśla używa piły, czy młotka. Dotąd pomagała mu Fenana, ale dziś to może być już prawie każdy. Rogaty Pan znów ma taką moc.

– Tak to my się nie dogadamy – mruknął. – Potrzebuję nazwisk, potrzebuję adresów, muszę wiedzieć, jak

znaleźć Augustę. Jak to przerwać? – Beketar delikatnie, ale zdecydowanie uniósł brodę Rodelindy do góry. – Powiedz mi, jak to przerwać, a wyjdiesz stąd jeszcze dzisiaj.

Odrzuciła jego dłoń, ale przez chwilę patrzyła na niego jakby coś rozważając.

– Dobrze – oznajmiła w końcu. – Powiem ci kto to robi. Kto porywa dzieci. I gdzie go znaleźć.

– Tak po prostu? – zdziwił się. – Dlaczego nagle...?

– Bo coś się zmieniło – westchnęła. – Bo nie wiem już, czy Rogaty Pan nadal jest tym starym, dobrym bogiem. Bo mogę potrzebować pomocy... i ochrony – spuściła głowę.

– Mojej? – podrapał się po głowie.

– Jesteś królewskim agentem, nie podlegasz tu nikomu, nawet komesowi – wyjaśniła jakby tłumaczyła oczywistość. – Poza tym myślę, że jesteś też wystarczająco naiwny, by dotrzymać danego słowa –

uśmiechnęła się smętnie. – Dlatego powiem ci kto porywa dzieci, jeśli przysięgniesz na wszystkie świętości, że będziesz mnie chronił i nie pozwolisz by stała mi się krzywda.

– Do tej pory umiałaś o sobie zadbać... – odparł z namysłem.

– Czasy się zmieniają – potrząsnęła głową. – To jak będzie? Inaczej nic ze mnie nie wyciągniesz.

– Dobrze – wziął głęboki oddech. – Przysięgam na Boga jedyne i swoją duszę nieśmiertelną, że zrobię co będę mógł by cię chronić przed wszystkimi, którzy chcieliby cię skrzywdzić w związku ze sprawą tych dzieci – na ochronę za czary nie liczę – zastrzegł. – A gdybym tej przysięgi nie dotrzymał, niech moja broń i moi niewolnicy zwrócą się przeciw mnie, niech powali mnie choroba, a piekło pochłonie. Co być może i tak uczyni – westchnął. – Wystarczy?

– Wystarczy – kiwnęła głową.

– Słucham – nadstawił ucha.

Rodelinda odchrząknęła.

– To ja – oświadczył poważnym tonem. – Ja ratowałam od brudu i biedy te dzieci, których i tak nic dobrego by tu nie czekało i oddawałam je pod opiekę Dobremu Panu. Niestety, nie wiem, kto robi to teraz.

Beketar wyprostował się gwałtownie.

– Kurwa! – zaklął. – A Fenana?

Zawahala się.

– To też ja – odpowiedziała w końcu cicho.

– Ty? – popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– To moje fenickie imię – spojrzała, jakby sprawdzając jego reakcję. – Od babci.

Beketar przyglądał się jej, rozważając coś w myślach.

– Twoja matka nie wie – ni to stwierdził, ni spytał.

– Nie chce wiedzieć – wzruszyła ramionami.

- Jesteś czarownicą? – rzucił niespodziewanie.
 - Tak. Czarownicą i strzygą – skrzywiła się. – A ty idiotą.
 - To całkiem możliwe – mruknął. – Ale to ty siedzisz u mnie w lochu. Pomyślę, co z tobą zrobić.
 - Przyrzekłeś! – przypomniała.
 - Żałuję tego. Ale pamiętam.
-
- Myślisz, że mówi prawdę? – spytał sługa, gdy wyszli na zewnątrz.
 - Nie wiem – mruknął Beketar. – Może tak, a może tylko chce chronić przyjaciółkę.
 - A z tym demonem?
 - Ludziom zwidują się różne rzeczy. Demony, aniołowie... – skrzywił się. – A ci, którzy słuchają takich zjaw, zwykle źle kończą.



Minęło już południe, lecz Brunfrida nadal leżała w łóżku. W nocnej koszuli, w rozkopanej pościeli, z psem zwiniętym u stóp i wzrokiem utkwionym w suficie zastygła w prawie idealnym bezruchu, czasem tylko zakłócanym, gdy oczy same podążały za przelatującą muchą. Co jakiś czas przez drzwi wychylała się do pokoju głowa służącej, Brunfrida jednak za każdym razem odganiała ją samym ruchem dłoni. W końcu jednak dziewczyna weszła do środka.

– Już czas, pani.

– Zostaw mnie. Chcę spać – odparła rozdrażnionym głosem Brunfrida.

– Kazała pani wyciągnąć się z łóżka najpóźniej między porą obiadu, a podwieczorku – oznajmiła służąca, siląc się na zdecydowany ton.

– Zmieniłam zdanie. Masz wolne do kolacji – odgoniła

ją ruchem ręki Brunfrida.

Leżący u jej stóp pies otworzył oczy i przeciągnął się leniwie.

– Powiedziała pani wczoraj... – dziewczyna wydawała się w równej mierze zdeterminowana, co przestraszona. – Kazała pani wczoraj, żeby wylać na panią kubek zimnej wody, gdyby nie chciała pani dzisiaj wstać.

– Ani mi się waż! – warknęła Brunfrida, podnosząc się ociężale by usiąść.

Służąca cofnęła się pół kroku.

– Przygotuj toaletę – poleciła oschle Brunfrida. – I ciemną suknię. I poszukaj jakieś skromnej biżuterii. I coś żeby trochę zakryć dekolt. No, nie gap się tak, tylko leć po wszystko!

Popatrzyła za wybiegającą dziewczyną i podrapała psa za uchem.

– Widzisz, Tunar? Przez tych świętojebliwych idiotów,

których ani chybi przyślą nam za chwilę ze stolicy, trzeba będzie przerabiać całą garderobę. Tradycyjne wartości! – prychnęła. – Tradycyjne wartości wymyśliły kobiety bez cyków i wcisnęły je mężczyznom bez jaj – wstała z łóżka i usiadła przy stole z lustrem.

Po chwili przybiegła zdyszana służąca z suknią pod pachą i szkatułką w ręce. Brunfrida pofukała na nią jeszcze trochę, ale po jakichś trzech kwadransach toalety uznała, że wygląda wystarczająco dobrze by wyjść do ludzi.

– Gdyby ktoś mnie szukał, będę w kancelarii – rzuciła dziewczynie. – A ty ogarnij tu trochę – wskazała na łóżko, wychodząc. – I wyprowadź Tunara – dodała od drzwi.

Idąc korytarzem, prawie zderzyła się na zakręcie ze zmierzającą w przeciwnym kierunku Swinthildą, która szła chyba od strony kwatery Alamunda.

– O! Witaj, Frido – stanęła zaskoczona Swinthilda.

– Witaj, Hildo – zatrzymała się Brunfrida, przybrawszy miły uśmiech.

Przez parę sekund lustrowały się obie.

– Nowa moda? – uniosła brwi Swinthilda, widząc zdecydowanie skromniejszy niż zwykle strój.

– Potrzebuję jakiejś odmiany – uśmiechnęła się Brunfrida. – Poza tym... jestem wdową – westchnęła. – O! Naprawdę jesteś w ciąży?! – zawołała radośnie, jakby dopiero to zauważyła. – Gratuluje!

Brzuch Swinthildy nie był jeszcze duży, ale tego dnia suknię miała dobraną i podwiązaną w ten sposób, by go wyeksponować.

– Tak – uśmiechnęła się z zadowoleniem Swinthilda. – Postanowiliśmy z Alamundem już tego nie ukrywać.

– Tak się cieszę! – pocałowała ją w policzek Brunfrida. – A co na to nasz biskup? – spytała z troską w głosie.

– Lindulf? Trochę kręcił nosem, ale powiedział, że chrzest może być w bazylice – roześmiała się

Swinthilda. – Alamund oświadczył mu, że skoro tak wielki władca jak Gezeryk mógł urodzić się z nieślubnego związku, to i jego syn może. Lindulf nie mógł z tym dyskutować.

– Oczywiście, moja droga – uśmiechnęła się Brunfrida.
– To wiele upraszcza.

– Tak – Swinthilda jakby odrobinę przygasła. – A skoro dawnym księżniczkom to uchodziło, to mnie tym bardziej – westchnęła. – Wybacz, Frido, ale czeka już na mnie doktor Hortencjusz.

– Oczywiście, Hildo. Jeszcze raz gratuluję. Wszystkiego dobrego – pożegnała ją Brunfrida i rozeszły się w swoje strony.

Gdy tylko Swinthilda zniknęła za rogiem, Brunfrida spochmurniała.

– On i tak z tobą nie zostanie. A matka Gezeryka była niewolnicą, głupia kuro – mruknęła pod nosem.

Gdy weszła do pałacowej kancelarii – dużej sali zastawionej stołami pełnymi papierów, zastała paru sekretarzy, rekrutujących się spośród miejscowych Rzymian, stojących pod ścianą, podczas gdy Theuderyk z Alamundem przeglądali jakieś papiery.

– O, Brunfrida... – spieszył się Theuderyk.

– Witaj, Frido – uśmiechną się szeroko Alamund.

– To raczej ja powinnam cię tu przywitać, Ali – uśmiechnęła się. – Co was tu sprowadza i w czym mogę wam pomóc?

– No, bo jako zastępujący komesa... – zaczął się tłumaczyć Theuderyk.

– Chciałeś się wreszcie dowiedzieć gdzie mamy kancelarię? – przerwała mu z uśmiechem Brunfrida.

– Chcemy sprawdzić rachunki i sprawozdania, by móc zdać raport księciu Gibamundowi – wyjaśnił uprzejmie Alamund. – Liczę, że nie będziesz nam przeszkadzać?

– Przeszkadzać? – odparła ze zdziwieniem Brunfrida. –

Gdzieżbym śmiała? Nie mamy tutaj niczego do ukrycia. Ja nawet nie potrafię tego przeczytać. I już sobie idę – uśmiechnęła się czarująco do obu tysięcyników. – Jednak dajcie proszę znać, gdybyście nie mogli sami sobie poradzić z tymi wszystkimi papierami – dodała z lekką satysfakcją.



Ponieważ plaga much w mieście nie ustawała, uroczyste powitanie księcia Gibamunda postanowiono ograniczyć do minimum. Przyozdobioną kwiatami bramę ustawiono na samym nadbrzeżu, do którego miał przybić książęcy statek, ponieważ tam wiatr przeganiał uciążliwe owady. Prokurator Oktawian musiał jednak wynająć dodatkowych robotników żeby uprzątnęli z najbliższego otoczenia śmierdzące glony. Zaraz za bramą postawiono szczelnie osłonięte lektyki otoczone dodatkowo przez niewolników z gałązkami palmowymi. Właściwe powitanie miało mieć miejsce w pałacu, do którego znów

zjechali pełni niepokoju, chciwi wiedzy o nowej polityce i przygotowani do kolejnego etapu wyścigu o wpływy możni i dygnitarze z całego okręgu. Ku uldze Beketara, starano się nie wracać do sprawy zamachu na biskupa Martyniana, musiał jednak wziąć na siebie wybranie do obsługi gości wyłącznie najpewniejszej służby, a w pałacu podwojono wszystkie straże.

Okręt przyplynał zgodnie z planem wczesnym popołudniem. Wysmukła liburna z wymalowanym na żaglu błękitnym krzyżem ledwo pojawiła się na horyzoncie, a już zaczęła rosnać w oczach i z wielką prędkością ciąć ostrym dziobem fale napędzana lekkim wiatrem i dwoma rzędami idealnie pracujących wiosł.

– Piękny – westchnął z podziwem jeden z możnych, którzy mimo wszystko zdecydowali się zejść do portu.

– Balearska załoga – orzekł ze znawstwem stojący przed Beketarem Godagis.

– Sam mu doradzałem przy wyborze – odparł zadowolony z siebie Alamund.

– Dobry gust – pochwalił skwapliwie biskup Lindulf, zerkając kątem oka na Beketara.

Tłoczący się licznie za kordonem straży gapie również wydawali się być pod wrażeniem. Okręt zbliżył się na tyle, że dało się już dostrzec dziób wyrzeźbiony na kształt wyskakującego z wody delfina, którego ogon stanowiła zawinięta w górę rufa. Nad zastępującą pokład długą, wąską rampą rozpięto zadaszenie z błękitnego płótna, pod którym stali w równym rzędzie wojownicy w błyszczących kolczugach. Niektórzy z widzów wyraźnie zaczęli się niepokoić, widząc jak statek zbliża się do nadbrzeża z niebezpieczną prędkością, jakby zamiast przybić, chciał staranować port.

– Cały Gibamund – uśmiechnął się spokojnie Alamund, wskazując stojącą na rufie obok budki sternika roslą postać w rozwianym płaszczu.

Słysząc już było odgłosy marynarskich komend i przez zgromadzony tłum przeszedł niepewny pomruk,

ten i ów już rozglądał się za drogą odwrotu, a paru księży ze świty Lindulfa zrobiło znak krzyża, gdy nagle żagiel opadł, a wszystkie wiosła zaparły się o wodę, wzbijając spienione fontanny. Jednocześnie sternik zmienił kurs i hamujący statek przechylił się niebezpiecznie, po czym z gwałtownym wyprostem zaczął zbliżać się już łagodnie bokiem do nadbrzeża. Stojący na rampie wojownicy pozostali w równym szyku, trzymając się, jak dopiero teraz było widać, specjalnie rozpiętych lin, a gapie po chwili wahania wybuchli głośnymi oklaskami i wiwatem. Wyraźnie zdenerwowany Oktawian stojący na czele kurii miejskiej dał znak czekającym w cieniu muzykom by zaczęli grać, ale dźwięki i tak utonęły w ogólnym zgiełku. Ledwo rzucono cumy i ustawiono trap, na brzeg wyskoczył wielki mężczyzna w kolczudze i paradnym płaszczu. Na widok Alamunda podbiegł do niego i uściskali się serdecznie.

O ile Alamund, ze swoją potężną sylwetką

i płomienistą brodą, mógł przypominać pogańskiego boga z dalekiej północy, o tyle Gibamund mógł iść z nim w zawody niby sam Herkules. Gładko ogolony, ostrzyżony na rzymską modłę olbrzym był może nieco niższy od przyjaciela, ale jeszcze przerastał go w barach. Oklepywali się po plecach jak dwa wielkie niedźwiedzie, po czym Gibamund przyskoczył powitać równie serdecznie Godagisa, który, choć nie ułomek, wyglądał chwilę potem jakby gość obić mu nerki. Prokurator Oktawian dał znak dzieciom, które zaczęły rzucać kwiaty, a sam wystąpił naprzód.

– Wielki książę Wandalów, dziecko podwójnej korony,
/ sławą okryły twe imię czyny niezwykle i chlubne –
zaczął deklamować uroczystym głosem. – W tobie
odnawia się imię Wandalów z władcy natchnienia, /
a twoje zasługi i czyny wdzięczności okryje sława. /
W blasku wojennej chwały...⁴⁶

Ale w tym momencie roześmiany Gibamund poklepał go po ramieniu, aż poeta jęknął, i minął go,

ciągnąc za sobą Alamunda z Godagisem. Zamiast w stronę czekających lektyk, ruszyli w kierunku oddziału konnych wojowników, których ukryto na wszelki wypadek w bocznej uliczce. Po krótkiej wymianie zdań trzy konie zmieniły jeźdźców i trójka Wandalów, opędzając się od much, ruszyła z kopyta w stronę pałacu, pozostawiając skonsternowany tłum na nadbrzeżu, gdzie już zaczynała schodzić książęca drużyna i marynarze.

Beketar, który musiał przedrzeć się do konia przez pchających się do lektyk bogatych Wandalów, dogonił Gibamunda z towarzyszami dopiero na pałacowym dziedzińcu, gdzie zaskoczony drugi komitet powitalny próbował uroczyście przywitać niesforne gościa. Naczelnik trafił właśnie na moment, gdy Gibamund klepnął po plecach mocno podenerwowanego Theuderyka, wyczałował jak starą przyjaciółkę roześmianą Brunfridę i sądząc, że nikt nie widzi, uszczypnął ją w tyłek, a następnie wziął ją pod ramię

i pozwolił prowadzić się do środka. Beketar zaklął siarczyście, zeskoczył z konia, ze złością stuknął w głowę sługę, który w porę nie złapał wodzy i z gniewną miną pomaszzerował za wszystkimi.

W głównej sali pałacu ustawiono tym razem długie stoły i ławy jak do tradycyjnej wandaliskiej uczty, choć, idąc z duchem czasu, miały w niej wziąć udział również kobiety, dla których jednak przygotowano oddzielne miejsca. Gibamund z Alamundem od razu przejęli inicjatywę i kazali bez zbędnych ceregieli podać szybko jedzenie i wino. Godagis, któremu chyba nie udzieliła się ich wesołość, próbował jak się wydaje nakłonić obu do zachowania pewnego porządku, skończyło się jednak na tym, że Gibamund, który zajął honorowe miejsce u szczytu pierwszego stołu, kazał mu się przesunąć i wcisnął między nich Brunfridę. Widząc to, siedzący z drugiej strony księcia Alamund posadził obok siebie dumnie obnoszącą swój brzuch Swinthildę, co od razu spowodowało ogólny zamęt, bo

każdy próbował teraz usadzić ze sobą przy jednym stole żonę lub córkę, spychając sąsiadów na dalsze miejsca. Ale główny gość nie zwracał już na to uwagi, bowiem Theuderyk z doskonałym wyczuciem chwili wcisnął się obok, osobiście stawiając przed Gibamundem dwa wielkie dzbany. Gdy do sali dotarli pasażerowie lektyk z Oktawianem i Lindulfem na czele, połowa biesiadników bawiła się już w najlepsze, podczas gdy druga połowa brała się właśnie za łby niby w pantomimie, ponieważ nikt nie chciał wszczynać głośnych awantur przy księciu. Przybycie kolejnych gości wzmogło chaos, nie zakłóciło jednak wesołego nastroju przy głównym stole. Brunfrida przywołała skądś swojego syna, który widać wrócił na tę okazję do Hippony i teraz musiał wypić z Gibamundem kielich wina.

– Beketar? – odezwał się nieśmiały, damski głos za plecami naczelnika.

Odwrócił się zdziwiony.

– Ermintruda! – rozpogodził się trochę na widok młodziutkiej siostrzenicy Godagisa. – Nie wiedziałem, że tym razem przyjechałaś razem z wujem.

– Tak, mamy tu teraz zostać na trochę dłużej – skromnie spuściła swoje wielkie, czarne oczy błyszczące na dziewczęcej buzi.

Miała na sobie skromną, ale elegancką suknię bez żadnych zbędnych ozdób prócz kosztownych spinek, w której, jak nie omieszkał zauważyć Beketar, było jej bardzo do twarzy, szczególnie z zaplecionymi w długie warkocze włosami.

– Cieszę się – odparł z uśmiechem. – Czemu nie usiądziesz z Godagisem? Dołączę tam niedługo.

– Wuj nie lubi kiedy kobiety siedzą przy męskim stole – speszzyła się. – Siedzimy tam razem z ciotką – wskazała jeden ze stołów dla kobiet.

Beketar niespokojnie odwrócił głowę. Żona Godgisa, Emnilda, obserwowała ich z daleka

z nieprzyjazną miną. Wzdrygnął się, ale zwracając się do Ermintrudy przybrał na powrót uśmiech.

– Szkoda, ale skoro zostanieie tu na trochę, na pewno będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać. Niestety teraz muszę cię przeprosić, Ermintrudo. Muszę zadbać o bezpieczeństwo gości.

Dziewczyna dygnęła z rumieńcem na policzkach i niemal odbiegła w stronę siedzącej z pochmurną miną ciotki. Beketar zaklął bezgłośnie. Szybko odszukał wzrokiem Bilberta z Frodulfem, przy okazji trafiając na spojrzenie Brunfridy, która jednak od razu wróciła do wesołej pogawędki z księciem. Obaj agenci stali w cieniu kolumn niedaleko najważniejszych gości, obserwując uważnie kręcącą się służbę. Skinął im głową i ruszył w ich kierunku, gdy zauważył go mijany księżę Gibamund.

– O! Beremund! – wykrzyknął wesoło.

– Beketar – poprawił naczelnik, podchodząc i starając się przybrać miły wyraz twarzy.

– Jasne, że Beketar! – nie spieszył się Gibamund. – I jak ci tu, na tej prowincji? Nie tęsknisz za stolicą?

– Nie bardzo – próbował uśmiechnąć się naczelnik.

– Nie uwierzycie, jaki z Beremunda był hultaj – oznajmił teatralnym szeptem Gibamund. – Kości, wino, kobiety... Chyba któraś cię tam orznęła na duże pieniądze, co? – zwrócił się do Beketara.

– Tak, niedoszła żona – odparł z wymuszonym uśmiechem.

– Ha-ha! – klepnął go po plecach z siłą niedźwiedzia rozbawiony Gibamund. – Dlatego zawsze powtarzam – nie należy mieć złota i kobiety naraz, bo zawsze któreś stracisz. Ha-ha! Tylko jakoś nie udaje mi się tego trzymać. Ha-ha!

Beketar z kwaśnym uśmiechem popatrzył po najbliższych biesiadnikach. Alamund rechotał razem z księciem, Swinthilda chichotała wesoło, Godagis uśmiechał się z lekkim politowaniem, nie wiadomo,

z powodu Gibamunda, czy Beketara. Biskup Lindulf z prokuratorem Oktawianem, którym udało się dopchać na swoje miejsca, śmiali się bez przekonania, unikając wzroku naczelnika. Tylko Brunfrida nie wyglądała, o dziwo, na rozbawioną i patrzyła na Beketara jakby z ubolewaniem. Reszta stołu śmiała się bądź nie, nie bardzo chyba wiedząc w czym rzecz. Beketar skinął im głową i z ponurą miną wycofał się do swoich agentów. Zdążyli krótko powtórzyć plan działania na wypadek jakichś kłopotów, gdy Gibamund wstał, dając znak, że chce mówić. Muzyka ucichła, po chwili ucichli też goście.

– Moi drodzy! – zaczął gromkim głosem ksiązę. – Bardzo się cieszę, że mogę u was gościć. Hippona to ta, ... kolebka, tak, kolebka naszego królestwa i zawsze będzie droga wszystkim potomkom Gezeryka. A, właśnie! Zapomniałbym! – sięgnął po kielich. – Zdrowie miłościwie nam panującego, jedyne, wielkiego i prawdziwego i tak dalej... Zdrowie króla Wandalów

i Alanów, Gelimera!

Cała sala zerwała się by wznieść toast. Rozległy się okrzyki na cześć i wiwaty. Beketar, ponieważ nie miał obok żadnego kielicha, dyskretnie schował się ze swoimi ludźmi za kolumny. Pochwalny, pełny prawdziwego lub znakomicie udawanego entuzjazmu zgiełk trwał dosyć długo, nim Gibamund uciszył go uniesioną dłonią.

– Ponieważ nasz drogi król tak lubi wasze miasto – oznajmił – zatroszczył się o to, by nie pozostawało dłużej bez gospodarza. Dlatego... Weź no, wstań, Godagisie – polecił, nie ścisząc głosu. – Dlatego król postanowił wyznaczyć naszego przyjaciela, Godagisa Berimundlafa, nowym komesem Hippony i całego okręgu!

Znów rozległy się entuzjastyczne okrzyki i brawa. Godagis skłonił się nieco sztywno Gibamundowi i z zadowolonym uśmiechem słuchał wiwatów na swoją cześć. Beketar znów zaklął siarczyście pod nosem i wychylił głowę by zobaczyć reakcję sali. Nie widział z tej strony twarzy Brunfridy, ale klaskała z dużym

zaangażowaniem wraz z innymi. Gibamund ponownie uciszył zebranych.

– To nie koniec dobrych wiadomości! – uśmiechnął się szeroko. – Król ceni wszystkich swoich szczerych przyjaciół, prawdziwych Wandalów i arian. Dlatego nasz drogi przyjaciel Alamund został eee... podniesiony, właśnie, podniesiony – machnął dłonią na Alamunda – do godności komesa przy osobie królewskiej!

Tym razem wstał rozpromieniony Alamund, przyjmując wznoszony z niesłabnącym entuzjazmem aplauz sali.

– Na razie Alamund pozostanie w Hipponie by pomagać Godagisowi w przejęciu nowych obowiązków – poinformował wszystkich Gibamund gdy kolejny raz uciszył biesiadników. – Mam nadzieję, że wspólnymi siłami zrobią coś z tymi muchami – dodał ze śmiechem.

*

Nowo mianowany komes Godagis wyznaczył spotkanie tego, co nazwał naczelnictwem okręgu, na wczesne popołudnie od razu następnego dnia po uczcie. Trudno było powiedzieć, kto poza tysięcznikiem Theuderykiem i biskupem Lindulfem zaliczał się teraz do tego grona, jednak Beketar, Brunfrida i Oktawian także dostali zaproszenie, być może za radą Alamunda, który oczywiście również się pojawił. Oprócz samego Godagisa, który wyglądał na wypoczętego, po pozostałych znać było poprzedni wieczór, szczególnie po Theuderyku, który wyraźnie przypadł do serca księciu Gibamundowi swoim upodobaniem do wina. Ale główny gość spał jeszcze w najlepsze w miękkim łóżku i towarzystwie dwóch dziewczyn ze służby, zaś pozostali posłusznie stawili się na wezwanie. Alamund skinął z krzesła Godagisowi by ten zaczynał, a sam oparł się o stół i ukrył głowę w dłoniach.

– Witam was, moi drodzy – rozpoczął poważnym tonem nowy komes, wstając. – Cieszę się, że będę mógł

z wami współpracować. Alamund bardzo chwalił każdego z was.

Alamund pokiwał głową, nie podnosząc jej znad stołu.

– Jak się domyślacie, czeka nas wiele pracy by zaprowadzić tu właściwy ład i porządek – kontynuował Godagis. – Dlatego bardzo liczę na wasze wsparcie – popatrzył po zebranych.

Wszyscy pokiwali głowami ze zmęczeniem, ale na tyle, by nie wyglądało to na brak entuzjazmu. W czasie gdy Godagis mówił, obserwowali się nawzajem, uważając, mimo bólu w skroniach, na reakcje pozostałych.

– Na razie, póki nie zorganizujemy tego inaczej, chciałbym żebyśmy spotykali się w tym gronie codziennie o tej porze. W związku z tym oczekuję, że będziecie mnie wcześniej informować o każdym swoim wyjeździe z miasta – oznajmił komes.

Zebrani, prócz Alamunda, popatrzyli po sobie. Beketar uniósł brwi, Brunfrida uśmiechnęła się tylko, biskup lekko skrzywił, ale nikt nie zaprotestował.

– Będę też chciał umówić się z każdym z was na osobną rozmowę – ciągnął Godagis. – Myślę, że przydadzą nam się takie spotkania w cztery oczy... – zastanowił się moment – powiedzmy raz w tygodniu.

Zrobił pauzę, ale znów nikt nie zabrał głosu.

– Ze spraw ogólnych... – Godagis powiódł wzrokiem po siedzących. – Lindulfie...

Biskup uniósł głowę wyżej, jakby ktoś trącił go w bok.

– Jak często odprawiałeś msze dla Faragera, Lindulfie? – spytał komes.

– Zwyczajnie – odparł opanowanym głosem biskup. – Co niedziela w bazylice. Farager przychodził razem z całym dworem.

– Od jutra to się zmieni – oznajmił Godagis. – Chcę

mszy codziennie rano tu, w pałacu. Razem wybierzemy odpowiednią salę na pałacową kaplicę. W niedzielę chcę po staremu brać udział w mszy w bazylice. Dobrze?

– Oczywiście, Godagisie – zgodził się z powagą Lindulf. – Myślę, że znajdziemy właściwe miejsce.

– Rzecz jasna, nie zmuszam nikogo do uczestnictwa w codziennych nabożeństwach – oświadczył komes – ale każdy z was będzie mile widziany.

Zebrani przytaknęli w milczeniu z minami bez wyrazu.

– Oktawianie... – zwrócił się do prokuratora Godagis. – Jutro w południe chciałbym spotkać się tu z całą kurią miejską. Nie ukrywam, że liczę, iż zaproponujecie jakieś rozwiązanie jak pozbyć się z miasta tych wszystkich much. Nie chciałbym zajmować takimi sprawami moich ludzi. Przy okazji... Podobał mi się twój poemat dla księcia. Chętnie usłyszę go kiedyś w całości – dodał z powagą.

– Kiedy tylko zechcesz – zapewnił gorliwie Oktawian. –
Sprawą much oczywiście też się zajmiemy.

Komes spojrzał z namysłem po pozostałych.

– Brunfrido... – zdecydował się w końcu. – Proszę cię,
żebyś poczuwszy od jutra zaczęła wprowadzać mnie
i Alamunda w najważniejsze sprawy okręgu i kancelarii.
Chcę poznać każdy dokument wydany przez mojego
poprzednika w ciągu ostatniego roku. Szczególnie te
dotyczące spraw majątkowych. Przygotujesz również
szczegółowe rozliczenie wszystkich wpływów
i wydatków.

– Z przyjemnością – uśmiechnęła się Brunfrida. –
A takie rozliczenia prowadzimy oczywiście na bieżąco.

– Naprawdę? – uniósł brwi Godagis. – Tym lepiej. Chcę
znać wszystkie wpływy z opłat i podatków, wydatki
na flotę i, przede wszystkim, chcę dostać szczegółowe
zestawienie wydatków dworu.

– Dostaniesz je najdalej za dwa dni – zapewniła

z uśmiechem Brunfrida.

– Doskonale... – pokiwał bez przekonania głową Godagis. – Theuderyku...

Tysięcznik uniósł głowę z cierpiącą miną.

– Ciebie poproszę, żebyś opowiedział mi o swoich ludziach, problemach które macie i co dzieje się na twoim terenie. Ale to nie dzisiaj – dodał, widząc wysiłek na twarzy Theuderyka. – Z tobą, Beketarze, też spotkam się oddzielnie w najbliższych dniach – zwrócił się do naczelnika. – Wasze sprawy wymagają większej dyskrecji.

Beketar skinął tylko bez słowa głową.

– Chciałbyś coś dodać, Alamundzie? – spytał Godagis.

– Myślę, że na pierwszy raz tyle wystarczy – mruknął zmęczonym głosem świeżo upieczony komes przy tronie.

*

– Codzienne msze! – prychnął Beketar, wracając korytarzem w towarzystwie Oktawiana.

– Nie wiem jak ty, ale ja mam zamiar na nich bywać – mruknął prokurator.

– A ja mam zamiar wtedy spać – skrzywił się Beketar. – Słyszałeś, nikogo nie zmusza.

– Rób jak chcesz. Ja wiem swoje – odparł ponuro Oktawian. – Poza tym, jestem Rzymianinem i muszę teraz być dwa razy gorliwszym arianinem od was, Wandalów.

– Myślę, że przesadzasz – pokręcił głową naczelnik. – Godagis może sobie być dewotem, ale wie, że jesteś poddanym naszej korony od co najmniej trzech pokoleń.

– Nie bądź naiwny, Beketarze. Połowa moich ziomków marzy po cichu o powrocie cesarstwa. Szczególnie teraz, gdy boją się, że nie obronimy ich przed Maurami.

– Ale ty nie.

– Jestem poetą, ale nie idiotą – wzruszył ramionami

prokurator. – Cesarstwo to nie żaden raj. Razem z cesarstwem wróciłaby stara arystokracja, wróciłyby podatki na wojsko, na to, na tamto. Wzięliby się też pewnie za arian. Po co ruszać coś, co jakoś działa bez mała od stu lat? Chyba, że ktoś woli jak uciskają go swoi, nie obcy...

– Obcy? – uśmiechnął się Beketar.

– Sam widzisz – rozłożył ręce Oktawian. – Wracam pisać nowy poemat na cześć króla Gezeryka i komesa Godagisa.

– Możesz użyć co lepszych fragmentów z tego, który napisałeś kiedyś dla króla Hilderyka i naszego Faragera – zaśmiał się kpiąco Beketar.

– Żebyś wiedział – odparł poważnie Oktawian. – A Farager, jakby kto pytał, nie jest i nigdy nie był nasz.

– Mówisz poważnie? – skrzywił się naczelnik.

– Pogadałem trochę wczoraj na uczcie z ludźmi księcia
– pokiwał głową Oktawian. – Opowiedzieli mi,

co dzieje się w Kartaginie. Aresztowania, konfiskaty, egzekucje... Chcecie się wyrzynać? Proszę bardzo. Moją rodzinę sztuki przetrwania nauczył jeszcze wasz Gezeryk.

– Nie pozbędą się ludzi, którzy znają się na swojej robocie i nie mieszają do polityki – machnął ręką Beketar.

– Tak? – popatrzył na niego z powątpiewaniem prokurator. – Będę się o to modlił co rano na mszy u Godagisa.

*

– Nie bardzo rozumiem, Godagisie – zmarszczył brwi Beketar. – Mamy śledzić naszych własnych ludzi?

– Tak, jak do tej pory. Przecież tak robicie.

Komes siedział za stołem, za którym do niedawna siadywał Farager, załatwiając urzędowe sprawy. Godagis zdążył już przemeblować pomieszczenie. Stół z fotelem znalazł się obok okna, a miejsce bliżej drzwi zajął

niewielki pulpit, przy którym pracował wiecznie ponury, milczący ksiądz. Godagis przywiózł go ze sobą jako osobistego sekretarza i teraz duchowny – niestary jeszcze człowiek o trudnej do zapamiętania twarzy i umykającym z pamięci imieniu – brał niemy udział we wszystkich spotkaniach, nie wiadomo – słuchając, notując, czy zajmując się zupełnie czym innym.

– Niezupełnie – wyjaśnił siedzący po drugiej stronie stołu Beketar, zerkając co jakiś czas na sekretarza. – Prowadzimy dochodzenia przeciw nadużyciom, ścigamy morderców...

– Beketarze... – westchnął z pewną pobłażliwością w głosie Godagis. – Chcesz mi powiedzieć, że królewscy agenci nigdy nie zajmowali się mną, Alamundem, naszym nowym królem? Teraz nie musisz ukrywać przede mną takich rzeczy.

– Nie wiem co masz na myśli, Godagisie – odparł sztywno Beketar. – Ja, ani moi ludzie, nigdy się nikim z was nie zajmowaliśmy.

– Hmm... Wybacz, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć – pokręcił głową komes. – Choć z drugiej strony, to by tłumaczyło czemu mamy Gelimera na tronie, a Hilderyka w lochu. Sam widzisz, do czego prowadzi taka nieostrożność. Musimy trzymać rękę na pulsie – oznajmił z uniesionym palcem.

– Zrozum, Godagisie... – westchnął Beketar. – Mam tu dwóch ludzi, morderstwa, przemyt, donatystów i defraudacje. Polityka to nie nasza działka⁴⁷.

– Cóż... – zmarszczył brwi komes. – Myślę, że teraz priorytety ulegną zmianie. Przemyt, a nawet heretycy są nieważni kiedy nie możemy ufać własnym ludziom.

– To ufajcie! – wypalił z irytacją Beketar.

Godagis otworzył usta zaskoczony. Przez moment trwał tak w bezruchu, po czym wybuchnął nieco sztucznym śmiechem.

– Podoba mi się twoje podejście, Beketarze – odparł z pozbawionym wesołości uśmiechem. – Na początek

proszę cię, żebyś zrobił mi spis wszystkich mieszkańców i służby z pałacu. Z jakiej okolicy i jakiej rodziny kto pochodzi, jak długo tu jest, czym się wcześniej zajmował, z kim miał na pieńku, a z kim romansował, jak często chodzi do kościoła i tym podobne drobiazgi, o których powinniśmy wiedzieć.

– Wybacz, Godagisie – spochmurniał Beketar – ale w tej sprawie muszę zasięgnąć opinii swojego przełożonego.

– Ależ oczywiście – z powagą pokiwał głową komes. – Myślę, że nowy prepozyt królestwa potraktuje tę sprawę z odpowiednią uwagą.

– Nowy? – uniósł brwi naczelnik.

– Nie otrzymałeś wiadomości? Dziwne, musiała gdzieś zginąć po drodze. Nie sądziłeś chyba, że król pozostawi na tym stanowisku kogoś, kto brał udział w zdradzieckiej polityce Hilderyka? – uśmiechnął się, jak z dobrego żartu, Godagis.

Beketar zawahał się.

- Kto został nowym prepozytem? – spytał niepewnie.
- Jeszcze nikt, ale król wkrótce wybierze kogoś godnego zaufania.
- Oczywiście – mruknął z pochmurną miną Beketar.



Już od wejścia do lochu dało się wyczuć nikłą woń jakiegoś przykrego zapachu. Beketar przekręcił klucz i pchnął ciężkie drzwi. W stęchłym jak zwykle powietrzu unosiły się tym razem zgrzytające nuty zgnilizny.

- Zdechły szczur – mruknął pod nosem, zamykając za sobą drzwi.

Jednak w głębi szerokiego korytarza odór uderzył ze zdwojoną siłą, jakby to cała kolonia szczurów postanowiła wyzdychać w tym samym czasie. Naczelnik minął puste, zakratowane cele oświetlone słabym blaskiem bijącym z wąskich okienek pod sufitem i zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami. Uchylił

judasza i od razu cofnął głowę, a ze środka, wraz ze smrodem, wyleciało parę much. Szybko odszukał właściwy klucz i otworzył wejście. Rodelinda leżała na słomie przykryta kocem, a nad nią, nad miską z jedzeniem, nad stojącym w kącie kubłem i w całym pomieszczeniu latały muchy. Wydobywający się niewiadomo skąd odór zgnilizny zatykał oddech. Beketar zasłonił dłonią nos i przyskoczył do leżącej kobiety. Była blada, ale przytomna i na widok pochylonego nad nią naczelnika podniosła się na posłaniu. Beketar pomógł jej usiąść.

– Boże! Co tu tak śmierdzi? – rozejrzał się po celi, odganiając muchy.

– Muszę wyjść – szepnęła słabym głosem Rodelinda.

– Tak, wyjdźmy stąd – pomógł jej wstać i poprowadził, trzymając pod ramię, do drzwi.

– Muszę wyjść stąd naprawdę – potrząsnęła głową, gdy znaleźli się w korytarzu. – Z tego więzienia.

– Poczekaj tu – zostawił ją opartą o ścianę, naciągnął na nos koszulę i wrócił do celi.

Po chwili wyszedł, ciągnąc za sobą ławkę, i zatrzaskał drzwi.

– Co tam znów tak śmierdzi? – powtórzył. – Usiądźmy tutaj – postawił ławkę w pobliżu jednego z okienek.

– Nie mogę tu dłużej zostać – oznajmiła zmęczonym głosem Rodelinda, siadając. – Jeśli zostanę tu dłużej, będzie jeszcze gorzej – machnęła dłonią w stronę celi.

– Co tu się dzieje? – zmarszczył brwi naczelnik. – Skąd ten smród?

– On tu był – westchnęła. – Pan Obu Rogów przyszedł do mnie. Ale on się zmienił. Nie poznaję go...

– I czego chce? – westchnął, słabo kryjąc sceptycyzm.

– Ode mnie? Ofiary. A poza tym... – zastanowiła się. – Może pamięci? Jest już silny, znów w niego wierzą, choć to ci, którzy teraz przeklinają jego imię i drżą przed nim. Ale nie ma wielu takich, których mógłby nazwać swoimi

wyznawcami. Może trzy-cztery osoby... – urwała zamyślona.

– Kto jeszcze? Powiedz mi w końcu, kto! W mieście znów giną dzieci – przypomniał z pretensją.

– Mówiłam, teraz to może być już prawie każdy – wbiła wzrok w podłogę. – Ma już taką moc. Ale potrzebuje jeszcze jednej, ostatniej ofiary.

– A jeśli nie?

– Już zatruwa to miasto – popatrzyła na niego poważnie. – Miasto, którym się kiedyś opiekował. Kiedy dostanie to czego chce, pewnie odejdzie. Już nic nie będzie go tu trzymać. Inaczej będzie coraz gorzej.

– Zasłoń twarz – polecił. – Zabieram cię na górę.

– A potem? – spytała, wstając.

– Przysięgłem cię chronić i dotrzymam słowa – odparł z powagą. – Ale nie wiem, jak długo uda mi się to tutaj, jak długo jeszcze uda mi się trzymać cię tu w tajemnicy, nim dowiedzą się o tym komes z biskupem. Wyjedziesz

z miasta. Nie! – uciszył jej protest. – Bez dyskusji! Napiszę ci list polecający do znajomych w Kartaginie i jutro rano wsadzę na statek. Jeśli będziesz chciała, mogę też dać ci list do mojego syna. Czasem zawija do stolicy. Jeśli zechcesz, może wywieźć cię z kraju.

Popatrzyła na niego smutno.

– Dobrze – kiwnęła głową. – Dziękuję ci, Beketarze. I przepraszam. Może źle cię oceniłam.

– Chodźmy. Odpoczniesz w mojej kancelarii, a ja przygotuję listy.

– Jak to, kurwa, uciekła?! – warczał pół dnia później Beketar na stojącego z ponurą miną Frodulfa.

– Nie wiem – drab bezradnie rozłożył ręce. – Nigdzie się stąd nie ruszałem – wskazał otwarte drzwi do sypialni Beketara. – A przez okno można tylko wyskoczyć łamiąc nogi pod nosem straży pałacowej.

Zabrała listy, które jej dałeś i znikła. To jakieś czary.



Jonates podmuchał jeszcze raz na skreślone atramentem litery, parę razy pomachał kartką w powietrzu i podał studiującemu jakiś zwój Beketarowi.

– Zapieczętuj i połóż obok – odparł machinalnie naczelnik.

– Nie przeczytasz? – zdziwił się sługa.

– Po co? – Beketar nie oderwał wzroku od lektury.

– Żeby wiedzieć, co się dzieje? – podsunął z sarkazmem Jonates. – Nic cię ostatnio nie interesuje, tkwisz w nosie w tych swoich papirusach, a tu dzieją się ważne rzeczy.

– Ważne? – naczelnik odłożył zwój i popatrzył na sługę.

– Powiem ci, co tu się dzieje, Jonatesie. Nowa władza nikomu nie ufa, wszędzie wietrzy spiski, sitwy i układy. Słusznie, bo zawsze są spiski, sitwy i układy, tylko te

nie są ich, więc muszą zastąpić je nowymi. Starzy dworacy nie ufają nowej władzy i boją się jej. Też słusznie, bo są pierwsi do wymiany, jeśli nie okażą się niezbędni. Wiesz, nie da się tak od razu wymieść ich wszystkich i zastąpić nowymi tak, by coś się nie zawaliło. Dlatego obie strony patrzą na siebie wilkiem i napędza się spirala wzajemnej nieufności i braku zrozumienia. A ci, co mają najwięcej do stracenia, zaczynają wyżywać się nawzajem, by zasłużyć na łaskę udziału w nowych spiskach, sitwach i układach. Komes zaś szuka niżej takich, których warto awansować, by stworzyć nową, wierną sitwę. To właśnie zawsze się dzieje, Jonatesie i nie potrzebuję czytać do tego żadnych raportów – Beketar sięgnął po zwój i na powrót zatopił się w lekturze.

Sługa patrzył na niego chwilę, westchnął i wrócił do swojego pulpitu.

– Niedługo ma przyjść Alamund – przypomniał.

– Tak – Beketar nie uniósł głowy znad tekstu. –

Trzymają już łapę na wszystkim, oprócz naszej poczty.

– Co zamierzasz?

– Póki ja tu jestem, odpowiadamy przed Kartaginą – wzruszył ramionami naczelnik. – Ale to oczywiście tylko kwestia czasu jak przyjdą nowe wytyczne. A teraz daj mi dokończyć ten tekst.

Alamund przyszedł spóźniony jakąś godzinę później. Beketar, wyraźnie spięty, polecił Jonatesowi przynieść wina i dał mu wolne, a sami zasiedli z gościem w fotelach.

– Jak się ma Swinthilda? – zagaił Beketar. – Kiedy poród?

– Jeszcze miesiąc, czy dwa – uśmiechnął się komes. – Spodziewam się syna.

– Powiedz mi, Alamundzie... – zainteresował się Beketar. – Oczywiście, jeśli chcesz. Czemu się z nią nie ożenisz? Nie jesteś już młodzieńcem, a to dobra

kobieta. Czemu dotąd się nie ożeniłeś?

– Oczywiście, że się ożeniłem – roześmiał się Alamund.
– Od ponad dwudziestu lat jestem szczęśliwym małżonkiem. Tym szczęśliwszym, że ostatni raz widziałem ją jakieś trzy lata temu.

– Nie wiedziałem – zdziwił się naczelnik.

– Nie opowiadam o tym w koło, ale też tego nie ukrywam – odparł wesoło komes. – Po paru latach przestało nam się układać. Ją męczył dwór, mnie nudziło wiejskie życie. Teraz ona zajmuje się naszymi majątkami, a ja jestem tutaj i oboje jesteśmy szczęśliwi – wyszczerzył zęby.

– Nie macie dzieci?

– Żadne nie dożyło trzech lat – rozłożył ręce Alamund.

Beketar w milczeniu pokiwał głową. Wypili po łyku wina.

– Rzadko mnie odwiedzasz, Alamundzie – podjął naczelnik.

– Mieszkasz i pracujesz na uboczu – Alamund rozejrzał się po kancelarii, zatrzymując wzrok na spękanych, odrapanych ścianach. – Nie myślałeś, żeby się przenieść do jakiejś lepszej części pałacu?

– To propozycja? – uniósł brwi Beketar.

– Mógłbym szepnąć słowo Godagisowi – uśmiechnął się Alamund. – Powinieneś mieć lepsze warunki i być bliżej komesa.

– A, o to chodzi? – odpowiedział uśmiechem naczelnik.
– Mnie tu dobrze.

– Jak uważasz, ale to nie jest właściwe miejsce dla poczty królewskiej – Alamund wskazał zawalone papierami stoły.

– Tutaj przynajmniej nikt nie próbuje zaglądać mi w tajne dokumenty – wzruszył ramionami Beketar.

– Masz na myśli tę swoją mapę, czy podejrzaną rzymską literaturę? – spytał niedbałym tonem Alamund, nie spuszczając jednak naczelnika z oczu.

– Podejrzana jest tylko dla tych, którzy nie potrafią czytać – odparł z lekką irytacją Beketar.

– Lindulf twierdzi co innego – pogładził się po brodzie Alamund.

– A! Lindulf... – skrzywił się naczelnik, kiwając głową.

– Ktoś jeszcze, oprócz biskupa, zdążył zatroszczyć się u Godagisa o moją wygodę i zbawienie?

– Powiedzmy, że parę osób – uśmiechnął się komes.

– Rozumiem... – skrzywił się Beketar. – Wyjaśnijmy więc sobie od razu, Alamundzie... Niezależnie od troski Godagisa... i paru osób, nikt tu nie będzie grzebał bez glejtu z Kartaginy. Nie sądzę też, by król był zachwycony, gdyby ktoś spróbował przejąć jego pocztę siłą.

– Może król sam chciałby w końcu przejąć swoją pocztę, Beketarze? – spytał wciąż uśmiechnięty komes.

– Czekam tylko na jego rozkaz, Alamundzie – spochmurniał naczelnik.

– Nie masz wycucia chwili, Beketarze – westchnął komes. – To może kosztować – popatrzył na niego z troską.

– Liczę, że król doceni moją lojalność – odparł z zaciętą miną Beketar.

– Licz sobie; twoja sprawa – wzruszył ramionami komes.

– Po co wam to, Almundzie? – pokręcił głową Beketar.
– Przecież macie już władzę, tytuły...

– Czy ty aby na pewno czytasz własne dokumenty? – uniósł brwi Almund. – Przeglądasz wasze archiwa?

– Rządzicie tu – ty, Godagis – zatoczył dookoła ręką naczelnik. – Po co wam jeszcze te papiery? To w większości stare sprawy.

– Beketarze... – pokręcił głową Almund. – Chciwość i strach, strach i chciwość. To rządzi dworem. A ty trzymasz tu, w swoich papierach, strachy i żądze połowy okręgu.

– Nie widzę tego w ten sposób, Alamundzie – mruknął Beketar.

– Wiem – uśmiechnął się Alamund. – Ale zapamiętaj – strach i chciwość. Z przewagą strachu by nie stracić tego, co się zagarnęło z chciwości. Owszem, czasem zagra coś innego – miłość, nienawiść, lenistwo, złośliwość – lecz to tylko drobne prądy w głównym nurcie dworskiego życia – machnął ręką – którym powodują chciwość i strach. Kto wprawnie trzyma te dwa końce lejców, dojedzie wszędzie.

– Czemu mi o tym wszystkim mówisz, Alamundzie? – zmarszczył brwi Beketar.

– Bo wiem, że nigdy z tego nie skorzystasz.

– Brzydzi mnie to – skrzywił się naczelnik.

– Właśnie – uśmiechnął się Alamund. – Dlatego ty pozostaniesz w najlepszym razie naczelnikiem na prowincji, a ja będę robił karierę na królewskim dworze.

– Wydaje ci się, że byłbyś dobrym wodzem, Alamundzie? – spytał z powątpiewaniem Beketar.

– Oczywiście! – roześmiał się komes. – Choć nasz Godagis też daje radę.

– Królem może? – pociągnął dalej Beketar.

– Ciii... Nie mów głośno takich rzeczy – Alamund odruchowo rozejrzał się na boki.

– Ale mógłbyś, prawda? – ściszył głos Beketar.

– Nie urodziłem się w królewskim rodzie, więc nie ma tematu – nachylił się ku niemu Alamund. – Ale jeśli pytasz, czy to trudne być królem, czy potrafiłbym... Tak, to trudne. Tak, potrafiłbym.

– Ha! Czy twoja ambicja nie ma granic, Alamundzie? – parsknął naczelnik.

– Nie byłbym tu gdzie jestem, gdyby miała – wyszczerzył zęby Alamund. – Zresztą, możesz udawać filozofa, Beketarze, ale nie powiesz mi, że to cię nie kusi – władza, pieniądze, kobiety.

Naczelnik zastanowił się moment nad odpowiedzią.

– Tak – przyznał w końcu. – Choć w innym zestawie – wino, kobiety i filozofia. Znam swoje możliwości, Alamundzie.

– Dlatego nigdy ich nie przekroczysz – pobłażliwie pokiwał głową komes.

– Może za to parę osób mniej nazwie mnie sukinsynem, niż ciebie – zacisnął wargi Beketar.

– Ha-ha! Mam gdzieś "parę osób" – prychnął Alamund.
– Mogą nienawidzić, byleby się bali – to chyba jeden z twoich filozofów?

– Niezupełnie.

– Nieważne – machnął ręką komes. – Ja wiem, na czym polega twój problem, Beketarze. Ty po prostu uważasz się za lepszego od nas. Mądrzejszego, uczciwszego, bardziej honorowego i tak dalej. I gdzieś tam w głębi pogardzasz nami – niepiśmiennymi,

rzadnymi władzy, chciwymi złota. Ale koniec końców, to ja będę chciwym, nieokrzesanym wodzem, a ty będziesz mądrzejszym i uczciwszym żebrakiem – postukał go palcem w pierś. – Tak to wygląda.

– Zapominasz o jednym, Alamundzie – zasępił się Beketar, odsuwając jego rękę.

– Tak?

– Lepiej być królem wśród żebraków, niż żebrakiem wśród królów – oświadczył pochmurnie Beketar.

– To też któryś z tych twoich Greków? – zainteresował się Alamund.

– Nie pamiętam – wzruszył ramionami naczelnik. – Może sam to wymyśliłem.

– Hmm... Może gdzieś tam masz rację, Beketarze, ale i żebrania, i królowania najlepiej uczyć się przy tronie. A kiedyś... Kto wie?

*

– Idź, zobacz, kto to – poleciła Brunfrida służącej, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Dziewczyna posłusznie poszła otworzyć. Przez chwilę rozmawiała cicho z kimś na korytarzu, po czym odwróciła się do Brunfridy z niepewną miną.

– Pani... – zawahał się. – Czy zechciałabyś podejść?

Brunfrida spojrzała na nią zdziwiona, ale wstała bez słowa od stołu. Wyjrzała na zewnątrz i otworzyła usta ze zdumienia.

– Rodelinda? – opanowała się szybko.

– Witaj, matko – z powagą skinęła jej głową dziewczyna. – Mogę wejść?

– Wejdz – zgodziła się krótko Brunfrida, robiąc przejście. – A ty zostaw nas same – wyprosiła służącą i zamknęła za nią drzwi.

Rodelinda rozejrzała się po pokoju. Nie wydawała się speszona, ani zakłopotana.

– Niewiele się zmieniło – orzekła. – Jak się wabi? –

wskazała psa, który leniwie uniósł głowę z łóżka.

– Tak samo jak stary. Tunar – Brunfrida podeszła do stołu i naląła wina do kubków. – Źle wyglądasz. Co się stało? – podała jeden córce, przypatrując się jej bacznie.

Rodelinda przyjęła wino, lecz nie wypila.

– Wyjeżdżam – oświadczyła, wciąż stojąc na środku pokoju. – Jutro. Nie mogę powiedzieć dlaczego, ani dokąd. Nie wiem kiedy wrócę, ani czy w ogóle wrócę. Mówię ci, żebyś wiedziała i mnie nie szukała.

Brunfrida bez słowa podstawiała jej krzesło przy stole i usiadła przy drugim. Dziewczyna po chwili wahania zajęła miejsce obok.

– Będę potrzebowała pieniędzy – oznajmiła. – Teraz. Nie mam czasu prosić Hadamira.

– W co ty się wpakowałaś, córuś? – westchnęła Brunfrida. – Nie przyszlabyś do mnie, gdyby to nie była sprawa życia i śmierci.

– Tak jest – potwierdziła poważnie Rodelinda. – O nic cię nie prosiłam. Teraz proszę – daj mi pieniądze i nie zadawaj pytań. Tak będzie bezpieczniej.

Brunfrida popatrzyła jej w oczy.

– Poczekaj – poprosiła.

Wyszła do drugiego pokoju i po dłuższej chwili wróciła z okazałym, pękatym mieszkim.

– Proszę – położyła go z brzękiem przed córką i usiadła z powrotem.

– Dziękuję – Rodelinda schowała sakiewkę i sięgnęła po wino.

Przez chwilę piły w milczeniu.

– Czy to ma coś wspólnego z tym otruciem biskupa? – przerwała ciszę Brunfrida.

Rodelinda tylko potrząsnęła głową.

– Mogę ci jeszcze jakoś pomóc? – spytała z troską matka. – Źle wyglądasz.

– Tak, wiem – westchnęła Rodelinda. – Mam już wszystko, dziękuję. Ale... mogę dziś tu przenocować?

– Przenocować? – zdziwiła się Brunfrida. – Oczywiście.

– Dziękuję. Będę musiała wyjść przed świtem, żeby zdążyć na statek. Nie będę cię budzić.

Brunfrida dołała im wina.

– Ten twój Beketar... – podjęła tym razem Rodelinda.

– Nie jest mój! – zaprotestowała Brunfrida.

– Tym lepiej – ni to kiwnęła, ni pokręciła głową dziewczyna. – Spieprzyłabyś to tak samo jak z ojcem, a to w sumie porządny człowiek.

– To już jego problem – skrzywiła się Brunfrida. – A ty skąd go tak znasz? Myślałam, że nie znosisz każdego, kto mieszka w pałacu.

– Miałam kłopoty, a on próbował mi pomóc – wyjaśniła Rodelinda.

– Mogłaś przyjść do mnie. Jestem twoją matką.

– Niestety, trudno o tym zapomnieć – westchnęła dziewczyna. – Zresztą, przyszedłam – zauważyła.

– Głupia gówniara – uśmiechnęła się wyrozumiale Brunfrida.

– To moje życie. Nie zamierzam za nic cię przeproszać – wzruszyła ramionami Rodelinda.

– Rozczarowałbyś mnie, gdybyś to zrobiła – odparła z uśmiechem matka.

Podniosła się krzesła, podeszła do córki, położyła dłoń na jej ramieniu i pogłaskała ją po głowie.

– Ja też nie będę cię za nic przeproszać.

Rodelinda zawahała się moment, po czym przytuliła głowę do matki.

✱

– Beketarze! – obudziło go walenie do drzwi.

Na dworze było wciąż ciemno, niebo na wschodzie nie zaczęło jeszcze blednąć. Razem z chłodnym powietrzem, przez okno dochodziły odgłosy jakiegoś zamieszania – tupot nóg, skrzypienie drzwi, nawoływania.

– Już, idę! – zawołał, zbierając się z łóżka. – Jonatesie – szturchnął leżącego na podłodze sługę.

Ten chrapnął głośno i usiadł gwałtownie, rozglądając się nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Beketar wziął ze stołu palący się słabym płomykiem kaganek i, nie czekając na Jonatesa, poszedł otworzyć drzwi. Do środka wpadli Bilbert i Frodulf.

– Ktoś porwał małą Guiliarunę! – wysapał Bilbert.

– Kogo? – przetaił oczy Beketar.

– Córkę Godagisa! – wyjaśnił Frodulf. – Zgadnij, co znaleźliśmy na ścianie.

– Kurwa! – zaklął naczelnik. – Poczekajcie, zaraz się ubiorę. Jonatesie, zapal tu więcej światła!

Po chwili szli szybkim krokiem pałacowymi korytarzami, mijając biegających służących, domowników, strażników. Gdy dotarli do komnat rodziny komesa, przed drzwiami klębiło się już małe zbiegowisko. W środku przywitały ich ponure miny Godagisa i Alamunda oraz roztrzęsiona komesowa Emnilda. Po chwili pojawiła się też zaspana i wyraźnie nieswoja Brunfrida, a chwilę później ziewający Theuderyk. Bektar kazał swoim ludziom zostać na miejscu, gdy Godagis bez słowa poprowadził pozostałych do pokoju obok i wskazał ścianę, na której ktoś paroma ruchami pędzla wymalował biały trójkąt z dwiema spiralami na podobieństwo rogatej głowy. Obok, na pustym dziecięcym łóżku siedziała zapłakana siostrzenica komesa, Ermintruda. Beketar przyjrzał się rysunkowi. Tym razem ktoś domalował jeszcze szybkimi maźnięciami oczy złożone z mniejszych kólek, trochę jak u ważki albo muchy.

– Przyszłam zobaczyć czy dobrze śpi... –

poinformowała drżącym głosem Emnilda, przysiadając na łóżku obok Ermintrudy.

– Domyślam się, że nikt niczego nie widział, ani nie słyszał? – mruknął Beketar.

– Nikt – potwierdził posepnie Godagis.

– Straże?

– Stały tylko pod głównymi drzwiami. Pod oknami chodziły patrole.

Beketar w zamyśleniu rozejrzał się po pokoju. Nikt nie przerywał ciszy.

– Dziwne... – podrapał się po brodzie naczelnik. – Dotąd ginęły głównie niemowlęta i malutkie dzieci. W jakim wieku jest twoja córka, Godagisie?

– Pięć lat. Nie spodziewaliśmy się już dzieci, ale Bóg pobłogosławił jak Abrahamowi i Sarze – komes podszedł do żony i położył jej dłoń na ramieniu.

– Ktoś musiał ją czymś odurzyć – zauważyła, jakby zastanawiając się nad czymś, Brunfrida. – Pamiętam,

nie tak łatwo wyprowadzić gdzieś po cichu pięciolatkę, która tego nie chce. Może podano jej coś przed snem?

– Jadła to, co my – uniosła głowę Emnilda. – Truda położyła ją spać i potem nikt tu nie wchodził. Zresztą, mamy tu tylko naszą rodzinną służbę.

Ermintruda zaniósła się szlochem.

– Myślę, że Brunfrida ma rację – westchnął Beketar. – Mogli podać jej coś przez sen. Zakładam, że to mogły być dwie osoby – wyjaśnił. – Nawet ze śpiącą pięciolatką nie jest łatwo przekraść się między strażnikami.

– Przyprowadźmy psy... – ziewnął potężnie Theuderyk. – Przepraszam... Przyprowadźmy psy, póki trop jest świeży.

– Słusznie – kiwnął głową Godagis. – Zajmij się tym proszę, Theuderyku. Weź ze sobą dziesięciu... nie, piętnastu strażników.

Tysięcznik wyszedł, ziewając.

– Przesłuchamy służbę z pałacu i straż – zarządził

opanowanym głosem Godagis.

– Sprawdziliśmy każdego po otruciu Martyniana – przypomniał Beketar.

– Katolickiego biskupa? Sądzę, że wówczas powiązania ze zwolennikami obalonego Hilderyka uznawaliście za zaletę – skrzywił się Godagis.

– Sugerujesz, że to sprawa polityczna? – zmarszczył brwi Beketar. – To nie pierwszy taki przypadek w mieście.

– Sam powiedziałeś, że dotąd ginęły młodsze dzieci – wytknął Godagis. – To może być tylko dla zmylenia tropu – wskazał rysunek na ścianie.

– Może tak być, Godagisie – wtrącił się milczący dotąd Alamund. – Ale wtedy możemy spodziewać się, że porywacze skontaktują się z nami i przedstawią jakieś żądania. Co jednak, jeśli to nie jest zmyłka? Proponuję, żebyśmy we dwóch przesłuchali, jak proponujesz, służbę i straż, która była w pobliżu. A tymczasem Beketar

ze swoimi ludźmi pomoże Theuderykowi i podjęcie poszukiwania, gdyby psy zgubiły trop. Poślijmy też po Lindulfa. Nasz biskup zawsze miał dużo do powiedzenia na temat tych znaków. Reszta – popatrzyl na Brunfridę – może iść spać.

– Tak zrobmy – kiwnął głową Godagis.

– Znajdziemy ją – oświadczył Beketar, starając się zabrzmieć pewnie.

Skinął zgromadzonym głową i ruszył do wyjścia.

– Beketarze... – zatrzymała go, wstając, Emnilda.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Znajdź ją, Beketarze – podeszła i chwyciła go za ramię. – Znajdź moją córkę.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Emnildo – zapewnił, rzucając wzrokiem na pozostałych.

Patrzyli w milczeniu.

– Jeśli... – ściszyła głos tak, by nikt więcej nie usłyszał. –

Jeśli ją znajdziesz, zapomnę o tym co było, zapomnę o Kartaginie.

– Emnildo... – westchnął cicho.

– Idź. Znajdź ją, proszę – odparła głośno, puszczając jego rękę.

Po wyjściu Beketar przywołał Bilberta i Frodulfa.

– Idziemy w miasto. Za chwilę będą tu psy. Macie niecały kwadrans, jeśli czegoś jeszcze wam potrzeba. Płaszcze, kaptury, te sprawy.

– Zawsze gotowi, szefie – uśmiechnął się Bilbert.

– Świetnie, ja natomiast muszę się przebrać. Zaczekajcie tu na mnie. Tylko jeszcze coś załatwię – dodał, widząc wychodzącą Brunfridę.

– Brunfrido... poczekaj – poprosił zdecydowanym tonem, podchodząc.

Spojrzała na niego pytająco.

– Czy widziałas się ostatnio ze swoją córką? – spytał

cicho poważnym głosem.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, ważąc odpowiedź.

– Czy to ma coś wspólnego z tą sprawą? – spytała w końcu.

– Ma – odparł krótko.

– Nie chcę, by była w to zamieszana. Ani ja – oświadczyła, nie doczekawszy się dalszej odpowiedzi.

– Myślę, że ty nie będziesz – mruknął.

– Ale gwarancji mi nie dasz – pokiwała głową.

– Frido... – westchnął. – Krótko. Widziałas ostatnio Rodelinę, czy nie widziałas? Tylko tyle. Nie ma czasu, jeśli chcemy uratować tą małą.

– Widziałam – odparła z nieprzeniknioną miną. – Była u mnie w nocy.

– Dziękuję.

– Mówię to dla tego dziecka, nie dla ciebie –

odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Cholera! Miałem nadzieję, że już o niej nie usłyszę – mruknął Beketar, wkładając w pośpiechu stare, powycierane ubranie. – Że skorzysta z moich listów i zniknie.

– Eeee... Tahar syn Mammara, znaczy się? – podrapał się po łysinie Jonates.

– Tak, właśnie on.

– Trochę z nim rozmawiałem, gdy zanosilem jedzenie i wodę – poinformował sługa. – Inteligentny... młody człowiek, ale trochę dziwny.

– Powiedziałbym, że cholernie dziwny – Beketar zapiął płaszcz. – I kurewsko niebezpieczny.

– Tak. Ale Jonates też sroce spod ogona nie wypadł. Potrafię słuchać i dodać dwa do dwóch...

– To wspaniale, Jonatesie, ale muszę już biec – Beketar odłożył miecz i chwycił długi saks w prostej pochwie.

– Chciałem powiedzieć, że chyba wiem, gdzie jej szukać.



Psy straciły trop na przedmieściach, wśród ruder na skraju wysypiska śmieci pod resztkami starego muru obronnego.

– I tak dziwne, że dały radę dojść aż tutaj – mruknął Frodulf spod przyciśniętego do twarzy skraju płaszcza.

Wszyscy zakryli nosy i usta jakimikolwiek bądź kawałkami materiału, by wytrzymać straszny smród bijący od śmietniska. Krzywe szopy oparte o mur i siebie nawzajem jak banda kalekich żebraków wydawały się puste. Odór musiał wygnać mieszkańców, bo zwykle takie dzielnice pełne były psów, brudnych dzieci i kobiet o nieufnych, zniszczonych twarzach za dnia, a pijaków

i bandytów nocą. W chybotliwym świetle pochodni wydawało się, jakby nawet szczury dały za wygraną i wyniosły się w inne rejony. Niebo na wschodzie zaczęło powoli szarzeć, a nad śmietniskiem wisiała smrodliwa cisza przerywana tylko co chwila zduszonymi przekleństwami ludzi z pałacu.

– Co teraz, Beketarze? – podrapał się po głowie Theuderyk. – Chyba nie będziemy tam wchodzić?

– Chyba, psiaakrew, będziemy – zaklął naczelnik. – Moje... źródła twierdzą, że to może być gdzieś tutaj – rzucił okiem na Jonatesa, który dyskretnie kiwnął głową. – Powinniśmy szukać w pobliżu krzaków.

Theuderyk odwrócił się w stronę wysypiska. W ciemności wydawało się, że prawie całe zarośnięte jest kępami chaszczy.

– A nie masz jakichś dokładniejszych źródeł, Beketarze?
– mruknął. – Miecze nam pordzewieją od tego smrodu.
– Przykro mi – rozłożył ręce naczelnik.

Posłali do pałacu po wsparcie, rozstawili strażę i po chwili, dusząc się, brodzili po kostki w zgniłych szmatach, pożółkłych kościach, starych odchodach i wszystkim tym, czego nawet mieszkańcy ruder nie zdołali zjeść, wykorzystać lub spalić.

– Nim uciekła, bredziła coś o jakiejś ostatniej ofierze. Ale nie sądziłem... – Beketar kopnął leżący rozbity garnek.

– Byłoby lepiej, gdyby chciała zabić jakieś inne dziecko?
– zakrztusił się Jonates.

– Wiesz, cholera, że nie – splunął Beketar. – I wiesz, cholera, że tak. Psiakrew...! Musiała wiedzieć, że tym razem ruszy za nią wielki pościg.

– Może wierzy, że jej bóg ją ocali – rozłożył ręce Jonates.
– Albo o to nie dba. Zrobi swoje i pryśnie jak zawsze – mruknął naczelnik.

Dalsze dywagacje przerwał okrzyk od pobliskiej kupy śmieci. Jeden ze strażników chyba coś znalazł

i machał teraz pochodnią, wzywając pozostałych. Gdy podeszli wraz z innymi, ślizgając się i potykając się wśród odpadków, zobaczyli w świetle pochodni stary, brudny koc wyglądający z daleka jak kolejna część wysypiska.

– Posłuchajcie – strażnik przyłożył palec do zakrywającego usta płaszcza.

Zamilkli w bezruchu, tylko ognie pochodni drgały i skwierczały w ciemnej ciszy. Po paru uderzeniach serca usłyszeli powolny, stłumiony rytm. Bum-bum - BUM - Bum-bum - BUM... Bębny w ciemnościach. A gdzieś na granicy słyszalności wijący się niespokojnie jęk piszczałek. Strażnik uniósł ręką gruby koc, odsłaniając niewielki, ciemny otwór biegnący w głąb hałdy. Muzyka stała się na moment wyraźniejsza, by urwać się po chwili w pół taktu.

– Bilbert, Frodulf... – Beketar przywołał swoich ludzi. – Theuderyku... – wskazał otwór tysięcznikowi, który właśnie dotarł, otrzepując nogawki z brudów.

– Wygląda jak lisia nora – zerknął w ciemne przejście Theuderyk. – Chcesz się tam wcisnąć?

– Tak i ty też. Weźmiemy Bilberta, Frodulfa i paru strażników. Ty, ty... i ty – wskazał trzech najbliższych. – Reszta obstawia teren i czeka na sygnał.

Theuderyk westchnął i zacisnął pas o parę dziurek. Beketar wsunął do otworu pochodnię razem z głową. Ujrzał wykuty w skale wąski korytarz, który po paru krokach opadał stromymi stopniami w ciemność. Przecisnął się do środka i zrobił miejsce dla Frodulfa, którego musiał pociągnąć za rękę, by wielki agent przedostał się przez otwór. Theuderyka musiał jeszcze popchnąć ktoś z zewnątrz. Beketar, nie czekając aż wszyscy wejdą do środka, wysunął przed siebie pochodnię, wyjął saks i ruszył w dół kamiennymi schodami. Reszta podążyła gęsiego za nim. Biegący w dół korytarz okazał się zaskakująco krótki, o wiele krótszy niż sugerowała odległa muzyka. Po pięciu-siedmiu metrach schody skończyły się w starej, skalnej

cysternie. Wysoko sklezione pomieszczenie wydawało się wąskie, w rzeczywistości było jednak spore, a w ścianach ziały otwory jakichś nisz, czy może kolejnych przejść. W środku zdawało się być pusto, a zatęchłe powietrze śmierdziało, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

– Zaczyna mi się kręcić w głowie od tego smrodu – jęknął Theuderyk.

– Tam! – Bilbert podszedł do wystającego z jednego z otworów białego kształtu.

Uklęknął, opierając pochodnię o ścianę, i ostrożnie wyjął coś wyglądającego na przykryte jasnym całunem niewielkie ciało. Delikatnie ściągnął wielką dłonią materiał z małej głowy. Pызata dziewczynka z jasnymi lokami miała zamknięte oczy.

– To ona! – przyłożył ucho do jej twarzy. – Żyje! – oznajmił, wstając z dzieckiem w ramionach.

– Wspaniale! – ucieszył się Theuderyk. – Wynieśmy ją

stąd, nim się podusimy.

– Nie podoba mi się to – mruknął Beketar. – Coś za łatwo nam idzie – uniósł pochodnię i zaczął badać pomieszczenie. – Ktoś ją tu niedawno przyniósł. I gdzie są ci piekielni muzykanci?

– Tfu... Wypluj to słowo – skrzywił się Theuderyk. – Mieliśmy ją znaleźć i, dzięki Bogu, jest cała – ostrożnie przejął dziewczynkę od Bilberta. – Pędzę do pałacu, doktor Hortencjusz musi ją zobaczyć. Ale zostawię ci połowę straży, jeśli chcesz złapać tych drani.

Beketar kiwnął tylko głową.

– Tędy – wskazał ukryte w jednej z nisz wąskie schodki w górę i wcisnął się w otwór.

Stromy, niedbale wykuty szyb kończył się w krzakach po drugiej stronie zniszczonych murów miejskich, nieopodal przyklejonego do ściany małego kościółka. Dalej rozciągała się luźna platanina pojedynczych szop, komórek i wszelkiej maści ruder.

Beketar rzucił pochodnię na schody i wydobył się na powierzchnię, starając się osłaniać głowę na wypadek gdyby ktoś zaczął się na górze. Zasadzki nie było, ale w szarości przedświtu dostrzegł przemykającą wzdłuż muru zakapturzoną sylwetkę.

– Stój! Służba królewska! – krzyknął głośno, by usłyszano go po drugiej stronie zwałonego muru.

Postać w kapturze obejrzała się tylko i zwinnym ruchem wskoczyła na resztkę umocnień. Beketar ruszył biegiem, podczas gdy z dziury już gramolił się Frodulf. Naczelnik szybko doskoczył do wyrwy w murze, ale ścigany zniknął już gdzieś po drugiej stronie. Od wysypiska rozległy się okrzyki i szczekanie psów. Beketar złapał za pokruszone kamienie i podciągnął się w górę. Jakiś okruch odłamał mu się pod butem, stara zaprawa sypnęła się z góry, ale po chwili znalazł się dwa metry wyżej w szerokiej szczelbie. Po drugiej stronie rozsypana po wysypisku straż powoli osaczała ze wszystkich stron przykucniętą wśród śmieci

zakapturzoną postać. Beketar opuścił się na rękach i ostrożnie zeskoczył na śmietnisko. Odwrócił się... i świat eksplodował tonami starych odpadków. Huknął grzmot i wielki podmuch wyniósł w górę kości, szmaty, skorupy, szczury, niszcząc pobliskie rudery i obalając ludzi na ziemię. Minęła chwila, nim Beketar z wysiłkiem podniósł się spod muru. Pośrodku małego krateru wśród śmieci stała kobieta w kapturze – rozchylony płaszcz odsłonił lekką suknię i długie, jasne włosy – a obok niej...

Był jak wielka, człekopodobna mucha z baraniami rogami. Ogromne, fasetowe oczy, pomiędzy którymi zwisało coś na kształt trąby i drgające na plecach musze skrzydła – gigantyczne, lecz wciąż nieproporcjonalnie małe w stosunku do zwalistego, pokrytego czarną szczecina cielska na chudych odnóżach z wielkim, niekształtnym członkiem pośrodku. Stwór jarzył się zielonkawym blaskiem, pochylając się nad kobietą. Beketar patrzył jak zahipnotyzowany, podczas gdy stworzenie wydawało się rozmawiać z zakapturzoną

kapłanką. Rozejrzał się, ale wybuch zmiotł wszystkich dokoła. Zdawało się, że w półmroku widać leżące ciała, jednak trudno było stwierdzić, czy ktokolwiek się rusza. Naraz stwór wyprostował się, uniósł łeb i wydał ryk na podobieństwo rozwścieczonego byka. Beketar przeżegnał się odruchowo. Potworna głowa zwróciła się w jego stronę i zakołysała na boki. Naczelnik zamarł w bezruchu. Kobieta uklękła i nagle jakby cały świat zastygł w smole czasu.

Być może trwało to moment, lecz moment rozciągnięty do granic możliwości, nim gdzieś zza muru powiał ciepły wiatr. Rozżarzony pomarańczowo podmuch o posmaku metalu. Beketar uniósł ciężką jak kamień rękę i przeżegnał się jeszcze raz.

– Szemal... – szepnął bezgłośnie.

Płynąca zza muru fala żaru uniosła pobliskie śmieci jak niewidzialna toń wody. Beketar z wielkim wysiłkiem odpętlł niezgrabnie kawałek w bok, nim nogi odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na kolana. Bijący

przez wyrwę gorący blask wzmógł się i zza muru wypłynęła jaśniejąca, skrzydlata postać z ognistym mieczem w dłoni. Śmieci dokoła niej zaczęły się tlić, po czym strzeliły dymiącymi czarno płomykami.

– Baal Hammon... – Beketar usłyszał cichy głos ni to pieśni, ni szeptu kobiety w kapturze. – Baal Hammon... – A stojący obok niej stwór ryknął raz jeszcze i obscenicznie zamachał czarnym fallusem.

Anioł w milczeniu uniósł miecz i powoli popłynął w stronę koszmarnej zjawy.

– Jeden jest Bóg wszystkiego, który jest również Bogiem Boga naszego, Syna swojego, któremu poddany jest Duch Święty, oświecająca i uświęcająca moc⁴⁸ – wyrecytował mechanicznie słabym głosem Beketar i upadł na ziemię.

Beketar jęknął. Ktoś ostrożnie odwrócił go na plecy.

– Żyjesz? – usłyszał głos Jonatesa.

Z trudem otworzył oczy. Było już widno, a sługa

pochylał się nad nim z zatroskaną miną. Sam miał na twarzy trochę zadrapań i sadzy. Obok przykucnęli Bilbert z Frodulfem.

– Co się stało? – jęknął naczelnik, starając się usiąść.

– To chyba te opary – pomógł mu podnieść się Jonates.

– Wybuchły jak wtedy, gdy ktoś przypadkiem wysadził kloakę pod pałacem i trzeba było tydzień szorować ściany.

– Opary... – powtórzył Beketar, rozglądając się półprzytomnym wzrokiem dokoła. – A Theuderyk, dziecko...? – zaniepokoił się.

– Byli jeszcze pod ziemią – uspokoił go Jonates. – Teraz są już pewnie w pałacu.

– No, daj na mszę, szefie – pokręcił głową Frodulf. – Pierdolnęło, że mur się zatrzęsł. Normalnie zdmuchnęło mnie w krzaki.

– Jebnęło lepiej jak piorun – potwierdził Bilbert.

– A ten potwór? – Beketar niespokojnie przebiegł

wzrokiem po wypalonym śmietniku.

– Potwór? – popatrzył na niego z niepokojem Jonates. – Jaki potwór?

– Eee... No, znaczy... porywacz – poprawił się Beketar, widząc zdziwione miny.

– Był w samym środku – skrzywił się Jonates. – Chyba niewiele z niego zostało.

– Pomóżcie mi wstać – poprosił naczelnik.

Syknął, gdy okazało się, że pod nadpalonym ubraniem są oparzenia, ale z pewnym wysiłkiem utrzymał się na nogach. Rozejrzał się dokoła. Śmieci tliły się jeszcze w wielu miejscach, całe wysypisko okrywały snujące się przy ziemi smugi dymu. Ludzie pomagali sobie nawzajem pozbierać się z ziemi i wydostać na bezpieczny teren. W pewnej odległości, odpędzany przez paru strażników, zgromadził się tłum mieszkańców, przez który od strony pałacu przedzierał się już duży oddział wojska. Beketar spojrzał

na miejsce, w którym stali kobieta z potworem. Na dnie płytkiego krateru zebrał się dym, ale na jego krawędzi dało się dostrzec leżące ciało. Naczelnik bez słowa dał swoim ludziom znak by zostali i pokuśtykał w tamtą stronę.

Nie dało się rozpoznać, do kogo należały zwęglone szczątki. Po poczerniałym mięsie spacerowały chmary tłustych much, podlatując tu i tam z monotonnym buczeniem, odslaniając raz resztki zaciśniętych pięści, raz wyszczerzone w drapieżnym uśmiechu, pozbawione spalonych warg zęby. Beketar odpiął swój nadpalony płaszcz, podszedł bliżej i zamachał, by przegnać owady. Odskoczył gdy wielki rój much gniewnie wzbił się w powietrze, przysłaniając niebo. Owady kotłowały się w powietrzu, jakby chciały go obsiąść. Machnął płaszczem na prawo i lewo. Rój zajęczał, uniósł się, rozrósł i przez mgnienie oka Beketarowi wydało się, że dostrzega w nim rysy kobiecej twarzy. A potem muchy rozdzieliły się na wiele

mniejszych rojów i odleciały gdzieś za mur, za miasto, w stronę gór.

– Czy to był prawdziwy plan? – westchnął naczelnik. – Ostatnia ofiara?

Pochylił się i narzucił płaszcz na spalone szczątki.

– Którą z was byłaś? – mruknął. – Rodelinda? Augusta? Fenana?

Naraz kątem oka zobaczył coś pośród śmieci. Przyklęknął. Na palcu wystającej spod koca spalonej dłoni tkwił jego węzowy pierścień. Metal wydawał się lekko rozżarzony jak węgle dogasającego ogniska, przez co wąż zdawał się delikatnie poruszać po poczerniałym palcu. Beketar chwycił pierścień ostrożnie przez skraj płaszcza i ściągnął ze zwęglonej dłoni. Wąż przygasł i wyblakł, ciepły jeszcze, lecz nie gorący.



– Czy to koniec, Beketarze?

– Tak. Myślę, że tak, Jonatesie. Zniknęły też wszystkie muchy z miasta.

Siedzieli w fotelach kancelarii, sącząc schłodzone wino. Dochodziło południe, doktor Hortencjusz właśnie wyszedł po opatrzeniu nielicznych i niegroźnych, jak się okazało, ran i oparzeń.

– Myślisz, że to była Rodelinda? Nie powiedziałeś Brunfridzie? – popatrzył na niego sługa.

– Czego? – spochmurniał naczelnik. – Że znaleźliśmy jakieś niemożliwe do zidentyfikowania ciało? Powiedziałem jej prawdę. Że Rodelinda wpakowała się w jakąś aferę polityczną i poprosiła mnie o pomoc. Że napisałem jej list polecające i poradziłem zniknąć z miasta. Że zniknęła i nie mam pojęcia, co się z nią teraz dzieje. I nie waż się mówić czegoś innego.

– Przecież powiedziałeś jej prawdę – wzruszył ramionami Jonates. – A co z tą Augustą? I z Fenaną?

– Nie sądzę, żebyśmy je kiedyś jeszcze zobaczyli –

westchnął Beketar.

– To co teraz? – sługa popatrzył na pełne papierów stoły.

– Przyjmiemy zasłużone podziękowania od Godagisa, wrócimy spokojnie do swojej pracy, poczekamy na nowe wytyczne z Kartaginy i wszystko znów jakoś się ułoży – rozpogodził się Beketar. – Żadnych diabłów, aniołów, upadłych bogów. Tylko korupcja, morderstwa, banicje, cisza i spokój

– Zanudzimy się na śmierć – westchnął z uśmiechem Jonates.

– Może przeproszę się z Brunfridą? – zastanowił się Beketar. – Poślę jej dobre wino.

– Żadnych diabłów! – przypomniał z uniesionym palcem Jonates.

Beketar roześmiał się rozbawiony.

*

Białe miasteczko – niemalże wioska, szczycąca się jednak małym łukiem ku czci cesarza Konstantyna, starożytną kolumną ku czci niewiadomo kogo i niewielkimi, walącymi się termami publicznymi – rozłożyło się u podnóża gór niedaleko traktu z Hippony do Kalamy. Beketar w towarzystwie śniadego, siwego mężczyzny w staroświeckiej todze zatrzymał się przed małym kościółkiem. Obok stała niewiele mniejsza szopa, przy której zebrała się grupa kilkunastu osób różnej płci i wieku, ściskających w rękach owoce, warzywa lub kawałki chleba.

– To tam, wasza dostojność – wskazał szopę Rzymianin. – Ksiądz pewnie jest w środku.

Ruszyli w stronę uchylonych, szerokich drzwi. Ludzie, jak zauważył Beketar, w większości starsze, ubogo odziane kobiety, rozstąpili się, obserwując ich nieufnie. Rzymianin otworzył drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie i uderzył w nich zatęchły zapach obory. Weszli do środka. Przez szpary w deskach wpadało dość

światła, by oczy nie musiały przyzwyczajać się do półmroku. Szopa była pusta, cały gnój zgarnięto pod ścianę, tylko na środku, za drewnianą przegrodą, stała wychudzona koza, przy której krzątał się drobny mężczyzna w przybrudzonej tunice. Na widok gości wytarł ręce w ubranie i przeskoczył zza ogrodzenia.

– Witam, witam, wasze dostojności – uśmiechnął się niekompletnym uzębieniem pod czerwonym nosem zdradzającym skłonność do nadużywania wina.

– Pochwalony, Majorianusie – kiwnął głową Rzymianin. – To właśnie nasz ksiądz Majorianus – wyjaśnił naczelnikowi. – A to nasz gość z Hippony, jego dostojność Beketar.

– Pochwalony – skinął głową naczelnik, rozglądając się po szopie. – To jest ta gadająca koza?

– Na wieki wieków. Tak, wasza dostojność, w rzeczy samej – potwierdził z dumą ksiądz.

Beketar przyjrzał się zwierzęciu. Odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem zajęta przeżuwaniami jakichś pędów. Podniósł leżącą gałązkę i szturchnął ją w bok.

– Meeeeee! – zameczała ze złością.

– Trzy dni temu mówiła, wasza dostojność – zapewnił ksiądz. – Przysięgam na wszystkie świętości. Wymeczała prawie pół Apokalipsy!

– Po wandalsku, czy po łacinie? – zainteresował się Beketar.

– Nie wiem, wasza dostojność – rozłożył ręce ksiądz. – Meczała. To chyba po swojemu, prawda?

Beketar pokiwał głową.

– A ci ludzie tam na zewnątrz? – westchnął.

– No, przecież każdy chce dotknąć Kozy, Która Przemówiła, wasza dostojność – rozpromienił się ksiądz.

Beketar spojrzał na Rzymianina, który tylko wzruszył ramionami. Naczelnik jeszcze raz szturchnął kożę, która zameczała gniewnie i spróbowała go ugryźć.

– Wyjdźmy na świeże powietrze – zaproponował naczelnik.

Na zewnątrz od razu otoczyła ich grupa zebranych, w odległości łączącej względny szacunek z pełną słyszalnością.

– Powinienem zabrać tę kozę do biskupa – westchnął Beketar.

– Nie, wasza dostojność! – zaprotestował z przestachem ksiądz. – To święte zwierzę, ale nasze!

Zebrani zaszemrali nieprzyjaźnie.

– To nasza Kozą, panie! Nie możesz nam jej zabrać!

Beketar popatrzył z namysłem po twarzach zawieszonych między zmartwieniem, a wrogością. Uśmiechnął się.

– Wiecie co? – zwrócił się do wszystkich. – Myślę, że to faktycznie nie jest sprawa w moich kompetencjach. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałem. To sprawa kościoła, a biskup Lindulf z pewnością z radością sam odwiedzi

wasze miasto, by obejrzeć... tę kozę. Dobrze mu zrobi taka osobista wizytacja w terenie.

Zebrani odetchnęli.

– Ale nakazuję – dodał głośniej Beketar – by do tego czasu posadzić przy niej kogoś piśmiennego – popatrzył na księdza. – I niepijącego – dodał. – Żeby nie uronił ani słowa i zapisał wszystko, gdyby to zwierzę znowu przemówiło.

– Naprawdę wierzysz, wasza dostojność, że ten zwierzak kiedykolwiek gadał ludzkim głosem? – spytał z powątpiewaniem Rzymianin, gdy już zostawili za sobą obrońców niezwykłej kozy.

– Oczywiście, że nie – odparł poważnie Beketar. – Cuda mają to do siebie, że się nie zdarzają. Ale mnie też nikt nie uwierzy w rzeczy, które ostatnio widziałem i słyszałem. A oni przynajmniej będą teraz dobrze ją

karmić – uśmiechnął się.



– Chciałeś mnie widzieć, Godagisie? – Beketar wszedł do kancelarii komesa.

– Tak – Godagis wstał od stołu i podszedł do okna. – Ten poranny list... Wiesz, co w nim było? – spytał, patrząc na rozłożone u stóp wzgórza miasto, nad którym powoli zaczynał zapadać zmrok.

– Był zapieczętowany – pokręcił głową Beketar. – Pieczęcią królewskiej kancelarii, ze znakiem polecającym dostarczenie do rąk własnych komesa.

– Tak – potwierdził z powagą Godagis. – To, między innymi, lista ludzi, których musimy aresztować.

– Aresztować? – zdziwił się Beketar. – Za co?

– Za to, że nie są dość pewni – odwrócił się od okna Godagis – za to, że nie wiadomo, po której stoją stronie...

- A ile niby jest tych stron? – skrzywił się naczelnik.
- Tyle, co zawsze, Beketarze – my i oni.
- I dużo "onych" jest na tej liście? – westchnął naczelnik.
- Sporo. Nie pochwalasz tego? – popatrzył na niego z uwagą Godagis.

Beketar przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie dyskutuję z królewskimi rozkazami – odparł w końcu.

– Ale ich nie pochwalasz – orzekł Godagis. – Czy były król Hilderyk postępował inaczej? Ja musiałem wtedy uciekać z Kartaginy.

– Król Hilderyk usuwał tych, którzy spiskowali z Gotami – rozłożył ręce Beketar.

– Ja nie trzymałem z Gotami – skrzywił się komes. – Za to król Gelimer usuwa tych, którzy spiskowali z Cesarstwem.

– Tu, w Hipponie? – uniósł brwi naczelnik.

– Beketarze... – westchnął Godagis. – Ta rozmowa nie ma sensu. Poprosiłem cię o spotkanie, bo dwukrotnie bardzo pomogłeś mnie i mojej rodzinie.

Naczelnik popatrzył na niego z niepokojem.

– Tak...?

– Żeby nie przedłużać... – Godagis zawahał się przez moment. – Twoje imię również jest na tej liście, Beketarze.

– Moje? – naczelnik zamarł; wziął głęboki oddech. – Ale... ale dlaczego?

– Nie pytaj mnie o to, bo nie wiem – pokręcił głową Godagis. – Dostałem ją z Kartaginy.

– Przecież... – potrząsnął z niedowierzaniem głową Beketar. – Nie zrobiłem niczego przeciw Gelimerowi... Niczego...

– Przykro mi, Beketarze – odparł z powagą komes. – Jak widzisz, nie ma tu straży. Póki co, nikt inny o tym

nie wie. Dzisiaj zacznę przygotowania, rozkazy wydam dopiero jutro rano. Jeśli twoi ludzie powiedzą, że pojechałeś na parę dni w jakiejś służbowej sprawie, nie wyślę pościgu.

Naczelnik patrzył na niego oszołomiony.

– Idź, Beketarze – Godagis wskazał głową drzwi. – Więcej nie będę mógł ci pomóc.

– Moi ludzie...? – spytał przez zaciśnięte gardło naczelnik.

– Nie ma ich na liście.

Beketar odwrócił się bez słowa.

– Czy ktoś jeszcze z pałacu...? – zatrzymał się w pół drogi do drzwi.

– Idź, Beketarze – nie odpowiedział Godagis. – Nie trać czasu.

*

Po wyjściu od komesa Beketar ruszył powoli, sztywno jak lunatyk pałacowymi korytarzami w stronę swojej kancelarii. W połowie drogi zatrzymał się nagle i po chwili niezdecydowania zmienił kierunek. Gdy znalazł się pod drzwiami Brunfridy zawahał się raz jeszcze, zapukał jednak mocno, jakby na pokaz zdecydowanie. Po chwili uchylły się drzwi.

– Muszę z tobą... a! – urwał, bo otworzyła mu służąca.

– Witaj, wasza dostojność – skłoniła głowę.

– Muszę pilnie rozmawia z twoją panią! To bardzo ważne – spróbował zerknąć do środka, ale niewiele było widać.

– Oczywiście – służąca zniknęła za przymkniętymi drzwiami.

Beketar zaczął chodzić w tę i z powrotem po korytarzu nerwowym krokiem. Zdążył tak zrobić kilkanaście kółek, nim ponownie uchylły się drzwi.

– Tak? – Brunfrida zmierzyła go chłodnym

spojrzeniem.

– Muszę z tobą pogadać – przyskoczył do drzwi. – Sam na sam. Natychmiast!

Zawahał się moment jednak, widząc jego pełną napięcia twarz, otworzyła szerzej drzwi.

– Zostaw nas – rozkazała służącej. – A ty siadaj – wskazała mu miejsce przy stole. – O co chodzi? – spytała poważnie gdy zostali sami.

– Musimy uciekać, Frido!

Uniosła brew, ale nie przerywała.

– Przyszła lista proskrypcyjna z Kartaginy – wyjaśnił drżącym głosem. – Chcą wyciąć wszystkich, którzy popierali starego króla. Ja... dostałem ostrzeżenie z pewnego źródła. Jutro zacznie się czystka. Aresztowania, konfiskaty, banicje, egzekucje... – potrząsnął głową. – Nie możesz tu zostać, Frido. Musimy uciekać! Jeśli ruszymy zaraz, znam miejsce, w którym będziemy bezpieczni. Przeczekamy – spojrzał w oczy

milczącej Brunfridzie.

Westchnęła i bezwiednie przygryzła paznokcieć.

– To miłe z twojej strony, Beki, że o mnie pomyślałeś –
odparła po dłuższym milczeniu – ale mnie nie ma na tej
liście.

– Jak to? – zdziwił się. – Skąd wiesz? Jesteś siostrą
Faragera, który był komesem króla Hilderyka.

– Po prostu – wiem – popatrzyła na niego ze smutkiem.

– Ale... No, a Farager? – spytał zdezorientowany.

– Farager nie żyje – westchnęła. – Szwagierka też. Nie
wiem, co z bratankiem.

– Ale... Jak to?! – wykrztusił.

– Zginęli na rozkaz króla Gelimera – wyjaśniła
ze spokojem. – Podobnie jak wielu innych ludzi starego
króla.

– Nie wiedziałem... – zasępił się jeszcze bardziej. –
Przykro mi. Lubilem twojego brata.

– Tak, ja też go lubiałam – odparła, jakby myślami była gdzie indziej.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Wielki pies Brunfridy zeskoczył z łóżka i zaczął łąsić się do swojej pani. Podrapała go za uchem.

– Zostaniesz tutaj? – przerwał milczenie Beketar.

– Oczywiście – uśmiechnęła się. – A dokąd miałabym pójść?

– Ale...

– Żałuję, że cię to spotkało, Beki – popatrzyła mu z powagą w oczy. – Naprawdę. Ale lepiej już idź. Oni nie żartują.

Beketar powolnym ruchem wstał od stołu. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

– Czy...? – pytanie zawisło między ich zmęczonymi oczami.

– Kto wie, Beki? Kto wie? – westchnęła.

Zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał,
ale potrząsnął tylko głową i odwrócił się do wyjścia.

– Napiszesz kiedyś? – zatrzymał się jeszcze przy
drzwiach.

– Kiedy bądź – zapewniła z wyrozumiałym
uśmiechem, jakby umiała pisać i wiedziała dokąd.

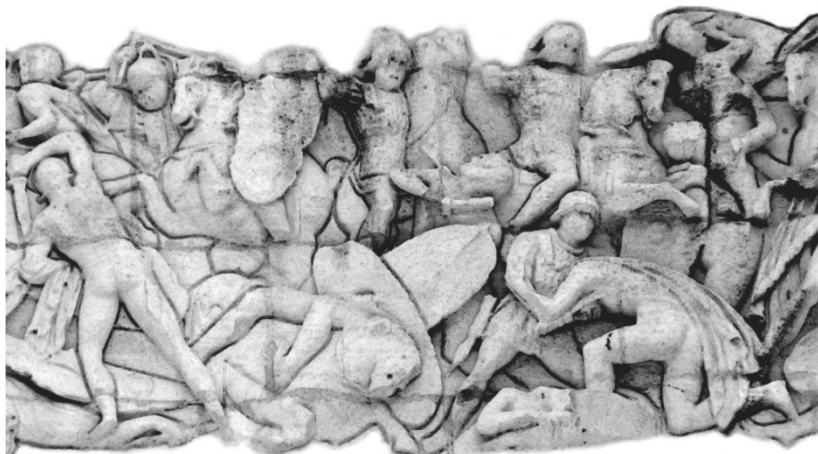
– Bądź też wcale – uśmiechnął się również niewesoło.

– Bywaj, Beki.

– Bywaj, Frido.

żale

wiosna 532 roku



Garść śmieci osunęła się w ciemności ze zwału odpadków blokujących skalny korytarz. Stare skorupy stuknęły o kamienną posadzkę i znieruchomiały w ciszy. Tylko gdzieś pod spodem, pomiędzy śmieciami, coś chrobotało, torując sobie drogę przez śmierdzące osuwisko. Jeszcze stara kość potoczyła się w dół po odpadkach, jeszcze brudna szmata rozdarła się bezgłośnie i spomiędzy splątanych resztek wyrżał

ruchliwy szczurzy pyszczek. Po chwili cały sporych rozmiarów szczur stanął czterema łapami i długim ogonem na zimnej skale. Rozejrzał się dokoła, ruszając niespokojnie wąsikami. Stara cysterna była pusta i ciemna, oba przejścia zasypano śmieciami i gruzem, tylko przez zapomniane okienko pod sufitem sączyło się zza gęstych krzaków nieco światła. Szczur ruszył ostrożnie wzdłuż ściany w głąb pomieszczenia. Zajrzał do jednej, drugiej niszy, rozejrzał raz jeszcze, powęszył i podreptał w stronę rozmazanej na podłodze plamy światła. Tam, w półcieniu, zwinął się w łagodnym zygzaku jakiś długi kształt. Szczur zatrzymał się raz jeszcze w odległości paru kroków. Stara, zasuszona kobra tkwiła nieruchomo na skalnej posadzce, tylko pustymi oczodołami ciągnęła gdzieś w tę i z powrotem cienka linia mrówek. Wąż musiał dostać się tu kiedyś przez okienko i zdechł, nie mogąc się wydostać. Szczur ominął go w pewnym oddaleniu i przystanął nad rozlaną po ziemi ciemną plamą spalenizny. Okrążył ją z nosem przy posadzce, po czym przystanął, wyraźnie

zastanawiając się co dalej. Naraz coś jeszcze zwróciło jego uwagę, coś prawie pod samą ścianą. Podeszedł powoli, zerkając od czasu do czasu na nieżywą kobrę, jakby instynktownie czując, że z kobraми nigdy nic nie wiadomo. Ta wydawała się jednak definitywnie martwa, zajął się więc nowym znaleziskiem. Trudno orzec, co mogło zaciekawić szczura w tych dwóch płytkich wgłębieniach, może jakaś nikła woń, resztką aury, chłodne wspomnienie bijące od wyżłobionego kamienia. Dwa ledwie widoczne zagłębienia miały kształt dużych ludzkich stóp, jakby ktoś stał tu tysiące lat, aż odcisnął swój ślad w skalnym podłożu. Nie było jednak nikogo i szczur być może wykonał swój szczurzy odpowiednik wzruszenia ramionami, oddał mocz niby napis "tu byłem" i powędrował z powrotem przedzierać się przez zawalony śmieciami korytarz ku ciekawszym miejscom. Jeśli kiedykolwiek nawiedzali tę cysternę jacyś bogowie, działały tu dobre bądź złe moce, najwyraźniej zapomniały o tym miejscu, może nawet o tym mieście, o tym kraju. Szczur też już zapomniał.



Tenelium leżało nad płytkim, zasilanym mulistą rzeką jeziorem pośrodku długiej doliny wciśniętej pomiędzy łagodne zbocza niskich w tej okolicy gór. Wyżynny klimat zapewniał dość wody, by dzięki ciężkiej pracy spalona słońcem okolica zamieniła się w rozległą oazę zielonych pól i sadów, a zbocza gór porastał rzadki, liściasty las. Tam jednak, gdzie w dolinie kończyła się ingerencja człowieka, zaczynał się wysuszony, trawiasto-kamienisty step. Samo miasteczko składało się z paru reprezentacyjnych, acz niewielkich budynków w rzymskim stylu i rozsypanych dookoła pudełek prostego miejscowego budownictwa. Białe domy oblepiły rzekę i brzeg jeziora, lecz właściwą oś zabudowy stanowił szeroki trakt, biorący początek daleko na wschodzie w odległej Kartaginie i przystający wkrótce

na północnym zachodzie, gdzie po krótkim postoju w nadmorskiej Hipponie ruszał znów gdzieś hen, aż nad daleki ocean. Tenelium, choć wybudowane przy tak ważnym szlaku, samo leżało w gruncie rzeczy na uboczu wielkich spraw i tylko co jakiś czas kolejna karawana, w drodze z lub do nadmorskich portów, przywoziła egzotyczne towary i także opowieści.

Beketar zatrzymał wóz w jednym z zaułków na tyłach zastawionego straganami forum. Rzucił lejce siedzącemu z tyłu na workach i skrzynkach robotnikowi i zeskoczył na ziemię. Otrzepał z kurzu jasny burnus, w którym wyglądał jak jeszcze jeden z osiadłych Maurów i ruszył w stronę targowiska. Wybór towarów nie olśniewał – sprzedawano głównie produkty rolne, narzędzia i tanie ubrania – tłok i zgiełk panował jednak taki sam jak na bogatych targach Kartaginy, czy Hippony, jakby dotyk spoconych ciał i nieustający harmider był nieodzowną częścią udanego handlu.

– Poczta królewska zawsze na czas, kuzynko! – szepnął

teatralnie do ucha krzątającej się po straganie Walasindy.

– Beki! – ucieszyła się. – W końcu gdzieś się ruszyłeś z tego domu. Gdzie Klaudiusz?

– Twój małżonek musiał w czymś pomóc sąsiadowi i poprosił, żebym ci dowiózł towary – wyjaśnił. – Jak handel?

– Może być – otarła pot z czoła. – Potrzebuję więcej fig i oliwek. Winogrona jakoś dziś nie idą.

– Mówiłem, że powinniście sami robić wino i tłoczyć oliwę. Na gotowych produktach więcej zarobicie.

– Zajmiesz się tym? – westchnęła. – Nie? To leć po worki.

– Poczekaj – uniósł dłoń. – Coś się dzieje.

Faktycznie, ponad targowy zgiełk zaczął wybijać się niedaleki tętent konia. Narastał szybko coraz głośniejszy, aż więcej osób zaczęło z ciekawością odwracać głowy w stronę przecinającego plac traktu. Po chwili, już całkiem blisko, zagrał róg. Beketar drgnął.

– Poczta królewska! Musiało coś się stać, skoro kurier pędzi na złamanie karku do takiej dziury.

– Sam jesteś dziura – szturchnęła go Walasinda. – Jedzie od Kartaginy. Myślisz, że to wojna? – spytała z niepokojem.

– A kiedy nie było wojny? – pokręcił głową. – Od stu lat ciągle mamy jakąś wojnę. Ale na razie Gelimer przegonił Maurów z Byzaceny, a za morze raczej się nie wyprawi, póki nie umocni swojej władzy. Nie, myślę, że to coś innego. Poczekaj, pójde sprawdzic – zarzucił na głowę kaptur i wmieszał się w tłum.

Jeździec, wciąż dmąc co chwila w róg, wpadł na spienionym koniu pod siedzibę miejskiej kurii, roztrącając na boki przekupniów i gapiów. Z budynku wyszło mu pospiesznie na spotkanie kilku urzędników w spłowiałych togach. Zakurzony kurier, z oznaczoną królewskim znakiem sakwą na plecach, zeskoczył z siodła, rzucił wodze komuś z zebranych i podszedł szybkim krokiem do oczekujących. Z daleka nie było

słysząc o czym mówią, widać było jednak, że jeździec odmówił wejścia do środka, przekazał tylko jakiś wyjęty z sakwy zwój. Po chwili przybiegł sługa z wodą i jakimś prostym posiłkiem, który kurier pochłoniął szybkimi kęsami, a resztę wrzucił do sakwy. Przyprowadzono nowego konia i nie minął kwadrans, gdy jeździec zniknął na drodze do Hippony tak samo szybko jak się pojawił.

– Królewscy kurierzy – żelazne żołądki, kamienne dupy – uśmiechnął się do siebie Beketar. – To były czasy...

Tymczasem urzędnicy zniknęli w budynku rady miasta, lecz gapie w większości pozostali na miejscu, spodziewając się jakichś wieści. Rzeczywiście, po kilkunastu minutach na schody wyszedł niewysoki mężczyzna z papirusem w jednej, a dzwonkiem w drugiej ręce. Stał na małym podwyższeniu u szczytu schodów i zamachał dzwonkiem, wydobywając z niego głos zdolny obudzić umarłego. Gdy nie było już wątpliwości, że cała okolica została poinformowana

o zbliżającym się obwieszczeniu, odłożył dzwonek i rozwinął zwój.

– Mieszkańcy i przybysze! – oznajmił donośnym głosem. – Nasz pan, jego wysokość Gelimer, król Wandalów i Alanów, przesyła nam do powszechnej wiadomości swoją odpowiedź na pismo cesarza Justyniana – nabrał tchu – który niedawno miał śmiałość strofować naszego władcę i upominać się o swojego przyjaciela, zdrajcę sprawy Wandalów, byłego króla Hilderyka – dokończył na wydechu i rozejrzał się po zgromadzonych.

Przez tłum przeszedł oczekiwany pomruk niezadowolenia.

– Posłuchajcie więc słów naszego łaskawego władcy Gelimera, króla Wandalów i Alanów – podjął herold. – *"Król Gelimer do cesarza Justyniana. Ani nie zdobyłem władzy siłą, ani nie wyrządziłem niczego bezbożnego moim krewnym. Hilderyka, który spiskował przeciwko domowi Gezeryka, obalił lud Wandalów. Mnie do tronu powołał mój wiek i dał mi*

*pierwszeństwo zgodnie z prawem. Właściwe jest, by władca sprawował należący do niego urząd, a nie martwił się cudzymi troskami. Tak więc i ty, mając własne królestwo, nie postępujesz sprawiedliwie, wtrącając się w cudze sprawy. Jeśli zerwiesz traktat i wyruszysz przeciw nam, stawimy opór z całą naszą potęgą, powołując się na przysięgi złożone przez Zenona, od którego otrzymałeś swoje królestwo"*⁴⁹ – zakończył.

Zgromadzenie zafalowało brawami i okrzykami poparcia, nie gromkimi może, lecz wystarczająco ochoczymi, by herold pokiwał z zadowoleniem głową.

– Zgodnie z rozkazem króla – oznajmił – list ten będzie odczytywany tu codziennie w południe przez najbliższy tydzień.

– Co o tym sądzisz? – spytała Walasinda, gdy wrócił do straganu.

– Butne... i sprytne – pokiwał głową Beketar. – Nie dziwię się, że kazał to rozgłaszać po całym kraju. Hilderyk, będący zdrajcą, został strącony z tronu przez wolnych Wandalów. Ja, Gelimer, jako prawowity następca, tylko zająłem wolne, należne mi miejsce. A ty, cesarzu, nie wtykaj nosa w nieswoje sprawy, bo możesz go stracić. Ludzie lubią takie stroszenie piórek.

– Myślisz, że cesarz puści to płazem? – zastanowiła się Walasinda.

– Puści, nie ma wyjścia. Justynian prowadzi teraz wojnę z Persją – jak słyszałem, bez większych sukcesów – i zмага się z buntownikami. A w Konstantynopolu na pewno nadal dobrze pamiętają, że pobiliśmy ich armie już parę razy i z pewnością wciąż mają stracha przed naszą flotą. Nie mówiąc już o tym, że najpierw musieliby dogadać się z Ostrogotami. Nie, skończy się tylko na wymianie aroganckich listów.

– Sama nie wiem czy lepiej żebyś miał rację, czy nie – westchnęła.

– Ty się już lepiej więcej nie mieszaj od polityki – skrzywił się.

– Dobrze, Beki – potulnie spuściła głowę, ale przy tym mrugnęła do niego okiem.

Nim zwinęli stragan, doszła ich jeszcze przekazywana z ust do ust bazarowa plotka, że król Gelimer, oprócz wysłania cesarzowi butnej odpowiedzi, kazał również oślepić bratanka obalonego władcy, a swojego kuzyna przy okazji, księcia Hoamera, zwanego "Wandalskim Achillesem". Po części z powodu tego, jak ponuro snuł przypuszczenia Beketar, że Hoamer zagrażał mu swoją popularnością, a po części dlatego, że z racji wieku był następny w kolejce do tronu. I gdyby przewroty pałacowe weszły Wandalom w krew, kiedyś to on mógłby zagrozić Gelimerowi.

– Nikt tak nie boi się zdrady jak sam zdrajca – orzekł pochmurnie Beketar. – Znałem kiedyś Hoamera, jeszcze w Kartaginie. Wielki wojownik i, co rzadko się zdarza

w tej rodzinie, porządny człowiek. Mógł być kiedyś królem na miarę Gezeryka⁵⁰. Szkoda.

✱

– Co dalej zamierzasz, Beketarze? – spytał chudy mężczyzna z siwiejącą brodą ubrany w przybrudzoną rzymską tunikę.

– Zażywać kąpeli mineralnych – westchnął naczelnik. – W końcu przyjechałem tu do wód.

Rzymianin rozejrzał się po spalonej słońcem okolicy, spojrzał na sunącą dnem koryta zamuloną rzekę.

– Aha.

Siedzieli z dzbanem wina nad wodą w altanie nieopodal sporego gospodarstwa z niewielką willą pośrodku. Słońce dotykało już gór i zaczęło robić się przyjemnie po całodziennym upale.

– A co? Macie mnie już dosyć, Klaudiuszu? –

uśmiechnął się Beketar.

– Nie, nie – zapewnił Rzymianin. – Pomagasz nam, no i mam z kim się napić – sięgnął po dzban.

– Siedzę tu u was już prawie dwa lata – pokiwał głową Beketar, nadstawiając kubek.

– Dla mnie możesz siedzieć tu i dziesięć lat – Klaudiusz dolał wina. – Po prostu jestem ciekaw, czy masz jakieś plany?

– Plany? – westchnął Beketar. – Jestem banitą, Klaudiuszu. Mogę zostać zbójem w górach, najemnikiem w obcych krajach, w najlepszym razie marynarzem, ale rzygam na morzu. Lub ukrywać się jak teraz, czekając na lepsze czasy.

– Widzisz te pola i sady? – Rzymianin zatoczył ręką dokoła. – Kiedyś cała ta dolina należała do moich przodków. Po waszym najeździe została nam tylko trzecia część ziemi⁵¹. Nieźle, bo niektórzy tracili wszystko. Ale mój pradziadek, dziadek i ojciec, zamiast

wziąć się do roboty, czekali na lepsze czasy. I zostawili mnie z tym marnym skrawkiem i skłonnością do nadużywania wina – uniósł kubek w toaście. – Czekanie rzadko kiedy przynosi coś więcej, niż gorycz i rozczarowanie.

– Nie mam pieniędzy na łapówki, Klaudiuszu – pokręcił głową Beketar. – I nie uśmiecha mi się jechać do Kartaginy by prosić o łaskę, bo mogę skończyć bez głowy. Wolę to wasze proste życie i wino w dobrym towarzystwie, z dala od intryg, spisków i morderstw.

– Nie utrzymujemy już kontaktów z Donatystami – zapewnił Rzymianin.

– Tak, wiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sącząc wino w ostatnich promieniach słońca.

– Pamiętasz, jak kąpaliśmy się tu w dzieciństwie? – uśmiechnął się melancholijnie Klaudiusz. – Ty, ja, Sinda i Hilda. Myślałem wtedy, że to ty ożenisz się z Sindą, ja

poślubię Hildę i będziemy żyć spokojnie w tej cichej dolinie, z dala od królów, cesarzy i poborców podatków.

– Życie lubi niespodzianki jak kiepski teatr – odpowiedział uśmiechem Beketar. – Choć nie chciałem uwierzyć, kiedy Jonates przywiózł wiadomość, że Swinthilda zmarła przy porodzie – dodał poważniejszym tonem.

– Tak... – Klaudiusz dolał do kubków resztkę wina. – Pamiętam, jak śmiała się ze mnie i powtarzała, że dzieci i wieś to nie dla niej. A teraz urodziła syna temu – jak mu tam? – i zmarła.

– Alamund – podpowiedział Beketar. – Przystojny, bogaty skurwysyn – zawsze ją tacy pociągali – ale dbał o nią.

– Wiesz, Beketarze? – Rzymianin zapatrzył się w słoneczną lunę ponad górami. – Może po prostu życie jest mądrzejsze od nas? Nie pasowaliśmy do siebie z Hildą, a z Sindą dobrze nam się układa, mamy gromadkę dzieci i wiesz? Chyba jestem szczęśliwy.

– Cieszę się, Klaudiuszu.

– A ty, Beketarze?

– A ja skoczyłbym po drugi dzban wina –
uśmiechnął się naczelnik.

– Tęsknię za nią, Sindo – westchnął Beketar,
napoczynając trzeci dzbanek wina.

Było już ciemno, Klaudiusz pochrapywał w rogu
altany do wtóru cykad.

– Za kim, Beki? – Walasinda otuliła się kocem przed
chłodem nocy i przysunęła bliżej kaganek.

– Za Brunfridą.

– Mówiłeś, że to zdzira i cholera – spojrzała na niego
z dezaprobatą.

– Nie mówiłem tak! – zaprotestował.

– Ale tak wynikało z tego, co mówiłeś – wzruszyła

ramionami.

– Rzeczywiście... – przyznał. – Ale, mimo to, i tak za nią tęsknię.

– Nie "mimo to", tylko "dlatego", Beki – postukała go palcem w ramię.

– Aż tak dobrze mnie znasz? – uśmiechnął się smętnie.

– Pytanie...! – prychnęła. – Próbowalesz posyłać jej wiersze, kwiaty...?

Sięgnął po jakiś rosnący obok kwiatek.

– Kocha, lubi, szanuje – zaczął wyrywać płatki – porzuci, zdradzi, zatruje. Nie umiem pisać wierszy, Sindo.

– Nie szkodzi.

– Zresztą i tak by jej nie wzruszyły, podobnie kwiaty – wyrzucił oskubany kwiatek w mrok.

– To działa na każdą kobietę, uwierz mi – westchnęła.

– To nie kobieta, to szakal w ludzkiej skórze –

skrzywił się.

– Ale mówiłeś jej, że ją kochasz? – popatrzyła na niego.

– Bez żartów! – obruszył się. – Szakala?

– Mówiłeś, że tęsknisz – pokręciła głową.

– Brakuje mi też Jonatesa, ale to nie znaczy, że go kocham – wzruszył ramionami.

– Nie? – zdziwiła się. – Miałam wrażenie, że tak.

– Trudno z tobą rozmawiać, Sindo – mruknął.

– Trudno mnie oszukać, Beki – uśmiechnęła się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając cichnących powoli cykad.

– Powinieneś jej powiedzieć... i prosić, najlepiej na kolanach. Obiecować wszystko i jeszcze więcej... My to naprawdę lubimy, Beki.

– Mów za siebie, Sindo – potrząsnął głową. – Kiedyś już raz tak się wygłupiłem...

– Mówisz o tej ostrogockiej szmacie? – uniosła głowę

Walasinda. – Głupia suka, świeć Panie nad jej duszą – wzniosła oczy ku górze.

– Nie sądziłem, że tak się kiedyś stanie, lecz zatarła się w mojej głowie jak stary, zły sen – westchnął. – I wiesz co? Już nigdy więcej nie dam się żadnej tak upokorzyć – pociągnął głęboki łyk wina.

– No, to jesteś w dupie, Beki – rozłożyła ręce. – Oboje jesteście – ty i ta twoja Brunfrida.

– Trudno, przeżyję – wzruszył ramionami. – Już raz mi się udało.

– To, że raz wyjąłeś fiuta z paszczy krokodyla nie znaczy, że drugi raz ci się uda – skrzywiła się.

– Jesteś wulgarna, Sindo – uśmiechnął się.

– Tak. I mam rację. Wiesz, że mam.

Nie odpowiedział. Sięgnął po dzban i dolał wina do kubków.

– Zastanawiałeś się kiedyś jak by to było, gdybyś nie poznał swojej żony i wiesz... – spojrzała na niego

pytająco.

– Znienawidzilibyśmy się po trzech dniach, Sindo – uśmiechnął się.

– Myślisz? – chyba nie spodobała jej się ta odpowiedź.

– Przez chwilę byłoby pięknie – poklepał ją po plecach

– A po tygodniu któregoś z nas skończyłoby z nożem w piersi.

– Jestem gorsza od tej twojej Brunfridy? – spytała ni to żartem, ni z pretensją. – Z nią jakoś się nie pozabijaliście.

– Zabijaliśmy się średnio raz w miesiącu, Sindo – westchnął.

Pokiwała głową w milczeniu. Bez pośpiechu wypili jeszcze trochę wina.

– A właściwie, to jak się poznaliście? – spytała.

– Ha...! – rozpogodził się Beketar. – Przyjechałem do Hippony ścigany wątpliwą sławą nieszczęśliwego kochanka. Nie wiedziałem, że to tak działa na kobiety –

mrugnął.

– Na mnie nie działa – wzruszyła ramionami. – Chyba, że ktoś lubi ofiary losu.

– Dzięki! – roześmiał się i szturchnął ją łokciem.

– Jak zawsze do usług – odpowiedziała łobuzerskim uśmiechem.

– A wracając do tematu... – zastanowił się moment. – Brunfridę chyba to intrygowało; nasłuchiwała się plotek. Była wtedy, zdaje się, po romansie z Alamundem, a może jeszcze w trakcie – cholera ją wie. Zaczęła mnie, najpierw ostrożnie, potem całkiem jawnie, uwodzić i prowokować. Zresztą, tak po prawdzie, to nie tylko mnie. Taki już ma sposób bycia.

– A ty pewnie odtrącałeś jej umizgi z miną cierpiętnika
– uśmiechnęła się kpiąco.

– Znasz mnie – pochylił głowę z udaną pokorą.

– Jesteś prostszy, niż ci się wydaje, Beki – parsknęła. –
Możesz oszczędzić mi dalszego ciągu tej romantycznej

historii.

– Nie była szczególnie romantyczna. Upiliśmy się któregoś dnia i zrobiliśmy to w pałacowej stajni...

– Nie interesują mnie takie szczegóły – mruknęła.

– Potem na stole komesa i w sali tortur... – rozmarzył się Beketar.

– Daruj sobie – skrzywiła się.

– Później rozstawaliśmy się co parę miesięcy – westchnął – gdy już miałem jej dosyć i schodziliśmy co kolejnych parę, gdy zaczynało mi jej brakować. Im bardziej mi na niej zależało, tym bardziej frustrowało mnie, że jej tak naprawdę ze mną nie ma. Można powiedzieć, że rzuciłem ją, kiedy najbardziej jej potrzebowałem.

– Myślisz, że teraz też na ciebie czeka? – spytała z powątpiewaniem.

– Nie – zmarkotniał. – Myślę, że już dawno uwiodła nowego komesa lub kogoś z jego ludzi.

– A może nie znasz jej tak dobrze jak ci się wydaje?

– Myślisz, że tęskni i płacze po nocach? – parsknął. – Nie, to nie ten typ.

– Oj, Beki, Beki... – pokręciła głową. – Nie wiem jaki to typ, ale wiem, że znasz się na kobietach jak ja na okrętach.

Wzruszył ramionami.

– Naciągnęłaś mnie, cholera, na wspominki – mruknął. – Znow będę miał zepsute parę najbliższych dni.

– I tak cały czas chodzisz jak struty – popatrzyła na niego z troską.

– Nie potrafię nawet zostać pijakiem... – trącił nogą pusty dzban.

– Znalazłbyś sobie jakąś dobrą, miłą kobietę...

– Nie chce mi się – skrzywił się. – I nie interesują mnie dobre, miłe kobiety. Wiesz – mrugnął okiem – dzumę najlepiej zwalczać cholerą⁵².

– Z tego co wiem, przeszedłeś już i dżumę i cholere i pewnie parę innych chorób, o których nawet nie słyszałam. Zostały ci tylko czerwotka i tyfus plamisty – pokręciła głową z dezaprobatą. – To co, w takim razie, zamierzasz?

– W związku z Fridą? – zastanowił się przez moment. – Zamierzam pić wino i czytać wiersze.

– Jesteś beznadziejnym przypadkiem, Beki – westchnęła.

– Jestem – zgodził się bez złości. – Popatrz – podwinął rękaw.

– Boże, Beki! – Walasinda otworzyła szeroko oczy, widząc przedramię pokryte starymi i świeżymi ranami. – Co to?

– To kiedy chcę do niej pisać. I kiedy chcę do niej jechać. Czasem... – przez twarz przebiegł mu grymas bólu. – Czasem muszę wskoczyć na konia i jechać do niej, do Hippony. To... – popatrzył na rękę. – ... pomagają mi

zostać tu kolejny dzień, jeszcze jeden dzień dłużej.

– Boże, Beki... – powtórzyła szeptem.

– Kiedyś minie – stwierdził bez przekonania, zakrywając rękę. – *Tak gojeniem niejedna powiększa się rana, / Lepiej by było, gdyby nie była tykana.* – wyrecytował cicho.

– *Srożej się dręczę, rojąc piękność Fridy sobie, / Wznawiam smutne wygnanie i świeżym je robię.*⁵³

– Wiesz co? – pokręciła z dezaprobatą głową, – Głupia jest ta twoja Brunfrida.

– Głupsza ode mnie? – uśmiechnął się smętnie.

– No, nie aż tak. Ale głupia.



– Nie jadę więcej do Hippony! – Jonates rzucił płaszcz podróżny na stojącą w altanie ławę. – To zbyt niebezpieczne! W końcu rozpozna mnie ktoś od Godagisa i będę musiał zdradzić im gdzie jesteś.

– Ciii... – skrzywił się spod współprzymkniętych powiek Beketar.

Uniósł się z prowizorycznego posłania do pozycji siedzącej i sięgnął po dzban. Pił długo, rozlewając wodę na koszulę.

– I miło cię widzieć, Jonatesie – uśmiechnął się.

Słońce stało już wysoko na niebie, ale w środku porośniętej bluszczem altany panował przyjemny cień.

– Nie jadę tam więcej – powtórzył sługa, siadając.

– Stało się coś? – westchnął Beketar.

– Wpadłem na ulicy na panią Brunfridę – Jonates bez pytania sięgnął po dzban.

– Widziałeś się z nią?! – prawie podskoczył Beketar.

– Z panią Brunfridą? – Jonates otarł brodę, odstawiając naczynie.

– Nie, z Matką Boską Hippońską! – przewrócił oczami Beketar.

– Z nią to akurat nie; jestem Żydem – pokręcił głową sługa. – Ale z panią Brunfridą owszem. Szedłem sobie ulicą cicho i ostrożnie jak pustynny lis, przemykałem się między ludźmi jak...

– I co? – przerwał niecierpliwie Beketar.

– No i zderzyłem się nagle z lektyką pani Brunfridy – rozłożył ręce Jonates. – Rozpoznała mnie i zaprosiła do środka. Uprzejma kobieta.

– I co?!

– Pytała jak się mamy, czy czegoś nam nie trzeba, mówiła, że na dworze jest teraz ciężko i na razie nie ma widoków na poprawę sytuacji – wyjaśnił sługa. – Nie ma tu jakiegoś porządnego wina? – rozejrzał się po altanie.

– Kazała coś przekazać? – złapał go za ramię Beketar.

– Nie – odparł spokojnie Jonates. – To nie ma tego wina?

Beketar oparł się o ścianę altany i przymknął oczy.

- Nie ma wina, wypiliśmy. Walasinda da ci w domu. Z kim się teraz prowadzi? – skrzywił się. – Brunfrida, nie Walasinda – dodał, uprzedzając odpowiedź.
- A skąd mi to wiedzieć? – wzruszył ramionami Jonates.
- Bilbo i Frodo nic nie mówili? – mruknął Beketar.
- Nie pytałem. Zresztą, ich nie interesują takie rzeczy.
- A co u nich?
- Jakoś żyją. Odgrają się, że kiedyś dorwą nowego naczelnika w jakimś ciemnym zaułku.
- Wciąż nie rozumiem, jak król mógł powierzyć takie stanowisko temu szczerbatemu centurionowi ze straży miejskiej, jak mu tam? – pokręcił głową Beketar.
- Fasirmusowi. Na prośbę komesa oczywiście. I już nie szczerbatemu. Nazwałbym go teraz złotoustym i bardzo lubi się uśmiechać.
- Przecież to nikt! – uniósł się Beketar. – Jakiś Maur!

– Widać swój nikt. Wiesz, jak to jest – odparł filozoficznie Jonates.

– Ze straży miejskiej! Wcześniej patrolował ulice i zamykał pijanych marynarzy!

– Bardzo przydatne umiejętności na dworze – wyszczerzył zęby sługa.

– Pewnie nawet nie umie czytać i pisać – sapnął Beketar.

– Godagis dał mu sekretarza. Podobno mają teraz takie półki z przegródkami i każdy dokument ma swój numer, który zapisują na specjalnym zwoju.

– Tak, to na pewno pomaga w łapaniu przestępców – mruknął z sarkazmem Beketar.

– Nie wiem. Podobno teraz zajmują się głównie ludźmi, których im wskaże Godagis.

– Świat się kończy, Jonatesie – westchnął Beketar.

– Tak, to możliwe – uśmiechnął się sługa.

– Dziękuję ci, Jonatesie. Idź coś zjedz – machnął ręką Beketar, ponownie przymykając oczy.

Służący podniósł się i zaczął zbierać do odejścia, odwrócił się jednak nagle w progu altany.

– A! Jeszcze pani Brunfrida... – przypomniał sobie.

– Tak?! – znów podskoczył Beketar.

– Mówiła też, że czeka na nasz powrót.

– Czeką?! – uśmiechnął się radośnie Beketar, ale zaraz skrzywił się ze złością. – Po prawie dwóch latach bez jednego słowa teraz mówi, że czeka? – prychnął. – No to się, psia jej mać, nie doczeka!

Jonates wzniósł tylko oczy w górę i odszedł, kręcąc głową.

wiosna 533 roku



Wydawało się, że rozpalone kamienie na zboczu skalistokrzaczastego wzgórza parują w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca czarnymi, gęstymi cieniami, zmieniając jednostajną płaszczyznę w ogromną, czarno-burą mozaikę. Niewidoczne w południowym słońcu kontrasty, głązy, uskoki i załomy wypełzły teraz na stok, a razem z nimi ożyły ukryte kształty i figury – ulotne freski świtu i przed-zmierzchu. Również w rzadkim, sosnowym lesie poniżej szybko rosnące cienie zaczęły snuć się w poszyciu między zaroślami. Beketar poprawił kołczan z łukiem, raz jeszcze sprawdził jak trzyma się przewieszony przez koński grzbiet upolowany mały koziorożec i wskoczył na siodło. Wolno, bez pośpiechu zaczął zjeżdżać kamienistą ścieżką

w dolinę, w stronę pól, sadów i kończących swoją ciężką pracę ludzi. Gdy wyjechał spomiędzy drzew, wciąż było jeszcze widno, jednak na niebie pokazały się już pierwsze gwiazdy, a gruby księżyc wróżył jasną noc. Beketar zatrzymał konia pod kępą niewysokich palm i zapatrzył się na chwilę przed siebie. Płytką rzeka wiała się skrajem szerokiej doliny zieloną wstęgą trzin i zarośli, by parę kilometrów dalej, wraz z szerokim i pustym o tej porze traktem, skrócić łagodnym łukiem równiny i schować się za kolejne skaliste zbocze. W końcu jeździec popędził konia i ruszył w ślad za rzeką w miłym chłodzie wczesnego wieczoru. Jechał tak dosyć długo, nie spotykając nikogo po drodze, aż zapadła gwiazdzista, księżycowa noc. Zbliżył się już do zakrętu doliny, gdy naraz koń stanął w miejscu i parsknął niespokojnie. Beketar poprawił długi nóż przy pasie i sięgnął po łuk, obserwując uważnie mroczne cienie dokoła. Okolica Tenelium była raczej spokojna i nie należało spodziewać się zbójów, ale zawsze można było natknąć się na zabłąkane szakale lub, co gorsza,

stado idących w szkodę dzików. Wkoło było jednak cicho i niemal sennie, Beketar poklepał więc konia po łbie i już miał ruszać dalej, gdy spostrzegł, że niebo w oddali, gdzieś w dalszej części doliny za górskim zboczem, zaczyna jarzyć się czerwonym blaskiem.

– Psiakrew, pożar! – zaklął pod nosem. – Byle nie u Sindy i Klaudiusza.

Koń niechętnie ruszył z miejsca, parskając i potrząsając łbem, w końcu jednak dał się skłonić do szybszego biegu. Przesuwały się liźnięte księżycowym blaskiem pola, przeskakiwały czarne zarośla, a z przodu gorąca łuna rozkwitła w niebo kolorem wina i zawisła, zaćmiewając połowę gwiazd. Beketar mimowolnie wsłuchiwał się w szumiący w uszach wiatr, spodziewając się usłyszeć odległe echo trąbki albo dzwonu, jednak jedynym dźwiękiem był tylko stukot końskich kopyt. Minął w końcu zasłaniającą widok skalną grań i czerwony blask zalał całe niebo, a jego źródło zdawało się bić gdzieś z okolic

gospodarstwa Klaudiusza i Walasindy. Beketar zaklął, wypatrując jakiegoś ruchu, lecz cała okolica zdawała się być pogrążona w cichym śnie. Zaklął raz jeszcze i uderzył konia w boki, zmuszając go do szybkiego galopu. Przemknął resztę drogi skąpany w złowrogiej poświacie jak dziki łowca z dawnych opowieści o północnych krajach. Wpadł na zziąjanym koniu na podwórze i osadził zwierzę w miejscu, aż wryło się kopytami w ziemię z pełnym przestachu rżeniem. Beketar zastygł wpatrzony przed siebie szeroko otwartymi oczami. Koń zatańczył pod nim narowicie i zaraz odskoczył na kilkanaście metrów, gdy tylko jeździec zsunął się z siodła.

– Nie, tylko nie to... – jęknął Beketar, osuwając się na kolana. – Nie znów...

– Zguba i śmierć – odparła trzaskiem ognia skrzydlata postać z mieczem w dłoni.

Beketar otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wszystko zniknęło w oślepiającym blasku

i obudził się na ławie w altanie, w rażących oczyma promieniach słońca. Odruchowo ściągnął z palca gorący, pewnie od słońca, pierścień z wężem.



– Pamiętasz? Opowiadałeś mi kiedyś o tej historii z zaginionymi dziećmi – zagaiła Walasinda, gdy Beketar przysiadł na ławie w podcieniu domu.

Chwilę wcześniej skończył pomagać robotnikom w ładowaniu wozu z towarami na sprzedaż i zarządził przerwę, bo zaczął się już największy upał.

– Tak. Stare dzieje – westchnął zmęczony, ocierając pot z czoła. – A co?

– Słyszałam plotki. To chyba wraca, Beki – popatrzyła na niego z niepokojem.

– Gdzie? Tutaj, w Tenelium? W Hipponie? – uniósł głowę zaskoczony.

– Wszędzie. Tak mówią na bazarze. W Simitthu, w Bulli, w Thabrace i w innych. Podobno najpierw pojawiają się muchy. Roją się w całym mieście. Potem zaczynają ginąć dzieci. Niewiele – dwoje, troje, choć bywa, że więcej. Niektórzy mówią, że czasem ludzie wpadają w obłąd i sami mordują swoje rodziny. Trwa to dwa-trzy tygodnie i nagle mija. Podobno pomagają posty i okadzanie przez księży. Babki wiedzące robią też taki proszek z suszonej żaby i talizmany...

– Proszek z suszonej żaby? – zachnął się Beketar. – Co ty pleciesz, Sindo?

– No co? – obruszyła się. – Sama bym myślała, że to bazarowe gadanie, ale po tym, co opowiadałeś... Boję się o moje dzieci.

– Tak, rzeczywiście. Przepraszam. Usiądź proszę – zrobił jej miejsce na ławie.

– Myślisz, że to prawda? – przysiadła obok. – Że to mogło wrócić?

– Nie mam pojęcia, Sindo – rozłożył ręce. – Ale wiem na pewno, że jeśli tak, to żaden proszek z żaby tu nie pomoże.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na biegające po podwórzu dzieci – im nigdy żaden upał nie przeszkadzał – i odpoczywających w cieniu robotników.

– Co tam właściwie się stało, z tymi dziećmi? Kto je porywał? I co z tym potworem? Nie rozumiem tego wszystkiego – poskarżyła się.

– Chyba sam tego nie rozumiem, Sindo – pokręcił głową. – Nawet nie wiem, czy to nie był tylko sen.

– Przecież ginęły dzieci...

– Tak, ginęły – przyznał. – Myślę, że porywały je, może z czyjąś pomocą, te dwie kobiety – Augusta z Rodelindą. Ta pierwsza była chyba jakąś punicką kapłanką, Fenaną. To znaczy, mam nadzieję, że to ona, nie Rodelinda – mruknął Beketar, omijając wątek straconego

i odnalezionego pierścienia. – Bo tak czy owak, wszystko wskazuje na to, że Fenana, kimkolwiek była, nie żyje, a porwania w Hipponie ustały.

– No, a ten Baal? Może wciąż je porywać? Gdzie indziej? – popatrzyła z niepokojem na swoje dzieci.

– Haddu – Beketar zastanowił się chwilę. – Nie wiem. Nie wiem nawet, czy on istnieje. Coś widziałem, ale może to były tylko trujące opary? Mądrzejsi ode mnie mówili, że starzy bogowie próbują przetrwać, przysysając się do naszej wiary jak pijawki. Większość jako piekielne demony. Jonatas twierdzi, że nawet Szemal mógł być niegdyś takim bogiem. Wszystko jest możliwe.

– Zrobisz coś z tym, Beki?

– Jak to? – nie zrozumiał.

– Wiesz, to może przyjść i tutaj, do Tenelium – położyła mu dłoń na ramieniu. – Zrobisz coś?

– Jestem banitą, Sindo – westchnął. – Co niby miałbym

zrobić? Ganiać za muchami?

– Nie wiem, Beki. Cokolwiek, żeby to odegnąć. Może mógłbyś przywołać tego anioła?

– Nie, nie mógłbym – spochmurniał. – Nawet nie wiem, skąd się tu wziął, po której stoi stronie i czego chce. Czy jest w ogóle prawdziwy? A jeśli nawet tak, to i tak nie mam pojęcia, jak go przyzwać. W ogóle, nie chcę już żadnych aniołów, bogów, ani demonów. Ostatnio ludzie aż nadto mi wystarczą.

– Więc co? Będziesz siedział i patrzył z założonymi rękami? – odsunęła się, by popatrzeć na niego z wyrzutem.

– Dokładnie tak – wzruszył ramionami. – To już nie moja sprawa i nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego. Ale gdyby to przyszło do Tenelium, będę pilnował waszych dzieci. Tyle mogę. Ale nie jestem bohaterem ze starych pieśni.

– Chyba rzeczywiście nie – orzekła z dezaprobatą,

wstając.

– Na pewno nie – potwierdził ponuro.



Słońce nad Tenelium znów zaczęło zmierzać ku zachodowi, gdy gromadka dzieci w różnym wieku przerwała zabawę na podwórzu gospodarstwa i wybiegła z radosnymi okrzykami naprzeciw wracającego od strony miasta wozu. Paka była prawie pusta, a powożący nią Klaudiusz uśmiechnięty, co oznaczało udany dzień targowy. Dzieci zaraz oblepiły wóz i woźnicę jak pszczoły plaster miodu. Beketar uniósł głowę, przerywając czyszczenie konia i uśmiechnął się na ten widok. Przez drzwi domu wychyliła się głowa Walasindy. Patrzyli oboje, jak wóz bez pośpiechu wtacza się na podwórze. Klaudiusz ze śmiechem uwolnił się od dodatkowych pasażerów, zeskoczył

na ziemię i rzucił wodze jednemu z paru krzątających się bez pośpiechu po obejściu niewolników.

– Wojna! – oznajmił wszystkim dokoła. – Wojna będzie!

Starsze dzieci ustawiły się zaciekawione dokoła, młodsze wróciły do swoich zabaw. Walasinda wyszła, wycierając ręce w ścierkę. Beketar odłożył szczotkę, zostawił uwiązane konia i też podszedł do gospodarza.

– Jeszcze jedna? – mruknął. – Bijemy się już z buntownikami w Trypolitanii, ze zdrajcami na Korsyce i z Maurami prawie wszędzie... Z kim jeszcze tym razem?

– Maurowie, buntownicy... – lekceważąco machnął ręką Klaudiusz. – Tym razem to prawdziwa wojna. Z Rzymianami!⁵⁴

– Z Rzymianami? – zdziwił się Beketar. – Przecież oni walczą z Persją.

– Podobno cesarz Justynian zawarł z Persami pokój

i teraz szykuje wielką armię, by uderzyć na Kartaginę! Król Gelimer ogłosił mobilizację. Na koniec lata wszyscy zdolni do noszenia broni mają być do dyspozycji swoich tysięczników.

– Nie podoba mi się to – pokręciła głową Walasinda. – Mówiłeś, Beki, że nie będzie żadnej wojny z Cesarstwem.

– No, tak. Tak mi się wydawało – stropił się Beketar. – Ale od ogłoszenia wojny do samej wojny daleka droga. Może być tak, że nawet nie uderzą w tym roku, jeśli w ogóle.

– Tak, czy inaczej – wtrącił się Klaudiusz – jest też dobra wiadomość. Król ogłosił amnestię! Każdy, kto nie popełnił ciężkiej zbrodni, a zgłosi gotowość do walki z Cesarstwem, może liczyć na darowanie wszelkich win.

– Amnestia, Beki! – ucieszyła się Walasinda. – Będziesz mógł wrócić do Hippony!

Beketar nie odpowiedział od razu. Omiótł wzrokiem gospodarstwo, dolinę.

– Tak, wrócić... – odparł zamyślony. – Nie spodziewałem się, że kiedyś będę mógł wrócić...

– Wiesz, jeśli chcesz, możesz zostać – zapewnił Klaudiusz. – Zawsze jest tu dla ciebie miejsce.

– Dzięki, Klaudiuszu. Muszę się z tym przespać, ale chyba będę musiał wrócić. Nie mogę ukrywać się do końca życia.

– Pójdiesz na wojnę? – zaniepokoiła się Walasinda.

– Jestem... byłem agentem, kurierem. Poczta królewska jest kręgosłupem każdej wojny, a ta może być największą od wielu lat.

– Chodźcie, nie będziemy tak stać na słońcu – zagarnął ich ramionami Klaudiusz. – Trzeba to opić. Amnestię, znaczy się, nie wojnę.



Popołudniowe słońce zmieniło powietrze w palącą, mętną zawiesinę rozmazującą krajobraz niby wyjęte z pieca grube szkło. Rozgrzany pył, który wiatr zza gór przywiał znad pustyni, zacierał kontury, drażnił zaczerwienione oczy, zgrzytał między zębami i kręcił w nosie. Dla tych jednak, którzy mimo to zdecydowali się tego dnia na podróż, obecna aura wydobywała w nagrodę nieznane cienie i barwy, pastelowe kolory i nowe kontrasty, złoto morza i czerwień gór. Obrazy jak z najlepszych mozaik i malunków suto opłacanych z królewskiego skarbca artystów.

– Pieprzony pył – splunął z siodła Beketar, zsuwając z twarzy chustę. – Trzeba było zostać dziś w zajeździe – naciągnął jeszcze bardziej kaptur na głowę.

– Nie mamy już pieniędzy na takie postoje – przypomniał jadący obok Jonates. – I tak marudziliśmy po drodze. Poza tym, niedługo będziemy na miejscu.

– Co z tego, skoro na łaźnię też nie mamy pieniędzy? –

skrzywił się Beketar.

– Coś mi się widzi, że wcale nie chcesz tam wracać – pokręcił głową sługa. – Im bliżej celu, tym więcej marudzisz.

Beketar popatrzył na niego z irytacją, ale nie odpowiedział. Zasłonił twarz chustą i ponaglił konia do szybszej jazdy. Wkrótce zjechali pustym traktem w dolinę, w kołyszące się sennie pomarańczowym zbożem pola, w ustawione jak na paradzie rzędy nieziemskiej zieleni winnic, w kryjące kamienistą ziemię wieloma warstwami cieni sady poprzecinane co jakiś czas mętnymi wodami na dnie wpół wyschniętych kanałów.

Wczesnym wieczorem, tuż przed krwistym zachodem słońca, dotarli do przedmieść Hippony, mijając wracających do domów robotników portowych i inną biedotę. Przed skleconymi z byle czego rudarami otoczone gromadkami brudnych dzieci zmęczone kobiety szykowały posiłki na ułożonych z paru kamieni

paleniskach. W oddali po staremu białiał na wzgórzu nad miastem pałac komesa. Dojechali do linii dawnych murów, gdzie paru strażników zlustrowało ich tylko znudzonym wzrokiem i znaleźli się na głównej ulicy miasta. Ruch był już niewielki, przekupnie składali swoje stragany, powoli kończąc kolejny pracowity dzień. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch zakurzonych podróżnych na zmęczonych koniach.

– Miasto nawet nie zauważyło, że nas nie było, Jonatesie – skonstatował melancholijnie Beketar.

– To wielka niewdzięczność z jego strony – mruknął sługa.

– Robisz się strasznie bezczelny na stare lata, Jonatesie – z dezaprobatą pokręcił głową Beketar.

– Nie oczekuję już, że świat będzie taki, jakbym chciał, ani że będzie zwracał na mnie uwagę. Ja to nazywam dojrzałością – wzruszył ramionami sługa. – Niektórym tutaj też by się to przydało.

– Jesteś dojrzały jak skwaśniałe jabłko – uśmiechnął się mimo woli Beketar. – Jedźmy już. Może przynajmniej w pałacu ktoś na nas czeka.

W pałacu najwyraźniej nikt ich nie oczekiwał. Nieco zaskoczeni strażnicy u bramy, rozpoznawszy dawnego naczelnika poczty, kazali im pozostać na zewnątrz, podczas gdy któryś poszedł zawiadomić komesa. Beketar z Jonatesem zsiadli z koni i stanęli, czekając z kwaśnymi minami na odpowiedź. Nim ta jednak nadeszła, z bramy wypadły dwie wielkie, łyse i brodate postacie.

– Witaj, szefie! – ryknął tubalnie Bilbert.

– Dobrze w końcu cię widzieć! – zawtórował mu Frodulf.

Uścisnęli się serdecznie.

– I jak, szefie? – uśmiechnął się Bilbert. – Dobrze się bawiłeś? Ten tu – wskazał na Jonatesa – nie chciał nic nam mówić.

- Nie bardzo – mruknął Beketar.
- Wiedzieliście wszystko, co można, żeby nie wygadać się po pijaku – wtrącił się Jonates.
- Oj, tam – zachnął się Frodulf. – Nam możesz powiedzieć, szefie. Wino, kobiety i śpiew...?
- Raczej nie – skrzywił się Beketar. – Bardziej woda z winem, praca na gospodarstwie i wstawanie skoro świt. Starąłem się nie rzucać w oczy i odpracować ludziom, którzy mi pomogli.
- No, jak? – zdziwił się Bilbert. – Z takim majątkiem?
- Wszystko zostało tutaj – westchnął Beketar. – Przecież wiecie. Zdążyłem zabrać głównie zwoje i mapę, ale nie chciałem ich sprzedawać.
- A złoto? – konfidencko ściszył głos Frodulf. – Nie powiesz chyba, że nie pożyłeś sobie za te pieniądze?
- Jakie znowu złoto? – zdziwił się tym razem Beketar. – Jakie pieniądze?
- Szefie... Proszę cie... – uśmiechnął się Frodulf. –

Wszyscy wiedzą.

– O czym wiedzą? – zmarszczył brwi Beketar. – Mówcie jak ludzie. O co wam chodzi?

– O tę przesyłkę z królewskim złotem, którą zabrałeś – wyszeptał, ale niezbyt cicho, Bilbert.

– Przesyłkę? Ze złotem? – szeroko otworzył oczy ze zdziwienia Beketar. – Kto wam naopowiadał takich bzdur?

– No... nowy naczelnik, Fasirmus – zmieszał się Bilbert.
– Było tu całe śledztwo. Kazali ci oddać?

– Niczego nie kazali mi oddawać, bo niczego nie było – obruszył się Beketar. – Żadnego złota. To jakieś wredne kłamstwo!

– Serio? Niczego nie wzięłeś? – podrapał się po łysinie Frodulf. – Wiesz, byłeś w prawie po tym, jak cię potraktowali.

– Cholera, nie ukradłem żadnego złota! – sapnął Beketar. – Znaie mnie przecież. Trzy lata żyłem

w ukryciu, pracując na wsi!

– Dobrze, dobrze, szefie – uspokajająco uniósł dłoń Bilbert. – Wierzymy ci. Chociaż ja wtedy na twoim miejscu bym się nie krępował i zwinął im, co się da, prawda, Frodo?

– Jasne – potwierdził Frodulf. – Tyle złota, ile koń uniesie.

– I to Fasirmus rozповідаł takie rzeczy? – zasępił się Beketar. – No to, kurwa, pięknie! Byłem banitą, zostałem złodziejem.

– Bez przesady, nikt tak cię nie nazywa – poklepał go po ramieniu Bilbert.

– Raczej... człowiekiem interesu – uśmiechnął się Frodulf.

– Przedsiębiorczym awanturnikiem – uzupełnił z uśmiechem Bilbert. – I nie ma tego złego, kobiety to lubią.

– Tak, pocieszajcie mnie – mruknął Beketar. –

Wieczorem pójdziemy się chyba upić. Tylko nie "Pod kołem fortuny", bo mnie nie stać.



Komes Godagis przyjął go, siedząc za stołem z dłońmi złożonymi przy ustach.

– Cieszę się, że skorzystałeś z amnestii, ale nie mam tu dla ciebie żadnego interesującego zajęcia, Beketarze – zaczął bez przywitania po chwili ciszy. – Jestem zadowolony z obecnej współpracy z pocztą królewską...

– Po trzech latach pracy na gospodarstwie nie będę wybredny, Godagisie – wzruszył ramionami Bektar.

– Mówisz? – zastanowił się komes. – Cóż... W takim razie wybaczone, jeśli uznasz to za uwłaczające dla siebie... ale może przydałby nam się tu na miejscu własny kurier pocztowy, żebyśmy nie byli uzależnieni od kursów z Kartaginy. Pamiętasz tę robotę. Mogę poprosić Fasirmusa.

– Kurier... – mruknął Beketar. – A znajdzie się dla mnie jakiś ką w pałacu?

– Twoje stare pokoje są już zajęte. Ale każę coś ci znaleźć, choć nie spodziewaj się dawnych luksusów.

– Luksusów...! – parsknął Beketar. – Nie będę wybrzydzał, byleby było czysto i widno.

– Dobrze – westchnął Godagis. – Nie ukrywam, że nie jest mi to na rękę, ale wciąż mam wobec ciebie dług. Każę też Fasirmusowi oddać twoją willę. Tak – uprzedził pytanie Beketara. – Musiałem ją skonfiskować i oddać komuś... zaufanemu. Fasirmus nie będzie zachwycony, ale poinformuję go, że jesteś pod moją opieką. Nie nadużywaj tego jednak, proszę.

– Planuję sumiennie wykonywać swoją pracę. On nie będzie się mnie czepiał, ja nie będę miał nic do niego. Chociaż... – przypomniał sobie. – Doszły mnie słuchy, że obrabowałem jakiś transport złota. Podobno Fasirmus wie coś na ten temat.

– A, tak... – skrzywił się Godagis. – Powiedzmy, że w pewnym momencie było to... politycznie potrzebne. Nie będziemy wracać do tej sprawy, zresztą twój powrót utnie wszelkie spekulacje.

– Chciałbym w to wierzyć – mruknął Beketar. – Ale i niech tak będzie.



– Witaj, Beketarze! – przywitał go zachrypniętym głosem Fasirmus i rozpromienił się, jakby ujrzał dawno niewidzianego przyjaciela. – Zapraszam – błysnął imponującą kolekcją złotych zębów.

Oprócz złotego uzębienia, nowy naczelnik specjalnie się nie zmienił. Krępy, z siwiejącymi włosami w niedbałym nieładzie, choć w bogatej tunice, to jednak przybrudzonej lekko tu i tam. Beketar rozejrzał się z ciekawością po kancelarii. Wciąż mieściła się w tych samych pokojach co dawniej, poza tym jednak wyglądała

nie do poznania. Odnowione tynki, brak zacieków, świeżo bielone ściany, a pod nimi szafy pełne małych przegródek z dokumentami. Zniknęły zawsze zawalone papierami stoły, za to zaraz przy drzwiach ustawiono dużą ladę, przy której uwijał się drobny, ubrany po rzymsku mężczyzna dziwnie przypominający Jonatesa.

– Usiądź, proszę – Fasirmus wskazał gościowi krzesło, sam zaś rozsiadł się, jak zauważył Beketar, w jego własnym, dawnym fotelu. – Jak widzisz, wiele się u nas zmieniło – oznajmił z zadowoleniem nowy naczelnik. – Staramy się teraz iść z duchem czasu i potrzebami dworu.

– Tak, bardzo ładnie – odparł bez entuzjazmu Beketar.
– Godagis mówił, że dostanę jakiś pokój – zerknął odruchowo w stronę swojej starej sypialni.

– Jasne – uśmiechnął się szeroko Fasirmus. – Kurierzy zwykle śpią przy stajni, ale nie pozwoliłbym na coś takiego. Kazałem już przygotować niewielki pokój

na końcu skrzydła. Przepraszam, że trochę ciasny, ale innego nie mamy. Poza tym, to jednak zawsze kwatera w pałacu.

Beketar popatrzył na niego ze słabo skrywaną nieufnością.

– W sumie, może nie ma takiej potrzeby – odparł ostrożnie. – Mogę wynająć coś na mieście i...

– Nie, nie! – przerwał serdecznym tonem nowy naczelnik. – Jesteś teraz na królewskiej służbie i musisz mieć godne warunki. Poza tym, musisz być pod ręką na wypadek... jakichś pilnych wypadków. Dostaniesz kwaterę w pałacu i kropka. Mój sekretarz zaraz cię tam zaprowadzi. Ogarnij się, odpocznij, a jutro spróbuję znaleźć ci jakieś zajęcie – Fasirmus podniósł się z fotela.

– Niech i tak będzie – uśmiechnął się bez przekonania Beketar, wstając. – Dzięki – dodał mimo woli.

Fasirmus wyszczerzył złote zęby w szerokim uśmiechu.



Przydzielona kwatera mieściła się w dawnym składziku na czymś w rodzaju poddasza, skąd wygoniono gołębie, wymieciono myszy i umyto, trzeba było przyznać, do czysta podłogi i ściany. Przez niewielkie okienka przy podłodze, zasłaniane tylko drewnianymi klapkami, wpadało dość światła, by za dnia nie było ciemno, nie dość jednak powietrza, by nie było gorąco i duszno. Pomieszczenie było jednak dosyć przestronne, a wstawione do niego łóżko, stół i krzesła wyglądały całkiem porządnie.

– No, to wróciliśmy... – rozejrzał się krytycznym wzrokiem Jonates.

– Wróciliśmy? – zastanowił się Beketar, siadając przy stole. – Nie jestem pewien. Nie podobna wejść ponownie do tej samej rzeki⁵⁵. A tu, mam wrażenie, dużo przepłynęło nowej wody.

– Ta... Aż nas zmyło do tej nory – pokiwał głową

Jonates. – Niemniej, miło znów poczuć ten znajomy smród starej, dobrej Hippony. Nie wtrącam się, ale nie idziesz przywitać się z panią Brunfridą?

– Co? – drgnął Beketar. – Z nią? Nie, raczej nie. Pewnie i tak niedługo gdzieś na siebie wpadniemy. Podobnie jak na parę innych osób.

– Jak uważasz. Nie wtrącam się... – wzruszył ramionami Jonates. – Idę poszukać jakiegoś siennika.

*

– Do dupy z taką robotą – mruknął Beketar, zwalając się na łóżko. – Dał mi do sortowania listy i dokumenty, uwierzyłbyś? A niedługo pewnie każe mi jechać gdzieś z pocztą! – prychnął.

– Nigdy nie uważałem, by było coś złego w sortowaniu poczty – wzruszył ramionami Jonates. – I zawsze lepsze to od przerzucania gnoju w polu. Choć nie wykluczone, że przerzucałeś go w lepszym towarzystwie, niż to tutaj.

– Nie znam tu już połowy ludzi! – poskarżył się Beketar. – Biskupa Lindulfa przeniesiono podobno do jakiejś dziury na pustyni. Zastąpił go któryś z dalekich krewnych króla. Theuderyk od roku gości u Alamunda w Kartaginie, więc obowiązki tysięcznika pełni za niego najstarszy syn Godagisa. W radzie komesa ostał się tylko z ramienia kurii miejskiej Oktawian, z którym niedługo się widzę. No i Brunfrida jakimś cudem.

– W takim razie, chyba powinienes się cieszyć, będąc daleko od tego wszystkiego? – zauważył Jonates.

– Powinienem? – zastanowił się Beketar. – Heh... Może i tak. Muszę się zdrzemnąć. Obudź mnie za godzinę. Oktawian obiecał postawić dzban dobrego wina z okazji mojego powrotu.

Zbliżał się już wieczór, gdy Beketar zszedł wąskimi schodami ze swojego poddasza i ruszył pałacowym korytarzem w kierunku bramy. Przystanął na chwilę

na rozwidleniu prowadzącym w jedną stronę do wyjścia, w drugą do skrzydła, w którym mieszkała Brunfrida, ruszył jednak dalej swoją drogą. Miał właśnie wyjść na podwórze, gdy zauważył przemykającą korytarzem znajomą postać.

– Ermintruda? – zawołał za nią.

Odwróciła się zaskoczona.

– Beketar! – uśmiechnęła się, podchodząc. – Słyszałam, że wróciłeś. Cieszę się.

Siostrzenica komesa Godagisa nie zmieniła się wiele przez te trzy lata. Ładna, delikatna dziewczyna o dużych, smutnych oczach wyglądała może nieco poważniej, lecz wciąż, jak mimochodem zauważył Beketar, nosiła panieńską fryzurę. Uśmiechała się przyjaźnie, zdawała się być jednak bardzo zmęczona, może chora.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Ermintrudo – odpowiedział uśmiechem. – Niewiele tu już chyba

zostało życzliwych twarzy.

– Tak – spochmurniała. – Uważam, że to okropne, co cię spotkało, a jeszcze gorsze, co spotkało potem wielu innych.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą – odparł filozoficznie Beketar. – Nie było dobrze, ale wciąż się trzymam i znów tu jestem. A jak tobie się wiedzie w Hipponie?

– To niedobre miejsce – smutno potrząsnęła głową. – Ten dwór, ci ludzie, polityka... Tęsknię za dawnym życiem.

– Nie jest chyba tak źle? – spróbował ją pocieszyć. – Wuj z żoną na pewno o ciebie dbają.

– Tak... tak... – zmieszała się wyraźnie. – Są dla mnie... bardzo dobrzy. To ja ich zawodzę.

– Na pewno przesadzasz – uśmiechnął się przyjacielsko.

– Sama nie wiem... – popatrzyła na niego zmęczonym

wzrokiem. – Czasem zazdroszczę katolikom tych ich klasztorów, gdzie można w ciszy jednać się z Bogiem.

– Mówisz poważnie? – zdziwił się. – Jesteś młoda, piękna, całe życie przed tobą.

– Przepraszam cię, Beketarze – spuściła wzrok. – Muszę już iść. Naprawdę cieszę się, że mogłeś wrócić.

Odwróciła się i po chwili zniknęła w bocznym korytarzu. Beketar popatrzył za nią nieco zdeorientowany i ruszył w swoją stronę.

*

– Człowieku! Byłeś tu bogiem! Jak mogłeś dać się wydymać takiemu frajerowi jak Fasirmus?

Siedzieli z Oktawianem nad dzbanem wina w pełnej gości gospodzie "Pod Kołem Fortuny".

– Bogiem? – nie zrozumiał Beketar.

– Mogłeś tu wszystko! o wszystkim wiedziałeś,

każdego znałeś, za każdym mogłeś szepnąć właściwe słowo na dworze lub każdego pograżyć, pisząc do stolicy. Sam komes Farager, świeć Panie nad jego duszą...

– Zaraz! Moment! – przerwał Beketar, unosząc dłoń. – Naprawdę tak to widzieliście? – zmarszczył brwi.

– Mogłeś mieć złoto, wszystkie kobiety... – ciągnął podekscytowany Oktawian.

– Wszystkie? – parskną Beketar, kręcąc głową. – Ech... Nie potrzebuję wszystkich. Wystarczyłyby mi... tak ze dwie - trzy – uśmiechnął się.

– Ile chciałeś. Byłeś bogiem – powtórzył Rzymianin.

– Niestety, to nie było tak. Zupełnie nie tak – westchnął Beketar.

– Nie? – zdziwił się Oktawian.

– Nie.

– Dziwne... Gdybym to ja był na twoim miejscu...

– Tak, wiem – byłbyś tu bogiem – uśmiechnął się Beketar. – Niestety, dziś jesteś człowiekiem pijącym z kimś, kto dał się wydymać takiemu frajerowi jak Fasirmus. Nie jestem pewien, w jakim cię to stawia świetle. Nasze zdrowie. Gloria victis!

Roześmiali się i wychylili kubki do dna. A potem następne.

– Ostatnio byłem trochę odcięty od polityki, od informacji – podjął po chwili Beketar. – Co właściwie dzieje się w Trypolitanii i na Korsyce?

Oktawian rozejrzał się ostrożnie dokoła.

– To nie są, że tak powiem, popularne tematy – pochylił się do Beketara, ścisząc głos. – Przed około rokiem podnieśli bunt Rzymianie w Trypolitanii. Wyparli nasze garnizony – niewielkie, trzeba przyznać – i poprosili cesarza o wsparcie. Podobno niektórzy mówili Gelimerowi, że Trypolitania to tylko dalekie peryferia i broniąc ich, niepotrzebnie rozpraszamy nasze siły, jednak król – Oktawian rozejrzał się jeszcze raz – król

nie po to obalił niezbyt wojowniczego Hilderyka, by teraz samemu odpuszczać takie sprawy. Zaczął organizować wyprawę, ale tymczasem doszło do zdrady na Korsyce.

– No, Korsyka to poważniejsza sprawa – pokiwał głową Beketar. – Bez drewna z Korsyki nasza flota będzie miała kłopoty. Co tam się stało?

– Dokładnie – potwierdził prokurator. – Gelimer mianował zarządcą Korsyki swojego zaufanego, jak się wydawało, dworzanina, Gota Godasa. A ten, jak tylko dotarł na miejsce, zebrał wszystkich niechętnych królowi, wszystkich zesłańców⁵⁶, różnych zbirów i ogłosił się udzielnym władcą. Zaczął spiskować z cesarzem i kazał nazywać się królem. Trzeba więc było przygotować ekspedycję morską, a jednocześnie wzrosło ryzyko rzymskiej inwazji, tu w Afryce. W efekcie król wysłał niedawno na Korsykę główną część naszej floty i parę tysięcy wojska pod swoim bratem Tazonem, a sam organizuje armię tu, na miejscu.

– Próbuja ciąć nas jak kawał pieczeni – Po plasterku. Od wschodu, od zachodu... – westchnął Beketar.

– Zanosi się, że za chwilę spróbują połknąć cały udziec
– stwierdził niewesoło Oktawian. –Tylko czekać cesarskiej armii.

– Przed żniwami? Nie sędzę – pokręcił głową Beketar. – Zresztą, kto by wojował w najgorsze upały? Poza tym, Justynian musi zebrać wielką flotę, sojuszników, zapasy. Dopiero co skończył jedną wojnę.

– Może i masz rację – mruknął Oktawian. – Wiesz, co? Zamówię następny dzban.



– Boże, moja głowa – jęknął Beketar, podnosząc się z łóżka. – Co ja wczoraj piłem? Co wczoraj robiłem? – spojrzał na powalane brudem ubranie.

– Nie wiem, ale masz na sobie ślady damskiego barwika i bełkotałeś coś o Brunfridzie – z dezaprobatą

pokręcił głową Jonates. – Zdaje się, że miałeś z nią skończyć.

– Miałem – stęknął Beketar. – Nic nie pamiętam...

– Frido... – stęknął nieśmiało, gdy otworzyły się drzwi.

– O! W końcu przypomniałeś sobie o mnie?! – wybuchła perlistym śmiechem.

Wciąż wyglądała młodo – nienaturalnie młodo – A jednak postarzała się w jakiś trudno uchwytny sposób. Jakby tuż pod czarnymi włosami czaiła się sugestia siwizny, a rumiana cera tylko przykrywała woskową maskę. Jakby czas coraz bardziej napierał na łataną w pośpiechu tamę pękającej młodości. Beketar otrząsnął się z ponurej wizji. Nie, to z pewnością wciąż była dawna Brunfrida – piękna, uwodzicielska i... No, tak – cyniczna, bezczelna i wyrachowana – przypomniał sobie.

– Czy my...? Czy wczoraj... – spróbował złożyć jakieś składne zdanie.

– Przypomniałeś sobie o mnie?! – powtórzyła, zaśmiewając się.

Popatrzył na nią zdezorientowany.

– Przepraszam cię, Beki – wciąż śmiejąc się, wzięła go pod ramię. – Zaraz mam iść do Godagisa w sprawie żywności dla wojska. Odwiedzę cię potem – odciągnęła go od drzwi.

– Zobaczymy się? – popatrzył na nią z nadzieją.

– Oczywiście – uśmiechnęła się szeroko.

– O której?

– O której chcesz.

– Przyjdź na kolację.

– Dobrze. Do zobaczenia, Beki – delikatnie popchnęła go z powrotem.

– Czego on od ciebie chciał, Brunfrido? – spytał podejrzliwie siedzący na łóżku półnagi młodzieniec. – Nie podobał mi się.

– Beketar? To nic – stare dzieje – mruknęła niezadowolonym tonem.

– Nie podoba mi się – powtórzył.

– Zostaw go – popatrzyła na niego ze złością. – Dziś jest nikim i nie musisz zawracać nim sobie głowę.

– Mimo to, jestem ciekaw... – nie ustąpił

– Ciekaw?! – syknęła. – Ty jesteś czegoś ciekaw, poza własnym fiutem?! Ubieraj się! – warknęła. – Ubieraj się i wynoś!

– Brunfrido...?! – uspokajająco unióś dłonie mężczyzna.

– Spieprzaj stąd! Rozumiesz?! – rzucił w niego jego własnym butem.

– Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić! – zaprotestował.

– Nie?! – wzięła się pod boki. – A kim ty jesteś?! Potrafisz tylko machać mieczem jak cepem i tak ci też zostało w łóżku! A może... Może umiesz czytać i pisać?!

– Czytać i pisać? – popatrzył na nią całkiem zdezorientowany. – Ale po co?

– Albo może wiesz, kto to Owidiusz?! – przerwała gniewnie.

– Nie znam człowieka!

– Lub słuchałeś kiedyś jakichś wierszy, które nie mówią o wojnach, gwałtach i piciu piwa?!

– Za kogo ty mnie masz? – obruszył się. – O co ci w ogóle chodzi?

– Wynos się!

– Ale...

– Jeszcze słowo i wezwę straż! – warknęła – I ty też! –

ściągnęła koc, odsłaniając drugiego młodzieńca, śpiącego nago pod spodem. – Wynocha! – zepchnęła go z łóżka, gdy zdeorientowany otworzył oczy i podniósł głowę.

Beketar obudził się rano z głową na stole. Pusty dzbanek po winie leżał obok, wczorajsza kolacja stała na półmiskach nieruszona, воск z wypalonych świec rozlał się dookoła jak magma. Gdy później spotkał Oktawiana, ten parsknął tylko śmiechem.

– Przedwczoraj? Nie pamiętasz? – zachichotał. – Byliśmy na dziwkach.



Beketar klęczał na środku pustego korytarza gdzieś na uboczu pałacowego ruchu, między schodami na poddasze, a drzwiami do różnych zapomnianych komórek i rupieciarni. Wpadające przez niewielkie okna promienie słońca cięły zakurzone powietrze jak noże,

oświetlając jasnymi pasami rozłożone na posadzce papirusy. Rozwinięte jeden obok drugiego zwoje łączyły się w wielką, wciąż pełną białych plam, mapę świata. Nad wznoszącą się naprzeciw Sycylii Kartaginą pochylała się kobieta z naręczem kłosów, Rzym błogosławił mężczyzna w todze, z wieńcem laurowym na głowie; podobny, lecz z brodą, stał na straży odległego Konstantynopola. Miasta, prowincje, nowe królestwa rozłożyły się kolorowymi farbami na długich zwojach papirusu. A gdzieś dalej Brytania, Hibernia, Galia, Germania, Sarmacja, wyspa Skandia. A z drugiej strony Persja, Armenia, Baktria, Indie. Beketar z piórem w ręku poprawiał, klęcząc na podłodze – tu linie, tam litery, gdzieś kontur rysunku. Skrzypnęły schody. Obejrzał się z roztargnieniem.

– Nie teraz, Jonatesie – na widok sługi spróbował odpędzić go ruchem dłoni.

– Znalazłem go jak myszkował po strychu – nie odstał Jonates, wypychając przed siebie szczupłego,

naburmuszonego chłopaka. – Twierdzi, że się zgubił.

– To go odprowadź – mruknął Beketar, wracając do swojej pracy.

– Mówi, że jest synem komesa Godagisa – wyjaśnił Jonates.

Beketar uniósł głowę znad mapy. Przyjrzał się chłopakowi ze zmarszczonymi brwiami. Ten stanął niepewnie pod ścianą, zerkając niespokojnie spod opadających na oczy ciemnych włosów. Był dosyć chudy, ale sądząc po stroju raczej nie z niedostatku.

– Przypomnij mi – jak się nazywasz, chłopcze? – spytał, nie wstając, Beketar.

– Ritigern, proszę pana⁵⁷ – bąknął, ni to zaczepnie, ni nieśmiało chłopiec.

– Ile masz lat, Ritigernie?

– Dwanaście, proszę pana. Prawie.

– To pewnie nie bawisz się już zabawkami? – westchnął Beketar. – Zresztą, nie mam tu żadnych. Usiądź gdzieś

sobie na chwilę. Muszę coś skończyć, a później odprowadzę cię do ojca. Jonatesie – zwrócił się do sług – trzeba jeszcze dokończyć sortowanie poczty dla Fasirmusa. Zajmij się tym.

Jonates westchnął i bez słowa zawrócił schodami na górę. Beketar wrócił do rozłożonej na podłodze mapy świata. Obejrzał pióro, odłożył je na bok i sięgnął po nowe. Kątem oka zobaczył, że chłopak przykucnął na brzegu mapy i rozgląda się ciekawie po kolorowych konturach. Beketar naostrzył pióro i wziął się do rysowania. Po jakimś czasie Ritigern podniósł się i zaczął spacerować dokoła rozwiniętych zwojów.

– Tylko niczego nie dotykaj! – rzucił Beketar, nie odrywając się od pracy.

– Proszę pana...? – Ritigern z zainteresowaniem nachylił się nad mapą.

– Tak? – unióś głowę Beketar.

– Co to za zwierzę? – chłopak wskazał na narysowany

między falami kształt z mackami.

– To taka ozdoba – mruknął Beketar.

– Aha.

Ritigern przez chwilę przyglądał się, jak pióro kreśli kolejne linie.

– Proszę pana...?

– Tak? – Beketar podniósł głowę, starając się ukryć irytację.

– Dlaczego tu jest napisane, że tu mieszkają filozofowie? Ojciec mówił, że filozofowie mieszkają w Grecji.

– Umiesz czytać? – zdziwił się Beketar.

– Tak. Ojciec mówi, że przynajmniej jedna osoba w rodzinie powinna czytać i pisać – wyjaśnił chłopiec.

– To co tu jest napisane? – Beketar wskazał miejsce na mapie.

– Galia.

– A tu?

– Germania Magna.

– A tu?

– Silingia.

– Wiesz co, Ritigernie? – uśmiechnął się Beketar. – Chyba mam coś, co ci się spodoba. Poczekaj tu i niczego nie ruszaj – wstał i zniknął na schodach prowadzących na poddasze.

Wrócił po chwili, trzymając w ręce jakiś zwój.

– Widzisz tego potwora z węzami na głowie? – wskazał na mapę, rozwijając przyniesiony papirus. – To Meduza. Posłuchaj: *Spytał z nich jeden: »Z jakiej Meduza przyczyny / Ma sama włosy z węzów z całej sióstr rodziny?» / – »Zaspokoje ciekawość uczty towarzysza, / Rzecz jest godną słuchania – mówi syn Jowisza / – Roztaczała Meduza swej piękności blaski / I młodzież się starała liczna o jej łaski; / Miała włosy tak piękne, jak ich widać mało, / Wielu mi to mówiło, bo ją wielu znało. / Miała schadzkę z Neptunem w Pallady*

*świątyni. / Oburzenie Egidą zastania bogini / Lecz bezkarnie
darować nie chce przewinienia; / Więc powabne jej włosy
w kręte węże zmienia, / A na postrach swym wrogom i dla ich
boleści / Te węże, znak swej zemsty, na Egidzie mieści⁵⁸ –
podał zwój chłopcu. – Proszę, poczytaj sobie.*



Księżyc w pełni zalał wijący się między krzakami kamienisty szlak pod górę zimnym, bladym blaskiem, oświetlając dwóch jeźdźców wspinających się powoli w stronę łysego szczytu wzgórza. Beketar z Jonatesem jechali bez latarni, bez żadnej pochodni, ostrożnie, rozglądając się uważnie na boki.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, Beketarze? – szepnął Jonates. – Nikt nie odebrał naszej wiadomości, nikt nie odpowiedział. Może trzeba było poczekać do następnej pełni?

– Już o tym rozmawialiśmy – machnął ręką Beketar. –

Mogli po prostu zmienić skrzynkę kontaktową. A jeśli ktoś ją przejął, to dawno temu, skoro nie było zasadzki; w końcu znam się na tym. Nie mamy się czego obawiać.

– Mogli też zmienić miejsce, termin, wszystko. Trzeba było popytać, rozejrzeć się... – odparł nieprzekonany sługa.

– Właśnie jedziemy się rozejrzeć, Jonatesie – uśmiechnął się Beketar. – Wyciągnij kaptury.

Wyjechali na otwartą przestrzeń na szczycie. Przed nimi, jak dawniej, ukazały się skąpane w księżycowym chłodzie zarysy starych ruin; przełamane kolumny, zwalone ściany, porośłe krzakami kamienie. Beketar nałożył na głowę kaptur z rysunkiem konia i ściągnął wodze, wpatrując się w mrok.

– Nie widzę latarni – szepnął po chwili.

– Mówiłem – pokiwał głową Jonates w kapturze z wielorybem. – Lepiej wracajmy.

Beketar bez słowa zeskoczył z siodła, złapał konia za uzdę i ostrożnie ruszył w stronę ruin. Służący westchnął tylko głęboko i poszedł w jego ślady.

Resztki starej świątyni pogrążone były w nocnej ciszy. Coś jednak zmieniło się odkąd byli tu ostatni raz. Gdy znaleźli się bliżej, zobaczyli ściany poczerniałe od sadzy i otaczający je szeroki pas spalenizny zarastający już powoli nowymi krzakami. Beketar uwiązał konia do najbliższej kępy, poprawił długi nóż u pasa i dał Jonatesowi znak, by ten pozostał na miejscu. Odszukał bez kłopotu wąską ścieżkę, pochylił się i zniknął między kamieniami.

Ogień wypalił wszystko wkoło, poczernił, nadkruszył kamienie, lecz musiało być to już dość dawno, by uparta, kolczasta roślinność suchych wyżyn upomniwała się z powrotem o niemal każdy zacieniony, obiecujący wilgoć kąć. Mimo to, same ruiny pozostały wciąż nagie, osmalone, jak krzywe kikuty sterczące z pogorzeliska; tam gdzie kiedyś huczał ogień, teraz

w niezmałconej, chłodnej ciszy. Beketar dotarł do znajomego wyłomu w ścianie i znieruchomiał. Ostrożnie, by nie wydać żadnego dźwięku, wysunął z pochwy nóż. Z wnętrza, gdzieś z głębi zawalonej sali dochodził ledwo dostrzegalny, chybotliwy blask. Beketar odczekał chwilę, nasłuchując i ostrożnie zajrzał do środka. Tam, gdzie między kamiennymi ścianami zbierały się kiedyś w świetle pochodni zakapturzone postacie, płynęło teraz z góry jedynie blade światło księżyca. Jednak pod samą ścianą, na dużym kamiennym bloku palił się wątłym ognikiem mały kaganek.

– Jest tu kto? – rzucił Beketar półgłosem, który zabrzmiał w tym miejscu prawie jak krzyk. – Kto o ś w i e c a ciemności? – dodał niepewnie.

Coś zaszurało między kamiennymi blokami i z ziemi podniosła się jakaś niewyraźna postać, która musiała leżeć tam niewidoczna w mroku. Dźwignęła się na kolana odwrócona twarzą do ściany, wykonała ku niej jakiś gest, może znak krzyża, po czym powstała,

zwracając się ku przybyszowi.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – odezwał się spod płaszcza z głębokim kapturem nieco wystraszony, męski głos.

– I ja go chwale – odparł automatycznie Beketar, opuszczając nóż.

– Nie ma tu niczego cennego – rozłożył ręce człowiek w płaszczu. – Ale mam kawałek chleba i... – urwał nagle.

Podniósł z kamienia kaganek i uniósł go wyżej, w stronę Bektara.

– To ty – bardziej stwierdził, niż spytał drżącym głosem. – Ciekaw byłem, co się z tobą stało, czy też przeżyłeś.

– Kim jesteś? – Beketar, wciąż z nożem w dłoni, wszedł dalej, w krąg światła.

– Nazywam się Athalwolf, choć okoliczni ludzie tutaj nazywają mnie pustelnikiem Adolfusem – rzucił kaptur, odsłaniając zmęczoną, ogorzałą twarz z długimi, jasnymi

włosami i splątana broda.

– Znam cię? – przyjrzał mu się uważnie Beketar.

– Kiedyś, w innym życiu, byłem również bratem Strzałą
– westchnął pustelnik.

– Brat Strzała? – wykrztusił zaskoczony Beketar. – To ty?

– Nie – pokręcił głową mężczyzna. – Już nie.

Usiadł na jakimś skalnym bloku, odstawiając kaganek. Dopiero teraz Beketar dostrzegł stojący pod ścianą niewielki drewniany krzyż. Schował nóż i usiadł naprzeciw dawnego znajomego.

– Co tu się stało? – zatoczył ręką dokoła. – Co tu robisz i gdzie są inni? – sięgnął ręką, by ściągnąć z głowy kaptur.

– Nie! – powstrzymał go Adolfus. – Nie zdejmuj go. Lepiej, żebym nie znał twojej twarzy... bracie Koniu – dodał z wahaniem.

– Nie było mnie prawie trzy lata, musiałem nagle

wyjechać daleko stąd – wyjaśnił Bektar. – Chcę teraz wrócić do Zgromadzenia, ale dawne kontakty milczą. Co się stało?

– Nie ma już Zgromadzenia – przeczesał palcami brodę pustelnik. – Jakies dwa lata temu... ktoś wydał nas biskupowi Thagasty. Biskup urządził zasadzkę. Ci, którzy przyjechali wtedy na spotkanie, bronili się – jeśli dobrze poszukasz, znajdziesz jeszcze na kamieniach ślady krwi – więc w końcu wzięli ich ogniem. Część zginęła tutaj, innych zamęczono w lochach biskupa, niektórych skazano na śmierć. Byli też tacy jak ja, którym w końcu pozwolono odpokutować ich grzechy – pokiwał głową. – Założyłem tu pustelnię i wyrzekłem się dawnych herezji – popatrzył smutno na rozmówcę.

Bektar wstał i zaczął w milczeniu chodzić po zrujnowanej sali, śledzony zatroskanym wzrokiem Adolfusa. Cienie i kamienie, czarne kąty i blade półmroki – ruiny nie skrywały nic więcej, prócz wspomnień.

– Trudno uwierzyć w to, co mówisz, bracie Strzało –

potrząsnął głową Beketar.

– Athalwolfie – poprawił pustelnik.

– Tyle wiedzy, tyle mądrości...

– To były tylko herezje, podszepty szatana – mruknął Adolfus.

– I ty to mówisz? – obruszył się Beketar. – Nie pamiętasz naszych rozmów? o bogach, o demonach, o dawnych opowieściach? Dyskusji o uczonych księgach?

– *Vanitas vanitatum – omnia vanitas*⁵⁹ – potrząsnął głową pustelnik. – Wiesz, że w pobliskiej wsi urodziło się niedawno dwugłowe cielę? A podobno gdzieś pod Kalamą kogut zniósł jajo, z którego wykluły się węże. Koniec jest bliski, bracie Koniu, a my powinniśmy modlić się i pokutować za nasze grzechy.

– Więc leżysz tu krzyżem w środku nocy, na zimnych kamieniach tylko za to, że czytałeś uczone księgi?

– Nie, nie tylko – zachmurzył się Adolfus. – I wątpię, by

starczyło mi wszystkich nocy świata, by odpokutować to, co zrobiłem... naszym braciom – westchnął. – Idź już, bracie Koniu. Nie ma tu już niczego dla ciebie.

– Ale... – zająknął się Beketar.

– Idź stąd i nie wracaj – potrząsnął głową pustelnik. – Będę się modlił za ciebie.

Wstał, zarzucił kaptur na głowę, uklęknął, przeżegał się i legł krzyżem na zimnych kamieniach. Beketar wstał również i tkwił przez chwilę bez ruchu, jakby nie wiedząc, co zrobić. W końcu odwrócił się i wyszedł bez słowa tam, skąd przyszedł. Gdy pojawił się przy koniach, Jonates aż podskoczył z przestachu.

– Myślałem, że to duch! – sapnął. – Długo cię nie było. Znalazłeś coś?

– Nie – mruknął Beketar, zdejmując z głowy kaptur. – Tylko cienie.

Zastanowił się moment, po czym zwinął materiał i cisnął zmiętym kapturem gdzieś w krzaki.



– Witaj, Beki – uśmiechnęła się przyjaźnie Brunfrida. – Jeszcze raz – naprawdę bardzo się cieszę, że wróciłeś.

Stali na jednym z pałacowych podwórz, niedaleko pluskającej fontanny. Popatrzył na nią ostrożnie, wietrząc jakiś podstęp, ale wyciągnęła do niego ręce na przywitanie. Podał więc jej swoje i uścisnęli sobie serdecznie obie dłonie. Drgnęli w sugestii jakiegoś ruchu, jakby przez mgnienie oka chcieli się objąć, lecz coś wstrzymało ich w miejscu, nim jedno mogło nabrać pewności co do intencji drugiego.

– Też się cieszę – odpowiedział uśmiechem Beketar, siadając na kamiennej ławce.

Usiadła obok; nie za blisko, ale i nie daleko. Przez chwilę obserwowali fontannę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Masz kogoś? – spytała w końcu.

- Czekałem na ciebie długo – uśmiechnął się smętnie.
- Ale nie aż tak długo – pokiwała głową.
- Trzy lata to wystarczający czas, by nauczyć się żyć bez ciebie – stwierdził, nie patrząc na nią. – *Podobno cierpliwość jest kochanków cnotą / lecz jak długo być można cnotliwym idiotą?* – wyrecytował.
- To znów ten twój Owidiusz? – uśmiechnęła się.
- Nie – pokręcił głową. – Tym razem to mój Beketar.
- Może być – roześmiała się. – Dlaczego sam czegoś nie piszesz, Beki?
- Z miłości do poezji – wyjaśnił z melancholijnym uśmiechem. – *Gdy cię poznałem, ta myśl mnie urzekła / droga do nieba wiedzie skrajem piekła* – wyrecytował znów. – Oł, takie sentymentalno-ckliwe bzdety. Nie – uciszył ją, nim doszła do słowa. – Taką mam umowę z muzami. Ja ich nie napastuję, a w zamian one mnie bawią i nie psują moich map.
- Oj, Beki... – pokiwała wyrozumiale głową. – Ładna

jest?

– Kto? A, nie – machnął ręką. – Po prostu przestały mnie interesować te rzeczy.

– Nie wierzę – parsknęła.

– No dobrze, nadal mam te nieprzyzwoite ryciny – uśmiechnął się łobuzersko.

– Marnujesz taki talent – roześmiała się. – I rozboli cię nadgarstek.

– Ale nie serce – wyszczerzył zęby.

– Wróciłbyś do mnie, gdybym poprosiła? – spytała poważniejszym tonem.

Zastanowił się, patrząc na wodę spływającą po kamieniach.

– Ech... Gdybym tylko wierzył, że tym razem będziesz... – westchnął. – Ale ty istniejesz tylko w ścianach tego pałacu, Frido. Krok dalej jest już tylko pustka.

– Wróciłbyś do mnie w tych ścianach? – popatrzyła na niego uważnie.

– Nie miałbym siły, by ci odmówić – odparł poważnie.
– Ale poproś, a będę cię za to nienawidził.

– Będziesz mnie nienawidził jeśli nie poproszę – pokiwała głową. – Ale ja nigdy nie proszę.

– Nienawidzę cię, Frido – uśmiechnął się.

– Też cię uwielbiam, Beki – odpowiedziała czarującym uśmiechem.

– Co teraz?

– Teraz wrócimy do siebie, do swoich zajęć.

Uniósł brwi.

– Jak gdyby nigdy nic?

– Bo nigdy nic, Beki.

– No, tak – z rezygnacją pokiwał głową.

– Zaproszę cię kiedyś na kielich dobrego wina – powiedziała, wstając.

– Oczywiście – parsknął bezgłośnie.

– Naprawdę się cieszę – powtórzyła z uśmiechem. –
Trzymaj się, Beki.

– I ty też, Frido – skinął jej głową.

Został, słuchając plusku fontanny, nim w końcu znalazł go Frodulf z jakimś poleceniem od Fasirmusa. Brunfrida wróciła do siebie i kazała nalać sobie wina, potem jednak zmieniła zdanie i poleciła piśmiennej służącej iść pożyczyć od Oktawiana coś z utworów Owidiusza. Gdy ta w końcu wróciła z wymiętym zwojem "Listów z Pontu", Brunfrida kazała sobie czytać, lecz już w połowie trzeciego listu odesłała dziewczynę i wróciła do wina.

sierpień 533 roku



Beketar ściągnął wodze i stęknął, poprawiając się w siodle, podczas gdy zdyszany koń przeszedł z galopu w wolny chód. Kamienista droga skręcała tu na powrót w stronę morza, by zaraz potoczyć się łagodnymi zakosami w dół zbocza ku rozwijającej się poniżej zielonym dywanem kolejnej równinie. Skaliste, porośnięte karłowatymi drzewami wzgórza, urwiste brzegi, następnie uprawne równiny z błotnistymi jeziorami i kamienistymi plażami, potem białobure wsie i miasteczka, małe przystanie rybaków, upał, pył i skrzek mew na bezchmurnym niebie. Trudno powiedzieć, dlaczego wybrał ten wąski szlak wzdłuż morza, zamiast wygodnego, pełnego pocztowych stajni traktu przez Simitthu. Może po prostu nie chciał spotkać znajomych,

którzy pamiętali go jeszcze jako naczelnika. W ogóle, drogę z Hippony do Kartaginy łatwiej i przyjemniej byłoby pokonać wodą, jednak czasami szybciej, a przynajmniej taniej, było pchnąć konnego kuriera. Królewska poczta musiała iść bez względu na kaprysy pogody i humory morskich kupców.

Beketar poprawił sakwę, poprawił, krzywiąc się, gruby koc pod siedzeniem, obrzucił ponurym spojrzeniem przyglądających mu się ciekawie ludzi – rolników wędrujących z towarami na plecach, woźniców przysypiających na zaprzężonych w woły wozach i różnych włóczęgów – i skierował konia dalej szlakiem ku równinie. Poniżej, nad lazurową zatoką o najeżonym skalnymi igłami brzegu, u ujścia brunatnej rzeki rozłożyło się spore miasto. Jak nieco mniejsza wersja Hippony z niewielkim portem osłoniętym od morza dużą wyspą, która podczas odpływów zmieniała się prawdopodobnie w nietrwały jak sen półwysep. Na skalistym szczycie wyspy stało kilka prostych budynków

i mały kościół – może to był ten katolicki klasztor, na który królowie przymykali oko – nie widać było tam jednak większego ruchu. Co innego w mieście, gdzie ludzie przelewali się ulicami jak rzeczny szlam. Przy nadbrzeżu cumowało kilka ciężkich statków czekających zapewne na transport słynnego żółtego marmuru z pobliskiego Simitthus. Tak wyglądała Tabraka – kolejny ważny, lecz prowincjonalny port wandalskiego wybrzeża.

Beketar przecisnął się przez zatłoczone, pełne zgiełku ulice w stronę dużej po-rzymskiej rezydencji będącej siedzibą lokalnego komesa, zamiast do środka, skierował się jednak do przyklejonej na tyłach niewielkiej stajni. Przywitał się zdawkowo z naczelnikiem miejscowej poczty – nie tym, którego znał jeszcze trzy lata wcześniej – zjadł coś pospiesznie, popił cienkim winem z wodą i parę kwadransów później wyjeżdżał już na świeżym koniu w dalszą drogę. Mijał właśnie ubogie przedmieścia przy drodze na Kartaginę, gdy od strony

wyspy odezwał się kościelny dzwon. Bammm... Beketar zatrzymał konia i obejrzał się w stronę odległej dzwonnicy, ale dzwon umilkł tak nagle jak się odezwał. Jeździec przez chwilę przyglądał się wyspie, w końcu jednak popędził konia w dalszą drogę. Ledwo zwierzę ruszyło z miejsca, dzwon odezwał się znów, tym razem jednak inaczej. Bammm... mmm... mmm... – głęboki dźwięk zawisł w powietrzu wibrujący, jękliwy, przeciągnięty bez końca, jakby to powietrze zgęstniało jak miód, nie pozwalając ulecieć mu w dal. ...mmm... mmm... mmm... Jak mewa szybująca pod wiatr, która nie przesuwą się nawet o metr. ...mmm... mmm... mmm... Wszystko zwolniło. Ludzie, zwierzęta, wozy – na drodze i w polu – zaczęli zastygać jak spływający po świecach воск, jak udający lunatyków mimowie w teatrze. I, jak w teatrze, gdy lustra niosą na scenę blask ognia, rozlała się dookoła fala gorejącego światła. Beketar, pokonując lekki opór rozgrzanego powietrza, zmrużył oczy i obrócił głowę. Obok, kamienistym traktem płynęła jaśniejąca postać czarnowłosego anioła.

...mmm... mmm... mmm... Szemał powolnym ruchem uniósł głowę i czarny jak węgle wzrok spoczął na jeźdźcu. ...mmm – wybrzmiał niespodzianie dzwon. I nagle, jakby ktoś podniósł znad świata szklany kloz. Zniknął ten dziwny opór, zniknęła powolność ruchów, a lekki wiatr znad morza zdmuchnął z drogi jasne, gorące powietrze. Rozwiął się również białoskrzydły wędrowiec i wszystko ruszyło dalej, jak gdyby nic nie zaszło. Beketar zatrzymał konia i rozejrzał się niespokojnie, nerwowo, jednak ludzie na drodze po prostu szli dalej, zdając się nieświadomi jakichkolwiek zjaw. Odczekał chwilę, ale świat dookoła toczył się spokojnie przed siebie. Popędził więc konia do dalszej jazdy. Gdy tylko ten ruszył, dzwon z wyspy zabił jeszcze raz – bamm... mmm... mmm... – i wbił kolejny klin w budowlę czasu, a wszystko zalał jasny, gęsty syrop gorącego powietrza.

– ... i na końcu królestwa koniec drogi – usłyszał tylko Beketar głos jak z głębi hutniczego pieca.

Świetlista postać Szemala przygasła nieco, przygarbiła się i popłynęła dalej zawieszonym w bezruchu traktem do Kartaginy. ...mmm... mmm... mmm. Dźwięk dzwonu uleciał ku morzu, budząc wszystko do jawy. Beketar ocknął się i rozejrzał dokoła. Wciąż tkwił w siodle, choć wodze wypadły mu z rąk, ale kurierski koń i tak szedł sam powoli szlakiem na wschód. Tabraka została już z tyłu i tylko daleki dzwon dźwięczał – jak każdy inny dzwon – od strony starego klasztoru na wyspie.



Kartagina – niegdyś trzeci Rzym – wyłaniała się znad szerokiej, nadmorskiej równiny powoli, niemal niepozornie ponad rozległą mozaiką pól i poletek, sadów, gajów, słonych jezior i kanałów pokrywających całą okolicę aż po samo wybrzeże. Najpierw ukazywały się w oddali, jak dwa garby wielbłąda, wzgórze Byrsy i wyniosły gmach amfiteatru, a potem

długo, długo tylko jakaś ciemniejsza linia na horyzoncie, trochę jedynie wyższa od falujących wokół łąnów zboża. Aż w końcu nagle, niemal niespodziewanie, pojawiał się odcięty dwiema lagunami rozległy półwysep, a ciemna linia stawała się jednym z największych miast całego znanego świata. Potężne niegdyś mury miejskie – nie te potrójne, dumne fortyfikacje, które spędzały sen z powiek Katonowi, po tych nie został już dawno żaden ślad, lecz o sto lat późniejsza, solidna robota rzymskich inżynierów – te mury też leżały w gruzach, zwalone dawno temu przez pewnych siebie, lecz niepewnych kupieckiej lojalności wandalskich zdobywców. Teraz odcinały starą Kartaginę od reszty świata źle zagojoną blizną rumowiska, pozarastaną kępami krzaków, obrosłą naroślami lepierek, przysypaną kupami śmieci. Uwolnione z kamiennego gorsetu miasto rozlało się dalej, na pola niekontrolowaną falą bud, budek, szop, baraków i straganów – wylęgarnią much i taniej siły roboczej. Wewnątrz dawnych murów otwierał się jednak zupełnie inny świat – świat bielonych, kamiennych

domów, równo wytyczonych, brukowanych ulic, świat kolumn i posągów. Miejsce, w którym mógł wznieść się wielki jak góra amfiteatr dla trzydziestu tysięcy widzów, mógł rozciągnąć się długi jak cała dzielnica hipodrom, mógł rozłożyć się port godny mitycznych Atlantów. Pewnie! I tu widziało się krzywe dachy, odpadające tynki, pokruszony bruk, zgarnięte byle jak kupy śmieci, brud i żebraków. Wszystko to ginęło jednak w ogólnym wrażeniu dostatku, energii i niekończących się możliwości. Kartagina kwitła niezależnie od upływu wieków, niezależnie od swoich przychodzących i odchodzących władców – jako zmora i jako spichlerz Rzymu, jako punicka stolica i jako perła Wandalów, jako część cesarstwa i jako jego wróg. Jakby, już raz zrównana z ziemią i posypana solą, miała żyć wiecznie i prosperować na wieki⁶⁰.

Beketar szybko, choć bez nadmiernego pośpiechu, przebył zakurzoną, pełną wozów i podróżnych drogę i dopiero bliżej miasta pospieszył konia do tempa

oczekiwanego od królewskich kurierów. Przejechał pod imponującym akweduktem dostarczającym wodę do miasta, parę razy zadał nawet w róg, by dostać wolny przejazd i przecisnął się przez tłoczne, śmierdzące przedmieścia tylko po to, by za chwilę utknąć na jeszcze bardziej zatłoczonych i dusznych uliczkach Kartaginy. Wozy i wózki z towarami, piesi, konni, czasem jakaś lektyka – wielobarwny tłum rozmawiający po punicku, łacinie i wandalsku, w grece bizantyjskich kupców i w narzeczach mauryjskich górali. Choć, prawdę mówiąc, kupców było jakby mniej, odkąd cesarz wypowiedział Wandalom wojnę, widziało się za to więcej wojska. W końcu zniecierpliwiony Beketar poprosił o pomoc patrol straży miejskiej, który, nie szczędząc razów dębowymi pałkami, doprowadził go w pobliże pałacu na byrsańskim wzgórzu. Królewska rezydencja była, prawdę mówiąc, nie tyle pałacem, co dawnym kompleksem budynków publicznych przy rzymskim forum, teraz jednak mogła przepychem iść w zawody z siedzibą Justyniana w Konstantynopolu.

Cóż, skoro tym razem nie dane było podziwiać go Beketarowi, który skierował się do bocznej bramy i niezbyt reprezentacyjnych stajni poczty królewskiej. Okazał straży odznakę kuriera, dał się zrewidować, oddał broń w depozyt, a konia stajennemu i ruszył w stronę kancelarii, gdy usłyszał za sobą znajomy głos.

– Beketar! – rozległ się wesoły okrzyk.

Obejrzał się. Z tyłu zbliżał się roześmiany Alamund. Ubrany po pańsku komes podszedł i serdecznie klepnął Beketara w ramię.

– Co tam u ciebie? Co robisz w stolicy? – spytał z szerokim uśmiechem.

Przytył trochę, a na jego rudej brodzie pojawiły się pasma siwizny, wciąż jednak zdawał się promieniować energią i samozadowoleniem.

– Jestem teraz kurierem – odparł kwaśno Beketar. – Przyjechałem z pocztą od Godagisa.

– Świetnie, świetnie – nie zwrócił uwagi na jego minę

Alamund. – To świetnie się składa. Właśnie potrzebny mi jest ktoś taki jak ty.

– Muszę wracać do Hippony – uniósł dłoń Beketar. – Zaraz odbieram pocztę i...

– Nie zawracaj tym sobie głowy – przerwał bez troski Alamund. – Załatwię to z tym starym zbójem, prepozytem królestwa. Nieźle sobie popiliśmy w zeszłym tygodniu – dodał teatralnym szeptem i mrugnął okiem. – Teraz zrobisz coś dla mnie.

– A co konkretnie masz na myśli? – uniósł brwi Beketar. – Jeszcze nie oddałem listów.

– Bez pośpiechu, króla i tak nie ma teraz w mieście. A ja potrzebuję kogoś zaufanego, kto pojedzie z misją w teren – ściszył głos Alamund. – Nie bój się, niedaleko.

– Dostanę to na piśmie? – skrzywił się Beketar. – Znaczy się, zwolnienie z jutrzejszego kursu do Hippony?

– Ha-ha! Jak zwykle dowcipny! – roześmiał się komes. – Biegnij oddać pocztę i chodź, przenocujesz u mnie. Może

wpadnie też Theuderyk, jeśli sprzykrzą mu się ćwiczenia z wojskiem. A jutro rano pojedziesz na południe, do Sullectum.

– Jak to? – zmarszczył brwi Beketar. – To kawał drogi, aż za Leptis Minor. Po co mam tam jechać?

– Ciii... – uśmiechnął się tajemniczo Alamund. – Tajemnica wojskowa. Leć oddać listy, a ja w tym czasie załatwię, co trzeba. Widzimy się tu za godzinę – klepnął Beketara w ramię i ruszył różnym krokiem gdzieś w pałacowe korytarze, pozostawiając go zdeorientowanego na środku dziedzińca.



Alamund zajmował duży, elegancki dom na zboczu pałacowego wzgórza, skąd ponad dachami rozciągał się widok na pół miasta, morze i słynny port. Beketar dostał wygodny pokój, wino i kąpiel z pomocą dwóch młodych, skąpo ubranych niewolnic, co nastroiło go zdecydowanie

lepiej do wysłuchania wszelkich pomysłów, na jakie mógłby wpaść jego gospodarz. Wkroczył odświeżony i zadowolony do skąpanego w zieleni i marmurze atrium, gdzie czekał Alamund z kolacją.

– Często się, Beketarze – rozparty w fotelu komes wskazał mu miejsce obok siebie przy suto zastawionym stole. – Twoje zdrowie – uniósł złoty puchar, podsuwając gościowi podobny.

Zapadł już zmierzch, pochodnie oświeślały jasnym blaskiem fontannę, parę rzymskich posągów i ozdobne krzewy między wysypaną żwirem ścieżką.

– I twoje, Alamundzie – odpowiedział toastem Beketar, siadając. – Piękny dom.

– I, niestety, kosztowny – westchnął z uśmiechem komes. – Ale traktuję to jako inwestycję w swoją przyszłość.

– A, właśnie, jak tam twój syn, eee...? – zająknął się Beketar,

– Ariaryk – przypomniał komes. – Jest z moją żoną w naszej posiadłości pod Thuburbo. Ma już prawie trzy lata i dobrze się chowa. Odwiedzam go parę razy do roku.

– Twoja żona zajmuje się twoim nieślubnym synem? – zdziwił się Beketar.

– Sam nie wiem, czym zasłużyłem sobie na taką dobrą kobietę – roześmiał się Alamund. – Może tym, że częściej dostaje moje złoto, niż moje towarzystwo i nie zaglądam jej do sypialni. Dosłownie i w przenośni – parsknął.

– Dobrze, nie moja sprawa – uniósł dłoń Beketar. – No i kondolencje z powodu śmierci Swinthildy. Nie miałem wcześniej okazji...

– Było, minęło – spoważniał na chwilę Alamund. – To była dobra kobieta i dała mi dobrego syna. Urządziłem jej pogrzeb godny królowej. Ale co tam, powiedz, w Hipponie? – zmienił temat. – Miałem was odwiedzić, ale domyślasz się, co się tu teraz dzieje.

– Nie wiem, kiedy ostatnio tam byłeś – odparł, ważąc słowa, Beketar. – Dla mnie dużo się tam zmieniło. Inni ludzie, inne porządki... Nie jestem już na bieżąco z polityką. W ogóle, nie jestem już z polityką – mruknął.

– Będziesz zdrowszy – uśmiechnął się Alamund.

– Chciałeś powiedzieć – będę żywy – skrzywił się Beketar. – Nie rozumiem tego wszystkiego.

– Nie? – zdziwił się komes.

– Byłem dobrym naczelnikiem i pracowałem dla nowego króla tak jak dla starego.

– Właśnie dlatego nie chciał, byś dla niego pracował – odparł z wyrozumiałym uśmiechem Alamund.

– Gadanie! – zachnął się Beketar. – Byłem dobrym naczelnikiem – powtórzył z żalem.

– Choćby i najlepszym... – pokręcił głową Alamund. – Nic nie rozumiesz, Beketarze. Królowi nie potrzeba ludzi, którzy pracują dla każdego. On potrzebuje takich, którzy pracują dla niego osobiście.

– Pracowałem dla tego tronu, dla tego królestwa... –
zaprotestował Beketar.

– A gdyby ktoś obalił Gelimera, pracowałbyś tak samo
dla jego następcy – uśmiechnął się protekcyjnie
komes.

– Oczywiście!

– Ha-ha! – parsknął Alamund. – W jakim świecie ty
żyjesz?!

– W Królestwie Wandalów i Alanów – zacisnął wargi
Beketar.

– Nie, mój drogi – uniósł palec komes. – Żyjesz
w królestwie Gelimera. I jeśli nie jesteś jego człowiekiem,
jesteś nikim.

– Jestem człowiekiem każdego legalnego władcy –
zaperzył się Beketar.

– Rozumiem... – lekceważąco machnął ręką Alamund.
– Ty chciałbyś być niezależny. Robić swoje poza całą tą
polityką, układami...

– Oczywiście!

Alamund spojrział w rozgwieżdżone niebo, jakby szukał tam natchnienia.

– Posłuchaj... – podjął po chwili. – Mówię ci to jako twój przyjaciel. Niezależność to luksus, na który pozwalają sobie tylko ludzie bardzo potężni albo bardzo głupi. Sam na siebie popatrz. Kiedy nie jesteś niczym człowiekiem, nikt się za tobą nie ujmie, nikt za tobą nie stanie.

– Nawet, jeśli będę najlepszy? – prychnął Beketar.

– Najwyżej Gelimer przyjmie sobie na twoje miejsce dwóch słabszych – wzruszył ramionami komes. – Albo i trzech, stać go na to. A ty jesteś dla niego nikim, Beketarze, bo nikt za tobą nie stoi. Popatrz jak to działa...

– zastanowił się przez moment. – Możesz postawić na ludzi z nikąd, ludzi bez właściwości, co najwyżej trochę zawistnych i sfrustrowanych. Na takich, którzy bez ciebie są nikim i wiedzą, że bez ciebie dalej będą nikim. Którzy wszystko zawdzięczać będą tobie. Tak

na przykład robi Godagis. Ja osobiście wolę stawiać na zdolnych, którym pomagam wybić się jeszcze szybciej i wyżej. Mógłbyś być jednym z nich, Beketarze – dodał zachęcająco.

– Dziękuję, ale chyba nie jestem dość zdolny – pokręcił głową naczelnik. – Zresztą, obietnice nic nie kosztują.

– Brawo, już chwytasz! – zaśmiał się Alamund. – Obiecuj wszystkim to, czego pragną. Graj na ich chciwości. Obietnice, jak zauważyłeś, nic nie kosztują. Obiecuj wiele, spełniaj mało; wystarczy co jakiś czas rzucić im ochłap i mówić, że reszta będzie później. Oto sekrety rządzenia!

– Pięknie dziękuję – odparł z sarkazmem Beketar. – Pamiętam, że kiedyś dzieliłeś się już ze mną podobnymi mądrościami. Niedługo potem skończyłem na liście proskrypcyjnej.

– Dobrze, zostawmy już tę politykę – uspokajająco uniósł dłoń komes. – Ja nie jestem królem Gelimerem, potrzebuję tylko drobnej przysługi. Nie trafisz w ten

sposób, jeśli nie chcesz, do mojej partii, ale na pewno ci się odwdzięczę. Jeśli będziesz chciał – mrugnął okiem.

– Czyli to jednak nie jest sprawa państwowa – pokiwał głową Beketar.

– Mam na nią zgodę prepozyta królestwa, więc jest tak, jakby była państwowa – wyszczerzył zęby Alamund. – Proszę cię, żebyś pojechał na południe i przewiózł niewielką przesyłkę do naczelnika poczty w Sullectum oraz zabrał jego przesyłkę do mnie.

– Ale to jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd! W przeciwną stronę, niż Hippona! – skrzywił się Beketar.

– Chcesz, żebym jechał taki kawał drogi z jakąś przesyłką, którą można wysłać statkiem?

– Zależy mi na czasie. Poza tym, dam ci też parę listów do kilku przyjaciół po drodze i, jeśli będziesz tak miły, poproszę o krótki raport na temat nastrojów w głównych portach wschodniego wybrzeża. Powiedzmy, w Hadrumetum, Leptis Minor i w Thapsus. Co ludzie mówią o wojnie z cesarstwem, czy są gotowi do walki

i takie tam. Dowiesz się tego w każdym zajeździe.

– Mogę ci to powiedzieć i teraz – prychnął Beketar. – Katolicy po cichu się cieszą, ale nie za bardzo, bo wiedzą, że z cesarstwem wróciłyby większe podatki, stara arystokracja i nowe garnizony. Pozostali w ogóle się nie cieszą, ale i tak nie kiwną palcem w naszej sprawie.

– I pięknie! – roześmiał się Alamund. – Wystarczy, że spiszesz to w jakichś mądrych słowach, tak żebym mógł pokazać to królowi. Może dzięki temu przyśle nam tu trochę więcej ludzi, bo miasto stoi praktycznie bez obrony – spoważniał.

– Jak to? – zdziwił się Beketar. – Widziałem pełno wojska.

– A, tam! – zachnął się Alamund. – Gelimer robi sobie manewry na prowincji, a port stoi prawie pusty, bo książę Tazon zabrał pół floty i naszych najlepszych ludzi, żeby odbić Korsykę. Książę Ammatas został w mieście, ale ma tu tylko straż miejską i jakieś zagubione odwody, a kupa ludzi siedzi jeszcze po kraju, bo Rzymianie i tak

nie pojawią się przed jesienią. Tylko, jeśli jednak się pojawią, zajmą miasto z marszu. Tak więc, przygotuj się do wyjazdu. Pora spać. Musisz mieć jutro siły na podróż.



Droga na południe przypominała początkowo tę, którą Beketar pokonał na wschód z Hippony. Wkrótce jednak odbiła w głąb lądu, by przeciąć zamykający Zatokę Kartagińską wielki Półwysep Merkurego, jak nazywali go Rzymianie, lub Cypel Topielców, jak mówili czasem Wandalowie po zwycięskiej bitwie z tymiż Rzymianami stoczonej ponad sześćdziesiąt lat wcześniej. Drugiego dnia minął niewielkie pasmo gór, zobaczył z daleka letnią rezydencję królów w Grasse⁶¹ ze wspaniałymi, ciągnącymi się bez końca ogrodami i wjechał do Byzaceny, gdzie teren stał się bardziej równinny, żyzniejszy, choć podziurawiony co jakiś czas wielkimi połaciami płytkich, słonych jezior. Droga wróciła nad wybrzeże, które stało się mniej skaliste, a przez

to bardziej zdradliwe, bo mimo pięknych, piaszczystych plaż, pod falami w wielu miejscach kryły się ostre skały. Jednak, oprócz tego, życie toczyło się tu tak samo – turkotem wozów, uderzeniami motyk i zgiełkiem małych, nadmorskich miasteczek – jakby nie było żadnej wojny. Raz, czy dwa minął się na traktach z innymi kurierami, z którymi pozdrowili się tylko, nie zwalniając, nigdzie jednak nie widać było żadnego wojska. Pod wieczór zatrzymał się w przydrożnym zajezdzie, zbyt zmęczony, by pić i grać w kości z paroma kupcami, a trzeciego dnia dotarł do Hadrumetum. Starożytne miasto, niegdyś drugie po Kartaginie w tej części Afryki, wciąż nie podniosło się po zniszczeniach dokonanych przed stuleciem przez wojska Gezeryka. Przedmieścia nadal straszyły ruinami i opuszczonymi domami, dalej jednak tętniło życie, jak w każdym afrykańskim porcie. W mieście urzędował wandalski komes, stacjonował niewielki garnizon najemnych Maurów, była też kancelaria poczty królewskiej, gdzie zaraz skierował się Beketr. Przekazał list od Alamunda miejscowemu

naczelnikowi kurierów, zmienił konia i dał się namówić na dzban wina w towarzystwie paru spragnionych wieści ze stolicy Wandalów. A rano ruszył dalej i w połowie dnia znalazł się pod sławnym Leptis Minor – teraz lokalną metropolią wielkości Hippony. Na drodze pod miastem ruch był spory, w porcie cumowało parę statków, na morzu kołysały się łodzie rybaków. Była tam też placówka pocztowa, ale koń nie był jeszcze zmęczony, a do celu było już blisko, więc Beketar ominął rogatki i pojechał dalej. Niedługo potem podobnie zostawił za sobą starożytne Thapsus, dziś podupadłe do rozmiarów niewielkiej miejsciny i skierował się w stronę nieodległego już Sullectum. Ten niezbyt duży port przeładunkowy pszenicy, oliwy i wina, niegdyś posiadający własne magazyny w rzymskiej Ostii, zamykał ciąg najważniejszych miast pod władaniem Wandalów na tej części wybrzeża. Trochę dalej zwracało się ono z powrotem ku zachodowi, oddalając się od najważniejszych szlaków morskich, aż wracało znów na wschód w odległej, straconej niedawno

Trypolitanii. Mury Sullectum, jak wszystkich innych miast w królestwie, pozarastały zwalone trawą i krzakami, jednak w czasie niedawnej wojny z Maurami, gdy przez chwilę wydawało się, że wrogowie mogą opanować, bądź złupić całą prowincję, mieszkańcy usypali między domami wysokie barykady z gruzów i zamurowali wychodzące poza nie okna, zamykając ponownie miasto prowizorycznym wałem z jedną tylko bramą wychodzącą na północ, w stronę odległej Kartaginy. Kancelaria w Sullectum, w której zameldował się Beketar, była ostatnią większą placówką poczty królewskiej w tej części kraju. Dalej znajdowały się jeszcze jakieś punkty kurierskie po zajazdach, gdzie można było zjeść, odpocząć i zmienić konie, nie były to już jednak placówki agentów z prawdziwego zdarzenia.

Naczelnikiem poczty w Sullectum okazał się, ku zdziwieniu Beketara, zromanizowany Punijczyk, mówiący również niezłe po wandalsku, który

przedstawił się jako Symplicjan. Niski i korpulentny, o płaskiej, nieciekawej twarzy, ale bystrym wzroku, przywitał miło kuriera ze stolicy, a zrobił się wręcz serdeczny po otrzymaniu małego, zapieczętowanego pakunku od Alamunda.

– Zostawiam cię samego, tam jest wino i chleb. Znajdź też sobie jakieś wolne posłanie na sali. Większość moich ludzi jest w terenie, ale Godfrid powinien zaraz wrócić, to zaprowadzi cię do łaźni i zajazdu. Kąpiel, kolację i jeden dzban wina macie na koszt króla, ale za dziewczyny płacie sami – roześmiał się, wychodząc.



Nazajutrz okazało się, że Symplicjan gdzieś wyjechał, zabierając większość koni i na odpowiedź dla Alamunda trzeba będzie trochę poczekać. Kolejne dni upływały więc Beketarowi na monotonnym oczekiwaniu, bo w Sullectum, oprócz jednego zajazdu i paru dziwek,

nie było więcej atrakcji. Co jakiś czas tylko wpadał nowy kurier, zmieniał konia, czasem zatrzymywał się na nocleg, po czym galopował dalej. Po trzech dniach Beketar odkrył pod miastem na wpół legalne walki pięściarskie na pieniądze, nie potrafił jednak zarazić się entuzjazmem stawiających swoje miedziaki wieśniaków i robotników portowych. W mieście żyło trochę Wandalów, były to jednak głównie rodziny kurierów, biskup i paru ariańskich księży, niezainteresowanych ani filozofią, ani polowaniami. Trwało to prawie tydzień, aż skończył się sierpień i równo pierwszego września obudziło Beketara bicie w dzwony. Głośne, donośne, jęgliwe. Obudził się półprzytomny i usiadł na łóżku, próbując skojarzyć, czy może zapomniał o jakimś święcie, kiedy do dźwięku dzwonu dołączyły jakieś podniecone okrzyki, trzaskanie okiennic, tupot nóg. Beketar ubrał się szybko i podszedł do okna. Zwykle o tej porze ulicą jechały już pierwsze wozy z towarami, handlarze zaczynali rozstawiać swoje kramy, tym razem jednak było prawie pusto. Zobaczył jakiegoś kupca

zatrząskującego, otwierany już widać, stragan na parterze domu i chowającego się do środka, trochę dalej ktoś właśnie zawracał zaprzężony w woły wóz w stronę przedmieścia. Ktoś przebiegł z uliczki w uliczkę, ale zniknął, nim Beketar zdążył mu się przyjrzeć. Większość drzwi i okiennic była pozamykana, jakby na miasto spadło morowe powietrze i choć dzwon bił jak do pożaru, Sullectum zdawało się spać głęboko, a przynajmniej chować się z głową pod poduszką. Beketar stał długą chwilę zdezorientowany, aż w końcu dzwon jęknął rozedrganą czkawką i umilkł, jak gdyby zabrakło mu tchu. Teraz już wyraźnie dało się słyszeć na zewnątrz tupot wielu nóg i liczne okrzyki. Beketar drgnął, zatrzasnął okiennice, szybko przypasał miecz i popędził do kancelarii. Krzyczano po grecku i bez wątplenia były to wojskowe komendy. Wpadł do pomieszczenia, zaryglował drzwi i pobiegł zamknąć drugie, prowadzące do stajni. Prawie zderzył się z chłopcem stajennym, kilkunastoletnim, chudym Berberem, który wpadł do środka z drugiej strony

z widłami w ręce. Beketar uskoczył, by nie nadzieć się jak na rożen, ale chłopak sam tak się przestraszył, że widły wypadły mu z rąk na podłogę.

– Rzy... Rzymianie! – wyjąkał tylko, gdy Beketar popchnął go do środka i zatrzasnął drzwi. Nie miały szans wytrzymać dużego naporu, podparł jej jednak leżącymi widłami, a drugie dla pewności zastawił jeszcze stołem. Rozejrzał się jeszcze dokoła, po czym bez zastanowienia zaczął zwalać poukładane na półkach dokumenty na podłogę, każąc to samo robić roztrzęsionemu chłopakowi.

– Gdzie masz krzesiwo?! – złapał stajennego za ramię.

– W stajni – chłopak popatrzył bezradnie na zabarykadowane drzwi.

– Szlag! – zaklął Beketar. – Nie ruszaj się stąd! – polecił i pobiegł do swoich sakw w sypialni.

Gdy wrócił chwilę później z krzesiwem i hubką, drzwi do stajni były otwarte na oścież, a chłopak zniknął.

– Psiakrew! – zaklął raz jeszcze.

Doskoczył do drzwi, ale nie było też już widel, by je podeprzeć, a skobel wyglądał na taki, który można wyłamać paroma solidnymi kopniakami. Beketar wbiegł do stajni. W stosunkowo niewielkim pomieszczeniu stały spokojnie trzy konie – szybkie, wytrzymałe wierzchowce dla kurierów. Nie zdążył jednak rozważyć tej opcji, gdy uchylone do tej pory wrota otworzyły się szerzej, wpuszczając do środka jasne światło i czterech obco wyglądających żołnierzy. Rośli, smagli, z długimi czarnymi brodami, ubrani byli w kolczugi i zachodzące głęboko na policzki wysokie hełmy, a spod czerwonych płaszczy wystawały przypasane długie miecze w zdobionych pochwach. Zdecydowanie nie wyglądali na Rzymian, ani na zwykłe, proste wojsko. Na jego widok błyskawicznie rozstawili się szeroko, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy. Beketar cofnął się do drzwi i wyciągnął broń. Jeden z żołnierzy rzucił coś cicho w jakimś dziwnym języku i zniknął na zewnątrz,

podczas gdy pozostali nie spuszczaali wzroku z przeciwnika. Gdy Beketar robił krok w tył, oni postępowali krok za nim, tak że szanse na dopadnięcie i zaryglowanie drzwi lub wskoczenie na konia wydawały się niewielkie. Wciąż jednak nie wyciągnęli mieczy, a gdy Beketar postąpił do przodu, cofnęli się zachowując dystans. Lecz zanim mógł zdecydować się na jakiś bardziej agresywny ruch, do środka wrócił czwarty z napastników, a razem z nim postawny, bogato odziany człowiek, również w kolczudze, wyglądający na jakiegoś wyższego rangą rzymskiego oficera. Wydawał się mniej więcej w wieku Beketara, gładko ogolony, z ciemnymi, lekko siwiejącymi, zaczesanymi za uszy włosami, trzymał w ręce złożony hełm z kolorowym pióropuszem. Uniósł drugą dłoń w uspokajającym geście i uśmiechnął się przyjaźnie.

– My przy-ja-cie-l – odezwał się łamanym gockim dialektem. – Ja przy-ja-ciel – popatrzył na Beketara wyczekująco.

– Chyba dużo u was tych przyjaciół – mruknął Beketar po łacinie, nie opuszczając miecza. – To pewnie dlatego, że wieziecie dużo prezentów.

– O! Mówisz po rzymsku! – ucieszył się oficer. – Nie zrobimy ci krzywdy. Nazywam się Prokopiusz Cezareus i jestem adiutantem jaśnie oświeconego patrycjusza, cesarskiego przyjaciela, jego dostojności generała Flawiusza Belizariusza.

– Beketar Elfredlaf z Hippo Regius – przedstawił się. – Kurier najjaśniejszego Gelimera, króla Wandalów i Alanów i przyjaciel paru mniej znaczących osób – dodał, nim ugryzł się w język.

Prokopiusz roześmiał się.

– *Magistrianos* – pokiwał głową. – To znaczy, *Agent in rebus* – poprawił się. – Świetnie się składa.

Odwrócił się i pchnął wrota, odsłaniając ulicę, na której stało jeszcze kilkudziesięciu żołnierzy. Beketar spojrzał i z rezygnacją schował broń.

– Żaden tam agent – mruknął. – Zwykły kurier, *veredarius*.

– Symplicjan mówił, że pewnie tu będziesz – Rzymianin podszedł, wyciągając dłoń, ale żołnierze za nim jeszcze nie puścili rękojeści mieczy.

Beketar ostrożnie uściśnął jego rękę.

– Naczelnik Symplicjan? – upewnił się, starając się ukryć zdziwienie.

– Ten sam – uśmiechnął się Prokopiusz. – Niedługo tu przyjedzie, jak tylko nie będzie już potrzebny generałowi.

Beketar zaklął pod nosem po wandalsku.

– Bez obaw, obaj dobrze na tym wyjdziecie – zapewnił go Rzymianin, zaglądając do kancelarii. – Zabezpieczcie wszystkie dokumenty – polecił po grecku żołnierzom. – A my – zwrócił się na powrót do Beketara – jedziemy do sztabu.

– Nikt nie bronił miasta? – upewnił się markotnie Beketar, gdy jechali drogą na południe eskortowani przez kilkudziesięciu żołnierzy, którzy okazali się być Persami z osobistej straży Belizariusza.

Mieli piękne konie, przy siodłach długie łuki i krótkie włócznie.

– Po co? – zdziwił się Prokopiusz. – Przecież przybyliśmy ich wyzwolić. Generał zabronił płądrować i wiesza tych, którzy próbują. Gdy znaleźliśmy się w środku, mieszkańcy sami oddali nam klucze do miasta.

– Zdaje się, że za bardzo nie mieli wyjścia – zauważył ponuro Beketar. – Słyszałem już, że wjechaliście przebrani za jadących na targ wieśniaków.

– To był pomysł Boriadesa – przytaknął Rzymianin. – Nikt nie zginął, patrycjat dostał sówite nagrody, a pozostali obietnicę, że kupimy od nich po dobrej cenie tyle żywności, ile zdołają nam dostarczyć. Słyszałeś kiedyś o takim zdobywaniu miast? – uśmiechnął się

szeroko. – Teraz wszystkie staną otworem przed łagodnymi i wspaniałomyślnymi wyzwolicielami spod obcej władzy i obcej wiary. Belizariusz to wymyślił – dodał z podziwem w głosie.

– A co z naszymi ludźmi? – skrzywił się Beketar. – Z Wandalami?

– Cóż... To, być może, zależy od ciebie – tajemniczo uśmiechnął się Prokopiusz. – Cierpliwości.

Beketar nie pytał więcej. Wkrótce minęli jadący na północ duży oddział żołnierzy w lekkich tunikach, z burymi płaszczami, spod których wystawały miecze i przypięte do siodła niewielkie puklerze i łuki. Zamiast hełmów, nosili płócienne czapki i byli, jak zdążył zauważyć Beketar, lekko zarośnięci, raczej mali i żyłaści, jak nie przymierzając większość kurierów.

– *Exploratores* – wyjaśnił Prokopiusz, widząc zainteresowanie Beketara. – Zwiad i rozpoznanie.

Przejechali tak około dwudziestu kilometrów, gdy w oddali ukazał się szeroki półwysep Caput Vada⁶² odcięty teraz od reszty lądu wysokim szanćem, przed którym panował spory ruch. Przez bramę wysypywały się mniejsze i większe oddziały wojska, konni, piechota, wozy. Jednak tym, co przykuło uwagę Bektara był wystający znad umocnień las masztów. Po drugiej stronie półwyspu musiała stać na kotwiczowisku największa flota na całym Morzu Śródziemnym. Bliżej rzymskiego obozu mógł lepiej przyjrzeć się wrogiemu wojsku. Piesi legionieści w hełmach i kolczugach maszerowali równym szykiem, niosąc na plecach duże pakunki i owalne tarcze; sprawiali wrażenie wędrujących na wojnę czerwonych mrówek. Między nimi, w takim samym porządku szli lekko odziani łucznicy, bokami jechały zwarte oddziały rzymskiej ciężkiej kawalerii, choć nie byli to na szczęście owi osławieni pancerni katafrakci. Nim dojechali do szanca, trafił się też nieco swobodniej wyekwipowany oddział brodatych jeźdźców wyglądających

na germańskich federatów – część w kolczugach, inni w skórzanych kaftanach, w hełmach i bez, wszyscy jednak z długimi włóczniami i mieczami, z okrągłymi tarczami przy siodłach lub zarzuconymi na plecy – nie różnili się specjalnie od trzonu wandalskiej konnicy, która kiedyś odniosła tyle zwycięstw na afrykańskiej ziemi. Dopiero jednak przy samej bramie Beketar mimo woli otworzył usta ze zdziwienia. Ze środka wyjechało kilkudziesięciu smagłych jeźdźców na małych konikach. Większość, mimo upału, ubrana była w futrzane kubraki, niektórzy w wyglądające na ciężkie, łuskowe pancerze. Na głowach mieli dziwaczne, obszyte futrem czapki o ostrych szpicach, spod których wyglądały brzydkie, kosookie, poznaczone bliznami twarze z długimi wąsami. Przy siodłach kołysały im się kołczany z dziwnymi, jakby nierówno zbudowanymi łukami.

– Massageci – wyjaśnił uprzejmie Prokopiusz. – Na pewno znacie ich jako Hunów.

Beketar nie odpowiedział. Wandalskie babki nadal straszyły dzieci dzikimi Hunami – bo przyjdzie po ciebie czarny Hun i zje twoje oczy, więc wsuwaj kaszkę, szczeniaku – A ci tutaj w pełni odpowiadali dziecięcym wyobrażeniom. Zaraz jednak zapomniał o Massagetach i innych diabłach, minęli bowiem fosę i wysoki, najeżony palisadą wał, które powstały – jak znów wyjaśnił Rzymianin – dzień wcześniej, w jedno popołudnie i ujrzeli sam obóz. Tysiące namiotów stało równymi rzędami, szeregami, całymi kwartałami między prosto wytyczonymi uliczkami. Niektóre z nich już zwijano, ładowano pakunki na setki wozów, zaprzęgano konie, rozładowywano statki, wszystko wśród pokrzykiwania oficerów, rżenia koni i turkotu kół, a wszędzie kłębiło się mrowie ludzi pod bronią. Całą zatokę po drugiej stronie półwyspu zajęły statki – całe setki statków zakotwiczonych jeden obok drugiego. W środku, bliżej brzegu, ciężkie, pojemne transportowce, dookoła nich szybkie, obsadzone wojskiem bojowe dromony. Kiedyś podobną flotę spalił i zniszczył nieopodal Kartaginy król

Gezeryk, tym razem jednak nie zanosiło się, by Rzymianie mieli powtórzyć swój tragiczny błąd. Do Kartaginy było daleko, wojsko stało na lądzie, a duża część będącej postrachem marynarzy wandalskiej floty była akurat zajęta tłumieniem buntu na Korsyce.

Prokopiusz pozostawił jeńca pod strażą w jednym z namiotów i gdzieś zniknął, Beketar skorzystał więc z przyniesionego posiłku, po czym oddał się niewesołym rozmyślaniom. Rzymianin wrócił po jakiejś godzinie, prowadząc ze sobą naczelnika poczty w Sullectum, Symplicjana. Beketar poderwał się na równe nogi.

– Siedź cicho, to wyjdiesz z tego cało – nie dał mu dojść do słowa Symplicjan. – Zaręczyłem, że jesteś zaufanym człowiekiem i można powierzyć ci ważne zadanie – mówił szybko po wandalsku.

– Czy Alamund wiedział? – sapnął Beketar.

– Zgódź się na to, co ci proponują, to sam go o to wkrótce zapytasz – odparł poważnie naczelnik.

– Ty wiedziałeś! – warknął Beketar.

– Nie wszystko i nie na pewno – wzruszył ramionami Symplicjan. – Dość jednak, by mieć pewność, że Gelimer to uzurpator, a cesarz ma dane od Boga prawo do tej ziemi.

– To się jeszcze okaże! – zaperzył się Beketar.

– Widziałeś ten obóz? – pokręcił głową Symplicjan. – Ostatni raz Wandalowie walczyli z taką armią trzy – cztery pokolenia temu, za Gezeryka, gdy byli zdesperowanymi, zaprawionymi w boju zdobywcami. Dzisiaj są zadowolonymi z życia ziemianami, którzy ledwo trzymają w ryzach Berberów, albo i nie. Ja stawiam na właściwego konia. Ty rób, co chcesz, ale teraz idź z nim – wskazał Prokopiusza – i posłuchaj, co mają do powiedzenia.

Rzymianin wykonał zachęcający ruch ręką w stronę wyjścia. Beketar zastanowił się przez moment, po czym zacisnął wargi i wyszedł, nie zaszczyciwszy już Symplicjana słowem, ani spojrzeniem.

Obóz był tłoczny, pełny ludzi i zwierząt, rozkazów i przekleństw. Nie musieli się jednak przepychać w ścisku, bo prowadzący ich Persowie ze straży generała powodowali, że ciżba żołnierzy rozstępowała się przed nimi, jeśli nie jak morze przed Mojżeszem, to przynajmniej jak mrówki przed wrzątkiem. A kto nie uskoczył w porę, dostawał po grzbiecie krótkim pejczem.

– Ojcze?! Ojcze! – rozległ się gdzieś z boku okrzyk po wandalsku.

Beketar stanął zaskoczony, zatrzymując tym swoją eskortę. Zobaczył machającą nad głowami rękę i spomiędzy otaczających ich żołnierzy zaczął przeciskać się młody, jasnowłosy mężczyzna w kolorowym, żeglarskim stroju. Prokopiusz dał znak, by go przepuścić.

– Wendulf? – szeroko otworzył oczy ze zdziwienia Beketar. – Co... co tu robisz, synu? – podszedł i uściskał

go mocno.

Wendulf mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, a może i mniej. Szczupły, wysoki, tak samo jak ojciec nosił jasną brodę na ogorzałej twarzy i mógłby być jego młodszą wersją, tylko oczy miał ciemne, prawie czarne, zapewne po matce. Przywitali się serdecznie, a Rzymianie przystanęli, przyglądając się tej scenie z zainteresowaniem.

– Nająłem się ze swoim statkiem do transportu wojska – wyjaśnił Wendulf, wskazując na zacumowane okręty. – Płacą trzy razy lepiej, niż za zwykły rejs, tak boją się naszej floty. A ty, ojczu? Myślałem, że jesteś w Hipponie.

– Sprawy służbowe – mruknął Beketar. – Długo by gadać. Jak ci się powodzi? Dawno nie zwijałeś do domu.

– Jakoś nigdy nie było po drodze – zmieszał się Wendulf. – A jak byłem parę razy w Kartaginie, to ciebie nie było. Ale planowałem przy płynąć do Hippony zaraz po wojnie, jak już ich pokonacie – zapewnił. – Bo, widzisz – rozpogodził się – wszedłem w spółkę

z pewnym kupcem z Tesaloniki i planuję się ożenić. Mielśmy przyplłynąć po twoje błogosławieństwo po tej awanturze.

– Naprawdę?! – ucieszył się Beketar. – Gratuluje! – objął go raz jeszcze i poklepał po plecach. – Wprawdzie zawsze myślałem, że znajdziesz sobie jakąś ładną Wandalkę z dobrego rodu... – mrugnął okiem.

– Ale to jest Wandalka – szeroko uśmiechnął się Wendulf. – Sam ją do mnie przysłałeś.

– Ja? – nie zrozumiał Beketar.

– Rodelinda kazała cię gorąco pozdrowić – wyjaśnił mu syn. – I prosiła, żeby na razie nie mówić niczego jej matce.

Beketar zaniemówił z otwartymi ustami.

– Rodelinda... – wykrztusił w końcu. – Myślałem... Podejrzewałem, że nie żyje.

– Ma się dobrze. Chcemy się pobrać jesienią.

– To... to świetnie – wyjąkał Beketar. – Ale...

to znaczy... jesteś pewien, że to właściwa kobieta dla ciebie?

– Jest piękna, pracowita i ma smykałkę do interesów.

– Tak. Trudny charakter, cięty język, mroczną przeszłość i popieprzoną rodzinę – skrzywił się Beketar.

– Kochamy się – syn popatrzył na niego z wyrzutem.

– Jak uważasz – westchnął Beketar. – Moim zdaniem, to zły pomysł, ale nie będę robił przeszkód. Może wam uda się to, co...

Stojący z boku Prokopiusz chrząknął znacząco.

– Tak, już idę – odparł Beketar. – Przepraszam cię, synu. Muszę spotkać się z kimś ważnym. Spróbuję odnaleźć cię potem, jeśli będę mógł. Twój statek nadal nazywa się "Morska Panna"?

– Tak, ten sam – potwierdził Wendulf. – Stoimy w okolicach trzeciego rzędu od lewej – wskazał las masztów.

– Przyjdę, jeśli będę mógł. Jeśli nie, to znajdziemy się

w Hipponie.

Namiot, przed którym się zatrzymali lepiej byłoby określić mianem misternie tkanego pałacu. Wielki, wysoki, stał w samym centrum obozu, oddzielony od reszty szerokim pasem ziemi i kordonem perskiej straży. Prokopiusz zostawił Beketara z obstawą na zewnątrz, sam zaś zniknął w środku namiotu. Wrócił po jakimś kwadransie.

– To oficjalna... – zastanowił się – nazwijmy to, audyencja. Przed jego dostojnością należy na powitanie przykłęknąć, a potem stać, kiedy będzie mówił – wyjaśnił. – Najlepiej odpowiadać tylko "tak, wasza dostojność", albo "nie, wasza dostojność", z przewagą "tak". Chodźmy – delikatnie pociągnął zdezorientowanego Beketara w stronę wejścia.

O ile z zewnątrz namiot mógł się wydawać na tle obozowiska pałacem, o tyle w środku pałacem po prostu był. Ze ścian zwisały arrasy z wyobrażeniami scen

biblijnych, na ziemi rozłożono wzorzyste dywany, na stołach stały złote misy i złote dzbany, a całości dopełniało snujące się w powietrzu wonne kadzidło. Dokoła, pozostawiając wolne przejście, zgromadziła się liczna grupa ludzi w wojskowych rynsztunkach i cywilnych szatach, a jednych i drugich kąpiących od złota. Zupełnie, jakby zebrał się tam nie tylko sztab armii, ale i połowa dostojników cesarstwa, co zresztą nie było dalekie od prawdy. Wpatrywali się teraz ciekawie w postępującego za Prokopiuszem Beketara w jego prostym, kurierskim stroju. A za nimi, na rzeźbionym krześle, gdzie można by się spodziewać doświadczonego generała, weterana wielu wojen, siedział w towarzystwie stojącej z boku, po królewsku ubranej kobiety człowiek zaskakująco młody. Pośród bogatych szat trudno było wyrokować o jego posturze, jednak dość miła, regularna twarz o dużych oczach pod grzywą czarnych włosów i wąskich ustach otoczonych rzadką brodą, twarz przywodząca na myśl raczej duchownego lub początkującego filozofa,

zdradzała, że jej właściciel nie miał pewnie jeszcze nawet trzydziestki. A jednak to przed nim przyklęknął z pełnym szacunkiem Prokopiusz, dyskretnie pociągając oszołomionego Beketara za sobą w dół.

– To generał – szepnął tylko rzymianin. – Niech pochwalony będzie nasz najwspanialszy cesarz, jego wysokość, miłościwie nam panujący Flawius Petrus Sabbatius Justinianus Augustus – zaczął recytować ze schyloną głową; po grecku, ku dalszej konsternacji Beketara.

– Niech pochwalony będzie nasz najwspanialszy cesarz, jego wysokość, miłościwie nam panujący Flawius Petrus Sabbatius Justinianus Augustus! – powtórzyli z entuzjazmem zgromadzeni. – Niech pochwalony będzie nasz najwspanialszy cesarz, jego wysokość, miłościwie nam panujący Flawius Petrus Sabbatius Justinianus Augustus! Niech pochwalony będzie... – i tak pięć razy⁶³.

– Niech będzie pochwalona jego najukochańsza

małżonka, obrończyni biednych i uciśnionych, jej wysokość Teodora – oświadczył Prokopiusz.

I znów, zebrani pięciokrotnie powtórzyli pochwalny tekst.

– Niech światło cesarskiej pary spływa nieustannie również na ciebie, naszego znakomitego wodza, największego generała Rzymu, jego dostojność Flawiusza Belizariusza oraz jego równie znakomitą małżonkę Antoninę – niemal zaintonował Prokopiusz, pochylając głowę przed siedzącym mężczyzną.

Tym razem, odpowiedziały mu trzykrotne okrzyki, a siedzący mężczyzna uśmiechnął się i wstał z krzesła.

– Witaj, drogi Prokopiuszu, witaj również, nasz szanowny gościu – odezwał się do nich uprzejmym tonem już po łacinie. – Wstańcie, proszę i wysłuchajcie wraz z nami przesłania, jakie skierował nasz ukochany cesarz do bratniego ludu Wandalów – skinął ręką na jednego z ludzi, który wystąpił, rozwijając krótki

pergamin.

Ten zaczął czytać z namaszczeniem, podczas gdy Beketar i Prokopiusz powstali. Tekst na szczęście napisano również po łacinie.

– "Ani nie zdecydowaliśmy się prowadzić wojny z Wandalami, ani nie łamiemy układu zawartego z Gezerykiem, lecz usiłujemy obalić waszego tyrana, który, zlekceważywszy testament Gezeryka, uwięził i trzyma pod strażą waszego króla. Tych zaś z jego krewnych, których najbardziej nienawidził, od razu zabił, a pozostałych oślepił i uwięził, nie pozwalając, aby śmierć położyła kres ich cierpieniom. Przyłączcie się więc do nas i pomóżcie w uwolnieniu siebie samych od tak nikczemnej tyranii, abyście mogli cieszyć się pokojem i wolnością. Biorąc Boga na świadka, zaręczam, że uzyskacie to od nas".⁶⁴ Tak napisał nasz najwspanialszy cesarz, jego wysokość, miłościwie nam panujący Flawius Petrus Sabbatius Justinianus Augustus – pochylił głowę lektor.

– Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje! – zakrzyknęli wszyscy zgodnym chórem.

– Jak widzisz, drogi gościu – podjął Belizariusz – nie przybywamy tu walczyć z naszymi przyjaciółmi, Wandalami, a jedynie pomóc wam obalić tyrana i przywrócić na tron waszego prawowitego króla, Hilderyka – popatrzył uważnie na Beketara.

– Tak, wasza dostojność – odparł ten ostrożnie.

– A co ty sądzisz na ten temat? – nie dał się zbyć generał.

– Nie mam powodu, by kochać Gelimera, wasza dostojność – odpowiedział powoli Beketar, ważąc słowa.

– Tak jak napisano, zagarnął tron Wandalów i Alanów siłą, a i na mnie samego, choć jestem tylko skromnym kurierem, sprowadził wiele przykrości.

– Myślisz więc, że twoi rodacy staną razem z nami do walki z uzurpatorem? – ucieszył się Belizariusz.

– Tego nigdy nie można być pewnym – zmieszał się

Beketar. – Jednak stary król miał wielu wiernych poddanych – stwierdził, starając się wybrnąć z sytuacji.

Nim Belizariusz zdążył odpowiedzieć, podeszła do niego, stojąca do tej pory z tyłu kobieta, zapewne wychwalana niedawno żona, Antonina i szepnęła mu coś na ucho. Dopiero teraz Beketar oderwał w końcu wzrok od generała i zwrócił na nią uwagę. Niewysoka, ubrana jak królowa, nie była piękna i wyglądała na nieco starszą od męża, ale raz dostrzeżona, zdawała się mieć w sobie coś magnetyzującego. Wystające spod złotogłowego czepca jasnorude włosy okalały delikatną twarz o wąskim podbródku i szerokich kościach policzkowych, nadających jej, razem z dużymi, ciemnymi oczami, niemal dziecięcy wygląd. Beketar poczuł dreszcz, gdy ich spojrzenia przecięły się przelotnie, jakby w tym ułamku sekundy otaksowała go i przejrzała na wylot; równie głowę, jak i ubranie. Nie zdążył jednak się nad tym zastanowić, bo Belizariusz znów dał znak i pojawił się przed nimi człowiek z tacą pełną złotych monet.

– Na znak prawdziwości tych słów i naszej przyjaźni do ludu Wandalów, przyjmij proszę, drogi gościu, ten skromny upominek – generał chwycił tacę i podał ją Bektarowi, który złapał ją odruchowo z głupią miną; była ciężka.

– Dziękuję, wasza dostojność – odparł zmieszany. – To bardzo hojny podarunek.

– Cieszę się, że przypadł ci do gustu – uśmiechnął się Belizariusz. – Jeśli przewiezienie go stanowi jakiś kłopot, możesz powierzyć go synowi, który, jak słyszałem – zerknął na Prokopiusza – służy w naszej flocie.

– Tak, wasza dostojność – odrzekł ostrożnie Bektar. – Możliwe, że tak właśnie zrobię.

– Świetnie! – kiwnął głową generał. – Czy, w takim razie, byłbyś tak uprzejmy i wyjeżdżając, wyświadczył mi drobną przysługę, zabierając ze sobą pewną przesyłkę? A ja zapewniam cię, że twój syn będzie tu równie bezpieczny jak mój własny.

Beketar uniósł brwi i westchnął.

– Oczywiście, wasza dostojność – zapewnił. – Z największą przyjemnością. Czy mógłbym wiedzieć, co to za przesyłka?

– Będziesz tak miły, przyjacielu – wziął go pod rękę Belizariusz, prowadząc do małego stolika pod ścianą – i zabierzesz ze sobą parę kopii przesłania naszego ukochanego cesarza do ludu Wandalów – podniósł niewielki pakunek i wręczył go Beketarowi. – Jutro o świcie otrzymasz rączego konia i będziesz mógł swobodnie wrócić do Kartaginy. Chciałbym, żeby te listy dotarły do tylu wandalskich możnych, do ilu się da. Żeby ich kopie rozsyłano po całym kraju i czytano na ulicach. Żeby nasi bracia, Wandalowie, wiedzieli, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Prawda?

– Tak, wasza dostojność – mruknął Beketar.

Wszyscy w namiocie rozluźnili się wyraźnie, gdy Beketar wyszedł odprowadzany przez Prokopiusza i strażników. Rozległy się liczne głosy rozmów, trochę śmiechów, rozpadł się równy szpaler ludzi zastąpiony przez kilkusobowe grupki.

– Jak myślisz, Antonino, zrobi to? – wziął żonę pod rękę Belizariusz. – Rozprowadzi te pisma?

Kobieta spojrzała w stronę wyjścia z namiotu.

– O, tak, mój drogi – odparła po chwili. – Na pewno to zrobi. To słaby człowiek i nawet, gdyby nasz mały teatr nie zrobił na nim wrażenia, a zrobił, to będzie się czuł zwyczajnie zobowiązany wywiązać się z obietnicy. Choć robi to bez przekonania i nie liczyłabym na zbyt wiele. Sądzę, że za bardzo będzie się bał, byśmy mieli z niego większy pożytek.

– Cóż... – skrzywił się generał. – Nie mamy nikogo lepszego. Zawsze warto spróbować.

– Oczywiście, mój drogi – uśmiechnęła się wyrozumiale

Antonina. – A ta sugestia dotycząca jego syna była całkiem zgrabna – pochwaliła. – Nawet, jeśli niezbyt finezyjna.



Beketar, otoczony uprzejmą lecz stanowczą opieką generalskiej straży, zdążył przekazać synowi połowę otrzymanego złota i, upewniwszy się, zgodnie ze swoimi podejrzeniami, że Belizariusz sam syna nie ma, wyjechał z obozu jeszcze przed świtem. Resztę pieniędzy upchnął głęboko w sakwach, spiął konia ostrogami i ruszył galopem, zostawiając za sobą swoich nowych, rzymskich przyjaciół. Minął śpiące jeszcze Sullectum i skierował się na północ tym samym traktem, który pokonał nie tak dawno w przeciwnym kierunku. Choć słońce wznosiło się coraz wyżej, droga wciąż była dziwnie pusta. Nie było na niej kupców, nie było rolników, nie turkotały też, jak można by się było spodziewać, wozy uchodźców. Gdzie indziej wojenna panika

mogłaby wyprowadzić na drogi tłumy uciekinierów, jednak Afryka zatrzymywała ich wszystkich na miejscu – między morzem, a pustynią, między otwartymi dla nieprzyjaciela równinami, a zamieszkałymi przez wrogich Maurów górami, pod gorącym słońcem, w miastach, których mury od stulecia leżały w gruzach. Walcz, albo giń tam, gdzie stoisz – zdawała się mówić Afryka. Lub poczekaj na wojska cesarza – Rzymianina, prawego chrześcijanina, wyzwoliciela od barbarzyńskiego ludu – dopowiadał sobie z pewnością niejeden; na naszego cesarza. Ta zaskakująca, pełna wyczekiwania cisza i niemal fatalistyczny spokój towarzyszyły Beketarowi przez prawie całą drogę na północ. Gdy około południa dotarł do Thapsus, niewielka miejscina przywitało go ciszą. Wprawdzie na wodach zatoki, jak zawsze, kołysały się łodzie rybaków, jednak w mieście ruch zamarł i tylko pojedynczy ludzie przyglądali mu się z niepokojem spomiędzy zabudowań. Wyminął je, nie wjeżdżając do miasta i pojechał dalej. Słońce wisiało już nisko

nad wyschniętym o tej porze roku wielkim słonym jeziorem na zachodzie, gdy znalazł się pod zrujnowanymi murami Leptis Minor. Przy wjeździe do miasta nie było straży, większość straganów była zamknięta, port zdawał się uśpiony, a nieliczni przechodnie przypatrywali mu się dziwnie i zaraz znikali gdzieś w zaułkach. Beketar dotarł do stojącego blisko rynku budynku poczty królewskiej. Wrota do stajni były otwarte na oścież, lecz nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Beketar zeskoczył z siodła i wprowadził konia do środka. W stajni było pusto, przywiązał więc swojego wierzchowca przy żłobie, zdjął sakwy i pchnął drzwi do kancelarii, które otworzyły się z głośnym skrzypieniem. Na stole leżały jakieś dokumenty, podobnie na półkach, niektóre wiatr z otwartych okien zrzucił już na podłogę. W środku nie było nikogo. Beketar przerzucił rozrzucone papiery – jakieś niedokończone raporty i meldunki – sprawdził również pustą sypialnię na tyłach, którą opróżniono w widocznym pośpiechu z większości rzeczy osobistych

i wyszedł przed budynek. Rozejrzał się za kimś, kto mógłby wytłumaczyć, co się tu wydarzyło, ale tylko parę dzieci i psów przyglądało mu się z daleka, nie reagując na zachęcające gesty. Beketar wrócił więc do środka, prowizorycznie zabarykadował cały budynek, spalił na wielkim stosie pozostawione na pastwę wroga dokumenty i poszedł spać.

Nie zdziwił się specjalnie, gdy nocą na wpół wybudziły go ze snu liczne hałasy. Jakiś tumult w mieście, przed tumultem wojskowy zgiełk i trąbki sygnałowe, przed zgiełkiem tętent kopyt po bruku i rwane resztką tchu dźwięki kurierskiego rogu. A wcześniej, gdy Beketar właśnie śnił, ku swemu półprzytomnemu zadowoleniu, o Brunfridzie, ten sam róg grający z oddali, na który pewnie mało kto zwrócił uwagę. Jak zbiór scen, które dopiero oglądane wstecz, po przebudzeniu układały się w oczywisty ciąg. Tu – zbliżający się stukot kopyt po bruku, dźwięki rogu, odległe przekleństwa, wojskowa

trąbka. Tam – Brunfrida rozciągnięta na mapie świata, skaczące dokoła delfiny i wprowadzone w ruch nieprzyzwoite ryciny. Obrazy mieszały się, aż w końcu zgiełk trąbek, okrzyków i tupotu stóp wzięły górę. Beketarowi wydawało się, że sięga po miecz, którego nie znajduje, idzie więc po niego do stajni i gubi się w labiryncie ciemnych korytarzy, z których dochodzą śmiechy, pomruki lub jęki Brunfridy zagłuszane raz po raz graniem rogu. W końcu wszystkie hałasy zlały się w jeden narastający szum, zupełnie jakby jakaś niewidzialna burzowa chmura toczyła się powoli nad miastem z narastającym pomrukiem. Okrzyki paniki i gniewu, tupot stóp, stuk podków, wojskowe rozkazy – ciemność żyła teatrem ślepców, sztuką o podpalonym mrowisku i dopiero świt przyniósł wymęczony antrakt, lecz wtedy trzeba było już wstawać i szykować się do drogi.

Beketar zbudził się o świcie, choć mógłby przysiąc, że nie zmrużył oka. Gdy wyprowadził konia ze stajni,

miasto było ciche i wyludnione, jakby zmęczyło się tą szaloną nocą – prawdziwą, czy nie. Albo, jakby o brzasku przeszedł przez nie anioł śmierci, pieczętując okna i drzwi swoim ognistym mieczem. Nie wykluczone, że przeszedł, bo nawet psy, koty i szczury gdzieś się pochowały, a niebo nad miastem przecinał długi, wąski szlak chmur do złudzenia przypominających dym. Powoli rozwiewała je bryza znad morza, ale gdy Beketar wyjeżdżał z miasta, w powietrzu nadal unosiła się ledwie wyczuwalna metaliczna woń.



Im dalej na północ, tym bardziej kraj wydawał się żyć jak zawsze i tylko przez skórę czuć było jakieś wiszące w powietrzu napięcie. Choć Beketar popędzał konia, a nawet udało mu się wymienić go po drodze, unikając odpowiedzi na kłopotliwe pytania, musiał zanocować w zajezdzie spory kawałek od Kartaginy. I mimo, że budynek stał przy trakcie z dala od miasta, noc

przyniosła te same zjawy i hałasy, choć tym razem, ku żalowi Beketara, bez udziału Brunfridy. Wyjechał rankiem na pustą drogę zmęczony jak po tygodniu podróży. Dość szybko dotarł do dwudziestego kamienia milowego od Kartaginy, minął dziewiętnasty, osiemnasty i zwolnił dopiero przy trzynastym. Ściągnął wodze i zatrzymał konia. Wciągnął głęboko powietrze i westchnął. Metaliczny zapach wzmógł się wyraźnie, a powietrze w oddali drżało od gorąca, choć słońce dopiero co zaczęło przygrzewać. Gdzieś tam, gdzie biegnący szeroką równiną trakt wciskał się między niskie wzgórza, zatokę i słone jezioro, tkwił, falując wraz z krajobrazem, jasny punkt jak odbłask zwierciadła. Beketar westchnął i uszczypnął się w ramię. Nic się nie zmieniło, więc wymierzył sobie jeszcze, z takim samym skutkiem, dwa siarczyste policzki, po czym ze zrezygnowaną miną ruszył dalej. Blask przed nim rósł powoli i rosła też temperatura, mniej jednak, niż można się było spodziewać. Koń parsknął nerwowo i wstrząsał łbem, szedł jednak posłusznie naprzód.

Pierścień z wężem nie tylko zrobił się ciepły, ale zdawał się delikatnie poruszać, jakby chciał pełznąć w kółko dookoła palca – zrezygnowany Beketar nawet na niego nie spojrzał.

W końcu minęli dwa kolejne znaki milowe i dotarli pod małą osadę Decimum, składającą się z kilkunastu niewielkich budynków, które teraz zdawały się opuszczone. Za to w oddali dało się zauważyć znajomą już ognistą sylwetkę. Tym razem ten, który kazał nazywać się Szemalem, nie zmierzał nigdzie, nie stał dumnie, nie groził ognistym mieczem. Zwyczajnie przysiadł z dala od zabudowań, na kamieniu milowym jak zmęczony wędrowiec, oparł się o miecz, opuścił głowę, okrył się śnieżnobiałymi skrzydłami jak płaszczem. Nawet jego blask nieco przygasł, nie palił już żarem. Beketar zatrzymał konia kilkanaście metrów od anielskiej postaci. Siedział w siodle, czekając na jakiś ruch, jakąś reakcję, bez skutku jednak. Tylko u stóp świetlistej zjawy spostrzegł jakiś ruch, jakiś znany sobie

kształt. Sporych rozmiarów wąż leżał na kamienistej drodze, powoli, centymetr po centymetrze, połykając w pysku swój własny ogon. Beketar ze znużoną miną popatrzył na swój pierścień i, ujrzawszy, że metal próbuje nabrać życia na podobieństwo bliźniaczego gada z traktu, na wszelki wypadek ostrożnie ściągnął go z palca i wsunął do sakiewki.

Ostrożnie, nie spuszczać z oczu przygarbionej istoty, zjechał z drogi tak, by ominąć dziesiąty kamień milowy szerokim łukiem. Nic się nie wydarzyło, jedynie wiatr przywiał od morza zapach soli i wodorostów. Gdy tylko wrócili na szlak, Beketar popędził konia i pognął pustą drogą, nie oglądając się za siebie. Na najbliższym postoju, prawie pod samym miastem, wsadził głowę prosto w końskie koryto, nie obudził się jednak.



– Wiedziałeś?! – warknął Bektar, łapiąc Alamunda za

koszulę i przyciągając do siebie, choć ten był o połowę większy od niego. – Musiałeś, kurwa, wiedzieć!

– Uspokój się, Bektarze – komes uniósł rękę w obronnym geście. – Niczego nie wiedziałem. Przecież, kto by ich się tu teraz spodziewał, w środku lata, w największe upały?

Stali w tonącym w zieleni atrium domu Alamunda; służba dyskretnie usunęła się z pola widzenia.

– Ale wiedziałeś, że Symplicjan pracuje dla Rzymian! Z czym mnie do niego wysłałeś?! Z raportami dla Belizariusza?! – spróbował potrząsnąć nim Beketar.

– Nawet nie wiedziałem, że to Belizariusz dowodzi tą wyprawą – zapewnił Alamund. – Daj spokój, Beketarze – nie bez trudu oderwał wielkimi dłońmi rękę Beketara od swojej koszuli. – Nic takiego się nie stało.

– Nic?! – zatrzęsł się Beketar. – Szpiegujesz dla Rzymian i jeszcze mnie w to wciągnąłeś!

– Daj spokój – teatralnie westchnął Alamund, usiadł przy stole i nalał wina do szklanych kielichów. – Nie wszystko jest tym, na co wygląda. Zapewniam cię, że król i prepozyt królestwa doskonale o wszystkim wiedzieli. To się nazywa gra wywiadów.

– Nie wierzę ci! – zaperzył się Beketar.

– Bądź rozsądny, przyjacielu – uśmiechnął się Alamund. – Nawet, gdyby było tak jak mówisz... Kto by ci uwierzył? Nie masz cienia dowodu. Poza tym, to ty sam dostarczyłeś te, jak chcesz wierzyć, raporty Symplicjanowi, który jakoby przekazał je Rzymianom. Tkwisz w tym po uszy. Zresztą, może ci się to niedługo opłacić – ściszył głos. – W końcu, kto wie, kto wygra w tej wojnie? Ale oczywiście to była tylko, jak mówiłem, gra wywiadów.

– Co mam z tym zrobić?! – Beketar sięgnął do sakwy i trzasnął o stół paczką z odezwaniami cesarza.

Alamund rozpakował przesyłkę, obejrzał pisma i pieczęcie.

– Będziesz uprzejmy przeczytać? – podał Beketarowi jeden dokument.

– "Ani nie zdecydowaliśmy się prowadzić wojny z Wandalami, ani nie łamiemy układu zawartego z Gezerykiem, lecz usiłujemy obalić waszego tyrana, który, zlekceważywszy testament Gezeryka, uwięził i trzyma pod strażą waszego króla." – zaczął czytać Beketar przez zaciśnięte usta.

Alamund wysłuchał listu do końca, pomyślał chwilę, po czym odsunął papiery od siebie.

– Na twoim miejscu, szybko bym to spalił – odparł. – Zanim ktoś doniesie, że masz przy sobie takie rzeczy. Tym bardziej – jeszcze raz spojrzał na paczkę – że to już nie jest warte papieru, na którym zostało napisane. Stary Hilderyk nie żyje.

– Jak to? – szeroko otworzył oczy ze zdumienia Beketar.
– Jak to nie żyje?

– Tak to – wzruszył ramionami komes. – Miłościwie

nam panujący Gelimer kazał bratu zabić miłościwie nam niepanującego Hilderyka, jak tylko dostał wiadomość o inwazji. Kurier od króla przyjechał w nocy, a dziś rano książę Ammatas kazał wykonać wyrok. Stracono całą najbliższą rodzinę Hilderyka i jego współpracowników, z wyjątkiem dzieci.

Beketar bez słowa opadł na krzesło.

– A czego się spodziewałeś? – popatrzył na niego poważnie Alamund. – Czego spodziewali się ci głupi Rzymianie, którzy sami oślepiają się, kastrują, trują i mordują dla cesarskiego tronu? Myśleli, że Gelimer jest głupcem, będzie tu trzymał poprzedniego króla i pozwoli się zamętać takimi listami? – trącił palcami leżące dokumenty.

– To była jego własna rodzina – mruknął ponuro Beketar.

– Przypomnieć ci, co robił z własną rodziną ojciec świętej pamięci Hilderyka, próbując zapewnić synkowi tron? – prychnął komes. – Co robił sam Gezeryk? Zejdz

w końcu na ziemię, Beketarze, bo chyba żyjesz w jakimś innym świecie.

– Chyba tak – mruknął Beketar.

– Spal te listy – Alamund jakby go nie usłyszał – A ja udam, że nigdy ich nie widziałem, bo potrzebuję cię do kolejnego zadania.

– Chyba żartujesz?! – obruszył się Beketar. – Zapomnij!

– Tym razem żadnej polityki, obiecuję – zapewnił komes. – To prywatna sprawa. Jeśli ją dla mnie wykonasz, będę ci wdzięczny do końca życia.

– Mowy nie ma! – popatrzył na niego spode łba Beketar, zgarniając ze stołu cesarskie listy.

– Posłuchaj chociaż – poprosił Alamund. – Tu chodzi o mojego syna. I o dziecko Swinthildy, która kiedyś była przecież twoją przyjaciółką. Zawsze mówiła o tobie z sympatią. Właściwie, to dzięki niej udało się uratować cię przed represjami Gelimera.

– Gadanie! – fuknął Beketar. – Zaraz się okaże,

że właściwie zawdzięczam ci życie. Takie gadki, to już nie ze mną, Alamundzie.

– Jak chcesz – uspokajająco uniósł dłoń komes. – Ale, powtarzam, zrób to dla dziecka Swinthildy. Jak tylko dowiedziałem się o inwazji, kazałem żonie przysłać Ariaryka do miasta. Będzie tu jutro, najdalej pojutrze. To mój jedyny syn, Beketarze – popatrzył na niego prosząco. – Chciałbym, żebyś zabrał go ze sobą daleko od tego całego zamieszania, do Hippony. Tam Godagis zapewni mu odpowiednią opiekę.

– Nie wierzysz, że znów zwyciężymy? – zmarszczył brwi Beketar.

– Wierzę – westchnął Alamund. – Ale... Możesz się śmiać, ale od jakiegoś czasu mam dziwne sny. Niepokojące – spojrzał z powagą na Beketara.

– Anioły z ognistymi mieczami bełkoczące coś o końcu i zgubie? – skrzywił się Beketar.

– Tak, to też. Skąd wiesz? – zdziwił się komes.

– Czytałem, że takie rzeczy śnią się ludziom, którzy za dużo myślą o władzy i rzuca im się na głowę – mruknął Beketar i uśmiechnął się mimo woli na widok zaniepokojonej miny Alamunda. – Nie ważne – machnął ręką. – Z pewnością czeka nas bitwa. Jeśli coś pójdzie nie tak, zabiorę twojego syna do Hippony. Na razie jednak muszę zameldować się u naczelnika poczty, bo podejrzewam, że kurierzy nie zsiadają teraz z koni, kursując między miastem, a królem.

– Dzięki, Beketarze – ucieszył się Alamund. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, postaram się, żebyś sam został naczelnikiem poczty tu, w Kartaginie. Naprawdę – zapewnił, widząc wątpiący wzrok Beketara. – A na razie załatwię ci zwolnienie ze wszystkich kursów. Musisz być wypoczęty tu, na miejscu.

– Nie lepiej byłoby wysłać Ariaryka statkiem? Przecież to małe dziecko. Nie wiem, jak zniesie taką podróż.

– Pewnie, byłoby lepiej – skrzywił się komes. – Gdybyśmy mieli tu księcia Tazona z flotą. Ale póki

połowa naszych statków jest na Korsyce, a tam płynie rzymska armada, pojedziecie lądem. Każę służbie przygotować jakieś miękkie siedzisko do siodła i dacie radę. Teraz odpocznij, a ja idę do pałacu. Muszę pomóc im zaplanować tę bitwę – podniósł się z krzesła.

Beketar westchnął tylko, kręcąc głową, ale nie skomentował.



Kurierzy, jak powiedział Beketar, nie zsiadali z koni, zebrane w mieście i pod miastem wojsko krążyło polami i ulicami, trochę bez celu, a trochę na pokaz, zaś Alamund większość dni spędzał w pałacu, przynosząc wieczorami, a czasem o świcie kolejne wiadomości. Rzymianie maszerowali ostrożnie, ale sprawnie po piętnaście kilometrów dziennie w zwartym szyku traktem wzdłuż wybrzeża, a równolegle, w zasięgu wzroku żeglowała ich flota. Zajmowali z marszu miasto

po mieście, bezkrwawo, nie napotykając nigdzie żadnego oporu, a nawet witani kwiatami przez co gorliwszych rzymskich mieszkańców. Główna armia Wandalów z królem Gelimerem na czele podążała niewykryta w głębi lądu w tę samą stronę, zachowując bezpieczny dystans⁶⁵. Plan bitwy był, jak go przedstawił Alamund, równie prosty, co genialny. Na wysokości Neapolis i pałacu w Grasse Rzymianie musieli rozdzielić się z flotą, która miała do opłynięcia cały Półwysep Merkurego. Tam zresztą około ósmego sierpnia doszło do pierwszego starcia, gdy dwa oddziały zwiadowców wpadły na siebie niespodzianie nocną porą. Zderzyli się z dużym hałasem, poszczerbili nawzajem i rozjechali, gdy okazało się, że żadna ze stron nie ma wyraźnej przewagi. Dalej Rzymianie musieli maszerować około dwóch-trzech dni szerokim traktem między porośniętymi lasem wzgórzami, idealnym do ataku... gdyby Wandalowie dysponowali wystarczającą ilością piechoty i łuczników. Ponieważ nie dysponowali, a ich sławna "alańska" konnica potrzebowała równin, bitwę

postanowiono wydać pod samym miastem. Około dziesięciu mil od Kartaginy, pod Decimum, droga z południowego wschodu wciskała się między płytą lagunę, a jałowe, słone jezioro i górujące nad całą okolicą niewysokie wzgórza. Na tych wzgórzach ustawi się z garnizonem stolicy brat króla, książę Ammatas, powstrzymując dalszy marsz nieprzyjaciela. Kiedy Rzymianie zajęci będą walką ze słabszym przeciwnikiem, od tyłu uderzy na nich Gelimer ze swoimi głównymi siłami. Wziętych w kleszcze przeciwników dobije szarżą z boku, od słonej równiny, książę Gibamund z dwoma tysiącami ciężkiej wandalskiej konnicy. Alamund, mimo swoich wcześniejszych wątpliwości, już prawie świętował zwycięstwo, nie zmartwił się więc, gdy okazało się, że jego żona postanowiła pozostać w swojej posiadłości i przysłała małego Ariaryka samego, wozem, pod opieką dużej grupy służących.

– Nie szkodzi – orzekł Alamund, przepijając do Bektara, z synem na kolanach. – Nigdy nie lubiła

dużych imprez. – Jak tam, Riki? Mama dobrze się tobą opiekowała? – połaskotał dziecko w bok.

– Dobrze, dobrze – zachichotał niewyraźnie Ariaryk. – Kiedy mama będzie?

Chłopiec miał około trzech lat, rozczochrane jasne włosy i wydawał się żywym, wesołym dzieckiem.

– Mama przyjedzie później – uśmiechnął się Alamund.
– Na razie pobawi się z tobą wujek Beketar – wskazał na gościa, nie zwracając uwagi na to, że ten przewraca oczami. – Idź do wujka – postawił chłopca na ziemi i popchnął w stronę Beketara.

– Wujek? – dziecko śmiało pociągnęło go za rękaw.

Beketar westchnął cicho, ale uśmiechnął się i posadził sobie chłopca na kolanach.

ad Decimum – dziesiąty kamień milowy

13 września 533 r.



"Mnie zaś w czasie tej walki przyszło ze zdumieniem spoglądać na sprawy boskie i ludzkie. Dziwiłem się, jak Bóg z daleka patrzy na to, co się stanie, określa, jak potoczą się sprawy stosownie do tego, co uznaje za słuszne. Ludzie zaś, niezależnie od tego, czy popełnili błąd, czy podjęli właściwe decyzje, nie wiedzą, że zblądzili, albo jak może się zdarzyć, że postąpili słusznie. A Bóg czyni to w tym celu, aby powstała ścieżka dla Losu, który nieuchronnie doprowadzi do wypełnienia tego, co wcześniej zostało ustalone"⁶⁶ – napisał później w komentarzu do bitwy Prokopiusz, tyleż z fatalizmem, co z mądrością po fakcie.

– Człowiek rzuca, Pan Bóg kości toczy – jak skwitował krócej, choć również po fakcie, Beketar.

Ponieważ sprawa wywiezienia Ariaryka przestała wydawać się palącą, a nie chciał zostać potem oskarżony o tchórzostwo, dołączył do sformowanych w Kartaginie oddziałów księcia Ammatasa. Zebrała się tego całkiem pokaźna liczba paru tysięcy żołnierzy – straży miejskiej i pałacowej, najemnych Maurów i reszty ściąganego pospiesznie, lecz najlepiej wyekwipowanego, pospolitego ruszenia. Sam Alamund wyjechał z Kartaginy parę dni wcześniej, by dołączyć do swego przyjaciela, księcia Gibamunda i zdobyć chwałę morderczą szarżą na związanych walką Rzymian. Beketar miał więc, nie chcąc zostać niańką, sporo czasu na przechadzki po mieście. Ponieważ w Kartaginie nie było chwilowo floty zdolnej stawić czoło Rzymianom w bitwie morskiej, wejście do portu zamknięto grubym łańcuchem i obsadzono nieliczną strażą. Tym razem o wszystkim miano zdecydować na lądzie. Samo miasto zdawało się zaś spokojnie czekać na rozwój wypadków.

Wprawdzie handel morski zamarł, ale wszystkie sklepy i stragany pracowały po staremu. Ewentualne próby dywersji stłumiono w zarodku, tyleż krwawo, co skutecznie, mordując razem z obalonym królem i jego zwolennikami wszystkich znaczących, romańskich obywateli, którzy wydawali się nie dość lojalni wobec obecnej władzy. Schwytano też i zamknięto wszystkich kupców ze wschodu pod zarzutem szpiegostwa i siania wrogiej propagandy. Ci, którzy przetrwali, ukryli się głęboko, ani myśląc o wszczynaniu zamętu. Pozostali trzymali języki za zębami, gotowi pewnie przywitać z odpowiednim entuzjazmem każdego, kto wróci z bitwy zwycięzcą.

Rankiem wyznaczonego dnia Beketar stawiał się na łące pod miastem, gdzie niespiesznie gromadzili się wojownicy obserwowani z dachów domów przez zaciekawionych mieszkańców. Książę Ammatas – wysoki, przystojny mężczyzna w średnim wieku – krążył

niecierpliwie w te i z powrotem w błyszczącej kolczudze i pysznym, złożonym hełmie z długą kitą, otoczony pancerną drużyną przybocznych. Nawykłym do wydawania komend głosem rozstawiał nielicznych jeszcze nowoprzybyłych w kolumnę marszową, co chwila zerkając w stronę drogi skręcającej z zachodu na południe i na wiszące jeszcze nisko słońce. Wojownicy zjeżdżali się z miasta i okolicy pojedynczo lub małymi grupkami weseli i pełni animuszu. Większość w drogich kolczugach, błyszczących szyszakach, niektórzy w skórzanych kaftanach naszytych żelaznymi płytkami, z mieczami i długimi włóczniami, których szarży nie przetrwał jeszcze żaden szyk, żaden mur tarcz. Od ponad stu lat nikt nie pokonał wandalskiej jazdy w otwartym boju na jej własnym terenie. Wojownicy pozarzucali okrągłe, malowane tarcze na plecy, bądź uwiesili u siodła tak jednak, by widać było na nich barwne znaki. Zebrało się też sporo piechoty – nieco zubożałych Wandalów, lecz głównie sojusznicznych Maurów – jakby zawstydzonej tym, że ich nie stać

na konie, niektórych nawet na miecze, ale na nich księżę nie zwracał uwagi, stanęli więc w cieniu, przy wozach z zaopatrzeniem, nie bardzo wiedząc, co robić. Do wyznaczonej pory wymarszu zostało jeszcze dużo czasu, jednak wyraźnie zniecierpliwiony Ammatas kazał swoim ludziom siadać na koń.

– Nie będziemy czekać na maruderów! – krzyknął – Jedziemy zająć nasze pozycje, nim zrobią to Rzymianie! Kto jest gotowy, niech jedzie za mną! Reszta, jak dotrze, niech szuka nas na wzgórzach pod Decimum! – i ruszył ze swoją drużyną, nie oglądając się na resztę.

Widząc to, Beketar też wskoczył na konia i dołączył do grupy kilkudziesięciu jeźdźców, która właśnie ruszała śladem księcia. Pozostali również powoli szyskowali się do drogi.

Biegący brzegiem zatoki trakt z Kartaginy, tego dnia pusty jak nigdy, szybko zaczął skręcać z zachodu na południe. Nie minęło dużo czasu, gdy w oddali

pojawily się wyznaczone im wzgórza, a po prawej stronie zaczęła się przeżarta słoną wodą równina. Choć nie było stamtąd widać zabudowań Decimum, Bektar poczuł mimo woli dreszcz, przypominając sobie swój niedawny sen-nie sen z ognistym aniołem. Obejrzał się za siebie – od miasta ciągnęły za nimi luźne grupki jeźdźców, po kilkunastu, kilkudziesięciu, co kilometr, co pół, gdzieś dalej toczyły się chyba wozy. Dochodziło pogodne, upalne południe gdy dojechali już całkiem blisko dziesiątego kamienia milowego, a kawałek przed nimi książę Ammatas z drużyną zaczął powoli wspinać się po łagodnym stoku, by zająć strategiczny punkt na szczycie, lecz dalej wypadki potoczyły się zaskakująco szybko.

Niespodziewanie na wzgórzu pojawiło się kilku konnych, kilkunastu, za chwilę kilkudziesięciu. Beketar nawet z większej odległości bez trudu rozpoznał rzymskich *exploratores*. Dostrzegł ich także oddział Ammatasa, bo zaraz zagrał z tamtej strony róg, jeźdźcy

chwycili tarcze, pochylili włócznie i ruszyli w czterdzieści, może pięćdziesiąt koni do szarży. Beketar patrzył przez moment jak tuman kurzu rwie klinem pod górę, gdy ktoś obok niego wyciągnął miecz, z okrzykiem ubódł konia ostrogami i zaraz cały oddział poderwał się za swoim księciem. Przyklejony do końskiej grzywy Beketar, ściskając włócznie, nie bez trudu ściągnął w galopie tarczę z pleców. Koń od Alamunda okazał się naprawdę świetnym wierzchowcem i wkrótce wysforował się na czoło oddziału, skąd widać było trwające już starcie. Szarża Ammatasa zderzyła się z lekkozbrojnymi Rzymianami u szczytu zbocza i wbiła się w nich jak nóż w masło. Roztrąceni na boki jeźdźcy w lekkich kaftanach nie byli w stanie zatrzymać mało licznego, ale pancernego klina. Ktoś z tyłu za Beketarem wydał bojowy okrzyk. Nim jednak zdążyli podjąć go inni, na górze pokazała się nieoczekiwanie regularna rzymska konnica. Kilka dziesiątek, setka, dwie setki, trzy i nagle cała błyszcząca stałą linia ciężkich jeźdźców zaczęła staczać się na oddziałik księcia.

Beketar odruchowo zwolnił, podobnie większość jego towarzyszy, jednak od strony Ammatasa znów zagrał róg i Wandalowie, jak gdyby nigdy nic, odrzucając połamane włócznie, rzucili się z krzykiem tam, gdzie z naprzeciwka łopotały znaki wrogiego dowódcy. Beketar zatrzymał konia i patrzył jak urzeczony, jak mały oddział księcia wbija się w środek wielokrotnie liczniejszego przeciwnika. Ammatas parł naprzód czołem klina w stronę rzymskiego oficera niby jakiś bóg wojny. Siekł mieczem, kłuł, jego koń gryzł i kopał, a przeciwnicy padali dookoła jak muchy. Beketar doliczył się chyba z tuzina strąconych Rzymian, lecz i Wandalowie zaczęli tu i tam spadać z siodeł. Paru wojowników obok Beketara zaczęło już spinać konie, by ruszyć pod górę na pomoc, ale nagle ujrzeli jak któryś z Rzymian wymija związanych walką przybocznych księcia, tnie go potężnie z boku i Ammatas wali się z konia na ziemię.

Czar prysł. Ludzie księcia, ci którzy zdołali, oderwali się od przeciwników w bezładnej ucieczce, a tamci ruszyli z krzykiem za nimi. Po chwili Beketar ujrzał jak pędzi na nich ławą kilkuset Rzymian, do których ze wzgórza dołączają kolejni.

– Ja pierdołę! – zaklął i rozejrzał się, lecz większość towarzyszy ich niedoszłej szarży już galopowała z powrotem w stronę miasta, więc, niewiele myśląc zrobił to samo.

Grupka jadąca za nimi chyba jeszcze nie wiedziała co się stało, zatrzymała się bowiem na drodze, patrząc zdeorientowana na pędzących nie w tym kierunku, co trzeba pobratymców i ciągnący za nimi tuman kurzu. Niektórzy, spostrzegłszy co się święci, również od razu zawrócili, inni odczekali jeszcze chwilę, lecz widząc wrogą nawałę też rzucili się do ucieczki. Niecałe dziesięć mil drogi do Kartaginy złało się potem Beketarowi w ciąg podobnych scen. Jadących wesoło w grupach po kilkanaście-kilkadziesiąt koni Wandalów, idącą

małymi oddziałami piechotę zgarniała fala paniki i wydawało się, że to sam Belizariusz zdobywa szarżą miasto. Tych, którzy mieli słabsze konie, dopadała i obalała mordercza kurzawa, podobnie tych nielicznych, którzy chcieli stawić jej opór. Jadące bez żadnego szyku tabory z piechotą po prostu zniknęły w pyłe. Gdy Beketar razem z innymi dopadł w końcu do miasta, drogę za nimi zasłaly rozrzucone trupy.

W mieście pierwszy atak paniki mieszkańców ustąpił raczej zdziwieniu i ostrożnej radości. Ostrożnej, bo stolica była wciąż w rękach Wandalów, krążących teraz bezładnie bez komendy, zdezorientowanych, przestraszonych lub wściekłych. Beketar z kilkunastoma przygodnymi, a dość przytomnymi towarzyszami rejterady rzucił się zamykać miejską bramę. Wprawdzie mur obok był w ruinie, ale dość jeszcze wysoki, by stawić tamę konnicy. Gdy opuścili rygle, wpuszcivszy wcześniej paru ostatnich uciekinierów, Beketar wdrapał się, ciężko dysząc, na sypiącą się wieżę. Trudno było powiedzieć,

ilu ludzi zginęło, a ilu dodarło do Kartaginy. Szlak trupów ciągnął się daleko, a między nimi kręcili się teraz bezładnie rzymscy żołnierze, obdzierając martwych przeciwników, lecz nie zbliżając się zanedo do samego miasta. Dopiero teraz widać było, jak było ich tak naprawdę niewielu. Raptem kilkuset, pewnie nawet nie pół tysiąca, najwyżej straż przednia, z pewnością nie cała armia. Gdyby Ammatas zebrał swoje wojsko zgodnie z planem i wyruszył z nim w szyku o wyznaczonym czasie, bez trudu stawiłby im czoła i pewnie przegonił ze wzgórz, być może mniej bohaterski, lecz żywy. Mleko już się jednak rozlało – choć należałoby stwierdzić, że rozlała się krew – i nie było już komu nawiązać walki z plądrującymi zwłoki Rzymianami. Ten fragment planu bitwy spalił na panewce, wciąż jednak gdzieś za wzgórzami ciągnęła główna armia Wandalów i zamykający zasadzkę Gibamund, wszystko więc wciąż było w grze. Beketar zaklął i splunął, niektórzy jednak zaczęli się modlić.



Książę Gibamund z dwoma tysiącami jeźdźców przybył w pobliże miejsca bitwy o wiele za późno, by pomóc swojemu kuzynowi, o wiele jednak za wcześnie, by wykonać swoją zabójczą szarżę. Straż przednia Rzymian buszowała już pod Kartaginą, zaś ich główna armia była jeszcze daleko w tyle. Tego jednak Gibamund nie mógł wiedzieć, gdy jego wojsko, przemierzając słoną równinę, wpadło niespodziewanie na prawie czterokrotnie mniejszy oddział Hunów wysłany przez Belizariusza przodem dla zabezpieczenia lewej flanki.

– Co to za ludzie? – zafrasował się Gibamund, mrużąc oczy.

– To chyba ci Hunowie, których wzięli ze sobą Rzymianie – skrzywił się Alamund.

Jechali razem w środku szerokiego szyku ciężkiej wandalskiej konnicy.

– Ci, co wyjadają dzieciom oczy? – zaśmiał się nerwowo Gibamund.

– Bajki dla dzieci – wzruszył ramionami komes. – Zresztą, popatrz, mało ich.

Oba oddziały zatrzymały się na słonej równinie w odległości paru strzałów z łuku od siebie, lustrując się wzajemnie z daleka. Przeciwnik nie wydawał się liczny, jednak wśród Wandalów popłynęło niespokojnym szeptem z ust do ust niepewne: "Hunowie". Naraz od linii przeciwnika oderwał się jakiś samotny jeździec i pogalopował w ich stronę.

– A to co? – zaniepokoił się Gibamund.

– Nie wiem, ale to może być jakiś podstęp – Alamund zdjął tarczę z pleców, a pozostali podążyli jeden po drugim za jego przykładem.

Tymczasem jeździec, wielki, wąsaty Hun w czarnym futrze, podjechał na jakieś pięćdziesiąt metrów, osadził konia i zaczął krzyczeć coś w nieznanej

mowie, wykonując tajemnicze, ale z pewnością obraźliwe gesty. Wandalowie patrzyli to na niego, to na siebie skonsternowani. W końcu Hun, wyczerpawszy widocznie zapas huńskich klątw i obelg, obrócił się, nie schodząc z grzbietu, w stronę końskiego zadu. Wskoczył obunóż na siodło, uniósł koszulę, wypiął w stronę zaszokowanych Wandalów goły tyłek i pierdnął przeciągle. Po czym znów usiadł skokiem na końskim grzbiecie i odjechał ku swoim, śmiejąc się donośnie.

– Rany! Co to było?! – wytrzeszczył oczy Gibamund.

– Nie wiem. Jakiś podstęp? – odparł bez przekonania Alamund.

Patrzyli jak samotny jeździec wraca do reszty Hunów, wołając coś i machając rękami i naraz cały oddział rozciąga się w długi półksiężyc i rusza galopem w ich stronę.

– Daj sygnał – trącił zagapionego Gibamunda komes. – Zgnieciemy skurwieli jak śmiecie.

– A tak, sygnał – otrząsnął się książę. – Grać do ataku! – polecił siedzącemu obok trębaczowi, który zadał w róg kilkoma krótkimi sygnałami.

Wandalowie jak obudzeni z letargu opuścili włócznie i ruszyli wpierw wolno, nabierając tempa, w stronę nielicznych, jak się zdawało, przeciwników. Konie także poczuły nadciągającą walkę i wkrótce dwa tysiące jeźdźców galopowało ławą w skrzącym się w słońcu słonym pyłe, by zmieść wszystko, co stanie im na drodze. Tyle, że nic na drodze im nie stanęło. Nagle z nieba sygnęła się chmura strzał, zwalając jeźdźców, raniąc konie niosąc zamęt i chaos. Wandalowie utrzymali szyk, lecz teraz Hunowie jechali już z powrotem, zawróciwszy niemal w miejscu, szybsi i zwinniejsi od ciężkozbrojnych Wandalów. Uciekali, jednak na ścigających jakimś cudem wciąż spadała strzała za strzałą.

– Stać! – krzyknął Gibamund, ściągając wodze. – Przecież to bez sensu!

Wandalowie zwolnili, zaraz jednak Hunowie wykonali kolejny zwrot i na jeźdźców i konie znów sypnął się rój strzał.

– Na nich, kurwa! Nie możemy tu zostać! – wrzasnął Alamund.

– Na nich! – powtórzył Gibamund i nieco przerzedzony oddział znów zerwał się do szarży.

A ta znowu trafiła w próżnię.

– Dobry Boże... – jęknął Gibamund, gdy kolejny grad strzał powalił jeźdźców i konie dokoła.

Kwik rannych zwierząt i krzyki ludzi mieszały się z wiszącą nad wszystkim chmurą solnego pyłu, od której zaczęli już odklejać się pierwsi uciekinierzy.

– Każ trąbić do odwrotu, bo wystrzelają nas jak kaczki!
– krzyknął Alamund, wyrywając strzałę, która utkwiała mu w tarczy.

– Nie możemy! – zaprotestował Gibamund,

rozglądając się rozpaczliwie dokoła.

– Niczego tu nie zdziałamy, stracimy tylko ludzi i życie!
– obrócił konia Alamund.

– Obiecałem Gelimerowi! – potrząsnął głową książę.

– To jaki teraz masz plan?!

– Naprzód! W końcu ich dopadniemy! Daj sygnał do następnej szarży! – odwrócił się w stronę trębacza, ten jednak zwiślał z siodła ze strzałą w piersi.

Gibamund wychylił się niebezpiecznie, chwycił ciało jedną ręką, uniósł z powrotem na siodło i zerwał mu z szyi róg. Martwy trębacz osunął się i zleciał na ziemię. Gibamund przycisnął instrument do ust i wydobył z niego przeciągły, przeraźliwy dźwięk.

– Naprzód! – krzyknął, odrzucając róg i spiał konia do szarży ostrogami.

Alamund i najbliżsi wojownicy ruszyli za nim. Gdy jednak po kilkunastu metrach komes obejrzał się za siebie, większość oddziału pędziła w przeciwną stronę

w beładnej ucieczce. Widząc to, Hunowie ponownie zawrócili konie i z donośnym wyciem ruszyli w stronę Wandalów. Gibamund, spostrzegłszy że jada z nim góra dwie setki jeźdźców, nie zwalniając też zawrócił konia i oddział pognał z powrotem za resztą uciekających. Zaczęły nad nimi latać pojedyncze strzały wypuszczane w galopie przez Hunów i co chwila któryś z Wandalów walił się pod końskie kopyta. Kto mógł, starał się w pędzie zarzucić tarczę na plecy i przycisnąć się do końskiej grzywy. Gnali tak w tumanach kurzu słoną pustynią ścigani wyciem i lecącymi pociskami, tracąc kolejnych ludzi, aż zmęczone konie zaczęły słabnąć pod ciężkobrajnymi jeźdźcami i ustawać w biegu. Maruderów, którzy uniknęli strzał, ogarniała po prostu rozpędzona ława i ginęli w hordzie wściekłych Hunów. Koczownicy, nie zwalniając, rozwinęli szyk, jakby galopująca lawina wyciągnęła przed siebie z dwóch boków wyjące macki by zamknąć uciekających w objęciach jak w kleszczach. Znow sypnęły strzały i znow kolejni Wandalowie zwalili się na ziemię. Już

mniej niż połowa wojowników pozostała by rozpaczliwie ratować się ucieczką. Niektórzy wstrzymywali konie, zbijali się z mieczami w rękę w ciasne grupki, ale tych pochłaniała i obalała rozpędzona fala lub deszcz strzał.

– Au! Psiakrew! – zaklął Alamund, gdy jedna ze strzał wbiła mu się w udo. – To, kurwa, jakaś masakra! Wybiją nas do nogi! – wyrwał pocisk z okrzykiem bólu.

– Boże, to koniec! – zajęczał Gibamund i nagle krzyknął, puszczając wodze, ze strzałą wystającą z ramienia.

Koń zwolnił, Gibamund zachwiał się w siodle. Moment później kolejna strzała trafiła go prosto w łopatkę. Księżę stęknął spróbował złapać się końskiej grzywy. Utrzymałby się pewnie, gdyby nie Alamund, który pociągnął go mocno, zrzucając na ziemię, a sam zeskoczył obok. Poturlali się obaj po kamieniach omijani przez coraz mniej liczne, rozpędzone konie. Alamund wyczekał na bezpieczniejszy moment i skoczył na jęczącego przyjaciela.

– Udawaj trupa i módl się – polecił, przykrywając go

własnym ciałem.



Minęły kolejne dwie-trzy godziny, nim na wzgórzach pod Decimum znów pojawili się jeźdźcy. Nigdzie nie było widać rzymskiej awangardy, ani Hunów, więc wysłani przez Belizariusza przodem *foederati* – sprzymierzeni germańscy Herulowie w sile czterystu koni – badali zdeorientowani pobojowisko na wzgórzu, próbując zasięgnąć wiadomości od przerażonych mieszkańców pobliskiej osady. Nie zdążyli ustalić niczego pewnego, gdy wielka chmura kurzu wezbrała od południowego zachodu, skąd spodziewano się głównej armii Gelimera i gdzie powoli zaczęło już zmierzać słońce. Przewodzący federatom wódz pchnął gońców do stojącego gdzieś przed wzgórzami Belizariusza, tymczasem od burej chmury oderwał się niewiele mniejszy obłok i ruszył pełną błysków kurzawą w stronę wzgórz.

– Trzymaj się blisko, bo mi twoja matka nogi z dupy powyrywa, jeśli coś ci się stanie – zawołał, przekrzykując tętent kopyt i szczęk metalu tysięcznik Theuderyk.

Jadący z boku syn Brunfridy, Hadamir, odmruknął chyba pod nosem coś, co utonęło w zgiełku jadącego oddziału. Było ich ponad dwa razy więcej od ustawiających się właśnie na szczycie Herulów, a przecież za nimi ciągnęło jeszcze kolejnych parę tysięcy wojowników z królem na czele. Gdy dojechali do wzgórza, od strony wroga zaczęły lecieć pojedyncze strzały lecz zaraz zagrały rogi, a włócznie pochyliły się do szarży.

– Po prostu wal w środek – zdążył krzyknąć Theuderyk, nim poszli w galop. – Iiihaaa! – i już wbili się w niepewnie stłoczonych wokół dowódcy Herulów.

Trzasnęły włócznie i tarcze, krzyk zlał się ze szczękiem mieczy. Hadamir wpadł w przeciwników tuż za Theuderykiem i, idąc za jego przykładem, wyrzucił z siodła pierwszego Herula, skruszył włócznie

na drugim i sięgnął po miecz. Potężny tysięcznik machał swoim, jakby to była trzcina tak, że dokoła zaraz zrobiło się luźniej. Trochę pomagały znaki na tarczach, trochę – jeśli ktoś miał dość bystry wzrok – obce spinki przy płaszczach, lecz Herulowie wyglądali i walczyli podobnie do Wandalów. I czasem, gdy przemieszały się szyki, trzeba było krzyknąć ustalone przez Gelimera "Kartagina" i usłyszeć, lub nie, w odzewie "Hippona", by wiedzieć, czy człowiek pod mieczem to swój, czy obcy. Wandalów było jednak więcej, pewnych własnej przewagi i powoli zaczęli spychać przeciwników ze szczytu w dół stoku. A ponieważ rzymskie posiłki wciąż nie nadchodziły, Herulowie zaczęli oddawać pola dalej, wzgórze po wzgórzu, pagórek po pagórku, aż wreszcie na ich lewej flance z idącej jak ospała burza piaskowa kurzawy wyłoniła się nieprzeliczona masa Wandalów. Tysiące i tysiące jeźdźców posuwało się wielokilometrowym szykiem pod łopocącymi proporcami, a słońce lśniło wspaniale na rozkołysanej stali.

Zdawało się, że to ostatecznie przeważy szalę i obrona Herulów rozsypie się do końca, lecz naraz gdzieś z drugiej strony wzgórz zagrały trąbki i podniosła się tam podobna, choć mniejsza chmura pyłu, przed którą załśniły rzymskie znaki. Tym razem to cała rzymska jazda – zakuci w kolczugi, zaprawieni na wojnie z Persami starzy kawalerzyści – ruszyła do boju i tylko piechoty nie było jeszcze nigdzie widać.

– Blisko mnie! – wrzasnął Theuderyk i – kurwa! – zaklął, zmiatając z konia jakiegoś pechowego Herula, bo Hadamira obok nie było.

Dostrzegł go jak wymienia ciosy z innym wrogiem kawałek dalej i, osłaniając się postrzępioną już tarczą, ruszył w tamtym kierunku. Dopadł syna Brunfridy akurat na czas, gdy część Rzymian skoczyła na pomoc dziesiątkowanym Herulom.

– Teraz dopiero zacznie się zabawa! – krzyknął do wymazanego potem i krwią chłopaka i zdzielił tarczą w bok walczącego z nim Herula, aż ten wyleciał z siodła

pod kopyta.

Większość z Rzymian wyminęła ich jednak w galopie równym jak na paradzie szykiem i popędziła co koń wyskoczy dalej – w stronę najwyższego ze wzgórz, pozwalającego kontrolować całą okolicę.

Tym razem jednak Wandalowie byli szybsi. Rzymianie nie zdążyli dotrzeć do dwóch trzecich stoku, gdy z góry zwała się na nich z wrzaskiem jak żelazna lawina nieprzyjacielska kontr-szarża. Może i Wandalowie od pokolenia nie walczyli z nikim, poza półnagimi Maurami, może zgnuśniali wśród bogactw i dostatku, teraz jednak uderzyli z takim impetem, że huk zderzenia słychać było chyba w samej Kartaginie. Trzasnęły w drzazgi łamane na przeciwnikach włócznie, sypnęły się iskry z uderzających w pędzie mieczy i drzazgi z tarcz, by za chwilę utonąć w krzyku ludzi, kwiku koni, krwi, pyłu wśród dziwnie cicho spadających pod kopyta ludzkich ciał. Może i Wandalowie zgnuśniali,

ale mieli za sobą przewagę liczebną, impet i legendę pogromców rzymskich armii. A na samym czele, otoczony paroma setkami złożonych hełmów, pod purpurową chorągwią z białym krzyżem i skrzyżowanymi włóczniami, parł na wspaniałym koniu, jak przystało na władcę Afryki, Gelimer – król Wandalów i Alanów, uzurpator, w wolnych chwilach poeta.

Nie przypominał w niczym swojego wielkiego dziada Gezeryka, który miał być kulawym pokurczem. W złotym, łuskowym pancerzu wartym małego miasteczka, Gelimer mógłby pozować antycznym rzeźbiarzom, zaś spod błyszczącego jak słońce grawerowanego hełmu z karmazynowym pióropuszem widać było przystojną, choć brudną już potem i kurzem, gładką twarz energicznego pięćdziesięciolatka. Jeśli Wandalom nie podobał się jego stary, schorowany poprzednik, musieli uwielbiać Gelimera za sam jego królewski szyk i styl. Co chwila stawał w siodle

i wskazywał srebrzystym mieczem kierunek natarcia, nawet jeśli jego rozkazy ginęły w chaosie i zgiełku. I może i Wandalowie zgnuśniali, ale szli za nim, a twardzi rzymscy kawalerzyści cofali się coraz bardziej, aż w końcu cała rzymska linia pękła jak przeciążona tama i rzuciła się do bezładnej ucieczki.

Wandalowie wydali okrzyk zwycięstwa i pogalopowali za nimi. Rzymianie i Herulowie pędzili w panice, jakby mieli na plecach stado diabłów. Minęli jedno wzgórze, drugie, trzecie, aż wypadli na stojących w odwodzie doborowych perskich jeźdźców ze straży Belizariusza. Persowie patrzyli zdumieni na wypadających wprost na nich przerażonych kawalerzystów. Dowodzący tu oficer generała wyjechał przed szereg, starając się zatrzymać uciekających i niektórzy nawet stawali, by ciężko dysząc ogłosić klęskę, zaraz jednak nadjechały tysiące następnych i wielka fala paniki porwała ze sobą i Persów w stronę rzymskiego obozu.

"W tym punkcie nie jestem w stanie powiedzieć, co takiego stało się Gelimerowi, że mając w ręku zwycięstwo w wojnie, dobrowolnie oddał je wrogom..." – napisze później Prokopiusz. Gdy Bóg chce kogoś ukarać, sprowadza na niego szaleństwo – doda potem, choć w nieco bardziej wyszukanych słowach. Gelimer bowiem dostrzegł wówczas coś, co sprawiło, że natarcie, które starłoby Rzymian razem z ich obozem, zatrzymało się w miejscu.

– Co, do cholery? – zdziwił się Theuderyk, wstrzymując spienionego konia.

Król bowiem ściągnął wodze, zdjął hełm, odslaniając pukle jasnych włosów, podał go jednemu z komesów i zeskoczył na ziemię. Powoli, jakby bał się tego, co znajdzie, zszedł w dół zbocza, podczas gdy zaniepokojeni komesowie i przyboczni, naśladując władcę, wolno postępowali za nim. Całe wojsko, oddział po oddziale, zaczęło ustawać w pościgu i zatrzymało się

rozsypane po okolicznych pagórkach, śledząc poczynania swojego wodza.

A Gelimer szedł coraz wolniej w stronę leżących poniżej, z dala od niedawnego starcia, porozrzucanych na zdeptanej kopytami ziemi jakichś ciał. Nagle, gdy byli już dość blisko, wydał zduszony okrzyk i rzucił się biegiem ku jednemu z nich. Dосkoczył do zakrwawionych zwłok, upadł na kolana, chwycił ciało w objęcia i załkał głośno. Dopiero teraz jego towarzysze zorientowali się, że to jego brat, księżę Ammatas, o którego śmierci nic przecież nie wiedzieli. I dołączyli do żałobnego jęku, bo i niektórzy z nich rozpoznali wśród leżących ciał swoich znajomych i krewnych.

– Co teraz? – podjechał do Theuderyka zdyszany Hadamir. – Nie gonimy ich?

– Nie wiem – tysięcznik wytarł płaszczem zakrwawiony miecz i schował do pochwy. – Król ma większy rozum od nas wszystkich. Każe walczyć, to walczę. Nie każe, to nie walczę.

– Ale jeśli tam leżą nasi z Kartaginy, to musieli spotkać jakąś drugą armię, o której nic nie wiemy – zaniepokoił się Hadamir. – Przecież mieliśmy tam parę tysięcy ludzi. Mieli trzymać te wzgórza. Kto mógł ich stąd przegnać? Może Rzymianie wysadzili wojsko z okrętów i zaskoczyli ich od boku?

– Nie wiem, za dużo myślisz, Hadamirze – Theuderyk rozejrzał się niespokojnie dokoła, jakby gdzieś mogli czać się w zasadzce Rzymianie. – Od myślenia jest tu Gelimer. Lepiej zobaczmy, co tam się dzieje.

Reszta wojska, widząc, że coś się dzieje, a walka została przerwana, również zjechała na miejsce wcześniejszej o pół dnia potyczki. Niektórzy, stojący bliżej, zaczęli zsiadać z koni. Któryś z komesów podszedł do rozpaczającego króla, prosząc, by ten dał rozkaz do dalszego natarcia, ale Gelimer tylko odpędził go ręką. Inny poprosił, by ruszyć do Kartaginy, skoro tamtejszy garnizon został rozbity, król jednak warknął tylko coś przez łzy. Dopiero po dłuższej chwili podniósł głowę

i kazał zbliżyć się towarzyszącym mu ariańskim biskupom. Wkrótce część ludzi zaczęła kopać groby, inni pojechali do Decimum po drewno na krzyże, a najstarszy rangą z obecnych biskup Utyki odpiął miecz⁶⁷, zrzucił kolczugę i zaintonował żałobną pieśń z Lamentów Jeremiasza.

Stało się więc tak, że przejęty żałobą Gelimer ani nie rozgromił do końca głównych sił Rzymian, ani nie zniszczył ich straży przedniej pod Kartaginą, broniąc stolicy, nie kazał też swoim ludziom wsiąść w mieście na okręty, by zdobyć niemal bezbronną rzymską flotę. Zamiast tego, zaczęto odprawiać wprost na polu bitwy smętne uroczystości pogrzebowe. Tymczasem, po drugiej stronie, za wzgórzami, nie szczędząc grózb, obietnic i przekleństw, Belizariusz osobiście powstrzymał paniczną ucieczkę swoich ludzi. I gdy już dowiedział się co zaszło i jak wygląda pole bitwy, ustawił swoją konnicę

w nowy szyk, kazał pozostać schowanej w obozie piechocie i bez zwłoki rozpoczął nowe natarcie.

To nawet nie była walka. Rzymianie wypadli na rozproszonych po wzgórzach lub zajętych pogrzebem Wandalów, wielu kładąc trupem, resztę zmuszając do bezładnej ucieczki. Komesi siłą oderwali Gelimera od grobu brata, wsadzili na konia i wywieźli daleko od walki, a reszta wojska pogalopowała za nimi.

– Spierdaliśmy – sapnął tylko Theuderyk i pociągnął Hadamira za sobą w ślad za królem.

Tylko szybko zapadająca noc zapobiegła masakrze, kończąc tę dziwną "bitwę pod ja-pierdołę-Decimum", jak zwał ją potem nad dzbanem wina tysięcznik.



Noc zapadła również nad Kartaginą, przeganiając panoszących się na polach przed miastem Rzymian, lecz

nie przynosząc żadnych pewnych wieści. Nad odległym polem bitwy to podnosił się to opadał bitewny kurz, lecz żaden dźwięk nie dochodził do stolicy. Zmęczeni i zdezorientowani żołnierze tkwili więc dalej na zrujnowanych murach, znużeni i niespokojni mieszczanie na dachach swoich domów i dopiero koło północy załomotało do bram kilkudziesięciu potarganych jeźdźców, ogłaszając klęskę. Armia Gelimera, ponosząc ciężkie straty, lecz nie rozbita, cofa się na zachód, w głąb lądu do Numidii, zostawiając stolicę na łasce wroga. To wystarczyło. Wandalowie z wielkim lamentem opuścili mury, mieszkańcy, przeciwnie, z radością, nie powstrzymywani już przez nikogo otworzyli bramy, oświetlając je jasno pochodniami. Ci z Wandalów, którzy nie mieli rodzin w mieście, wyjechali w większości jeszcze przed świtem, by dołączyć do króla lub wrócić do swoich domów. Pozostali, których rodzina, zdrowie, bądź majątek zatrzymywały w Kartaginie, zaczęli gromadzić się tłumnie w kościołach, by prosić o azyl. Beketar,

nie wiedząc jeszcze co począć, wrócił pełnymi, mimo nocy, ludzi ulicami do domu Alamunda. Służba wpuściła go, pytając o los swojego pana, nic jednak nie potrafił powiedzieć. Mały Ariaryk spał i Beketar zaczął już przymierzać w atrium – dokąd, mimo skrzywionych min służby, wprowadził konia – przygotowane dla dziecka specjalne siodło, gdy ktoś załomotał do drzwi. Beketar odruchowo położył dłoń na rękojeści miecza i zamarł, nasłuchując. Skrzypnęły zawiasy, rozległy się jakieś podniecone, a nawet jakby radosne okrzyki, po których nastąpił zbliżający się tupot butów. Beketar cofnął się w cień za filarem. Do atrium wpadła gromada służących, podtrzymując wyrywającego się niecierpliwie, straszego jak upiór Alamunda. Komes kulał, pokrwawione ubranie miał w strzępach, w paru miejscach przerwana kolczuga. Brudną twarz musiał ochlapać przed chwilą wodą, która kapła ciężkimi kroplami na przesiąknięte krwią bandaże. Beketar wypadł z okrzykiem z ukrycia i dopadł do gospodarza.

– Alamund! Żyjesz! – złapał chwiejącego się za ramię. –
Co tam się stało?!

– Nie wiem, nie pytaj – wydyszał ciężko komes. –
Prawie wszyscy nie żyją.

– Wszyscy? – szeroko otworzył oczy Beketar. – Ale jak?

– Wszyscy od Gibamunda – Alamund oparł się na nim,
aż mało go nie przewrócił.

– A ty? Jak tobie...?

– Domyśl się i nie pytaj – przerwał komes. – Ariaryk;
musisz wywieźć stąd Ariaryka – wysapał.

– Oczywiście! – zapewnił Beketar. – Zaraz przyszykuję
konie.

– Nie, nie trzeba – powstrzymał go Alamund. – Byłem
po drodze w pałacu. Jest taki statek. Niedługo kończą
załadunek. Płynie nim sekretarz króla, Bonifacjusz.
Zabierze was ze sobą do Hippony – przerwał, łapiąc
oddech.

– A rzymska flota? – zaniepokoił się Beketar.

– Jest jeszcze kawałek stąd. Wyflyniecie, nim się zorientują – doparł Alamund. – Idźcie obudzić Ariaryka – polecił służbie. – I przynieście wina!

Podszedł, nie puszczając Beketara, do najbliższej ławy i usiadł ciężko.

– Jak mogło do tego dojść? – westchnął.

– Powiem ci, jak – mruknął Beketar, siadając obok. – Obaliliście starego Hilderyka, który przyjaźnił się z cesarzem, znów chcieliście gnębić katolików, byliście butni i aroganccy, oto jak⁶⁸.

– Tak, możesz mieć satysfakcję, Beketarze – z dezaprobatą pokręcił głową komes.

– Satysfakcję? – prychnął Beketar. – Z czego, Alamundzie? Z tego, że zrujnowaliście nasze królestwo? Gelimer i tacy jak ty, czy Godagis? Nie, nie mam satysfakcji.

– Ratowaliśmy tylko to, co chciał zniszczyć Hilderyk – odparł posępnie komes. – Gdybyśmy pozwolili na jego

politykę, za sto lat nie byłoby już Wandalów.
Zamienilibyśmy się w Rzymian.

– Brawo! Teraz nie będzie nas już za rok – skrzywił się Beketar.

– Daruj sobie ten sarkazm. Jeszcze nie wszystko stracone. Książę Tazon wróci z Korsyki i odbijemy miasto.

– Chciałbym, żeby tak się stało – pokiwał głową Beketar. – Nie płyniesz z nami? – spytał po chwili ponurej ciszy.

– Nie, muszę zostać w Kartaginie. Od tego zależy życie wielu ludzi.

– Odkąd interesuje cię, co się stanie z innymi? – uniósł brwi Beketar.

Alamund uniósł głowę i popatrzył na niego poważnym wzrokiem.

– Wydaje ci się, że znasz się na ludziach, prawda Beketarze? Znasz się tylko na swoich mapach i zwojach.

Idź już, przyszykuj się do drogi. Ja muszę jeszcze podyktować list do Godagisa. Koń musi zostać, ale możesz zachować rynsztunek. Pewnie przyda ci się jeszcze.



Okręt, szybka ale ładowna dromona, wyszedł z portu o brzasku. Daleko, na drugim końcu zatoki majaczyła gromada lamp wywieszonych na rzymskich masztach jak nowa konstelacja porannych gwiazd. Wiał sprzyjający wiatr od lądu i szybko stracili z oczu Kartaginę. Zaspany Ariaryk popłakał trochę, nie rozumiejąc co się dzieje, czemu ojciec wysyła go nocą na jakiś statek, jednak towarzysząca mu piastunka, siwowłosa Libijka, szybko ukołysała go do snu. Kapitanem statku był stary wilk morski z Korsyki, jednak całą wyprawą dowodził Bonifacjusz, miejscowy Rzymianin, sekretarz Gelimera, do bólu wierny, jak się po paru słowach przekonał Beketar, swemu królowi. Przekonał się również, że

nie należy pytać o zawartość wielkich, okutych skrzyń⁶⁹, które zapełniały całe dno statku, pilnowanych przez kilkunastu ponurych Wandalów. Cała trzydniowa podróż upłynęła mu więc na niewesołych rozmyślaniach, podczas gdy okręt pod pełnymi żaglami pruł lazurowe morze, tylko na noc zarzucając kotwicę w skalistych zatoczkach, z dala od portów. Wreszcie pod koniec trzeciego dnia ujrzeli w oddali znajome mury Hippony. Statek bez przeszkód zawinął do portu, w którym panował zwyczajny ruch. Ładowano i rozładowywano statki, robotnicy pokrzykiwali na siebie i na marynarzy, a marynarze klęli i gwizdali na portowe dziwki. Bonifacjusz zabronił załodze schodzić na ląd i rozmawiać z kimkolwiek w porcie, a na trapie postawił uzbrojone straże. Sam również pozostał na pokładzie, wysłał tylko z Beketarem jednego z Wandalów, którego ten kojarzył niejasno z dawnych czasów w Kartaginie. Zeszli więc na ląd – Beketar z całym bagażem, piastunka z obrażonym Ariarykiem na rękach – śledzeni ciekawymi spojrzeniami całego nabrzeża. Beketar wygrzebał jakąś

drobną monetę, rzucił któremuś porządnie wyglądającemu woźnicy i po chwili jechali w stronę pałacu wozem, który na szczęście nie śmierdział rybami. Miasto wydawało się żyć swoim zwykłym życiem handlarzy, przekupek, psów, brudnej dzieciarni i złodziei. Z term wychodzili zadowoleni, brzuchaci kupcy, z teatru ich zadowolone, wyfiokowane żony z jeszcze bardziej zadowolonymi, młodymi kochankami, księża doglądali bielenia ścian katedry, a straż miejska dłubała w zębach schowana w chłodnym cieniu. Można by pomyśleć, że czas się cofnął, że nie było żadnej bitwy, ba, że nikt nigdy nie słyszał o żadnej wojnie.

Wóz powoli doturkotał podjazdem na pałacowe wzgórze. Beketar z posłańcem Bonifacjusza zeskoczyli pod bramą przed zdziwionymi strażnikami, którzy zlustrowali ich nieufnie od stóp do głów.

– Beketar? Z poczty? – upewnił się na wszelki wypadek jeden z nich.

Beketar podążył wzrokiem za ich spojrzeniami.

Miał na sobie kolczugę, przy pasie bujał mu się hełm i musiał wyglądać, jakby właśnie wyruszał lub, zgodnie z prawdą, wracał z wojny. Wozem, ze starą kobietą, małym dzieckiem i niewiele lepiej wyglądającym towarzyszem.

– Tak, to ja – potwierdził z rezygnacją. – Dajcie znać komesowi, że mamy pilne wieści ze stolicy.

Godagis przyjął ich w dawnej sali tronowej, jednak na prośbę Beketara, po chwili wahania, zgodził się wysłuchać ich na osobności w swojej kancelarii. Wydawał się jakiś zmęczony i przygaszony, z podkrążonymi oczami, może chory.

– Pobili nas, Godagisie – oznajmił ponuro Beketar. – Rzymianie pokonali Gelimera i pewnie zajęli już Kartaginę.

Komes skrzywił się, jakby naprawdę zaboląła go ta wiadomość.

– Jak to możliwe? – spytał posepnie. – Jak to mogło się stać?

– Nie wiem – potrząsnął głową Beketar. – Widziałem tylko początek bitwy i śmierć księcia Ammatasa. Twój kuzyn Alamund, który jakimś cudem przeżył, mówił, że wybili też prawie do nogi dwa tysiące ludzi Gibamunda. Co było potem, nie wiem. Podobno Gelimer wycofał się o parę dni na zachód w głąb Numidii.

– A to dziecko? – komes wskazał głową Ariaryka, siedzącego wyjątkowo cicho w kącie na kolanach piastunki.

– To syn Alamunda. Alamund prosi, żebyś się nim zaopiekował – sięgnął za pazuchę i podał Godagisowi zapieczętowany list.

– Ja również mam dla ciebie list, wasza dostojność – wtrącił się milczący dotąd posłaniec ze statku, wręczając swoje pismo.

– Pieczęć królewska – komes spojrzał na niego

zdziwiony.

– Na statku, którym przyплыliśmy, czeka szlachetny Bonifacjusz, sekretarz króla – wyjaśnił Wandal. – Uprzejmie prosi, byś po przeczytaniu tego listu odwiedził go w porcie, ponieważ sam nie może opuścić pokładu.

Godagis przyłożył dłoń do czoła i zastygł tak na chwilę.

– Dobrze – orzekł w końcu zmęczonym głosem. – Możesz powiedzieć Bonifacjuszowi, że pojawię się kiedy tylko będę mógł. A ty, Bektarze, idź do siebie, odpocznij. Wezwę cię wkrótce, żebyś opowiedział mi wszystko, co wiesz. Zaraz też każę służbie zająć się dzieckiem. Jak będziesz wychodził, poproś do mnie mojego sekretarza.

*

– Co tu się działo! Dobrze, że cię nie było – zaczął opowiadać podekscytowany Jonates, pomagając

swojemu panu zdjąć kolczugę.

– Co się stało? – zapytał znużonym głosem Beketar. – Coś większego niż przegrana bitwa?

– Żona komesa Godagisa nakryła go w łóżku z siostrzenicą – poinformował konfidenicznym tonem Jonates.

– Z Ermintrudą? – wytrzeszczył oczy Beketar.

– Aha – pokiwał głową sługa. – Podobno trwało to już od dawna.

– Z Ermintrudą? – powtórzył bezmyślnie Beketar.

– Podobno Godagis ją zmuszał, ale kto ich tam wie – wzruszył ramionami Jonates. – Komesowa wywlokła ją za włosy na podłogę i chciała tak przeciągnąć nagą przez cały pałac, ale Godagis nie dał. Pobili się. Komes chodził potem z podrapaną twarzą, jego żona z podbitym okiem.

– Ja piernicę... – pokręcił głową Beketar.

– To nie wszystko – ściszył głos Jonates. – Na drugi dzień po tej historii Ermintruda podcięła sobie żyły. Nie

uratowali jej.

– Jezu... – sapnął Beketar.

– Tak – pokiwał głową Jonates. – Teraz komesowa wyjeżdża z dziećmi gdzieś daleko do swojej rodziny. Byłaby pojechała od razu, ale ich najmłodszy syn ciężko się pochorował. Wydawało się, że dzieciak nie wyżyje, komesowa pląta na męża, że to kara za jego grzechy, ale chyba niedawno chłopakowi się poprawiło.

– Nalej mi wina, Jonatesie – z niedowierzaniem pokręcił głową Beketar. – Muszę się napić. Nie, muszę się upić!



– Beki. Beki! – poczuł jak ktoś szarpie go za ramię.

Ziewnął, otworzył zaspane oczy i usiadł gwałtownie na łóżku.

– Przykryj się czymś może – zaproponowała Brunfrida, wcale nie odwracając jednak wzroku od tego, co miało

zostać zakryte.

Beketar odruchowo zasłonił podbrzusze kocem.

– Frida? Co ty tu robisz? – popatrzył na nią nieprzytomnie.

Tym razem naprawdę wydawała się starsza, niż kiedyś. Wciąż w nie do końca skromnej, nieprzystającej wdowie sukni, oczy miała jednak podkrążone, na twarzy pojawiły się pierwsze, spóźnione zmarszczki.

– Gdzie Jonates? – rozejrzał się.

– Dałam mu parę monet na kulturę. Chodzi mi o Hadamira – wyjaśniła zatroskana, przysiadając obok.

– O kogo? – nie zrozumiał.

– Obudź się, Beki! – szturchnęła go. – O mojego syna! Był przy Gelimerze. Wiesz coś o nim? – spytała zatroskana, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie wiem – mimo woli spuścił wzrok na jej dekolt. – Ale król żyje, więc twój syn na pewno też.

– Tak myślisz? – westchnęła. – Cholera, Beki! – stuknęła go w brodę, podbijając mu głowę do góry i podciągnęła suknię trochę bliżej szyi; z marnym skutkiem i nieumyślnie odsłaniając przy okazji udo. – To nie jest dobry moment, by gapić mi się na cycki!

– Świat się wali – wzruszył ramionami. – Może już nie będzie lepszego momentu – położył dłoń na jej udzie.

Zrzuciła gniewnie jego rękę i zerwała się z łóżka.

– Wiesz co?! – warknęła i przez ułamek sekundy jakby ważyła dalsze słowa. – Też mi cię brakowało przez te lata – wypaliła niespodziewanie i ściągnęła szarpnięciem okrywający go koc.

– Nie jesteś już taki żwawy jak dawniej – oceniła, gdy było już po wszystkim. – Ale może być – dodała, dopinając suknię, podczas gdy Beketar leżał, patrząc na nią spod wpół przymkniętych powiek. – Tylko

nie obiecuj sobie zbyt wiele po tej chwili słabości.
Rzuciłeś mnie, a tego nie zapominam.

– Rzucałem cię dziesięć razy – mruknął.

– Ten był o jeden raz za dużo – stwierdziła, poprawiając naszyjnik.

– Kręciło cię to, przyznaj – uśmiechnął się. – Nigdy nikt ci tego nie zrobił. Zawsze to ty ich rzucałaś.

– I nadal tak jest – odparła, sprawdzając fryzurę. – Nie masz w tej norze żadnego lustra?

– Nie, raczej nie – przeciągnął się.

– O, nadal nosisz ten złom? – podniosła ze stolika pierścień z wężem.

– Pamiątka rodzinna, przecież wiesz.

– Możesz trzymać ją w skrzyni – obejrzała metalowy krążek z dezaprobatą. – Dam ci zamiast tego coś ładnego. Mam taki złoty pierścień z agatem.

– Nie, dzięki – uśmiechnął się. – To nie jest zwyczajny

pierścień.

– Nie? – przyjrzała się sceptycznie ozdobie. – A co? Jest z niezwykle słabo podrobionego złota, czy niezwykle stary?

– To elektrum – przewrócił oczami. – Stop złota ze srebrem.

– Mówiłam, słaba podróbka.

– Ten pierścień ma setki, może tysiące lat...

– Widać – parsknęła.

– Ma setki, może tysiące lat – powtórzył niezrażony. – Wykuł go przed wiekami, z pomocą starych bogów, pewien kowal dla swoich synów. Miały ich strzec i przypominać, skąd ich ród. Niestety, do kuźni zakradł się też diabeł i bracia wraz z pierścieniami rozeszli się po świecie. Ale wszystkie pierścienie spotkają się kiedyś, nim skończy się świat – dokończył, patrząc na zatarty węzowy kształt w jej dłoni.

– Zawsze podejrzewałam, że jesteś sentymentalny –

roześmiała się.

– Beznadziejnie sentymentalny – potwierdził z uśmiechem. – A pierścionek kupiłem kiedyś w Kartaginie na straganie ze starociami. Spodobał mi się... z powodów symbolicznych – mrugnął okiem.

– Symbolizuje starość i ubóstwo? – zadrwiła. – Nie ważne, noś sobie, jeśli musisz – odłożyła wężyka na stolik.

– Pokornie dziękuję za zgodę – skłonił się niezgrabnie, podnosząc się z łóżka. – Więc jak z nami będzie? – spytał z uśmiechem.

– Już ci kiedyś mówiłam. Nie ma żadnych "nas", Beki – podeszła do drzwi. – Ale może kiedyś cię jeszcze odwiedzę. Jak dorobisz się jakiegoś lepszego lokum – dodała, wychodząc. – A! – cofnęła się i zajrzała do środka. – I jeszcze Godagis chce się pilnie z tobą widzieć. Wczoraj nie dało się ciebie dobudzić – zamknęła za sobą drzwi i uśmiechnęła się zadowolona.

Beketar westchnął i sięgnął po pierścień,
na którym wąż wciąż gryzł własny ogon.



Rozmowa z komesem była dosyć długa. Godagis zgromadził swoich najbliższych współpracowników – obecnego naczelnika poczty, Fasirmusa, jakiegoś kuzyna w roli tysięcznika i nowego biskupa, których imion Beketar nie zapamiętał, a także sekretarza i spowiednika, których Beketar znał tylko z widzenia. Nie było Oktawiana z kurii miejskiej, pojawiła się za to Brunfrida – poważna jak wszyscy, lecz gdy nikt nie patrzył zaraz uśmiechnęła się szelmowsko i puściła oko do Beketara, aż ten musiał ugryźć się mocno w język, by nie parsknąć niestosownie. Dość wyraźnie rzucał się za to w oczy brak w tym gronie najstarszego syna komesa, który był przecież tysięcznikiem.

Beketar, pamiętając wczorajszą relację o niedawnych wypadkach, odpowiadał na pytania komesa ze słabo skrywaną wrogością, ten zdawał się jednak tego nie zauważać. Długo wypytывali go o wszystko, co wiedział na temat bitwy, Rzymian, króla i losów stolicy. W końcu, nie pytając zebranych o radę, Godagis zarządził:

– Wszyscy wojownicy, którzy nie pojechali wcześniej, mają być gotowi w ciągu pięciu dni. Jeszcze dziś wyjadą posłańcy do tych, którzy się nie stawili, grożąc banicją. Mają się zjawić wszyscy od szesnastego roku w górę. Jeśli boją się zostawiać rodziny bez opieki, mogą przywieźć je tutaj. W pałacu będzie chwilowo dużo miejsca. W Hipponie zostaje tylko straż miejska i księża. Wykonać!

Beketar wracał właśnie do siebie pałacowym korytarzem, gdy podeszła do niego jedna ze służących i szepnęła mu coś na ucho. Popatrzył na nią zaskoczony, ale tylko

kiwną głową i podążył za nią. Przeszli do innego skrzydła budynku, gdzie otworzyła mu drzwi, wskazując by wszedł do środka.

– Chciałaś się ze mną widzieć, Emnildo? – zaczął niepewnie.

Żona komesa czekała na niego w swojej prywatnej, bogato urządzonej komnacie, siedząc przy stole. Postarzała się wyraźnie, wychudła, przybyło jej siwych włosów. Spojrzała na gościa podkrążonymi z niewyspania oczami i wskazała miejsc przy stole, nie wstając na powitanie.

– Wyjeżdżam, Beketarze – oznajmiła gdy usiadł.

– Już słyszałem – odparł ostrożnie. – Teraz to nie najlepszy moment.

– Wszyscy słyszeli – skrzywiła się. – Wyjeżdżam jak najdalej stąd, jak najdalej od tego człowieka i nie obchodzi mnie, czy to dobry, czy zły moment.

Patrzył na nią, nie przerywając.

– Nie dlatego, że wziął sobie do łóżka inną kobietę. Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień – spojrzała na niego bez uśmiechu. – Ale za to, co zrobił tej biednej dziewczynie.

Beketar uniósł brwi w zdziwieniu.

– Tak – ciągnęła. – Znałam ją od małego i wierzę, że on ją do tego zmusił. Widziałam już od dawna, odkąd tu się sprowadziliśmy, że dzieje się z nią coś złego, ale w najgorszych snach nie sądziłam... On ma jej krew na swoich rękach, a ja nie zostanę tu już ani dnia dłużej.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał z troską.

– Tak, dlatego cię zaprosiłam – kiwnęła głową. – Mój najmłodszy syn, Ritigern, ma się już lepiej, ale wciąż nie może podróżować. Dojedzie do nas, gdy wrócą mu siły.

– Myślisz, że Godagis go puści? – spytał z powątpiewaniem.

– Mam wpływową rodzinę, Beketarze – ze złością

pokręciła głową. – Ten bydlak doskonale wie, co go czeka, jeśli jeszcze spróbuje odebrać mi dziecko. Ale chciałabym, żebyś przez ten czas miał oko na Ritigerna i pisał mi o wszystkim. Zajmij się nim, Beketarze.

– Postaram się na tyle, na ile Godagis mi pozwoli. Niedługo ruszamy na wojnę i...

– Nie staraj się, tylko się nim zajmij! – przerwała mu ostro. – To twój syn – dodała poważnie.

– Żartujesz sobie ze mnie! – Beketar zakrztusił się własną śliną.

– Czy ja wyglądam, jakbym żartowała? – obrzuciła go zmęczonym spojrzeniem.

– Nie. Nie, Emnildo. Nie nabiorę się na to – potrząsnął nerwowo głową, zrywając się od stołu. – Nawet nie jest do mnie podobny.

– No dobrze... – westchnęła. – Nie mam pewności, czy to twój syn, czy Godagisa. Ale myślę, że twój. Dlatego

tak to skończyłam wtedy, w Kartaginie. I dlatego zajmij się nim najlepiej jak potrafisz.

Beketar ponownie potrząsnął głową, ale nie ruszył się z miejsca, myśląc intensywnie. Emnilda wstała i podeszła do niego. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Idź już – popchnęła go delikatnie, lecz zdecydowanie.
– Wyjeżdżam jutro o świcie.

*

Beketar wyjrzał zza kolumny. Chłopak siedział na ławce obok fontanny i rysował coś patykiem na piasku. Był chudy, nieproporcjonalnie zbudowany jak większość chłopców w tym wieku, blady jeszcze po niedawnej chorobie. Długie, czarne włosy opadały mu na czoło. Beketar próbował doszukać się w tym kilkunastoletnim dziecku jakichś podobieństw do siebie, lecz bezskutecznie. Ritigern zdawał się podobny do matki,

nie wykluczone, że trochę też do Godagisa. W końcu chłopak wstał; zaraz podskoczył do niego siedzący do tej pory w cieniu służący, wziął go pod ramię i wolno odeszli w głąb pałacu. Beketar wyszedł z kryjówki i ruszył w swoją stronę. Przechodząc, rzucił okiem na rysunek na piasku i stanął jak wryty. Płytkie kreski nie były wyraźne, dość jednak, by rozpoznać kawałek jakiejś wymyślonej mapy z morzem, po którym płynął mały okręt, dookoła którego skakały delfiny.

*

– To jak tam, szefie? – Frodulf rozciągnął potężne ramiona, by sprawdzić, czy gruby skórzany kaftan dobrze leży. – Teraz to my, albo oni, co?

– Nie jestem już waszym szefem – mruknął Beketar, pomagając Bilbertowi zawiązać pod szyją podrdzewiały hełm. – Tak. My, albo oni.

– Wielmożny Fasirmus odważnie zostaje w Hipponie,

by dzielnie bronić miasta własną piersią gdy już polegniemy – zarechotał Frodulf. – Tak więc, komórka pocztowa przy naszej małej armii posiłkowej musi wybrać sobie nowego szefa.

– Oni naprawdę są tacy twardzi, ci Rzymianie? – spytał Bilbert.

– Są – potwierdził niechętnie Beketar. – To zawodowi żołnierze, weterani wielu bitew, nie pospolite ruszenie uganiające się po górach za Maurami.

– Parę razy już daliśmy im łupnia – Bilbert uderzył się dwa razy pięścią w głowę, by sprawdzić, czy hełm dobrze leży.

– Tak, za Gezeryka, kiedy każdy Wandal też był praktycznie zawodowym żołnierzem.

– Czyli co? – spytał Frodulf, ściągając ciężki kaftan, by rozpiąć włożoną pod spód grubą przeszywanicę. – Mamy się poddać?

– Może? – zastanowił się Beketar. – Oczywiście, nikt

nie zamierza się poddawać. Będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi i tak dalej. Jeśli się uda, to świetnie, przynajmniej do następnej inwazji za pokolenie lub dwa. Ale jeśli się nie uda? Ktoś, mądrzejszy o nasze błędy, powie wtedy z wyższością: jasne, że trzeba było się poddać. Uznać władzę cesarza, wynegocjować jak najlepsze warunki. Oczywiście, dziś zostałby uznany za zdrajcę. A jeśli wygramy, dodatkowo za głupiego zdrajcę.

– Przykro mi, szefie, nie rozumiem – pokręcił głową Frodulf.

– To jak z grą w kości. Albo z rzutem monetą – Beketar usiadł przy stole i wysypał na blat garść miedziaków. – Wyobraź sobie, że masz na stole stos złotych monet.

– Kupa forsy.

– Właśnie. Jeśli wyrzucisz orła, zachowasz wszystkie – przesunął monety w stronę Frodulfa. – Jeśli reszkę, wszystko przepadnie – zagarnął je do siebie.

– Pewnie, że rzucę – roześmiał się Frodulf. – Przecież teraz nie mam ani jednej.

– Nie, to nie tak – uśmiechnął się Beketar. – To twoje monety. Dostałeś je po pradziadku, który zrabował je jakiemuś bogatemu Rzymianinowi. I teraz prawnuk tego Rzymianina mówi: rzućmy o nie jedną z tych monet – wziął do ręki miedziaka. – Orzeł – zostają u ciebie. Reszka – zabieram, co mi się należy. Rozumiesz?

– Tak, teraz już łapię – uderzył się dłonią w czoło Frodulf. – Król Gelimer rzuca monetą z cesarzem.

– To ta... jak jej tam? Antologia! – wtrącił się zadowolony z siebie Bilbert.

– Analogia, dokładnie. Król rzuca, ale król mógłby powiedzieć cesarzowi: słuchaj, stary, po co mamy rzucać, skoro wtedy jeden z nas zostanie z niczym, a monet jest dużo? Mógłby powiedzieć: podzielmy się po pół i uściśnijmy sobie ręce.

– Mógłby? – spytał niepewnie Bilbert.

– No, pewnie nie – przyznał Beketar. – Gelimer obalił Hilderyka właśnie za to, że tamten chciał się dzielić. A potem napisał cesarzowi: to moje i wara ci od tego. Głupio by mu teraz było, poza tym, mogłoby się okazać, że ludziom to się nie podoba i na drugi dzień sam też już nie jest królem. Ale nie o to mi chodziło.

– A o co, bo chyba znów się gubię? – podrapał się po głowie Frodulf.

– To twoje monety – znów przesunął je w jego kierunku. – Grasz, czy się dzielisz?

– No, nie wiem – mruknął Frodulf. – Chyba bym grał.

– Ja bym się podzielił – zaprotestował Bilbert.

Beketar roześmiał się.

– To jak by było lepiej, szefie? – rozłożył ręce Frodulf.

– Cholera wie. W tym rzecz – odparł ze śmiechem Beketar. – To będzie wiadomo dopiero, gdy rzucisz. Jeśli rzucisz i przegrasz, wyjdiesz na głupca. Tak samo ludzie będą gadać jeśli się podzielisz, a potem rzucisz

i wyjdzie na twoje. Jeśli wyjdzie wtedy na jego, wzruszą ramionami, że miałeś pecha, ale przynajmniej byłeś przewidujący. Tyle, że w życiu, jak już się podzielisz, nie ma sprawdzającego rzutu. Więc ludzie gadają potem co chcą, najczęściej, że byłeś słaby i źle zrobiłeś, za to oni na twoim miejscu, to ho-ho. Tylko jeśli postawisz wszystko i wygrasz, wtedy będą sławić twoją mądrość, spryt i szczęście.

– Nigdy nie myślałem, że królowie mają tak przesrane – pokręcił głową Bilbert.

– Mało kto o tym myśli – zgodził się Beketar. – Będąc królem, jesteś tylko tak dobry jak twoja ostatnia bitwa.

– To ja bym wcześniej odpowiednio podpłował tę monetę – wyszczerzył zęby Bilbert.

– Tak, wszyscy królowie ją piłują.



– Chciałeś mnie widzieć, Godagisie – odezwał się

Bektar, patrząc na niego spode łba.

– Tak, rzeczywiście – odparł komes, podnosząc głowę znad rozłożonej na stole mapy. – Zostaw nas samych – polecił sekretarzowi i odczekał, aż ten wyszedł z kancelarii. – Ponieważ mój kuzyn Alamund powierzył ci opiekę nad swoim synem, chcę żebyś wiedział, że w liście prosi mnie o wysłanie chłopca do naszych ostrogockich przyjaciół w Italii. Zresztą, sam możesz zobaczyć – wyciągnął w ręce odpieczętowane pismo.

– Nie, nie trzeba – potrząsnął głową Bektar.

Godagis odłożył list na stół.

– Wysyłam tam też swojego syna, Ritigerna – oznajmił, bacznie się przyglądając Bektarowi.

– Do Italii? – odparł ten tylko, zaskoczony.

– Dziwi cię to? – uniósł brwi komes.

– No, nie... – zmieszał się Bektar. – Tylko słyszałem, że był ciężko chory, a twoja żona...

Godagis uniósł dłoń.

– Chodzi o to, Beketarze... – odszedł od stołu i odwrócił się w stronę okna. – Nie wiem, jak potoczy się ta wojna, chcę więc to z tobą wyjaśnić. Wiem, że lubiłeś moją siostrzenicę, Ermintrudę – to mój krzyż i nie mam zamiaru ci się z tego tłumaczyć. Wiem też, że rozmawiałeś z Emnildą. Widzisz... – ponownie odwrócił się do Beketara. – Mnie też Emnilda próbowała to wmówić, wypłuć właściwie w twarz, przed odjazdem. Zresztą, wiedziałem... Ale Ritigern to mój syn, nie twój.

– Wiedziałeś... – szeroko otworzył oczy Beketar.

– Oczywiście – skrzywił się Godagis. – Wiele wtedy podróżowałem w królewskich sprawach, a z Emnildą nie układało nam się najlepiej.

– Ale... – zająknął się Beketar.

– Czemu nic nie zrobiłem? – uniósł brwi komes. – Pewnie, chciałem cię zabić. Tylko co by to dało? Wszyscy by się dowiedzieli, musiałbym skazać matkę swoich

dzieci... Nie, Beketarze. Czasem we własnym domu też trzeba być politykiem.

– Mogłeś komuś to zlecić, wynająć jakichś oprychów – z niedowierzaniem pokręcił głową Beketar.

– Za kogo mnie masz, Beketarze?

– Za polityka? – wyrwało mu się.

Godagis potrząsnął głową.

– Możemy się nie lubić, nie zgadzać, ale mam swoje zasady... i Pismo. Nawet jeśli czasem grzeszę i popełniam błędy.

– Jesteś skomplikowanym człowiekiem, Godagisie – znów pokręcił głową Beketar.

– Nie wiem – westchnął komes – ale może i dla takich znajdzie się miejsce w Królestwie Niebieskim. A co do Ritigerna... Jak mówiłem, to mój syn; wiem to. Jednak doceniam to, że chciałeś się nim zająć. Pamiętam również, co zrobiłeś dla mojej rodziny. Co przy okazji świadczy, że dobrze zrobiłem, pozostawiając cię kiedyś

przy życiu.

– Do czego zmierzasz, Godagisie? – mruknął Beketar.

– Proponuję ci umowę – popatrzył na niego poważnym wzrokiem komes. – Moi starsi synowie wyjechali z matką, Emnilda zabrała też naszą córkę. Wiem, że będzie chciała odebrać mi także Ritigerna, gdy ten tylko poczuje się lepiej. Może sobie straszyć i grozić, ale nie pozwolę na to. Również dlatego chcę wysłać go tam, gdzie go nie dosięgnie – popatrzył uważnie na Beketara, lecz ten tylko słuchał w milczeniu. – Wiem, że Emnilda kazał ci pilnować dla niej Ritigerna – podjął komes. – Nie zrobisz tego, zresztą będziesz miał dobrą wymówkę, bo pojedziemy na wojnę. Poza tym, jeśli spróbujesz mi przeszkodzić, tym razem cię zabiję. A Ritigern i tak popłynie do Italii. Czy to jasne?

Beketar z pochmurną miną wykonał nieokreślony ruch głową.

– Jeśli dasz mi słowo, możesz prosić mnie o wszystko, Beketarze, co tylko leży w mojej mocy i w granicach

boskiego prawa. Przyrzekam ci to spełnić – popatrzył na niego wyczekująco.

Beketar spojrział z namysłem w niebo za oknem. Rozejrzał się po kancelarii i podszedł do stojącego na jednym ze stołów niewielkiego złotego, wysadzanego rubinami krzyża. Podniósł go i podał Godagisowi.

– Przyrzekasz na krzyż święty⁷⁰?

– Przyrzekam – skrzywił się komes, lecz pocałował krucyfiks. – Przysięgnij i ty – podał mu krzyż.

– Oczywiście – Beketar również pocałował zimny metal i odłożył go na stół. – Nie chcę od ciebie, Godagisie, złota, ani zaszczytów – westchnął. – Zresztą, za chwilę mogą być nic nie warte. Jednak uważam, że powinienes ponieść karę za to, co się stało z Ermintrudą – popatrzył na spochmurniałego komesa. – Nie wiem, czy Ritigern jest moim, czy twoim synem... Bardzo możliwe, że twoim. Ale, jeśli przeżyjesz tę zawieruchę, dasz mu gdy już będzie dorosły coś ode mnie i sam powiesz mu, że to ja byłem jego ojcem.

Twarz komesa stężała, wciągnął powietrze.

– Przyrzekłeś mi, Godagisie – przypomniał Beketar.

– Przyrzekłem... – warknął komes. – A teraz zejść mi z oczu.

– Moment... – Beketar ściągnął z palca pierścieni z połykającym ogon wężem. – Nie jest cenny, ale był w mojej rodzinie od niepamiętnych czasów i czasem zdaje mi się, że ma w sobie jakąś pradawną moc – uniósł pierścień do oczu; słońce zagrało na złotawym, wytartym gadzie. – Mnie... już się sprzykrzył, ale twój syn to mądry dzieciak, kiedyś zrozumie.

Godagis zacisnął zęby i bez słowa wyciągnął rękę po pierścień.

✱

– Dobrze ci w tej zbroi, Beki – zlustrowała go Brunfrida, stając w drzwiach jego pokoiku.

- Jest ciężka i strasznie w niej gorąco – skrzywił się.
- Nieważne. Jeśli wygracie, zajrzyj do mnie w tym stroju. Albo, jeszcze lepiej, zdobądź jakiś rzymski pancerz. Wpadnij bez pukania z mieczem w dłoni, przeгон moje służące i...
- Frido! – przewrócił oczami.
- Co, nie podoba ci się ten pomysł? – popatrzyła na niego filuternie.
- Niezły – uśmiechnął się. – O ile wygramy.
- Ale nie wygracie, prawda? – spowaźniała.
- Nie wiem. Może tak być – westchnął.
- Co planujesz?
- Nie zginąć – uśmiechnął się niewesoło. – A ty?
- Zadbać o siebie i o syna, oczywiście – wzruszyła ramionami. – Odnajdź go, proszę, jak już dotrzecie do króla i miej na niego oko.
- Heh! – parsknął mimo woli Beketar, kręcąc głową. –

Jesteś już drugą... nie, przepraszam, trzecią osobą, która w ostatnich dniach powierza mojej opiece swojego syna. Podczas gdy mój zaopiekował się sam i płynie teraz z Rzymianami. Nie wiem, o czym to świadczy.

– Nie filozofuj, tylko na niego uważaj, Beki, bardzo cię proszę – odparła nieco karcącym tonem. – Zrobisz to dla mnie?

– Na tyle, na ile... – urwał. – Tak, zrobię.

– Dziękuję ci, Beki – uśmiechnęła się. – Wiem, że mogę na ciebie liczyć.

– Też mam do ciebie prośbę, Frido – odparł poważnie. – Zajmij się pod moją nieobecność Jonatesem. To dobry człowiek, choć bywa czasem irytujący. I, o dziwo, ma o tobie bardzo dobre mniemanie – mrugnął okiem. – A gdyby... Gdyby nam się nie udało, odeślij go proszę do mojej kuzynki Walasindy w Tenelium razem z tym pismem – podał jej zapieczętowany list. – To przeniesienie prawa własności i prośba, by wyzwolili go według rzymskiego prawa. Może też zabrać ze sobą moją

mapę i zwoje.

– Obiecuję, Beki. A tak w ogóle, to co chcesz zrobić z tą mapą?

– A co miałbym z nią robić? – zdziwił się.

– No, nie wiem. Gdzieś ją rozwiesić, dać komuś do skopiowania...

– Ale po co? – zmarszczył czoło.

– Jak to, po co? – roześmiała się. – Żeby ktoś to jeszcze zobaczył! Włożyłeś w to tyle pracy. Jest ładna, a widziało ją tylko parę osób. Wszyscy powinni to obejrzeć.

– Myślisz? – wzruszył ramionami. – Nie wiem, może kiedyś. Teraz są ważniejsze sprawy – zawahał się. – Muszę już iść. Za chwilę odjeżdżamy.

– Pomacham ci z okna chusteczką.

Stali przez chwilę w milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem. Beketar napiął wszystkie mięśnie.

– Wyjdiesz za mnie? – wypalił.

– Za ciebie? – popatrzyła na niego zaskoczona. – Przecież ty jesteś skończony. Pewnie wszyscy jesteście skończeni.

– Pewnie tak. Całe królestwo – pokiwał głową. – Wyjdiesz?

– Zawsze byłeś kochany, Beki – położyła mu dłoń na policzku – ale nie. Ja jeszcze nie skończyłam. Nie wystarczy na to jakaś głupia rzymska armia.

– Heh... – uśmiechnął się smętnie. – Chyba rzeczywiście nie. W takim razie żegnaj, Frido.

– Pocałuj mnie, jakby to miał być ostatni raz, Beki – objęła go ramionami.

– *"Chciałbym cię całować, ale pragnę tego zbyt mocno. Chciałbym cię smakować, ale twe wargi są jadowitą trucizną"*, jak pisał Alissandros z Cypru⁷¹. Nie, Frido – potrząsnął głową, zdejmując jej ręce ze swojej szyi. – Ostatni raz był ostatnim razem.

– Będę tęsknić – uśmiechnęła się. – I ty też.

– Może – odpowiedział uśmiechem. – Pamiętasz tę bajkę o żabie i skorpionie?

– Pamiętam. Żaba dała się namówić na przewiezienie skorpiona przez rzekę, a ten ugodził ją śmiertelnie na środku nurtu. Mówisz, że to o nas?

– "Dlaczego to zrobiłeś?", spytała żaba – nie odpowiedział. – "Przecież teraz oboje zginiemy."

– "Nic na to nie poradzę", odparł skorpion. "Taka jest moja natura" – dokończyła z uśmiechem.

– Zdaje się, że nie lubimy szczęśliwych zakończeń, Frido, ale życzę ci powodzenia.

– Tobie też, Beki. Żegnaj – odwróciła się.

Nie zamknęła za sobą drzwi. Patrzył jak odchodzi wolnym, rozkołysanym krokiem.

– Hej, Frido! – zawołał za nią, gdy była już przy schodach. – Mam pomysł!

Zatrzymała się i odwróciła, czekając co powie.

– Udawajmy, że wcale się nie kochamy! – wyszczerzył zęby.

Parsknęła. Pokazała mu obraźliwy gest i obróciła się na pięcie. Odeszła, nie oglądając się za siebie.

– Ha-ha-ha – zaśmiał się głośno i bez radości za jej plecami, a echo przez chwilę śmiało się wraz z nim.



Wydaje nam się, że przeszłość wyryta jest w kamieniu, podczas kiedy to tylko piasek na wietrze naszych wspomnień. A przyszłość? Mgła pełna złudnych kształtów. Jak byśmy byli zawieszeni w krótkiej przerwie pomiędzy dwoma zwodniczymi snami. Ale od czasu bitwy pod Decimum, Beketarowi nic już się więcej nie śniło. Żadne potwory, żadni aniołowie, żadne zjawy. Nic. Nigdy.

Król Gelimer dwoił się i troił, wsparty też posiłkami pięciu tysięcy doborowych wojowników, którzy w końcu wrócili z księciem Tazonem ze zwycięskiej, lecz daremnej wyprawy na Korsykę. W obozie zebrano również kobiety i dzieci ewakuowane z zajętych przez Rzymian terenów. Po trzech miesiącach Gelimer był gotów, lecz przez ten czas Belizariusz zdołała na powrót ufortyfikować Kartaginę. Wandalowie próbowali wywabić go w pole, lecz on wymaszerował z miasta dopiero w dogodnym dla siebie momencie. Mając za sobą obóz pełen swoich rodzin, Wandalowie postawili wszystko na jeden rzut monetą i piętnastego grudnia o świcie znienacka zaatakowali. Bitwa toczyła się ze zmiennym szczęściem, w końcu jednak książę Tazon padł, a linia Wandalów załamała się pod natarciem Rzymian. Większość zdołała schronić się za palisadą, ale o dalszej walce nie było już mowy. Gdy Gelimer dowiedział się, że maszeruje na nich cała rzymska piechota, potajemnie uciekł z obozu ze swoimi najbliższymi stronnikami w stronę gór do zaprzyjaźnionych Maurów. Tam

po jakimś czasie został wzięty głodem i uświetnił swoją osobą tryumf Belizariusza w Konstantynopolu, szepcząc podobno "marność nad marnościami i wszystko marność". Został jednak potraktowany z honorami i otrzymał bogatą posiadłość w Galacji, gdzie oddał się poezji. Pozostawieni przez niego w obozie Wandalowie mieli mniej szczęścia. Gdy rozeszła się wieść o ucieczce króla, wybuchła panika. Rzymianie bez trudu zabijali mężczyzn, żołdacy chwyтали kobiety i dzieci, gwałcąc jedne i drugie – co Prokopiusz dyplomatycznie pominął w swej relacji – i upijali się zdobytym nieprzebranym bogactwem.

Beketar, jak wielu, przeżył schroniwszy się w jakimś kościele, gdzie zaciągnął też ранnego syna Brunfridy. Został wraz z większością zdatnych jeszcze do walki wojowników odesłany pod strażą do Kartaginy. Jako osoba wykształcona i znana generałowi, uniknął jednak deportacji do Konstantynopola i wysłania na front perski i znalazł zajęcie przy sztabie Belizariusza na kolejnej wojnie Cesarstwa, tym razem z Ostrogotami w Italii. Zresztą nie on jeden, bo rzymski

generał sformował z najlepszych wandalskich wojowników swoją nową straż przyboczną. Czasem prowadzili wtedy przy dzbanie wina dysputy o kampanii afrykańskiej z Prokopiuszem z Cezarei, które ten, nie zawsze dokładnie, wykorzystał później w swojej kronice. A podczas licznych rozejmów i pertraktacji spotykali nie raz i nie dwa swoich pobratymców, którym udało się zbiec na ostrogocki dwór i teraz walczyli po przeciwnej stronie frontu. Odnalazł się tam Alamund, odnalazł Godagis z synem, tysięcznik Theuderyk, a nawet uznany za martwego księżę Gibamund. Czasami, szczególnie gdy zbyt dużo wypił, ogarniała Beketara nostalgia za dawnymi czasami. Zaszywał się wtedy na parę dni z dala od ludzi i pisał sążniste listy do Brunfridy, które nazajutrz palił, bo przecież i tak nie potrafiła ich przeczytać. Po jakimś czasie jednak przestał je pisać.

Później Beketar został sekretarzem jednego z senatorów w Konstantynopolu, w tym czasie przeszedł też na katolicyzm. Przy jakiejś okazji miał sposobność odwiedzić ze swym patronem podstarzałego już, zdetronizowanego Gelimera

w jego galacyjskiej posiadłości. Również tam spotkał paru znajomych z Hippony i Kartaginy, wysłuchał niezłej poezji byłego monarchy i wrócił do domu w fatalnym nastroju.

"Kiedy opadnie już kurz / z bitewnych pól, / kiedy zabraknie aktorów / do wielkich ról, / gdy nie będzie już nic do stracenia, / powiedz, miła, że dla mnie masz coś / – chociaż ty – / coś, co się nigdy nie zmienia."

W naprawdę fatalnym nastroju. Spotykał się oczywiście z różnymi kobietami, ale z żadną na długo. W końcu wyszukał sobie podobną do dawnej kochanki kurtyzanę, która była odrobinę mniej zadziorna, bo to on płacił, ale tylko odrobinę – żeby płacić nie przestał. Byli, czy też raczej bywali ze sobą wiele lat, a kiedy się postarzel, rozstali się w przyjaźni.

Brunfrida, jak wiele zamożnych wandaliskich wdów, szybko poślubiła rzymskiego żołnierza, jednego z wyższych oficerów. Mieli dzięki temu zachować jej dotychczasowe wandaliskie posiadłości, jednak dekret cesarza szybko przekreślił te kalkulacje. Stało się to, obok anty-ariańskich represji, jednym

z powodów wielkiego buntu wojska w Afryce Północnej, w którego wybuchu Brunfrida z pewnością miała swój udział. Bunt został jednak stłumiony, a kolejnych Wandalów, "a zwłaszcza wszystkie ich żony", jak zapisał Prokopiusz, także deportowano.

Bunty, walki, powstania i wojny podjazdowe trwały w powandalskiej Afryce z przerwami jeszcze przez kilkanaście lat, lecz sami, coraz mniej liczni, wybijani, deportowani, spychani w góry Wandalowie odgrywali w nich coraz mniej znaczącą rolę, oddając pola sojuszniczym Maurom. Jedni i drudzy przegrywali jednak raz za razem bitwę za bitwą, a każdą kolejną coraz mniejszą i coraz mniej znaczącą. Rzymianie stłumili groźny wandalsko-gocki bunt wojska, stłumili wspierane przez Wandalów powstanie Maurów, stłumili popierane przez resztki Wandalów próby uzurpacji. A po każdym takim wydarzeniu następowały kolejne czystki i deportacje. Kiedyś którymś z kolejnych buntowników udało się nawet znów zawładnąć na chwilę Kartaginą, był

to już jednak tylko łabędzi śpiew. Ostatni liczący się wandalscy przywódcy zostali podstępnie wymordowani przez niechybnie mocno już zirytowanych całą sytuacją Rzymian, a resztę Wandalów znów wsadzono na statki i wysłano do Konstantynopola. W końcu w Afryce zostało tylko trochę zubożałych wandalskich rzemieślników, paru kupców, czy trochę marynarzy i ci najbardziej zacięci, którzy znaleźli schronienie wśród Maurów i kiedyś pewnie rozplyną się wśród nich bez śladu, jak dawniej Alanowie wśród Wandalów.

Konstantynopol to wielkie miasto, jednak któregoś razu Brunfrida i Beketar spotkali się przypadkiem na ulicy. Poszli do pobliskiej, taniej winiarni, a właściciel zastanawiał się, czemu ten łysy, przygarbiony urzędnik i ta tęga, siwowłosa kobieta – czas w końcu, przykro przyznać, nie obszedł się z nią łaskawie – siedzą tak długo zamyśleni nad jednym dzbankiem podłego wina.

– Wygrałam wtedy. Wygrałam z tobą – uśmiechnęła się Brunfrida.

– Tak, chyba tak – potwierdził po chwili namysłu. – Ale i ja wygrałem z tobą – dodał bez satysfakcji.

– Tak, to możliwe – przyznała.

Żadne nie zadało pytania, które cisnęło się na usta, a na które i tak znali odpowiedź.

– Nauczyłam się czytać – pochwaliła się po chwili milczenia.
– Miałeś rację, to całkiem ciekawe.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Ale nigdy do mnie nie napisałaś
– zauważył bez pretensji.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Oczywiście – pokiwał głową. – Tęskniłaś chociaż? – spytał bez przekonania, nalewając resztę wina.

– Bardzo – uśmiechnęła się ni to żartobliwie, ni melancholijnie. – Przez dobrych parę lat.

Umówili się w tym samym miejscu za tydzień. Beketar nawet przyszedł z ciekawości, Brunfrida oczywiście się nie pojawiła. Posiedział prawie godzinę nad cienkim winem, uśmiechając się do siebie i do swoich wspomnień, po czym

zapłacił i ruszył na długi spacer po mieście. Później spotkali się jeszcze raz, czy dwa, przystając na moment, pozdrawiając się życzliwie i rozchodząc w swoje strony.

Brunfridzie, po śmierci drugiego męża, udało się trzeci raz wyjść za mąż za bogatego kupca, który po paru latach zamknął ją w klasztorze. Syn pisał do niej parę razy, ale nigdy jej nie odwiedził. Podobnie córka, która, chociaż dała znak życia, zabroniła mówić matce, gdzie ją odnaleźć. Brunfrida zmarła w samotnej celi, choć niektórzy twierdzili, że dostała apopleksji, strofując jakąś leniwą nowicjuszkę.

Beketara, gdy wzrok zaczął odmawiać mu posłuszeństwa, zabrał do siebie syn, który – ku niezadowoleniu ojca – osiadł w Tesalonice razem z Rodelindą. Tam Beketar stara się mieć oko na podejrzenie miłą i układną synową, a przede wszystkim cieszy się wnukami, które znają już tylko parę słów po wandalsku. Choć trochę szwankuje mu już pamięć, opowiada im czasem o tamtych dniach i ma nadzieję, że wkrótce odejdzie w pokój.

Ach, jeszcze kuzynka Walasinda! Jako żona Rzymianina, pozostała z rodziną w Afryce, a jej mąż, Klaudiusz, odzyskał większość ziemi zagrabionej przed stuleciem jego przodkom. Nie zobaczyli się już więcej z Beketarem, ale zdążyli wymienić bogatą korespondencję, nim Walasinda, podobnie jak Jonates, zmarła w roku pańskim pięćset czterdziestym drugim, wraz z połową swoich dzieci, podczas wielkiej zarazy.

Była też chyba kiedyś jakaś mapa. Piękna, kolorowa, pełna egzotycznych nazw, mitycznych stworzeń i odległych krain. Zaginęła gdzieś w tej całej zawierusze jak tyle innych rzeczy. A po kraju, na który Bóg się rozgniewał, został tylko piasek naszych wspomnień, które rozwieje wiatr.

KONIEC



Nic z ludzkich spraw nie jest niewzruszone, nic, co teraz istnieje, nie będzie ludziom trwało na zawsze, a w przyszłości może zdarzyć się wszystko, co jeszcze nie istnieje." [...] Skoro zaś zdarzyło się to, o czym opowiedziałem, Wandalowie na nowo poznali naturę spraw ludzkich i zrozumieli, że były to słowa mądrego człowieka.

Prokopiusz z Cezarei, "Historia wojen"
w przekładzie Dariusza Brodki

A dalsze losy niektórych bohaterów tej opowieści poznacie w książce pt. "Ostatnie lato Wandalów".

posłowie

Nie byłoby tej historii, ani w ogóle jakiejkolwiek historii Wandalów, bez Prokopiusza z Cezarei. Swoją rytm zawdzięcza jednak, przede wszystkim, twórczości Owidiusza. W pierwszej kolejności frywolnym "Miłostkom" i "Sztuce kochania". Ta druga rozgniewała kiedyś Oktawiana Augusta, później papieże wpisali ją na indeks ksiąg zakazanych, a jednak przetrwała. Nie tylko dzięki kunsztowi poetyckiemu i lekkiemu humorowi, ale również dzięki nieustającej aktualności (czegokolwiek by na ten temat nie sądzili – co za unikalne połączenie – księża i feministki). Ponieważ z jakiegoś powodu nie trafiła na listę lektur szkolnych,

tutaj można było poznać przynajmniej parę co lepszych fragmentów.

Dalej są imponujące rozmachem "Metamorfozy", owidiuszowskie *opus magnum*, bez którego trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek współczesne opracowanie mitologii Greków i Rzymian. Przemiany świata od szczęśliwego wieku złotego (o którym Owidiusz niewiele miał jednak do powiedzenia) po pełen przemocy i zbrodni wiek żelazny.

Na końcu pozostały pełne goryczy i zgryzoty "Żale" i "Listy z Pontu" wygnańca tęskniącego za dawnym życiem. Ale tamten świat przeminął bez powrotu, w wieku żelaza zabrakło miejsca dla sławiącego miłość poety. Podobnie jak zabrakło go dla bohaterów tej opowieści.

Mimo początkowych spektakularnych sukcesów, afrykańskie państwo Wandalów przetrwało raptem trochę ponad sto lat, nie potrafiąc poradzić sobie

z konfliktami religijnymi, politycznymi, najazdami plemion mauryjskich (berberyjskich), a w końcu z przygniatającą przewagą militarną Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Niemniej, niespodziewanie nagły upadek bogatego królestwa zaskoczył zarówno jego germańskie elity, jak i jego bizantyńskich zdobywców. A po Wandalach w Afryce już wkrótce nie pozostało nic, prócz odnajdywanych przez archeologów nielicznych monet i inskrypcji.

Czy przetrwał po nich w Afryce jakiś ślad "genetyczny"? Nie wiadomo. Można tylko przypuszczać (na podstawie skąpych i mglistych źródeł), że niektórzy z Wandalów mogli pozostać w kraju, mimo czystek i deportacji, wielu mogło również znaleźć schronienie u Maurów. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że już "na starcie" Wandalowie stanowili w swoim królestwie zdecydowaną mniejszość (prawdopodobnie mniej niż 5% całej populacji i może raptem 20% w głównym rejonie swojego osadnictwa!). Późniejsze wydarzenia związane

z upadkiem państwa musiały jeszcze drastycznie ograniczyć tę liczbę. O ile więc Longobardowie w Italii, czy Wizygoci w Hiszpanii (nie mówiąc o Frankach), choć też statystycznie nieliczni, zapewnili swoim potomkom częściowe przetrwanie w warstwie miejscowej szlachty, o tyle Wandalom takiej szansy nie dano. Po klęsce królestwa wandalskie wdowy związały się licznie (by chronić majątki, a najpewniej i dzieci) z rzymskimi żołnierzami. Wysłani przeciw Persom do Azji Mniejszej wojownicy sprowadzili w końcu, jak można się domyślać, swoje rodziny do siebie, bądź związali się z miejscowymi kobietami; wątpliwe zresztą, by pozwolono im osiedlać się razem w większych skupiskach. W ten sposób wszelki ślad po tym wielkim ludzie rozwiął się w końcu jak piasek na pustyni. Jedynie, być może, ich bliscy pobratymcy, którzy nie wyruszyli na wielką wędrówkę i pozostali w starych siedzibach (jedni nad Cisą, inni między Wisłą, a Odrą) przekazali swoją krew obecnym mieszkańcom tych terenów. Ale i tamci, prawdopodobnie nieliczni

Wandalowie nie przetrwali kulturowo, zdominowani wkrótce przez nowoprzybyłych Słowian.

Należałoby jednak cofnąć się do tego, kim byli afrykańscy Wandalowie, co kryło się tak naprawdę pod tą wygodną etykietą? W Europie Środkowej mianem Wandalów określały się, jak się wydaje, różne "plemiona" powiązane ze sobą wspólnotą kulturową (odnajdywane dziś przez archeologów na terenie Polski pozostałości bogatej kultury przeworskiej), językową (z wymarłej dawno temu grupy języków wschodnio-germańskich) i prawdopodobnie religijną (uchwytną dziś jedynie w charakterystycznym obrządku pogrzebowym). Dodatkowo, jak wszystko wskazuje, powiązane przez długi czas w kontrolującą kluczowy odcinek "bursztynowego szlaku" koalicję tzw. Lugiów (bardzo ciekawy temat, ale nie miejsce tu na jego referowanie). Poza tym jednak, liczne odłamy Wandalów działały, jak się wydaje, niezależnie, miały własnych władców

i własną politykę. Znamy kilka nazw "plemion" wandalskich, ale bliższe informacje posiadamy jedynie o dwóch – Hasdingach i Silingach – które weszły bezpośrednio w strefę interesów Cesarstwa rzymskiego.

Na zachód, podczas wielkich wędrówek ludów, Wandalowie ruszyli początkowo w dwóch grupach. Najpierw, wypchnięci wywołaną przez Hunów falą ze wschodu, wyruszyli osiadli od wielu pokoleń bliżej rzymskich granic, nad Cisą i Dunajem, Hasdingowie (wcześniej wywędrowali tam prawdopodobnie z terenów naszego Podkarpacia). Razem z nimi powędrowali znani z doskonałej konnicy sojusznicy, sarmaccy Alanowie (których identyfikuje się często z Jazygami). Zebrali być może ze sobą (bo często tak bywało) grupki innych germańskich sąsiadów, a nie wykluczone, że również zbuntowanej ludności rzymskiej (lepiej lub gorzej zromanizowanych chłopów i niewolników z Ilyrii - są na to pewne poszlaki w źródłach). Wspólnie ruszyli na zachód wzdłuż

rzymskiego limesu, szukając słabego punktu w obronie chylącego się ku upadkowi imperium.

Na dalszym etapie do koalicji dołączyli Swebowie (być może Kwadowie, bo sławnej nazwy Swebów używało parę ludów) oraz zamieszkujący, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dzisiejszy Śląsk wandalscy Silingowie. Co skłoniło tych ostatnich, żyjących spokojnie z dala od burzliwego pogranicza Cesarstwa, do opuszczenia swych stosunkowo bezpiecznych siedzib po drugiej stronie Karpat? Czy zabrali ze sobą choć część pobratymców z innych "plemion" z terenów obecnej Polski? Nie wiadomo.

Ta luźna mozaika ludów o różnej historii i różnym pochodzeniu, po krwawej i niemal zakończonej całkowitą klęską bitwie z Frankami, w końcu sforsowała Ren w okolicach dzisiejszej Moguncji (tradycja mówi o sylwestrowej nocy 506/507 r., wątpliwe jednak by kilkadziesiąt, czy kilkaset tysięcy ludzi przepравиło się w jedną noc). Następne parę lat spędzili plądrując Galię

i może zgarnęli tam też nieco miejscowego chłopstwa lub niewolników (choć raczej nie jako równoprawnych partnerów). Ponieważ Galia okazała się niebezpiecznym i niespokojnym miejscem, w 509 r. koalicjanci przekroczyli Pireneje i wkroczyli do Hiszpanii. W nowym kraju, podzieliwszy się najpierw ziemią, spędzili około dwudziestu lat, walcząc z Rzymianami, Wizygotami i sobą nawzajem. Nie wchodząc w szczegóły, wspierani (i napuszczeni) przez Rzym Wizygoci kompletnie rozbili "naszych" Silingów, podstępem chwytając ich króla Fredebala. Następnie zrobili to samo z Alanami, w efekcie czego resztki obu "plemion" schroniły się u wandalskich Hasdingów, oddając się pod władzę ich króla. Od tego czasu można powoli zacząć mówić o wędrujących Wandalach jako jednym ludzie.

Kto jednak wchodził w skład tego ludu? Przywykli do bliskiego kontaktu z Rzymem, schryścianizowani w obrządku ariańskim wandalscy

Hasdingowie. Wyszli z północnych lasów pogańscy, również wandalscy Silingowie. Koczowniczy, sarmaccy Alanowie (może już również arianie, a może nie). Podrzedne odpryski paru innych ludów germańskich, Romano-Ilyrów, Romano-Galów, Romano-Iberów (zapewne głównie katolicy) a może i innych. Wreszcie, trochę swebskiej (poganie) i wizygockiej (arianie) opozycji, która uciekła od swoich władców. A część z tych grup miała też przecież swoją własną arystokrację, swoje własne prawa, o języku nie wspominając. Niezły bałagan, prawda? Trzeba było nieprzeciętnego człowieka w postaci hasdińskiego króla Gezeryka (Gejzeryka), który (nie stroniąc od brutalnych metod) zdołał skleić tę kolorową mozaikę, przeprowadzić ją do Afryki i wywalczyć dla niej państwo znane odtąd jako królestwo Wandalów i Alanów.

Jeszcze w Hiszpanii, Gezeryk przystąpił do burzenia starego porządku "plemiennego", by zastąpić go finalnie niespotykaną w germańskich

państwach sukcesyjnych władzą absolutną (albo absolutnej bliską). Zamiast (lub obok) tradycyjnych, "demokratycznych" struktur rodowych, plemiennych i wodzowskich, podzielono cały lud na "tysiące", na czele których postawiono powoływanych arbitralnie (?) przez króla tysięczników. Jakby tego było mało, później, w Afryce Gezeryk krwawo rozprawił się z burzącą się dawną arystokracją i tradycją wiecową, zastępując je (a przynajmniej spychając na polityczny margines) całkowicie od siebie zależną arystokracją dworską. W skład tej ostatniej wchodziłi też, co należy zaznaczyć, lojalni wobec nowych panów Romano-Libijczycy.

O ile, zgodnie z zachowanymi przekazami, Wandalowie w Afryce bardzo bronili (przynajmniej początkowo) oznak swojej odrębności – stroju i języka – oraz do końca walczyli o panowanie "narodowego" ariańskiego kościoła, o tyle w kolejnych pokoleniach w nieunikniony sposób ulegli wpływom rzymskiej kultury i urokom życia bogatych posiadaczy ziemskich.

Dwór w Kartaginie naśladował, jak się wydaje, w wielu kwestiach dwór cesarski, większość Wandalów zapewne na co dzień sprawnie posługiwała się łaciną, a niektórzy (choć pewnie nieliczni) posyłali nawet swe dzieci na naukę do rzymskich gramatyków i retorów. I choć właściwie niczego nie wiadomo o wandalskim prawie (a prawo, trzeba podkreślić, było dla ludów germańskich fundamentem własnej tożsamości etnicznej), to pewne poszlaki wskazują także na stosowanie przez nich zasad prawa rzymskiego. Być może, gdyby dostali kolejne sto lat, Wandalowie złączyli by się w końcu w jedno z miejscowymi Rzymianami.

Jak widać, Wandalowie, których widzimy w Afryce, nie byli już – ani etnicznie, ani politycznie, ani religijnie – tymi samymi Wandalami, którzy niewiele wcześniej wywędrowali z lesistych krain północy. Podobnie dotyczy to zresztą innych wielkich wędrowców i zdobywców epoki – Wizygotów, Ostrogotów, Longobardów, czy w końcu Anglosasów,

a nawet mniej "podróżujących" Franków. Przetrwały (również ewoluując) kultura, język i identyfikacja etniczna, ale lud, który kończył wędrówkę nigdy nie był tym samym, który ją rozpoczynał.

Tak jak Wandalowie stanowili nową afrykańską elitę posiadaczy i militarny kręgosłup królestwa, tak jego administracja znajdowała się, jak się wydaje, w dużej mierze w rękach lojalnych Rzymian (Romano-Libijczyków). Pomijając różną siłę tej lojalności (niekiedy wielką), oraz metody jej egzekwowania (niekiedy dość brutalne), sprawne funkcjonowanie królestwa (poczta, archiwa, "sekretariaty", szkoły, system podatkowy itp.) było właśnie ich zasługą. Ceną dworskiej kariery i zachowania majątków była jednak apostazja i przystąpienie do miejscowego kościoła ariańskiego, na co wielu (ale chyba, wbrew katolickim przekazom, nie przesadnie wielu) nie chciało się zgodzić. Rzymianie pod władzą Wandalów (zresztą i wcześniej – patrz

Donatyści) byli więc mocno podzieleni. Jedni cierpieli prześladowania i dyskryminację, inni włączyli się w budowę nowego państwa i robili kariery na kartagińskim dworze. Nie wszyscy więc zapewne wyglądali powrotu cesarstwa. Tym bardziej, że mogła przetrwać pamięć o jego sprawnym systemie podatkowym i panującym ucisku fiskalnym.

A co ze wspomnianymi tylko na marginesie tej opowieści Maurami? W końcu to była "od zawsze" ich ziemia. Mauryjscy władcy i wcześniej, i później próbowali ustanawiać swoje własne królestwa, które po kolei padały pod naporem Kartagińczyków, Rzymian, Wandalów. Jedną z takich prób podjął zaraz po upadku wandalckiego królestwa wódz Antalas, który wcześniej tak dał się we znaki królowi Hilderykowi. Tym razem wsparli go również ocalali Wandalowie, niestety bez skutku.

Historia lubi zataczać koło (i gryźć się we własny ogon). Mniej więcej półtora wieku później bizantyńska Afryka Północna, mimo bohaterskiego oporu Maurów, padła pod naporem arabskich armii. Nowi władcy nazwali ich Berberami (od łacińskiego *barbarus* - barbarzyńca) i pod tym mianem znamy ich do dziś. Katolików, arian, donatystów, gnostyków i pogan zastąpili mahometanie. A dalecy potomkowie prokuratora Oktawiana, Klaudiusza i kuzynki Walasindy, w niecałe dwieście lat po upadku Wandalów podbijali pod sztandarami proroka wizygocką Hiszpanię, z której kiedyś wandalski król Gezeryk przeprowadził swój lud do Afryki. A tam, w Hiszpanii... ponownie nazwano ich Maurami, bowiem to podbici przez Arabów i zislamizowani Maurowie stanowili trzon nowych najeźdźców i nowych osadników. Po wiekach i rekonkwiescie półwyspu, ochrzczono ich z kolei Moryskami i na przełomie XV i XVI wieku wysiedlono na powrót do Magrebu.

Maurowie (Berberowie), którzy pozostali w swoich górskich siedzibach żyją tam do dziś. Wciąż mają jasną karnację, mewają jasne włosy, a czasem niebieskie oczy. Większość przeszła na islam, inni są chrześcijanami, a część wyznaje swoją własną religię. Są jednak dzisiaj już tylko mniejszością etniczną w arabskiej Libii, Algierii, Maroku, Tunezji i (nomen omen) Mauretanii. Wielu z nich wyemigrowało też w ubiegłym wieku do Francji.

I niech ktoś mi powie, że historia ludzkości nie jest najdziwniejszym, najbardziej skomplikowanym labiryntem na świecie!

Nie chcę powtarzać tu wszystkich wyjaśnień zawartych w posłowniu do "Ostatniego lata Wandalów". Przypomnę więc tylko w skrócie – tak, psychologia bohaterów (wyjawszy może głęboką wiarę w "nadprzyrodzone") jest na wskroś współczesna, bo innej za dobrze nie znamy, inna byłaby dla nas zbyt obca. Zresztą, ludzkie

namiętności nie zmieniają się przez stulecia. Tak, język, którym mówią postacie w tej książce również jest współczesny, ponieważ i oni – Wandalowie, Rzymianie – mówili językiem dla siebie nawzajem normalnym, współczesnym, bez żadnych sztucznych archaizmów (nie licząc być może niektórych Rzymian, dla których archaizowanie było wytworną sztuką). Zawsze, czytając naszpikowaną językowymi archaizmami powieść, wyobrażam sobie jak za kilkaset lat ktoś kręci holo-film (nie oszukujmy się, książki będą już niedługo jedynie w muzeach) opowiadający o naszych czasach i każe bohaterom mówić "Sienkiewiczem" (a zwroty, obyczaje, stroje i fryzury z lat 50-tych i 80-tych mieszają się z dzisiejszymi, podobnie elementy nierozróżnialnych już po wiekach kultur i subkultur). Spróbujcie.

Dalsze dzieje niektórych poznanych tu bohaterów (Alamunda, jego chrześniaka Ritigerna i paru innych)

znajdziecie, jeśli ktoś jeszcze nie czytał, w mojej poprzedniej książce "Ostatnie lato Wandalów". Los dwadzieścia lat później rzucił ich daleko od Afryki, z powrotem do wpół-mitycznego Starego Kraju na terenach dzisiejszej Polski. Ale to już zupełnie inna opowieść.

Dla ciekawych lista stosunkowo przystępnych lektur, dzięki którym można znacznie lepiej poznać tło historyczne tej opowieści i tematy związane z Wandalami:

„Historia wojen” Prokopiusza z Cezarei. O Prokopiuszu wspominałem tu już w paru miejscach, przypomnę więc tylko, że bez tego znakomitego dzieła nasza wiedza o epoce, a o Wandalach w szczególności, byłaby bez porównania uboższa. Koniecznie w (świetnym według specjalistów) tłumaczeniu i opracowaniu Dariusza Brodki.

„Wandalowie i ich afrykańskie państwo” Jerzego Strzelczyka. Książka, którą trzymacie w rękach być może w ogóle by nie powstała bez tej pozycji. Nawet, jeśli czasem zdarzało mi się traktować zbyt luźno zawarte tam informacje, analizy i spostrzeżenia, to właśnie one pomogły zbudować tło całej opowieści. Polecam!

„Gejzeryk i »czwarta wojna punicka«” Marka Wilczyńskiego. To książka opowiadająca o początkach wandalskiego panowania w Afryce. Rodzaj historycznego śledztwa, podczas którego autor zabiera nas w podróż do schyłku Cesarstwa Rzymskiego na zachodzie, by bliżej przyjrzeć się fascynującej postaci jednego z głównych niszczycieli starego porządku – wielkiego wandalskiego króla Gejzeryka – od bękarta z północnych puszczy po zdobywcę Kartaginy i Rzymu, przed którym drżeli cesarze.

„Upadek Cesarstwa Rzymskiego” oraz „Imperia i barbarzyńcy” Petera Heathera. Popularnonaukowa podróż przez okres wędrówek ludów i upadku

Imperium Rzymskiego. Choć niewiele tam o samych Wandalach, to lektura obowiązkowa tym bardziej, że dobrze napisana. Warto również zajrzeć do „Odrodzenia Rzymu”.

"Starożytna Polska" Andrzeja Kokowskiego. To pozycja opisująca, zgodnie z tytułem, zupełnie inne miejsca i czasy, jednak wiele stron poświęcono tam rozwijającej się na naszych terenach kulturze przeworskiej, której głównymi przedstawicielami byli, jak wiele wskazuje, właśnie Wandalowie. A poza tym, Afryka Afryką, a co działo się u nas też warto wiedzieć.

A! I jeszcze pewna starożytna (wybaczymy jej więc przedpotopowy seksizm) przestroga na koniec!

*Aby sądzić o piękności, / bezpieczniejsz poczekać do dnia.
/ Noc i wino – źli doradcy. / Zwodniczy ma blask pochodnia. /
[...] / Noc zaciera moc usterek (zgadzicie się chyba ze mną).
Nocą nie ma brzydkich kobiet (zwłaszcza gdy jest bardzo
ciemno)*⁷².

indeks postaci

Alamund – wandalski tysięcznik, ale to dopiero początek tej niezwyklej kariery. Beketar określił go kiedyś mianem "bogatego skurwysyna", niemniej nienasycona ambicja i zmysł polityczny doprowadzą go kiedyś na upragniony szczyt, o czym można przeczytać w "Ostatnim lecie Wandalów". Ojciec małego Ariaryka.

Ammatas – książę z panującego rodu Gezeryka. Brat Gelimera i Tazona. Z krótkiej wzmianki u Prokopiusza można wywnioskować parę cech charakteru, takich jak: pewność siebie, odwaga i sprawność bojowa oraz

zaskakujący brak rozwagi. Pewnie innych okolicznościach byłaby to mniej śmiertelna mieszanka.

Ariaryk – syn Alamunda i Swinthildy. Póki co, dwu-trzyletni berbec. Ale kiedyś wyrośnie na prawdziwego wojownika.

Athalwolf (Adolfus) – pobożny eremita, dawny Brat Strzała. Nie przyznał się, jak odzyskał wolność i za co tak naprawdę pokutuje.

Augusta – w każdym razie, twierdziła, że tak się nazywa. Punicka prostytutka, przyjaciółka Rodelindy, podejrzewana o bliskie powiązania z niejaką Fenaną. Królweskie pochodzenie to pewnie tylko taki tekst dla klientów, ale kto wie?

Beketar Elfredlaf – naczelnik poczty królewskiej w Hipponie, półkrwi (?) Alan. Miłośnik rzymskiej poezji, greckiej filozofii i dowolnego pochodzenia pornografii. Beznadziejnie i bezsensownie zafascynowany Brunfridą. Ojciec Wendulfa (i być

może paru innych dzieci, do których jednak się nie przyznał).

Bilbert – agent poczty królewskiej i, razem z Frodulfem, podpora placówki w Hipponie. Zdrobniale Bilbo, ale tak, bez ryzyka stracenia paru zębów, może mówić do niego tylko Frodulf i Beketar, gdy się zapomni.

Brat Strzała – ariański ksiądz, w wolnych chwilach jeden z członków podejrzanej gnostyckiej sekty. Specjalista od dawnych kultów. Patrz – Athalwolf.

Brunfrida – siostra i prawa ręka komesa Faragera, matka Rodelindy i Hadamira, żona Eberulfa, kochanka Beketara (między innymi). Jedna z tych, które sprawiły, że Prokopiusz z Cezarei uznał za stosowne wspomnieć w swojej kronice żony Wandalów jako niebezpieczne, wyrachowane intrygantki (nawet, jeśli nie użył dokładnie takich słów).

Eberulf – mąż Brunfridy. Nie miał chłop szczęścia.

Emnilda – żona Godagisa, matka Ritigerna, Ermengona, Godegila i Guliaruny. W przeszłości miała, jak się wydaje, krótki romans z Beketarem.

Ermintruda Sigewulfdota – młodociana siostrzenica Godagisa, znajdująca się pod wielce troskliwą opieką wuja. Mały nosek i skore do płaczu wielkie, czarne oczy wpatrzone z podziwem w rozmówcę odkrywały w najtwardszych mężczyznach głęboko ukryte pokłady opiekuńczości. Inaczej mówiąc, Jelonek Bambi w dżungli.

Fasirmus – setnik niecałej połowy setki straży miejskiej Hippony. Osiadły Maur. W pewnym momencie okazał się przydatny dla nowej władzy, na czym zyskał stanowisko, miejsce w pałacu i parę złotych zębów.

Farager – brat Brunfridy i komes Hippony. Zarządzał swoim okręgiem twardą ręką, nim dopadła go (wraz z żoną) wielka polityka. A szkoda, bo parę jego pomysłów mogło bardzo pomóc królestwu parę lat

później. Nawet jeśli, jak większość Wandalów, nie znał Arystotelesa.

Fenana – A ktoś ją widział? Rzekomą punicką kapłankę zapomnianego pogańskiego bóstwa w środku arcychrześcijańskiego kraju? Porywającą niemowlęta z kołyszek i składającą je w ofierze kartagińskiemu Baalowi? Nie było takiej. To oficjalne stanowisko obu libijskich Kościołów.

Frodulf – agent poczty królewskiej i, razem z Bilbertem, podpora placówki w Hipponie. Matka wołała go Frodo, potem tak odważna była tylko jedna przyjaciółka i czasem Bilbert z Beketarem.

Gelimer – król Wandalów i Alanów (patrz spis poniżej). Brat Ammatasa i Tazona, z którymi stanowili wyjątkowy w królewskich rodach (a szczególnie tym), przypadek miłości braterskiej i zgodnej współpracy. Ale los i tak nie wynagrodził tej wyjątkowo zgranej trójki. Może dlatego, że wobec dalszych krewnych nie żywili już tak pozytywnych uczuć.

Gibamund – księżę z panującego rodu Gezeryka.

Siostrzeniec (bądź bratanek) króla Gelimera. Wielki miłośnik licznych rozrywek i szybkich okrętów. Może i nie był orłem intelektu, ale z takim urodzeniem, komu to potrzebne? Rozsiewane przez Prokopiusza z Cezarei plotki o jego śmierci były mocno przesadzone, o czym można się przekonać, czytając "Ostatnie lato Wandalów".

Godagis – mąż Emnildy, ojciec Ritigerna, Ermengona, Godegila i Guliaruny. Krewny Alamunda, z którym łączyły go również bliskie więzy polityczne. Głęboko religijny i pryncypialny, koniec końców okazał się trochę bardziej skomplikowaną postacią (na dobre i na złe). O jego dalszych losach wspomina się w "Ostatnim lecie Wandalów".

Guiliaruna – kilkuletnia córka Emnildy i Godagisa, siostra Ritigerna, Ermengona i Godegila.

Hadamir – syn Brunfridy i Eberulfa, brat Rodelindy.

Zdaje się, miły chłopak, choć zdominowany przez trudną matkę.

Hilderyk – król Wandalów i Alanów (patrz spis poniżej).

Hoamer – "Wandalski Achilles", jak relacjonuje Prokopiusz z Cezarei. Księżę z panującego rodu Gezeryka, bratanek króla Hilderyka. Być może drugi w kolejce do tronu, co często bywa niebezpieczne.

Hortencjusz – lekarz. Stary, zręczliwy, ale wciąż biegły w swojej sztuce. Podobno przygotowywał na zamówienie bogatych dam różne podejrzone specyfiki, ale nigdy nie został na tym przyłapany.

Jonates – dobrze wykształcony niewolnik i sekretarz Beketara. A przy okazji, niezależnie od kwestii własnościowych i swoich irytująco trzeźwych ocen, jego przyjaciel. Żyd z pochodzenia, choć raczej nie nazbyt ortodoksyjny.

Klaudiusz Aurelianus – mąż kuzynki Walasindy, zubożały potomek rzymskiej arystokracji.

Lindulf – ariański biskup Hippony. Żywy (na swoje szczęście) przykład na to, jak trudno oddzielić religię od polityki. Zdaje się, trochę mniej dogmatyczny od innych hierarchów. Ale tylko trochę.

Martynian – katolicki biskup Hippony, a więc jeden z bezpośrednich następców św. Augustyna. Jedną z ofiar (i przyczyn) religijnego i politycznego chaosu w królestwie Wandalów.

Oktawian – prokurator Hippony i "przewodniczący" kurii miejskiej. Rzymianin o punickich korzeniach, genetycznie biegły w politycznej sztuce przetrwania. Dobry znajomy Bektara, a w wolnych chwilach poeta (niewykluczone, że parę jego utworów przetrwało – sprawdźcie).

Ritigern – najmłodszy syn Emnildy i komesa Godagisa, chrześniak Alamunda. Przeznaczony przez ojca do kariery duchownej. Los jednak sprawi zupełnie

inaczej i rzuci go na drugi koniec świata, o czym można przeczytać w "Ostatnim lecie Wandalów". Na razie jednak, jest chudym, bystrym chłopcem włączającym się po pałacowych zakamarkach.

Rodelinda – córka Brunfridy i Eberulfa, siostra Hadamira. Po matce odziedziczyła trudny charakter, po ojcu być może wrażliwość społeczną, a po libijskiej babce podejrzaną związkę z pogańskim kultem. Wybuchowa mieszanka – niebezpieczna tak dla otoczenia, jak i dla samej zainteresowanej.

Siostra Góra – jeden z najtęższych umysłów epoki, należąca do prekursorów alchemii. Jej wpływ na współczesną naukę jest nieoceniony. Niestety, nie zdradziła imienia, a wszystkie jej zapiski zaginęły lub ukazywały się pod męskim imieniem. Ku pamięci tysięcy anonimowych nauczycieli ludzkości.

Swinthilda – kochanka Alamunda i matka małego Ariaryka. Dawna przyjaciółka Beketara i prawdopodobnie niedoszła żona Klaudiusza.

Symplicjan – naczelnik poczty królewskiej w Sullectum.

Załapał się na karty "Historii wojen" Prokopiusza. Za karę – anonimowo.

Tazon (Tzazon / Tzazo / Zano / Tata) – książę z panującego rodu Gezeryka. Brat Gelimera i Ammatasa oraz człowiek o wielu imionach – nie będę udawał, że wiem, które jest prawdziwe lub najbardziej poprawne. Znamy jedynie kilka faktów z ostatniego okresu jego życia (i śmierci).

Theuderyk – wandalski tysięcznik. Kawał chłopca i doskonały zapasnik (czemu, zdaje się, zawdzięczał karierę), trochę chyba zagubiony w tej całej polityce. Tak naprawdę lubił po prostu ludzi i wino. Co nieco o jego dalszych losach wspomina się w "Ostatnim lecie Wandalów".

Walasinda – ulubiona kuzynka Beketara. Jako żona Rzymianina Klaudiusza, formalnie sama stała się Rzymianką. Zadarty nosek, skłonność do flirtowania, hazardu i naprawiania świata podejrzanymi,

rewolucyjnymi metodami. Ale nie należy oceniać ludzi po takich drobnych słabostkach.

Wendulf – syn Beketara, kapitan okrętu. Prawdopodobnie odziedziczył po ojcu skłonność do niebezpiecznych kobiet. Ale może to tylko zbieg okoliczności.

Zoros – sługa prokuratora Oktawiana. Zniknął wraz z żoną wkrótce po zaginięciu ich dziecka.

postacie i istoty mityczne

Baal Hammon / Baal Karnaim (Qarnaim) – Pan obu rogów. Starożytny, semicko-punicki naczelny bóg Kartaginy, wywodzący się jeszcze z dalekiego fenickiego Tyru, a może nawet ze starożytnego (naprawdę starożytnego) Ugarit. Identyfikowany przez Greków z Kronosem, a przez Rzymian z Saturnem. Wyobrażany jako starszy człowiek

z baraniami rogami, odpowiadał za wegetację, urodzaj i życiodajną moc przyrody. Nawet nie będę próbował dociekać, jak układały się jego relacje z kartagińskim wcieleniem Astarte, która czasami też wkładała baranie rogi. Nie należy mylić go z Ammonem, Baalem Haddu, Baalem Melkartem, ani El Gabalem. Jak również z Molochem, Baal-Zebubem i paroma pomniejszymi bóstwami. A może właśnie należy? Straszny, za przeproszeniem, burdel z tymi bogami, jak słusznie orzekł Brat Strzała. A kwestia domniemanych ofiar z dzieci została omówiona w przypisach.

Koza – wyrecytowanie choćby kawałka Apokalipsy przez kozę wymaga wielkiej nadprzyrodzonej mocy. Starożytni Rzymianie zwali ją, jak się wydaje (moc, nie kozę), *spititus vini*.

Sofia – Boska Mądrość i uwięziona w materialnym świecie przez wyrodne dzieci matka aniołów (na temat ojcostwa zdania były podzielone).

Tak przynajmniej twierdzili niektórzy gnostycy. Ponieważ pojawia się tu tylko na moment i na marginesie sennych wizji Beketara, nie musimy roztrząsać szczegółów tych heretyckich dywagacji na boże tematy rodzinne.

Szemał (Samael) – Anioł Śmierci. Ta dosyć niewdzięczna rola spowodowała, że judeo-chrześcijańscy pisarze traktowali go bardzo ambiwalentnie. Raz jako anielskiego serafina i uosobienie surowej boskiej sprawiedliwości, raz jako niszczyciela i kolejne wcielenie Szatana, a innym razem (u niektórych gnostyków) jako samego ułomnego stwórcę świata (Demiurga). Niektórzy przypisywali mu nawet ojcostwo Kaina. Które wcielenie wystąpiło w tej opowieści, pozostawiam do oceny Czytelników.

królowie wandalów

Ambri i Assi

Na wpół mityczni królowie wandalscy pokonani – według tradycji longobardzkiej – w bitwie, którą miano stoczyć prawdopodobnie gdzieś w okolicach Pomorza. Ich przynależność do któregoś z odłamów Wandalów pozostaje nieznana.

silingowie

przed 406 do 416 roku – Fredebal

Jedyny znany z imienia władca Silingów. Poprowadził swój lud aż do rzymskiej Betyki (dziś hiszpańska Andaluzja, według niektórych badaczy - od arabskiego Al-Wandalus). W 416 roku podstępnie pojmany przez Wizygotów i Rzymian w Hiszpanii. Odesłany do Rawenny, jeśli nie został stracony, być może dożył reszty swoich dni w wygodnym areszcie domowym w Italii. A jego lud, pokonany wkrótce przez tychże Wizygotów, połączył się z Hasdingami.

hasdingowie

około 171 roku – Raus i Raptus (czyli... Trzcina i Belka)

„Podwójni” królowie odnotowani przez źródła rzymskie w związku z wywędrowaniem Hasdingów z ich dotychczasowych siedzib (prawdopodobnie na wschodnim Podbeskidziu) i wkroczeniem w strefę interesów Rzymu.

około 270 roku – dwaj kolejni, tym razem nienazwani, królowie

Wspominani przez źródła rzymskie w związku z pogranicznymi walkami.

do 335 roku – Wizimar

Według Jordanesa poległ w walkach z Gotami.

od 359 do 406 roku – Godigisel

Poprowadził swój lud na zachód, lecz sam zginął na granicy Cesarstwa w bitwie z Frankami podczas forsowania Renu na przełomie 406 i 407 roku (jednak sylwestrowa bitwa na skutej lodem rzece jest zapewne tylko efektowną legendą).

od 406 do 428 roku – Gunteryk

Syn Godigisela. Doprowadził Hasdingów przez Galię do hiszpańskiej Galicji. A stamtąd, przyjąwszy pod swoje skrzydła rozbitych przez Wizygotów Silingów i Alanów, dalej na południe do Betyki

(Andaluzji). Począwszy od niego, wszyscy kolejni władcy tytułowali się królami Wandalów i Alanów.

od 428 do 477 roku – Gezeryk (Gejzeryk, Gaizeryk, Genzeryk)

Nieślubny syn Godegisela. Jeden z najwybitniejszych (oraz najbardziej zdrażliwych, drapieżnych i okrutnych) władców epoki, twórca potęgi Wandalów. Gorliwy arianin i prześladowca katolików. W 492 roku poprowadził Wandalów i Alanów do Afryki, gdzie utworzyli bogate królestwo ze stolicą w Kartaginie. Jego wojska zdobyły i spłądowały Rzym. Zmarł dopiero w 477 roku, do końca długiego życia wykazując niespożyte siły. Kawał drania, ale król wielki (albo na odwrót).

od 477 do 484 roku – Huneryk

Syn Gezeryka. Żonaty ze „zdobyczną” córką cesarza, Eudoksją. Chcąc zapewnić sukcesję ich synowi, Hilderykowi, mordował starszych członków swojej

najbliższej rodziny, ale celu nie osiągnął. Wsławił się również prześladowaniem katolików.

od 484 do 496 roku – Guntamund

Bratanek Huneryka, wnuk Gezeryka. Doprowadził do chwilowego odprężenia w stosunkach z katolikami.

od 496 do 523 roku – Trasamund

Brat Guntamunda, wnuk Gezeryka. Żonaty z Amalafredą, córką ostrogockiego króla Teodoryka Wielkiego, dla którego nie był jednak równorzędnym partnerem. Władca – jak na ówczesne warunki – światły i o szerokich horyzontach, ale bez większych sukcesów na arenie politycznej. Za jego czasów dużym problemem dla Wandalów stały się plemiona Maurów (Berberów). Przywrócił dyskryminację katolików.

od 523 do 530 roku – Hilderyk

Syn Huneryka i cesarzówny Eudoksji, wnuk Gezeryka i cesarza Walentyniana. Na stare lata doczekał się w końcu władzy, której nie mógł zapewnić mu ojciec. Na krótko. Zaczął od bezwzględnego przecięcia zależności od króla Ostrogotów Teodoryka Wielkiego, w którą państwo popadło za jego poprzedników. Związał się za to bliżej z dworem cesarskim w Bizancjum. Próbował również, ku niezadowoleniu ariańskich hierarchów, zakończyć konflikt z katolikami. W efekcie zdobył zbyt wielu wrogów, a zbyt mało przyjaciół. Na domiar złego, nie potrafił poradzić sobie z coraz agresywniejszymi militarnie Maurami. Został odsunięty od władzy w wyniku przewrotu i uwięziony, co posłużyło cesarzowi Justynianowi za pretekst do wojny. Zamordowany trzy lata później na wieść o zbliżaniu się Rzymian.

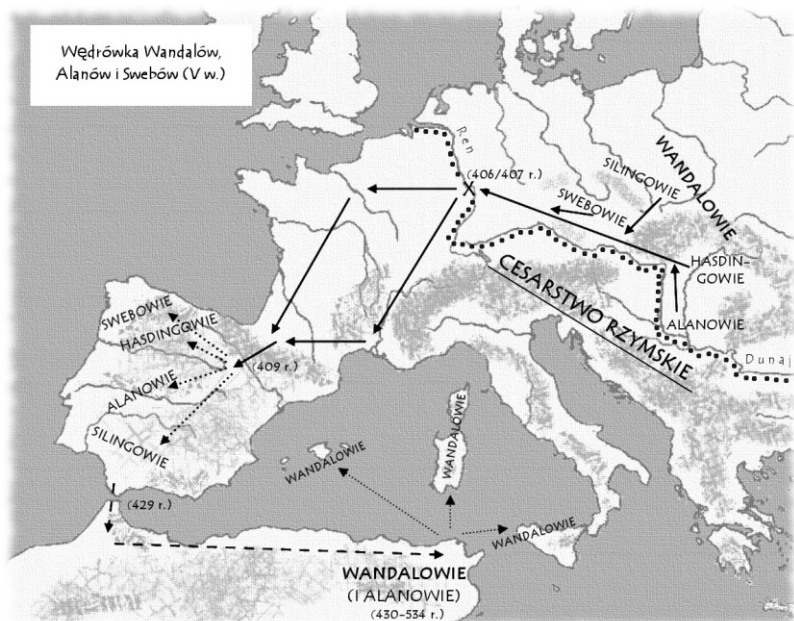
od 530 do 534 roku – Gelimer

Bratanek Trasamunda, prawnuk Gezeryka i ostatni król (uzurpator) Wandalów w Afryce. Przywrócił

dyskryminację katolików. Mimo butnej postawy okazał się nieudolnym wodzem, przegrywając dwie kluczowe bitwy, pod Ad Decimum i pod Trikamarum, z rzymskim wojskiem pod dowództwem Belizariusza. Próbował jeszcze wojny partyzanckiej, jednak schwytany, został przewieziony do Konstantynopola. Dożył swoich dni w luksusowej rezydencji w Galacji w Azji Mniejszej, gdzie podobno parał się poezją.

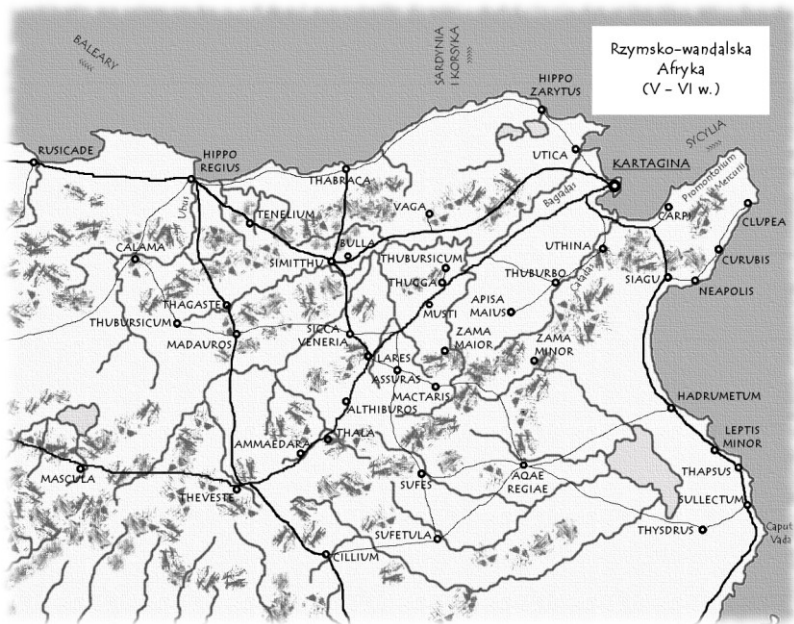
Na tym zakończyła się znana historia wandalskich władców. Ale może gdzieś, na drugim końcu świata, znaleźli się kolejni? Na pewno znaleźli się w "Ostatnim lecie Wandalów", gdzie po upragnioną władzę sięgnął (w końcu!) Alamund i jego dzieci.

mapy



Pod koniec II wieku, w okresie wojen markomańskich, Hasdingowie przesunęli swoje siedziby za Karpaty, w dorzecze Cisy. Po różnych perypetiach pozostali tam około dwustu lat. Na przełomie IV i V wieku koalicja Wandalów (Hasdingów i Silingów), Alanów (prawdopodobnie Jazygów) i Swebów (być może

Kwadów) oraz zapewne innych, mniej ważnych uczestników ruszyła na zachód pod naporem idących ze wschodu Hunów. Po okupionej krwią przeprawie przez Ren (tradycja mówi o nocy sylwestrowej 406 roku), gdzie próbowali zatrzymać ich Frankowie, dotarli (po krótkim postoju na złupienie Galii) na Półwysep Iberyjski. Tam podzielili się ziemią, szybko wchodząc w konflikty z Rzymianami, Wizygotami i sobą nawzajem. Rozbici przez Wizygotów około 418 roku Silingowie i Alanowie dołączyli do Hasdingów i odtąd byli traktowani jako jeden lud. Wspólnie przenieśli się na południe Półwyspu, skąd około dziesięciu lat później dokonali imponującej przeprawy mniej więcej 80 000 ludzi przez Cieśninę Gibraltarską do Afryki. W Afryce zajęli Hippone, następnie Kartaginę, a potem Baleary, Korsykę, Sycylię i Sardynię. Ich pirackie wyprawy docierały od hiszpańskiej Galicji po wybrzeża Grecji. W 455 roku złupili Rzym.



Odtwarzanie wyglądu (post)rzymskiej Afryki to trudna sprawa. Dawne mapy różnią się od siebie położeniem miast, czy przebiegiem szlaków. Na tej, którą widzicie udało się nanieść, jak sądzę, 75-90% najważniejszych punktów. Zresztą, w tym przypadku była to raczej zabawa, gdyż akcja książki dzieje się wyłącznie w przybrzeżnym pasie królestwa. Bardziej, niż o dokładność kartograficzną, chodziło o pokazanie, jak ludna i bogata była wówczas ta ziemia. Większość

miejsowości, które widzicie, to nie były małe wioski. Dziś spod piasków Tunezji i Algierii wystają tam świątynie, łuki triumfalne i amfiteatry, jakich nie powstydziałaby się Italia. I tylko nie ma tam już ani Rzymian, ani Wandalów.

W tamtych czasach (i długo później) nie było granic w dzisiejszym rozumieniu. Czasami postawiono jakiś słup graniczny, czasem w naturalny sposób granicę wyznaczyły góry lub rzeka, znacznie rzadziej sieć stałych posterunków. W przypadku Królestwa Wandalów i Alanów, możemy mówić o trzech strefach. Pierwsza to rdzeń państwa, czyli ziemie zwartej osadnictwa wandalskiego w pobliżu Kartaginy (dawna rzymska prowincja Africa Proconsularis leżąca, w przybliżeniu, między Hipponą, Thevestą i Neapolis, a morzem). Drugą, czyli bezsporny obszar królestwa, stanowiły tereny pod bezpośrednią kontrolą wojskowo-administracyjną i ta rozciągała się co najmniej na skrawek Numidii na zachodzie (tereny na zachód

od Calamy) i Byzacenę (na południowy wschód od Thevesty i Siagu), zapewne co najmniej do Thysdrus. Oprócz tego, należały do niej strategiczne wyspy na Morzu Śródziemnym – Korsyka, Sardynia, Baleary i skrawek Sycylii (przejęciowo nawet cała). Trzecia strefa to tereny uznające, mniej lub bardziej, wandalskie zwierzchnictwo, głównie różne mauryjskie "królestwa" – od okolic Cezarei Mauretańskiej (Szarszal), aż po Trypolis.

krótki dodatek o "Historii sekretnej" Prokopisza z Cezarei

...czyli skąd się wzięły "Anekdota".

– Nie mogę już na to patrzeć – Prokopiusz trącił nogą pusty dzban, aż ten przewrócił się na trawę.

Siedzieli z Bekteram na niewysokim wzgórzu, obserwując rzymski obóz poniżej i oblegane miasto obsadzone silnym ostrogockim garnizonem. A może to było wtedy, kiedy siedzieli na wzgórzu w mieście, obserwując silny rzymski garnizon w środku i obozy oblegających Ostrogotów za murami? Wojna w Italii po pewnym czasie zaczynała zlewać się w jedno

nieprzerwane pasmo oblegania i bycia obleganym, pogoni i ucieczek, wygranych i porażek. A przede wszystkim, śmierci i zniszczenia. Opustoszałe wsie, ogołocone pola, zarośnięte winnice. Wyniszczone miasta zamieszkałe przez wychudzone, szare cienie. Królestwo Wandalów upadło w dwóch szybkich bitwach i wypaliło się w kilku coraz słabszych powstaniach, pozostawiając kraj nienaruszony, bogaty i syty. W Italii było inaczej. Górzysty teren, kamienne twierdze, wzajemne podjazdy i zabawa w kotka i myszkę od nie wiedzieć ilu już lat. Aż w dumnym jeszcze niedawno Rzymie trawa zaczęła porastać forum, młode pędy zaczęły zielenić się na dachach i w załomach starożytnych budowli i tylko zdziczałe psy przechadzały się pustymi ulicami Wiecznego Miasta. A, nie! Ostatnie psy zjedzono przecież w siódmym lub ósmym miesiącu oblężenia.

Tak, to musiało być jeszcze podczas pierwszego oblężenia Rzymu w 537 roku – rok, czy dwa po tym, jak

odeszło zimne, czarne słońce – i nim Beketar uznał, że jest już stanowczo za stary na wojaczkę i obozowe życie. Siedzieli więc wczesnym wieczorem, Prokopiusz z Beketarem, na Kapitolu, albo na Palatynie i pijąc kupione po zbójckiej cenie wino, obserwowali obozujących gdzieś niżej żołnierzy szykujących się do spoczynku przed kolejnym ostrogockim szturmem. Żuli powoli kawałki przeraźliwie twardego, suszonego mięsa, które miało być koniną, a Beketar wołał nie dochodzić, czy aby na pewno, bo równie dobrze mogło okazać się kociakiem.

– Nie mogę patrzeć – powtórzył ponuro Prokopiusz.

– Kiedyś to odbudują – odparł bez przekonania Beketar.

– Co? A, nie – machnął ręką lekko już pijany Bizantyńczyk. – Mówię o Belizariuszu – rozejrzał się dokoła, czy nikt nie słyszy, ale byli sami na skraju zachwaszczonego ogrodu jakiejś opuszczonej rezydencji; szpiedzy i donosiciele zniknęli zresztą chyba razem

z psami. – Nie mogę patrzeć jak się ośmiesza i poniża.

– Mówisz o Antoninie? – domyślił się Beketar.

– Widzisz? – skrzywił się Prokopiusz. – Nawet ty wiesz. Największy generał Rzymu, drugi człowiek w cesarstwie płaszczy się przed tą szmatą, żyć bez niej nie może. Choć wszyscy wiedzą, że regularnie przyprawia mu rogi z tym gówniarzem, Teodozjuszem.

– Może to tylko plotki – wzruszył ramionami Wandal.

– Plotki? – roześmiał się niewesoło Prokopiusz. – Poznałeś ją przecież. I sądzisz, że to plotki?

– No, nie wiem...

– Przecież wszyscy wiedzą, że kiedyś była kurwą. Tak samo jak jej patronka, kurewsko-jaśnie-oświecona cesarzowa Teodora.

– Ciszej! – tym razem Beketar rozejrzał się dokoła. – Chcesz stracić język? Tak, Antonina to niezwykła kobieta i generał świata poza nią nie widzi. Może i nie jest święta, ale daje mu oparcie i siłę. A nie o każdej można

tak powiedzieć – westchnął.

– Oparcie?! Siłę?! – zapluł się, choć trochę ciszej, Prokopiusz. – Powiem ci, co mu daje! To, czego nauczyła się w burdelach Konstantynopola. Tym go trzyma, tym go zaślepia! A on, za którym idą karnie tysiące żołnierzy, on chodzi za nią jak piesek na smyczy! I nie widzi, że jego własna żona jest szpiegiem cesarzowej!

– Cóż... Miłość wiele wybacza – odparł melancholijnie Beketar. – A ona, mimo wszystko, jest przy nim. Nawet na wojnie.

– Miłość? Miłość?! – zaperzył się Prokopiusz. – Oni nie wiedzą, co to znaczy! Tylko władza, tylko wpływy, tylko spiski i intrygi! Ale nie wiedzą... Ja kiedyś to wszystko ujawnię, ja kiedyś to wszystko pokażę! Pokażę światu, kim byli naprawdę!

Beketar odsunął się trochę i popatrzył na Bizantyńczyka, jakby zobaczył go pierwszy raz.

– Heh! – uśmiechnął się i pokiwał ze zrozumieniem głową. – Ty ich kochasz, prawda, Prokopiuszu? Kochasz Belizariusza, swojego wodza i kochasz Antoninę, prawda?

Bizantyńczyk spojrzał na niego spłoszony.

– Nie chciała cię? Czy chciała, a potem rzuciła, gdy do niczego nie mogłeś jej się już przydać? A może bałeś się spróbować, ale wiesz, że ona to wie i teraz śmieje się z ciebie lub pogardza? A może...

– Zamknij się! – warknął Prokopiusz.

– Przykro mi – położył mu dłoń na ramieniu Beketar. – Nikomu nie powiem. Ale na twoim miejscu rzuciłbym to wszystko w cholerę, jak tylko stąd się wyrwiemy. Zostawił Belizariusza, zostawił Antoninę i wyjechał gdzieś daleko, pisać te twoje wojenne historie, bo masz talent. A jeśli tu z nimi zostaniesz, zgorzkniejesz tylko i przesiąkniesz żółcią.

– Nie potrzebuję dobrych rad! – ze złością stracił jego

dłoń Prokopiusz. – I nie mam pojęcia, o czym mówisz, za dużo wypieś! Ja i ta... ta... Też coś!

– Jak uważasz – wzruszył ramionami Beketar i podniósł się z ziemi. – Chyba rzeczywiście za dużo wypieł. Chodźmy.

– Tak, chodźmy – zgodził się obrażonym tonem Bizantyńczyk. – I lepiej zapomnij o tej rozmowie – kopnął leżący dzban, aż ten poleciał i rozbił się z trzaskiem o pobliskie drzewo.

Poniżej, na placach i ulicach przypominającego stary cmentarz Rzymu zaczęły zapalać się żołnierskie ogniska.

przypisy

Absolutnie nieobowiązkowe wtręty, dygresje i komentarze, głównie natury historycznej, które równie dobrze można całkowicie pominąć lub przeczytać na końcu. Używane poniżej terminy „barbarzyńcy”, „barbarzyński” itp. nie mają charakteru wartościującego. Oznaczają tu jedynie ludzi mieszkających początkowo za granicami rzymskiego limesu na Renie i Dunaju, a później również na podbitych terenach Cesarstwa.

1 Pokopiusz z Cezarei... Ileż to już o nim nie napisano?

Ten urodzony ok. 490 r. w Palestynie oficer, urzędnik oraz znakomity obserwator i utalentowany historyk, zostawił nam w spadku nieocenione świadectwo epoki cesarza Justyniana Wielkiego. A przede wszystkim wojen (perskiej, wandalskiej i gockiej) toczonych przez wybitnego bizantyńskiego generała Belizariusza, którego był wieloletnim sekretarzem. Zostawił nam też – wprowadzając w konsternację hagiografów cesarza i jego wodza oraz wszystkich tych, którzy chcieliby widzieć postacie historyczne czarno-białymi – nieco mniej wybitny pamflet "Historia sekretna" ("Anekdota"). Przedstawił w nim szyderczo obu swoich protektorów, a zwłaszcza ich żony – barwną cesarzową Teodorę i jej przyjaciółkę Antoninę – jako chciwą, okrutną, rozpustną i do szpiku kości zepsutą bandę. Oł, takie tam anegdotki z dworu.

2 Libia, Afryka i Numidia. Ówczesne nazewnictwo geograficzne tamtych terenów wymaga krótkiego

wyjaśnienia. Grecy i Rzymianie nazywali zwykle dzisiejszą Afrykę Północną Libią, a jej mieszkańców (głównie Maurów i Punijczyków) Libijczykami. Afryką (dokładniej *Africa Proconsularis*) zwano tylko jedną z prowincji ze stolicą w Kartaginie, choć od początku IV wieku istniała też nadrzędna jednostka administracyjna – Diecezja Afryki (obejmująca Tripolitanię, Byzacenę, Afrykę Prokonsularną, Numidię, Mauretanię Sitifijską i Cezarejską). Jak widać, nazwy geograficzne też czasem wędrują, zmieniając swój zakres i znaczenie. Podobna uwaga dotyczy opisanej dalej etnicznej nazwy Maurów (i Mauretanii).

- 3 "Pogłaskała zwęglone szczątki [...] i delikatnie przeniosła je z powrotem do kosza." Naukowcy spierają się, czy Kartagińczycy, Fenicjanie i inne, pokrewne ludy naprawdę składały swoim bogom w ofierze małe dzieci. O takich całopalnych ofiarach wspominają głównie źródła biblijne i rzymskie, a więc z założenia wrogie. Niektóre współczesne znaleziska (dziecięce nekropole

i tysiące przepalonych dziecięcych kości) mogą jednak świadczyć za tą tezę. Pozostaje mieć nadzieję, że była to jedynie forma pochówku, jednak znajomość meandrów ludzkiej religijności każe podejrzewać, że niekoniecznie.

Te budzące dziś grozę praktyki nie były może aż tak wyjątkowe w dziejach ludzkości, zdaje się jednak, że (szczęśliwie) nie budziły entuzjazmu u współczesnych i już choćby biblijni prorocy zwalczali je z całą surowością (tak, wśród starożytnych Izraelitów też bywali liczni czciciele Baala i Astarte). A motywem tych okrutnych obrzędów mogła być nie tylko najwyższa, najdroższa ofiara dla bóstw urodzaju i płodności, ale i zapewnienie dziecku pośmiertnej jedności z dobrym (!) bogiem. Jakby nie było, takie makabryczne zwyczaje w czasach niemal zupełnie ugruntowanego już Chrześcijaństwa były nie do pomyślenia inaczej, niż jako zbrodnia.

4 "...pałac na wzgórzu [...], ulice, kościoły." Tak naprawdę, nic mi nie wiadomo o takim pałacu. Obecnie na tym wzgórzu stoi duża katolicka bazylika z XIX wieku pod wezwaniem, jakże by inaczej, św. Augustyna z Hippony (eksponując przy okazji kawałek kości ramieniowej należącej jakoby do doktora kościoła). Jeśli jednak gdzieś w Hipponie miała wznosić się królewska rezydencja wandalskiego zdobywcy, Gezeryka (a wcześniej punicka cytadela, czy siedziba rzymskich dostojników), to tylko tam. Tak przynajmniej podpowiada doskonale położenie wzgórza i wyobraźnia. A wygląd i rozplanowanie samego miasta poniżej poznano dosyć dobrze dzięki wieloletnim badaniom archeologicznym (odkopano forum, teatr, bazylikę, termy, wille i cysterne). No, może tylko latarnię morską też sobie wymyśliłem.

Dziś słynne Hippo Regius (tak brzmiała pełna nazwa miasta) jest parkiem archeologicznym na peryferiach algierskiej Annaby. Sporą, pokrytą niskimi ruinami

równiną w otoczeniu jakichś fabryk i magazynów, więcej niż skromną na tle odległych wieżowców. Nawet morze odsunęło się od Hippony daleko.

5 Liburny i dromony. Nie będę udawał, że znam się na starożytnej (albo jakiegokolwiek innej) marynistyce. Liburny były powszechnie używanymi przez Rzymian, od czasów słynnej bitwy pod Akcjum, lekkimi, jednomasztowymi okrętami wojennymi i patrolowymi bez pokładu (tylko z wąską rampą od dziobu do rufy). Mieściły ok. 100 osób załogi. Wprowadzone we flocie Bizancjum dromony były zdecydowanie większe – mogły czasem posiadać dwa, a nawet trzy maszty (choć nie wiem, czy już w tym okresie), wysokie pokłady dla łuczników i maszyny miotające (katapulty, balisty). Bywało, że potrafiły pomieścić do 300 ludzi. Ponieważ, szczęśliwym dla autora zrządzeniem historii, nie wymagała ona opisywania żadnej bitwy morskiej, tyle wystarczy.

Co do Wandalów natomiast – ludu z gruntu śródlądowego i rolniczego – w ramach zapoznawania się z morzem przed wielką przeprawą całego ludu do Afryki, zostali oni niespodziewanie (pewnie także dla siebie samych) wzbudzającymi postrach "wikingami" Morza Śródziemnego. Ich pirackie rajdy terroryzowały wybrzeża Hiszpanii (także od strony Atlantyku!), Italii, Sycylii, Grecji i Wysp Egejskich. Ich flota (fakt, że dzięki podstępom i przekupstwu) zniszczyła dwie wysłane w odwecie rzymskie armady. Ataki, zgodnie ze źródłami, były świetnie zorganizowane i brała w nich udział zarówno sprzymierzona mauryjska piechota, jak i wandalska konnica. Samą załogę okrętów stanowili zapewne, przynajmniej początkowo, lokalni żeglarze i piraci, jednak Wandalowie na wiele lat pokochali morze (a w każdym razie owoce morza, to jest złoto i niewolników). Morskie rajdy ustały dopiero po śmierci króla Gezeryka, ale pamięć o nich trwała jeszcze długo.

Tak na marginesie, Wandalowie nie byli pierwszymi, ani ostatnimi Germanami, których skusiło piractwo. Już mniej więcej trzy wieki wcześniej podobnie poczynali sobie Goci na Morzu Czarnym. Długą tradycję miały morskie najazdy Sasów na Brytanię (zakończone, jak wiemy, podbiciem wyspy). I nawet ponad pół tysiąca lat później, już po zmierzchu epoki wikingów, ten zew morza (łupów i podbojów) długo jeszcze wyciągał na Morze Śródziemne mówiących już po francusku Normanów. Ale to zupełnie inny rozdział historii.

6 Królewscy agenci. *Agentes in rebus*, czyli "działający w (różnych) sprawach", co jest bardzo trafnym określeniem tego rzymskiego pierwowzoru służb specjalnych. Pracowali przede wszystkim (?) jako cesarscy kurierzy (*veredari*), ale również jako audytorzy, policja kryminalna itp. (być może istniała tu jakaś specjalizacja). Nie byli tajną formacją, tylko oficjalnymi urzędnikami, jednak ich metody mogły

czasem przypominać pracę współczesnego kontrwywiadu, biura antykorupcyjnego i kontroli skarbowej razem wziętych. Podlegali bezpośrednio najważniejszemu urzędnikowi na dworze cesarza (Magister officiorum). Skąd pomysł, by działali również w królestwie Wandalów? Ano stąd, że źródła historyczne wyraźnie poświadczają zarówno istnienie królewskich "tajnych służb" (occulti nuntii), jak i dobrze zorganizowanej poczty królewskiej – zapewne, jak parę innych instytucji, "odziedziczonych" po Rzymianach. Dlatego bardzo prawdopodobne, że również i tam agenci i kurierzy działali "w różnych sprawach" (podlegając być może prepozytowi królestwa, bo o żadnym Magistrze officiorum na wandal skim dworze nic nie wiadomo). Nie trzeba chyba dodawać, że nie byli szczególnie lubianą formacją (ręka do góry, kto lubi kontrole audytu, naloty CBA, czy trudne pytania Urzędu Skarbowego).

7 Maurowie. Zamieszkali w Afryce Północnej od czasów prehistorycznych tubylcy o jasnej skórze i często jasnych włosach i oczach. W starożytności zwano ich Libijczykami lub Numidami, a w końcu Rzymianie ochrztili ich Maurami. Ci żyjący bliżej wybrzeża szybko dostali się pod wpływ greckich i fenickich kolonii, pozostali, podzieleni na wiele "plemion", żyli dalej po swojemu w górskich rejonach kraju. Do czasu arabskiej inwazji pod koniec VII wieku udawało im się czasem tworzyć silne, acz krótko funkcjonujące królestwa, które musiały zmagać się z Kartagińczykami, a później Rzymianami i ostatecznie zostały zdeptane butami legionistów. Po najeździe Wandalów okoliczni Maurowie popadli początkowo w zależność od nowych panów Afryki, ale po kilkudziesięciu latach niektórzy zaczęli znów podejmować próby wybicia się na niezależność. Najbardziej znaczącą akcją było w tym okresie powstanie mauryjskiego wodza Antalasa, które

objęło całą prowincję Byzaceny i miało poważne konsekwencje dla króla Hilderyka.

Co stało się z Maurami? Część z nich osiadła w miastach i uległa wpływom kultury punickiej, a później romanizacji. Część mieszkająca na wsi prawdopodobnie również przyjęła język punicki, stając się później, razem z rzymskimi kolonami i niewolnikami, miejscowym, niekoniecznie zromanizowanym, chłopstwem. Jedni i drudzy po mahometańskiej inwazji ulegli islamizacji i złączyli się z napływowymi Arabami. Z tego powodu nazwa Maurów przyłączyła się później do mahometańskich zdobywców Półwyspu Iberyjskiego. Do dziś zaś przetrwała w nazwie leżącej nad Atlantykiem Mauretanii, gdyż wiele setek lat później, po rekonkwiescie, wielu ich potomków deportowano z powrotem do Magrebu. Ścieżki historii bywają bardzo kręte.

Tak na marginesie, chociaż "oryginalni" Maurowie byli ludnością białą, to według jednej z hipotez od ich nazwy pochodzi nasze, uznane ostatnio oficjalnie za obraźliwe, słowo "murzyn" (być może od maur-us do maur-in).

Ale to nie był koniec "oryginalnych" Maurów. Mieszkające w niedostępnych górach i na pustyni wolne plemiona, choć uległy Arabom i większości przeszły na islam, żyją tam do dziś świadome własnej historii i odrębności. To dzisiejsi Berberowie, bo tak kolejny już raz nazwali ich nowi najeźdźcy (od łacińskiego barbarus, czyli barbarzyńcy). Dzisiaj jest ich ok. 20 milionów w wielu "plemionach" rozproszonych po różnych krajach Afryki Północnej. Sami nazywają się Amazygami (Wolnymi ludźmi) i regularnie, politycznie i zbrojnie, upominają się o swoje prawa.

8 "Dzień dobry, wasza dostojność." Dostojność, czcigodność, znakomitość, jaśnieoświeconość, doskonałość, łaskawość, boskość niemalże.

A przynajmniej: *illustres*, *spectabiles* i *clarissimi*, a także różni *togatus*, *sacredos* i inni. Nie ma tutaj potrzeby zagłębiania się w te rzymskie kategorie czcigodności. Grunt, że oficjalna tytulatura w cesarstwie, przejmowana czasem (ale raczej w umiarkowanym stopniu) przez królestwa sukcesyjne, przypominała chyba późniejszą tytułomanię monarchii Austro-węgierskiej. Wątpliwe, by była szczególnie szeroko stosowana w relacjach pomiędzy samymi "barbarzyńcami", ale z drugiej strony, na aspirującym do cesarskiego splendoru, pełnym libijskich Rzymian dworze Wandalów było to bardzo możliwe.

9 Komes. Niewiele wiadomo o strukturze i tytulaturze wandalskiej administracji. Możemy jedynie domyślać się, że wzorem innych królestw sukcesyjnych, zachowano niezastąpioną przy zbieraniu podatków miejską administrację rzymską (stąd za chwilę pojawiają się w książce *dekurioni* i *prokurator*, czyli władze miejskie). Skąpe źródła mogą sugerować, że przejęto

również niektóre rzymskie wzorce, tworząc nową dworską "arystokrację urzędniczą", na której miała opierać się nieograniczona starymi strukturami (wiecami, arystokracją plemienną) władza potomków Gezeryka. Jak to wyglądało w szczegółach za bardzo nie wiemy. Byli jacyś ministri regis, notarii, executores i inni, ale główny krąg władzy, poza ścisłą rodziną królewską, tworzyli królewscy domownicy (domestici) i towarzysze (comites), czyli właśnie komesi. Część z nich, jak się wydaje, przebywała na dworze, części powierzano różnorakie ważne zadania. Bardzo możliwe (choć, zaznaczmy, nie ma na to żadnych świadectw), że było to również zarządzanie lokalnymi garnizonami i ludnością w strategicznych punktach, jak np. Hippona. Jednak pokazany tu obraz jest tylko autorską wizją "kadry administracyjnej" królestwa.

10 Książę. Jasne, nie było wówczas takiej tytulatury i nikt nie nazywał członków rodu panującego książętami. Może dopowiadano sobie "... z rodu Gezeryka", albo

"... z Hasdingów", bo dawna nazwa plemienna przeszła, zdaje się, na dynastię królewską (choć, jak zawsze, niektórzy twierdzą, że było na odwrót). Albo po prostu wszystkie koligacje rodziny królewskiej były tak znane, że nie wymagały żadnego dopowiadania. Ponieważ jednak większość czytelników ich nie zna, a archaiczne słowo "książę" zgrabnie wszystko wyjaśnia, stąd będzie się czasem pojawiać w tej książce.

11 "Piękne! pomnąc o starości...". Owidiusz, "Ars amandi", księga III / III. Na podstawie tłumaczenia Juliana Ejsmonda (podobnie kolejne).

12 "Kobieta – jak kamienica...". Owidiusz, "Ars amandi", księga III / VIII.

13 "...pomyśleć o odbudowaniu murów, które kiedyś zburzyliśmy". Po 430 roku i później na rozkaz zdobywcy Afryki, króla Gezeryka. Wandalowie, dysponując świetną konnicą, a potem i flotą, nie mieli specjalnego doświadczenia w zdobywaniu miast. Stąd,

żeby zabezpieczyć się przed ewentualnymi buntami podbitej ludności, zburzyli wszystkie miejskie umocnienia. Jednak to, co mogło być mądre w momencie podboju, niekoniecznie było takie prawie sto lat później, gdy trzeba było swoich zdobywczy bronić.

14 Hilderyk. Przedostatni król Wandalów i Alanów. Wnuk Gezeryka i cesarza Walentyniana. Jego ambitny, idący pod prąd poprzednikom, program polityczny mógł odwrócić losy królestwa. Na to jednak stary król nie miał już chyba dość siły. Więcej informacji znaleźć można w spisie wandalских królów powyżej (proponuję jednak po zakończeniu książki, żeby uniknąć "spoilera").

15 "...seniorem rodu i królem". Nie jest jasne, skąd w królestwie Wandalów wzięła się zasada senioratu. Prawdopodobnie to król Gezeryk wprowadził dziedziczenie korony przez najstarszego spośród swoich potomków. Siła, z jaką trzymano się tego zwyczaju każe jednak niektórym podejrzewać, że miał

on dłuższą tradycję. Niezależnie od tego, skutkiem była niespotykana nigdzie indziej w tym czasie stabilność władzy królewskiej i jedność kraju, który uniknął podziałów między kolejnych spadkobierców. Inną konsekwencją bywały czasem mordy bliskich krewnych w ramach rodziny królewskiej, ale system jakoś to wytrzymał (lud rzadko płacze, gdy wyrzynają się książęta). Padł dopiero po prawie stu latach – z fatalnymi konsekwencjami.

16 "...rzucanie katolików lwom na pożarcie". Okres krystalizowania się chrześcijaństwa i doktryny katolickiej to czas pączkowania setek lokalnych sekt i ruchów religijnych pacyfikowanych później, nieraz z wielkim trudem, przez oficjalną hierarchię. Zresztą i ta oficjalna potrafiła czasem niespodziewanie się zmieniać, gdy np. do władzy dochodził cesarz popierający arianizm. Rzadko się pamięta, że pierwszy chrześcijański cesarz, Konstantyn I Wielki, przyjął na łożu śmierci chrzest właśnie w obrządku ariańskim.

Były to czasy, w których często tylko zbieg okoliczności lub drobny ruch pióra na pergaminie dzieliły świętość od schizmy i herezji. A czasami tę samą osobę ogłaszano w odstępie niewielu lat heretykiem, męczennikiem i znów heretykiem, bądź na odwrót. Późniejsza o tysiąclecie Reformacja to przy tym "małe Miki".

Plemiona germańskie trafiły w orbitę wpływów chrześcijaństwa w okresie, kiedy w Konstantynopolu przejściową dominację zdobyła herezja biskupa Ariusza (Areiosa) z Aleksandrii (zmarł w 336 roku). Może to dzięki temu chrystianizacja barbarzyńców, choć nie bez trudności i ofiar, miała tak imponującą skalę. Ariańska doktryna, odrzucająca doprecyzowany później przez sobór w Nicei dogmat Trójcy Świętej, mogła lepiej trafiać do politeistycznych pogan (według Ariusza, Syn miał zostać stworzony przez Ojca i jemu podlegać, a Duch Święty podlegać Synowi). A rola króla, jako głowy niezależnego, krajowego kościoła,

mogła bardziej odpowiadać germańskim wodom. Wielką rolę w arianській christianizacji Germanów odegrał gocki biskup Wulfila, którego unikatowe tłumaczenie Biblii na język gocki przetrwało częściowo do dziś.

Z innych, poważnych ale mniej istotnych doktrynalnie różnic, arianie nie uznawali kultu świętych, życia klasztorного oraz pozwalali swoim duchownym posiadać rodziny. Oczywiście, jakby inaczej, ruch arianський również był podzielony wewnętrznie (nie wchodząc w szczegóły, sprawa dotyczyła jednego słowa w wyznaniu wiary), a Wandalowie, choć opisywani później jako radykałowie, reprezentowali umiarkowany odłam tzw. homejczyków (daruję Wam wyjaśnianie tu, o co chodziło – ciekawi mogą poszperać sobie w Internecie).

Po zyskaniu przewagi przez chrześcijańską ortodoksję, gorliwy arianizm neofitów stał się kością niezgody w ich relacjach z cesarstwem oraz źródłem

nieustających konfliktów z romańskimi mieszkańcami podbitych terenów. Germańskie królestwa sukcesyjne – raczej w trosce o porządek wewnętrzny niż o zbawienie dusz – różną drogą i w różnym czasie odchodziły od nauk Ariusza. Jednak Wandalowie w Afryce do końca pozostali wojującymi arianami. A zmagali się również z zakorzenioną już na ich własnym terenie schizmą równie fanatycznych uczniów biskupa Donata z Kartaginy. Jednoczesna działalność trzech konkurencyjnych i wrogich sobie kościołów (jednego "państwowego", drugiego "tylko" prześladowanego i trzeciego tępionego przez dwa pozostałe) musiała być fatalna dla stabilności państwa.

W rzeczywistości, oba kościoły – ariański i "nicejski" – rościły sobie pretensje do "katolickości" (a donatyści jeszcze bardziej). Dla uproszczenia jednak, tu kościołem katolickim nazywana będzie frakcja "nicejsko-chalcedońska", która wyszła z tego sporu zwycięsko.

A jeśli chodzi o to rzucanie lwom, to raczej taki skrót myślowy – nikt już takich rzeczy nie robił. Owszem, zdarzały się bardzo nagłaśniane przez katolików przypadki męczeństwa, ale raczej z powodów politycznych, majątkowych itp., niż ściśle religijnych. Wydaje się, że Wandalowie bardzo świadomie unikali tworzenia męczenników i stawiali raczej na deportacje niewygodnych hierarchów oraz represje polityczne wobec "nieprawowiernych" obywateli. Żadnych lwów.

17 Kampania w Byzacenie już ruszyła? Tak, ruszyła odbić południowe prowincje, a konkretnie Byzacenę zajęłą chwilowo przez mauryjskiego wodza Antalasa, który kiedyś wyrośnie jeszcze na znaczącą postać rzymskiej Afryki. Ale o tym już w tej książce nie będzie – ciekawych odsyłam do Prokopisza z Cezareii.

18 Tysięcznicy (millenarii). To specyficznie wandalski urząd militarno-cywilny, rodzaj "wyższych oficerów". Jeszcze w Hiszpanii król Gezyryk, sprytnie korzystając

z połączenia pod swoją władzą różnych ludów (Hasdingów, Silingów, Alanów i odprysków paru innych), wiszącego nad nimi ciągłego zagrożenia (napór wspieranych przez Rzym Wizygotów) i przygotowywanej wyprawy do Afryki, dokonał prawdziwej rewolucji w strukturze władzy. Zrobił to prawdopodobnie w celu rozbicia i podporządkowania sobie starej, plemiennej arystokracji i przetrącenia dawnych związków plemiennie-rodowych (co ostatecznie uczynił niedługo potem w Afryce, topiąc ich opór we krwi). Ustanowił mianowicie (znając go, pewnie bez oglądania się na rady i wiece) osiemdziesięciu tysięczników, każdego zarządzającego swoim tysiącem ludzi i odpowiadającego bezpośrednio przed władzą. Jak widać, odsuwanie przez nową władzę "starych" urzędników i menadżerów, by zastąpić ich wiernymi sobie, ma wielowiekową tradycję. Podobnie urzędowa propaganda i PR, bo aż osiemdziesięciu tysięczników

było podobno nieco na wyrost w stosunku do faktycznej liczebności Wandalów.

19 Kolonowie. Czyli rzymscy wolni osadnicy rolni. Jednak pod koniec rzymskiego panowania ich los nie różnił się już specjalnie od losu niewolników, z którymi tworzyli w praktyce jedną warstwę "chłopów pańszczyźnianych". Kolonowie zostali przywiązani do ziemi i poddani jurysdykcji lokalnych latyfundystów, zaś byt niewolników uległ prawdopodobnie pewnej poprawie w związku z wysychaniem zewnętrznych źródeł dopływu ludzi i (przynajmniej teoretycznie) zapanowaniem chrześcijaństwa. Wandalowie, jak się wydaje, istotnie zwiększyli zakres swobody chłopstwa, być może zmniejszyli też pewne obciążenia, za co ludność wiejska odpłaci im się w przyszłości, ochoczo dostarczając za złoto głowy nieostrożnych rzymskich żołnierzy. To tyle, jeśli chodzi o "rzymski" patriotyzm chłopstwa. Zresztą przypuszczalnie, wyjąwszy potomków rzymskich

kolonistów, zdecydowana większość z nich była po prostu miejscowymi Maurami lub zasymilowanymi Punijczykami, dla których łacina nie była nawet językiem ojczystym. I, jak to przez wieki było w normie, mieli głęboko w nosie, kto nimi rządzi, byle dawał żyć. A rządzący mieli głęboko w nosie jak chłopci żyją (i po jakimu mówią), póki płacili podatki, odrabiali pańszczyznę, chodzili do kościoła i siedzieli cicho. Dopiero w okolicach XIX wieku, wraz z nastaniem państw narodowych, trochę się to zmieniło – o tyle, że władza zaczęła zwracać uwagę, po jakimu chłop gada.

20 Włóczędzy. Czyli działający w IV i V wieku w rzymskiej, a potem wandaliskiej Afryce Północnej Cyrkumcelioni (Circumceliones – "krążący wokół wiejskich chat" od "circum cellas..."). Albo, jak sami się nazywali, Agoniści / Agonistycy ("Boży żołnierze"). Byli przede wszystkim ruchem religijnym, ale i społecznym, swego rodzaju "kościołem anarchistycznym". Działali

na obrzeżach kościoła donatystycznego (o którym trochę dalej) i czasem byli postrzegani jako jego "bojówki". Składające się głównie z wiejskiej biedoty grupy "krążyły wokół", próbując (czasem agresją, a czasem własnym życiem) naprawić świat lub zostać męczennikami. Szczególnie dobrze wychodziło im to drugie.

Mniej lub bardziej fanatyczni Cyrkumcelioni działali bez jednolitej struktury i przywództwa, bez wspólnego programu "religijno-politycznego", w uzbrojonych grupach siejących postrach wśród bogatych posiadaczy ziemskich i katolików. Głosili, jak wielu przed nimi i wielu po nich, zniesienie własności i niewolnictwa, anulowanie długów i wolną miłość (rewolucjonista, który chce zebrać więcej niż kilkunastu zwolenników, zawsze powinien głosić wolną miłość!). Napadali na posiadłości latyfundystów, zaprzęgając ich do ciężkiej pracy, uwalniali niewolników, "naprawiali

świat", nie wahając się stawać do beznadziejnej walki z regularnym wojskiem.

Jednak, jak się wydaje, to nie naprawianie świata było ich głównym celem. Była nim własna świętość, rozumiana jako męczeństwo za sprawę, za wiarę. Czyli jednak nie starożytni rewolucjoniści, a religijni fanatycy. Ale biorąc poprawkę na ich anarchistyczny charakter, każda banda mogła mieć własne priorytety (np. O wiele ciekawszą wolną miłość). Ci, którzy wybierali męczeńską rewolucję, atakowali (zamożnych?) ludzi uzbrojeni w drewniane pałki, nazywane z jakiegoś powodu "Izraelitami", i prowokowali ich do śmiertelnej odpowiedzi ostrą bronią. Albo prowokowali sędziów do wyroków śmierci. Albo, w obliczu przegranej walki, rzucali się ze skały. Być może skojarzenia z frakcjami rewolucyjnymi z "Żywota Briana" są nie na miejscu, jednak z pewnością Cirkumcelioni nie byli ruchem z przyszłością.

Cyrkumcelionów zgodnie tępiły cesarska administracja i kościół katolicki (a później także wandalska administracja i kościół ariański), miejscowa arystokracja itp. W końcu prawdopodobnie wycięto ich (zgodnie z własnym życzeniem) w pień.

A! Przy okazji muszę oficjalnie zdementować informację, którą pół-żartem zamieściłem na swojej stronie FB po "spacerowych" demonstracjach w październiku 2020 r. Napisałem wówczas, że podobno archeolodzy znajdują co jakiś czas pozostawione przez Cyrkumcelionów, spisane kiepską łaciną inskrypcje, na których powtarza się jeden tekst: "Apage velocite!" – w wolnym tłumaczeniu: "Oddalcie się w pośpiechu!" (choć niektórzy tłumacze proponują też znacznie krótszą i odrobinę niecenzuralną wersję). To oczywiście nieprawda.

21 Donatyści. Kościół afrykański był specyficzną organizacją. Wyrosły na tradycji prześladowań, cenił upartą ortodoksję (żeby nie powiedzieć doktrynerską

bezkompromisowość), aż do jej kulminacji w postaci lokalnej, lecz bardzo znaczącej schizmy pod przewodnictwem biskupa Donata z Kartaginy. Rozdarła ona tamtejszy kościół już ponad sto lat przed przybyciem Wandalów i tliła się jeszcze długo po ich odejściu.

W wielkim skrócie, wszystko zaczęło się od tego, że donatyści uznali za trwale niegodnych tych, którzy ugięli się i zaparli wiary w czasie prześladowań Kościoła przez cesarstwo. Natomiast oni sami mieli być "kościółem doskonałych", jedynym który zachował prawo udzielania sakramentów. Niektóre przekazy i ostrożny sceptycyzm każą jednak podejrzewać, że poza tym, początkowo chodziło po prostu, jak to przeważnie bywa, o władzę i pieniądze. Na spory hierarchów nałożyły się prawdopodobnie kwestie etniczne (niechęć mauryjsko-punickich tubylców do Rzymian) i społeczne (buntownicze nastroje

biedoty). Stąd wzięli się, wspomniani wcześniej, cyrkumcelioni.

Katolicy i donatyści zmagali się ze sobą ze zmiennym szczęściem przez wiele dziesięcioleci, ostatecznie jednak cesarstwo potępiło schizmę i wprowadziło wobec jej przedstawicieli ustawowe represje, które mogły tylko wzmóc się po przybyciu ariańskich Wandalów. Tępiony ze wszystkich stron kościół donatystyczny musiał zejść do podziemia.

22 "W sztuce kochania uczeńsze...". Owidiusz, "Ars amandi", księga II/ XXI.

23 "...królowej wdowy". Czyli Amalafridy, siostry ostrogockiego Teodoryka Wielkiego i żony poprzedniego króla Wandalów, Trasamunda. Była gwarantem (i prawdopodobnie stróżem) sojuszu, który przejściowo uzależnił Wandalów od silniejszego wówczas partnera. Ponieważ po śmierci Trasamunda Amalafrida stanęła na czele opozycji przeciw

realizowanemu przez króla Hilderyka zbliżeniu z Bizancjum, ten dokonał krwawej czystki na dworze, a pochwyciona królowa wdowa zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach. Tylko śmierć Teodoryka Wielkiego zapobiegła wojnie z Ostrogotami. Tak, w skrócie, robiło się wówczas i długo potem politykę.

24 Prokurator. Być może nie tylko Beketar jest zdziwiony, a znawcy epoki zaczynają kręcić nosem. W końcu prokurator był dość wysokim rzymskim urzędnikiem odpowiedzialnym za finanse prowincji, bądź jej części. Ale prokuratorami zwano również czasem i innych, mniej ważnych urzędników. Należy też wyjaśnić, że prawdopodobnie przynajmniej część starej rzymskiej tytulatury nadal funkcjonowała pod rządami Wandalów. Dotyczyło to pewnie przede wszystkim urzędów municypalnych, pozostających głównie (wyłącznie?) w rękach ludności punicko-romańskiej. Część z tych tytułów była też zapewne

czysto honorowa, jak potwierdzeni źródłowo w królestwie Wandalów prokonsulowie Kartaginy. Zresztą, tak między nami, to nawet samo Pismo Święte potrafi się w tym wszystkim pogubić, gdy najśłynniejszy prokurator w dziejach, Poncjusz Piłat, okazuje się być według źródeł historycznych prefektem. Jako autor nieco skromniejszego dzieła, czuję się więc usprawiedliwiony w zakresie podobnych nieścisłości. A jeśli kogoś nadal to nie przekonuje, to dodam, że jeden z odkopanych we współczesnej Annabie budynków starożytnej Hippony odkrywcy ochrzcili "willą prokuratora", co musi być niezbitym dowodem na to, że tam właśnie mieszkał Oktawian, prawda?

25 "Dziś sami jesteśmy Rzymianami...". Trudno jednoznacznie określić według dzisiejszych narodowościowych kryteriów, kim byli etnicznie, a kim się czuli ówcześni mieszkańcy Afryki Północnej. Bizantyjczycy zwali ich Libijczykami i uznawali za "swoich" – członków rzymsko-greckiej wspólnoty

kulturowej spadkobierców Imperium Rzymskiego. Genetycznie musieli w ogromnej większości pochodzić od dawnych Libijczyków i Numidyjczyków, zwanych zbiorczo Maurami (o których była już mowa), w dużej liczbie także (przede wszystkim w miastach) od dawnych Kartagińczyków i w jakiejś części od rzymskich kolonistów. A kim mogli się czuć, za kogo uważać? Przypuszczalnie, jak w wielu podobnych przypadkach, elity chcące zachować swój status szybko adaptowały się do nowych porządków, przyjmując nową, "opłacalną" identyfikację, nowy język i nowe zwyczaje. Najpierw greckie i punickie, później rzymskie. Wandalskich nie przyjęły, bo ani nie były dla nich atrakcyjne, ani sami Wandalowie na to raczej nie pozwalali (spróbujcie załapać się do klubu nowobogackich milionerów). Można więc przyjąć, że libijscy mieszczenie rzeczywiście uważali się za Rzymian, nawet jeśli niektórzy w domu mówili jeszcze po punicku. Rzymianami z pochodzenia i przekonania

byli też wielcy posiadacze ziemscy. I tylko prosty lud, którym nikt się specjalnie nie interesował (póki pokornie pracował i chodził do kościoła) dalej żył i mówił po swojemu, nie przejmując się specjalnie tym, jak go nazywają.

Mówiąc o mieszkańcach wandalskiej Afryki, należy podkreślić jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, rzymskie spisy pozwalają szacować miejscową ludność tych terenów na ok. 2 miliony mieszkańców. Wandalsko-alańskich zdobywców było w porywach do 80 tysięcy i nawet jeśli później, na co nie ma dowodów, trochę ich przybyło, to wciąż stanowili nie więcej niż 5% całej populacji. Między innymi dlatego (oraz ze względów mobilizacyjnych), król Gezeryk skupił ich w centrum państwa, ale i tam mogli stanowić raptem ok. 20%, zaś na peryferiach nie było ich prawie wcale.

Po drugie, mimo ogromnej przewagi liczebnej, miejscowa ludność stała się najpewniej obywatelami

drugiej kategorii. Ponieważ nie mamy informacji o wandalskim systemie prawnym (choć niektórzy sugerują, że szybko przyjęli normy rzymskie), musimy posłużyć się analogią do innych germańskich królestw sukcesyjnych. A tam zawsze na początku (dłużej lub krócej) wyglądało to tak, że działały dwa systemy prawne – jeden, rzymski dla "tubylców" i drugi, plemienne prawo zwyczajowe (czasem później kodyfikowane) dla germańskiej elity. A ono bardzo jasno i bardzo wymiennie (w kwotach nawiązek i główszczyzny) określało, że wolny Got, Burgund, czy Frank są dwa razy więcej warci od Rzymianina o podobnym statusie. Dopiero z czasem, tam gdzie go starczyło, te różnice zaczęły się zacierać.

26 Hermetycy. Hermetyzmem zwano (choć nie wiem, czy już w tym czasie) rozwijający się pod koniec starożytności prąd religijno-filozoficzny, który w przyszłości, w epoce Renesansu, położy podwaliny (a w każdym razie, zapewni inspirację) pod alchemię,

astrologię i ezoterykę. O samym "ojcu założycielu", wespół mitycznym Hermesie Trismegistosie (Po Trzykroć Największym), niewiele chyba wiadomo na pewno. Prawdopodobnie był jednym z hellenistycznych, przedchrześcijańskich "proroków" i nauczycieli, który doczekał się ubóstwienia przez licznych wyznawców. Sam hermetyzm zaś stał się synonimem wiedzy tajemnej i tajnych, mniej lub bardziej ezoterycznych stowarzyszeń. Mógł mieć również pewien związek z częścią ruchów gnostyckich (patrz poniżej). Nie rozpisuję się jednak na ten temat, ponieważ oprócz tego, że dla zabawy pożonglowałem tu paroma wątkami i hasłami, ezoteryka to zdecydowanie nie moja bajka. Proszę więc nie zwracać się do mnie z pytaniami o kabałę, tarota, ani kamień filozoficzny, a współczesnych astrologów i okultystów proszę o wyrozumiałość, jeśli coś za bardzo pomieszałem (i tak nic nie powiedzą – w końcu to wiedza hermetyczna).

27 Gnostycy. O burzliwych religijnie czasach była już, zdaje się, mowa powyżej. Gnostycyzm (od greckiego "gnosis" – poznanie) to nowożytna nazwa (znów drobny archaizm) wielu rozdrobnionych na sekty i odłamy ruchów religijnych oraz prądów filozoficznych wywodzących się z rzymskiego Bliskiego Wschodu i działających w pierwszych wiekach n.e. na pograniczu chrześcijaństwa (a czasem już poza jego granicami). Rozpowszechnione swego czasu w Afryce i Azji Mniejszej sekty gnostyckie (o intrygujących nazwach jak np. Kainici, Setianie, Archontycy, czy Borboryci) to temat na oddzielną, wielotomową rozprawę. Dodatkowo od IV wieku wielu gnostyków zaczęło ulegać wpływom Manichejskim (ale o tym już naprawdę innym razem).

To, co w jakimś zakresie (i w wielkim skrócie) łączyło gnostyków, to przekonanie, że uwieczony w złym, materialnym świecie duch człowieka może wyzwolić się (zbawić) sam dzięki wiedzy, objawieniu

i oświeceniu (nie roztrząsając tu różnic między nimi). Zaś materialny świat jest zły, ponieważ nie został stworzony przez prawdziwego, doskonałego Boga, a przez ułomnego, zbuntowanego Demiurga (identyfikowanego nieraz ze starotestamentowym Jahwe lub szatanem). Niektórzy oskarżali także o współudział w tym występny dziele stworzenia "upadłe anioły" (archontów, eonów), które (w jednej z wielu wersji) uwięziły w materialnym świecie swoją matkę, Sofię (Boską Mądrość). W szczególach, jak zawsze, poszczególne ruchy gnostyków rzadko bywały zgodne, a ich poplątane wizje nieraz kłóciły się ze sobą. Praktyki zaś bywały czasem, hmm... bardzo oryginalne. Szczególnie, jeśli trafili im się przywódcy pokroju Szymona Maga. Jest coś takiego w sekciarstwie, co nie zmienia się przez tysiąclecia.

Członkiem jednej z takich grup był przed swoim nawróceniem również doktor Kościoła, św. Augustyn z Hippony. Jednak w opisywanym okresie, po niemal

stu latach opresyjnej religijnej władzy arianских Wandalów, gnostycy, jeśli w ogóle jacyś przetrwali, z pewnością musieli zejść głęboko do podziemia. Zaś o grupie Beketara musiałby wypowiedzieć się jakiś religioznawca, ale jak dla mnie, wygląda to raczej na jakieś stowarzyszenie hermetyczne (patrz powyżej), posługujące się gnostycką symboliką, niż na sektę religijną. A opisany wcześniej rytuał jest oczywiście całkowicie fikcyjny.

28 "Niezły, za przeproszeniem, burdel z tymi starymi bogami, prawda?". Przyzwyczajeni do popularnych, wygładzonych, spójnych i logicznych opracowań mitologii greckiej (po inne mało kto sięga), nawet nie spodziewamy się jak wielki.

Dzisiaj jesteśmy – w wielkim uproszczeniu – z jednej strony spadkobiercami katolickiego uniwersalizmu, dziećmi religii z premedytacją ujednoliconej, oczyszczonej z większości istotnych sporów i różnic doktrynalnych. Z drugiej strony,

jesteśmy dziedzicami podobnie sztucznie i post factum wygładzonej i ujednoliconej kultury antycznej. Wydaje nam się, że starożytne panteony da się rozpiąć w schemacie organizacyjnym i prześledzić ich dzieje od stworzenia świata po świat chrześcijaństwa. Akurat!

To był świat wiary, w której nigdy nie było jednej wspólnej wykładni, jednego credo, jednego zestawu imion dla bogów, stałego panteonu nawet, czy jednej opowieści o stworzeniu świata! Wychowani na popularnej wersji mitologii greckiej, zafascynowani mitologią nordycką, zapominamy, że to swego rodzaju „fałszerstwa”. Późniejsze ugrzecznione, „wyprostowane” opracowania, obrobione na potrzeby dzisiejszej logiki. A mit nie zna takiej logiki. Tamte wierzenia były, z naszej perspektywy, szalenie chaotyczne – zmienne, sprzeczne, pełne paradoksów. Ci sami (z grubsza) bogowie mieszkali – zależnie od czasu, czy okolicy – różne imiona, różny status i różną historię. W jednej części Grecji Eros mógł być synem Afrodyty,

w innej najstarszym z bogów i stwórcą wszechrzeczy. Jednego stulecia głową panteonu był jeden bóg, innego już drugi, całkiem nowy. Mało tego! Nie raz z jednego bóstwa potrafiły wypączkować dwa różne, dwa inne mogły zlać się w trzecie, a bóg sprowadzony przez osadników z dawnej ojczyzny mógł odejść od swego oryginalnego wizerunku. Do tego zdarzały się w Rzymie przypadki oficjalnego "importowania" obcych bogów. Ale dla naszych przodków nie było w tym sprzeczności, to tylko my odruchowo szukamy dziś w tym wszystkim jakiegoś monolitu, a tam i na początku, i na końcu był chaos. Stąd, między innymi, możemy dziś dosyć bezkarnie puszczać wodze fantazji w tym zakresie. A brat Strzała nie mógł ująć tego lepiej.

29 "Wino czyni serce tkliwym...". Owidiusz, "Ars amandi", księga I / VII.

30 "Amore petitur, amore quaeritur, amore pulsatur, amore revelatur, amore...". "Poprzez miłość zanosimy

prośby [o zrozumienie], poprzez miłość szukamy, poprzez miłość pukamy, poprzez miłość jest nam objawiane, poprzez miłość, w końcu, w tym, co zostało objawione, pozostajemy." Sam święty Augustyn z Hippony.

31 "Hic sunt philosophes" – "Tu są filozofowie". I lwy. Na większości późniejszych map, w miejscu białych plam, były lwy ("Hic sunt leones"). Prawdopodobnie bardzo zadowolone z towarzystwa filozofów, którzy potem, nie wiedzieć czemu, zniknęli z map.

32 "Gdy mogąc być szturmem wziętą...". Owidiusz, "Ars amandi", księga I / XV.

33 "Odtąd, wierny swej tradycji...". Owidiusz, "Ars amandi", księga I / IV.

34 "Co wioska, to biskup...". Wspominałem już, że kościół afrykański był specyficzny. Przejawiało się to również w gęstej sieci biskupstw, która przypominała chyba bardziej dzisiejszą organizację

parafii, niż diecezji. W V i VI wieku w Afryce Północnej bywało ponad 300 biskupów katolickich (można spotkać informacje i o ponad 450) i podobna liczba donatystycznych. Wraz z przybyciem Wandalów dołożyła się jeszcze do tego hierarchia ariańska, usuwając część swoich konkurentów religijnych, lecz pozostawiając w swoich rękach ich kościoły i majątki. A wszyscy oni uważali się oczywiście za ten jedyny, prawdziwy Kościół, pracowicie starając się wygryźć konkurencję – raz piórem, innym razem mieczem. Nikt wówczas nie myślał o ekumenii, podobnie o nadstawianiu drugiego policzka. Jak dobrze, że dzisiaj jest inaczej. A wiele z tych diecezji nadal funkcjonuje formalnie jako biskupstwa tytularne, nadawane głównie biskupom pomocniczym na całym świecie.

35 Prepozyt królestwa. Albo "przełożony królestwa" (praespositus regni). To prawdopodobnie najwyższy urzędnik na wandalskim dworze, być może w jakimś zakresie odpowiednik cesarskiego Magistra officiorum,

któremu podlegała państwowa kancelaria i główny aparat administracyjny. Nie znamy dokładnego zakresu zadań prepozyta, ani jego uprawnień, ale myślę, że można go traktować podobnie jak szefa kompanii w wojsku. Niby nie dowódca, a jednak szef.

36 "Zapłaciłem za nią...". Choć dzisiaj może to wydawać się nam mało istotną różnicą, trzeba podkreślić, że w społecznościach "barbarzyńskich" nie kupowano sobie wolnych kobiet. Mążzonek odkupywał od rodziny dziewczyny jedynie prawo do opieki nad nią i była to ogromna różnica w stosunku np. do niewolników, których sprzedawano jak bydło i sprzęty domowe. Ponieważ kobieta zawsze była pod czyjąś opieką (o tym później), dotyczyło to również poślubiania wdów, kiedy płacono ich synom lub najbliższym męskim spadkobiercom zmarłego męża. Wnoszone opłaty potrafiły, zdaje się, być znaczne, a ojciec wielu córek (jeśli tylko wytrzymał nerwowo) mógł zostać zamożnym człowiekiem.

37 "Miłość nasza potężnieje...". Owidiusz, "Ars amandi",
księga III / XXIV.

38 "Dwoje jego rodzeństwa nie dożyło siedmiu lat".
Śmiertelność dzieci i wtedy, i jeszcze wiele stuleci
później była przerażająca. Nie dysponuję danymi dla
rzymsko-wandalskiej Afryki. Trafiłem jednak (dzięki
świetnej książce "Polska przed trzema tysiącami lat"
Jana Dąbrowskiego) na miarodajne, jak myślę, dane dla
"barbarzyńskich" terenów Polski w okolicach 1000 lat
przed naszą erą (czasy osady w Biskupinie i kultury
łużyckiej)... oraz XVIII wieku i XIX-wiecznej Galicji.
Cytując (za Dąbrowskim) fragment artykułu z 1784
roku: "...miano to jak za pewne prawo natury, iż
połowa dzieci przed dziesiątym rokiem od ospy umrzeć
musiała...". Każdy ma prawo do własnych, choćby
najgłupszych poglądów, ale antyszczepionkowcy
powinni trochę poszperać w danych historycznych.

Zgodnie z zachowanymi danymi statystycznymi,
pod koniec XIX wieku w Galicji około 50% dzieci

nie dożywało 15 lat. Podobną śmiertelność sugerują odnajdywane przez archeologów pochówki "łuzyczan" i nie ma chyba powodu przypuszczać, żeby pomiędzy tymi dwoma punktami czasu coś istotnie się zmieniało. Tym bardziej, że w czasach, o których opowiada ta książka, nawet w bogatej i dostatniej Afryce Północnej zdarzały się wielkie klęski głodu i szalejące zarazy. Oczywiście całkiem uzasadnione jest podejrzenie, że gros ofiar stanowili chłopci i miejska biedota, ale i najbogatszych dotykały głód, wojna i mór, że nie wspomnę o równie zastraszającej śmiertelności około-porodowej kobiet.

39 "Szczęśliwy, kto...". Owidiusz, "Amores", II, 10, 29. Na podstawie tłumaczenia Jerzego Ciechanowicza.

40 "...pod opieką wuja". Wydaje się, że późniejsze traktowanie kobiet w kulturze europejskiej ma sporo wspólnego z dziedzictwem barbarzyńców. Niezameżna kobieta podporządkowana była niemal bezgranicznej władzy ojca lub (w jego zastępstwie) brata. Władzy, ale

i opiece, bo jednocześnie znajdowała się pod szczególną ochroną prawa i swoich krewnych, za której naruszenie groziły kary znacznie surowsze niż za zamach na życie lub zdrowie mężczyzny. Prawo do opieki nad kobietą kupował od jej rodziny mąż, a gdy go zabrakło, przejmował syn. Gdy to nie było możliwe, obejmowali je dalsi krewni, a w ostateczności władca. Zwyczajnie nie istniała, nie miała prawa istnieć, samodzielna prawnie i prawnie niezależna kobieta. I oczywiście w praktyce pewnie niejedna bezprawnie istniała.

41 Arsenum, cicuta, aconitum. Trochę się natrudziłem, nim odnalazłem toksynę o odpowiednich właściwościach, która mogła być dostępna w tamtych czasach. Trucicielstwo już w starożytności miało wielowiekową tradycję (a późniejsi potomkowie Rzymian podnieśli ją do rangi "sztuki") i nawet dzisiaj ma się dobrze wśród co bardziej bandyckich rządów na wschodzie. Dziś jesteśmy otoczeni potencjalnymi truciznami, niektóre z nich trzymamy w szafkach

pod zlewem, inne można kupić w aptece. Jednak kiedyś nie była to taka prosta sprawa. Co innego podmienić cesarzowi grzyby na talerzu i patrzeć jak męczy się godzinami (a nuż przeżyje?), co innego uśmiercić człowieka trucizną na miejscu. Wymagało to nieprzeciętnej wiedzy i umiejętności z dziedziny medycyny, botaniki i "chemii". Wiele "zawdzięczamy" w tym zakresie wielkiemu dziełu greckiego lekarza i botanika z I wieku n.e., Pedaniosa Dioskurydesa. Oczywiście dzieło nie było poświęcone truciznom (pewne substancje w odpowiednio małej dawce miały właściwości lecznicze i przeciwbólowe), ale jak widać, każdy mógł znaleźć w nim coś ciekawego, również psychopaci.

Czym truto się w starożytności? Najśłynniejsza była pewnie "sokratesowa" cykuta (cicuta), czyli szalej jadowity, bądź szczywół plamisty. W niecałe pół godziny powoduje najpierw ogólne pobudzenie, mdłości,

drgawki itp., a następnie poraża nerwy, w tym ośrodek oddechowy, powodując uduszenie ofiary.

Kolejny na liście mógł być (nie)śmiertelny arszenik (arsenum), biały, bezwonny i bezsmakowy proszek otrzymywany z prażenia rud arsenu. Powoduje m.in. wymioty i gwałtowną biegunkę, niewydolność nerek, uszkodzenia wątroby i układu nerwowego. Ponieważ, jak wiadomo, piękno wymaga poświęceń, przez wieki był używany przez kobiety (w małych dawkach) do uzyskiwania bladej cery. Oraz do pozbywania się niechcianych ciąż.

Być może popularna była również rycyna (ricinum) uzyskiwana z nasion rycynusa, czyli rącznika pospolitego. Śmierć następuje po wielu godzinach, czasem dniach od spożycia, poprzedzona gorączką, bólami mięśni, wymiotami i biegunką.

Niestety, odpadł – niezastąpiony na potrzeby teatralnie szybkiej śmierci – cyjanek potasu, którego uzyskanie

w tamtych czasach było niezwykle mało prawdopodobne. Zaś pokrewna mu (chemików proszę o wybaczenie uproszczenia), uzyskiwana z nasion niektórych migdałowców amigdalina (amygdalum) byłaby łatwo wyczuwalna po zapachu.

Ostatecznie padło więc na "przebój renesansu", o którym Dioskurydes miał napisać, że zabija nawet skorpiony, czyli swojski tojad (acoitum), zwany czasem potocznie i bardzo adekwatnie mordownikiem. Jednak osiągnięcie wymaganego tu stężenia nie mogło być proste.

Niesamowita jest ta ludzka pomysłowość w zakresie śmiertelnego zastosowania natury. Ale wiadomo, że w konkursie na pięć najlepszych zastosowań kija zawsze wygra walenie po głowie, na drugim miejscu dźganie (najlepiej po zaostrzeniu) i dopiero ewentualnie na trzecim znajdzie się laska, ale tylko nieznacznie przed nabijaniem na pal i łamaniem kołem. Tak czy inaczej, zawsze lepiej jest

uważnie przeczytać skład tego, co planujecie zjeść lub wypić.

42 " Rzadko zgodzą się z sobą władza i kochanie ".
Owidiusz, "Przemiany", cz. XI "Europa". Na podstawie tłumaczenia Bruno Kicińskiego (podobnie kolejne).

43 Saks. Długi, jednosieczny nóż bojowy bardzo popularny wśród Germanów w okresie wielkich wędrówek ludów i epoce wikingów (prawdopodobnie ze względu na niższą cenę i większą poręczność na co dzień, niż miecze). Saksy miały zwykle do 70 centymetrów długości (skramasaks), choć bywały i dłuższe (langsaks). Nie słyszałem o saksach odkopanych przez archeologów w Afryce, ale to nic nie znaczy.

44 "Wandalski Achilles". Tak, według Prokopiusza, nazywano bliskiego kuzyna króla Hilderyka, księcia Hoamera. W zasadzie, oprócz świetnego przydomka i kilku faktów, niewiele wiadomo na jego temat. Można

tylko przypuszczać, że cieszył się dużym zaufaniem swojego stryja (?) i rzeczywiście był świetnym wodzem (mimo wspomnianej tu klęski). A w każdym razie, miał niezły PR. Pewne poszlaki mogą wskazywać również na to, że był następną po Gelimerze osobą w kolejce do tronu. Niestety, nie pomoże mu to w niedalekiej przyszłości.

45 "Piąta kolumna". To oczywiście "drobny" anachronizm, jako że samo pojęcie ma dopiero XX-wieczny rodowód. Ale, jak sądzę, bardzo dobrze oddaje stosunek wandalskich władz do katolików. Jeśli kogoś to razi, pozwalam skreślić i napisać "piąty legion".

46 "Wielki książę wandalów...". Twórczość na motywach autentycznych wersów łacińskich z wandalskiej Afryki zaczerpniętych, za książką "Wandalowie i ich afrykańskie państwo" Jerzego Strzelczyka, z "Anthologia Latina" w tłumaczeniu Anny Pawlaczyk. Sądząc z zawartej tam próbki, romanscy poeci potrafili włożyć wiele wysiłku w ciągnące się bez końca, pełne

wyszukanych pochlebstw, wiernopoddańcze zaloty do swoich wandalskich władców. Taka tradycja zaczerpnięta z jeszcze z cesarskiego dworu i z sukcesem odtwarzana przez wiele następnych stuleci na całym świecie. Również u nas.

47 "Polityka to nie nasza działka". Biorąc pod uwagę przekazy o życiu politycznym królestwa Wandalów i Alanów, oraz śladowe informacje o działalności tajnych służb, a także wiadomości o agentes in rebus, było to raczej pobożne życzenie, niż prawda. Wandalscy królowie, poczynawszy od Gezeryka, bardzo uważnie patrzyli na ręce swoim poddanym, szczególnie arystokracji i własnej rodzinie, brutalnie tłumiąc w zarodku każdą opozycję. Tego co nie dotarło do nas w przekazach łatwo się domyślić, bo autokratyczna władza zawsze korzysta z podobnych narzędzi. Natrętna propaganda i usłużni pochlebcy, zagorzali "inkwizytorzy" i wszechobecni donosiciele, w razie potrzeby – wojsko na ulicach. Tyle, że w starożytności

i średniowieczu ograniczało się to (z powodów techniczno-logistycznych, ale chyba i z braku potrzeby) do wyższych warstw społeczeństwa, w tym przypadku do samych Wandalów i co bardziej znaczących Rzymian. Jak w "Roku 1984", "prolami" nikt nie zawracał sobie głowy.

Choć być może faktycznie coś w tej maszynie przestało w tych czasach działać, skoro udał się pierwszy (i ostatni) w dziejach królestwa przewrót pałacowy?

48 "Jeden jest Bóg wszystkiego..." – tak mógłby brzmieć fragment ariańskiego Credo na podstawie tekstu wyznania wiary gockiego biskupa Wulfili. W tej formie mógł odpowiadać nawet członkowi jednej z podejrzanych hermetycznych organizacji lub gnostycznych sekt (jakkolwiek niektóre z nich mogłyby z tym polemizować... gdyby przetrwały).

49 List króla Gelimera do Cesarza Justyniana Wielkiego w brzmieniu przekazanym przez Prokopisza z Cezarei i w tłumaczeniu Dariusza Brodki. Jego treść za chwilę dobrze podsumuje Beketar, więc tu należy tylko wyjaśnić, że wspomniany Zeonon to cesarz wschodniorzymski Zenon Izauryjczyk, który około 60 lat wcześniej podpisał stosunkowo trwały traktat pokojowy z Wandalami.

50 O "Wandalskim Achillesie" było już wyżej. Tutaj dodam tylko, że oślepienie przez wieki było "humanitarnym" sposobem pozbywania się konkurentów do tronu (patrz np. nasz Bolesław Krzywousty i jego brat, Zbigniew), a okaleczony Hoamer zmarł w więzieniu niedługo czas później. Jednak nawet, gdyby Hoamer został kiedyś królem, będąc według oceny Beketara "porządnym człowiekiem", małe miał szanse zostać władcą na miarę wielkiego Gezeryka, z którego był kawał drania.

51 "...została nam tylko trzecia część ziemi". To i tak nieźle, bo w samym centrum swojego państwa, gdzie skupili swoje osadnictwo, Wandalowie konfiskowali zwykle wszystko (choć historia odnotowała przypadki późniejszych rekompensat i zwrotów). Nie było to nic niezwykłego na tle innych germańskich królestw sukcesyjnych. Proporcje ziem konfiskowanych rzymskim posiadaczom wahały się tam na ogół od 1/3 do 2/3. Wśród historyków trwa spór o to, czy było to przejmowanie majątków "w naturze", czy jakiegoś rodzaju proporcjonalny czynsz na utrzymanie nowych panów, większość skłania się jednak ku pierwszej opcji. Rzymscy latyfundiści z pewnością czuli się bardzo pokrzywdzeni i wnosili skargi do samego Cesarza (tak, jakby mógł coś z tym zrobić), jednak trudno specjalnie im współczuć, patrząc na stosunki majątkowe panujące w Cesarstwie. Zresztą, czy ktoś z Was by się zmartwił, gdyby przylecieli Marsjanie i zabrali połowę majątków paru setkom najbogatszych ludzi na świecie? No,

dobrze. Może trochę, gdyby zamiast przepuścić wszystko na dobrą zabawę, zatrzymali kontrolę w swoich zielonych łapach, a oprócz tego okazali się nieokrzesanymi dzikusami.

52 Dżuma, cholera i inne przekleństwa ludzkości. Po wydaniu "Ostatniego lata Wandalów" pojawiły się (ku rozbawieniu autora) uwagi, że bohaterowie powinni kląć, używając innych słów, ponieważ w tamtych czasach nie znano cholery (podobnie jak nie powinni niczego pierniczyć, bo nie znano pierników; nie wiem jak z pieprzem). Wyjaśniam więc, że chyba w ogóle niewiele wiemy o ówczesnych zarazach, poza tym, że występowały. Czasami mamy do dyspozycji opisy objawów, ale i tak nie wiemy, co np. zabiło Peryklesa i zdziesiątkowało Ateny, ani czym dokładnie była "dżuma Justyniana" (na pewno nie dżumą). Wprawdzie dzisiejsza nauka potrafi już uzyskiwać z wykopywanych szczątków ślady dawnych patogenów, ale wówczas dla przeciętnego człowieka

wszystko to było po prostu zarazą. Zaraza! (W sumie też niezłe; może w kolejnym wydaniu.) Stąd pozwalam sobie używać nazw współczesnych jednostek chorobowych, które brzmią lepiej dla ucha (przynajmniej mojego). Choć kto wie, może w kolejnym wydaniu Beketar będzie kłął mniej soczyście, za to zgodnie z duchem czasu: "Pestis! Tristis pestis!"? A my niedługo zastąpimy "cholera!" "Covidem".

53 "Tak gojeniem niejedna powiększa się rana...".
Fragmenty "Listów z Pontu" Owidiusza (List 7 księga III Przyjaciołom) w tłumaczeniu Jacka Przybylskiego.
Oczywiście, w oryginale, zamiast Fridy, jest Rzym.

54 "... z Rzymianami". Choć, jak być może niektórzy zauważyli, mówiący sam należał do romańskiej ludności królestwa, takie słowa nie zdziwiłyby słuchaczy ani wtedy, ani jeszcze wiele wieków później. Przez przeważający okres historii, niemal do współczesności, przynależność etniczna często bywała wtórna wobec przynależności politycznej

i nikogo (?) nie gorszyło, ani tym bardziej nie dziwiło, jeśli ludzie o wspólnych korzeniach z własnej (mniej lub bardziej) inicjatywy stawali po dwóch stronach frontu. Szczególnie dotyczyło to wieloetnicznego Cesarstwa Rzymskiego. Bywało nie raz, że rodowici Rzymianie walczyli po stronie wrogów Cesarstwa wspieranego z kolei przez ludzi bezpośrednio spokrewnionych z przeciwnikiem.

Nie można oczywiście powiedzieć, że w ogóle nie istniał jeszcze patriotyzm w dzisiejszym rozumieniu. Patrząc na greckie miasta-państwa lub czytając Katona Starszego, można dojść do wniosku, że istniał nie tylko patriotyzm, ale istniała już też ksenofobia. Miały chyba jednak inne podłoże, niż dzisiaj. Ówczesny "patriotyzm" związany był, jak się wydaje, nie tyle z nieistniejącą jeszcze ideą narodu, co (mniej?) ze wspólnotą kulturową i (bardziej?) z całkiem przyziemną wspólnotą interesów. Nikogo specjalnie nie dziwiło, jeśli rodowity

Rzymianin był lojalnym poddanym "barbarzyńskiego" króla (patrz choćby słynny Kasjodor). Tym bardziej, że był to zwykle jedyny sposób na utrzymanie majątku (którego nie dało się przecież spakować do kufru i wytransferować gdzie indziej) i pozostanie w lokalnej ojczyźnie (Galii, Italii, Libii...). Podobnie, barbarzyńcy już od wieków korzystali z okazji na robienie, czasem zawrotnych, karier w rzymskiej armii, które – zdarzało się – czyniły ich w praktyce władcami Cesarstwa (jak np. wybitnego obrońcę Rzymu, pół-Wandala, Stylichona).

Trochę inaczej mogło to wyglądać w przypadku "królestw sukcesyjnych" i władających nimi takich grup jak np. Wandalowie, gdzie pochodzenie etniczne bezpośrednio wiązało się z dominującą rolą społeczną i wspólnym interesem politycznym. Poza tym, wandalscy władcy egzekwowali lojalność swych poddanych – także Rzymian – z całą surowością. Może dlatego nie słyszymy o żadnych wandalских

"odstępach" z tego okresu. Co oczywiście nie oznacza, że ich nie było.

55 Nie podobna wejść ponownie do tej samej rzeki. Pewnie wielu czytelników wie, w czym rzecz, ale i tak to napiszę, ponieważ niezmiennie irytuje mnie powszechne błędne przywoływanie tego powiedzenia (najczęściej jako uzasadnienie równie błędnych decyzji). Otóż, Heraklit z Efezu nikomu nie zabraniał, ani nie odradzał ponownego wchodzenia. Stwierdził jedynie, że jest to niemożliwe – w tym sensie, że rzeka, w której przepływa dużo wody, nie będzie już ta sama. To se ne vrati. Poprawna wersja powinna więc brzmieć – zamiast "nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki" – "nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki". Ale próbować oczywiście można, czasem nawet należy.

56 Zesłańcy. Korsyka, jak się wydaje, służyła wandaliskim władcom jako miejsce zsyłki przeciwników politycznych, religijnych i różnej maści buntowników (tych oczywiście, których ominął kat). Bywali wśród

nich katoliccy hierarchowie, mogli być również jacyś buntowniczy Maurowie. Bogatsi cieszyli się tam prawdopodobnie pewną swobodą (wiemy np. o przypadkach fundowania katolickich klasztorów), bardziej pechowi pracowali zapewne przy wyrębie lasów na potrzeby floty królewskiej.

57 No, dobrze... Pewnie nie było to "proszę pana", ale jakiś nieznany nam zwrot dobrze wychowanego młodego Wandala do starszych wiekiem zapewne istniał. Może było to "wujku", może używanie drugiej osoby liczby mnogiej ("wy"), a może coś innego. Tak czy owak, wydźwięk powinien być zbliżony do naszego swojskiego "proszę pana", więc tak zostało w tekście.

58 "Te węże, znak swej zemsty, na Egidzie mieści". Owidiusz, "Przemiany", cz. XIX "Perseusz i Andromeda". A jeśli ktoś ma wątpliwości, czy ten fragment jest odpowiednią lekturą dla dwunastolatka, to pewnie ma rację. W mitologii, którą czytałem w tym wieku, opisano to chyba nieco inaczej – na pewno zapamiętał

bym nieprzyzwoite sceny na świątynnym ołtarzu.
Ritigern zapamiętał.

59 "Vanitas vanitatum – omnia vanitas". "Marność nad marnościami i wszystko marność". Księga Koheleta 1:2.

60 "... miała żyć wiecznie i prosperować na wieki". Ten "trzeci Rzym" (nie mylić z Moskwą, ta może być ewentualnie czwarta lub piąta) nie został jednak kolejnym "wiecznym miastem". Zdobyty w 695 r. przez Arabów, odbity przez Bizancjum dwa lata później, został zniszczony w kolejnym, 698 r. Po przegranej przez Bizantyjczyków bitwie. Arabscy zdobywcy, w obawie przed kolejnym desantem, wzorem starożytnych Rzymian i Wandalów, znów zburzyli miejskie mury, zrównali część miasta z ziemią i wynieśli się do pobliskiego Tunisu. Tym razem Kartagina już się nie podniosła. Dogorywała jeszcze kilkaset lat, a dobita w okresie krucjat, odkrywana jest dziś pod przedmieściami Tunezyjskiej stolicy.

61 "... rezydencji królów w Grasse...". Lokalizacja tego rajskiego ogrodu, jak opisuje go Prokopiusz, jest sporna. Tym bardziej, że nazwa pochodząca prawdopodobnie z języka Wandalskiego, nie utrzymała się w miejscowym nazewnictwie. Pałac miał znajdować się na północ od Hadrumetum (dzisiejsza Susa), jakieś 350 stadiów (sześćdziesiąt-parę kilometrów) od Kartaginy. W różnych opracowaniach znaleźć można odmienne lokalizacje: współczesne Hammamet (dawne Pupput / Siagu), jakieś trudne do znalezienia na mapie Faradise (Firdaws / Henchir-Fradis), czy w końcu Sidi Khalifa nad malowniczą laguną. Biorąc pod uwagę skąpy opis Prokopiusza, region Hammamet, niekoniecznie nad samym morzem, wydaje się najbardziej prawdopodobny.

62 "Caput Vada". Czyli Głowa Mielizny, obecnie Ras Kaboudia w Tunezji. Mały przylądek w pobliżu miejsca, gdzie wybrzeże zaczyna skręcać na zachód

i oddalać się od szlaków morskich z kierunku Konstantynopola.

63 "Niech pochwalony będzie... – i tak pięć razy ". Czyli dosyć mało, może z powody polowych warunków. Czytając przekazane przez starożytnych pisarzy opisy ceremonii i kultu cesarza, można poczuć się jak podczas relacji ze zjazdu PZPR lub dowolnej innej mono-partii, a otaczający niektórych nowożytnych dyktatorów kult jednostki przestaje wydawać się współczesnym wynalazkiem. Były to wielkie i uroczyste popisy czołobitności, sprawiające dziś, w warunkach demokracji, wrażenie obrzydliwie obłudnych przedstawień. Wiązało się to m.in. z coraz chętniejszym sięganiem przez cesarzy do tradycji wschodnich despotów, a już dla Bizancjum rozbuchany ceremoniał stał się niemal jego wizytówką.

64 Tym razem list od cesarza Justyniana Wielkiego do ludu Wandalów, znów w brzmieniu przekazanym przez Prokopisza z Cezarei i w tłumaczeniu Dariusza

Brodki. List obliczony był oczywiście na wykorzystanie konfliktu wśród Wandalów (wszak obalony Hilderyk też musiał mieć swoich zwolenników) i rozbięcie ich jedności w obliczu wojny. Nie wiemy, czy zawarte w piśmie zapewnienia były szczere (można wątpić), ani jak bardzo jego autorzy liczyli na skuteczność takiego manewru. Na pewno nic nie szkodziło im spróbować, skoro Rzym już nie raz w historii swych wojen korzystał z istnienia miejscowych odstępców i buntowników.

65 W opisie wojny wandalskiej Prokopiusza zadziwia, jak mało obie strony konfliktu widziały na swój temat. Musiał istnieć jakiś rodzaj wywiadu (w końcu, od czego są kupcy), a jednak zarówno Bizantyjczycy (szczególnie oni), jak i Wandalowie zdawali się działać w dużej mierze po omacku. Już samo przybycie gigantycznej armii miało zaskoczyć Gelimera, choć raczej jego wczesny termin, niż sama inwazja. A Rzymianie maszerowali przez Afrykę w ciągłej obawie przed

atakiem, nie znając ani wrogich sił, ani ich dokładnego położenia. Prowadzenie wojny w takich warunkach wymagało wielkiej ostrożności lub ogromnej brawury. Tu spotkało się jedno i drugie.

66 Prokopiusz z Cezarei, "Historia wojen" w tłumaczeniu Dariusza Brodki. Podobnie fragment niedługo dalej.

67 "...biskup Utyki odpiął miecz...". Nie twierdzę, że tego miecza używał. Mogło jednak tak być, że wandalscy, ariańscy biskupi wyrosli w tradycji wolnych wojowników nie byli aż tak poświęceni sprawom sakralnym jak ich romańscy, katolicki konkurenci, by nie móc iść z królem do bitwy. Nawet jeśli późniejszy o niecałe 300 lat wojenny biskup Turpin z "Pieśni o Rolandzie" to tylko fantazja poety (choć sama postać jest historyczna), być może jest śladem dawnych, bardziej "barbarzyńskich" hierarchów, którzy w razie potrzeby razem z innymi baronami królestwa sięgali po miecz. W każdym razie, średniowieczni biskupi nie raz wiedli na wojny własne armie. To trochę

tak jak dzisiejsi biskupi i polityka. Niby nie powinni się mieszać...

68 "... byliście butni i aroganccy, oto jak." Nie, to nie jest nawiązanie, ani przytyk do naszych obecnych polityków. Ci przy władzy po prostu często tacy bywają. I nawet gdy wszystko zawalą, sami nie raz wychodzą z tego obronną ręką. Ich lud niekoniecznie.

69 "... zawartość wielkich, okutych skrzyń...". Kto jest jej ciekaw oraz dalszych ich losów, niech zajrzy do Prokopiusza.

70 Prawdę mówiąc, nie wiem, na ile znak krzyża był dla arian święty, skoro nie uznawali Chrystusa za tożsamego z jedynym Bogiem, choć posiadającego również boską istotę (wybaczcie, nie będę się zagłębiał dalej w te teologiczne zawiłości, które można przypłacić bólem głowy). Z jednej strony, modlitwa do stworzonego Syna byłaby dla radykalnych Arian bluźnierstwem. Z drugiej, jak przypuszczam, mogło

to po prostu przypominać dzisiejszy kult maryjny (a więc Jezus jako pośrednik i wstawiennik), któremu nikt przecież nie śmie zarzucać cech bałwochwalstwa.

Dodatkową, choć nie nadmierną, trudnością mógł być biblijny zakaz składania przysięg, co kiedyś sprytnie wykorzystał przeciw katolickim hierarchom wandalski król Huneryk. Kazał zaprzysiąc im poparcie dla "nielegalnej" sukcesji swojego syna, Hilderyka, a ponieważ nie uzyskał, jak się wydaje, wystarczającego poparcia, skazał na zesłanie i tych, co odmówili przysięgi (pod zarzutem nieposłuszeństwa), i tych, co się ugięli (za złamanie boskiego prawa). Ot, taki § 22.

71 Alissandros Kuprensis - zapomniany cypryjski poeta z IV wieku n.e. Zginął na stosie oskarżony (zapewne słusznie) przez kościół o czary. Jednak jego przekłety duch odradza się przez wieki, wcielając się za karę w różne postacie z branży rozrywkowej.

72 Owidiusz, "Ars amandi", księga I/VII.



Kartagina, rok 530. Niecałe sto lat wcześniej rzymska prowincja padła pod mieczami „barbarzyńców” z północny i dziś afrykańskie królestwo Wandalów pławi się w zbytku. Jednak w rzeczywistości państwo chwieje się targane wewnętrznymi konfliktami i nikt nie wie, jak blisko ma do przepaści. Tymczasem, w prowincjonalnej Hipponie życie biegnie swoim własnym rytmem lokalnych intryg i drobnych romansów. Ale już niedługo, bo wkrótce pradawne moce i brutalna polityka upomną się o swoje. Pewne sprawy są niezmienne i wąż nie bez powodu polyka swój ogon.

„Kraj, na który Bóg się rozgniewał” to drugi tom cyklu „Wandalasunta” opowiadającego burzliwe dzieje ludu Wandalów – od kraju nad Wisłą po Afrykę Północną. Ale to także samodzielna opowieść o ludzkich namiętnościach, starożytnych mocach i bezlitosnych trybach historii.

www.jakuburbanczyk.pl